



# Bielmo

LOUIS BAYARD

*Niezwykły przypadek  
Edgara Allana Poe*



LOUIS BAYARD

# *Bielmo*

*Niezwykły przypadek*

*Edgara Allana Poe*

Przełożył  
Tomasz Bieroń

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

Louis Bayard  
Bielmo. Niezwykły przypadek Edgara Allana Poe

Tytuł oryginału  
*The Pale Blue Eye*

ISBN

Copyright © 2006 by Louis Bayard  
Published by arrangement with HarperCollins Publishers  
*All rights reserved*  
Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2023

Redakcja  
Agnieszka Czapczyk

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

*Dla A.J.*

Smutek po zmarłych to jedyny ból, z którym nie chcemy się rozstać.

Washington Irving, *Wiejskie pogrzeby*

Między splendorem czerkieskich gajów  
W strumieniu niebem ciemno nakrapianym  
I hojnie księżycą blaskiem oblanym  
Ateny służki śpiewały peany  
Gibkie i płóche u brzegu ruczaju.  
Tam to smutna siedziała o zmroku.  
Do nieba wołając cna Leonora  
Hen gdym tam zaszedł niegdyś z wieczora  
Pannie uległem o błękitnym oku  
Pannie uległem z okiem upiora.

# Ostatnia wola Gusa Landora

*19 kwietnia 1831 roku*

Za dwie lub trzy godziny... a właściwie trudno powiedzieć... na pewno za trzy godziny, a najwyżej za cztery... Powiedzmy, że w ciągu czterech godzin będę martwy.

Wspominam o tym, bo wskutek tego wszystko zaczyna jawić się inaczej. Na przykład zainteresowały mnie ostatnio moje palce. Także najniższa listwa żaluzji, nieco przekrzywiona. A pęd wisterii za oknem, który odłamał się od łodygi, zwisa jak szubienica. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. I jeszcze coś: przeszłość ciśnie się teraz z całą siłą teraźniejszości. Czyż wszyscy ludzie, którzy zaludniali moje życie, nie przybiegają tu tłumnie? Jak to możliwe, że nie zderzają się głowami? Przy kominku siedzi radny z Hudson Park; obok niego moja żona przesypuje w fartuchu popiół do puszki, a kto się temu przygląda? Mój sędziwy nowofundlandczyk. W głębi korytarza widzę moją matkę, która nigdy nie przekroczyła progu tego domu; zmarła, zanim skończyłem dwanaście lat, a teraz prasuje mój niedzielny garnitur.

Ciekawa sprawa: moi goście w ogóle ze sobą nie rozmawiają. Obowiązuje tutaj ścisła etykieta, której nie umiem rozgryźć.

Zresztą, prawdę powiedziawszy, nie wszyscy stosują się do jej zasad. Od godziny brzęczy mi nad uchem niejaki Claudius Foot. Aresztowałem go piętnaście lat temu za obrabowanie poczty w Rochester. Wyrzuciłem mu tym wielką niesprawiedliwość: miał trzech świadków, którzy zeznali pod przysięgą, że okradał wtedy pocztę w Baltimore. Wpadł w szal, uciekł z miasta za kaucją, wrócił po sześciu miesiącach, obłąkany z powodu cholery, i rzucił się pod dorożkę. Gadał w kółko aż do śmierci. Wciąż gada.

Powiem wam, że jest całkiem sporo ludzi. W zależności od nastroju, od kąta padania promieni słonecznych przez okno w salonie, patrzę na to albo

nie. Przyznaję, że bywają chwile, kiedy chciałbym mieć więcej kontaktu z żywymi, ale w dzisiejszych czasach jest o to coraz trudniej. Patsy już mnie nie odwiedza... Profesor Pawpaw zwariował i mierzy głowy w Hawanie. A co się tyczy *jego*, to po co miałbym go przywoływać? Mogę go przywołać jedynie w głowie, ale jak tylko to robię, rozbrzmiewają w niej wszystkie stare rozmowy. Ten wieczór spędziliśmy na przykład na rozmowach o duszy. Ja nie byłem przekonany, czy mam duszę, ale on tak. Zabawnie by się go słuchało, gdyby nie perorował o tym z taką powagą. Z drugiej strony, nikt nigdy nie przycisnął mnie w tej kwestii, nawet mój własny ojciec (wędrowny pastor prezbiteriański, za bardzo zajęty duszyczkami swoich owieczek, aby przywiązywać większą wagę do mojej). Raz po raz powtarzałem: „Dobra, dobra, może ma pan rację”. Tylko go to nakręcało. Mówił mi, że odsuwam od siebie to pytanie, oczekując potwierdzenia empirycznego. A ja pytałem: „Skoro nie ma takiego potwierdzenia, to czy mogę zrobić coś więcej niż powiedzieć: »Może ma pan rację«?”.

Kręciliśmy się w kółko, aż pewnego dnia powiedział:

— Panie Landor, przyjdzie chwila, w której pańska dusza się odwróci i najzupełniej empirycznie spojrzy panu w twarz. W tym momencie pana opuści. Spróbuje pan ją złapać, ale nadaremno! Niech pan to sobie wyobrazi: rozpościera orle skrzydła i odlatuje ku azjatyckim gniazdowiskom.

No cóż, miał skłonność do takiego fantazjowania. Dostyc tandetnego, jeśli mam być szczery. Ja sam zawsze wolałem fakty od metafizyki. Dobre, solidne, swojskie fakty — można na nich dociągnąć do końca dnia. Na kręgosłup tej opowieści złożą się zatem fakty i logiczne wnioski. Tak jak zawsze składały się na kręgosłup mojego życia.

Pewnego wieczoru — rok wcześniej przeszedłem na emeryturę — moja córka usłyszała, jak mówię przez sen. Przyszła do mojego pokoju i była świadkiem tego, jak przesłuchuję nieżyjącego od dwudziestu lat podejrzanego.

— To się nie trzyma kupy — powtarzałem w kółko. — Chyba pan to widzi, panie Pierce.



Chłopina pokroił zwłoki swojej żony na kawałki i nakarmił nimi sforę psów stróżujących przy magazynie w Battery. W moim śnie jego oczy zaróżowiły się ze wstydu; bardzo przeproszał, że zajmuje mi czas. Pamiętam, że mu powiedziałem:

— Pan czy kto inny, bez różnicy.

Ten sen mi uświadomił, że życia zawodowego nie da się tak łatwo zostawić za sobą. Można się wybrać na Hudson Highlands, można się schować za książkami, rozwiązywać łamigłówki albo chodzić na spacer... a twoja praca i tak cię znajdzie.

Mogłem uciec, na większym pustkowiu może by mi się to udało. Zachodzę w głowę, jakim cudem dałem się namówić do powrotu, ale czasem mam wrażenie, że to wszystko stało się po to, abyśmy się odnaleźli, on i ja.

Nie ma jednak sensu spekulować. Mam historię do opowiedzenia, przeżycia do zrelacjonowania. A ponieważ wiele aspektów tych przeżyć było dla mnie niedostępnych, w razie potrzeby oddam głos innym, zwłaszcza mojemu młodemu przyjacielowi. Tak naprawdę to z jego ducha zrodziła się ta historia i kiedy próbuję sobie wyobrazić, kto przeczyta ją jako pierwszy, to jego mam przed oczyma: to jego palce wędrują po linijkach i szpaltach, to jego oczy podążają za moją bazgraniną.

Tak, wiem: nie mamy możliwości wybierać sobie czytelników. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko zdać się na tego nieznanego — przypuszczalnie jeszcze nienarodzonego — który znajdzie te słowa. Tobie, Szanowny Czytelniku, dedykuję tę opowieść.

I tak stałem się swoim własnym czytelnikiem. Po raz ostatni. Proszę dołożyć do kominka, panie radny.

I znowu wszystko zaczyna się od początku.

# Opowieść Gusa Landora

## 1

**M**oje zawodowe zaangażowanie w sprawę West Point datuje się od poranka dwudziestego szóstego października tysiąc osiemset trzydziestego roku. Tego dnia wybrałem się na zwyczajowy spacer — choć nieco później niż zwykle — po wzgórzach otaczających wodospad Buttermilk Falls. Pamiętam, że pogoda była typowa dla tej pory roku. Liście, nawet te uschnięte, wydzielały ciepło, które przenikało przez moje podeszwy i ozłacało spowijającą budynki farmerskie mgłę. Szedłem samotnie wstęgą drogi między wzgórzami. Słyszałem tylko szuranie własnych butów i szczekanie psa Dolpha van Corlaera — i chyba też własny oddech, ponieważ tego dnia wspiąłem się dość wysoko. Zmierzałem w kierunku granitowego cypla, który miejscowi nazywają Shadrah Heel, i właśnie opasałem ramieniem topolę, aby zaczerpnąć tchu przed końcowym podejściem, kiedy do moich uszu dotarł dźwięk sygnalówki, gdzieś z daleka na północy.

Znałem ten dźwięk — trudno go nie znać, jeśli ktoś mieszka w pobliżu akademii wojskowej, ale tego ranka dziwnie brzęczał mi w uchu. Po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że dźwięk sygnalówki dociera tak daleko.

Nie są to sprawy, które w normalnych okolicznościach by mnie zaprzętały. Nie obarczałbym Cię, Szanowny Czytelniku, tymi rozważaniami, gdyby nie odzwierciedlały stanu mojego umysłu. Bo widzisz, w normalny dzień nie myślałbym o sygnalówkach. Nie odwróciłbym się przed dotarciem na szczyt, a dostrzeżenie śladów kół nie zajęłoby mi tak wiele czasu.

Dwie koleiny, każda głęboka na pół palca. Zobaczyłem je w drodze powrotnej, ale uważałem je tylko za jedną z wielu rzeczy, które mnie otaczały:

aster, klucze gęsi na niebie. Wszystko to było mocno ściśnięte razem, a nie umieszczone w osobnych przegródkach, więc tylko połowicznie zarejestrowałem te koleiny i nie prześledziłem łańcucha przyczyn i skutków (co do mnie niepodobne). Dlatego tak bardzo mnie zaskoczyło, kiedy po osiągnięciu szczytu wzgórza na podwórzu przed moim domem zobaczyłem zaprzężony w czarnego gniadosza faeton.

Na koźle siedział młody artylerzysta, ale moje oczy, nawykłe do rozróżniania rannych, już wcześniej skierowały się ku opartemu o powóz mężczyźnie. W galowym umundurowaniu wyglądał jak do portretu. Od stóp do głów obsyty złotem: złocone guziki i złocony sznur czaka, złocona mosiężna rękojeść szabli. Jaśniejszy niż słońce — taki mi się jawił — i przemknęła mi przez głowę myśl, że stworzyła go sygnałówka. W końcu wcześniej grała muzyka, a teraz stał przede mną ten mężczyzna. Coś się we mnie *rozluźniło* — dostrzegam to — tak jak rozluźnia się pięść i można dostrzec poszczególne części: palce, dłoń.

Miałem przynajmniej tę przewagę, że oficer nie wiedział o moim nadejściu. Odniosłem wrażenie, że w jego członki wlał się leniwy nastrój dnia. Oparł się o konia, bawił się wędzidłem, kręcąc nim w rytm machania ogonem przez gniadosza. Oczy na wpół zamknięte, głowa kiwa się na swoim słupku...

Moglibyśmy tak trwać jeszcze przez jakiś czas — ja obserwujący, on obserwowany — gdyby nie przerwała nam strona trzecia. Krowa. Wielka bordowa krowa z przyjaznymi rzęsami. Wychodziła z jaworowego zagajnika, zlizując z mordy parę listków koniczyny. Przybliżyła się i zaskakująco taktownie zaczęła okrążyć faeton — najwyraźniej uznała, że intruz dysponuje dobrym uzasadnieniem dla swojego najścia. Oficer odstąpił o krok do tyłu, jakby szykował się do ataku, i nerwowo sięgnął po rękojeść szabli. Przypuszczam, że to właśnie obawa przed rozlewem krwi (czyjej?) w końcu wytrąciła mnie ze stuporu — zawadiackim krokiem ruszyłem w dół wzgórza, wołając przy tym:

— Ma na imię Hagar!

Oficer był zbyt dobrze wyszkolony, aby gwałtownie się odwrócić. Przekręcał głowę i całe ciało krótkimi etapami.

— W każdym razie tak na nią wołam — dodałem. — Przybyła tutaj kilka dni po mnie. Nie chciała się przedstawić, więc musiałem nadać jej jakieś imię.

Zdobył się na coś na kształt uśmiechu.

— Piękne zwierzę, sir — powiedział.

— Republikanka. Przychodzi i odchodzi, kiedy jej się podoba. Bez żadnych zobowiązań po którejkolwiek stronie.

— Aha. Tak się zastanawiam...

— Wiem, wiem, gdyby wszystkie kobiety takie były.

Młody człowiek nie był tak młody, jak sądziłem. W najlepszym razie parę lat po czterdziestce: zaledwie dziesięć lat młodszy ode mnie, a wciąż używają go na posyłki. Ale ta misja była w tej chwili jedyną rzeczą, której mógł się trzymać. Usztwywniła go od stóp do głów.

— Czy mam przyjemność z panem Augustusem Landorem, sir? — zapytał.

— Tak.

— Porucznik Meadows, do usług.

— Miło mi.

Odchrząknął — dwa razy.

— Jestem tu po to, aby pana poinformować, że rektor pułkownik Thayer prosi pana na rozmowę.

— Jakiego charakteru rozmowę? — zapytałem.

— Nie jestem upoważniony do udzielenia panu tej informacji, sir.

— No tak, oczywiście. Czy to ma jakiś związek z wykonywanym przeze mnie dawniej zawodem?

— Nie jestem upo...

— A mogę się przynajmniej dowiedzieć, kiedy ta rozmowa miałaby się odbyć?

— Natychmiast, sir. Jeśli to panu odpowiada.

Przyznaję: piękno tego dnia nigdy nie stało mi tak wyraźnie przed oczyma

jak w tym momencie. Ten niezwykły welon w powietrzu, tak nietypowy jak na koniec października. Gęste zasy mgły w zagłębieniach terenu. Dzieciół wybijający na jaworze jakiś szyfr. *Zostań!*

Wskazałem laską w kierunku drzwi.

— Czy na pewno nie napiłby się pan kawy, poruczniku?

— Nie, dziękuję, sir.

— Mógłbym panu usmażyć trochę szynki, jeśli pan...

— Nie, dziękuję, już jadłem.

Odwróciłem się i zrobiłem krok w stronę domu.

— Przyjechałem tutaj ze względów zdrowotnych, poruczniku.

— Słucham?

— Mój lekarz mi powiedział, że to moja jedyna szansa na dożycie sędziwego wieku: muszę wyjechać w góry, poza miasto.

— Mhm.

Te tępe brązowe oczy. Ten tępy blady nos.

— I oto ma pan przed sobą okaz zdrowia. — Przytaknął. — Zgodziłby się pan ze mną, poruczniku, że ludzie przywiązują do zdrowia nadmierną wagę?

— Nie umiem powiedzieć. Być może ma pan rację, sir.

— Czy jest pan absolwentem Akademii, poruczniku?

— Nie, sir.

— A, czyli osiągnął pan swoją rangę ciężką pracą, stopień po stopniu?

— Owszem, sir.

— Ja sam nie poszedłem na studia. Jaki był sens dalej się edukować, skoro nie ciągnęło mnie do stanu duchownego? Tak uważał mój ojciec. W tamtych czasach tak uważali wszyscy ojcowie.

— Rozumiem.

Należy sobie wyjaśnić, że do normalnej rozmowy nie stosują się reguły przesłuchania. W normalnej rozmowie ten, który mówi, jest *słabszy* od tego, który nie mówi. Ale na tym etapie nie byłem dostatecznie silny, aby obrać inną drogę. Kopnąłem więc koło faetonu.

— Bardzo szykowny pojazd jak na jednego pasażera — rzekłem.

— Tylko ten był dostępny, sir. A nie wiedzieliśmy, czy ma pan konia.

— A gdybym tak postanowił nie jechać, poruczniku?

— Czy pan pojedzie, czy nie, panie Landor, to pańska decyzja. Jest pan osobą prywatną, a żyjemy w wolnym kraju.

„W wolnym kraju”, tak powiedział.

To był mój kraj. Hagar, kilka kroków na prawo ode mnie. Drzwi mojej chaty, wciąż uchylone, kiedy wychodziłem. W środku: świeżo przyniesiony z poczty zestaw łąmigłówek, kubek zimnej kawy, smętne żaluzje, sznur suszonych brzoskwiń i wiszące w rogu komina strusie jajo, подарowane mi wiele lat wcześniej przez handlarza przyprawami z Czwartej Dzielnicy. A z tyłu: mój koń, stary rogacz, przywiązany do palisady, obudowany murem siana. Na imię miał Koń.

— Piękny dzień na przejażdżkę — powiedziałem.

— Tak, sir.

— A leniuchowanie może się przejeść, to fakt. — Spojrzałem na niego. — I pułkownik Thayer czeka, to kolejny fakt. Czy pułkownika Thayera można uznać za fakt, poruczniku?

— Może pan wziąć własnego konia — powiedział nieco zdesperowany. — Jeśli pan woli.

— Nie.

Słowo to zawisło w milczeniu, które nas od siebie oddzielało, kiedy tak staliśmy. Hagar wciąż krążyła wokół faetonu.

— Nie — powtórzyłem w końcu. — Chętnie z panem pojedę, poruczniku. — Dla pewności spojrzałem na swoje stopy. — Prawdę rzekłszy, jestem wdzięczny za towarzystwo.

Na takie słowa czekał. Natychmiast wyciągnął z pojazdu drabinkę, oparł ją o pojazd i podał mi pomocną dłoń. Ramię dla starego pana Landora! Postawiłem stopę na najniższym szczeblu, próbowałem się dźwignąć, ale poranny spacer mocno mnie wymęczył, noga się pode mną ugięła i ciężko

runąłem na drabinę, trzeba mnie było wepchnąć do środka. Opuściłem się na twardą drewnianą ławkę, a on wsiadł za mną, po czym powiedziałem, odwołując się do jedynej pewnej rzeczy, którą z kolei *ja* dysponowałem:

— Poruczniku, może w drodze powrotnej powinien pan skorzystać z drogi pocztowej. Droga koło farmy Hoesmana jest o tej porze roku niezbyt przejezdna dla powozów. — Stało się to, na co liczyłem. Zastygł, po czym przechylił głowę na jedną stronę. — Przepraszam — powiedziałem. — Należało wyjaśnić. Być może pan zauważył, że w uprzęży pańskiego konia utkwiły trzy bardzo duże płatki słonecznika. A oczywiście największe słoneczniki są u Hoesmana — niemal skaczą na człowieka, kiedy się tamtędy przejeżdża. A ta żółta plama z boku? Właśnie taki kolor ma kukurydza Hoesmana, który podobno stosuje specjalny nawóz — kości kurczaka i kwiaty forsycji, tak głosi miejscowa plotka, ale Holender nigdy prawdy ci nie powie, co? A tak przy okazji, poruczniku, czy pańska rodzina nadal mieszka w Wheeling?

Nie spojrzał na mnie, ale poznałem, że trafiłem w dziesiątkę, bo skulił ramiona i gwałtownie zastukał w dach. Koń ruszył pod górę, rzuciło mnie do tyłu i wtedy przyszło mi do głowy, że gdyby nie było za mną ściany, która mnie zatrzymała, dalej bym się przechylał i przechylał, i przechylał... Widziałem to wszystko bardzo wyraźnie w głowie. Dotarliśmy do szczytu wzgórza, faeton skręcił na północ, a za oknem zobaczyłem podwórze mojego domu i zgrabną postać Hagar, która nie czekała na wyjaśnienia, tylko się oddaliła. I nigdy już nie wróciła.

# Opowieść Gusa Landora

## 2

Tam tata tam. Tam tata tam.

Jechaliśmy już z półtorej godziny i byliśmy jakieś pół mili od terenów Akademii, kiedy rozległy się bębny. Na początku tylko zawierucha w powietrzu, a potem pulsowanie, w każdym zagłębieniu gruntu. Kiedy spojrzałem w dół, moje stopy poruszały się w rytm bębnów, a ja nie odzywałem się ani słowem. Pomyślałem: „Tak właśnie zmuszają cię do posłuszeństwa. To wchodzi w krew”.

Zabieg ten z pewnością zadziałał w przypadku mojego towarzysza. Porucznik Meadows siedział ze wzrokiem utkwionym w dal, a na kilka pytań, które mu zadałem, udzielił jedynie zdawkowych odpowiedzi i cały czas tkwił w bezruchu, nawet kiedy po podskoku na jakimś wielkim kamieniu faeton o mało się nie przewrócił. Przez cały ten czas porucznik zachowywał postawę kata i mojemu nadal rozespanemu umysłowi zdarzały się chwile, kiedy powóz jawił się jako więźniarka, na którą czekają tłumy — pod gilotyną. A potem dotarliśmy do końca długiego wzniesienia i krajobraz na wschodzie opadł, ukazując naszym oczom rzekę Hudson. Szklistą, opalowo-szarą, rozpadającą się na miliony fal. Poranne opary zmieniły się już w maślaną mgłę, kontury drugiego brzegu ciągnęły się prosto do nieba, a każda góra rozpływała się w błękitnym cieniu.

— Już prawie na miejscu, sir — rzucił Meadows.

Tak właśnie działa Hudson: oczyszcza umysł. I tak, kiedy pokonaliśmy ostatni odcinek do klifu West Point i spod szynela lasu wyłoniła się Akademia — poczułem, że sprostam temu, co mnie czeka, i mogłem podziwiać widoki jak turysta. O, tam! Szara kamienna bryła hotelu pana Cozzensa, otoczona



werandą. A na zachodzie górujące nad wszystkim ruiny fortu Putnam. Jeszcze wyżej wznosiły się brunatne muskuły wzgórza, najeżone drzewami, a ponad nimi tylko niebo.

Było dziesięć minut po trzeciej, gdy dotarliśmy do wartowni.

— Stać! — zawołano. — Kto tam?

— Porucznik Meadows — odparł woźnica — w towarzystwie pana Landora.

— Niech pan trochę podjedzie, żebyśmy mogli was rozpoznać.

Wartownik podszedł do nas z boku, a kiedy zerknąłem przez okno, ze zdziwieniem zobaczyłem, że mam przed sobą chłopca. Zasalutował porucznikowi, a potem zauważył mnie i odruchowo zaczął salutować, ale sobie uświadomił, że ma do czynienia z cywilem. Wciąż drżąc dłoń na powrót spoczęła na szwie spodni.

— Czy to był kadet, czy zwykły żołnierz, poruczniku?

— Żołnierz.

— Ale kadeci też pełnią wartę, prawda?

— Tak, kiedy się nie uczą.

— A zatem w nocy?

Spojrzał na mnie. Po raz pierwszy odkąd opuściliśmy chatę.

— Tak, w nocy.

Jechaliśmy przez tereny Akademii. Zamierzałem napisać, że *wjechaliśmy* na tereny Akademii, ale to by fałszywie sugerowało, że wcześniej znajdowaliśmy się na jakichś innych terenach. Owszem, są tam budynki — drewniane, kamienne i stiukowe — ale każdy z nich sprawia takie wrażenie, jakby natura ledwo go tolerowała i mogła w każdej chwili zabrać go do siebie. Wreszcie dotarliśmy jednak do miejsca, które z pewnością nie należy do natury: placu ćwiczeń. Czterdzieści mórg kamienistej ziemi i kępek trawy, barwy jasnozielonej i złocistej, podziurawionej, rozciągającej się na północ do miejsca, gdzie wciąż ukryta za drzewami rzeka Hudson odbija na zachód.

— Plac ćwiczeń — oznajmił porucznik.

Ale ja już to oczywiście wiedziałem, a jako sąsiad miałem również świadomość, że na tym smaganym wiatrami klepisku kadeci z West Point zostają żołnierzami.

Ale gdzie są kadeci? Widziałem tylko parę zdjętych z platformy armat, maszt flagowy, biały obelisk i wąski pas cienia, którego nie zdążyło jeszcze przegnać południowe słońce. Kiedy faeton turkotał ubitą drogą, na zewnątrz nie było nikogo, kto mógłby zauważyć nasz przyjazd. Nawet bębnienie ustało. West Point zamknął się w swojej skorupie.

— Gdzie są wszyscy kadeci, poruczniku?

— Na południowych wykładach, sir.

— A oficerowie?

Po krótkiej chwili milczenia poinformował mnie, że wielu z nich jest instruktorami i znajdują się w salach lekcyjnych.

— A reszta?

— Nie umiem powiedzieć, panie Landor.

— A, bo właśnie zadawałem sobie pytanie, czy nie przyjechaliśmy w trakcie alarmu bojowego.

— Nie jestem upoważniony...

— Ale może mnie pan przynajmniej poinformować, czy zostałem zaproszony na prywatną audiencję u pańskiego szefa?

— Myślę, że weźmie w niej również udział kapitan Hitchcock.

— A kapitan Hitchcock to...?

— Komendant Akademii, sir. Drugi w hierarchii po pułkowniku Thayerze.

Nic więcej nie chciał mi powiedzieć. Zamierzał trzymać się swojej jedynej pewnej rzeczy i tak też postąpił: dostarczył mnie prosto do kwatery rektora i zaprowadził do salonu, gdzie czekał na mnie ordynans Thayera. Nazywał się Patrick Murphy, kiedyś sam był żołnierzem, a teraz (jak się później dowiedziałem) naczelnym szpiegiem Thayera — jak większość szpiegów tryskał humorem.

— Panie Landor! Mam nadzieję, że pańska podróż była równie piękna jak

dzisiejsza pogoda. Pozwoli pan za mną?

Pokazywał rozmówcy wszystkie zęby, ale nie oczy. Zaprowadził mnie na dół, otworzył drzwi gabinetu rektora i zawołał moje nazwisko jak lokaj, a zanim się odwróciłem, żeby mu podziękować, już go nie było. Jak się później dowiedziałem, Sylvanus Thayer poczytywał sobie za punkt honoru, aby wszystkie sprawy urzędowe prowadzić w przyziemiu — było w tym trochę teatru dla zwykłego człowieka. Mogę w każdym razie powiedzieć, że panowała tam piekielna ciemność, o co zatroszczyły się gęste krzewy za oknami, a świece ledwo oświetlały same siebie. Moje pierwsze spotkanie z rektorem Thayerem przebiegało zatem pod osłoną ciemności.

Ale zanadto wybiegam do przodu. Jako pierwszy przedstawił mi się komendant Ethan Allen Hitchcock, bezpośredni podwładny Thayera. Otóż Hitchcock, Szanowny Czytelniku, jest człowiekiem od brudnej roboty. Na co dzień pilnuje korpusu kadetów. Mówi się, że Thayer strzela, Hitchcock kule nosi. Każdy, kto czegoś chce od Akademii, najpierw musi się zmierzyć z Hitchcockiem, który niby tama powstrzymuje napór strumienia ludzkości, dzięki czemu Thayer nawet się nie zamoczy i może jaśnieć jak słońce.

Krótko mówiąc, Hitchcock przywykł do pozostawiania w cieniu. I taki mi się właśnie tego dnia objawił: oświetlona dłoń, reszta w sferze domysłów. Dopiero kiedy podszedł bliżej, zobaczyłem, jakiej to niezwyklej postury człowiek (z wyglądu podobno przypomina swojego sławnego dziadka). Należy do ludzi, którzy zasłużyli na swój mundur. Szczupły, pierś płaska, usta zawsze sprawiają wrażenie zaciśniętych na jakimś twardym przedmiocie: kamyku, pestce arbuza. Piwne oczy przesiąknięte melancholią. Mocno uściśnął mi dłoń i przemówił zaskakująco łagodnym głosem, jak ktoś, kto odwiedza chorego:

- Mam nadzieję, że emerytura panu służy, panie Landor.
- Z pewnością służy moim płucom, dziękuję panu.
- Pozwoli pan, że go przedstawię rektorowi?

Łata tłustego światła: głowa pochylona nad biurkiem z drewna owocowego.

Kasztanowe włosy, okrągły podbródek, wydatne kości policzkowe. Nie była to głowa czy też ciało stworzone do miłości. Nie, siedzący za biurkiem mężczyzna przybierał pozę, w której chciał wystąpić przed chłodnymi oczyma potomności, co kosztowało go wiele wysiłku: wystarczyło spojrzeć, jaki jest chudy, mimo granatowego munduru, złotych epoletów i wyszywanych złotem spodni, mimo odłożonego na bok pióra.

To wszystko są jednak moje późniejsze wrażenia. W tym ciemnym pokoju, usadowiony na niskim krześle przed wysokim biurkiem, po prawdzie widziałem tylko jego głowę, spokojną i wyraźną, a skóra jego twarzy zaczynała odsuwać się do tyłu jak ściągana na moich oczach maska. Ta tronująca nade mną głowa spojrzała na mnie i przemówiła:

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie Landor.

Nie, wróć, powiedziała:

— Posłać po kawę?

Teraz się zgadza. A ja odrzekłem:

— *Piwo* by się nadało.

Zapadła cisza. Czyżbym go uraził? Czyżby pułkownik Thayer był abstynentem? Ale potem Hitchcock wezwał Patricka, Patrick sprowadził Molly, a Molly udała się prosto do piwnicy — wszystko to za sprawą ledwo dostrzegalnego drgnienia palców Sylvanusa Thayera.

— Chyba już się kiedyś spotkaliśmy — powiedział.

— Tak, u pana Kemble'a. W Cold Spring.

— Właśnie. Pan Kemble bardzo dobrze się o panu wyraża.

— O, to miło z jego strony — powiedziałem z uśmiechem. — Po prostu szczęśliwym trafem mogłem się do czegoś przydać jego bratu. Przed wielu laty.

— Wspomniał o tym — powiedział Hitchcock. — Coś związanego ze spekulantami ziemią.

— Tak, niewiarygodna sprawa, prawda? Ci wszyscy manhattańczycy sprzedawali nieistniejącą ziemię. Ciekawe, czy nadal to robią.

Hitchcock przysunął krzesło nieco bliżej i postawił swoją świecę na biurku Thayera, obok czerwonej skórzanej skrzynki na dokumenty.

— Pan Kemble — powiedział — sugeruje, że wśród nowojorskich konstabli był pan istną legendą.

— W jakim sensie?

— Przede wszystkim uczciwym człowiekiem. To chyba wystarczy, aby stać się legendą nowojorskiej policji.

Zobaczyłem, że rzęsy Thayera opuszczają się jak żaluzje: „Dobra robota, Hitchcock”.

— O, legendy na ogół nie są zbyt uczciwe — powiedziałem z całym spokojem. — A jeśli ktoś słynie z uczciwości, to pan i pułkownik Thayer.

Oczy Hitchcocka zwięzły się. Być może zadawał sobie pytanie, czy to aby na pewno pochlebstwo.

— Z innych pańskich osiągnięć warto wspomnieć — kontynuował Thayer — że przyczynił się pan do ujęcia przywódców Daybreak Boys. Plagi uczciwych kupców na całym świecie.

— Chyba rzeczywiście można ich tak określić.

— Miał pan też swój udział w rozbiciu gangu Shirt Tails.

— Tymczasowy. Wrócili do gry.

— I jeśli dobrze pamiętam — powiedział Thayer — przypisuje się panu rozwiązanie sprawy szczególnie makabrycznego morderstwa, którą wszyscy inni odpuścili. Młoda prostytutka na Polach Elizejskich. To chyba nie do końca był pański rewir, prawda, panie Landor?

— Z mojego rewiru była ofiara. A potem się okazało, że zabójca także.

— Powiedziano mi również, że jest pan synem pastora, panie Landor. Pochodzi pan z Pittsburgha?

— Między innymi.

— Przyjechał pan do Nowego Jorku jako nastolatek. Czy ma pan jakieś związki z Tammany Hall, dobrze rozumiem? Nie przepada pan za partyjnymi rozgrywkami. Nie jest pan zwierzęciem politycznym.

Skinąłem głową na znak, że doceniam jego przenikliwość. Jednocześnie próbowałem uzyskać lepsze rozeznanie w wyrazie oczu Thayera.

— Pańskie talenty obejmują łamanie szyfrów — mówił. — Tłumienie zamieszek. Budowanie więzi z katolickimi wyborcami. I przesłuchania bez rękawiczek.

To było to: mikroskopijne mrugnięcie okiem. Coś, czego on sam by nie poczuł, a ja nie zauważył, gdybym za tym nie wypatrywał.

— Czy mogę o coś zapytać, pułkowniku Thayer?

— Tak?

— Czy to jest dossier? Czy tam pan trzyma notatki?

— Nie nadążam za panem, panie Landor.

— No błagam, to ja za panem nie nadążałem. Czuję się jak jeden z pańskich kadetów. Przychodzą tutaj — mocno spietrani, jak sędzę — a pan siedzi i z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku podaje im pan średnią ich ocen, liczbę punktów karnych, a jeśli się pan trochę bardziej skupi, to wyrecytuje im pan nawet wysokość zadłużenia. Na pewno wychodzą stąd z przekonaniem, że jest pan drugi po Bogu.

Pochyliłem się do przodu i wcisnąłem dłonie w mahoniowy blat biurka.

— Proszę mi powiedzieć, co jeszcze się znajduje w moim dossier. To znaczy na mój temat. Prawdopodobnie stoi tam napisane, że jestem wdowcem. Akurat ten wniosek nieodparcie się nasuwa: wszystkie moje ubrania mają co najmniej pięć lat. I już dawno nie przekroczyłem progu kościoła. Aha, czy wspomniano tam, że miałem córkę? Która jakiś czas temu uciekła? Wieczory spędzam samotnie, ale mam bardzo ładną krowę. Czy pański informator wie o krowie, pułkowniku?

W tym momencie drzwi się otworzyły, ukazując służącego, który wniósł tacę z moim piwem. Dobre, pienne, prawie czarne. Odgadłem, że przechowują je w czeluściach piwnicy, bo pierwszy łyk przyprowadził mnie o dreszcz zimna.

Rozległy się wokół mnie uspokajające głosy Thayera i Hitchcocka.

— Najmocniej przepraszam, panie Landor.

— Cóż za falstart.

— Nie chciałem pana urazić.

— Z całym szacunkiem...

Uniosłem dłoń.

— Nie, panowie — powiedziałem. — To ja powinienem przeprosić. — Przycisnąłem zimną szklankę do skroni. — Co niniejszym czynię. Proszę mówić dalej.

— Jest pan całkiem pewien, panie Landor?

— Obawiam się, że jestem dzisiaj trochę nie w sosie, ale ucieszyłbym się... To znaczy, proszę mi przedłożyć swoją sprawę, a ja uczynię, co w mojej mocy...

— Czy nie wolałby pan najpierw...

— Nie, dziękuję.

Hitchcock wstał. To znowu było jego spotkanie.

— Od tej pory musimy poczynać sobie bardzo ostrożnie, panie Landor. Mam nadzieję, że możemy liczyć na pańską dyskrecję.

— Naturalnie.

— Proszę pozwolić mi wyjaśnić, że wszystkie te informacje o panu pozyskaliśmy wyłącznie po to, aby wyrobić sobie zdanie, czy nadaje się pan do naszych celów.

— W takim razie powinienem chyba zapytać, cóż to za cele.

— Szukamy kogoś, osoby prywatnej nacechowanej udokumentowaną przenikliwością i taktownością, która może przeprowadzić pewne wrażliwej natury dochodzenie. W imieniu Akademii.

W jego zachowaniu nic się nie zmieniło, ale ja zacząłem inaczej je odbierać. Być może tak podziałała świadomość, która spadła na mnie nagle jak te pierwsze zimne łyki piwa: szukają pomocy u cywila — u mnie.

— No cóż — powiedziałem, ostrożnie sondując sytuację — to zależy. Od charakteru tego dochodzenia. Od moich... kompetencji do...

— O pańskie kompetencje się nie martwimy — przerwał mi Hitchcock. — Martwimy się o dochodzenie. Sprawa jest bardzo złożona i muszę przyznać, że bardzo delikatna. A zatem nim pójdziemy dalej, muszę się jeszcze raz upewnić, że nic z tego, co zostanie tutaj powiedziane, nie wyjdzie poza mury Akademii.

— Kapitanie — powiedziałem — wie pan, jakie życie prowadzę. Nie mam komu się zwierzyć oprócz Konia, a mogę pana zapewnić, że to ucieleśnienie dyskrecji.

Potraktował to chyba jak uroczystą przysięgę, ponieważ znowu usiadł i po krótkich konsultacjach ze swoimi kolanami uniósł głowę i powiedział:

— Chodzi o jednego z naszych kadetów.

— Domyśliłem się tego.

— Trzecioroczniak z Kentucky nazwiskiem Fry.

— Leroy Fry — dodał Thayer.

Znowu to wymowne spojrzenie. Tak jakby miał nie jedną, ale trzy przegródki z notatkami o Leroyu.

Hitchcock znowu zerwał się z krzesła i wędrował między światłem a cieniem. W końcu moje oczy znalazły go wciśniętego w ścianę za biurkiem Thayera.

— Nie ma sensu owijać w bawełnę — powiedział w końcu. — Leroy Fry powiesił się dzisiaj w nocy.

W tym momencie poczułem się tak, jakbym przyszedł na samym końcu albo na samym początku jakiegoś długiego dowcipu, w związku z czym najbezpieczniej będzie grać na zwłokę.

— Przykro mi to słyszeć — powiedziałem. — Bardzo przykro.

— Pańskie współczucie...

— Makabryczna sprawa.

— Dla wszystkich zainteresowanych — powiedział Hitchcock, podchodząc o krok bliżej. — Dla tego młodzieńca. Dla jego rodziny...

— Miałem przyjemność — powiedział Sylvanus Thayer — poznać



rodziców tego młodego człowieka i powiem panu, panie Landor, że przekazanie im wiadomości o śmierci syna to jeden z najsmutniejszych obowiązków, jakimi kiedykolwiek byłem obarczony.

— Ma się rozumieć — odparłem.

— Nie musimy chyba dodawać — podjął Hitchcock, a ja wyczułem, że dochodzimy do sedna sprawy — nie musimy chyba dodawać, że jest to makabryczna sprawa również dla Akademii.

— Widzi pan, nigdy wcześniej coś takiego się tutaj nie wydarzyło — wyjaśnił Thayer.

— Z całą pewnością — poparł go Hitchcock. — I już nigdy się nie wydarzy, jeśli odpowiednio o to zadbamy.

— Moi panowie — powiedziałem. — Z całym szacunkiem, ale czy którykolwiek z nas może mieć coś w tej sprawie do powiedzenia? Bo któż może wiedzieć, co danego dnia chodzi po głowie młodemu chłopcu? Jutro... — Podrapałem się po głowie. — Jutro ten biedak mógłby tego nie zrobić. Jutro mógłby przeżyć. A dzisiaj... No cóż, nie żyje, prawda?

Hitchcock pochylił się i oparł dłonie na podłokietnikach fotela Windsor.

— Musi pan zrozumieć nasze położenie, panie Landor. Zostaliśmy wyznaczeni do opieki nad tymi młodymi ludźmi. Jesteśmy tu niejako w charakterze *loco parentis*. Naszym obowiązkiem jest uczynić z nich dżentelmenów i żołnierzy — i pod tym kątem nimi kierujemy. Nie przepraszam za użycie słowa „kierujemy”, panie Landor. Ale chcemy wierzyć, że wiemy, kiedy należy przestać nimi kierować.

— Chcemy wierzyć — podchwycił Sylvanus Thayer — że każdy kadet może się do nas zwrócić: czy do mnie, czy do kapitana Hitchcocka, instruktora, podchorążego; że może do nas przyjść w każdej duchowej i cielesnej potrzebie.

— Zgaduję z tego, że nie otrzymaliście żadnych sygnałów ostrzegawczych.

— Żadnych.

— No dobra, wszystko jedno — powiedziałem. (Trochę zbyt nonszalancko,

skarciłem się w duchu). — Jestem pewien, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy. Więcej nie można oczekiwać. — Obaj trochę się nad tym zadumali. — Panowie, zgaduję... Mogę się mylić, ale zgaduję, że zbliżamy się do momentu, kiedy mi powiecie, do czego jestem wam potrzebny. Bo nadal nie widzę w tym żadnego sensu. Chłopak się powiesił, przecież to jest sprawa dla koronera, prawda? A nie dla emerytowanego konstabla z wątłym płucem i słabym krążeniem.

Zobaczyłem, że tors Hitchcocka unosi się i opada.

— Niestety — powiedział — to jeszcze nie wszystko, panie Landor.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy, jeszcze bardziej uciążliwa niż poprzednia. Przerzucałem spojrzenie między dwoma panami, czekając na to, aż któryś z nich zrobi następny krok. A potem Hitchcock znowu głęboko zaczerpnął powietrza i powiedział:

— W ciągu nocy, między godziną drugą trzydzieści a trzecią nad ranem, zwłoki kadeta Frya zostały zabrane.

Dopiero po chwili się zorientowałem, że to, co biorę za uderzenia w bębny, to w istocie łomot mojego serca.

— Zabrane, powiada pan?

— Najwyraźniej doszło do jakiegoś nieporozumienia proceduralnego — przyznał Hitchcock. — Sierżant, który otrzymał rozkaz wartowania przy zwłokach, opuścił swoje stanowisko, ponieważ sądził, że jest potrzebny gdzie indziej. Zanim odkryto jego błąd i kazano mu wrócić na stanowisko, ciało zniknęło.

Z wielką ostrożnością odstawiłem szklankę na podłogę. Oczy same mi się zamknęły, a potem gwałtownie otworzyły w reakcji na dziwny hałas, którego źródłem, jak się szybko zorientowałem, było pocieranie moich dłoni o siebie.

— Kto zabrał zwłoki? — zapytałem.

W ciepłym, głębokim głosie kapitana Hitchcocka po raz pierwszy pojawiła się szorstka nuta.

— Gdybyśmy to wiedzieli — burknął — nie byłoby potrzeby wzywać pana,

panie Landor.

— Czy może mi pan zatem powiedzieć, czy zwłoki się znalazły?

— Tak.

Hitchcock wrócił pod ścianę i znowu tam stał jak na warcie. Ponownie zapadła długa cisza.

— Gdzieś na terenie Akademii? — zapytałem.

— Koło lodowni — odparł Hitchcock.

— I zostały przywrócone na swoje miejsce?

— Tak.

Najwyraźniej zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymał.

— Cóż — powiedziałem — w Akademii z pewnością nie brakuje kawalarzy. I nie ma też niczego niezwykłego w tym, że młodzi ludzie robią sobie wygłupy ze zwłokami. Powinniście się cieszyć, że nie kopią grobów.

— To się absolutnie nie mieści w definicji kawału, panie Landor.

Ten doświadczony oficer wsparł się na krawędzi biurka Thayera i niespodziewanie wyjąkał:

— Kimkolwiek był sprawca... kimkolwiek byli sprawcy... usunięcia zwłok kadeta Frya, to należy powiedzieć, że dopuścili się wyjątkowego, powiem nawet ohydneho zbezczeszczenia. Tego rodzaju, że... że nie można...

Biedak pewnie bez końca dreptałby wokół tematu, ale Sylvanus Thayer potrafi chwycić byka za rogi. Wyprężył się na krześle, jedną dłoń położył na pudełku z dokumentami, drugą zacisnął wokół wieży na szachownicy, odchylił głowę i zakomunikował takim tonem, jakby czytał wyniki kartkówki:

— Z ciała kadeta Frya wykrojono serce.

# Opowieść Gusa Landora

## 3

**K**iedy byłem chłopcem, nigdy nie przekraczało się progu szpitala, chyba że ktoś planował umrzeć albo był taki biedny, że nie robiło mu różnicy, czy umrze. Mój ojciec prędzej zostałby baptystą, ale może zmieniłby śpiewkę, gdyby zobaczył szpital w West Point. Placówka ta miała zaledwie sześć miesięcy, kiedy po raz pierwszy tam wszedłem. Ściany świeżo pobielone, podłogi i boazerie wyszorowane do czysta, każde łóżko i krzesło wykąpane w siarce i gazie chlorowym, a korytarzami ciągnie świeże, pachnące mchem powietrze.

W normalny dzień powitałyby nas przypuszczalnie wykrochmalone oddziałowe, może pokazałyby nam system wentylacyjny albo salę operacyjną. Ale nie dzisiaj. Jedną oddziałową odesłano do domu, bo zemdląła, a druga była zbyt rozdygotana, aby wydusić z siebie choć słowo po naszym przyjściu. Spojrzała wskroś nas za nasze plecy, jakby spodziewała się zobaczyć ciągnący za nami cały regiment, a ponieważ nie zobaczyła, pokręciła głową i zaprowadziła nas schodami w górę na oddział B-3. Minęliśmy kominek i dotarliśmy do żelaznego łóżka sekcyjnego. Na chwilę znieruchomiała, a potem ściągnęła lniane prześcieradło z ciała Leroya Frya.

— Zostawię panów, jeśli panowie pozwolą — powiedziała i zamknęła za sobą drzwi jak gospodyni, która pozwala mężczyznom bawić się we własnym towarzystwie.

Mógłbym przeżyć sto lat, Szanowny Czytelniku, napisać milion słów, a i tak nie umiałbym Ci powiedzieć, co to był za widok.

Podejdę do tego małymi krokami.

Leroy Fry, zimny jak opona furmanki, leżał na materacu na żelaznym stole.

Jedna dłoń spoczywała na kroczu, druga była zaciśnięta w pięść.

Oczy miał uchylone, jakby bębny właśnie zasygnalizowały pobudkę.

Usta były wykrzywione. Spod górnej wargi sterczały dwa żółtawe zęby przednie.

Szyję miał czerwono-fioletową, z czarnymi smugami.

Jego tors...

Pozostałości jego torsu były czerwone. Cały szereg różnych odcieni czerwieni, zależnie od tego, czy w danym miejscu klatka piersiowa była poszarpana, czy tylko rozkrojona. Moja pierwsza myśl: musiało w niego z ogromnym impetem uderzyć coś dużego i ciężkiego. Sosna się przewróciła — nie, za mała, z nieba spadł meteor...

Fry nie został jednak przeбитo na wylot. Może szkoda, bo wtedy nie trzeba byłoby patrzeć na bezwłose, zawinięte do środka płaty skóry na jego piersiach, pogruchotane kikuty kości, a głębiej na to gumowate coś, co leżało stulone w sobie. To mogły być skłęsłe płuca, pas przepony albo gęsta, ciepła, brązowa pulchność wątroby. Mogłem zobaczyć... *wszystko*. Wszystko z wyjątkiem narządu, którego tam nie było, a mimo to widziało się go najwyraźniej — ten *brakujący* organ. Przyznaję ze wstydem, że w tym momencie nasza mnie pewna spekulacja — z rodzaju tych, którymi w normalnych okolicznościach nie zaprzętałbym Ci głowy, Szanowny Czytelniku. Otóż pomyślałem, że jedyną rzeczą, która pozostała po Leroyu Fryu, było *pytanie*. Jedno pytanie, zadawane przez jego pośmiertnie zeszywniałe kończyny, przez zielonkawy odcień jego bladej, bezwłosej skóry...

*Kto to zrobił?*

Pulsowanie w moim wnętrzu mi powiedziało, że muszę znaleźć odpowiedź na to pytanie. Nieważne, jak bardzo będzie to dla mnie niebezpieczne — muszę się dowiedzieć, kto ukradł serce Leroya Frya.

Chwyciłem więc to pytanie za rogi, tak jak to zawsze robię. W ten sposób, że zacząłem sam zadawać pytania. Nie powietrzu, lecz mężczyźnie, który stał tuż obok mnie. Doktorowi Danielowi Marquisowi, chirurgowi z West Point.

Wszedł za nami do sali i teraz patrzył na mnie nieśmiało, gorliwie, nabiegłymi krwią oczami — miałem wrażenie, że chce się pochwalić swoją wiedzą fachową.

— Doktorze Marquis, jak się człowiek zabiera — pokazałem na leżące na stole zwłoki — do czegoś takiego?

Doktor przeciągnął dłonią po twarzy. Wziąłem to za oznakę zmęczenia, ale w rzeczywistości chciał ukryć podniecenie.

— Zrobienie pierwszego nacięcia — powiedział — nie jest takie trudne. Najlepszy jest skalpel, ale wystarczy każdy dobry, ostry nóż. — Zapalił się do tematu, stanął nad ciałem Leroya Frya i rozkrawał powietrze niewidzialnym ostrzem. — Najtrudniej dotrzeć do serca. Trzeba usunąć z drogi żebra i mostek, a chociaż te kości nie są tak gęste jak kręgosłup, to nie należą również do kruchych. Nie wolno próbować ich zmiażdżyć ani przetrącić, bo to grozi uszkodzeniem serca. — Zaglądał do otwartego krateru klatki piersiowej Leroya Frya. — Pozostaje tylko kwestia, w którym miejscu ciąć. Możliwość pierwsza: wprost przez mostek... — Wyimaginowana klinga doktora Marquisa świsnęła w powietrzu. — No tak, ale nadal trzeba rozsunąć żebra, a nawet przy użyciu łomu jest to ciężka robota. Nie, robi się — i w tym wypadku zrobiono — okrągłe wycięcie. Okrągłe wycięcie w klatce piersiowej, a potem dwa cięcia przez mostek. — Odstąpił o krok do tyłu i obejrzał rezultaty swojej pracy. — Wygląda mi na to, że użyli piły.

— Piły.

— Takiej, jakiej użyłby chirurg do amputacji kończyny. Mam taką w aptece. Sprawca mógł się również posłużyć zwykłą piłą do drewna. Ale to byłaby ciężka praca. Musiałby uważać na to, aby brzeszczot za bardzo się nie zagłębił w klatkę piersiową. Proszę spojrzeć tutaj, na płuca. Widzi pan te rozcięcia, długie na jakieś dwa centymetry? I kolejne na wątrobie. Moim zdaniem sprawca wprowadził piłę pod kątem, aby nie uszkodzić serca.

— Bardzo mi pan pomógł, doktorze — podziękowałem. — Może nam pan

powiedzieć, co się następnie dzieje? To znaczy po wycięciu klatki piersiowej i mostka?

— Od tego momentu sprawa jest w miarę prosta. Wycina się osierdzie. Jest to otaczająca nasierdzie błona, która utrzymuje serce w miejscu.

— Tak...

— Następnie przecina się aortę. Tętnicę płucną. Trzeba jeszcze przebić się przez *vena cavae*, ale to kwestia kilku minut. Każdy porządny nóż by się nadał.

— Czy będzie tryskać krew, doktorze?

— Nie u kogoś, kto od kilku godzin nie żyje. W zależności od tego, jak szybko umarł, mogła pozostać jeszcze jakaś niewielka ilość krwi. Podejrzewam jednak, że zanim sprawca się do niego dorwał, to serce — wypowiedział to słowo z pewną nutą satysfakcji — to serce było już opróżnione.

— Co dalej?

— To już prawie koniec — powiedział chirurg. — Bez większych problemów można wyjąć całe serce. Które zresztą jest bardzo lekkie, z czego większość ludzi nie zdaje sobie sprawy: niewiele większe od pięści, waży nie więcej niż dziesięć uncji. Bierze się to z faktu, że jest puste — powiedział, uderzając się w piersi dla emfazy.

— Czyli, doktorze... mam nadzieję, że panu nie przeszkadza, że zadaję wszystkie te pytania?

— W żadnym razie.

— Może potrafiłby nam pan powiedzieć coś więcej o człowieku, który to zrobił. Czego by potrzebował oprócz narzędzi?

Sprawił wrażenie nieco zaskoczonego, kiedy odjął wzrok od nieboszczyka.

— Niech pomyślę. Musiałby... Z wymienionych przeze mnie powodów musiałby być silny.

— Czyli nie kobieta?

Prychnął.

— Żadna z kobiet, które miałem przyjemność poznać.

— Czego jeszcze by potrzebował?

— Sporo dobrego oświetlenia. Kto chce przeprowadzić taką operację w ciemną noc, potrzebuje światła. Nie zaskoczyłoby mnie, gdybyśmy w klatce piersiowej znaleźli trochę wosku.

Jego oczy z zapalem skierowały się ponownie na zwłoki. Musiałem szarpnąć go za rękaw, żeby go odciągnąć.

— A jego kompetencje medyczne, doktorze? Czy potrzebowałby być — uśmiechnąłem się do niego — równie dobrze wykształcony i gruntownie odcytany jak pan?

— Och, niekoniecznie — powiedział trochę onieśmielony. — Potrzebowałby wiedzieć... na co uważać, czegoś się spodziewać. W którym miejscu ciąć. Odrobina wiedzy anatomicznej, nie musiałby być lekarzem ani chirurgiem.

— Obląkanie!

To był Hitchcock, który wtrącił się do rozmowy. Muszę przyznać, że aż mną szarpnęło. Zdążyłem zapomnieć, że w sali jest ktoś jeszcze oprócz doktora Marquisa (i Leroya Frya).

— Kto inny, jeśli nie obląkanie? — spytał Hitchcock. — I wedle wszelkich danych dalej tam grasuje, szykuje kolejną jatkę. Czy ja... Czy nikogo innego nie przeraża, że on wciąż jest na wolności?

Wrażliwy człowiek, ten nasz Hitchcock. Nie był taki twardy, potrafił cierpieć. Ale jednocześnie łatwo dało się go pocieszyć. Wystarczyło, że pułkownik Thayer leciutko poklepał go po ramieniu i uszło z niego całe napięcie.

— Spokojnie, Ethan — powiedział Thayer.

Nie pierwszy i nie ostatni raz pomyślałem o ich aliansie jak o swoistym małżeństwie. Nie chcę przez to sugerować niczego więcej niż to, że tych dwóch kawalerów zawarło ze sobą niepisany pakt. Raz i tylko raz (jak się później dowiedziałem) rozstali się ze sobą: trzy lata wcześniej, na tle kwestii,



czy sąd wojskowy West Point nie jest sprzeczny z ustawą o wojnie. Ale rok później Thayer ponownie wezwał Hitchcocka. Rozdarcia się zablizniły. Wszystko to było zawarte we wspomnianym klepieniu w ramię. A także to, że w tym tandemie dowodzi Thayer. Zawsze.

— Jestem pewien, że wszyscy czujemy to samo, co kapitan Hitchcock — powiedział Thayer. — Prawda, panowie?

— A kapitanowi przynosi chlubę, że ujął to w słowa — dodałem.

— Przybyliśmy tu po to — stwierdził rektor — aby uzyskać informacje, które nam pomogą w ujęciu sprawcy. Czy nie tak, panie Landor?

— Oczywiście, pułkowniku.

Hitchcocka to nie udobruchało. Usiadł na jednym z pustych łóżek i patrzył w dal przez okno od północy. Daliśmy mu chwilę. Pamiętam, że odliczałem sekundy. „Raz, dwa...”

— Doktorze — powiedziałem z uśmiechem. — Proszę nam powiedzieć, jak długo by trwało przeprowadzenie takiej operacji.

— Trudno ocenić, panie Landor. Już od wielu lat nie kroilem żywego ani martwego ciała, a nigdy tego nie robiłem aż tak... dogłębnie. Gdybym musiał zgadywać, to zważywszy na trudne warunki, powiedziałbym, że potrzeba co najmniej godziny. Może półtorej.

— A większość tego czasu zajęłoby piłowanie?

— Owszem.

— A gdyby było dwóch mężczyzn?

— Wtedy każdy mógłby się zająć jedną stroną i potrzebowaliby połowy tego czasu. Ale gdyby było ich trzech, tylko nawzajem by sobie przeszkadzali. Trzeci mężczyzna wiele by nie pomógł, chyba że trzymałby lampę.

Lampę, tak. Patrząc na Leroya Frya, miałem to niewytłumaczalne poczucie, że ktoś go oświetla. Pewnie dlatego, że jego oczy były skierowane ku moim, *patrzyły* na mnie spod opadających powiek, jeśli można to nazwać patrzeniem. Źrenice rozchyliły się bowiem jak żaluzje i pozostała w nich tylko odrobina białości.

Podszedłem do łóżka i czubkami kciuków opuściłem powieki. Pozostały zamknięte tylko przez ułamek sekundy, po czym odskoczyły. Ledwo to zauważyłem, ponieważ skupiłem teraz uwagę na ranach ciętych na szyi Leroya Frya. Wbrew moim oczekiwaniom nie tworzyły jednego pasa, lecz *falę*, odzwierciedlenie agonii. Na długo zanim pętla zamknęła tchawicę tego kadeta, sznur żłobił i kaleczył jego ciało — zanim skończył swoją robotę, wyrwał z niego cały szekspirowski funt mięsa.

— Kapitanie Hitchcock — powiedziałem. — Wiem, że pańscy ludzie rozpoczęli poszukiwania, ale czego właściwie szukali? Człowieka czy serca?

— Mogę panu tylko powiedzieć, że przeczesaliśmy okoliczne tereny i niczego nie znaleźliśmy.

— Rozumiem.

Leroy Fry miał włosy w kolorze świńskiego blondu. Długie białe rzęsy. Nagiotki od muszkietu na prawej dłoni, jasne pęcherze na czubkach palców. I pieprzyk między dwoma palcami u nóg. Poprzedniego dnia jeszcze żył.

— Czy ktoś mógłby mi przypomnieć, gdzie znaleziono ciało, kiedy już wykrojono z niego serce?

— Koło lodowni.

— Doktorze Marquis, niestety muszę znowu odwołać się do pańskiej wiedzy fachowej. Gdyby miał pan zakonserwować serce, jak by się pan do tego zabrał?

— Przypuszczalnie znalazłbym jakiś pojemnik. Nie musiałby być zbyt duży.

— Tak?

— Potem zawinąłbym w coś serce. Może w muślin. A z braku lepszych możliwości w gazetę.

— Proszę mówić dalej.

— Potem bym... obłożyłbym je... — Urwał. Jego palce wspięły się do gardła. — Lodem — dokończył.

Hitchcock podniósł się z łóżka.

— Czyli do tego doszło — powiedział. — Obląkaniec nie tylko ukradł serce Leroya Frya, ale również przechowuje je w lodzie.

Wzruszyłem ramionami. Pokazałem mu moje dłonie.

— Istnieje taka możliwość, nic więcej.

— W jakimże bezbożnym celu?

— Tego nie potrafię panu powiedzieć, kapitanie, dopiero co tutaj przyjechałem.

Tymczasem wróciła oddziałowa, jak zawsze służbistka, chciała, żeby doktor Marquis zajął się jakąś sprawą, już nie pamiętam jaką. Pamiętam tylko wyraz żalu na twarzy doktora Marquisa. Było mu szkoda, że musi już iść.

Zostaliśmy zatem tylko ja, Thayer i Hitchcock. I Leroy Fry. A potem rozległy się bębny wzywające kadetów na wieczorny apel.

— No cóż, panowie — powiedziałem. — Musimy sobie powiedzieć, że mamy twarde orzechy do zgryzienia. — Znowu bezradnie potarłem dłonie o siebie. — Sam jestem trochę zagubiony. Przede wszystkim wciąż nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego nie zawiadomiliście jeszcze władz wojskowych? — Zapadła długa cisza. — Ta sprawa z pewnością domaga się ich uwagi, a nie mojej.

— Panie Landor — powiedział Sylvanus Thayer — zechciałby mi pan przez chwilę towarzyszyć?

Nie uszliśmy daleko. Tylko korytarzem do końca i z powrotem. A potem jeszcze raz. Jeszcze raz. Miałem wrażenie, że wykonujemy jakiś manewr wojskowy. Thayer był znacznie niższy ode mnie, ale trzymał się bardziej prosto, jego postawa wyrażała większą pewność siebie.

— Zastał pan nas w delikatnym położeniu, panie Landor.

— W to nie wątpię.

— Ta Akademia... — zaczął, ale trochę za głośno, więc obniżył głos. — Jak być może panu wiadomo, ta Akademia istnieje od niecałych trzydziestu lat. Ja jestem jej rektorem mniej więcej od połowy tego czasu. Nie będzie

chyba nadużyciem stwierdzenie, że ani Akademia, ani ja nie zasłużyliśmy sobie jeszcze na miano instytucji wiecznotrwałych.

— To chyba tylko kwestia czasu, jak sądzę.

— W każdym razie jak każda młoda instytucja zyskaliśmy pewnych cennych przyjaciół. A także potężnych wrogów.

Ze wzrokiem utkwionym w podłódze zaryzykowałem pytanie:

— Prezydent Jackson należy do tego drugiego obozu, prawda?

Thayer zerknął na mnie z ukosa.

— Nie udaję, że wiem, kogo należy zaliczyć do którego obozu. Wiem tylko, że spoczywa na nas wyjątkowe brzemię odpowiedzialności. Nieważne, ilu oficerów wykształcimy, nieważne, ile uczynimy dla naszej ojczyzny, zawsze będziemy musieli się bronić.

— Przed czym, pułkowniku Thayer?

— Och. — Zerknął na sufit. — Ciągłe słyszymy, że jesteśmy elitarni. Nasi krytycy mówią, że faworyzujemy latorośle bogatych rodzin. Gdyby tylko wiedzieli, ilu naszych kadetów przyjechało z farm, ilu mamy synów mechaników, rzemieślników. To jest Ameryka w miniaturze, panie Landor.

W akustyce tego korytarza ładnie to zabrzmiało. „Ameryka w miniaturze”.

— Co jeszcze mówią wasi krytycy, pułkowniku?

— Że poświęcamy zbyt wiele czasu na kształcenie inżynierów, a za mało na kształcenie żołnierzy. Że nasi kadeci zajmują etaty oficerskie, które bardziej się należą ludziom od lat pełniącym służbę.

„Porucznik Meadows” — pomyślałem. Thayer maszerował po korytarzu w rytm dochodzącego z zewnątrz bębnienia.

— Już nie mówiąc o ostatniej grupie krytyków, tych, którzy nie chcą w naszym kraju żadnej stałej armii.

— Ciekawe, czym by ją zastąpili.

— Wygląda na to, że strażami obywatelskimi dawnego typu. Młodymi zawadiakami, którzy ćwiczą na wiejskich błoniach. Udawanym żołnierzami — powiedział bez śladu gorczy w głosie.

— To nie straże obywatelskie wygrały ostatnią wojnę — powiedziałem — lecz tacy ludzie jak generał Jackson.

— Bardzo miło słyszeć, że jesteśmy w tej kwestii zgodni, panie Landor. Co nie zmienia faktu, że niemała liczba Amerykanów wciąż się wzdraga na widok człowieka w mundurze.

— Dlatego też nie nosimy mundurów — powiedziałem cicho.

— My?

— Przepraszam, chodziło mi o konstabli. Może się pan do woli rozglądać, a nie zobaczy pan żadnego konstabla, i w ogóle żadnego nowojorskiego funkcjonariusza, noszącego coś, co pozwalałoby w nim rozpoznać policjanta. Mundury deprymują ludzi, prawda?

Zabawne: nie zamierzałem wyskakiwać z czymś takim, ale moja wypowiedź skrzesała między nami iskrę braterstwa. Co nie znaczy, że zobaczyłem, jak Sylvanus Thayer się uśmiecha — nigdy w życiu nie widziałem, żeby się uśmiechnął — ale jego rysy odrobinę złagodniały.

— Byłoby nieuczciwie z mojej strony, panie Landor, gdybym przed panem zataił, że lwia część ataków spada na mnie. Nazywają mnie tyranem, despotą. A ich ulubiona obelga to „barbarzyńca”.

W tym miejscu urwał, aby pozwolić temu słowu wybrzmieć.

— Niewesoła sytuacja, prawda, pułkowniku? — powiedziałem. — To znaczy z pańskiego punktu widzenia. Gdyby rozeszły się wieści, że kadeci się załamują pod pańskim... brutalnym reżimem, do tego stopnia, że odbierają sobie życie...

— Wieści o Leroyu Fryu już się rozeszły — przerwał mi lodowatym tonem. — Nie potrafię temu zapobiec i nie mogę zmienić faktu, że ludzie interpretują to sobie tak, jak im się podoba. W tej chwili chodzi mi tylko o to, aby to dochodzenie nie znalazło się w rękach pewnych czynników.

Spojrzałem na niego.

— Pewnych czynników waszyngtońskich — podpowiedziałem mu.

— Właśnie.

— Czynników, które być może z wrogością odnoszą do samego istnienia Akademii. I szukają pretekstu do zrównania jej z ziemią.

— Właśnie — powtórzył.

— Ale gdyby mógł im pan pokazać, że trzyma pan sprawy w garści i ktoś już się zajmuje dochodzeniem, to może udałoby się panu na jakąś chwilę odroczyć egzekucję.

— Na *krótką* chwilę — skorygował mnie.

— A jeśli nic nie ustalę, pułkowniku?

— To złożę raport dowódcy korpusu inżynieryjnego, który z kolei zasięgnie rady generała Eatona. A następnie będziemy czekali na ich wspólną decyzję.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami oddziału B-3. Z dołu dobiegało do nas zrzęczenie oddziałowej i powolny głos chirurga. Z zewnątrz — przenikliwy ton piszczałki. A z oddziału B-3 — absolutnie nic.

— Kto by pomyślał — powiedziałem — że od śmierci jednego człowieka aż tyle zależy. Nawet pańska kariera.

— W jednej sprawie, panie Landor, może mi pan uwierzyć na słowo. Moja kariera ma tutaj najmniejsze znaczenie. Gdybym miał pewność, że Akademia przetrwa, wyjechałbym stąd jutro rano i nie oglądał się za siebie. — Skinął przyjaźnie głową w moją stronę i dodał: — Ma pan dar nakłaniania ludzi do zwierzeń, panie Landor. Nie wątpię, że to się przydaje.

— To zależy, pułkowniku. A teraz proszę mi powiedzieć, czy naprawdę uważa pan, że jestem pańskim człowiekiem?

— Nie rozmawialibyśmy ze sobą, gdyby tak nie było.

— Jest pan zdecydowany doprowadzić rzecz do końca?

— Do końca i jeszcze dalej, jeśli trzeba — odparł Sylvanus Thayer.

Uśmiechnąłem się i spojrzałem w głąb korytarza, gdzie w świetle wpadającego przez okrągłe okienko światła słonecznego unosił się łańcuch kurzu.

Oczy Thayera się zwięziły.

— Czy pańskie milczenie mam interpretować jako „tak”, czy jako „nie”,

panie Landor?

— Ani jedno, ani drugie, pułkownika.

— Jeśli to jest kwestia pieniędzy...

— Na brak pieniędzy nie narzekam.

— To może mógłbym coś innego dla pana zrobić.

— W niczym nie może mi pan pomóc — powiedziałem najuprzejmiejszym tonem, na jaki było mnie stać.

Thayer odchrząknął — był to tylko cichutki chrobot, ale ja miałem wrażenie, że coś utknęło mu w gardle.

— Panie Landor, to trudne do zniesienia, że kadet umiera tak młodo, i to z własnej ręki. Ale że tak potraktowano jego bezbronne ciało, to już zupełnie nie do wytrzymania. To jest zbrodnia przeciw naturze, którą uważam również za cios w serce... — Urwał, ale słowo to wyleciało już z jego ust: — W serce tej instytucji. Jeśli dokonał tego jakiś fanatyk z zewnątrz, to trudno, Bóg się z nim policzy. Ale jeśli dokonał tego ktoś z naszych, to nie spocznę, dopóki sprawca nie zostanie fizycznie usunięty z West Point. Z kajdanami na nogach czy bez, to bez różnicy, musi zostać stąd odesłany następnym parowcem. Dla dobra Akademii. — Kiedy już wyrzucił to z siebie, wypuścił cicho powietrze i pochylił głowę. — Takie będzie pańskie zadanie, panie Landor, jeśli pan je przyjmie. Znaleźć osobę, która to zrobiła. I pomóc nam dopilnować, żeby to się już nigdy nie powtórzyło.

Przez dłuższą chwilę patrzyłem na niego w milczeniu. Potem wyciągnąłem z kieszeni zegarek i zastukałem w szklany dekiel.

Za dziesięć piąta.

— Co pan na to, żebyśmy spotkali się tutaj o szóstej? Byłoby to dla pana bardzo niedogodne?

— W żadnym razie.

— To dobrze. Obiecuję, że usłyszysz pan moją odpowiedź.

Wyobrażałem sobie, że pójde na samotną przechadzkę — jak miałem

w zwyczaju — ale Akademia nie wyraziła zgody na taki plan. Nie, łaskawy panie, musimy przydzielić panu eskortę. Do tego zadania ponownie wyznaczono porucznika Meadowsa. Jeśli na tę wiadomość zrzędała mu mina, to ktoś musiał mu ją na powrót zaaranżować, ponieważ porucznik był w pogodniejszym nastroju niż podczas naszej przejażdżki. Wysnułem z tego wniosek, że oszczędzono mu widoku Leroya Frya.

— Dokąd pan chce iść, panie Landor?

Pociągnąłem ręką w kierunku rzeki.

— Na wschód. Wschód mi pasuje.

Rzecz jasna, aby się tam dostać, musieliśmy przeciąć plac ćwiczeń, który nie był już pusty — nie, w żadnym razie: właśnie odbywał się tam wieczorny apel. Kadeci Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych ustawili się kompaniami — w czterech dynamicznych formacjach. Orkiestra, pod kierunkiem człowieka, który trzymał w ręku laskę z frędzlami, a z głowy zwisała mu czerwona tutka po puddingu, dograła ostatnie takty i zabrzmiały wieczorne armaty, a gwiazdzisty sztandar spływał ku ziemi jak chusteczka pensjonarki.

„Znamięęę roń” — zawołał adiutant. Naraz rozległ się zgrzyt dwustu karabinów i po niecałej sekundzie każdy kadet wpatrywał się w lufę swojego karabinu. Oficer dowodzący wyciągnął nóż, stuknął obcasami i zawołał: „Nalewaaaaj... poncz!”, a potem „Kaprawyyyy... kot!” (a w każdym razie tak mi to zabrzmiało). Wszyscy kadeci wykonali w prawo zwrot, gotowi odeprzeć wroga.

Spektakl robił wrażenie: sztylpy odrywają się od jasnozielonej murawy, ostatnie promienie słońca migoczą na bagnetach. Do tego młodzieńcy w ciasnych kołnierzykach, dobrze dopasowanych mundurach i z piórami, które bujnie wykwiwały z ich głów.

„Kaprawyyyy... kot!”

Wiadomości o Leroyu Fryu — po części prawdziwe, po części plotki — od wielu godzin krążyły wśród kadetów. Bardzo dobrze świadczyło



o zaprowadzonym przez Thayera rygorze, że taki cios w najmniejszym stopniu go nie nadwerężył. Miejsce, które normalnie zajmował Leroy Fry, teraz wziął ktoś inny — luka została wypełniona — i żaden obserwator by nie dostrzegł, że szeregi kadetów zostały uszczuplone. Owszem, lepiej wyszkolony obserwator mógłby się tu i ówdzie dopatrzeć pominiętego kroku czy zbyt nisko uniesionej nogi. A może nawet potknięcia. To jednak łatwo można było zrzucić na karb tego, że w każdej kompanii maszerowały ze dwa tuziny *plebes*, chłopaków ledwie kilka miesięcy wcześniej oderwanych od pług, wciąż szukających swojego rytmu... a przecież nawet oni dali się porwać muzyce.

„Do szaradyyy... wryć!”

Tak, fascynujący widok, Szanowny Czytelniku, w ostatnich godzinach październikowego dnia: opadające słońce, wzgórza, których niebieskoszare zabarwienie harmonizowało z kolorystyką mundurów, a gdzieś w oddali zrzędził drozd... Da się wytrzymać. Wielu innych ludzi podobnie spędzało czas. Horda turystów koło biura kwatermistrza. Panie z bufiastymi rękawami, panowie w granatowych frakach i beżowych kamizelkach... Wszyscy w radosnych wakacyjnych nastrojach. Przypuszczalnie przyłynęli tego ranka statkiem z Manhattanu, ewentualnie Brytyjczycy, którzy wybrali się na wycieczkę objazdową po północnych stanach. Jednym z elementów całego spektaklu był apel, którego oprawa dźwiękowa obejmowała gromko wykrzykiwane nazwy pododdziałów.

I kogóż można było zobaczyć w gronie widzów? Sylvanusa Thayera! Zgony na terenie Akademii nie wytrąciły go z codziennej rutyny. Rektor sprawiał takie wrażenie, jakby przez cały dzień przebywał wyłącznie w tym miejscu. Wzór panowania nad sobą. Mówił, kiedy musiał, milczał, kiedy wskazane było milczenie, nastawiał ucha na pytania panów, zwracał uwagę pań na ten czy inny szczegół, ale nigdy nie zanudzał. Prawie słyszałem jego słowa:

— Pani Brevoort, nie wiem, czy pani zauważyła swoisty *esprit d'Europe*

w tym manewrze. Wymyślił go Fryderyk Wielki, a dopracował Napoleon podczas kampanii egipskiej... Aha, zauważyła pani tego młodego człowieka na czele Kompanii B? To Henry Clay junior. Tak, tak, syn tego wybitnego człowieka. Stracił pozycję prymusa w swojej klasie na rzecz chłopca z Vermontu. Ameryka w miniaturze, pani Brevoort.

A teraz kompanie kadetów przyspieszonym krokiem schodziły z placu, orkiestra znikła za wzgórzem, widzowie się oddalali, a Meadows zapytał mnie, czy chcę zostać, czy iść dalej. Wybrałem to drugie, więc ruszyliśmy w drogę i dotarliśmy aż do Love Rock.

A tam, sto stóp pod nami, czekała rzeka. Roilo się na niej od łodzi. Statki towarowe płynące do kanału Erie i statki transportowe zmierzające do wielkiego miasta. Skiffy, kajaki i czółna, wszystkie rozjarzone pomarańczowym blaskiem zachodu słońca. Z niedaleka dobiegał odgłos armat na placu apelowym: głośny huk, a potem wspinająca się po zboczach wzgórz smuga echa. Na zachodzie wstęga rzeki, na wschodzie i na południu również. Stałem pośrodku tego wszystkiego i gdybym był postacią historyczną, mógłbym porozmawiać z Indianami albo z Benedictem Arnoldem, który stał kiedyś w tym samym miejscu, albo z ludźmi, którzy przeciągnęli przez Hudson wielki łańcuch, aby zatamować statkom brytyjskim drogę na północ...

A gdybym był człowiekiem bardziej uduchowionym, pogrążyłbym się w rozmyślaniach o losie lub o Bogu, ponieważ Sylvanus Thayer właśnie poprosił mnie o uratowanie honoru Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych, to znaczy o podjęcie pracy, której już dawno na dobre się wyrzekłem. Z pewnością był to element jakiegoś szerszego planu — może nie boskiego, ale bez wątpienia nadprzyrodzonego.

Mój umysł nie ma jednak zwyczaju sięgać aż tak głęboko. Oto, o czym myślałem: o krowie Hagar. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, dokąd poszła. W stronę rzeki? Do Highlands? Czy za wodospadem jest jakaś jaskinia? Jakaś tylko jej znana kryjówka?

Tak, myślałem o tym, dokąd poszła Hagar i czy coś może ją skłonić do powrotu.

Dokładnie dziesięć minut po szóstej odwróciłem się plecami do rzeki i zobaczyłem porucznika Meadowsa dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Splótł dłonie za plecami, zamknął oczy i odgrodził się od wszystkich trosk tego świata.

— Jestem gotów, poruczniku.

Pięć minut później byłem z powrotem na oddziale B-3. Ciało Leroya Frya nadal tam leżało, zawinięte w lniane prześcieradło. Thayer i Hitchcock stali w pozycji na spocznij, a ja właśnie przekroczyłem próg sali i zamierzałem powiedzieć: „Panowie, jestem waszym człowiekiem”.

Powiedziałem jednak coś innego, zanim jeszcze zdałem sobie sprawę, że mówię.

— Chcecie, abym się dowiedział, kto ukradł serce Leroya Frya? — spytałem. — Czy może abym się dowiedział, kto go powiesił?

# Opowieść Gusa Landora

## 4

*27 października*

To była robinia. Sto metrów od południowej przystani. Robinia, wysmukła i mnichowata, z głębokimi bruzdami i długimi mahoniowymi strąkami. Nie różniła się niczym od większości robinii rosnących w Highlands. To znaczy z wyjątkiem zwisającej z gałęzi winorośli.

A przynajmniej ja, głupi, wziąłem to za winorośl. Na swoją obronę powiem, że od zdarzenia, o którym mowa, minęły ponad trzydzieści dwie godziny, a sznur zaczął już powoli wtapiać się w otoczenie. Przypuszczam, że nie zdając sobie z tego sprawy, założyłem, że go stamtąd zabrano. Oni jednak zdecydowali się na szybszą metodę: po znalezieniu ciała przecięli sznur tuż nad głową zmarłego, a reszta dyndała sobie, nakrapiana porannym słońcem. Był tam też kapitan Hitchcock, który chwycił go w dłonie. Lekkie szarpnięcie dla sprawdzenia, a potem pociągnięcie, jakby na drugim końcu znajdował się dzwon kościelny. Uwiesił się na nim całym ciężarem ciała, kolana odrobinę się pod nim ugięły i wtedy zauważyłem, jaki jest zmęczony.

Nic dziwnego. Na nogach przez całą noc i dzień, a następnego ranka musiał się pojawić o szóstej trzydzieści na śniadaniu u Sylvanusa Thayera. Ja byłem odrobinę świeższy, bo wieczór spędziłem w hotelu pana Cozzensa.

Hotel ten, podobnie jak wiele innych rzeczy w West Point, był pomysłem Thayera. Jeśli pasażerowie statków wycieczkowych mieli zobaczyć Akademię w całej jej okazałości, potrzebowali miejsca, w którym mogliby złożyć na noc swoje znużone członki. Rząd Stanów Zjednoczonych w całej swojej mądrości postanowił wybudować na terenie Akademii luksusowy hotel. Każdego dnia

w szczycie sezonu turyści ze wszystkich stron świata kładli się w świeżej pościeli pana Cozzensa, zauroczeni górkim królestwem Thayera.

Nie byłem turystą, ale mój własny dom znajdował się zbyt daleko od Akademii, abym mógł codziennie dojeżdżać. Dlatego na czas nieokreślony przydzielono mi pokój z widokiem na Wyspę Konstytucji. Okiennice zatrzymywały na zewnątrz prawie całe światło gwiazd i księżyca — spało się tam jak w kopalnianym szybie, a odgłos pobudki dochodził jakby z odległej gwiazdy. Leżałem i patrzyłem, jak czerwone światło zakrada się przez szczelinę pod okiennicami. Ciemność była rozkoszna. Zadałem sobie pytanie, czy nie minąłem się z powołaniem.

Potem jednak postąpiłem zupełnie nie po żołniersku: poleżałem jeszcze z dziesięć minut, a następnie ubrałem się niespiesznie i zamiast pognać na poranny apel, owinąłem się kocem i udałem się na przystań. Zanim dotarłem do kwatery Thayera, rektor był już wykąpany, ubrany, nakarmiony wiadomościami z czterech gazet i pochylony nad talerzem befsztyku, czekając, aż ja i Hitchcock również oddamy sprawiedliwość temu królewskiemu daniu.

Jedliśmy we trójkę w milczeniu i piliśmy doskonałą kawę Molly. Kiedy odsunęliśmy od siebie talerze i usiedliśmy wygodnie, przedstawiłem swoje warunki.

— Po pierwsze — powiedziałem — jeśli nie robi wam to różnicy, panowie, chciałbym mieć tutaj własnego konia, skoro przez jakiś będę mieszkał w waszym hotelu.

— Miejmy nadzieję, że nie za długo — wtrącił Hitchcock.

— Nie, nie za długo, ale tak czy inaczej byłoby dobrze mieć przy sobie Konia.

Obiecali go sprowadzić i znaleźć dla niego miejsce w stajni, a kiedy im powiedziałem, że chciałbym w każdą niedzielę wracać do mojej chaty, odparli, że jako osoba prywatna mogę opuszczać teren Akademii, kiedy tylko zechcę, bylebym tylko ich zawiadomił, dokąd się wybieram.

— Jeszcze jedno — dodałem. — Chciałbym mieć wolną rękę, dopóki tutaj będę.

— Jak mamy to rozumieć, panie Landor?

— Żadnej uzbrojonej straży. Żadnego porucznika Meadowsa, daj mu Boże zdrowie. Nikt nie towarzyszy mi co trzy godziny do kibla, nikt nie całuje mnie na dobranoc. Ja tak nie umiem, panowie. Jestem samotnikiem, nie lubię, kiedy zbyt wielu ludzi trąca mnie łokciami.

Powiedzieli mi, że to niemożliwe. Powiedzieli, że West Point, jak każda inna jednostka wojskowa, musi być rygorystycznie patrolowana. Wyjaśnił, że mają ustawowy obowiązek zapewnić każdemu gościowi bezpieczeństwo, zapobiegać sytuacjom, które mogłyby postawić ich instytucję w niekorzystnym świetle itd., itp.

Znaleźliśmy kompromisowe rozwiązanie. Pozwolą mi poruszać się bez obstawy po obrzeżach — rzeka Hudson należała do mnie — oraz podadzą mi hasło i odzew do wykorzystania w sytuacjach, kiedy zatrzymają mnie wartownicy. Jednak na głównym terenie miałem zakaz poruszania się bez eskorty, a także rozmawiania z kadetami pod nieobecność przedstawiciela Akademii.

Razem wzięwszy, negocjacje przebiegały pierwszorzędnie... aż do momentu, kiedy to oni zaczęli podsuwać mi swoje warunki. Należało się tego spodziewać, ale — przepraszam, że się powtarzam — wciąż byłem daleki od swojej najlepszej formy.

— Panie Landor, nie wolno panu szeptnąć ani słowem o tym dochodzeniu na terenie Akademii i poza nią.

Jak na razie...

— Panie Landor, musi się pan codziennie meldować u kapitana Hitchcocka. ...da się wytrzymać.

— Panie Landor, będzie pan sporządzał szczegółowy raport tygodniowy, w którym przedstawi pan wszystkie swoje ustalenia i wnioski, i musi pan być

gotów zdać sprawozdanie ze swojego śledztwa każdemu przedstawicielowi dowództwa armii, kiedy tylko zostanie pan o to poproszony.

— Z przyjemnością.

I wtedy Ethan Allen Hitchcock gwałtownie przeciągnął dłonią po ustach, odchrząknął i skinął głową ze srogą miną.

— I ostatni warunek, panie Landor. — Widać było, że czuje się nieswojo. Było mi go żal, dopóki nie usłyszałem, jaki to warunek. Od tej pory już nigdy nie było mi go żal. — Chcieliśmy pana prosić, żeby pan nie pił...

— W nadmiarze — poprawił go spokojniejszym tonem Thayer.

— ...przez cały czas trwania śledztwa.

W tym momencie cała sprawa rozpostarła się przed moimi oczyma: nagle nabrała wymiaru czasowego. Bo skoro o tym wiedzieli, to oznaczało, że przeprowadzili wywiad środowiskowy — chwyтали za poły płaszcza sąsiadów, kolegów, chłopaków w Benny Havens's — a tego nie da się zrobić w parę godzin, to wymaga wielu dni. Nasuwał się nieodparty wniosek: Sylvanus Thayer już od dawna miał mnie na oku. Jeszcze zanim okoliczności sprawiły, że mogłem mu się na coś przydać, wysłał zwiadowców, aby mnie dokładnie sprawdzili. No i siedzę tu teraz, jem jego jedzenie, połykam jego warunki. Zdany na jego łaskę i niełaskę.

Gdybym był w wojowniczym nastroju, mógłbym się tego wyprzeć. Mógłbym powiedzieć, że moich ust od trzech dni nie zrosiła ani jedna kropla alkoholu. Co było najczystsza prawdą — ale potem sobie przypomniałem, jak często słyszałem tego rodzaju zarzekania od pijusów, którzy spędzali noce na werandzie Garnet Saloon. „Trzy dni — mówili zawsze — od trzech dni nie miałem w ustach ani kropli”. Tak jakby chcieli przekonać słuchaczy, że udało im się powtórzyć wyczyn Jezusa i w trzy dni zmartwychwstać. Jakże się wtedy uśmiechałem!

— Panowie — powiedziałem — zobaczycie, że zawsze będę trzeźwy jak metodysta.

Więcej w tej kwestii nie naciskali. Kiedy myślę o tym z obecnej

perspektywy, zadaję sobie pytanie, czy nie martwili się raczej o to, że dam zły przykład kadetom, którym rozkosze butelkowe były oczywiście zakazane. Podobnie jak łożkowe i karciane. Szachowe, tytoniowe. Muzyczne, powieściowe. Czasami bolała mnie głowa, kiedy pomyślałem o tym wszystkim, czego nie wolno im było robić.

— Nie rozmawialiśmy jeszcze o pańskim honorarium — powiedział kapitan Hitchcock.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Ale przecież... Przynajmniej jakieś zadośćuczynienie...

— Można się było tego spodziewać — wtrącił Thayer. — Jestem pewien, że w pańskiej poprzedniej funkcji...

Tak, tak, konstabl pracuje za prowizję. Albo ktoś ci płaci — miasto, rodzina — albo w to nie wchodzisz. Ale od czasu do czasu zapominasz o tej regule. Parę razy mi się to zdarzyło, niekiedy ku mojemu ubolewaniu.

— Panowie — powiedziałem, wyjmując zza koszuli serwetę — mam nadzieję, że mnie źle nie zrozumiecie, jesteście bardzo sympatyczni, ale jak tylko skończy się ta sprawa, byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyście zostawili mnie w spokoju. Poza sporadyczną wiadomością, jak wam się powodzi.

Uśmiechnąłem się, aby im pokazać, że dobrze im życzę, a oni też się uśmiechnęli, aby mi pokazać, że zaoszczędzili dużo pieniędzy, nazwali mnie wspaniałym Amerykaninem i czym tam jeszcze, już nie pamiętam, chociaż wiem, że użyte zostało słowo „zasady”. I „wzorowy”. Potem Thayer zajął się swoimi sprawami, a ja z Hitchcockem poszliśmy pod naszą robinie, pod którą znużony kapitan uwiesił się teraz na uciętym sznurze.

Parę metrów dalej stał jeden z kadetów Hitchcocka. Epaphras Huntoon. Trzecioroczniak, czeladnik z Georgii. Wysoki, barczysty i nadal trochę onieśmielony własną krzepą, pomyślałem, bo sprawiał takie wrażenie, jakby cały czas usiłował ją udobruchać za pomocą rozmarzonej miny



i przypochlebnego tenoru. Biedak miał pecha, bo to właśnie on znalazł ciało Leroya Frya.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia, panie Huntoon — powiedziałem. — To musiał być dla pana przeraźliwy wstrząs.

Szarpnął głową poirytowany, jakbym go oderwał od prywatnej rozmowy. Potem się uśmiechnął i próbował coś powiedzieć, ale stwierdził, że nie potrafi.

— Gdyby mógł mi pan opowiedzieć, co się stało — powiedziałem. — W środę w nocy pełnił pan wartę?

Małymi kroczkami do celu — ta metoda znowu się sprawdziła.

— Tak, sir. O wpół do dziesiątej poszedłem na swoje miejsce. O północy zmienił mnie pan Ury.

— I co się wtedy wydarzyło?

— Wróciłem do wartowni.

— Gdzie to jest?

— W Koszarach Północnych.

— A gdzie pełnił pan straż?

— Na stanowisku numer cztery, sir. Koło fortu Swinton.

— Aha... — Z uśmiechem rozejrzałem się dokoła. — Przyznaję, że nie mam jeszcze zbyt dobrego rozeznania, panie Huntoon, ale wydaje mi się, że miejsce, w którym teraz stoimy, nie leży po drodze z fortu Clinton do Koszar Północnych.

— Nie, sir.

— Co zatem ściągnęło pana z kursu?

Rzucił ukradkowe spojrzenie na kapitana Hitchcocka, który patrzył na niego przez chwilę, a potem powiedział bezbarwnym tonem:

— Proszę się nie bać, panie Huntoon. Nie zostanie pan ukarany.

Uwolniony od tego zmartwienia młody człowiek wzruszył barczystymi ramionami i uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

— Chodzi o to, sir, że czasami... kiedy pełnię wartę... mam potrzebę poczuć rzekę.

— Poczuc rzeke?

— Wlozyc do niej dlon albo palec u nogi. To pomaga mi zasnac, sir. Nie umiem tego wytumaczyc.

— Nie trzeba niczego tłumaczyc, panie Huntoon. Ale prosze mi powiedziec, ktoredy poszedl pan nad rzeka.

— Sciezka do South Landing, sir. Pinc minut w dol, dziesiec minut do gory.

— Co sie stalo, kiedy dotarl pan nad rzeka?

— Nie dotarlem, sir.

— Dlaczego?

— Bo cos uslyszalem.

W tym momencie kapitan Hitchcock sie otrzasnal i zdradzajacym zmeczenie glosem zapytal:

— Co pan uslyszal?

Jakis „odglas”, tylko tyle potrafil powiedziec. Moze trzask pekajacej galazi albo powiew wiatru. A moze w ogole nic. Kiedy podsuwalo sie mu jakies propozycje, za kazdym razem mowil, ze nie, to brzmialo inaczej.

— Mlody czlowieku — powiedzialem, kladac mu dlon na ramieniu — nic na silę. Nic dziwnego, ze nie potrafi pan sobie przypomniec... Calę to zamieszanie, bieganina, robi sie od tego zamęt w glowie. Moze powinienem pana zapytac, dlaczego postanowil pan pojsc za tym odglosem?

To go wyraźnie uspokoilo. Milczal przez dluzsza chwile.

— Pomyslalem, ze to moze byc jakies zwierze, sir.

— Jakie?

— Nie bardzo wiem, ja... Moze zlapalo sie w sidla. Bardzo lubie zwierzeta, sir. Zwlaszcza psy.

— Czyli zrobil pan to, co powinien zrobic kazdy chrzescijanin, panie Huntoon. Poszedl pan pomoc stworzeniu bozemu.

— Chyba tak wlasnie bylo. Chcialem podejsc troche do gory, w takim dosc stromym miejscu, wiec zamierzalem sie odwrócic...

Urwal.

— Ale wtedy pan zobaczył...?

— Nie, sir. — Głośno wypuścił powietrze. — Niczego nie zobaczyłem.

— A ponieważ niczego pan nie zobaczył, to...

— Tak jakby poczułem, że ktoś tam jest. Albo coś. Więc powiedziałem: „Kto tam jest?”. Wartownik ma taki obowiązek. Nie było żadnej odpowiedzi, więc odciągnąłem kurek muszkietu i powiedziałem: „Zbliź się i podaj hasło”.

— Nadal bez odpowiedzi?

— Tak, sir.

— I co pan wtedy zrobił?

— Poszedłem kilka kroków dalej. Ale ani razu go nie zobaczyłem, sir.

— Kogo?

— Kadeta Frya, sir.

— W takim razie jak go pan znalazł?

Odczekał kilka chwil, aby uspokoić głos.

— Otarłem się o niego.

— A. — Odchrząknąłem cicho. — To musiało być przykre zaskoczenie, panie Huntoon.

— Z początku nie, sir, bo nie wiedziałem, o co się otarłem. Ale kiedy już wiedziałem, to rzeczywiście był szok.

Od tej pory często nachodziła mnie refleksja, że gdyby Epaphras Huntoon szedł o kilka kroków w lewo lub w prawo, to przypuszczalnie nigdy by nie znalazł Leroya Frya. Bo noc była ciemna jak smoła, pochmurna, tylko cieniutki sierp księżyca i wątła latarnia oświetlały Huntoonowi drogę. Tak, parę kroków w dowolną stronę, a zapewne minąłby Leroya Frya i niczego nie zauważył.

— Co dalej, panie Huntoon?

— No, odskoczyłem przestraszony.

— To najzupełniej naturalne.

— I latarnia wypadła mi z ręki.

— Wypadła? Czy może ją pan upuścił?

— Hm, może upuściłem. Nie umiem powiedzieć, sir.

— A dalej?

Znowu zamilkł. A przynajmniej zamilkł jego głos. Reszta gorączkowo mówiła: zęby tańczyły, stopy dreptały w miejscu, jedna dłoń bawiła się mundurem, a druga guzikami na nogawce spodni.

— Panie Huntoon?

— Nie wiedziałem, co mam robić, sir. Widzi pan, odszedłem z posterunku, więc nie byłem pewien, czy mnie ktoś usłyszy, jeśli zawołam. No i pobiegłem.

Oczy miał spuszczone i to wystarczyło, abym zobaczył w głowie obraz Epaphrasa Huntoona, który biegnie na ślepo przez las, wymachując ramionami, aby odciągnąć z twarzy gałęzie, mosiądz i stal grzechoczą pod płaszczem, naboje podskakują...

— Pobiegłem prosto do Koszar Północnych — powiedział cicho.

— I komu złożył pan meldunek?

— Podchorążemu gwardii, sir, a on poszedł po porucznika Kinsleya, sir, który był tego dnia oficerem dyżurnym. Kazali mi iść po kapitana Hitchcocka, a potem wszyscy pobiegliśmy z powrotem i...

Spojrzał teraz na Hitchcocka z wyraźnym błaganiem. „Proszę mu powiedzieć, kapitanie”.

— Panie Huntoon — powiedziałem. — Proponuję się cofnąć, jeśli pan pozwoli. Do momentu, kiedy znalazł pan ciało. Da pan radę ponownie się z tym zmierzyć?

Ściągnął panicznie brwi i zacisnął zęby, po czym skinął głową.

— Tak, sir.

— Brawo, dziękuję. Chciałbym pana teraz zapytać, czy usłyszał pan wtedy coś jeszcze.

— Tylko to, co zwykle, jakieś sowy, może ropucha...

— A był w pobliżu ktoś jeszcze?

— Nie, sir. Ale ja się za nikim nie rozglądałem.

— Zgaduję, że po tym pierwszym zetknięciu nie dotykał pan już ciała?

Skinął głową w kierunku drzewa.

— Kiedy już zobaczyłem, co to jest, nie mogłem tego zrobić.

— Bardzo roztropnie, panie Huntoon. Może mógłby mi pan powiedzieć...

— Urwałem i przyjrzałem się jego twarzy. — Może mógłby mi pan powiedzieć, jak wyglądał Leroy Fry.

— Nie za dobrze, sir.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem śmiech kapitana Hitchcocka. Kwik wesołości, który chlupnął z jego wnętrza. Zaskoczył nawet jego samego, jak sędzę. A mnie pozwolił uniknąć *faux pas*, które bym popełnił, gdybym również się roześmiał.

— W to nie wątpię — powiedziałem najdelikatniej, jak umiałem. — Kto z nas dobrze by wyglądał w takich okolicznościach? Chodziło mi raczej o... układ ciała, jeśli pan sobie to przypomina.

Odwrócił się i spojrzał prosto na drzewo — po raz pierwszy? Dopuszczał do siebie to wspomnienie.

— Głowa... — zaczął z wahaniem. — Głowa była przechylona na bok.

— Tak?

— A reszta... Wyglądał, jakby go wywrócono do tyłu, sir.

— Co pan przez to rozumie? — zapytałem.

— No więc... — Zatrzepotał powiekami i zagryzł wargę. — Nie wisiał prosto. Jego zadek tak wyglądał, jakby zaraz miał usiąść. Na krześle, w hamaku albo coś.

— Wyglądał tak dlatego, że pan na niego wpadł?

— Nie, sir. — W tej kwestii był bardzo stanowczy. — Nie, sir, tylko go musnąłem, słowo honoru. W ogóle się nie poruszył.

— Proszę mówić dalej. Co jeszcze pan pamięta?

— Nogi. — Odsunął jedną nogę w bok. — Były szeroko rozstawione. Były też... Były też z przodu.

— Nie nadążam za panem, panie Huntoon. Nogi były z przodu?

— Bo stały na ziemi.

Podszedłem do drzewa. Stałem pod odciętym kawałkiem sznura, który łąkotał mnie w obojczyk.

— Kapitanie Hitchcock — powiedziałem. — Wie pan może z grubsza, ile wzrostu miał Leroy Fry?

— Był średniego wzrostu albo trochę wyższy. Parę centymetrów niższy od pana, panie Landor.

Epaphras Huntoon nadal miał zamknięte oczy, kiedy na niego spojrzałem.

— To bardzo ciekawe — powiedziałem do niego. — Mówi pan, że jego stopy... Może ma pan na myśli pięty...

— Tak sir.

— Spoczywały na ziemi, czy dobrze rozumiem?

— Tak sir.

— Mogę to potwierdzić — wtrącił Hitchcock. — Ja go zobaczyłem w tej samej pozie.

— A ile czasu upłynęło, panie Huntoon, między tym, jak zobaczył pan ciało po raz pierwszy i po raz drugi?

— Chyba nie więcej niż dwadzieścia minut. Może pół godziny.

— I przez ten czas pozycja ciała w ogóle się nie zmieniła?

— Nie, sir. W każdym razie ja nie zauważyłem. Było strasznie ciemno.

— Mam już tylko jedno pytanie, panie Huntoon, i nie będę pana więcej niepokoił. Wiedział pan, że to jest Leroy Fry, kiedy pan go zobaczył?

— Tak.

— Jakim sposobem?

Na policzkach wykwił mu lekki rumieniec, a usta wyciągnęły się w prawo.

— No bo kiedy pierwszy raz na niego wpadłem, machnąłem latarnią do przodu. O tak. No i był tam.

— I natychmiast pan go rozpoznał?

— Tak, sir. — Znowu ten skwaszony uśmiezek. — Kiedy byłem pierwszorocznikiem, kadet Fry ogolił mi pół głowy. Tuż przed wyjściem na kolację. Rany, ale mi się dostało!

# Opowieść Gusa Landora

## 5

**L**azarz zaczął cuchnąć po kilku dniach — dlaczego więc z Leroyem Fryem miałyby być inaczej? Ponieważ zaś nikt nie zamierzał w najbliższym czasie wskrzeszać go z martwych, a jego rodzice mieli się pojawić dopiero za trzy tygodnie, władze Akademii miały problem z głową. Mogły pochować chłopca od razu i narazić się na gniew rodziny Fryów, albo trzymać go pod ziemią i ryzykować rozkład jego ciężko pokiereszowanego ciała. Po kilku rozmowach wybrano tę drugą opcję, ale nadal trwały poszukiwania lodu i doktor Marquis był zmuszony powrócić do praktyki poznanej przed laty podczas studiów medycznych na Uniwersytecie w Edynburgu: zanurzył Leroya Frya w kąpielu alkoholowej.

I takiego go znaleźliśmy, kapitan Hitchcock i ja. Nagiego, w dębowej skrzyni wypełnionej alkoholem etylowym. Aby zamknąć mu usta, między mostkiem a szczęką wbito kij, a żeby nie wypływał, w jamie klatki piersiowej umieszczono porcję węgla drzewnego, ale jego nos wciąż wynurzał się na powierzchnię, a powieki wciąż nie chciały się zamknąć. Unosił się zatem na wodzie, wyglądając na bardziej żywego niż kiedykolwiek, tak jakby następna fala miała przynieść go nam z powrotem.

Skrzynię uszczelniono, ale nie dość dokładnie, bo słychać było kapanie na kozły. Powietrze było gęste od duszących oparów alkoholu, a ja skonstatowałem, że upłynie sporo czasu, zanim znowu będę taki pijany jak wtedy.

— Kapitanie, był pan kiedyś nad morzem? — Odparł, że wiele razy. — Ja tylko raz. Pamiętam, że widziałem tam małą dziewczynkę, może ośmiolatkę, która budowała z piasku katedrę. Coś wspaniałego, krużganki, dzwonnice

i przeróżne detale, których nie umiałbym nawet nazwać. Wszystko sobie zaplanowała, oprócz przypływu. Im szybciej pracowała, tym szybciej wzbierała woda. Zanim minęła następna godzina, po zbudowanym przez tę dziewczynkę arcydziele zostało tylko kilka kopczyków piasku. — Wykonałem dłonią gest niwelowania. — Ale to była mądra dziewczynka i nie uroniła ani jednej łzy. Czasami o niej myślę, kiedy próbuję coś zbudować na tych prostych faktach. Można zrobić coś pięknego, a potem przychodzi fala i zostają tylko kopczyki. Fundamenty. Nie wolno o nich zapominać, bo będziemy zgubieni.

— Jakie mamy zatem fundamenty? — spytał Hitchcock.

— Przyjrzyjmy się — powiedziałem. — Mamy to przekonanie, że Leroy Fry chciał umrzeć, a to jest cholernie mocny fundament, prawda, kapitanie? Bo z jakiegoż innego powodu młody człowiek wiesza się na drzewie? Był przygnębiony, głęboko zrozpaczony, dobrze o tym wiemy. Jak się zachowuje taki człowiek? Otóż taki człowiek zostawia list pożegnalny. Informuje przyjaciół i rodzinę, dlaczego tak postąpił. Aby nareszcie zrobili to, czego za życia mu odmawiali: wysłuchali go, a zatem... — Rozłożyłem dłonie. — Gdzie jest list pożegnalny, kapitanie?

— Niczego takiego nie znaleźliśmy.

— Mhm. No cóż, nieważne, nie każdy samobójca zostawia list pożegnalny. Bogiem a prawdą, miałem w życiu do czynienia z wieloma ludźmi, którzy po prostu skoczyli z mostu. No dobra, czyli Leroy Fry udaje się prosto na najbliższe urwisko... a nie, chwileczkę, postanawia się powiesić. Nie w miejscu, w którym można by go łatwo znaleźć, ale może chce oszczędzić ludziom kłopotu... — Znowu urwałem na chwilę. — No dobra, znajduje solidne, mocne drzewo, zawiązuje sznur na gałęzi... ale jest taki rozkojarzony, że nawet nie sprawdza, czy sznur jest dostatecznie długi, skutkiem czego... — Wyciągnąłem jedną nogę, potem drugą. — Skutkiem czego orientuje się, że ta jego mała szubienica nie zostawi mu nawet miejsca pod nogami. No dobra, odwiązuje sznur i zaczyna od nowa... Nie, nie, wcale tak nie robi. Nie, Leroy



Fry tak bardzo chce umrzeć, że dalej wierzga nogami. — Zilustrowałem to na swoim przykładzie. — Aż do momentu, kiedy sznur wykonuje swoją robotę. — Ze zmarszczonym czołem wpatrywałem się w ziemię. — No tak, przy tej metodzie sprawa bez wątpienia trwa trochę dłużej. A skoro kark nie jest przetrącony, jeszcze dłużej...

Hitchcock podjął wyzwanie.

— Sam pan mówił, że nie był przy zdrowych zmysłach, więc dlaczego miałby się zachowywać racjonalnie?

— Otóż z mojego doświadczenia wynika, że nikt nie jest bardziej racjonalny od człowieka, który chce się zabić. Dokładnie wie, jak zamierza to zrobić. Raz widziałem, jak kobieta odebrała sobie życie. Miała w głowie bardzo dokładny obraz całego zdarzenia. Kiedy nareszcie to zrobiła, można było przysiąc, że musiała sobie to wszystko tylko przypomnieć, ponieważ wielokrotnie przećwiczyła to w głowie.

Kapitan Hitchcock spytał:

— Ta kobieta, o której pan mówi, to była...?

Nie. Nie, wcale tego nie powiedział. Milczał przez dłuższą chwilę, złobił butami bruzdy w wosku wokół trumny Leroya Frya.

— Być może to była próba generalna, która wymknęła się spod kontroli — powiedział Hitchcock.

— Jeśli dać wiarę naszym świadkom, kapitanie, jest to trudne do wyobrażenia. Stopy na ziemi, gałąź w zasięgu ręki: gdyby Leroy Fry chciał odwołać całą imprezę, to nie miałby z tym najmniejszego kłopotu.

Hitchcock dalej skrobał butem po ziemi.

— Sznur... — powiedział. — Może się urwał już po tym, jak Fry się powiesił. A może kadet Huntoon zderzył się z nim mocniej niż zapamiętał. Istnieje szereg...

Łatwo się nie poddawał, miał to we krwi. Podziwiałbym go za to, ale oczywiście przez niego rozboleły.

— Proszę spojrzeć — powiedziałem.

Zdjąłem kurtkę, podwinąłem rękawy koszuli i zanurzyłem dłoń w kąpielii alkoholowej. Zimny wstrząs, a potem gorący, urojony. I jeszcze to dziwne uczucie, że moja skóra jednocześnie się rozpuszcza i twardnieje. Ale moja dłoń się nie cofnęła i uniosła głowę Leroya Frya na powierzchnię. Za głową poszła reszta ciała, twardego i sztywnego jak kozioł, na którym spoczywało. Musiałem podłożyć drugą dłoń, aby znowu się nie zanurzył.

— Szyja — powiedziałem. — Od razu rzuciło mi się to w oczy. Widzi pan? Nie ma jednego prostego zagłębienia po sznurze. Sznur chodził w górę i w dół, szukając punktu oparcia.

— Tak jakby...

— Tak jakby Leroy Fry walczył. I niech pan spojrzysz tutaj, na palce.

Wskazałem ruchem brody, a kapitan Hitchcock po krótkiej chwili podwinął rękawy i pochylił się nad ciałem.

— Widzi pan — powiedziałem. — Na prawej ręce. Na samych czubkach palców.

— Pęcherze.

— Właśnie. Na dodatek wyglądają na świeże. Myślę, że... próbował uchwycić sznur, aby ściągnąć go z szyi.

Patrzyliśmy na zaszpunktowane usta Leroya Frya, z wyężeniem, jakbyśmy wierzyli, że zmusimy go w ten sposób do mówienia. Przedziwnym zbiegiem okoliczności na sali rzeczywiście rozległ się głos — nie mój, nie Hitchcocka — tak gromki, że gwałtownie odciągnęliśmy dłonie i Leroy Fry z bulgoczącym odgłosem znowu się zanurzył.

— Mogę zapytać, co się tutaj wyprawia?

Widok rzeczywiście musiał być niezwykły: dwóch pochyłonych nad trumną typów w koszulach z podwiniętymi rękawami. Doktor Marquis miał prawo uznać, że złapał na gorącym uczynku parę rabusiów grobów.

— Doktorze! — zawołałem. — Jak dobrze pana widzieć, pilnie potrzebujemy fachowca medycznego.

— Panowie — wykrztusił. — To nie do końca regulaminowe.

— Zapewne. Może jednak zechciałby pan pomacać tył głowy pana Frya?

Przez kilka chwil zasady stosowności walczyły w nim o lepsze z ciekawością i w końcu poszedł za naszym przykładem. Kiedy tylko uniósł głowę zmarłego, aby móc przystąpić do pracy, po jego napiętej z wysiłku twarzy rozlało się coś na kształt spokoju. Znowu był w swoim żywiole.

— Znalazł pan coś, doktorze?

— Jeszcze nie... Mm. Mm, tak. Jakieś stłuczenie.

— Ma pan na myśli guz?

— Tak.

— Mógłby nam pan go opisać?

— Okolica ciemieniowa, o ile potrafię to określić... może siedem centymetrów w obwodzie.

— Przybliżona wysokość?

— Wznosi się... jakieś pół centymetra nad czaszkę.

— Co mogło spowodować powstanie takiego guza, doktorze?

— Myślę, że to samo, co w przypadku każdego guza: głowa napotyka na coś twardego. Na podstawie samego dotyku nie potrafię nic więcej powiedzieć.

— Czy guz mógł powstać po śmierci?

— Mało prawdopodobne. Guzy powstają w wyniku wynaczynienia krwi, czyli wypłynięcia z naczyń krwionośnych. Jeśli krew nie krąży, bo przecież serce już nie funkcjonuje... — starczyło mu rozsądku, aby powstrzymać się od śmiechu — to nie może być guza.

Powoli, niemal z zawstydzeniem, przywróciliśmy sobie cywilizowany wygląd — spuściliśmy rękawy i włożyliśmy kurtki.

— W takim razie — powiedziałem, łamiąc palce — co dokładnie wiemy, panowie? — Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, więc musiałem sam jej sobie udzielić. — Mamy tutaj młodego człowieka, który nikomu nie mówi, że chce umrzeć. Nie zostawia listu pożegnalnego. Wszystko wskazuje na to, że umarł ze stopami na ziemi. Z tyłu głowy ma stłuczenie, jak to określił doktor

Marquis. Pęcherze na palcach, otarcia od sznura w różnych miejscach na szyi. Czy to wszystko wskazuje na człowieka, który z własnej woli odszedł na spotkanie ze Stwórcą?

Hitchcock, jeśli dobrze pamiętam, głaskał dwie belki na swoim niebieskim mundurze, jakby chciał przypomnieć samemu sobie o własnej randze.

— A pana zdaniem co się wydarzyło?

— Mam pewną teorię, ale tylko teorię. Leroy Fry opuszcza swój pokój w koszarach gdzieś między godziną dziesiątą a jedenastą trzydzieści. Wie oczywiście, że naraża się w ten sposób na... Przepraszam, ale na co się dokładnie naraża, panie Hitchcock?

— Opuszczenie koszar po ciszy nocnej? Dziesięć punktów karnych.

— Dziesięć, tak? Czyli ryzykuje niemało, prawda? Dlaczego? Czyżby tęsknił za rzeką Hudson, tak jak uroczy pan Huntoon? Może tak. Może w korpusie kadetów zawiązało się tajne stowarzyszenie miłośników przyrody. Ale w przypadku pana Frya muszę uznać, że przyświeca mu bardziej konkretny cel. A mianowicie ktoś na niego czeka.

— A ten ktoś...? — spytał doktor Marquis, ale nie dokończył zdania.

— Na razie założmy, że ten ktoś jest osobą, która zadała mu cios w tył głowy. Zarzuciła mu pętlę na szyję. Mocno ją zacisnęła. — Odstąpiłem krok do tyłu, uśmiechnąłem się do ściany, a potem do nich i powiedziałem: — Oczywiście to tylko teoria, panowie.

— Mam wrażenie, że trochę nas pan kokietuje — powiedział kapitan Hitchcock z odrobiną zapalczywości w głosie. — Trudno mi uwierzyć, aby przedstawiał pan nam teorię, gdyby pan jej nie uważał za w pewnym stopniu wiarygodną.

— No tak — odpowiedziałem — ale jutro przetoczy się nad nią ocean i... *wziuuut...*

Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie kapanie alkoholu na kozły trumny i powolny stukot butów Hitchcocka, a na koniec jego głos, z każdym kolejnym słowem coraz bardziej napięty.

— Tymczasem, panie Landor, tam, gdzie wcześniej mieliśmy jedną zagadkę, teraz mamy dwie. Według pana musimy znaleźć nie tylko sprawcę zbezczeszczenia zwłok Leroya Frya, ale również jego zabójcę.

— No chyba że — powiedział doktor Marquis z nieśmiałym spojrzeniem na nas obu — jest to ta sama zagadka.

Dziwne, że zasugerował to właśnie on, ale zasugerował, a cisza, która zapadła po jego słowach, nabrała nowego wymiaru. Sądzę, że każdy z nas podążał własną drogą, ale wszyscy zapewne odczuliśmy, że wspięliśmy się na większą wysokość.

— Cóż, doktorze — powiedziałem — jedynym człowiekiem, który może nam to powiedzieć, jest ten biedny chłopiec.

Leroy Fry kołysał się nieznacznie w wannie — oczy nadal miał lekko rozchylone, a ciało sztywne. Wiedziałem, że *rigor mortis* wkrótce ustąpi, stawy zmiękną... i być może, pomyślałem, jego ciało pozwoli sobie wydrzeć jakieś tajemnice.

W tym momencie zauważyłem — chociaż lepiej byłoby powiedzieć *ponownie* zauważyłem — zwiniętą w pięść prawą dłoń.

— Przepraszam, czy...

Myślę, że były to moje słowa, ale tego, co mówię, byłem nie bardziej świadomy niż tego, co robię. Wiedziałem tylko, że muszę dotrzeć do dłoni Leroya Frya.

A ponieważ wyciągnięcie dłoni do światła oznaczałoby wydzwignięcie całego ciała, postanowiłem pracować pod powierzchnią. Dwaj pozostali nie mieli pojęcia o moich zamiarach, dopóki nie usłyszeli trzasku, kiedy odgiąłem kciuk Leroya Frya od reszty dłoni. Chociaż dźwięk ten podróżował przez alkohol, zabrzmiał brutalnie, jak ukręcenie kurze głowy.

— Panie Landor!

— Co u licha?

Pozostałe palce odginały się szybciej. A może po prostu wyczułem, jak dużej siły należy użyć.

Pstryk. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Łapa się rozpostarła i w dłoni Leroya Frya leżało malutkie zawiniątko, żółte, nasiąknięte i podarte. Skrawek papieru.

Zanim zdążyłem unieść go do światła, Hitchcock i Marquis znaleźli się po mojej lewej i prawej stronie, toteż przeczytaliśmy tę karteczkę wszyscy razem. Nasze usta po cichu wypowiadały słowa, jak uczniowie śledzący wypisywaną na tablicy łacińską sentencję.

ŻYM

CIE

BĄDŹ P

DŹ

— No cóż, może to nic nie znaczy — powiedziałem, po czym złożyłem papier do jego pierwotnej postaci i wsunąłem do kieszeni koszuli. Świsnąłem przeciągle, spojrzałem na moich towarzyszy i zapytałem: — Czy mam zgiąć palce z powrotem w pięść?

Mój żywot w Akademii nie był od początku do końca żywotem więźnia. W ciągu następnych kilku tygodni nieraz się zdarzyło, że moja eskorta na chwilę się oddaliła lub pozwoliła mi o kilka metrów zboczyć z kursu. Na minutę, a czasem nawet dwie, pęta się rozluźniały, dzięki czemu mogłem stanąć sam pośrodku West Point i ponownie rozeznać się w kondycji mojego ciała: grzywka na głowie, zgrzyt w lewym płucu, ból w biodrze, a do tego wszystkiego to stukanie, to rytmiczne dudnienie, które poczułem w biurze Thayera. Każdy symptom budził we mnie triumfalne odczucia, ponieważ oznaczał, że niektóre części mnie wciąż nie mają nic wspólnego z Akademią, a ilu kadetów czy nawet oficerów może to o sobie powiedzieć?

Pozwól zatem, Szanowny Czytelniku, że zabiorę Cię z powrotem do

momentu, kiedy kapitan Hitchcock i ja (zostawiwszy doktora Marquisa z zadaniem naprawienia doznanych przez Leroya Frya uszkodzeń) po drodze do kwatery rektora zostaliśmy zatrzymani przez niejakiego profesora Churcha. Profesor miał pewną skargę, którą chciał osobiście włożyć w uszy Hitchcocka. Odeszli trochę na bok, a ja skorzystałem ze sposobności i przesunąłem się kawałek dalej, do ogrodu rektora. Bardzo przyjemny zakątek: rododendrony, astry, dęb opleciony pnączami róż. Zamknąłem oczy i poczułem, że zatapiam się w buku czerwonolistnym. Sam.

Tyle że nie byłem sam. Zza pleców dobiegł mnie ściśnięty głos, który powiedział:

— Pardon.

Odwróciłem się i zobaczyłem autora tej wypowiedzi na wpół ukrytego za gruszą Świętego Michała. Wydał mi się wtedy równie nierealny jak krasnoludek, bo przecież widziałem i słyszałem, jak ustawionych w szyku marszowym kadetów prowadzono na śniadanie, obiad albo kolację, do klasy, na apel albo do koszar, do spania albo na wartę. Zacząłem myśleć o tych chłopcach w stronie biernej, a myśl, że któryś z nich mógłby wyłamać się z szeregu i realizować własną misję (pilniejszą niż zanurzenie palca u nogi w rzece Hudson), wydawała mi się równie baśniowa jak skała, której wyrosły stopy.

— Proszę wybaczyć, sir — powiedział. — Pan Augustus Landor?

— Tak.

— Kadet z pierwszego roku Poe, do usług.

Od razu rzucało się w oczy, że jest za stary. Przynajmniej w porównaniu do swoich kolegów. Ci chłopcy wciąż mieli girlandy przyszczy na brodach, wielkie dłonie i wątle klatki piersiowe i byli bardzo płochliwi, jakby w uszach nieustannie rozbrzmiewał im świst różgi wychowawcy. Ten *plebe* był inny: przyszcze się zagoiły, a postawa była wyprostowana jak u oficera na urlopie wypoczynkowym.

— Dzień dobry, panie Poe.

Spod groteskowej skórzanej czapki sterczały dwa kosmyki cienkich czarnych włosów, stanowiących oprawę dla jego kasztanowych, nieproporcjonalnie dużych oczu. Z kolei zęby były małe i misterne, z rodzaju tych, które można zobaczyć w naszyjniku wodza plemienia ludożerców. Były to zęby *delikatne*, które pasowały do jego budowy ciała, był bowiem chudy jak patyk, drobny — nie licząc czoła, które nie mieściło się pod czapką, bladego i przerośniętego, wybrzuszonego się ze swojej skorupy, tak jak posiłek anakondy tworzy węzeł protestu w jej szyi.

— Sir — powiedział. — Jeśli nie nastąpiła jakaś pomyłka, otrzymał pan zadanie rozwiązania zagadki dotyczącej Leroya Frya.

— Zgadza się.

Wiadomość nie została jeszcze oficjalnie ogłoszona, ale nie widziałem sensu zaprzeczać. Zresztą po moim rozmówcy było widać, że nie ma w tej kwestii żadnych wątpliwości, chociaż wahał się na tyle długo, że w końcu poczułem się zobligowany zapytać:

— Co mogę dla pana zrobić, panie Poe?

— Panie Landor, poczucie obowiązku i wzgląd na renomę tej instytucji skłaniają mnie do przekonania, że powinienem panu wyjawiać pewne wnioski, do których doszedłem.

— Wnioski...

— Dotyczące *l'affaire Fry*.

Odrzucił głowę do tyłu, kiedy to mówił. Pomyślałem wtedy, że każdy, kto posługuje się zwrotami typu *l'affaire Fry*, powinien odrzucać głowę do tyłu. Dokładnie w taki sposób jak on.

— Z największą chęcią ich wysłucham, panie Poe.

Otworzył usta, ale potem się powstrzymał i rozejrzał na boki — być może dla sprawdzenia, czy nikt nie patrzy, ale podejrzewam, że chciał mnie w ten sposób skłonić do tego, abym go wysłuchał z jak największą uwagą. Wyszedł w końcu zza drzewa i po raz pierwszy mogłem go zobaczyć w całej



okazałości... A potem pochylił się ku mnie (w jego pozie było coś przepaszającego) i szepnął mi do ucha:

— Człowiek, którego pan szuka, jest poetą.

Po tych słowach dotknął czapki, skłonił się głęboko i odmaszerował. Kiedy go następny raz zobaczyłem, bez widocznego wysiłku wtopił się w strumień kadetów, którzy zdążali do kantyny.

Większość naszych spotkań przepadła w odmętach zapomnienia. Tylko w sytuacjach, kiedy ktoś staje się dla nas bardzo ważny, usiłujemy nadać temu pierwszemu spotkaniu znaczenie, którego później nabierze, ale jeśli bylibyśmy ze sobą szczerzy, to byśmy przyznali, że ten mężczyzna czy owa kobieta to była tylko twarz czy nawet zaledwie element scenerii. W tym jednak przypadku muszę wierzyć, że moje pierwsze wrażenia były równie wyraziste i szczegółowe jak późniejsze. Z tego prostego powodu, że nic w nim nie było całkiem normalne. Ani wtedy, ani później.

# Opowieść Gusa Landora

## 6

*28 października*

Następnego dnia złamałem śluby abstynencji. Jak wszystkie wielkie upadki, zaczęło się od najlepszych intencji. Zmierzałem do domu po kilka rzeczy, aż nagle stanęły mi przed oczyma schody karczmy Benny'ego Havensa. Nasuwał się nieodparty wniosek, że przywiódł mnie tutaj los, bo czyż moje usta nie były suche jak popiół? Czyż za karczmą nie stał piękny stos siana dla konia? Czyż w środku nie było *cywilów*?

Zresztą już po przekroczeniu progu Benny's Red House wcale nie miałem zamiaru pić. Może zjeść ciastko gryczane pani Havens i popić lemoniadą. Ale Benny zrobił swój słynny koktajl piwno-rumowy — rozgrzane żelazo właśnie zanurzyło się w kąpeli z jajek i jarmużu — powietrze trzaskało karmelem, a w palenisku migał ogień — i zanim się obejrzałem, siedziałem przy kontuarze, gospodyni kroїła pieczonego indyka, Benny nalewał koktajl do cynowego kufła, a ja znów byłem w domu. Po mojej prawej: Jasper Magoon, były zastępca naczelnego „New York Evening Post”. Opuścił miasto (podobnie jak ja) ze względów zdrowotnych i teraz, zaledwie pięć lat później, na wpół głuchy i zupełnie ślepy, musiał żebrać u ludzi, aby poczytali mu do lewego ucha najnowsze wiadomości. „Jarmark w Loży Masońskiej”. „Tygodniowy raport o zgonach”. „Ekstrakt z kolcorośli”.

W tamtym kącie: Asher Lippard, duchowny Kościoła episkopalnego, który o mało nie wpadł do morza u wybrzeży Malty, a w reformatorskim porywie został jednym z założycieli Amerykańskiego Towarzystwa Propagowania Wstrzemięźliwości, zanim nie postanowił po raz kolejny gruntownie zmienić

swojego życia. Był teraz najpobożniejszym pijakiem pod słońcem. Picie traktował równie poważnie jak ksiądz bierzmowanie.

Następny stolik: Jack de Windt, uczestnik długiego procesu sądowego, w czasie którego twierdził, że wcześniej niż Fulton wynalazł parowiec. Dwie osobliwości uczyniły z niego lokalną legendę: płacił za wszystko rosyjskimi kopiejkami i wspierał tylko kandydatów skazanych na porażkę: Portera w osiemset siedemnastym, Younga w osiemset dwudziestym czwartym, Rochesterera w osiemset dwudziestym szóstym roku — mówiono, że jeśli gdzieś tonie statek, de Windt go znajdzie. Ale on zachowywał niezłomny optymizm i z radością wszystkich informował, że jak tylko ludzie Fultona mu się wypłacą, znajdzie przejście północno-zachodnie — już teraz szukał psów.

A oto sam Benny, pasterz i postrzygacz wyżej wymienionych owieczek. Niski mężczyzna, dobrze po trzydziestce, z ustami starca, oczami młodzieńca i strzechą zmierzwionych od potu czarnych włosów. Człowiek dumny: może i obsługiwał barkarzy i obiboków, ale zawsze go widziano w świeżo wypranej koszuli i w muszce. I chociaż według większości osób Benny przez całe życie mieszkał w Hudson Valley, w jego samogłoskach często można się było dosłuchać obcego akcentu.

— Mówiłem ci kiedyś, Landor, o ojcu Jima Donegana? Był zakrystianem. Ubierał zwłoki do trumny, wkładał im najlepsze ubrania i takie tam, wiązał im krawaty. No więc jak mój kumpel Jim potrzebował pomocy w zawiązaniu krawata, jego tata mówił: „Jim, połóż się na tym łóżku, grzeczny chłopiec. Zamknij oczy, dobrze? A teraz połóż ręce na piersiach”. Mówię wam, tylko tak umiał ubierać swoich synów. Człowiek musiał się położyć, żeby się ubrać. I nie przejmował się tym, jak wygląda od tyłu, bo czy ktoś kiedyś widział zadek nieboszczyka?

U Benny’ego Havensa nie znajdziesz żadnych koktajli serwowanych w najlepszych saloonach Manhattanu. Jest czysta whisky i burbon, dziękuję, jest rum i piwo, a jeśli ktoś trochę zwariował, to może udające burbona piwo korzenne. Nie myśl jednak, Szanowny Czytelniku, że nasz Benny jest równie

pospolity jak jego otoczenie. On i jego żona (jak z dumą w głosie sami pierwsi Ci powiedzą) są jedynymi obywatelami Stanów Zjednoczonych, którym prawo zabrania przebywania w West Point — związku z tym, że kilka lat temu zostali przyłapani na przemycaniu whisky na teren jednostki.

— Pytasz, czy należał nam się medal od Kongresu — mówi Benny Havens. — Żołnierze potrzebują alkoholu tak samo jak amunicji.

Kadeci podobnie zapatrują się na tę sprawę i kiedy dopadnie ich pragnienie, przy pierwszej nadarzającej się okazji pomykają do knajpy Havensa, a jeśli przypadkiem nie mają takiej możliwości, zawsze pozostaje barmanka Benny'ego, Patsy, która pod osłoną nocy przywiezie towar prosto do jednostki. Wielu kadetów preferuje tę metodę, ponieważ duma nigdy nie przeszkadza Patsy dopisać do rachunku własnej osoby. Możliwe (nie myślcie, że się o to nie zakładaliśmy), że co najmniej dwa tuziny kadetów zostały wprowadzone w tajemnice kobiecego ciała właśnie przez Patsy. Lecz któż to może dokładnie wiedzieć? Patsy mówi o wszystkim z wyjątkiem samego aktu i niewykluczone, że tylko wpisuje się w rozpowszechnione wyobrażenia społeczeństwa o barmankach. Że tylko odgrywa pewien stereotyp, a jednocześnie ogląda go z oddali. Prawdę rzekłszy, tylko w odniesieniu do jednego mężczyzny mogę zaręczyć, że mu się oddała, a on raczej nie będzie się tym przechwalał.

I oto się pojawiła: w przejściu z pomywalni, ze swoimi czarnymi oczami i w batystowych reformach. Kapelusik za mały, biodra odrobinę za szerokie (dla niektórych).

— Mój aniele! — zawołałem najzupełniej szczerze.

— Gus — powiedziała.

Jej głos był zupełnie wyprany z emocji, ale to nie powstrzymało Jacka de Windta, który jęknął:

— To ja jestem ten wygłodniały, panno Patsy.

— Mm — powiedziała. — Hm.

Przejechała dłońmi po oczach i zniknęła w kuchni.

— Co ją gryzie? — zapytałem.

— O. — Ślepy Jasper potrząsnął ponuro głową. — Musisz jej wybaczyć, Landor. Straciła jednego ze swoich chłopców.

— Doprawdy?

— Musiałeś o tym słyszeć — powiedział Benny. — Koleżka nazywał się Fry. Dał mi kiedyś koc Macintosha za dwie szklanki whisky. Ma się rozumieć, nie był to jego koc. Cóż, biedak dopiero co się powiesił. — Strzeliwszy oczami w lewo i w prawo, nachylił się ku mnie i najgłośniejszym możliwym szeptem dodał: — Wiesz, co słyszałem? Stado wilków wyrwało mu z ciała wątrobę. — Wyprostował się i z wielką starannością wytarł kufel. — Ach, ale po co ja ci to mówię, Landor? Przecież sam byłeś w West Point.

— Gdzie to usłyszałeś, Benny?

— Ptaszki o tym ćwierkały.

Im mniejsza miejscowość, tym szybciej rozchodzą się wieści. A Buttermilk Falls z pewnością wielkie nie jest. Nawet jego mieszkańcy są trochę mniejsi niż przeciętnie. Nie licząc gigantycznego handlarza blachą, który przyjeżdża tutaj dwa razy do roku, jestem chyba najwyższym człowiekiem w okolicy.

— Ptaszki są strasznie gadatliwe — powiedział ślepy Jasper, kiwając ponuro głową.

— Słuchaj, Benny — powiedziałem. — Rozmawiałeś kiedyś z samym Fryem?

— Może ze dwa razy. Biedak potrzebował pomocy ze swoimi przekrojami stożkowymi.

— Nie sądzę — odparł Jack — aby chodziło mu o *jego* przekroje stożkowe.

Pewnie kontynuowałby swoje insynuacje, ale znowu przyszła Patsy, przynosząc talerz z kluskami. Umilkliśmy zawstydzeni. Dopiero kiedy przechodziła tuż obok mnie, odważyłem się dotknąć jej spódnicy.

— Tak mi przykro, Patsy. Nie wiedziałem, że Fry był...

— Nie był — przerwała mi. — Nie był tym, kim myślisz. Ale chciał być, a to też się liczy, nie sądzisz?

— Powiedz nam — wyrzucił z siebie Jasper lekko dyszącym głosem — dlaczego nie dopuściłaś go do swoich łask, Patsy?

— On sam nic nie zawinił, ale przecież wiesz, że lubię mężczyzn o ciemniejszych włosach. Rude ujdą na górze, ale nie na dole. To jedna z moich zasad. — Odłożyła talerz i spuściła wzrok. — Nie rozumiem, co go opętało, że coś takiego sobie zrobił. Zwłaszcza że był za młody, żeby zrobić to porządnie.

— Co masz na myśli, mówiąc „porządnie”? — spytałem

— No przecież on nawet nie umiał dobrze wymierzyć sznura, Gus. Mówili, że minęły trzy godziny, zanim w końcu umarł.

— Kto mówił, Patsy? Którzy ludzie tak mówili?

Po chwili zastanowienia zredukowała swoją wypowiedź do liczby pojedynczej.

— On — powiedziała, kiwając głową w stronę drugiego końca sali.

Miejsce to, najbardziej oddalone od kominka, zajmował tego wieczoru młody kadet. Za jego plecami stał oparty o ścianę muszkiet. Skórzana czapka leżała na brzegu stołu. Czarne włosy były mokre od potu, a blada, opuchnięta głowa chwiała się w półcieniach.

Trudno policzyć, ile złamał zasad, przychodząc tutaj. Opuszczenie terenu West Point bez zezwolenia, odwiedziny lokalu z wyszynkiem, spożycie alkoholu. Zasady te łamało oczywiście wielu innych kadetów, ale prawie zawsze w nocy, gdy wartownicy spali. To był pierwszy raz, kiedy spotkałem któregoś z nich tutaj w świetle dziennym.

Kadet z pierwszego rocznika Poe nie zauważył, że do niego podchodzę. Może sprawiła to zaduma, może alkoholowe otępienie, w każdym razie stałem tam dobre pół minuty i czekałem, aż uniesie głowę. Już miałem się poddać, kiedy usłyszałem jakieś ciche odgłosy z jego sąsiedztwa: słowa, może zaklęcia.

— Dzień dobry — powiedziałem.

Odchylił głowę do tyłu, a ogromne szare oczy zawirowały.

— Ach, to pan! — zawołał.

Wstał, przewracając krzesło, chwycił mnie za rękę i zaczął ją ścisnąć.

— A niech mnie, sir! Proszę usiąść. Bardzo proszę, będzie pan łaskaw usiąść? Panie Havens! Jeszcze jedna kolejka dla mojego przyjaciela!

— A kto zapłaci? — wyburczał Benny, ale młody kadet chyba tego nie usłyszał, bo przywołał mnie gestem i powiedział pod nosem:

— Pan Havens, ten tam...

— Co on o mnie mówi, Landor?

Poe ze śmiechem zwinął dłonie w trąbkę i zawołał:

— Pan Havens jest jedynym sympatycznym człowiekiem na całym tym zapomnianym przez Boga pustkowiu!

— Jakże jestem wzruszony, że to słyszę.

Należy wspomnieć, że wszystko, co mówił Benny, miało jakiś podtekst. Tylko starzy weterani go wychwytywali: odbierali zarówno treść wypowiedzi, jak i zawarty w niej komentarz. Poe nie był weteranem w tym lokalu, uległ zatem pokusie powtórzenia swoich słów, tylko głośniejsze i w wersji bardziej rozbudowanej:

— W tej przeklętej, zapomnianej przez Boga... jaskini... pazernych *filistrów*. Jedynym i niech Bóg mnie pokara, jeśli kłamię!

— Jeszcze chwila, a się rozplączę, panie Poe.

— I jego urocza żona — powiedział młodzieniec. — I Patsy. Niech będzie błogosławiona, ta... Hebe Highlands!

Bardzo zadowolony ze swojego peanu, uniósł szklankę w stronę kobiety, która go zainspirowała.

— Która to będzie szklanka? — zapytałem, uświadamiając sobie z zakłopotaniem, że brzmię jak Sylvanus Thayer.

— Nie pamiętam — odparł.

Moje pytanie było zbędne, bo obok jego prawego łokcia stały w ordynku cztery puste szklanki. Przyłapał mnie na ich liczeniu.

— Zapewniam pana, że nie moje, panie Landor. Wygląda na to, że Patsy

trochę się opuszcza w swojej robocie. Z racji swojej żałoby.

— Kiedy naprawdę sprawia pan wrażenie nieco... osłabionego.

— Odnosi się pan zapewne do mojej zatrwająco kruchej konstytucji. Wystarczy jedna szklanka, żeby odebrać mi rozum. Po dwóch zataczam się jak bokser. Przypadłość fizjologiczna, potwierdzona przez szereg wybitnych lekarzy.

— Godne najwyższego ubolewania, panie Poe. — Przyjął moje wyrazy współczucia ze zdawkowym skinieniem głowy. — W takim razie może mi pan coś powie, zanim się pan zacznie zataczać.

— Będę zaszczycony.

— Skąd się pan dowiedział o ułożeniu ciała Leroya Frya?

Zareagował tak, jakby poczuł się urażony moim pytaniem.

— Jak to, od pana Huntoona, oczywiście. Wszędzie o tym trąbi. Być może niebawem jego też ktoś powiesi.

— *Też?* Nie sugeruje pan chyba, że pana Frya ktoś powiesił?

— Nie mam zamiaru niczego sugerować.

— Proszę mi zatem powiedzieć, dlaczego pan uważa, że człowiek, który zabrał serce Leroya Frya, był poetą?

To pytanie najwidoczniej zaliczył do innej kategorii i wyraźnie się zaangażował. Odstawił szklankę i poprawił rękaw munduru.

— Panie Landor, serce jest albo symbolem, albo niczym. Co nam zostanie po usunięciu symbolu? Garść mięśni, z estetycznego punktu widzenia nie bardziej interesująca niż pęcherz moczowy. Wykroić człowiekowi serce to poruszać się w sferze symboli. A kto lepiej się nadaje do takiej roboty niż poeta?

— Niż poeta, który wszystko traktuje strasznie dosłownie, jak na mój gust.

— Nie wmówi mi pan, panie Landor, że ten barbarzyński postępek nie wywołał w pańskim umyśle żadnego oddźwięku literackiego. Przedstawić panu mój ciąg skojarzeń? W pierwszej chwili pomyślałem o Child Haroldzie: „I serce boleść łamie, a złamane żyje”<sup>1</sup>, następnie przyszła mi do głowy



urocza pieśń lorda Sucklinga: *I prithee send me back my heart / Since I cannot have thine* (Odeślij, proszę, serce me / Skoro twego mieć nie mogę). W świetle faktu, że dogmatyzm religijny jest mi najzupełniej obcy, może zaskakiwać, jak często sięgam po Biblię: „Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste... nie gardzisz, Boże, sercem pokornym i skruszonym”<sup>2</sup>.

— W takim razie równie dobrze możemy poszukiwać fanatyka religijnego, panie Poe.

— Ach! — Uderzył pięścią w stół. — Sądzi pan, że to było coś na kształt wyznania wiary? Wróćmy więc do łacińskiego źródłosłowu: czasownik *credere* pochodzi od rzeczownika *cardia*, oznaczającego „serce”, czyż nie? W języku angielskim rdzeń „serce” nie ma oczywiście formy czasownikowej. Dlatego tłumaczymy *credo* jako „wierzę”, podczas gdy słowo to oznacza coś w rodzaju „oddaję swoje serce”. Nie chodzi zatem o zanegowanie ciała ani o przekroczenie jego granic, lecz o jego zbycie. Taką drogę przebyła zeświecczona wiara. — Z ponurym uśmiechem odchylił się do tyłu. — Innymi słowy: poezja.

Może zauważył, że ściągnąłem kąciki ust, bo jakby zadał sobie pytanie... a potem równie nagle roześmiał się i uderzył w skroń.

— Zapomniałem panu powiedzieć, panie Landor! Sam jestem poetą. Stąd ta skłonność, żeby myśleć tak jak on. Nie umiem się powstrzymać, jak pan widzi.

— Kolejna przypadłość fizjologiczna, panie Poe?

— Tak — odparł, nie mrugnawszy okiem. — Będę musiał przekazać moje ciało nauce.

Po raz pierwszy pomyślałem, że musi być dobrym karciarzem, bo potrafi do samego końca blefować.

— Obawiam się, że nie przepadam za poezją — powiedziałem.

— Dlaczego miałby pan przepadać? — odpowiedział. — W końcu jest pan Amerykaninem.

— A pan kim jest, panie Poe?

— Artystą. Czyli bezpieczeństwa.

Również ten koncept najwyraźniej mu się spodobał. Pozwolił mu wirować w powietrzu jak dublonowi.

— No dobra — powiedziałem, podnosząc się do wyjścia. — Dziękuję panu, panie Poe. Bardzo mi się pan przydał.

Chwycił mnie za ramię i ściągnął z powrotem na krzesło. (Te smukłe palce miały w sobie wielką siłę).

— Proszę się dokładniej przyjrzeć kadetowi nazwiskiem Loughborough.

— Dlaczego, panie Poe?

— Podczas wczorajszego wieczornego apelu zauważyłem, że myli kroki. Wielokrotnie pomylił „w lewo zwrot” z „w tył zwrot”. Odniosłem nieodparte wrażenie, że jego umysł jest zaprzątnięty czym innym. Ponadto dziś rano w kantynie zachowywał się inaczej niż zwykle.

— I co nam to mówi?

— Gdyby pan go znał, to by pan wiedział, że ten człowiek zazwyczaj papla więcej niż Kasandra, ale z podobnym skutkiem: nikt go nie słucha, nawet najlepsi przyjaciele. Dzisiaj jednak nie chciał mieć słuchaczy.

Jakby chcąc udramatyzować tę scenę, zasłonił twarz niewidzialną woalką i siedział pogrążony w myślach jak Loughborough. Istniała jednak pewna różnica: Poe w mgnieniu oka rozbłysnął, jakby ktoś wrzucił mu do środka zapalnik.

— Chyba nie wspominałem o tym, że Loughborough był kiedyś współlokatorem Leroya Frya. Dopóki się z nieznanymi powodów nie poróżnili.

— Dziwne, że pan o tym wie, panie Poe.

Leniwie wzruszył ramionami.

— Ktoś musiał mi o tym powiedzieć, bo inaczej skąd bym wiedział? Ludzie lubią się zwierzać, panie Landor. Wywodzę się z pradawnego rodu frankijskich wodzów. Od zarania cywilizacji pokładano w nas wielkie zaufanie, którego nigdy nie nadużyliśmy.

Butnie odchylił do tyłu głowę, powielając gest, który zobaczyłem w ogrodzie rektora. Chciał mi w ten sposób przekazać, że żadna krytyka mu niestraszna.

— Panie Poe — powiedziałem. — Proszę mi wybaczyć: wciąż słabo się orientuję w rozkładzie dnia Akademii, ale uważam za bardziej niż prawdopodobne, że jest pan gdzieś oczekiwany.

Rzucił mi wtedy tak rozgorączkowane spojrzenie, jak bym go wyrwał z jakiegoś koszmaru. Odstawił szklanke i poderwał się na nogi.

— Która godzina? — wykrzyknął.

— Zobaczmy — odpowiedziałem, wyciągając z kieszeni zegarek. — Dwadzieścia... dwadzieścia dwie minuty po trzeciej.

Bez odpowiedzi.

— Po południu — dodałem.

Za tymi szarymi oczami coś zapłonęło.

— Panie Havens — oznajmił — rachunek będę musiał uregulować następnym razem.

— O, zawsze jest następny raz, panie Poe.

Najspokojniej, jak potrafił, włożył skórzaną czapkę z powrotem na głowę, zapiął mundur, chwycił za muszkiet. Poszło mu jak z płatka: pięć miesięcy musztry zrobiło swoje. Gorzej było z chodzeniem. Stąpał bardzo ostrożnie, jakby szedł korytem strumienia, a po dotarciu do drzwi oparł się o framugę i powiedział z uśmiechem:

— Panie, panowie, życzę wam miłego dnia.

Następnie pospieszył przez otwarte drzwi.

Nie wiem, co mnie skłoniło, żeby za nim pójść. Chciałbym wierzyć, że kierowała mną troska o jego dobro, ale wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że potraktowałem go jak niedokończoną opowieść.

No i poszedłem za nim, deptając mu po piętach, a kiedy wspinaliśmy się po

kamiennych schodach, z kierunku południowego doszedł moich uszu miarowy stukot butów, który szybko się do nas przybliżał.

Poe już biegł w stronę źródła tego dźwięku. Po dotarciu do najwyższego stopnia obrócił się, posłał mi krzywy uśmiech i przyłożył palec do ust, po czym owinał szyję wokół pnia wiązu, aby zobaczyć, co się do nas zbliża drogą.

Najpierw znajomy werbel, a potem widoczne między drzewami sylwetki mężczyzn. Dwusereg kadetów wspinał się po rozciągniętym zboczu wzgórza i widać było po nich, że mają już w nogach połowę dziennego marszu. Szli bowiem powoli, pochyleni do przodu i z ramionami zgarbionymi pod plecakami. Ze zmęczenia nawet na nas nie spojrzeli, lecz po prostu przeszli obok i dopiero kiedy prawie zniknęli z pola widzenia, Poe ruszył w pościg, stopniowo zmniejszając dystans. Piętnaście stóp... Dziesięć... W końcu był tuż za nimi, maszerował na końcu kolumny — dyskretnie się w nią wtopił — i już jako jedna całość kadeci zaczęli znikać za grzbietem wzgórza i w powodzi rdzawych liści, a jego odróżniała od towarzyszy broni tylko nieco usztywniona postawa, a także pożegnalne skinienie dłoni w moją stronę.

Patrzyłem w jego kierunku jeszcze przez kilka chwil, nie chcąc rozstawać się z nim w myślach. Potem zawróciłem do karczmy i dotarłem w samą porę, aby usłyszeć, jak wielebny Lippard mówi:

— Gdybym wiedział, że można tak regularnie pić, sam bym wstąpił do wojska.

# Opowieść Gusa Landora

7

*29 października*

Następne na mojej liście było przesłuchanie kolegów Leroya Frya. Czekali w kolejce przed kantyną oficerską — młodzi, eleganccy mężczyźni z ustami tłustymi od jedzenia. Kiedy wchodzili, Hitchcock odwzajemniał ich żołnierskie pozdrowienie i mówił: „Spocznij”, oni splatali dłonie za plecami i wysuwali do przodu dolną szczękę — tak właśnie w wojsku rozumie się komendę „spocznij”, Szanowny Czytelniku. Dopiero po paru chwilach do nich docierało, że to ja będę ich przesłuchiwał, a mimo to nie spuszczały wzroku z komendanta, natomiast po zakończonej rozmowie pytali, wciąż patrząc na Hitchcocka: „Czy to wszystko, sir?”. „Tak”, mówił komendant, a oni salutowali i wychodzili. W tym oto rytmie w ciągu godziny przewinęło się przez nasz pokój kilkunastu kadetów. Po wyjściu ostatniego z nich Hitchcock odwrócił się do mnie i powiedział:

— Obawiam się, że zmarnowaliśmy pański czas.

— Dlaczego, kapitanie?

— Nikt nic nie wie o ostatnich godzinach Frya. Nikt nie widział, jak opuszcza koszary. Nadal jesteśmy w punkcie wyjścia.

— Hm. Czy ktoś mógłby ponownie przyprowadzić pana Stoddarda?

Wrócił Stoddard, wyraźnie zdenerwowany. Drugoroczniak z Karoliny Południowej. Syn plantatora sorgo. Miał fioletowo-czarny pieprzyk na policzku, miał także niezłą kartotekę, biedaczek: około stu dwudziestu punktów karnych, a do końca roku pozostały jeszcze dwa miesiące. Groziło mu zwolnienie dyscyplinarne.

— Kapitanie Hitchcock — powiedziałem — gdyby się okazało, że jakiś

kadet może nam przybliżyć ostatnie godziny życia Leroya Frya, to czy rozważyłby pan spojrzenie bardziej wyrozumiałym okiem na jego ewentualne uchybienia?

Po pewnym wahaniu tak zarządzono.

— A teraz, panie Stoddard — powiedziałem. — Zastanawiam się, czy powiedział nam pan wszystko, co może nam pan powiedzieć.

Nie, nie powiedział. Wygląda na to, że w nocy dwudziestego piątego października tenże Stoddard wracał późno z pokoju kolegi. Było już dobrą godzinę po ciszy nocnej, kiedy ukradkiem wchodził na piętro Koszar Północnych i usłyszał odgłos kroków osoby, która zmierzała w drugą stronę. Pomyślał, że sierżant Locke idzie na nocny obchód. Przywarł do ściany i słuchał zbliżających się kroków...

Niepotrzebnie się martwił: to był tylko Leroy Fry.

— Skąd pan wiedział, że to on? — zapytałem.

Z początku nie wiedział, ale Fry niechcący trącił go łokciem w ramię i zawołał ostrym tonem:

*Ktoś ty?*

*To ja, Leroy.*

*Julius? Są tu jacyś oficerowie?*

*Nie, droga wolna.*

Fry zszedł na dół, a Stoddard, nie wiedząc, że widzi kolegę po raz ostatni, położył się do łóżka i spał do pobudki.

— Bardzo nam pan pomógł, panie Stoddard, ale może mógłby nam pan powiedzieć coś więcej. Na przykład jak wyglądał pan Fry.

Na klatce schodowej było tak ciemno, że nie potrafił się wiarygodnie wypowiedzieć na ten temat.

— Miał coś przy sobie, panie Stoddard? Kawalek sznura, coś w tym guście?

Niczego takiego nie zauważył. Było ciemno... bardzo ciemno...

Nie, chwila, powiedział. Było jeszcze coś. Kiedy Fry się oddalał, Stoddard

zawołał za nim:

*Dokąd się wybierasz o takiej porze?*

Na co Leroy Fry odpowiedział:

*W pilnej sprawie.*

Taki żart. Kiedy kadeci muszą się załatwić w nocy — a nie chcą, żeby stało do rana w nocniku, idą do latryny, a jeśli spotkają oficera, wystarczy powiedzieć: „W pilnej sprawie, sir” i oficer ich przepuszcza (choć oczekuje rychłego powrotu). Jednak Stoddardowi utkwilo w pamięci, że Fry położył nacisk na słowo „pilnej”.

*W pilnej sprawie.*

— I co to według pana znaczyło, panie Stoddard?

Nie wiedział. Fry mówił półszepem, więc wszystko było trochę zdyszane.

— Czy rzeczywiście mówił takim tonem, jakby wzywało go coś pilnego?

Być może. A może chciał się zwyczajnie powyglądać.

— A więc wydał się panu wesoły?

Tak, dosyć wesoły. W każdym razie nie brzmiał jak człowiek, który planuje za chwilę na zawsze zgasić światło. Ale w takich sprawach nigdy nic nie wiadomo, prawda? Stoddard miał kiedyś wuja, który w jednej chwili namyślał twarz i pogwizdywał — *Hej, Betty Martin* — a w następnej przeciągnął sobie brzytwą po gardle. Nawet nie skończył się golić.

To było wszystko, co miał nam do powiedzenia kadet Julius Stoddard. Opuszczał nas tego popołudnia z nutą żalu, ale też z pewną nieśmiałą dumą. Widziałem to również u innych kadetów. Wszyscy byli zadowoleni, że mogą pochwalić się znajomością z Leroyem Fryem. Nie dlatego, że był człowiekiem wybitnym czy dobrym, ale dlatego, że nie żył.

Hitchcock odprowadził go wzrokiem do drzwi, po czym zadał pytanie, które najbardziej go nurtowało:

— Skąd pan wiedział, panie Landor?

— O Stoddardzie? Myślę, że poznałem po jego ramionach. Z pewnością

pan zauważył, kapitanie, że kiedy kadeci są przesłuchiwani w obecności oficerów, w ich ciała wkrada się pewne napięcie. Ponadnormatywne.

— Dobrze to znam. Nazywamy to przesłuchaniową tremą.

— Oczywiście po zakończeniu przesłuchania ramiona automatycznie wracają do pozycji wyjściowej. Ale nie u pana Stoddarda. Wychodził z pokoju dokładnie tak samo, jak wchodził.

Ładne brązowe oczy Hitchcocka przyglądały mi się przez krótką chwilę. Na jego ustach pojawił się załazek uśmiechu. A potem kapitan zapytał z powagą, która wydała się zgoła przesadna:

— Czy są jeszcze jacyś kadeci, których chciałby pan po raz drugi przesłuchać, panie Landor?

— Nie, po raz drugi nie, ale chętnie porozmawiałbym z kadetem Loughboroughem, jeśli pan pozwoli.

To zajęło trochę więcej czasu. Kadeci zjedli już obiad, a Loughborough miał zajęcia z filozofii naturalnej i eksperymentalnej i stał przy tablicy, kiedy go wezwano. Pewnie uznał to za wybawienie, ale przypuszczalnie zmienił zdanie, gdy po wejściu do pokoju zobaczył wspartego na łokciach komendanta i mnie... Ciekawe, jak odebrał moją obecność. Był to niskiego wzrostu mężczyzna z Delaware, z kluchami zamiast policzków i błyszczącymi obsydianowymi oczami, które patrzyły raczej do środka niż na zewnątrz.

— Panie Loughborough — powiedziałem. — Był pan współlokatorem pana Frya, jeśli się nie mylę.

— Tak, sir, na pierwszym roku.

— I później się pokłóciliście?

— Chyba nie nazwałbym tego kłótnią, sir. Raczej nasze drogi się rozeszły, sir, to byłoby bliższe prawdy.

— A z jakiego powodu się rozeszły?

Jego czoło przecięła zmarszczka.

— Nie było żadnej... oczywistej przyczyny.

Skrzywił się na dźwięk głosu kapitana Hitchcocka.



— Panie Loughborough. Jeśli posiada pan jakiegokolwiek informacje na temat pana Frya, ma pan obowiązek je ujawnić. I to natychmiast.

Przyznaję, że współczułem temu chłopcu. Jeśli naprawdę był gadułą, jak powiedział Poe, to z pewnością go zabolalo, że brakuje mu słów.

— To było tak, sir — powiedział. — Odkąd usłyszałem o kadecie Fryu, nieustannie myślę o pewnym zdarzeniu.

— Kiedy ten incydent miał miejsce? — zapytałem.

— Dawno temu, sir. Dwa i pół roku.

— Czyli nie tak znowu dawno. Proszę mówić dalej.

A potem warknął: „Nic nie powiem, do diabła ciężkiego”.

Nie, powiedział oczywiście coś innego:

— To było pewnego majowego wieczoru.

— W maju dwudziestego ósmego roku?

— Tak, sir. Zapamiętałem to, ponieważ moja siostra właśnie do mnie napisała, że wychodzi za mąż za Gabriela Guilda, a list dotarł do mnie na tydzień przed ślubem, ja zaś musiałem odpowiedzieć w imieniu mojego wuja z Dover, ponieważ wiedziałem, że siostra zatrzyma się tam tydzień po ślubie, który przypadał na pierwszy tydzień czerwca...

— Dziękuję, panie Loughborough. — Odzyskał dostęp do swojej krynicy wielomówstwa. — Przejdźmy teraz do samego zdarzenia, dobrze? Czy może nam pan opowiedzieć, w skrócie, co się wydarzyło tego konkretnego wieczoru?

Otrzymał zadanie i przystąpił do niego ze zmarszczonym ze skupienia czołem.

— Leroy urwał się na noc — powiedział.

— Dokąd poszedł?

— Nie wiem, sir. Powiedział mi tylko, żebym go krył.

— I wrócił następnego ranka?

— Tak jest. Ale dostał karę za spóźnienie na apel.

— I nie powiedział panu, gdzie spędził tę noc?

— Nie, sir. — Zerknął ukradkiem na Hitchcocka. — Ale odniosłem wrażenie, że był potem trochę niespokojny.

— Niespokojny?

— Mówię tak tylko dlatego, sir, że chociaż z początku wydawał się nieśmiały, to kiedy się go lepiej poznało, nietrudno było nakłonić go do rozmowy, a teraz w ogóle nie chciał rozmawiać, co mi za bardzo nie przeszkadzało, poza tym, że nie potrafił się nawet zdobyć na to, żeby na mnie spojrzeć. Ciągle pytałem, czy go w jakiś sposób nie uraziłem, ale on powtarzał, że nie, nie chodzi o mnie. Zapytałem — bo byliśmy najlepszymi kumplami — o kogo w takim razie chodzi.

— Ale nie chciał panu powiedzieć.

— Ani wtedy, ani później, sir. Ale pewnej nocy, gdzieś w lipcu, powiedział, że zaplątał się w „bandę drani”, jak to ujął.

Kątem oka zauważyłem, że Hitchcock pochylił się nieznacznie do przodu.

— „Bandę drani”? — powtórzyłem. — Takich słów użył?

— Tak, sir.

— I nie doprecyzował, o jakiego typu bandę mu chodzi?

— Nie, sir. Powiedziałem mu oczywiście, że jeśli w grę wchodzi coś nielegalnego, ma obowiązek to zgłosić.

Uśmiechnął się do Hitchcocka, czekając na sygnał aprobaty, ale się nie doczekał.

— Czy mówiąc „banda”, miał na myśli innych kadetów, panie Loughborough?

— Tego mi nie powiedział, ale założyłem, że chodzi o kadetów, bo kogo innego można tu spotkać? Chyba że Leroy spiknął się z jakimiś bombardierami, sir.

Byłem w West Point wystarczająco długo, żeby wiedzieć, iż „bombardierzy” to członkowie pułku artylerii, który stacjonuje tutaj wraz z korpusem kadetów. Kadeci traktują ich tak, jak ładna córka farmera traktuje

starego muła: są potrzebni, ale nie przydają gospodarstwu splendoru. Z kolei bombardierzy uważają kadetów za rozpieszczonych lalusiów.

— A więc, panie Loughborough, mimo pańskich usilnych starań pański kolega nie chciał nic więcej powiedzieć na ten temat. A z czasem wasza dwójka... Chyba użył pan sformułowania „drogi się rozeszły”.

— Chyba można tak powiedzieć, sir. Nie chciał się już szwendać z kolegami, pójść popływać czy nawet poimprezować. A potem wziął i wstąpił do grupy modlitewnej.

Ręce Hitchcocka rozsuwały się coraz dalej i dalej.

— To ciekawe — powiedziałem. — Odnalazł religię?

— Ja bym nie... To znaczy nigdy nie słyszałem, żeby ją zgubił, sir. Ale raczej nie wytrwał w niej zbyt długo. Zawsze należał do tych, którzy najbardziej narzekali, kiedy trzeba było iść na nabożeństwo. Ale w tym czasie zadawał się już z nową ekipą, a ja chyba byłem dla niego starą ekipą i... tak to już jest, sir.

— Ta nowa ekipa — zna pan jakieś nazwiska?

Pięć nazwisk, tyle wysupłał z pamięci — wszystkich już przesłuchaliśmy. Loughborough wciąż wymieniał te same nazwiska, w kółko je powtarzał, o każdym chciał opowiedzieć wszystko, co wie... aż w końcu Hitchcock podniósł rękę i zapytał:

— Dlaczego mi pan wcześniej nie zameldował?

Usta młodego człowieka pozostały otwarte w pół słowa.

— No bo nie było dla mnie jasne, sir, czy to ma jakieś znaczenie. To było tak dawno.

— Mimo wszystko — powiedziałem — jesteśmy bardzo wdzięczni, panie Loughborough. A jeśli przyjdzie panu do głowy jeszcze coś, co mogłoby nam się przydać, proszę się nie wahać.

Kadet skinął głową w moją stronę, zsalutował Hitchcockowi i ruszył do drzwi. Zatrzymał się w progu.

— Coś sobie pan przypomniał? — zapytał Hitchcock.

Mieliśmy teraz do czynienia z tym drugim Loughboroughem, tuż po jego wejściu do pokoju.

— Sir — powiedział. — Jest pewna szczególna okoliczność, z którą się zmagam. Związana z etyką.

— Tak?

— Jeśli kolega wie, że jego kolega ma jakieś zmartwienie, i ten drugi kolega robi coś... niewłaściwego... No więc mój dylemat obraca się wokół... znaczy, czy ten pierwszy kolega powinien się czuć odpowiedzialny? Czy powinien sobie pomyśleć, że gdyby był lepszym kolegą, to ten drugi kolega wciąż by tutaj był i ogólnie wszystko byłoby lepiej?

Hitchcock uszczypnął się w ucho.

— Myślę, panie Loughborough, że w hipotetycznym scenariuszu, który pan przedstawił, ten człowiek mógłby mieć czyste sumienie. Zrobił wszystko, co w jego mocy.

— Dziękuję, sir.

— Coś jeszcze?

— Nie, sir.

Loughborough był już prawie za drzwiami, kiedy doścignął go głos Hitchcocka.

— Następnym razem, kiedy stanie pan przed oficerem, panie Loughborough, zadba pan o to, żeby mundur był zapięty do samego dołu. Jeden punkt karny.

Dżentelmeńska umowa z Akademią wymagała ode mnie regularnych spotkań z Hitchcockiem. Tym razem Thayer zapytał, czy mógłby do nas dołączyć.

Zebraliśmy się w jego salonie. Molly przyniosła nam placki kukurydziane i wołowinę, Thayer nalał herbaty, stojący zegar w przedpokoju tykał, bordowe zasłony zagradzały drogę słońcu. Zgroza, Szanowny Czytelniku.

Minęło całe dwadzieścia minut, zanim ktokolwiek odważył się poruszyć jakiś temat, a kiedy to już nastąpiło, padły tylko ogólne pytania o moje

postępy. Ale dokładnie za trzynaście piąta rektor Thayer odstawił filiżankę i splótł dłonie na kolanach.

— Panie Landor — powiedział. — Czy nadal jest pan przekonany, że Leroya Frya zamordowano?

— Tak.

— A czy przybliżyliśmy się do odpowiedzi na pytanie o tożsamość sprawcy?

— Dowiem się tego dopiero po dotarciu na miejsce.

Porozmyślał o tym przez chwilę, a następnie, odłamawszy kawałek ciastka, zapytał:

— Nadal pan uważa, że te dwie zbrodnie są ze sobą powiązane? Morderstwo i okaleczenie zwłok?

— W tej sprawie powiem tylko, że można ukraść serce wyłącznie człowiekowi, który na to pozwoli.

— Co pan przez to rozumie?

— Pułkowniku, jakie jest prawdopodobieństwo, że tej samej październikowej nocy dwie różne osoby miały złe zamiary wobec Leroya Frya?

Rzecz jasna, Thayer zadał sobie wcześniej to pytanie, ale co innego usłyszeć je z ust innej osoby. Bruzdy wokół jego oczu głębiej wcinały się teraz w skórę.

— Wychodzi pan zatem z założenia — powiedział trochę ciszej — że za obiema zbrodniami stoi jeden człowiek.

— Tak, jeden człowiek, który być może miał współnika. Ale na razie przyjmijmy, że sprawca był tylko jeden. Od czegoś trzeba zacząć.

— I tylko pojawienie się pana Huntoona powstrzymało tego mężczyznę od natychmiastowego wycięcia Leroyowi Fryowi serca?

— Przyjmijmy takie robocze założenie.

— A zatem skoro nie mógł zrealizować swojego planu — proszę mnie

poprawić, jeśli posuwam się za daleko — sprawca podjął ryzyko wykradnięcia ciała pana Frya ze szpitala i doprowadził rzecz do końca?

— Przyjmijmy również takie założenie.

— Czy człowiek, o którym rozmawiamy, jest jednym z nas?

Hitchcock podniósł się gwałtownie i ustawił naprzeciwko mnie, jakby chciał mi zatarasować drogę do wyjścia.

— Pułkownik Thayer chciałby wiedzieć — powiedział — czy jacyś inni nasi kadeci mogą być zagrożeni przez tego szaleńca.

— Tego jednego nie potrafię wam powiedzieć. Bardzo mi przykro.

Przyjęli to wyrozumiale. Miałem wrażenie, że współczują mi mojej niewiedzy. Dolali sobie herbaty i przeszli do bardziej drobiazgowych pytań. Chcieli na przykład wiedzieć, jakie wyciągam wnioski ze skrawka papieru, który wyrwałem z pięści Leroya Frya. (Powiedziałem im, że wciąż się nad tym zastanawiam). Dopytywali, czy chciałbym przesłuchać wykładowców. (Tak, każdego, kto kiedykolwiek uczył Leroya Frya). Czy będę przesłuchiwał innych kadetów? (Tak, każdego, kto znał Leroya Frya).

W salonie pułkownika Thayera zapadła głucha cisza, a w tle słychać było tykanie zegara. Wszyscy ucichli, nie licząc mnie, ponieważ moje serce zaczęło dudnić. Bum, bum.

— Dobrze się pan czuje, panie Landor?

Starłem ze skroni pierścień potu i powiedziałem:

— Panowie, chciałbym panów prosić o przysługę.

— O co chodzi?

Spodziewali się zapewne, że poproszę o wilgotny ręcznik lub przewietrzenie pokoju, a tymczasem usłyszeli rzecz następującą:

— Chciałbym zatrudnić jednego z kadetów w roli asystenta.

Wiedziałem, że naruszam w ten sposób pewne reguły. Od początku naszej współpracy Thayer i Hitchcock dbali o to, aby rozdzielać sferę wojskową od cywilnej. Spełnienie mojej prośby zniweczyłoby ich wysiłki, skutkiem czego w ich głowach zabrzmiały dzwonki alarmowe. Odstawili filiżanki, szarpnęli

głowami do góry i zasypali mnie przemyślanymi, dobrymi, *rozsądnymi* argumentami. Musiałem zasłonić sobie uszy dłońmi, żeby przestali.

— Bardzo panów proszę, nie zrozumcie mnie źle. Nie przewiduję dla tej funkcji oficjalnego charakteru, chcę tylko dysponować kimś, kto ma otwarte oczy i uszy na to, co się dzieje w korpusie kadetów, i może mi to przekazać. Kto weźmie na siebie rolę mojego informatora, jeśli można tak powiedzieć. Im mniej osób się o tym dowie, tym lepiej.

Oczy Hitchcocka lekko rozbłysły, kiedy na mnie spojrzał. Tym swoim łagodnym głosem zapytał:

— Szuka pan kogoś, kto będzie szpiegował swoich kolegów kadetów?

— Tak, można go nazwać szpiegiem. Honoru armii to nie splami, prawda?

Wciąż jednak stawiali opór. Hitchcock skupił całą uwagę na filizance. Thayer przez dłuższy czas otrzepywał z rękawa munduru ten sam kłaczek.

Wstałem z fotela i przeszedłem na drugą stronę sali.

— Panowie — powiedziałem — za waszą sprawą mam związane ręce. Nie mogę się swobodnie poruszać wśród kadetów, nie mogę z nimi rozmawiać bez waszej zgody, nie wolno mi tego, nie wolno mi tamtego. A nawet gdyby było mi wolno — powiedziałem, powstrzymując ruchem dłoni przeciw Thayera — co by mi z tego przyszło? O młodych ludziach można powiedzieć wiele złego, ale z pewnością potrafią dochować tajemnicy. Z całym szacunkiem, pułkownik Thayer, pański system to na nich wymusza. Zdradzają tajemnice tylko swoim.

Czy naprawdę w to wierzyłem? Nie wiem. Stwierdziłem jednak, że czasami wystarczy powiedzieć, że się w coś wierzy. W każdym razie moje słowa uciszyły Thayera i Hitchcocka.

A potem — po dłuższej chwili — dali za wygraną. Nie pamiętam już, kto pierwszy drgnął, w każdym razie był to ruch bardzo nieznaczny. Zapewniłem, że ich drogi kadet nadal będzie chodził na wykłady i ćwiczenia, wypełniał wszystkie obowiązki i utrzymywał średnią ocen na dotychczasowym poziomie. Powiedziałem im, że uzyska nieocenione doświadczenie

w zbieraniu informacji, co poprawi perspektywy jego kariery. Czeka ją go o medale, wstęgi... świetlana przyszłość...

Tak, ustąpili. Nie powiedziałbym, że zapalali entuzjazmem do tego pomysłu, ale po chwili zaczęli się przerzucać nazwiskami jak piłkami do krokieta. Może Clay Junior? Albo Du Pont? Kibby to chodząca dyskrecja, a Ridgely, chociaż cicha woda, jest bardzo zaradny...

Siedząc z powrotem na swoim miejscu, z ciastkiem kukurydzianym w dłoni, uśmiechnąłem się do nich przymilnie.

— A co by panowie powiedzieli na kadeta Poego?

Ich milczenie początkowo wziąłem za znak, że nie znają tego nazwiska. Myliłem się.

— *Poego?*

Zastrzeżeń było zbyt wiele, aby je wszystkie wymienić. Po pierwsze, Poe to kadet z pierwszego rocznika, który który nie przystąpił jeszcze do żadnego egzaminu. Po drugie, podczas swojego krótkiego pobytu w Akademii zdążył już dać się poznać jako problem dyscyplinarny. (Cóż za niespodzianka!) Miał na koncie kary za opuszczenie wieczornego apelu, apelu klasowego i zmiany warty. Przy kilku sposobnościach dał świadectwo niejakiej bezczelności. W zeszłym miesiącu pojawił się na liście kadetów z największą liczbą naruszeń regulaminu. Co się zaś tyczy jego obecnej pozycji w roczniku:

— Siedemdziesiąta pierwsza — powiedział Thayer. — Na osiemdziesięciu kadetów.

To, że zwykły *plebe*, niewypróbowany i o wątpliwej reputacji, miałby otrzymać pierwszeństwo przed kadetami, którzy pod każdym względem — średnia ocen, stopień, postawa — go przewyższali, oznaczałoby najbardziej szkodliwy przykład... precedens bez precedensu...

Wysłuchałem ich — jako wojskowi nie pozostawili mi w tej kwestii większego wyboru — a kiedy skończyli, powiedziałem:

— Pozwólcie, że o czymś wam przypomnę, panowie: tej pracy, ze względu



na jej charakter, nie można powierzyć wyższym rangą. Kadeci, którzy pełnią funkcje oficerskie, podlegają bezpośrednio panom, jest to rzecz powszechnie wiadoma, prawda? Gdybym ja miał jakąś tajemnicę, to uwierzcie mi, nie zwróciłbym się z nią do oficera kadeta, tylko do kogoś takiego jak Poe.

Thayer zrobił wtedy coś niezwykłego: rozchylił kąciaki oczu — rozciągnął skórę, odsłaniając czerwoną błonę pod spodem.

— Panie Landor — powiedział. — To jest wbrew wszelkim regułom.

— Cała ta sprawa jest trochę wbrew regułom, prawda? — odrzekłem, po czym dodałem nieco szorstkim tonem: — To Poe wskazał mi tego całego Loughborougha. Ma wyostrzony zmysł obserwacji. Który, przyznaję, przykrywa gruba warstwa bufonady. Ale ja umiem odsiać ziarno od plew, panowie.

Po mojej prawej stronie usłyszałem stłumiony ze zdumienia głos Hitchcocka.

— Pan naprawdę uważa, że Poe się do tego nadaje?

— Całkowitej pewności nie mam, ale owszem, wiele za tym przemawia. — Widząc, że Thayer potrząsnął głową, powiedziałem: — A jeśli się nie nadaje, to bez dalszego certolenia wezmę któregoś z waszych Clayów albo Du Pontów.

Hitchcock przyłożył dłoń do ust, a jego słowa zabrzmiały tak, jakby już się z nich wycofywał.

— Trzeba przyznać, że na gruncie czysto akademickim Poe rzeczywiście jest dosyć mocny. Nawet Bérard nie podważa jego intelektu.

— Ross też nie — powiedział Thayer ponuro.

— Można by również zaryzykować tezę, że na tle innych *plebe* nie jest zupełnie niedojrzały. Być może wynika to z faktu, że ma już pewne doświadczenie wojskowe.

Tym to sposobem po raz pierwszy tego popołudnia czegoś się dowiedziałem.

— Poe był w wojsku? — zapytałem.

— Zanim tutaj przyjechał, przez trzy lata był żołnierzem, jeśli się nie mylę.

— Przyznam, że to mnie zaskoczyło, panowie. Mnie przedstawił się jako poeta.

— Zgadza się — potwierdził Hitchcock i uśmiechnął się smutno. — Otrzymałem od niego w prezencie dwa tomiki.

— Mają jakąś wartość literacką?

— Bez wątpienia, nie mają natomiast zbyt wielkiego sensu, a przynajmniej mój ograniczony intelekt nie potrafi się go doszukać. Sądzę, że w młodości pił za dużo Shelleya.

— Szkoda, że nie ograniczył się do tego trunku — mruknął Thayer.

Wybaczysz mi, Szanowny Czytelniku, jeśli zbladłem na tę ostatnią uwagę. Minęły niecałe dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy widziałem, jak kadet Poe chwiejnym krokiem wychodzi z karczmy Benny'ego Havensa, a nie byłoby dla mnie zbyt wielkim zaskoczeniem, gdybym się dowiedział, że Thayer wystawił szpiega za każdym pniem w okolicy.

— Cóż — powiedziałem — cieszy mnie, że wersja z poetą się potwierdziła. Pan Poe robi na mnie wrażenie człowieka, który lubi wymyślać historie. Sprawia mu przyjemność, kiedy jest w centrum uwagi.

— I to nie byle jakie historie — wtrącił Hitchcock. — Co najmniej trzem osobom powiedział, że jest wnukiem Benedicta Arnolda.

Podejrzewam, że nedorzeczność tego rodzaju przechwałek złapała mnie na wyroku, skutkiem czego po dusznym, sennym salonie rozniósł się mój śmiech. Wygłaszanie takiej tezy akurat w West Point — w tym samym miejscu, które zdrajca Arnold chciał oddać wrogowi i które rzeczywiście by oddał, gdyby nie zapobiegło temu szczęśliwe zrządzenie losu — wymagało czegoś więcej niż odwagi.

Obnoszenie się z takimi parantelami z pewnością nie przysporzyło mu sympatii Sylvanusa Thayera. Zauważyłem, że usta pułkownika zrobiły się niezwykle cienkie, a oczy lodowate, kiedy mówił do Hitchcocka:

— Nie wspomniał pan o najciekawszej historii Poego, który twierdzi, że

jest mordercą.

Po tym zdaniu zapadła dosyć długa cisza. Widziałem, że Hitchcock kręci głową i z grymasem na twarzy wpatruje się w podłogę.

— W takie rzeczy nie można wierzyć — powiedziałem w końcu. — Młody człowiek, którego poznałem, nigdy nie odebrałby życia...

— Gdybym w to wierzył — warknął Thayer — Poe nie byłby już kadetem Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych. Tego może pan być pewien. — Ponownie uniósł filiżankę i dopił gorzkie resztki herbaty. — Pytanie brzmi, panie Landor, czy pan w to wierzy. — Filiżanka na jego kolanie niebezpiecznie zachybotwała, lecz Thayer zdążył ją pochwycić. — Sądzę — dodał z tłumionym ziewnięciem — że skoro tak bardzo panu zależy na skorzystaniu z usług tego bajkopisarza Poego, to może pan sam go o to zapytać.

# Opowieść Gusa Landora

## 8

*30 października*

Kiedy już opadł kurz, pozostało tylko pytanie, jak nawiązać kontakt z Poem. Hitchcock opowiadał się za zaciągnięciem go na potajemne spotkanie na strychu, ja natomiast skłaniałem się ku temu, żeby podejść do niego na widoku, bo w ten sposób lepiej ukryjemy nasze zamiary. Dlatego też w środę przed południem poszliśmy z Hitchcockiem jako niezapowiedziani goście na poranne zajęcia prowadzone przez niejakiego Claudiusa Bérarda.

Monsieur Bérard był rodowitym Francuzem, który przez całe życie migał się od wojska. Jako młody człowiek w czasach napoleońskich uniknął służby wojskowej w cywilizowany sposób, opłacając człowieka, który go zastąpił. Wszystko szło jak z płatka, ale tylko do momentu, kiedy zastępca bezmyślnie wystawił się w Hiszpanii na kulę armatnią, skutkiem czego monsieur Bérarda znowu chciano wziąć w kamasze. Ponieważ nie był głupi, spakował swoje rzeczy i uciekł za ocean, gdzie zarabiał na życie jako nauczyciel francuskiego, najpierw w Dickinson College, a potem — tak, w Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych. Nieważne, jak daleko człowiek ucieknie, armia prędzej czy później go dopadnie. A skoro tak, uznał zapewne monsieur Bérard, to o ileż przyjemniej jest odsłużyć wojsko w Hudson Highlands, słuchając, jak amerykańska młodzież kaleczy język Moliera. A jednak czyż nie okazało się to męczarnią nie mniejszą niż te, na które narażał się w kraju? Krótko mówiąc, monsieur Bérard miał powody wątpić w siebie i ta sceptyczna nuta nigdy go nie opuszczała, była jak czarny pytajnik na jego gałce ocznej, który bez ustanku się poruszał, nawet gdy on sam pozostawał w całkowitym bezruchu.

Teraz jednak na widok dowódcy poderwał się na równe nogi, a kadeci również wstali z pozbawionych oparcia ławek. Hitchcock dał im znać ruchem dłoni, żeby usiedli, a potem wskazał mi dwa krzesła tuż za drzwiami.

Monsieur Bérard opadł z powrotem na krzesło i spod pożyłkowanych powiek rzucił krótkie spojrzenie na kadeta z pierwszego rocznika, który stał bezbronny pośrodku sali z oprawnym w czerwoną skórę woluminem w rękach.

— Proszę kontynuować, panie Plunkett — powiedział Francuz.

Nieszczęsny kadet znowu zaczął się przedzierać przez zarośla literackiej prozy:

— Dotarł do gospody i odstawił konia. Następnie zjadł... obfitą kolację złożoną z chleba i... trucizny.

— Ach, panie Plunkett — powiedział Bérard. — To nie byłoby zbyt smaczny posiłek, nawet dla kadeta. *Poisson* tłumaczy się jako „ryba”, nie „trucizna”.

Skorygowany kadet zamierzał dalej tłumaczyć, ale powstrzymała go pulchna biała dłoń monsieur Bérarda.

— Wystarczy. Może pan usiąść. Następnym razem proszę zwracać większą uwagę na przedimki. Pańska ocena to jeden koma trzy.

Do pracy nad tą samą książką zabrało się trzech kolejnych kadetów, którzy otrzymali oceny: dwa koma pięć, jeden koma dziewięć i dwa koma jeden. Inna para pracowała przy tablicy, z podobnym skutkiem odmieniając czasowniki. Nikt nie mówił ani słowa po francusku. Niejeden chłopak musiał zadawać sobie pytanie, po kiego licha marnuje czas na chleb i truciznę, skoro mógłby się zająć teoriami Jominiego na temat ukształtowania terenu. Monsieur Bérardowi pozostało przedstawić argumenty za przydatnością lektury Woltera i Lesage’a, ale był za bardzo zmęczony. Tylko raz, na dziesięć minut przed końcem zajęć, postanowił tchnąć w swoje działania trochę więcej życia, co konkretnie polegało na tym, że zacisnął dłonie i odrobinę podniósł głos.

— Pan Poe, proszę.

Na drugim końcu sali poderwała się głowa, a za nią reszta ciała.

— Panie Poe. Czy mógłby pan przetłumaczyć następujący fragment drugiego rozdziału *Histoire de Gil Blas*?

Trzy kroki zaprowadziły kadeta na środek sali. Przed nim Bérard, po bokach koledzy, spod ściany spojrzenie komendanta: znajdował się w centrum zainteresowania i wiedział o tym. Otworzył książkę, odchrząknął — dwa razy — i zaczął.

— Kiedy oni przygotowywali dla mnie jajka, ja wdałem się w rozmowę z gospodynią, której nigdy wcześniej nie widziałem. Wydała mi się całkiem ładna...<sup>3</sup>

Nasuwały się dwa natychmiastowe wnioski. Po pierwsze, znał francuski nieporównanie lepiej od innych. Po drugie, chciał, aby jego tłumaczenie *Gila Blasa* na wiele pokoleń zapisało się w pamięci.

— Podszedł do mnie z przyjaznym nastawieniem: Właśnie słyszałem, że jesteście... no, powiedzmy, tym wybitnym Gilem Blasem z Santillane, ozdobą Oviedo i pochodnią... przepraszam, latarnią morską filozofii<sup>4</sup>.

Byłem tak pochłonięty tą inscenizacją — kłapaniem szczęki, ruchami rąk — że przegapiłem zmianę wyrazu twarzy Bérarda. Owszem, uśmiechał się, ale w jego oczach pojawiła się kocia twardość, która wzbudziła we mnie podejrzenie, że zastawił na Poego pułapkę. Po krótkiej chwili moje podejrzenie się potwierdziło, ponieważ od strony usadowionych na ławkach kadetów zaczęły dochodzić pierwsze chichoty.

— Czy to możliwe, że wy (przez co rozumiał innych ludzi w pokoju, jak sądzę), że wy wszyscy widzicie tego geniusza, tego lwa salonowego, którego sława ciągnie się na cały kraj? Czy nie wiecie, mówił dalej, zwracając się do gospodarza i gospodyni, czy nie wiecie, co tutaj macie? — Chichoty przybrały na sile, a spojrzenia stawały się coraz bardziej złośliwe. — Wasz dom kryje prawdziwy skarb! — Jeden kadet trącił łokciem sąsiada. Inny zacisnął zęby na przedramieniu. — Widzicie w tym panu ósmy cud świata! — Zachnięcia i chichoty, ale Poe kontynuował niezrażony, czytając coraz głośniejsze, żeby się wybić ponad narastającą wrzawę. — Potem odwrócił się w moją stronę i objął

mnie ramionami: Przepraszam za te uniesienia, dodał, chyba nigdy nie zdołam zapanować nad... — Wreszcie zrobił pauzę, ale tylko po to, aby z jeszcze większą emfazą wypowiedzieć ostatnie słowa: — Nad niezmierną radością, jaką sprawia mi twoja obecność!<sup>5</sup>

Bérard siedział i uśmiechał się łagodnie, podczas gdy kadeci piszczełi i wyli. Podejrzewam, że sufit w końcu zwałiłby im się na głowy, gdyby nie powstrzymało ich chrząknięcie kapitana Hitchcocka. Jeden dźwięk, który ledwo dotarł do moich uszu, a mimo to sala ucichła.

— Dziękuję, panie Poe — powiedział Bérard. — Jak zwykle wyszedł pan poza ramy dosłownego tłumaczenia. Sugeruję, aby w przyszłości zostawił pan kwiecistości panu Smollettowi. Jednak udało się panu dobrze uchwycić sens tego fragmentu. Pańska ocena to dwa koma siedem.

Poe nic nie powiedział. Nie poruszył się. Po prostu stał na środku sali z płonącymi oczami i wysuniętą do przodu szczęką.

— Może pan usiąść, panie Poe.

Dopiero wtedy wrócił na swoje miejsce — powoli, sztywno, nie patrząc na nikogo.

Chwilę później rozległo się bicie bębnow na przedobiednią zbiórkę. Kadeci wstali, odsuwając od siebie tabliczki i wkładając na głowy czako. Hitchcock poczekał, aż znikną za drzwiami, zanim zawołał:

— Panie Poe, jeśli pan pozwoli.

Poe zatrzymał się tak szybko, że idący za nim kadet ledwo uniknął zderzenia.

— Sir?

Mrużąc oczy, skierował na nas wzrok. Jego białe od kredy dłonie przesunęły się po skórzanym daszku czako.

— Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Usta ułożył w wąską linię i podszedł do nas, kręcąc głową, kiedy ostatni z jego kolegów wymaszerował z sali.

— Może pan usiąść, panie Poe.

Zauważyłem, że kiedy Hitchcock wskazywał kadetowi miejsce w ławce, jego głos był jeszcze łagodniejszy niż zwykle. Nie można być zanadto surowym wobec kogoś, od kogo otrzymało się dwa tomiki poezji.

— Pan Landor chciałby panu zająć kilka minut pańskiego czasu — powiedział komendant. — Już pana zwolniliśmy z przedobiedniego apelu, więc może pan przyjść do kantyny po zakończeniu rozmowy. Czy będzie mnie pan jeszcze potrzebował, panie Landor?

— Nie, dziękuję.

— W takim razie, panowie, życzę wam miłego dnia.

Tego się nie spodziewałem: Hitchcock usunął się ze sceny, a Bérard poszedł za nim, zostawiając nas dwóch w tym małym pomieszczeniu z wysypaną trocinami podłogą. Siedzieliśmy na ławkach i patrzyliśmy przed siebie, jak kwakrzy na spotkaniu.

W końcu powiedziałem:

— To była odważna inscenizacja.

— Odważna? — odpowiedział. — Robiłem tylko to, o co prosił monsieur Bérard.

— Założyłbym się o duże pieniądze, że czytał pan już kiedyś *Gila Blasa*. — Kątem oka dostrzegłem, że jego usta powoli się wydłużają. — Jest pan rozbawiony, panie Poe.

— Myślę tylko o moim ojcu.

— Starszym Poem?

— Starszym Allanie — powiedział. — Człowieku z gruntu merkantylnym. Kilka lat temu zastał mnie czytającego *Gila Blasa* w jego salonie. Chciał wiedzieć, dlaczego marnuję czas na takie bzdury. I oto jesteśmy teraz — pociągnął dłoń wokół siebie — w krainie inżynierów, gdzie Gil Blas jest królem. — Uśmiechnął się przelotnie i zatrzepotał smukłymi palcami. — Rzecz jasna, tłumaczenie Smolletta ma swoje uroki, ale on za dużo dodaje od siebie, prawda? Jeśli będę miał czas tej zimy, napiszę własną wersję. Pierwszy egzemplarz trafi do pana Allana.



Wyjąłem szczyptę tabaki i włożyłem ją do ust. Słodko-korzenny sok rozlał się po policzkach i poczułem mrowienie w tylnych zębach.

— Jeśli któryś z pańskich kolegów o to zapyta — powiedziałem — proszę mu powiedzieć, że to było rutynowe przesłuchanie. Rozmawialiśmy wyłącznie o pańskiej znajomości z Leroyem Fryem.

— Nie było żadnej znajomości — powiedział. — Nie znałem go.

— W takim razie zostałem wprowadzony w błąd. Powie pan kolegom, że pośmialiśmy się z tego i rozstaliśmy się w dobrych stosunkach.

— Jeśli nie chodzi o przesłuchanie, to o co chodzi?

— O ofertę. Zatrudnienia. — Spojrzał mi prosto w twarz. Nic nie powiedział. — Zanim przejdę dalej — powiedziałem — muszę pana poinformować, już patrzę, że „to stanowisko jest uwarunkowane zadowalającym wypełnianiem pańskich obowiązków kadeta”. I „gdyby na jakimkolwiek etapie opuszczał się pan w rzeczonych obowiązkach, stanowisko to zostanie panu odebrane”. — Zerknąłem na niego, zanim dodałem: — Pułkownik Thayer i kapitan Hitchcock mają to panu do przekazania.

Nazwiska te wywarły zamierzony efekt. Zgadywałem, że większość *plebe* — nawet ten konkretny, który domagał się od świata rozmaitych hołdów — sądzi, że przełożeni ich nie zauważają. Od momentu, kiedy się dowiadują, że jest inaczej, dokładają wszelkich starań, aby stać się godnymi tej uwagi.

— Nie otrzyma pan żadnego wynagrodzenia — ciągnąłem. — Żeby była jasność. I nie będzie się pan mógł tym przechwalać. Żaden z kolegów z pańskiego rocznika nie może się dowiedzieć, co pan robi, dopóki nie będziemy mieli tej sprawy dawno za sobą. A jeśli się dowiedzą, to z pewnością będą przeklinać pańskie imię.

Poczęstował mnie leniwym uśmiechem. Jego szare oczy zaiskrzyły.

— Pańskiej propozycji nie sposób się oprzeć, panie Landor. Proszę powiedzieć mi więcej.

— Panie Poe, kiedy nie tak dawno temu pracowałem w nowojorskiej

policji, byłem w pożałowania godnym stopniu zależny od informacji. Nie gazetowych, lecz pochodzących od ludzi. Ludzie, którzy mi te informacje przynosili, prawie nigdy nie należeli do kategorii, nazwijmy to, kulturalnych. Nie zaprosiłoby się ich na kolację ani nie poszło z nimi na koncert, w ogóle nie chciałoby się pokazywać z nimi publicznie. Zatwardziali przestępcy, głównie złodzieje, paserzy, oszuści, za dwa centy pieniędzy sprzedaliby własne dzieci albo matki, przy czym matki by zmyślili, gdyby ich nie mieli. I nie znam ani jednego policjanta, który nie korzystałby z ich usług.

Głowa Poego była pochylona nad jego dłońmi, kiedy rozważał moje słowa. W końcu odezwał się powoli, sylaba po sylabie, jakby za każdym razem czekał na echo:

— Chce mnie pan zatrudnić jako szpicla.

— Jako obserwatora, panie Poe. Innymi słowy, chcę, aby pan nadal robił to, co już pan robi.

— A co mam obserwować?

— Tego panu nie powiem.

— Dlaczego?

— Bo sam jeszcze nie wiem. — Wstałem i podszedłem do tablicy. — Mogę panu opowiedzieć historię, panie Poe? Kiedy byłem chłopcem, ojciec zabrał mnie do Indiany na spotkanie religijne. Można powiedzieć, że też zbierał informacje. Patrzyliśmy na te piękne młode kobiety, które szlochały i jęczały w religijnej ekstazie, krzycząc na cały głos. Cóż za zgiełk! Kaznodzieja, wspaniała, prawy jegomość, wprawiał je w stan takiego pobudzenia, że po pewnym czasie padały jak długie z wyczerpania. Pomyślałem sobie wtedy, jakie mają szczęście, że są wokół nich ludzie, którzy mogą je złapać, bo nigdy nie patrzyły, gdzie się przewracają. Z wyjątkiem jednej: ona zachowała się trochę inaczej, a mianowicie nieznacznie przekręciła głowę, zanim upadła. Widzi pan, chciała sprawdzić, kto ją złapie. No i kto się okazał tym szczęściarzem? Oczywiście sam pan kaznodzieja! Z otwartymi ramionami powitał ją w królestwie Bożym. — Przeciągnąłem dłonią po tablicy, poczułem

jej szorstką powierzchnię. — Sześć miesięcy później kaznodzieja z nią uciekł. Ale najpierw przewidująco zabił swoją żonę. Bo widzi pan, nie chciał być bigamistą. Złapano ich kilka mil na południe od granicy kanadyjskiej. Wcześniej nikt nie miał pojęcia, że byli kochankami. To znaczy nikt oprócz mnie, a chyba nawet ja... Chyba nawet ja o tym nie wiedziałem, tylko to zobaczyłem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, co widzę.

Odwrociłem się i stwierdziłem, że Poe patrzy na mnie z sardonycznym uśmiechem.

— I w tym momencie — powiedział — narodziło się powołanie.

Niezwykła rzecz. Kiedy inni kadeci rozmawiali ze mną w cztery oczy, bali się mnie prawie tak samo jak komendanta. Tymczasem Poe w ogóle nie czuł przede mną strachu. Naszą znajomość od początku cechowała... no może nie zażyłość, ale powinowactwo duchowe.

— Mogę pana o coś zapytać? — powiedziałem. — Kiedy włączył się pan tamtego dnia w formację marszową...

— Tak?

— Ten młody człowiek na samym końcu kolumny, który maszerował w pojedynkę. Czy to pański kolega, może współlokator?

Dłuższa pauza.

— Współlokator — odparł powściągliwie Poe.

— Tak właśnie sądziłem. Bo widzi pan, odwrócił głowę, kiedy dołączył pan do kolumny, lecz w ogóle nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Wyciągnąłem z tego wniosek, że się pana spodziewał. Jest pańskim kolegą, panie Poe, czy może dłużnikiem?

Poe odchylił głowę do tyłu i wpatrywał się sufit.

— Jednym i drugim — odpowiedział i westchnął. — Piszę za niego listy. — Listy? — Jared ma pośród pustkowi Karoliny Północnej kochanicę. Są zaręczeni i kiedy Jared skończy studia, wezmą ślub. Samo jej istnienie jest wystarczającym powodem do jego zwolnienia ze służby.

— W takim razie dlaczego pisze pan za niego listy?

— Bo jest w najlepszym razie półanalfabetą. Nie poznałby dopełnienia dalszego, gdyby mu wlażło do nosa. Z drugiej strony, ładnie pisze, panie Landor. Ja mu tylko przygotowuję jego *billets-doux*, a on je przepisuje.

— I ona wierzy, że to on napisał?

— Zawsze dbam o to, aby wrzucić jakieś niezręczne zdanie czy wsiowy błąd ortograficzny. Traktuję to jako stylistyczne wyzwanie.

Usiadłem na ławce naprzeciwko niego.

— No proszę, panie Poe. Dowiedziałem się dziś czegoś bardzo interesującego. A wszystko dlatego, że przyłapałem człowieka na odwracaniu głowy. Tak jak pan przyłapał kadeta Loughborougha na tym, że myli kroki na apelu.

Parsknął śmiechem, wpatrując się w swoje buty, a potem powiedział na wpół do siebie:

— Potrzeba kadeta, żeby złapać kadeta.

— Prawdę rzekłszy, jeszcze nie wiemy, czy ten, kogo szukamy, jest rzeczywiście kadetem. Bardzo by się jednak przydało mieć kogoś wewnątrz. A nie przychodzi mi do głowy nikt lepszy od pana ani też nikt, kto bardziej by się ucieszył z tego zadania.

— I taki byłby zakres mojej misji? Obserwować?

— Z upływem czasu będziemy dokładniej wiedzieli, czego szukamy, a pan skieruje oczy we właściwym kierunku. Tymczasem chciałem panu coś pokazać. To jest fragment wiadomości, którą znalazłem przy zwłokach Frya. Chciałbym, aby pan spróbował ją odszyfrować. Naturalnie — dorzuciłem — musi pan pracować jak najdyskretniej. I jak najprecyzyjniej. Precyzji nigdy nie za wiele.

— Rozumiem.

— Precyzja to podstawa.

— Rozumiem.

— A teraz, panie Poe, dotarliśmy do punktu, w którym musi pan powiedzieć tak albo nie.

Wstał, po raz pierwszy od początku naszej rozmowy. Podszedł do okna i wyglądął na zewnątrz. Nie będę próbował zgadywać, jakie kłębiły się w nim uczucia, ale jedno powiem: wiedział, że im dłużej będzie stał przy oknie, tym silniejszy będzie efekt.

— Odpowiedzi brzmi „tak” — powiedział w końcu. Odwrócił się do mnie z krzywym uśmiechem na twarzy. — Będzie to dla mnie perwersyjny zaszczyt, panie Landor, zostać pańskim szpiegiem.

— A dla mnie nie mniejszym zaszczytem będzie zostać pańskim oficerem prowadzącym.

Na znak porozumienia uścisnęliśmy sobie dłonie. Był to najbardziej formalny gest w całej historii naszej znajomości. Obaj wyszarpnęliśmy dłonie, jakbyśmy już naruszyli jakiś punkt regulaminu.

— Dobra — powiedziałem — pewnie pójdzie pan teraz na kolację. Może umówimy się na spotkanie po niedzielnym nabożeństwie? Sądzi pan, że uda się panu dotrzeć niepostrzeżenie do hotelu pana Cozzensa?

Skinął głową — dwa razy — a potem bez słowa ruszył w stronę wyjścia. Wyglądził mundur, włożył na głowę czako i pomaszerował w stronę drzwi.

— Mogę pana o coś zapytać, panie Poe?

Cofnął się o krok.

— Naturalnie.

— Czy to prawda, że jest pan mordercą?

Na jego twarzy wykwitł najbardziej spektakularny uśmiech, jaki w życiu widziałem. Wyobraź sobie, Szanowny Czytelniku, rządę tańczących w zębodołach ślicznych zębowych klejnotów.

— Trzeba być znacznie bardziej precyzyjnym, panie Landor.

# List Gusa Landora do Henry'ego Kirke Reida

*30 października 1830 roku*

*c/o Reid Inquiries, Ltd. 712 Gracie Street*

*Nowy Jork, Nowy Jork*

*Drogi Henry,*

*minęły wieki, odkąd się do Ciebie poprzedni raz odezwałem. Bardzo Cię przepraszam. Od przeprowadzki do Buttermilk Falls obiecuję sobie wyskoczyć do Nowego Jorku i złożyć Ci wizytę, ale dni mijają, statki przyplływają i odpływają, a Landor siedzi w domu. Może innym razem.*

*Tymczasem mam dla Ciebie zlecenie. Nie martw się, dobrze zapłacę, a ponieważ czas nagli, zapłacę nawet jeszcze trochę lepiej.*

*Twoje zlecenie, o ile je weźmiesz, będzie polegało na tym, żeby zebrać jak najwięcej informacji o niejakim Edgarze A. Poem, ostatnio zamieszkałym w Richmond. Obecnie jest kadetem z pierwszego rocznika w Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych. Wcześniej służył w armii. Ponadto opublikował dwa tomiki poezji — przy błogiej nieświadomości opinii publicznej. Oprócz powyższego dysponuję jedynie szkicowym obrazem jego osoby. Chciałbym, żebyś dowiedział się wszystkiego: historia rodzinna, wykształcenie, zatrudnienie, obecne uwikłania. Jeśli pozostawił gdzieś na świecie jakieś ślady, chciałbym, żebyś je znalazł.*

*Potrzebuję również wiedzieć, czy kiedykolwiek oskarżono go o przestępstwo. Na przykład morderstwo. Jak już mówiłem, sprawa jest pilna. Jeśli w ciągu czterech tygodni przekażesz mi wszystkie swoje odkrycia, będę Ci wdzięczny po wieczne czasy i poręcę za ciebie u bram niebios. (Nie ma sensu, abyś próbował odwzajemnić tę przysługę).*

*Jak zawsze wystaw mi rachunek za wszelkie wydatki.*

*I pozdrów ode mnie Rachel, żeby o mnie nie zapomniała! A kiedy będziesz mi odpisywać, opowiedz mi wszystko o tych nowomodnych „omnibusach”, które straszą teraz na ulicach miasta. Dotarły do mnie tylko fragmentaryczne informacje, z których jednak wyrozumiałem, że to koniec dorożek i cywilizacji. Proszę, uspokój mnie. Bez cywilizacji mógłbym się obejść, ale dorożki to inna para kaloszy.*

*Pozdrawiam*

*Gus Landor*

# List do Gusa Landora

*30 października 1830 roku*

*Szanowny Panie Landor,*

*zostawiam ten list dla Pana w Pańskim hotelu w oczekiwaniu na nasze następne spotkanie.*

*Pańskie żądanie precyzji — we wszystkim! — było dla mnie inspiracją do odgrzebania mojego sonetu, który być może uzna Pan za związany z tematem. (Nie zapominając oczywiście, że „nie przepada Pan za poezją”, jak Pan to raczył ująć).*

*O wiedzo, prawa córko dni dawno minionych,  
Która bystrym spojrzeniem zmieniasz wszelką istność!  
Czemu w serce poety zatapiasz swe szpony  
Jak sęp, którego skrzydłem twarda rzeczywistość?  
Jakże cię ma pokochać, jak twą mądrość cenić,  
Skoro w jego wędrówkach jesteś mu wędzidłem  
I bronisz skarbów nieba, co w blaskach się mieni,  
Choć już uniósł się w górę nieulękłym skrzydłem?  
Tyś wszak Dianę wstrzymała w jej zuchwalej jeździe,  
Tyś Dryjady wygnała z ich leśnej ochłody,  
Kaząc szukać schronienia na szczęśliwszej gwieździe!  
Toś ty wdzięczne Najady wypłoszyła z wody,  
Elfy z łąki Poej, a mnie, niby pliszkę,  
Z rozmarzenia w lipcowy dzień pod tamaryszkiem<sup>6</sup>.*

*Często wracam do tych słów, kiedy dusi mnie geometria sferyczna i algebra La Croix. (Gdybym miał napisać ten wiersz jeszcze raz, może zamieniłbym trochę pretensjonalne „toś ty” na bardziej zwyczajne „tyś to”).*



*Słowo ostrzeżenia, Panie Landor: Mam Panu do pokazania nową kompozycję — jeszcze nieukończoną. Sądzę, że mimo braku upodobania do poezji znajdzie Pan czas na jej lekturę i uzna, że ma ona niemałe znaczenie dla naszych dociekań.*

*Pański wierny sługa, E.P.*

# List do Edgara A. Poeego, kadeta z pierwszego rocznika

*31 października 1830 roku*

*Szanowny Panie Poe,*

*przeczytałem Pański wiersz z największą przyjemnością i — mam nadzieję, że mi Pan wybaczy — nie mniejszym zaskoczeniem. Obawiam się, że sprawy związane z nimfami i driadami przekraczają moje zrozumienie. Żałuję, że nie mam przy sobie mojej córki, żeby mi przetłumaczyła, ponieważ była na wskroś romantyczką i na wrywki znała Milтона. Mam nadzieję, że moje niedostatki nie powstrzymają Pana od dalszego przesyłania mi poezji, niezależnie od jej związku z interesującymi nas sprawami. Jak wszyscy ludzie pragnę się doskonalić i nie dbam o to, kto mi w tym pomaga.*

*Co się zaś tyczy wiedzy, błagam Pana, aby w żaden sposób nie wiązał Pan tego pojęcia z moją osobą.*

*Pozdrawiam serdecznie*

*G.L.*

*PS Przyjacielskie przypomnienie: mamy się spotkać w moim hotelu w niedzielę po południu, po nabożeństwie, w pokoju numer dwanaście.*

# „Poughkeepsie Journal” z rubryki „Rozmaitości”

31 października 1830 roku

*Szkoła ogłady.* Pani E.H. Putnam 30 sierpnia wznawia zajęcia w swojej szkole dla młodych dam przy White Street 20. Liczba uczennic na zajęciach z języka i literatury angielskiej, które osobiście prowadzi pani P., jest ograniczona do 30. Lekcje języka francuskiego, muzyki, rysunku i kaligrafii prowadzone są przez renomowanych nauczycieli.

*Makabryczna historia.* Krowę i owcę pana Eliasa Humphreysa z Haverstraw znaleziono w piątek w strasznym stanie. Zwierzęta uśmiercono metodą poderżnięcia gardła. Pan Humphreys donosi również, że oba te stworzenia brutalnie rozkrojono i wyjęto im serca. Po organach tych nie pozostał żaden ślad. Złoczyńcy nie udało się zidentyfikować. Do redakcji dotarły podobne doniesienia odnośnie do krowy znajdującej się w posiadaniu pana Josepha L. Roya, sąsiada pana Humphreysa. Doniesień tych nie udało się potwierdzić.

*Opłaty żeglugowe.* Do 1 września zebrano 514 000 dolarów opłat za korzystanie z kanałów stanowych, czyli około 100 000 dolarów więcej niż w roku...

# Opowieść Gusa Landora

## 9

*31 października*

**B**ydło i owce! — zawołał kapitan Hitchcock, wymachując gazetą jak kordelasem. — Zwierzęta gospodarskie składa się teraz w ofierze. Czy mamy prawo uznać, że jakiegokolwiek stworzenie Boże jest bezpieczne przed tym szaleńcem?

— Lepiej, że krowy niż kadeci — odparłem.

Zastrzygł nozdrzami jak byk — znowu się przekonałem, jak wygląda życie kadeta.

— Błagam pana, kapitanie, niech pan się niepotrzebnie nie unosi. Jeszcze nie wiemy, czy to ten sam człowiek.

— Byłby to nadzwyczajny zbieg okoliczności!

— W takim razie cieszymy się przynajmniej z tego, że przeniósł swoje działania gdzie indziej.

Za zmarszczonymi brwiami Hitchcock przeciągnął nerwowo palcem po swojej paradnej szpadzie.

— Haverstraw nie jest tak daleko stąd — powiedział. — Kadet dotrze tam w godzinę, a może nawet szybciej, jeśli ukradnie konia!

— Ma pan rację — powiedziałem. — Kadet łatwo tam dotrze. — Może rzeczywiście chciałem sprowokować tego dzielnego żołnierza i wspaniałego Amerykanina, bo inaczej dlaczego miałbym dorzucić: — Albo oficer.

Jedyną nagrodą za moje starania było lodowate spojrzenie i potrząśnięcie głową. A następnie seria szybkich pytań. Przeszukałem lodownię? Tak. Co tam znalazłem? Mnóstwo lodu. Co jeszcze? Nie znalazłem żadnego serca ani żadnych poszlak.

No dobra, a rozmawiałem z wykładowcami? Tak, rozmawiałem. Co mi powiedzieli? Powiadomili mnie o stopniach otrzymanych przez Leroya Frya z mineralogii i technik pomiarowych oraz powierzyli mi informację, że lubił orzeszki hikorowe. A swoimi hipotezami mogliby wypełnić całe jaskinie. Porucznik Kinsley poradził mi sprawdzić położenie gwiazd. Profesor Church dopytywał, czy słyszałem o pewnych drastycznych praktykach druidów. Kapitan Aeneas MacKay, kwatermistrz, zapewnił mnie, że kradzież serca to rytuał inicjacyjny w niektórych plemionach seminolskich (również tych współczesnych).

Hitchcock wciągnął to wszystko przez mocno zaciśnięte usta, po czym wydmuchał z powolnym sykiem.

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, panie Landor, że mój niepokój nie przestaje wzrastać. Najpierw młody człowiek, potem para czworonogów. Musi być jakiś związek między nimi, a ja żadnego związku nie widzę. Choćbym nie wiem jak długo główkował, ni w ząb nie rozumiem, co można by zrobić z tymi wszystkimi...

— Z tymi wszystkimi sercami — dokończyłem za niego. — Ma pan rację, osobliwa sprawa. Niech pan sobie wyobrazi, że według mojego przyjaciela Poego jest to dzieło poety.

— Być może zatem — powiedział Hitchcock, bezceremonialnie otrzepując rękaw munduru — powinniśmy pójść za radą naszego przyjaciela Platona i skazać wszystkich poetów na banicję. Zaczynając od pana Poego.

Było chłodno i niedziela nie miała końca. Siedziałem sam w pokoju hotelowym. Podciągnąłem dolną kwaterę okna i wychyliwszy się nieznacznie, mogłem zobaczyć całą drogę aż do Newburgha i góry Shawangunk w tle. Chmury były postrzępione jak kołnierze, słońce ułożyło wzdłuż Hudsonu aleję blasku, a od strony wąwozów hulały fale wiatru, odciskając na tafli wody niewielkie wiry.

No i patrzcie, parowiec Palisado przybył zgodnie z rozkładem! Cztery godziny wcześniej wypłynął z Nowego Jorku i właśnie zbliżał się do przystani

w West Point. Na każdym pokładzie tłoczyli się pasażerowie, przyciśnięci do siebie mocniej niż kochankowie, pochyleni nad relingami i przykucnięci pod markizami. Różowe kapelusze, turkusowe parasole i strusie pióra w kolorze najgłębszego fioletu — sam Bóg nie skomponowałby bardziej harmonijnej palety barw.

Zabrzmiał gwizdek, w powietrze wzbił się całun pary wodnej załoga zajęła miejsca wzdłuż trapów. Zobaczyłem maleńki jol, który opuszczono na wodę. Obciążony walizami i pasażerami, dygotał jak liść osiki na wietrze. Byli to kolejni turyści, którzy chcieli zwiedzić królestwo Sylvanusa Thayera. Wychyliłem się jeszcze bardziej, aby nie stracić ich z pola widzenia...

I wtedy sobie uświadomiłem, że oni patrzą na mnie.

Tak, ich twarze były zwrócone ku górze, a operowe i myśliwskie lornetki skierowane na moje okno. Wstałem z krzesła i odstałem do tyłu, aż w końcu prawie zniknęli mi z pola widzenia. Mimo to nadal miałem wrażenie, że ścigają mnie po pokoju, w związku z czym byłem już gotów zamknąć okno i okiennice, kiedy zobaczyłem dłoń — jedną ludzką dłoń — która szukała oparcia na framudze!

Nie krzyknąłem. Sądzę, że nawet się nie poruszyłem. Przypominam sobie jedynie uczucie ciekawości, porównywalne do tego, co zapewne czuje żołnierz piechoty na widok zmierzającej w stronę jego głowy kuli armatniej. Stałem pośrodku pokoju i patrzyłem, jak druga dłoń — siostra bliźniaczka pierwszej — chwyta za słupek. Usłyszałem ciche, zduszone stęknienie i czekałem ze wstrzymanym oddechem, kiedy odwrócony do góry dnem skórzany garnek, nieznacznie przekrzywiony, przecisnął się przez framugę okna. W jego ślady poszła wilgotna grzywa czarnych włosów i para wybałuszonych szarych oczu, tudzież rozdętych z wysiłku nozdrzy. Aha, no i dwa śliczne rządki zgrzytających zębów.

Kadet z pierwszego rocznika Poe, do moich usług.

Bez słowa dźwignął tors przez otwarte okno... odetchnął chwilę... i wciągnął za sobą nogi, aby ostatecznie runąć jak tłumok na podłogę.

Natychmiast zerwał się na nogi, zdjął czapkę, aby przeciągnąć dłonią po włosach i ponownie uraczył mnie tym afektowanym europejskim ukłonem.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział zdyszany. — Mam nadzieję, że nie musiał pan długo czekać. — Nie odrywałem od niego oczu. — No przecież mamy spotkanie. Zaraz po nabożeństwie, jak sam pan zaproponował.

Podszedłem do okna i spojrzałem w dół. Hotel miał trzy kondygnacje, a poniżej ciągnęło się trzydziestometrowe urwisko zakończone kamieniami i rzeką.

— Imbecyl! — powiedziałem. — Przeklęty dureń!

— To pan nalegał, abym przyszedł za dnia, panie Landor. Jakim innym sposobem miałem wejść niepostrzeżenie?

— Niepostrzeżenie? — Z hukiem opuściłem dolną kwaterę okna. — Nie sądzi pan, że musiał pana zauważyć każdy pasażer parowca? Wspinać się po fasadzie hotelu! Nie zdziwiłbym się, gdyby zaalarmowano już strażę.

Podszedłem do drzwi na wypadek, gdyby za chwilę do pokoju miał wtargnąć oddział kanonierów. Nie wtargnął i z niejakim rozczarowaniem poczułem, że gniew ze mnie opada. Zdołałem tylko burknąć:

— Mógł pan się zabić.

— To wcale nie tak wysoko — odparł najzupełniej poważnym tonem. — A nie chwaląc się, panie Landor, muszę panu powiedzieć, że jestem wyśmienitym pływakiem. W wieku piętnastu lat przepłynąłem siedem i pół mili rzeką James, w gorącym czerwcowym słońcu i pod prąd, który miał prędkość trzech mil na godzinę. W porównaniu do tego przepłynięcie Hellespontu przez Byrona to była bułka z masłem.

Otarł czoło, po czym zapadł się w fotel bujany pod oknem. Pociągał za kolejne palce aż mu kłykcie strzelały — przypominało to odgłos palców Leroya Frya, kiedy je odłamywałem.

— Niech mi pan powie — rzuciłem, siadając na końcu łóżka — skąd pan wiedział, który pokój jest mój.

— Zobaczyłem pana z dołu. Rzecz jasna, próbowałem przyciągnąć pana

uwagę, ale był pan czymś bardzo zaabsorbowany. W każdym razie z przyjemnością donoszę, że udało mi się odszyfrować wiadomość, którą mi pan dał.

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął skrawek papieru, wciąż sztywny od długiej kąpieli alkoholowej. Starannie go rozłożył, rozpostarł na łóżku, przykucnął na podłodze i przebiegł palcem wskazującym po rządkach liter.

ŻYM

CIE

BĄDŹ P

DŹ

— Czy mam zacząć od przedstawienia panu etapów mojej pracy dedukcyjnej, panie Landor? — Nie czekał na moje przyzwolenie. — Zaczniemy od samej notki. Co możemy o niej powiedzieć? Jest to wiadomość odręczna, a zatem bez wątpienia osobistej natury. Leroy Fry miał ją przy sobie w chwili śmierci, z czego możemy wywnioskować, że ta karteczka wystarczyła do wyciągnięcia go w tamtą noc z koszar. Zważywszy, że resztę wiadomości wyrwano mu z dłoni, mamy prawo sądzić, że notka w jakiś sposób *wskazywała* nadawcę. Użycie dosyć koślawych majuskuł sugeruje również, że nadawca chciał ukryć swoją tożsamość. Jakie z tego płyną wnioski? Może to było jakiegoś rodzaju zaproszenie? A może trafniej byłoby to nazwać pułapką? — Przed tym ostatnim słowem zawiesił na chwilę głos, co dowodziło, że świetnie się bawi. — Mając to na względzie, skupmy nasze wysiłki na trzeciej linijce naszego tajemniczego fragmentu. Nagrodą będzie dla nas jedyne słowo, o którym z dużą dozą pewności wiemy, że pojawia się w całości: *bądz*. Są co prawda inne możliwości, ale mamy prawo podejrzewać, że znaleźliśmy się w sferze trybu rozkazującego. Nadawca życzy sobie, aby Leroy Fry był kimś albo, co bardziej prawdopodobne, był jakiś. Przy czym



odnośny przymiotnik rozpoczyna się na literę P. POKORNY? POMOCNY? Taka fraza raczej nie pojawiłaby się w zaproszeniu. Nie, nadawca pragnął obecności Leroya Frya w określonym czasie i miejscu, co można w tym kontekście oddać jednym słowem: PUNKTUALNY. — Wyciągnął przed siebie dłoń, jakby leżały na niej litery. — Mamy zatem dwa słowa, panie Landor: BĄDŹ PUNKTUALNY. Osobie, która to napisała, najwyraźniej zależało na tym, aby nie tracić niepotrzebnie czasu. A w którym miejscu najlepiej to dodatkowo podkreślić, jeśli nie w czwartej i, o ile nam wiadomo, ostatniej linijce? Wzmacniającej to, co zostało wcześniej powiedziane? Zaczniemy od enigmatycznego DŹ. Po drugiej literze mamy odstęp, a zatem jest to końcówka jakiegoś słowa. Nie musimy daleko szukać, aby znaleźć odpowiedniego kandydata. Leroy Fry ma PÓJŚĆ w określone miejsce, ale z punktu widzenia nadawcy... Już się pan domyśla, panie Landor, powinien tam PRZYJŚĆ. Wykonał dłonią przyzywający gest. — PRZYJDŹ, LEROY. A skoro to już ustaliliśmy, wydedukowanie następnych słów nie nastreczy nam żadnych trudności: PRZYJDŹ JAK NAJSZYBCIEJ. Voilà! Nasza mała wiadomość otwiera się przed nami: „BĄDŹ PUNKTUALNY, PRZYJDŹ JAK NAJSZYBCIEJ”. A może nawet, zależnie od stopnia pilności, „BEZZWŁOCZNIE”. — Klasnął w dłonie i skłonił głowę. — Proszę bardzo, panie Landor, oto rozwiązanie naszej *petit énigme*. Które składam panu u stóp.

Spodziewał się czegoś — może okłasków. Wynagrodzenia? Salwy armatniej? Z uśmiechem ograniczyłem się do tego, że wziąłem wiadomość do ręki.

— Pierwszorzędna robota, panie Poe. Absolutnie pierwszorzędna. Szczerze panu dziękuję.

— A ja dziękuję panu za zaproponowanie mi tak przyjemnej rozrywki. — Opuścił się z powrotem na fotel bujany i położył obutą stopę na parapecie. — Aczkolwiek dosyć krótkiej.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę doceniam... Aha, jeszcze jedna rzecz, panie Poe.

— Tak?

— Poczył pan jakieś postępy z pierwszymi dwiema linijkami?

Zbył moje pytanie ruchem dłoni.

— Nie, do niczego nie doszedłem. ŻYM z pierwszej linijki może być równie dobrze końcówką przymiotnika typu „dużym”, jak i fragmentem czasownika typu „zdążymy”, co nieszczególnie zawęża obszar poszukiwań. Co się tyczy drugiej, CIE, narzuca się U CIEBIE. A ponieważ w ostatnich linijkach nadawca zaprasza Leroya do SIEBIE, nie potrafię dojść z tym do ładu, panie Landor.

— Hmm. — Podszedłem do stolika nocnego po plik kredowego papieru i pióro. — Jak u pana z ortografią, panie Poe?

Uniósł się nieznacznie.

— Najwyższej rangi autorytet, a mianowicie wielebny John Bransby ze Stoke Newington, uznał mnie za bezbłędnego ortografa.

Widzicie? Poe nie uznawał zwykłego „tak” lub „nie”. Wszystko musiało być zaprawione aluzjami, odwołaniami do autorytetów... i to jakich! John Bransby? Stoke Newington?

— Zakładam więc, że nie ma pan problemu, który nęka większość z nas.

— A mianowicie?

— Nie popełnia pan szkolnych błędów. Mam tu na myśli na przykład mylenie „rz” i „ż”.

Pochylił głowę nad papierem, po czym wzruszył ramionami.

— Istna plaga. Mój współlokator popełnia takie błędy dziesięć razy dziennie. A raczej popełniałby, gdyby sam pisał swoje listy.

— A gdyby nasz autor notatki był, powiedzmy, bardziej podobny do pańskiego współlokatora, a mniej do pana? Gdyby w zaproszeniu było nie „ŻYM” tylko „RZYM”? „UJRZYMY SIĘ” pasowałyby do zaproszenia, prawda, panie Poe? W dalszej części zdania podana jest zapewne godzina, o której mieli się zobaczyć, na przykład o jedenastej. — Przytaknął. — Jest tylko jeden problem. Nadal nie wiemy, gdzie mieli się spotkać, prawda?

Dysponujemy tylko literami CIE, które dotychczas interpretowaliśmy jako początek słowa CIEBIE. Czy na terenie Akademii jest jakieś miejsce, którego nazwa zawierałaby cząstkę CIE?

Spojrzał za okno, jakby szukał tam odpowiedzi.

— Wiemy, że zmierzał nad rzekę... Już wiem, gdzie pobłądziłem! Szukałem mianownika, a przecież mieli się zapewne spotkać NA POMOŚCIE!

— NA POMOŚCIE! Doskonały wybór, panie Poe. Spotkajmy się NA POMOŚCIE. Ale pomosty są dwa, prawda? Oba strzeżone przez Drugą Artylerię, o ile mi wiadomo. Warunki niezbyt dyskretne, co?

Zastanowił się chwilę. Rzucił mi badawcze spojrzenie, zanim odważył się odezwać.

— Jest taka zatoczka — powiedział w końcu. — Niedaleko od North Landing. Pan Havens przywozi tam swoje towary.

— A precyzyjniej mówiąc, Patsy przywozi tam gorzałę. Musi to być zatem dość ustronne miejsce. Znają je pańscy koledzy kadeci?

Wzruszył ramionami.

— Zna je każdy, kto kiedykolwiek przemycał piwo lub whisky.

— No to mamy prowizoryczną wersję rozwiązania naszej małej zagadki: UJRZYMYSIĘ DZISIAJ O JEDENASTEJ W NOCY. BĘDĘ W ZATOCZCE PRZY POMOŚCIE. Enigmatyczna ostatnia linijka zawiera wezwanie, aby się nie spóźnił czy coś w tym rodzaju. To nam na razie wystarczy. Leroy Fry dostaje tej treści zaproszenie i czuje się zobligowany je przyjąć. A jeśli uwierzymy w zeznania pana Stoddarda, przyjmuje je z radością. Żartuje sobie, mówiąc, że to „pilna sprawa”. Czy coś to panu sugeruje, panie Poe?

Jego usta jakby się zaokrągliły, a brwi uleciały do góry jak latawiec.

— Sądzę, że to wskazuje na kobietę.

— A tak. Kobieta. Bardzo ciekawa teoria. Jak wiemy, list napisano majuskułą, jak pan to nazywa, co utrudnia rozpoznanie płci nadawcy, prawda? Mamy prawo sądzić, że Leroy Fry wyruszył tego wieczoru w drogę

w przekonaniu, że w zatoczce przy pomoście czeka na niego kobieta. Mamy też prawo sądzić, że istotnie tak było. — Usiadłem na łóżku, wsunąłem za plecy poduszkę i oparłem się o wezgłowie. Spuściłem wzrok na swoje sfatygowane buty. — Ten problem rozstrzygniemy kiedy indziej. A tymczasem, panie Poe, nie potrafię wprost wyrazić... Chcę powiedzieć, że jestem panu niezmiernie wdzięczny za pomoc.

Jeśli się spodziewałem, że przyjmie moje podziękowania i najspokojniej w świecie wyjdzie... Nie, chyba jednak w najśmielszych marzeniach się tego nie spodziewałem.

— Pan wiedział — powiedział cicho.

— Co wiedziałem, panie Poe?

— Jakie jest rozwiązanie zagadki. Od samego początku.

— Miałem tylko pewne przypuszczenia, to wszystko.

Umilkł na dłuższą chwilę, a ja zadawałem sobie pytanie, czy na dobre go nie straciłem. Mógł się zbuntować przeciwko temu, że ktoś go pokonał. Mógł oskarżyć mnie o to, że specjalnie go ośmieszyłem (a nie tak było, Landor?). Mógł nawet całkowicie zerwać nasze porozumienie.

Nic z tych rzeczy. Wspinaczka zmęczyła go bardziej, niż przyznawał, toteż siedział bez ruchu na fotelu bujanym, w ogóle się nie bujając — a kiedy rzucałem w jego stronę jakieś uwagi, odpowiadał mi rzeczowo i bez poetyckich wzlotów. W ten sposób spędziliśmy godzinę, na początku mówiąc niewiele, a później, w miarę jak odzyskiwał siły, mówiąc coraz więcej o Leroyu Fryu.

Po śmierci jakiejś osoby często ubolewałem nad tym, że o zmarłych najchętniej wypowiadają się ludzie, którzy najmniej ich znali — to znaczy ci, którzy znali ich w ostatnich miesiącach życia. Zawsze uważałem, że aby odkryć tajemnice człowieka, trzeba cofnąć się do dnia, kiedy miał sześć lat i posikał się w klasie albo kiedy jego ręka po raz pierwszy znalazła drogę do genitaliów... Te wstydlive małe rzeczy krętymi drogami prowadzą do wielkich.

W każdym razie koledzy kadeta Leroya Frya zgodnie wypowiadali się tylko w jednej sprawie: że był małomówny i wszystko trzeba było z niego wyciągać. Zrelacjonowałem Poemu słowa Loughborougha o tym, że Fry wpadł w złe towarzystwo („wplątał się w bandę drani”), a potem szukał pociechy w religii, co skłoniło nas do rozważań o tym, jakiej pociechy mógł szukać w noc z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego października.

A potem nasza rozmowa zeszła na inne tematy — najprzeróżniejsze. Nie umiem powiedzieć, jakie to były tematy, bo około drugiej po południu zasnąłem. Przedziwna rzecz. W jednej chwili jeszcze mówiłem, cokolwiek rozleniwiony w głowie, ale mówiłem, a w następnej siedziałem w pogrążonym w półmroku pokoju — w miejscu, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Za zasłonami trzepotał nietoperz albo ptak, a moje ramię pieściła kobieca halka. Powietrze na moich palcach było zimne, coś drażniło mnie w nozdrza, a z sufitu zwisało pnącze, które łaskotało mnie w łysinę — miałem wrażenie, że to nie pnącze, tylko czyjaś ręka.

Ocknąłem się, łapiąc powietrze... i zobaczyłem, że on nadal mnie obserwuje. Kadet z pierwszego rocznika Poe, do moich usług. Miał wyczekującą minę, jakbym opowiadał mu dowcip albo historię.

— Bardzo przepraszam — wymamrotałem.

— Nie ma za co.

— Nie wiem, co...

— Bez obawy, panie Landor, mnie samemu muszą wystarczyć najwyżej cztery godziny snu. Konsekwencje bywają tragiczne. Pewnej nocy zasnąłem na warcie i przez godzinę zachowywałem się jak somnambulik. Podobno niewiele brakowało, abym strzelił do innego kadeta.

— No cóż — powiedziałem, wstając — trzeba ruszać w drogę, zanim ja zacznę strzelać do kadetów. Poza tym muszę przed nocą dotrzeć do domu.

— Chętnie bym go kiedyś zobaczył.

Powiedział to swobodnym tonem, nie patrząc na mnie, jakby chciał zasugerować, że jest mu najzupełniej obojętne, czy spełnię jego prośbę.

— Sprawiłoby mi to ogromną przyjemność — odparłem i zobaczyłem, że Poe pojaśniał na twarzy. — A teraz, panie Poe, gdyby pan był łaskaw opuścić ten pokój drzwiami, a następnie zejść schodami, zaoszczędziłby pan staremu człowiekowi wielu niepotrzebnych zmartwień.

Przechylił fotel bujany do przodu, po czym wstał etapami.

— Nie tak znowu staremu — powiedział.

Przyszła kolej na mnie, żeby pojaśnić na twarzy: moje policzki prawie niezauważalnie się zarumieniły. Kto by pomyślał, że tak łatwo mi pochlebić?

— Bardzo pan uprzejmy, panie Poe.

— Ależ skąd.

Spodziewałem się, że wyjdzie, ale on miał inne plany. Ponownie sięgnął do kieszeni płaszcza. Ponownie wyjął kartkę papieru — schludniejszy okaz, złożony jednokrotnie — po której rozłożeniu moim oczom ukazało się ładne odręczne pismo. Z trudem powstrzymując drżenie głosu, powiedział:

— Jeśli rzeczywiście szukamy kobiety, panie Landor, to niewykluczone, że ją widziałem.

— Naprawdę?

Jak się szybko przekonałem, Poe miał to do siebie, że kiedy był podekscytowany, mówił bardzo cicho, z jego ust wychodziło skrzeczące, nie zawsze zrozumiałe mamrotanie. Jednak przy tej okazji słyszałem każde słowo.

— Rano w dzień śmierci Leroya Frya — powiedział — zanim się dowiedziałem o tej tragedii, obudziłem się i natychmiast skomponowałem pierwsze wersy poematu — wersy, które mówią o tajemniczej kobiecie i niejasnym, ale głębokim cierpieniu. Oto wyniki mojej pracy.

Przyznam, że z początku się opierałem. Przeczytałem już dostatecznie dużo jego poezji, aby wiedzieć, że mnie nie porusza. Ale ponieważ nie dawał za wygraną, wziąłem kartkę z jego ręki i przeczytałem:

*Między splendorem czerkieskich gajów*

*W strumieniu niebem ciemno nakrapianym*

*I hojnie księżycą blaskiem oblanym  
Ateny służki śpiewały peany  
Gibkie i płocze u brzegu ruczaju.  
Tam to smutna siedziała o zmroku  
Do nieba wołając cna Leonora  
Hen gdym tam zaszedł niegdyś z wieczora  
Pannie uległem o błękitnym oku  
Pannie uległem z okiem upiora.*

— Rzecz jest oczywiście niedokończona — powiedział.

— Rozumiem. — Na powrót wręczyłem mu kartkę. — Ale dlaczego pan uważa, że ten wiersz ma związek z Leroyem Fryem?

— Nie wyczuwa pan tej subtelnej atmosfery utajonej przemocy... sugestii niewypowiedzianej udreki? Nieznajoma kobieta. No i moment powstania wiersza, panie Landor — to nie mógł być przypadek.

— Mógł się pan obudzić dowolnego ranka i go napisać, nieprawdaż?

— Owszem, ale ja go nie napisałem.

— Sądziłem, że to pański...

— Chcę powiedzieć, że został mi *podyktowany*.

— Przez kogo?

— Przez moją matkę.

— No dobrze — odparłem głosem niebezpiecznie podszytym śmiechem — w takim razie musimy koniecznie zapytać pańską matkę. Z pewnością nam wyjaśni wiele okoliczności tego morderstwa.

Nigdy nie zapomnę jego zbulwersowanego spojrzenia wyrażającego zdumienie faktem, że zapomniałem o czymś, co powinno być mi równie znajome jak moje własne imię.

— Ona nie żyje, panie Landor. Od prawie siedemnastu lat.

# Opowieść Gusa Landora

10

*1 listopada*

Nie, tutaj... tak jest... trochę niżej... o, tak dobrze, Gus... Mmm. Jeśli chodzi o kobiece tajemnice, nie ma to jak odrobina instruktażu. Przez niemal dwadzieścia lat byłem żonaty z kobietą, która udzielała mi w tym względzie wskazówek tylko niejasnymi uśmiechami. Rzecz jasna, w tamtych czasach mężczyzna więcej nie potrzebował. Tymczasem Patsy... Wystarczy powiedzieć, że mimo moich czterdziestu ośmiu lat czuję się przy niej trochę jak ci kadeci, którzy robią do niej maślane oczy. Patsy prowadzi mnie za rękę. Dosiada mnie równie bezceremonialnie jak mulnik swojego wierzchowca i wciąga mnie całego. W jej ruchach jest coś marynistycznego — Patsy kojarzy się z morzem, którego wody odwiecznie falują. A jednocześnie jest to istota z gruntu ziemską — duża, owłosiona na ramionach dziewczyna z solidnymi pośladkami, wydatnym biustem i biodrami, krótkonoga. Kiedy ją obejmuję, przez krótką chwilę mam wrażenie, że to udo, ten miękki, mączny brzuch są moje i nic ani nikt mi ich nie odbierze. Powiedziałbym, że tylko w jej oczach, dużych, karmelowych i ślicznych, jest coś, co do mnie nie należy.

Mam Ci coś do wyznania, Szanowny Czytelniku: to Patsy była powodem, dla którego tamtej niedzieli tak bardzo mi się spieszyło do rozstania z Poem. Mieliśmy się spotkać u mnie w domu o szóstej, a ona miała zostać lub pójść sobie, zależnie od nastroju. Ostatecznie została. Kiedy jednak obudziłem się koło trzeciej nad ranem, na drugiej połowie łóżka nikogo nie było. Leżąc w półmroku lampki nocnej, nastawiłem ucha... i niebawem usłyszałem skrzypiące odgłosy.



Po wstaniu z łóżka zobaczyłem, że wygarnęła już cały popiół i zamiotła kominek, a teraz siedziała na zaimprovizowanym stole kuchennym z kozła stolarskiego i szorowała żelazny imbryk. Zarzuciła na siebie pierwszą rzecz, która wpadła jej w rękę — moją nocną koszulę — a sine światło kuchenne oświetlało jej kremową pierś, która błyszczała w wycięciu materiału prawie jak gwiazda. A ta błyszcząca od potu aureola — tak, Patsy była jak słońce południa.

— Skończyło się drewno — powiedziała. — A szczotka nie nadaje się do użytku.

— Mogłabyś przestać?

— Na mosiędzach postawiłam krzyżyk, nie da się ich już uratować. Będziesz musiał kogoś zatrudnić.

— Przestań, przestań!

— Gus — powiedziała, a szczotka z końskiego włosia tańczyła do jej śpiewnego głosu — tak chrapałeś, że zmarłych byś pobudził. Mogłam albo iść do domu, albo zrobić porządek w kuchni. Bo straszny tu bałagan, gdybyś nie wiedział. Ale bez obawy — dorzuciła — nie wprowadzam się do ciebie.

Jej zwyczajowy refren: „Nie wprowadzam się, Gus”. Tak jakbym tego najbardziej się obawiał, chociaż umiałem sobie wyobrazić gorsze rzeczy.

— Może tobie się podoba mieszkanie z pajakami i myszami — powiedziała — ale większość ludzi woli nie wpuszczać ich do domu. A gdyby była tutaj Amelia... — Jej *drugi* refren. — A gdyby była tutaj Amelia, uwierz mi, zrobiłaby to samo.

Przekomiczne, że Patsy tak mówi: tak jakby były z moją żoną starymi kumpelami, które w doskonałej komitywie realizują wspólny cel. Powinienem mieć jej za złe, że mówi o Amelii po imieniu i bez ceregieli stawia się na jej miejscu (choć tylko na parę godzin co kilka tygodni). Ale kiedy patrzę na tę zaradną, spokojną i taktowną dziewczynę, nie umiem powstrzymać się od myśli, że Amelia bardzo by ją polubiła. Patsy zawsze gruntownie zastanawia się nad swoim stanowiskiem. Które jakże często jest zbieżne z moim...

Wróciłem do sypialni, znalazłem puszkę tabaki i zaniósłem ją do kuchni. Na mój widok Patsy uniosła brwi.

— Ile ci zostało? — zapytała.

Wzięła szczyptę. Jej głowa odchyliła się do tyłu, kiedy tabakowa mgiełka przepływała przez jej zatoki. Przez chwilę wciągała powietrze, po czym wypuściła je długim strumieniem.

— Wspomniałam już o tym, że skończyły ci się cygara, Gus? Komin znów dymi. A w piwniczce rozgościły się wiewiórki.

Oparłem się o ścianę i osunąłem na kamienne kafle. Miało to taki sam efekt jak wskoczenie do jeziora: chłód przenikał przez kość ogonową i parzył w kręgosłup.

— Skoro już nie śpimy, Patsy...

— Tak?

— Opowiedz mi u o Leroyu Fryu.

Przetarła ramieniem czoło. W blasku świec widziałem strużki potu na jej szczęce i wokół obojczyka, niebieskie żyłki na piersi...

— Na pewno już ci o nim mówiłam.

— Tak jakbym rozróżniał wszystkich twoich amantów.

— Cóż — powiedziała z lekko skrzywioną miną — nie ma nic do opowiadania. Nigdy nie odezwał się do mnie ani słowem, a tym bardziej mnie nie tknął. Tak bardzo się wstydził, że prawie na mnie nie patrzył. Przychodził w nocy z Mosesem i Tenchem, opowiadali te same dowcipy, a on za każdym razem się śmiał. Po to tam przychodził: żeby się pośmiać. Przypominało to odgłosy strzyżyka. Pił tylko piwo. Od czasu do czasu zerkałam na niego, a on patrzył na mnie i zaraz odwracał głowę. O tak, Gus. Jakby ktoś mu założył stryczek na szyję... — Za późno się zreflektowała. Szczotka znieruchomiała. Usta Patsy zwinęły się w harmonijkę. — Przepraszam. Wiesz, co miałam na myśli.

— Ależ oczywiście.

— Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko się czerwienił. Ale może

dlatego, że miał bardzo jasną cerę.

— Prawiczek?

Och, cóż za spojrzenie mi wtedy rzuciła.

— Niby skąd miałabym wiedzieć? Po mężczyźnie tego nie widać, prawda?

— Umilkła na chwilę. — Może potrafiłabym wyobrazić go sobie z krową. Taką dużą, matczyną, namolną. Z grubym wymieniem.

— Przestań, bo zatęsknię za Hagar.

Zaczęła wycierać garnek szmatą. Jej przedramię krążyło, a ja wpatrywałem się w jej dłonie. W drobne fałdy skóry powstałe od mydła i tarcia. Dłonie starej kobiety na końcu nagich, jędrnych ramion dziewczyny.

— Wygląda na to, że Fry miał się z kimś spotkać w noc swojej śmierci — powiedziałem.

— Z kimś?

— Z mężczyzną, kobietą, nie mamy pewności.

Nie unosząc głowy, powiedziała:

— Zamierzasz mnie zapytać, Gus?

— Zapytać cię...?

— Gdzie byłam w nocy... O którą noc chodzi?

— Dwudziestego piątego.

— Dwudziestego piątego — powtórzyła i spojrzała na mnie uważnie.

— Nie, nie zamierzałem cię o to pytać.

— W takim razie nieważne. — Jej oczy powędrowały w dół. Włożyła szmatę do garnka i mocno przycisnęła ją do dna, a potem jeszcze raz wytarła twarz i powiedziała: — Spędziłam tę noc u siostry. Znowu ma te okropne bóle głowy, a ktoś musi być przy dziecku, póki nie wyzdrowieje, z męża zaś nie ma żadnego pożytku, więc krótko mówiąc, tam właśnie byłam. — Ze złością potrząsnęła głową. — Teraz też powinnam tam być.

Ale gdyby była tam teraz, nie byłoby jej tutaj, a to by oznaczało... Czy chciała, żebym ja powiedział, co by to oznaczało?

Zażyłem kolejną szczyptę tabaki. To takie czyste uczucie, kiedy tabaka

idzie człowiekowi przez głowę. W takim stanie mężczyzna potrafi dać wyraz swoim myślom, prawda? W jesienną noc, wobec młodej kobiety, która stoi ledwo metr od niego? A przecież miałem w głowie coś twardego, zawężonego, nie wiedziałem, co to jest, dopóki nie powrócił do mnie obraz dwóch dłoni kurczowo chwytających słupki okna w hotelu pana Cozzensa.

— Patsy — powiedziałem. — Co wiesz o Poem?

— Eddiem?

To był szok. Usłyszeć, że został sprowadzony do tego zdrobnienia. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek wcześniej tak go nazwał.

— Smutne stworzonko — powiedziała. — Bardzo dobrze wychowany. Piękne palce, zauważyłeś? Mówi jak z książki, ale wystarczy parę łyków, żeby się upił. Tu masz swojego prawiczka, jak na moje oko.

— Coś jest z nim nie tak, to na pewno.

— Bo jest prawiczkiem?

— Nie.

— Bo trochę pije?

— Nie! Mówię o jego fantazjach, chimerach... gusłach. Sama pomyśl, Patsy. Pokazuje mi wiersz, który według niego ma coś wspólnego ze śmiercią Leroya Frya. Twierdzi, że podyktowała mu go zmarła matka.

— Matka.

— Która z pewnością ma lepsze rzeczy do roboty w życiu pośmiertnym — założywszy, że ono istnieje — niż szeptanie złej poezji do ucha syna.

Wyprostowała się i postawiła garnek na drewnianym blacie. Z dumą wciągnęła pierś pod moją nocną koszulę.

— Jestem pewna, że gdyby wiedziała, że poezja jest zła, to by jej nie szeptała.

Mówiła tak poważnym tonem, że uznałem, iż mnie nabiera. Myliłem się jednak.

— Och, Patsy. Nie, jeszcze i ty, proszę cię, nie.

— Codziennie rozmawiam ze swoją matką, Gus. Więcej niż za jej życia. Po

drodze do ciebie miło sobie z nią gawędziłam.

— Chryste Panie.

— Spytała mnie, jaki jesteś. Powiedziałam jej, że cóż, mężczyzna nie pierwszej młodości i wygaduje wiele bzdur, ale ma takie piękne duże dłonie, mamó, no i te żebra. Lubię czuć na sobie jego żebra.

— A ona co? Słucha cię? Mówi coś do ciebie?

— Czasami. Kiedy tego potrzebuję.

Zerwałem się na nogi. Chłód zawędrował mi tymczasem aż do podbródka i musiałem zrobić parę rund wokół kuchni, żeby krew zaczęła znowu krążyć.

— Ludzie, których kochamy, zawsze są przy nas — powiedziała cicho. — Nie powinienesz udawać, że...

— Nie widzę tutaj nikogo innego, a ty? O ile mi wiadomo, jesteśmy sami.

— To niemożliwe, żebyś w to wierzył, Gus. Nie rozumiem, jak śmiesz mi mówić, że jej tu nie ma.

Niebo miało tej nocy kolor osmalonego ciemnego fioletu i nie było widać wzgórz, nie licząc okolicy gospodarstwa Dolpha van Corlaera — mrugało tam pojedyncze światełko. A gdzieś z oddali dobiegało przeciągłe pianie koguta, który za wcześnie się obudził.

— Dziwna rzecz — powiedziałem. — Nigdy nie potrafiłem się przyzwycząić do dzielenia z kimś łóżka. Łokieć w mojej twarzy, czyjeś włosy w moich ustach. Ale teraz, po tylu latach, nie potrafię się przyzwycząić, że mam je wyłącznie dla siebie. Nie umiem nawet zdobyć się na to, żeby zająć całe łóżko. Leżę po swojej stronie i usiłuję nie wykorzystywać zbyt dużej części koca. — Przcisnąłem dłonie do szyby okna. — Już jakiś czas jej tutaj nie ma.

— Nie mówiłam o Amelii, Gus.

— *Ona* też odeszła.

— Ty tak mówisz.

Nie było sensu się spierać. Moja córka naprawdę odeszła, niezależnie od tego,

co o tym sądziła Patsy. Na dodatek w tym miejscu nigdy nie była nawet za życia, a ja wspominałem raczej rzeczy, które się z nią wiązały, a nie ją samą. Przypominałem sobie na przykład, jak często żona mnie przeproszała, że nie dała mi syna. A ja zawsze pocieszałem ją słowami, że wolę córkę. Bo czy chłopiec potrafiłby tak dobrze wypełniać chwile milczenia? W ciche wieczory takie jak ten, kiedy zatapiałem się w myślach — w moich „kawalerskich nastrojach”, jak to nazywała Mattie — nagle podnosiłem wzrok... i po drugiej stronie pokoju była moja córka. Szczupła i wyprostowana, z policzkami szkarłatnymi od zbyt długiego siedzenia przy kominku. Cerowała rękaw, pisała do cioci albo uśmiechała się, myśląc o jakimś fragmencie wiersza Aleksandra Pope’a. Kiedy moje oczy już ją odnalazły, nie chciały od niej odstąpić.

Im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej pękało mi serce, wydawało mi się bowiem, że już ją tracę. Traciłem ją od dnia, kiedy po raz pierwszy trzymałem ją na rękach. Siną i wrzeszczącą. I w końcu nie było niczego, co mogłoby powstrzymać jej utratę. Nie potrafiła tego dokonać ani miłość, ani nic innego.

— Teraz tęsknię tylko za Hagar — powiedziałem do Patsy. — Przydałoby mi się trochę śmietanki do kawy.

Przyglądała mi się uważnie — tak jak się studiuje akt notarialny...

— Przecież pijesz czarną, Gus.

# Opowieść Gusa Landora

11

*1–2 listopada*

Godzina czwarta po południu to pora, która w West Point ma w sobie najwięcej magii. Popołudniowe wykłady już się skończyły, do wieczornego apelu zostało jeszcze trochę czasu i większość kadetów ma krótką przerwę w całodniowym marszu, którą większość z nich wykorzystuje na szturmowanie kobiecej cytadeli. Punktualnie o czwartej regiment młodych kobiet, paradnie odzianych na różowo, czerwono lub niebiesko, przechadza się już po dróżce nazywanej „Promenadą Samotnych Serc”. Po paru chwilach przybywa horda „szaraków”, z których każdy podaje różowej lub niebieskiej pannie ramię, a jeśli sprawy są już zaawansowane — powiedzmy, że znajomość liczy sobie dwa dni — można zobaczyć, jak któryś szarak odrywa położony najbliżej serca guzik i wymienia go na pukiel włosów różowej panny. Ślubuje się wierność po wieczne czasy. Ronione są łzy. Po półgodzinie wszystko się kończy. Wydajność nie do pobicia.

Tego dnia powyższy rytuał przyniósł jeszcze jeden pożyteczny skutek: oczyścił pozostałe tereny Akademii z kadetów, dzięki czemu mogłem postać zupełnie sam koło północnego wejścia do lodowni. Jednostajny wiatr strącał liście z drzew, a światło, które jeszcze poprzedniego dnia przenikało wszystko silnym blaskiem, leżało miękkie i stłumione na poduszce podnoszącej się mgły. Wokół mnie nie było żywej duszy.

Wtem rozległ się szelest... trzask gałązki... cichutkie kroki.

— Ach, dobrze! — powiedziałem, jeszcze się odwracając. — Moja wiadomość dotarła.

Nie tracąc czasu na odpowiedź, kadet z pierwszego rocznika Poe zatańczył

koło lodowni, wyważył drzwi i wtargnął do środka. Rozwiął się za nim podmuch zimnego powietrza.

— Panie Poe?

Gdzieś z ciemności dobiegł długi, skrzeczący szept:

— Czy ktoś mnie śledził?

— Cóż, pozwoli pan... Nie.

— Jest pan pewien?

— Tak.

Zgodził się wtedy podejść bliżej drzwi, dzięki czemu mogłem znów zobaczyć jego twarz. Nos. Podbródek. Lodowiec czoła.

— Pańskie zachowanie mnie zaskakuje, panie Landor. Żąda pan całkowitej tajemnicy, a potem woła mnie pan w biały dzień.

— Przepraszam, ale nie było innego wyjścia.

— A jeśli ktoś mnie rozpoznał?

— Słuszna uwaga. W takim razie może byłoby lepiej, gdyby znowu zaczął pan się wspinać.

Pokazałem na krytą strzechą kopułę lodowni, która odcinała się od nieba jak zgnieciony grot strzały. Poe odwrócił głowę i powiódł wzrokiem za moim palcem, aż w końcu znalazł się z powrotem na zewnątrz i mrużył oczy pod słońce.

— To nie tak wysoko — powiedziałem. — Na moje oko niewiele ponad cztery metry. A pan tak dobrze się wspina.

— Ale... po co? — szepnął.

— Podsadzę pana, co? Żeby pan mógł złapać za nadproże. Tam, widzi pan? A stamtąd powinien pan bez problemu dotrzeć do gzymsu... — Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym mówił wspak. — Chyba że nadal jest pan zmęczony po tamtym dniu. Jeśli tak, to może pan liczyć na moją wyrozumiałość.

Jaki miał wybór? Położył czapkę na ziemi, potarł dłońmi o siebie, skinął głową ze zmarszczonym czołem i powiedział:



— Jestem gotowy.

Jako człowiek drobnej postury dosyć skutecznie przywarł do kamiennej fasady lodowni i tylko raz się poślizgnął, przy gramoleniu się na gzyms. Ale prawa stopa nie straciła podparcia i niebawem pokonał ostatnią przeszkodę. Pół minuty później przykucnął jak gargulec na krawędzi dachu.

— Widzi mnie pan stamtąd? — zawołałem.

— *Pssst.*

— Przykro mi, ale nic nie rozumiem, panie Poe.

— *Słyszę.* — Syczący szept.

— Bez obaw, na razie jesteśmy zupełnie sami. A jeśli ktoś mnie usłyszy, uzna mnie za wariata, co... Przepraszam, coś pan mówił, panie Poe?

— *Proszę mi powiedzieć, po co tutaj wlażłem.*

— A, tak! To, co pan tutaj widzi, to miejsce zbrodni. Zakreśliłem butami obszar o powierzchni mniej więcej dwudziestu metrów kwadratowych. Miejsce *drugiej* zbrodni — poprawiłem się. — To tutaj usunięto serce Leroya Frya.

Stałem teraz kawałek na północny wschód od wejścia do lodowni. W kierunku północno-zachodnim znajdowały się koszary oficerskie, na zachód koszary kadetów, na południe budynki Akademii, a na wschód wartownia przy forcie Clinton. Nasz człowiek dokonał bardzo rozsądnego wyboru: znalazł jedyne miejsce, w którym miał gwarancję, że jego robota przejdzie niezauważona.

— Dziwna rzecz — powiedziałem. — Przeszukałem całe otoczenie lodowni. Pełzałem na czworakach, zabrudziłem co najmniej dwie pary spodni. Aż do teraz nie przyszło mi do głowy, aby spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia.

Miałem na myśli *jego* punkt widzenia. Punkt widzenia człowieka, który rozciął tkanę i kości Leroya Frya, zanurzył dłonie w krwawiących, cuchnących wnętrznościach żywego niegdyś ciała.

— Słyszysz mnie pan, panie Poe?

— *Tak.*

— Bardzo dobrze. Chciałbym, żeby pan teraz spojrzął w dół, na to miejsce, w którym stoję, i powiedział mi, czy dostrzega pan jakieś wydeptane kępy trawy albo miejsca, w których wierzchnia warstwa gleby wydaje się naruszona, na przykład dlatego, że wbito w nią kamień albo patyk.

Nastąpiła długa pauza. Na tyle długa, że miałem już powtórzyć swoje słowa, kiedy usłyszałem długie syknięcie.

— Przepraszam, panie Poe, ale nie...

— *Koło pańskiej lewej stopy.*

— Koło mojej lewej... koło mojej... Tak. Widzę.

Małe zagłębienie, siedem centymetrów średnicy. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem błyszczący biały kamień — zebrałem ich mnóstwo tego ranka nad rzeką — wsunąłem w zagłębienie i odstałem o krok do tyłu.

— Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałem — powiedziałem. — Może teraz dostrzeże pan walory spojrzenia z perspektywy Boga, panie Poe. Wątpię, czy zdołałbym to zauważyć swoimi... oczami śmiertelnika. A teraz niech mi pan powie, gdzie jeszcze widzi pan zagłębienia. Mniej więcej tej samej wielkości i kształtu.

Czasochłonny proceder. Poe potrzebował co najmniej pięciu minut, zanim na poważnie do niego przystąpił. Jeszcze więcej czasu upływało między poszczególnymi odkryciami, a kilkakroć się zdarzyło, że zmienił zdanie i kazał mi usunąć dopiero co położony kamienny znacznik. A ponieważ upierał się, żeby mówić szeptem, podążanie za jego wskazówkami trochę przypominało błąkanie się po wąskiej uliczce z robaczkiem świętojańskim za przewodnika.

Znowu ucichł, a potem wysłał mnie w nieprzewidzianym kierunku, jakieś trzy metry poza wytyczony przeze mnie obszar.

— Opuszczamy miejsce zbrodni, panie Poe.

Nalegał jednak, abym umieścił tam kamyk. Potem wciąż nalegał i wciąż zwiększał obwód badanego terenu, aż w końcu straciło to jakikolwiek sens.

Czułem, że kurczą mi się zasoby kamyków w kieszeni i ogarnęło mnie zniechęcenie, zobaczyłem bowiem, że upadają granice terenu, które tak starannie wytyczyłem w głowie.

— Są jeszcze jakieś, panie Poe? — zawołałem znużony.

Minęło już dobre pół godziny, a mój mały gargulec oznajmił, że zostało jeszcze jedno miejsce. Z jakichś dziwnych powodów najtrudniejsze do znalezienia. *Trzy kroki na północ... pięć kroków na wschód... nie, sześć kroków na wschód... Nie, minął pan... tam... nie, nie tam, tam!* Jego chrapliwy szept podążał za mną jak natrętna mucha... Aż w końcu udało się znaleźć zagłębienie i włożyć do niego znacznik. Usłyszałem ulgę we własnym głosie, kiedy mówiłem:

— Może już pan zejść na dół, panie Poe.

Opuścił się na nadproże, zeskoczył i wylądował na kolanach w trawie. Potem znowu wtopił się w ciemności wnętrza lodowni.

— Wspomniał pan tamtego dnia, panie Poe, że natura tej zbrodni: okoliczność, że ofierze ukradziono serce, skłoniła pana do ponownej lektury Biblii. Przyznam, że już wcześniej zmierzałem tą samą drogą. Nie w stronę Biblii, bo niewiele rzeczy mogłoby mnie ku niej popchnąć, ale nie umiałem oprzeć się wrażeniu, że ta sprawa w jakiś sposób pachnie religią. — W ciemnościach błysnęły jego ręce. — Zresztą nie tylko historia z sercem pachnie tutaj religią. Leroy Fry kilka lat temu wpadł w złe towarzystwo i co wtedy zrobił? Zapisał się do kółka modlitewnego. Thayer widzi ciało Frya i kogo przywodzi mu ono na myśl? Fanatyka religijnego. Weźmy więc religię za punkt wyjścia i zadajmy sobie pytanie, czy mogły pozostać jakieś ślady pierwotnego czynu. Jakież oznaki obrzędu — to znaczy ceremonii. Kamienie, świece czy coś podobnego, intencjonalnie rozmieszczone. — Poe złożył teraz swoje miękkie, kapłańskie dłonie. — Jeśli rzeczywiście użyto takich przedmiotów, to sprawca z pewnością później je usunął. Żeby nie zostawiać dowodów. Ale czy usunąłby odciski? To potrwałoby znacznie dłużej, a czasu i bez tego miał mało, ponieważ ekipa poszukiwawcza już zmierzała

w jego stronę. Nie wspominając o tym, że nasz człowiek musiał gdzieś ukryć świeże serce. No dobra, czyli usuwa przedmioty, ale raczej nie wypełnia zrobionych przez nie dziur w ziemi. — Uśmiechnąłem się do błyskających w lodowni dłoni. — Tym się dzisiaj zajmujemy, panie Poe. Znajdujemy te dziury.

Ogarnął spojrzeniem białe kamyki powtykane w zieloną trawę jak maleńkie płyty nagrobne. Z kieszeni płaszcza wyjąłem ołówek i notes. Chodziłem od kamyka do kamyka, szacowałem i porównywałem odległości między kamieniami i zaznaczałem ich położenie, w końcu uzyskując układ kropek na papierze.

— I co z tymi dziurami? — szepnął Poe z głębin lodowni.

Myślę, że dopiero kiedy wręczałem mu tę kartkę, naprawdę zobaczyłem, co przedstawia:

— Okrąg — powiedział Poe.

— W rzeczy samej. Według moich szacunków miał trzy metry średnicy. Znacznie więcej niż zajęłyby zwłoki Leroya Frya. Zmieściłoby się w nim pół tuzina Leroyów Fryów.

— Układ kamieni wewnątrz okręgu — powiedział Poe, przybliżając twarz do papieru — nic mi jednak nie mówi.

Obydwaj jeszcze przez chwilę wpatrywaliśmy się w rysunek, usiłując połączyć kropki wewnętrzne z zewnętrznymi. Nic nie pasowało. Im usilniej patrzyłem, tym bardziej wszystko się rozmywało... aż w końcu przeniosłem wzrok na same kamienie.

— Hmm — powiedziałem. — Ależ to oczywiste.

— Co?

— Skoro przeoczyliśmy kilka kropek na obwodzie okręgu, to jestem skłonny się założyć, że przeoczyliśmy też kilka kropek wewnątrz. Sprawdźmy...

Położyłem kartkę na notesie i zacząłem rysować linię przez najbardziej

zbliżone do siebie kropki i robiłem to automatycznie aż do chwili, kiedy usłyszałem, jak Poe mówi:

— Trójkąt.



— Nie inaczej — potwierdziłem. — A z tego, co mi mówiono, odgaduję, że Leroy Fry znajdował się wewnątrz trójkąta. A nasz człowiek był... był...

Gdzie?

Przed wielu laty rodzina kowala z Five Points zapłaciła mi (z oszczędności kilku osób) za przeprowadzenie śledztwa w sprawie jego śmierci. Biedaka zatłuczono na śmierć pałkami, a na zwłokach odcisnięto piętno z jego własnej kuźni. Na czole znalazłem opuchliznę w kształcie litery U, jakby nastąpił na niego koń. Przesunąłem po niej dłonią i zadałem sobie pytanie, kto to zrobił, a potem spojrzałem w górę i zobaczyłem — nie, tego nie powiem: *wyobraziłem* sobie mordercę stojącego przy drzwiach z wciąż dymiącym w dłoni piętnem, a w jego oczach... wściekłość i strach z domieszką nieśmiałości. Jakby wątpił, że jest godzien mojej uwagi. Rzeczywisty zabójca okazał się bardzo mało podobny do tego z moich wyobrażeń, ale spojrzenie było takie samo. I nie zmieniło się przez całą drogę na szubienicę.

Ten szczególny przypadek sprawił, że uwierzyłem w — jakby to powiedzieć — *obrazy*. Ale tamtego dnia przy lodowni, Szanowny Czytelniku, żadnych obrazów nie było. Nikt nie odwzajemniał mojego spojrzenia. A może trafniej byłoby powiedzieć, że ten, kto tam stał, zmieniał pozycję i kształt... mnożył się.

— Bardzo mi się pan przydał, panie Poe. A teraz niech pan wraca na apel, mnie zaś oczekuje kapitan Hitchcock, więc po prostu...

Odwróciłem się i zobaczyłem, że klęczy w trawie. Z pochyloną głową mruzczał coś do siebie.

— O co chodzi, panie Poe?

— Zauważyłem je z dachu — odparł. — Ale nie tego szukaliśmy, więc...

Nie dokończył zdania.

— Chyba za panem nie nadążam, panie Poe.

— Ślady spalenizny! Proszę tu przyjść, szybko!

Wyrwał z mojego notesu kolejną kartkę, rozłożył ją na trawie i zaczął cieniować ołówkiem, długimi pociągnięciami, które szybko zapełniły całą stronę — a raczej prawie całą. Bo kiedy podniósł ją do światła, coś się na niej pojawiło, jak wiadomość narysowana palcem na zaparowanym oknie:

SHJ

— To wygląda jak... SHJ — czytał Poe. — Stowarzyszenie...

Tak, tak, wyliczyliśmy wszystkie stowarzyszenia, jakie przysły nam do głowy. Szkoły, siostry, spaniele... Spędziliśmy nad tym nieznośnie dużo czasu, klęczeliśmy w trawie i drapaliśmy się po głowach.

— Chwileczkę — powiedział nagle Poe. Spojrzał na kartkę zmrużonymi oczami i powiedział cicho: — Jeśli poszczególne litery są odwrócone, to czyż cały skrót nie będzie odwrócony?

Natychmiast wyrwałem jeszcze jedną kartkę i wypisałem litery dużymi, śmiałymi pociągnięciami, toteż ledwo się zmieściły.

JHS

— Jezu Chryste — powiedział Poe.

Odchyliłem się do pozycji siedzącej i pomasaowałem kolano. Potem sięgnąłem po tabakę.

— W dawnych czasach był to dość często spotykany napis —

powiedziałem. — Ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek go widział napisanego wspan.

Chyba że powoływano się na kogoś innego niż Chrystus. Na *przeciwieństwo* Chrystusa.

Siedziałem na trawie i żułem moją prymkę. Poe kontemplował kawalkadę chmur. Śpiewał kos, kumkała ropucha. Wszystko było inne.

— Wie pan — powiedziałem w końcu — mam znajomego, który może nam się przydać.

Poe rzucił mi zdawkowe spojrzenie.

— Doprawdy?

— O tak, świetnie się zna na symbolach... rytuałach i tym podobnych. Ma pokaźny księgozbiór związany z...

— ...okultyzmem — odpowiedział mi Poe.

Po kilku chwilach dalszego żucia tabaki przyznałem, że to odpowiednie słowo.

— Fascynujący człowiek — powiedziałem. — To znaczy ten znajomy, profesor Pawpaw.

— Cóż za niezwykle nazwisko!

Wyjaśniłem, że Pawpaw jest rodzonym Indianinem, a raczej pół Indianinem, ćwierć Francuzem i Bóg wie czym jeszcze. Poe mnie zapytał, czy Pawpaw jest prawdziwym profesorem. Ja na to, że bez wątplenia jest uczonym, a ponadto mężczyzną rozchwytywanym przez damy z towarzystwa. Pani Livingston zapłaciła mu kiedyś dwanaście srebrnych dolarów za możliwość spędzenia z nim godziny.

Poe wzruszył lekceważąco ramionami.

— W takim razie mam nadzieję, że jest pan w stanie mu zapłacić — stwierdził. — Ja sam jestem na minusie, a pan Allan nie raczył nawet przysłać mi pieniędzy na przyrządy matematyczne.

Powiedziałem mu, żeby się nie przejmował, ja się o to zatroszczę.

Następnie pożegnałem się z nim i patrzyłem, jak jego szczupła sylwetka zmierza (bez wielkiego pośpiechu) w stronę placu apelowego.

Nie pofatygowałem się mu powiedzieć (a na samą myśl o tym śmiałem się w głos po drodze do hotelu), że znalazłem już wyśmienity sposób na wynagrodzenie profesora Pawpawa za jego wysiłki: podaruję mu głowę Edgara A. Poego.



# Opowieść Gusa Landora

12

*3 listopada*

**D**omek profesora Pawpawa jest oddalony od mojego o mniej więcej godzinę w głąb lądu, ale znajduje się na końcu stromego podejścia, a ścieżka jest tak zarośnięta, że pięćdziesiąt jardów przed domem trzeba przywiązać konia i przedzierać się przez gąszcz młodych cedrów. Nagrodą za trud jest widok placyku otoczonego wieńcem jaśminów i wiciokrzewu. A, jest też uschnięta grusza, okryta długim płaszczem kwiecia bignonii, które zwisa z każdego konara, a także wiklinowe klatki, w których od zmierzchu do świtu bez ustanku śpiewają drozdy, wilgi, trznadle i kanarki. Śpiew nie wpisuje się w reguły harmonii, ale jeśli ktoś posłucha dostatecznie długo, to albo dostrzeże jakiś schemat, albo (taka jest teoria Pawpawa) zupełnie zarzuci schematy.

Gdyby Poe postawił na swoim, wyprawilibyśmy się do Pawpawa jeszcze tego samego wieczoru. Zaoponowałem jednak, mówiąc, że po ciemku nie znajdziemy jego domu. Poza tym chciałem się wcześniej zaanonsować. Jeszcze tego wieczoru wysłałem gońca z wiadomością dla profesora.

Następnego ranka po przebudzeniu Poe pogryzł kawałek kredy, a następnie pokazał swój biały język doktorowi Marquisowi, który zaopatrzył go w garść proszków kalomelowych i zwolnienie z obowiązków. Następnie Poe przecisnął się między luźnymi sztachetami ogrodzenia w lesie i spotkał się ze mną kawałek na południe od wartowni, gdzie dosiedliśmy Konia i wyruszyliśmy gościńcem z Buttermilk Falls.

Poranek był chłodny i pochmurny. Jedynym źródłem ciepła wydawały się drzewa na granitowych półkach, migoczące w kałużach uschnięte liście,

wąwozy i dywany mchu. Droga szybko się wznosiła pośród skał, a Poe trajkotał mi do ucha o Tintern Abbey i zasadzie wzniosłości Burke'a, o „naturze jako najprawdziwszym poecie Ameryki, panie Landor”, a im więcej gadał, tym silniejszy ogarniał mnie strach. Oderwałem go od zajęć, mając pełną świadomość, że Hitchcock i jego podwładni codziennie sprawdzają koszary. Biada kadetowi, który zameldował chorobę, lecz nie odpowiada na podwójne pukanie do drzwi!

Zamiast rozwodzić się nad możliwymi konsekwencjami mojego postępu, opowiedziałem Poemu wszystko, co wiedziałem o Pawpawie.

Jego matka była squaw z plemienia Huronów, a ojciec francusko-kanadyjskim handlarzem bronią. Przygarnęło go w dzieciństwie plemię Indian Wyandot, po krótkim czasie zmasakrowane przez konsekwentnie realizujących swoje cele Irokezów. Pawpaw ocalał jako jedyny, uratował go handlarz kościami z Utica, który nadał mu chrześcijańskie imię i wychował go według surowych zasad: dwa razy dziennie kościół, przed snem katechizm i hymny, siedemdziesiąt wersetów biblijnych tygodniowo. (Wychowanie pod każdym względem identyczne z moim, z tą różnicą, że Pawpawowi wolno było grać w karty). Po sześciu latach sprzedawca kości zachorował na skrofulozę. Chłopiec trafił do domu udzielającego się charytatywnie magnata włókienniczego, który niebawem zmarł i zostawił Pawpawowi sześć tysięcy rocznie. Pawpaw szybko powrócił do indiańskiego imienia i przeniósł się do kamiennego domu przy Warren Street, gdzie wydawał monografie na temat alkoholizmu, niewolnictwa, lulka czarnego i frenologii. Rosnący rozgłos kazał mu się schronić w Highlands. Teraz komunikuje się ze światem głównie za pośrednictwem poczty, kąpie się dwa razy w roku i patrzy na swoją przyszłość z przymrużeniem oka. Kiedy nazwano go swego czasu szlachetnym dzikusiem, odpowiedział podobno: „Szlachetnego proszę sobie darować”.

Bo widzicie, to dziecko katechizmu odczuwa potrzebę prowokowania ludzi. Być może właśnie dlatego na nasze przybycie przygotował się w ten sposób, że powiesił nad drzwiami martwego grzechotnika, a podwórko przed domem

wysypał żabimi kośćmi, które chrzęściły nam cichutko pod stopami i wbijały się w zakamarki podeszw butów, skutkiem czego wciąż je wydłubywaliśmy, kiedy Pawpaw stanął w drzwiach. Krępy, z wydatną klatką piersiową, stał w drzwiach z nieobecną miną, jakby wyszedł tylko dla sprawdzenia pogody. Gapiliśmy się na niego, ponieważ Pawpaw jest stworzony po to, aby się na niego gapiono — to jest racja jego istnienia. Za mojej pierwszej wizyty przywitał mnie w indiańskim stroju galowym, wymachując krzemienym grotem strzały. Tego dnia, z powodów nieznanymi ani mnie, ani nawet jemu samemu, był ubrany jak stary holenderski farmer. Koszula i bryczesy z własnoręcznie tkanego płótna, najogromniejsze buty, jakie w życiu widziałem: zmieściłaby się w nich cały człowiek. Jediną rzeczą, która nie pasowała do reszty stroju, był zawieszony na szyi orli pazur, a także cienka linia w kolorze indygo, która biegła od prawej skroni do czubka nosa (nowość).

W jego pięknych orzechowych oczach powoli rozbłysło rozpoznanie.

— Och! — Od razu rzucił się na Poego: złapał go za ramię i przeciągnął przez próg. — Miałeś rację! — krzyknął do mnie profesor. — Po prostu nadzwyczajny! Cóż za przerośnięta czaszka!

Obaj zmierzali już szybkimi krokami w stronę salonu. Skorzystałem ze sposobności, aby rozejrzeć się po holu, jeszcze raz z podziwem rzucić okiem na skórę bizona, wypchaną puchaczkę, bicze i uprząże wiszące na ścianach jak muzealne relikwie. Zanim dotarłem do salonu, w palenisku trzaskał rząd jabłek, Poe siedział zagłębiony w fotelu Duncana Phyfe'a, a nad nim stał Pawpaw, ze swoją srebrno-miedzianą cerą i bulwiastym nosem. Pocierał o siebie opuszki palców, a zamiast kordialem, poczęstował gościa widokiem wyszczerbionego rzędu swoich szarych zębów.

— Młody człowieku — powiedział — czy zechciałby pan zdjąć czapkę?

Po krótkim wahaniu Poe usunął z głowy skórzany garnek i położył na puszystym dywanie.

— Nie będzie bolało — zapewnił go profesor.

Gdybym nie znał Pawpawa, miałbym w tej kwestii pewne wątpliwości. Kiedy zawiązywał kawałek sznurka wokół czaszki mojego młodego towarzysza podróży, robił to drżącymi rękami człowieka, który po raz pierwszy w życiu podciąga kobiecie halkę.

— Pięćdziesiąt siedem i pół centymetra. Mniejsza niż sądziłem. Szokujące są najwyraźniej nie same rozmiary, lecz proporcje. Panie Poe, ile pan waży?

— Siedemdziesiąt pięć kilo.

— A wzrost?

— Metr sześćdziesiąt osiem. I pół.

— I pół, mówi pan. Znakomicie. A teraz chciałbym pomacać pańską głowę. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Nie będzie bólu, chyba że się pan obawia, że pańska dusza zostanie mi w palcach. Wystarczy, żeby się pan nie ruszał. Podoba pan?

Za bardzo wystraszony, żeby chociaż skinąć głową, Poe tylko mrugnął. Profesor dwakroć wciągnął powietrze, po czym przytknął do tej dziewiczej czaszki rozgorączkowane palce. Z jego szarych ust uleciało leciutkie westchnienie.

— Kochliwość... umiarkowana — zaintonował śpiewnie.

Kiedy jego palce przeczesywały zmierzwiłone czarne kosmyki włosów, przyłożył ucho do czaszki Poego jak rolnik, który nasłuchuje na polu za susłami. Osiadłość... niska — powiedział profesor trochę głośniej. — Przylegalność: całkowita. Potencjał intelektualny: wielki; nie, *bardzo* wielki. — Uśmiech Poego. — Potrzeba uznania: bezkresna. — Uśmiech Landora. — Filogenitura: minimalna.

I tak to szło dalej, Szanowny Czytelniku. Ostrożność, życzliwość, nadzieja: czaszka zmuszona była zdradzać kolejne cechy. I to zdradzać całemu światu, ponieważ profesor ryczał przy każdym odkryciu jak licytator. Dopiero kiedy jego ciemny baryton nieco przycichł, wiedziałem, że badanie zbliża się do końca.

— Panie Poe, ma pan wypukłości, które wskazują na człowieka

wykorzenionego. Obszary czaszki związane wyłącznie ze skłonnościami zwierzęcymi — część tylna i dolna boczna — są słabiej rozwinięte, w odróżnieniu od skrytości i wojowniczości. Dostrzegam w pańskim charakterze silne i prawie na pewno *śmiertelne* sprzeczności.

— Panie Landor — wtrącił z wahaniem Poe. — Nie mówił mi pan, że profesor Pawpaw jest jasnowidzem.

— Proszę to powtórzyć! — szczechnął Pawpaw.

— Nie mówił...

— Tak, tak!

— ...mi pan, że...

— Richmond! — zawołał Pawpaw.

Przygwożdżony do krzesła Poe zaczął się jąkać.

— To prawda, jestem...

— I jeśli się nie mylę — dodałem — spędził kilka lat w Anglii.

Oczy Poego były teraz szeroko otwarte.

— Wielebny John Bransby ze Stoke Newington — wyjaśniłem. — Ten znany autorytet w dziedzinie ortografii.

Pawpaw klasnął w dłoń.

— Ach, bardzo dobrze. *Wyśmienicie*, Landor! Zaśpiew brytyjski tak wspaniale współbrzmi z leśnymi nutami Południa. Co jeszcze możemy powiedzieć o tym młodym człowieku? Artysta. Te dłonie, nie widzę innej możliwości.

— W pewnym sensie artysta — potwierdził Poe, rumieniąc się.

— Jest również... — Pawpaw na chwilę zawiesił głos, po czym wycelował w twarz młodego człowieka palcem wskazującym i zawołał: — Sierotę!

— To również prawda — odparł cicho Poe. — Moi rodzice, moi prawdziwi rodzice, zginęli w pożarze. W pożarze teatru w Richmond w tysiąc osiemset jedenastym.

— A cóż oni robili w teatrze? — burknął Pawpaw.

— Byli aktorami — wyjaśnił Poe. — Bardzo dobrymi. Znanymi.

— A, znanymi — powiedział profesor, odwracając z niesmakiem głowę.

Atmosfera zrobiła się trochę niezręczna. Pełen urazy Poe siedzi w fotelu. Pawpaw przechadza się po pokoju, aby uspokoić emocje. Ja przyjmuję postawę wyczekującą. Kiedy uznałem, że cisza nic już więcej nie zdołała, powiedziałem:

— Profesorze, zastanawiam się, czy moglibyśmy przejść do rzeczy.

— Niech tak się stanie — powiedział ze zmarszczonym czołem.

Najpierw zrobił nam wszystkim herbaty. Przybyła w powgniatanym srebrnym czajniku i smakowała jak smoła: piekła w język i kleiła się do migdałków. Wypiłem jedną po drugiej trzy filiżanki, jak szklaneczki whisky. Jaki miałem wybór? Pawpaw nie kupował alkoholu.

— Dobra, profesorze, jak mamy to rozumieć? — powiedziałem.

Wyjąłem z kieszeni diagram, który narysowałem z pomocą Poego, trójkąt w okręgu, i położyłem na stole Pawpawa, czyli obitym blachą kufrze podróżnym.

— Cóż — powiedział profesor — to zależy, z kim na ten temat porozmawiacie. Jeśli wezwiecie starożytnego Greka, powie wam, że koło to Uroburos, symbol wiecznej jedności. Jeśli wezwiecie średniowiecznego myśliciela — wywinął oczami — to usłyszycie, że wzór ten oznacza zarówno stworzenie, jak i pustkę, ku której wszystkie rzeczy stworzone nieuchronnie zmierzają. — Jego oczy ponownie spoczęły na leżącej na stole kartce papieru. — Ale to... to może być tylko magiczny krąg. — Poe i ja wymieniliśmy spojrzenia. — Tak, tak. Pamiętam, że widziałem taki w *Le Veritable Dragon Rouge*. Jeśli dobrze pamiętam, mag stał... tam... w trójkącie.

— Tylko mag? — zapytałem.

— Może mieć pomocników, którzy też stoją wewnątrz trójkąta. Po obu stronach świece, a z przodu — powiedzmy tutaj — piecyk. Wszędzie światło, festyn światła.

Zamknąłem oczy, próbując to sobie wyobrazić.

— Ludzie odprawiający te obrzędy byli chrześcijanami? — zapytał Poe.

— Nierzadko. Istnieje czarna magia, ale również biała. Na waszym rysunku, jak pan widzi, widnieje chrześcijańska inskrypcja.

Jego palec spoczął teraz na odwróconym JHS i można by pomyśleć, że litery mówiły przez jego skórę, ponieważ błyskawicznie zabrał rękę, zerwał się na nogi i cofnął o dwa kroki. Na jego twarzy malowało się rozdrażnienie.

— Na litość boską, Landor, dlaczego nie przerwałeś moich dywagacji? Myślisz, że mam czas do końca dnia? Chodźcie!

Bibliotekę profesora trudno opisać komuś, kto nigdy tam nie był. Jest to małe pomieszczenie bez okien, nie więcej niż cztery na cztery metry, i znajdują się tam wyłącznie książki: foliały, quarto, oprawione w pergamin duodecimo, piętrzące się w pionie, rozciągnięte w poziomie, chybotające na półkach, rozrzucone po podłodze. Wiele wciąż otwartych w miejscu, w którym profesor akurat skończył czytać.

Pawpaw szperał już po półkach. Po półminucie chwycił zdobycz i zniósł na ziemię oprawny w czarną skórę ciężki tom ze srebrnymi klamrami. Profesor lekko go opukał, wzbijając pióropusz kurzu.

— De Lancre — powiedział. — *Tableau de l'inconstance des mauvais anges*. Czyta pan po francusku, panie Poe?

— *Bien sûr*.

Pawpaw delikatnie oddzielił pierwszą pergaminową kartę od drugiej. Odchrząknął, wyprężył pierś. Przygotował się do recytacji, ale ostatecznie zmienił zdanie.

— Proszę — powiedział Pawpaw. — Nie znoszę, kiedy mi się czyta. Niech pan sobie sam poczyta w kącie.

Oczywiście ani w kącie, ani nigdzie indziej, nie było żadnych mebli. Z nieśmiałym uśmiechem Poe opadł na brokatową poduszkę, a profesor wskazał mi miejsce na podłodze. Ja jednak postanowiłem oprzeć się o regał i wyjąłem szczyptę tytoniu.

— Opowiedz mi o tym de Lancre — powiedziałem.

Pawpaw opasał kostki ramionami i oparł brodę na kolanach.

— Pierre de Lancre — powiedział. — Niezawodny łowca czarownic. W ciągu czterech miesięcy wytropił i zgładził sześćset baskijskich czarownic oraz pozostawił po sobie niezwykłą pozycję, którą właśnie przegląda pan Poe. Czysta rozkosz. Ale zaraz, cóż ze mnie za gospodarz!

Poderwał się i wyszedł za drzwi, aby po pięciu minutach wrócić z półmiskiem jabłek — tych samych, które wcześniej prażyły się w kominku. Teraz były nie do poznania: pokaleczone i pokryte pęcherzykami, z których sączyła się wydzielina. Pawpaw sprawiał wrażenie nieco urażonego, kiedy odmówił.

— Jak sobie życzysz — prychnął, wpychając sobie jabłko do ust. — Na czym stanęliśmy? A, tak, de Lancre. Książka, którą najbardziej chciałbym ci dać, Landor, to *Discours du Diable*. Napisał ją niejaki Henri le Clerc, który przed jej ukończeniem wytępił siedemset czarownic. Jego historia jest niezwykła ze względu na fakt, że człowiek ten w połowie życia doznał nawrócenia. Jak Saul na drodze do Damaszku, z tą różnicą, że le Clerc zdążył w przeciwnym kierunku. Na ciemną stronę. — Po brodzie spłynęła mu strużka soku jabłkowego. Starł ją palcem. — Le Clerc sam został schwytany i spalony na stosie w 1603 roku w Caen. Mówi się, że trzymał w rękach wspomnianą wyżej księgę, oprawioną w wilczą skórę. Płomienie wznosiły się coraz wyżej, a on zmówił modlitwę do swego pana i wrzucił książkę do ognia. Widzowie przysięgali, że zniknęła w mgnieniu oka, jakby ktoś ją wyrwał z płomieni.

— Cóż, rozumiem, dlaczego...

— To jeszcze nie wszystko, Landor. Niebawem rozeszła się wieść, że le Clerc pozostawił po sobie dwa lub trzy inne tomy identyczne z tym, który uległ zniszczeniu. Żadnego z nich nigdy nie udało się ostatecznie zidentyfikować, ale w minionych stuleciach odzyskanie tych zaginionych ksiąg stało się *idée fixe* wielu okultystycznych kolekcjonerów.

— Ty sam do nich należysz, jak tuszę.

Skrzywił się.

— Sam szczególnie go nie pożądam, ale rozumiem uczucia innych. Mówi



się, że le Clerc pozostawił instrukcje leczenia nieuleczalnych chorób, a nawet sposoby na nieśmiertelność.

Właśnie wtedy poczułem na dłoni leciuteńki powiew. Spojrzałem w dół i zobaczyłem pełzającą po moich palcach mrówkę.

— Chyba jednak zjem jabłko — powiedziałem.

I oto niespodzianka: całkiem mi smakowało. Czarna skórka oderwała się jak papier, a w środku był rozmiękły rarytas, słodki i lepki. Pawpaw uśmiechał się do mnie, jakby chciał powiedzieć: „Wątpiłeś?”.

— Może — powiedział — powinniśmy sprawdzić postępy naszego młodego przyjaciela.

Minęło zaledwie kilka minut, odkąd zostawiliśmy go w kącie, ale Poe siedział w tak idealnym bezruchu, że na jego ramionach zdążył już osiąść kłęb kurzu. Kiedy do niego podeszliśmy, nie podniósł nawet głowy. Zaglądnąłem mu przez ramię, aby sprawdzić, co go tak pochłania.

Była to rycina, zajmująca obie strony: obraz uczyty. Stare wiedźmy z obwisłymi piersiami dosiadały wielkich, włochatych baranów. Skrzydlate demony żywcem porywały pod niebo niemowlęta. Szkielety w kapelusikach, roztańczone Diabły, a pośrodku usadowiony na złotym tronie mistrz ceremonii: dystyngowany kozioł, z którego rogów buchał ogień.

— Niezwykłe, prawda? — powiedział Poe. — Nie można oderwać oczu. Och, profesorze, pozwoli mi pan przeczytać na głos krótki fragment?

— Skoro pan musi...

— Chodzi o opis rytuału szabatowego autorstwa de Lancre’a. Proszę mi wybaczyć ewentualne translatorskie potknięcia. Powszechnie wiadomo wśród... bractwa złych aniołów, że... zawartość szabatowej uczyty czarownic ogranicza się do następujących przysmaków... mianowicie *nieczystych* zwierząt, których ludy chrześcijańskie nigdy nie jedzą... — Skonstatowałem, że bezwiednie się do niego przybliżam. — Tudzież serca nieochrzczonych dzieci... — Poe przerwał i spojrzawszy najpierw na profesora, a potem na mnie, zaczął się uśmiechać. — I serca wisielców — dokończył tłumaczenie.

# Opowieść Gusa Landora

## 13

*Od 3 do 6 listopada*

**P**rzez całą drogę powrotną do West Point milczeliśmy, ja i Poe. Dopiero przy zsiadaniu z konia, jakieś ćwierć mili od posterunku straży, Poe odezwał się ponownie:

— Panie Landor, w którą stronę powinniśmy skierować nasze śledztwo? Przyszło mi do głowy, że jeżeli chcemy zlokalizować tę szajkę... — zawahał się chwilę — ...satanistów, to może powinniśmy się zwrócić w stronę tych, których działalność takiej szajki może rozjuszać. W stronę ich antagonistów, żeby się tak wyrazić.

Po chwili namysłu zapytałem nieufnie:

— Czyli do chrześcijan?

— Tak, do chrześcijan. Tych najgorliwszych.

— Chyba nie mówi pan o wielebnym Zantzingerze!

— Broń, panie Boże! — zawołał Poe. — Zantzinger nie rozpoznałby diabła, gdyby mu nakichał na sutannę. Miałem raczej na myśli kółko modlitewne.

Musiałem przyznać, że to najzupełniej rozsądny pomysł. Do kółka modlitewnego w West Point zapisał się na jakiś czas Leroy Fry. Było to dobrowolne stowarzyszenie kadetów, którzy nabożeństwa w kaplicy uważali za nadmiernie episkopalne, pragnęli bowiem bardziej bezpośredniej drogi do Boga.

Rzecz jasna, aż do tego dnia Poe okazywał im wyłącznie wzgardę.

— Sądzę, że dzisiaj możemy ich z pożytkiem wykorzystać, za pańskim pozwoleniem.

— Oczywiście. Ale w jaki sposób...

— Och, to proszę zostawić mnie. Tymczasem musimy znaleźć lepszy sposób komunikowania się ze sobą. Z mojej strony jest to względnie proste: wystarczy, że zakradnę się do pańskiego hotelu i zostawię wiadomość pod drzwiami. Pan jednak nie powinien zostawiać żadnych bilecików w koszarach, ponieważ moi koledzy są diabelnie niedyskretni. Sugerowałbym raczej Ogród Kościuszki, wie pan, gdzie to jest? Znajdzie tam pan naturalne źródło, a po jego południowej stronie luźny kamień — bodajże skała magmowa — pod którym zmieści się odpowiednio złożona kartka papieru. Proszę po prostu wkładać tam rano wiadomości, a ja zadbam o ich odebranie między... Co... Z czego pan się śmieje, panie Landor?

Co mnie tak ucieszyło? Potwierdzenie się mojej znajomości ludzkiego charakteru. Żaden z moich dotychczasowych informatorów nie podchodził do swoich zadań z takim zapałem. Z niecierpliwością czekałem na sposobność do pochwalenia go przed kimś — nawet jeżeli tym kimś miałby się okazać tylko Hitchcock. Spotkałem się z nim zresztą następnego dnia w salonie Thayera (który, jak to mają zwyczaju bogowie, świecił nieobecnością), gdzie piliśmy kawę z gęstą śmietanką, degustując placki kukurydziane i marynowane ostrygi. W powietrzu unosił się zapach przyrządzonej przez Molly pieczeni, a Hitchcock opowiadał o książce, którą właśnie czytał — podyktowanych Montholonowi *Pamiętnikach Napoleona*, jak mi się wydaje. Wszystko było bardzo zwiewne i eleganckie, nawet jeżeli elegancja ta skrywała silne napięcia. Albowiem dowódca wojsk inżynieryjnych zażądał sprawozdania z mojego śledztwa, które miało zostać przekazane ministrowi obrony, a ponadto mówiono, że sprawą zainteresował się sam prezydent — a kiedy prezydent czymś się zainteresuje, to można z dużą dozą pewności założyć, że sprawy stanęły na ostrzu noża i należy podjąć szybkie działania na rzecz uniknięcia katastrofy. To się właśnie kryło za naszą przyjacielską pogawędką: tykanie analogiczne do tykania zegara w biurze na dole, który o piątej zaczął wybijać godzinę.

Współczułem Hitchcockowi i ze wszystkich sił starałem się mu pomóc.

Powiedziałem mu, co wiem, czego nie wiem i co podejrzewam. Powiedziałem mu nawet o Pawpawie, którego dziwactwa z pewnością nie mogły mu przysporzyć sympatii w oczach żołnierza. Spełniłem wszystkie warunki, a w każdym razie tak mi się wydawało, lecz kiedy zobaczyłem, że Hitchcock wstaje i zagląda do witryny pełnej insygniów wojennych, zrozumiałem, że moja praca dopiero się zaczyna.

— A zatem, panie Landor, na podstawie jakichś... dziur w ziemi nabrał pan przekonania, że jakieś satanistyczne... stowarzyszenie... Tak należy to nazywać?

— Czemu nie.

— Stowarzyszenie bądź sekta działa gdzieś w okolicy West Point. Niewykluczone, że na terenie Akademii.

— Rzeczywiście nie można tego wykluczyć.

— Jest pan ponadto przekonany, że ten osobnik...

— Albo grupa.

— Albo grupa osobników uległa jakimś średniowiecznym... Chciałem użyć słowa „banialuki”...

— Termin jak najbardziej stosowny, kapitanie.

— ...pod których wpływem Leroy Fry został zamordowany, a jego serce usunięte, a wszystko to na potrzeby jakiegoś kuriozalnego obrzędu religijnego. To usiłuje mi pan powiedzieć, panie Landor?

— Za dobrze mnie pan zna, kapitanie — powiedziałem z życzliwym uśmiechem — aby coś takiego sugerować. Czy kiedykolwiek pan słyszał, żebym wypowiadał się w jakiejś sprawie aż tak kategorycznie? Informuję pana jedynie, że mamy tutaj szereg być może powiązanych ze sobą okoliczności. Grupę śladów na miejscu zbrodni, które mogą mieć znaczenie okultystyczne, oraz zbiór konkretnych instrukcji — również okultystycznych — które mogą się odnosić do badanego przez nas przestępstwa.

— I z tego pan wnioskuje...?

— Niczego nie wnioskuje. Mówię tylko, że Leroya Frya zabito dokładnie

w taki sposób, aby jego serce mogła wykorzystać określona kategoria wyznawców.

— „Wykorzystać”, „kategoria wyznawców” to eufemizmy, panie Landor.

— Jeśli chce pan ich nazywać krwiożerczymi demonami, kapitanie, to niech się pan nie krępuje. Nie przybliży nas to ani o krok do poznania ich tożsamości. Ani ustalenia, czy dążą do jakich szerszych celów.

— Ale jeśli zaakceptujemy pański... „szereg być może powiązanych ze sobą okoliczności” — zacytował mnie Hitchcock — to wzrośnie prawdopodobieństwo, że za obiema zbrodniami kryje się ta sama grupa.

— Hipoteza, którą jako pierwszy wyraził doktor Marquis.

Ta próba znalezienia sojusznika była świadectwem... czego? Znudzenia? Desperacji? Hitchcock nie dbał bowiem o doktora Marquisa: chodziło mu tylko o podważenie mojej teorii. Wiercił w niej kolejne dziury, aż w końcu powiedziałem:

— Niech pan sam idzie do lodowni i powie mi, że się mylę, powie mi, że nie ma tam dziur, że nie ma tam liter, powie mi, że nie układają się w opisany przeze mnie wzór, a ja przestanę pana kłopotać moimi teoriami. I znajdzie pan sobie innego chłopca do bicia.

Musiałem posunąć się do groźby zerwania umowy, aby go uspokoić. I siebie samego również. Kiedy znowu się odezwałem, mój głos brzmiał dużo łagodniej:

— Nie wiem, czego pan oczekiwał, kapitanie. Ten, kto wyciął Leroyowi Fryowi serce z piersi, musiał mieć w tym jakiś cel, na którym bardzo mu zależało. Dlaczego mielibyśmy wykluczyć cel okultystyczny?

Rzecz sprowadzała się do tego, Szanowny Czytelniku, że Hitchcock miał do złożenia sprawozdanie, w którym musiał umieścić jakieś słowa. Rozważyliśmy jeszcze kilka kwestii, żeby wzmocnić argumentację, rozglądaliśmy się za właściwym słownictwem i dosyć szybko mieliśmy wszystko, czego nam było potrzeba dla komendanta wojsk inżynieryjnych — przynajmniej na razie. A ponieważ taki był jedyny cel naszego spotkania,

pogratulowałem sobie skutecznego załatwienia sprawy i szykowałem się do wyjścia... ale wtedy popełniłem błąd, wymieniając nazwisko mojego młodego przyjaciela.

— *Poe?! —* zawołał Hitchcock.

Bo widzisz, Szanowny Czytelniku, kapitan zdołał wprawdzie oswoić się z myślą, że zatrudniłem Poego, ale żeby tenże Poe miał zostać moim pełnoprawnym wspólnikiem — że w świetle najnowszych wydarzeń nadal chciałem korzystać z jego usług — tego Hitchcock nie przewidział. Poderwało go to z powrotem na nogi i kolejny raz zaczął mnie zarzucać terminami prawnymi typu *loco parentis*, „zobowiązania ustawowe” itp. Mimo całego tego zgiełku udało mi się dotrzeć do sedna jego wypowiedzi i zdałem sobie sprawę, że Hitchcock się boi.

— Kapitanie — powiedziałem. — Wszystko będzie dobrze.

Kiedy teraz o tym pomyślałem, uświadomiłem sobie, że tak właśnie mawiała moja córka, nawet w najbardziej ponurych okolicznościach. Zadałem sobie pytanie, czy w moich ustach brzmi to równie przekonująco.

— Ale przecież... — powiedział Hitchcock ze skrzywioną miną — jeśli takie stowarzyszenie istnieje, to z jego członkami nie można igrac.

— Z całą pewnością. Dlatego zleciłem panu Poemu tylko zbieranie informacji. Jego obowiązki do tego się ograniczają. Pozostałe ryzyko biorę na siebie.

Ach, ci wojskowi i ich żelazne zasady! Za żadne skarby świata nie wysłuchają porady cywila, nawet prezydenta (*zwłaszcza* prezydenta). Naciskał więc i nie ustępował, aż w końcu musiałem powiedzieć:

— Proszę posłuchać, kapitanie. Z całą stanowczością przekazałem panu Poemu, że nie wolno mu się narażać na niebezpieczeństwo czy nawet cień niebezpieczeństwa.

W rzeczywistości tego nie zrobiłem, chociaż miałem taki zamiar. Korzystając z tego, że udało mi się zrobić wyłom w argumentacji Hitchcocka, dodałem:

— Jak zawsze na pierwszym miejscu mają pozostać jego obowiązki akademickie.

— O ile zdrowie mu na to pozwoli — odparł Hitchcock.

W pomieszczeniu zrobiło się wyraźnie chłodniej.

— Zdrowie? — spytałem.

— Proszę przekazać mu ode mnie życzenia szybkiego powrotu do zdrowia — powiedział Hitchcock.

— Już miewa się lepiej, o ile mi wiadomo.

— Cieszę się, że to słyszę.

— Powiem mu, że pan o niego pytał.

— Koniecznie. Niech pan mu powie, że o niego pytałem.

Kiedy wychodziliśmy od komendanta, Hitchcock znieruchomiał podczas ściskania mi ręki i rzucił mi głęboko sceptyczne spojrzenie.

— Wedle mojej najlepszej wiedzy, panie Landor, żaden wykładowca, oficer ani żołnierz nigdy nie wykrył ani śladu praktyk satanistycznych w West Point. Dlaczego pan Poe miałby odkryć coś, co do tej pory skutecznie uchodziło uwagi całego świata?

— Dlatego, że dotychczas nikt tego nie szukał. I nikt inny nie ma takiego zmysłu obserwacji.

Poczytywałem sobie za punkt honoru, aby po każdym spotkaniu z Hitchcockiem ponownie obejrzeć zwłoki Leroya Frya w szpitalu wojskowym. Nie jestem pewien dlaczego. Z obecnej perspektywy wydaje mi się, że sprawdzałem swoją odporność psychiczną. Doktor Marquis zaczął bowiem wstrzykiwać w zwłoki azotan potasu, związek chemiczny często używany do konserwacji szynki i kielbasy. Skutki nie dały na siebie długo czekać: ciało z każdym dniem robiło się coraz bardziej zielone, a na oddziale coraz silniej cuchnęło nieświeżym mięsem. No i wszędzie latały oszalale z żądzły muchy.

Ale kiedy przyśnił mi się tej nocy Leroy Fry, był w znacznie lepszym

stanie. Owszem, nadal miał pętlę wokół szyi, ale dziura w klatce piersiowej zniknęła, a szary strój kadeta zastąpiły oficerskie błękity. W jednym ręku trzymał bryłę węgla drzewnego, a w drugim klatkę z niebieskimi ptakami i za każdym razem, kiedy otwierał usta, śpiewał tak jak one. „Nic nie powiem!”, intonował raz po raz. Spod tych słów wydzierał inny dźwięk: piskliwy, skrzeczący śpiew kobiety. Bębny West Point cały czas wybijały rytm, który nadal rozbrzmiewał mi w piersiach, kiedy się obudziłem, a w mroku wciąż majaczyły kolory mojego snu.

Były to oczywiście jedynie twory mojej wyobraźni, Szanowny Czytelniku. Wspominam o tym śnie tylko dla zobrazowania moich problemów z wysypianiem się. W tamtych dniach sen trudno było znaleźć i łatwo zgubić. Czasami myślę, że mój pobyt w West Point tworzył jedną nieprzerwaną nić, w której sen płynnie przechodził w jawę i na odwrót. Bez żadnych granic między nimi. Przynajmniej na tamtym etapie.

Wiadomość na mnie czekała, kiedy się obudziłem następnego ranka. Wciśnięta pod drzwi. Bez formuły grzecznościowej, bez nazwiska... ale natychmiast wiedziałem, kto ją wysłał. Mógłby ją napisać lewą ręką, a i tak bym poznał.

*Panie Landor, dokonałem arcyważnego odkrycia.*

A pięć centymetrów poniżej, mniejszymi, lecz nie mniej krzyzącymi literami:

*Mogę Pana odwiedzić w Pańskim domu? Jutro?*



# Opowieść Gusa Landora

14

*7 listopada*

**K**iedyś sam byłem tutaj nowicjuszem, Szanowny Czytelniku. Potrafię sobie zatem wyobrazić, jak to jest podejść do tej chaty po raz pierwszy, jak to w niedzielne popołudnie przypadło w udziale Poemu. Najpierw przekracza się strumyk, dwukrotnie. Następnie, pod baldachimem tulipanowca, widać smukły, kwadratowy komin z holenderskiej cegły, a pod nim dach ze staroświeckich szarych gontów, z obu stron wystających poza ściany szczytowe. Dom nie jest taki duży, jaki się z daleka wydaje: siedem metrów długi i pięć szeroki, jednolita bryła. Winorośl wspina się prawie pod sam dach. Nie ma dzwonka, trzeba zapukać. Jeśli nikt nie odpowie, czuj się jak u siebie.

Tak właśnie zrobił Poe: wszedł do środka, tak jakby mnie tam nie było. Nie z braku dobrych manier, lecz dlatego, że potrzebował *zobaczyć*. Nie umiem powiedzieć, dlaczego to miejsce tak wiele dla niego znaczyło, ale kiedy kadet postanowi poświęcić ci niedzielne popołudnie — jedyny moment w całym tygodniu, kiedy swobodnie dysponuje swoim czasem — to nie kwestionujesz jego motywów.

Poruszał się po linii prostej od jednego przedmiotu do drugiego, przejechał palcem po żaluzjach i po sznurze suszonych brzoskwiń, zatrzymał się przed jajem strusia, które wisiało w kącie od strony komina. Parę razy zjawiało się mu na wargach pytanie, ale jakiś nieoczekiwany obiekt zawsze odciągał jego uwagę.

Goście byli u mnie rzadkością, ale nie przypominam sobie nikogo, kto by tak uważnie wziął mój dom pod lupę. Poczuję się nieswojo. Odkryłem, że

chę przeprosić za bałaganiarstwo albo umieścić każdy obiekt we właściwym kontekście.

„W normalnych okolicznościach, panie Poe, te doniczki byłyby pełne kwiatów. Moja żona kochała pelargonie i stokrotki. A ten dywan był piękny, zanim go nie wydeptałem swoimi sabotami. Okna były przybrane zakardowymi muślinami, a lampa z mielonego szkła miała włoski abażur, ale się podarł, nie pamiętam w jakich okolicznościach...”

Poe krążył i krążył... Aż w końcu nie zostało mu już nic więcej do obejrzenia. Wtedy podszedł do okna, rozsunął palcami żaluzje i spojrzął w kierunku wschodnim, ku palisadzie, do której przywiązany był Koń, ku skalnej półce w tle i jeszcze dalej, ku dolinie Hudson tudzież kudłatym wierzchołkom Sugarloaf i North Redoubt.

— Pięknie tutaj — mruknął do siebie.

— Bardzo pan uprzejmy.

— I czyściej niż się spodziewałem.

— Ktoś od czasu do czasu zagląda.

W moich uszach zabrzmiało to komicznie: „Ktoś zagląda”. Przemknął mi przez głowę obraz Patsy, która w środku nocy szoruje w mojej kuchni garnki, a po jej śnieżnej piersi płyną strużki potu.

Poe klęczał teraz przy palenisku i zaglądał do marmurowej wazy. Bóg raczy wiedzieć, co spodziewał się tam znaleźć — gałązki? kwiaty? popiół? Żadną z tych rzeczy, to na pewno. Gwizdnął, kiedy go wyciągał: pistolet z kamiennym zamkiem model dziewiętnaście, kaliber pięćdziesiąt cztery, z dziesięciocalową niegwintowaną lufą.

— Odżywka do kwiatów? — zapytał sucho.

— To tylko pamiątka. Kiedy ostatni raz z niego strzelano, prezydentem był Monroe. Nie ma w nim kul, ale jest proch, gdyby miał pan ochotę narobić trochę hałasu.

Kto wie, może poszedłby za moją sugestią, gdyby nie wpadło mu w oko coś innego.

— Książki, panie Landor!

— Owszem, czasem czytam.

Biblioteka niezbyt imponująca — wszystkiego ledwo trzy rzędy — ale moja. Palce Poego ślizgały się po grzbietach.

— Swift! Któż lepiej by pasował. Godny pożałowania Cooper. Historia Knickerbockera, jakżeby inaczej, w każdej bibliotece musi... musi... ach, i *Waverley*! Zadaję sobie pytanie, czy potrafiłbym jeszcze raz przeczytać tę książkę. — Przybliżył głowę do półek. — Muszę powiedzieć, że to intrygujące. *Esej o sztuce deszyfrowania*, autorstwa Johna Davysa. Jest też doktor Wallis i Trithemius — cały szereg rozpraw o szyfrach.

— Tak sobie umilam czas na emeryturze. Raczej nieszkodliwie.

— Jedyna rzecz, o którą nigdy bym pana nie oskarżył, panie Landor, to nieszkodliwość. Co my tutaj jeszcze mamy? Fonetyka, lingwistyka, to wszystko ma swoje uzasadnienie. Historia naturalna Irlandii. Geografia Grenlandii. Najwyraźniej jest pan polarnikiem... Aha! — Chwycił niebieski tom z najwyższej półki i odwrócił się do mnie z błyskiem w oku. — Nakryłem pana, panie Landor!

— Słucham?

— Dał mi pan do zrozumienia, że nie czyta poezji.

— Bo nie czytam.

— Byron! — zawołał, ciskając książką prosto w sufit. — I wybaczy pan, że to powiem, ale na dodatek bardzo dobrze wydany, panie Landor. Wygląda na to, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczałem. Którego Byrona najbardziej pan lubi? *Don Juana* czy też *Manfreda*? A może *Korsarza*, do którego mam szczególną chłopięcą predylekcję.

— Proszę to odłożyć — powiedziałem. — To mojej córki.

Starłem się zachować spokojny ton, ale najwyraźniej wdarła się weń jakaś nieprzyjemna nuta, bo Poe spurpurowiał. Otwarta książka wyslizgnęła mu się z dłoni — zapewne z czystej niezdarności — i spomiędzy jej kart wyleciał

mosięzny łańcuszek, który z brzękiem spadł na podłogę. Powietrze podchwyciło i zwielokrotniło ten dźwięk.

Zdeprymowany Poe uklęknął, podniósł łańcuszek i podał mi go na dłoni.

— To jest...

— Również mojej córki.

Z zakłopotaniem przełknął ślinę. Włożył łańcuszek z powrotem do książki, którą odstawił na półkę, otrzepał dłonie z kurzu i usadowił się na kanapie.

— Pańskiej córki już tu nie ma?

— Nie.

— Zapewne...

— Uciekła. Jakiś czas temu. — Jego dłonie nerwowo się spletały i rozplatały. — Z kimś. Chce pan wiedzieć, czy uciekła z kimś. Owszem.

Wzruszył ramionami, spojrzął na podłogę.

— Znał go pan? — zapytał po chwili.

— Przelotnie.

— Ona już nie wróci?

— Raczej nie.

— W takim razie obaj jesteśmy sami na tym świecie.

Powiedział to z półuśmiechem na twarzy, jakby usiłował sobie przypomnieć jakiś dowcip.

— Pan nie jest sam — zaprotestowałem. — Ma pan swojego pana Allana z Richmond.

— O! Pan Allan gdzie indziej ulokował swoje zobowiązania. Właśnie został ojcem bliźniąt. I stoi u progu kolejnego małżeństwa — niestety, nie z matką tych dzieci. Bez znaczenia, nic już dla niego nie znaczę.

— A matka, wciąż ma pan matkę, prawda? — Usiłowałem uniknąć ironii w głosie, ale bez powodzenia. — A w każdym razie wciąż z panem rozmawia, tak?

— Od czasu do czasu, jak sądzę. Ale nigdy bezpośrednio. — Uniósł dłonie. — Właściwie jej nie pamiętam, panie Landor. Zmarła, zanim skończyłem trzy

lata. Ale mój brat, o rok ode mnie starszy, opowiadał mi o niej różne rzeczy. Jak się ubierała. A, i o jej zapachu, zawsze pachniała kłęczem irysa.

I wtedy, Szanowny Czytelniku, zaczęła się dziać dziwna rzecz — nie potrafię tego nazwać inaczej, jak tylko zmianą ciśnienia atmosferycznego. Miałem takie poczucie, jakby nad moją głową za chwilę miała rozpętać się burza. Skóra mnie kłuła, oczy pulsowały, włoski w obu dziurkach od nosa stawały dęba.

— Wspominał pan, że była aktorką... — rzuciłem nikłym głosem.

— Tak.

— I chyba również pieśniarką.

— Owszem.

— Jak miała na imię?

— Eliza. Eliza Poe.

To pulsowanie krwi w skroniach, coś niezwykłego! Nie było to bolesne ani nawet dokuczliwe. Po prostu ostrzeżenie przed tym, co mnie czekało. Coś się we mnie przygotowywało, *pragnęło* tego.

— Niech mi pan o niej opowie.

— Nie wiem, od czego... — Potoczył wzrokiem po pokoju. — Może zacznijmy od tego, że była Angielką. Przyjechała do Ameryki jako mała dziewczynka razem z matką, w siedemset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Nazywała się wtedy Eliza Arnold. Najpierw grała role dziecięce, potem pensjonarki i wreszcie jej nazwisko trafiło na afisze. Grała wszędzie, panie Landor: Boston, Nowy Jork, Filadelfia... Zawsze owacyjnie przyjmowana. Zdążyła zagrać Ofelię, Julię, Desdemonę. Grała w farsach, melodramatach, *tableau vivant*. Nie bała się żadnej roli.

— A jak wyglądała?

— Słyszałem, że zachwycająco. Mam jej podobiznę, kiedyś panu pokażę. Drobniotka, ale z ładną figurą, ciemne włosy... — Nawinał na palce pukiel włosów. — Duże oczy... — Złapał się na tym, że szerzej otworzył oczy i uśmiechnął się łobuzersko. — Przepraszam... Kiedy o niej mówię, to jest

silniejsze ode mnie... Chyba dlatego, że zawdzięczam jej wszystko, co we mnie dobre: w charakterze, w duchowości. Z całego serca w to wierzę.

— I nazywała się *Eliza Poe*?

— Tak — odparł z niespokojną miną. — Coś pana zmartwiło, panie Landor?

— Nie powiedziałbym, że zmartwiło. Widziałem ją kiedyś na scenie. Przed wielu laty.

Mam dla Ciebie wyznanie, Szanowny Czytelniku. Nie przeczytałem zbyt wielu dobrych książek. Rzadko bywam w operze, na koncercie czy na odczycie. Nigdy nie przekroczyłem linii Masona-Dixona. Byłem jednak w teatrze — i to wiele razy. Od chwili, kiedy mogłem wybierać spośród wszystkich grzechów, przed którymi ostrzegał mnie ojciec, najbardziej upodobałem sobie właśnie ten. Moja żona mawiała później, że to była jedyna kochanka, której konkurencji się obawiała. Przynosiłem do domu programy teatralne jak kokota, która kolekcjonuje wachlarze, a w nocy, kiedy Amelia chrapała u mojego boku, odtwarzałem w głowie cały spektakl, od połykacza ognia przez klauna po tragiczną heroinę. Za mojego krótkiego pobytu na ziemi miałem zaszczyt widzieć Edwina Forresta i tańczącego konia z trzema nogami, panią Alexander Drake i burleskową tancerkę Zuzinę Hetytkę, Johna Howarda Payne'a i dziewczynę, która potrafiła owinąć sobie nogę wokół głowy i podrapać się palcami po nosie. Doskonale pamiętałem imiona i nazwiska ich wszystkich, jakbym bratał się z nimi w tawernach. Dzisiaj wystarczy wymienić jedno z tych nazwisk, a drogą skojarzeń w mojej głowie odtwarza się cała teatralna atmosfera: dźwięki, widoki, zapachy, bo nie ma to jak nowojorski teatr w listopadowe popołudnie, kiedy zapach wosku świec łączy się z wonią kurzu na krokwiach, oblepionych śliną łupin orzeszków ziemnych i przepoconej wełny... melanz iście narkotyczny.

Tak właśnie się stało, kiedy usłyszałem nazwisko *Eliza Poe*. W jednej chwili cofnąłem się o dwadzieścia jeden lat i wylądowałem w teatrze przy

Park Street, w orkiestrze, w ósmym rzędzie, na miejscu za pięćdziesiąt centów. Nadeszła zima i na sali było zimno jak w przytułku dla ubogich. Dziwki na górnej galerii dygotały pod szalami. Podczas wieczornego spektaklu po moim bucie przepełżyły dwa szczury, kobieta dziesięć rzędów dalej wyciągnęła pierś, aby nakarmić kwilące niemowlę, a w tylnych rzędach wybuchł mały pożar. Nie zwracałem na to uwagi: oglądałem sztukę. Zatytułowaną *Tekeli*, czyli *Oblężenie Montgatz*. Melodramat o węgierskich patriotach. Niewiele pamiętam z fabuły: to było chyba o tureckich wasalach i nieszczęśliwie zakochanej parze, o mężczyznach w futrzanych czapach, którzy mieli na imię Georgij i Bogdan, o kobietach w madziarskich kamizelach z warkoczami sztucznych włosów, które powiewały za nimi jak miotły. Pamiętam jednak aktorkę, która grała córkę hrabiego Tekeliego.

Wyróżniała się drobną posturą — wątłe ramiona i nadgarstki, głos jak piszczałka — o wiele za drobna, myślał sobie człowiek, jak na tak wymagającą rolę. Pamiętam, jak przebiegła przez scenę i rzuciła się na postawnego aktora w średnim wieku, który grał jej kochanka — prawie ją *połknął*. Scena musi się wydawać tej kobiecie koszmarem z piekła rodem, pomyślałem sobie.

A jednak z upływem spektaklu poczułem, że w tej aktorce rodzi się coś nieustraszonego, dzięki czemu olbrzymieje nie tylko ona, ale także inni aktorzy, dzięki czemu jej pulchny kochanek powoli przeistacza się w amanta z jej wyobrażeń — a ona odciska swoje piętno na całej intrydze z jej zawilościami i scenami śmierci. Jej niezłomna wiara wszystkim się udzielała, a ja przestałem się o nią bać i zacząłem na swój sposób za nią tęsknić, pragnąc jej powrotu na scenę, jak tylko z niej zesza. Nie byłem w swoim zachwycie odosobniony, ponieważ każdemu jej powrotowi na scenę towarzyszyła fala pomruków, a po jej śmierci (upadła jak Julia na zwłoki martwego kochanka) rozległy się wręcz skowyty. Zaś kiedy kurtyna opadła na biednego starego Tekeliego, oplakującego swoje zbrodnie przeciwko wolnym Węgrom, nie zaskoczyło mnie, że ze wszystkich aktorów wywołano na bis właśnie ją.

Stała przed kurtyną, a bursztynowe światło migotało na jej włosach i dłoniach. Uśmiechnęła się. I właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że jest starsza, niż sądziłem. Twarz miała wychudzoną, skórę dłoni pomarszczoną, a na łokciach pojawiły się wypryski. Wyglądała na zbyt zmęczoną, aby bisować. W oczach miała taką pustkę, jakby zapomniała, gdzie jest. Po chwili jednak skinęła na dyrygenta i po dwóch taktach przygrywki zaczęła śpiewać.

Jej głos był tak mały jak ona sama. Z pewnością zbyt nikły na wielką przestrzeń Park Theatre. Ale i to zadziałało na jej korzyść, bo wszyscy ucichli, żeby lepiej ją słyszeć — nawet dziwki na galerii przestały paplać — a ponieważ głos miała czysty i pozbawiony sztuczności, niósł się dalej od grubszych głosów. Stała zupełnie nieruchomo, a kiedy skończyła, dygnęła, uśmiechnęła się i stanowczymi gestami dała nam do zrozumienia, że drugiego bisu nie będzie. Kiedy miała już zejść ze sceny, odstąpiła krok do tyłu, jakby nagły powiew wiatru pociągnął ją za spódnicę. Szybko się pozbierała — udając, że to było zaplanowane — i ostrożnym krokiem poszła za kulisy, machając nam na pożegnanie.

Już wtedy mogłem się domyślić: Eliza Poe umierała.

Mojemu młodemu przyjacielowi nie opowiedziałem wszystkiego, lecz tylko te miłsze rzeczy: szloch i wiwaty. Nigdy mnie nie słuchano z tak wyteżoną uwagą. Siedział u moich stóp jak w transie i można powiedzieć, że *patrzył* na słowa, które wydobywały się z moich ust. A potem przepytывał mnie ostro jak inkwizytor. Chciał, żebym mu wszystko powtórzył, przywołał szczegóły, których nie pamiętałem: kolory jej kostiumu scenicznego, nazwiska innych aktorów, liczebność orkiestry.

— A pieśń? — powiedział z ciężkim oddechem. — Zaśpiewa mi ją pan?

Nie, nie sądziłem, żebym to potrafił. Minęło ponad dwadzieścia lat. Bardzo mi przykro, ale nie potrafię, powiedziałem.

Okazało się jednak, że nie ma to żadnego znaczenia: Poe sam mi ją zaśpiewał, siedząc na podłodze mojego salonu.



*Zeszłego wieczoru, gdy psy szczekały,  
Nadzieją płonąć, wyszłam do ogrodu  
I oczy moje tęsknie patrzyły  
Lecz nie czekał na mnie żaden chłopiec młody.  
Ajaj, ajaj, co ze mną będzie  
Gdzie mam ja szukać swej drugiej połowy?  
Ajaj, ajaj, kto mnie posiędzie  
Kto do mnie przemówi słodkimi słowy?*

Przypomniałem sobie tę pieśń dopiero wtedy, gdy doszedł do kody — wzlot ku dominancie, a następnie zejście na tonikę, bardzo poruszające. Poe najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę, bo przeciągnął trzy ostatnie nuty. Dysponował dobrym lirycznym barytonem, którym nie epatował tak jak przy mówieniu. Sprawiał wrażenie, jakby każda kolejna nuta była dla niego odkryciem. A po wybrzmieniu ostatniej uniósł głowę i powiedział:

— Zaśpiewałem to w innej tonacji niż ona. — Potem dodał wzruszony: — Ależ pan miał szczęście, panie Landor, że mógł pan to usłyszeć.

Zaiste, los się do mnie uśmiechnął, potwierdziłem. Powiedziałbym mu tak, nawet gdybym tak nie uważał. Moja dewiza brzmi: „Nigdy nie stawaj między mężczyzną a jego zmarłą matką”.

— Jaka była na scenie? — zapytał.

— Czarująca.

— Nie mówi pan tego tylko...?

— Nie, nie, była zachwycająca. Dziewczęca i bardzo... świeża, bardzo przekonująca.

— Tak słyszałem. Żałuję, że sam nie miałem możliwości tego zobaczyć. — Oparł brodę na dłoniach. — Nadzwyczajna historia, panie Landor, że los połączył nas ze sobą w taki sposób. Potrafiłbym uwierzyć, że obejrzał pan ten spektakl tylko w tym celu, aby móc mi o nim kiedyś opowiedzieć.

— Co właśnie zrobiłem.

— Tak... Bogu dzięki! — Spuścił wzrok i splótł dłonie ze sobą. — Pan rozumie, jak to jest zostać tak zupełnie osieroconym. Stracić kogoś, kto jest panu droższy nad życie.

— Tak, chyba rozumiem — odparłem pozbawionym emocji tonem.

— Tak się zastanawiam — zerknął na mnie z przymilnym uśmiechem — czy zechciałby mi pan o niej opowiedzieć.

— O kim?

— O pańskiej córce. Chętnie posłucham, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Dobre pytanie: czy mam coś przeciwko temu?

Od tak dawna nikt mnie o to nie pytał, że już nie pamiętałem, czy mam coś przeciwko temu. A zatem — ponieważ tak ładnie mnie poprosił, ponieważ byliśmy sami, ponieważ ogień przygasł, a powietrze stało się chłodnawe — no i chyba również dlatego, że było niedzielne popołudnie, czyli pora, o której zawsze najbardziej czułem jej obecność — zacząłem opowiadać.

Nie dbając o chronologię. Skakałem z roku do roku, odbijałem się od jednego wspomnienia do drugiego. Ten dzień, w którym spadła z więzu na cmentarzu Green Wood. Teraz zaś siedzi sobie spokojnie na targowisku Fulton. Od najmłodszego wieku można ją było posadzić na najruchliwszym targowisku, a ona ani drgnęła i się nie skarżyła — wiedziała, że ktoś po nią wróci. Teraz z kolei kupuje sukienkę u Arnolda Constable'a na swoje trzynaste urodziny, tutaj je lody w Contoit's, a tutaj ściska się na powitanie z Jerryem Thomasem, barmanem z Metropolitan Hotel.

Jej halki zawsze wydawały pewien specyficzny dźwięk, jak strumień wody uderzający o jaz. Chodziła z lekko spuszczoną głową, jakby sprawdzała sznurowadła butów. Tylko poeci potrafili doprowadzić ją do płaczu, ludzie — prawie nigdy. Jeśli ktoś odezwał się do niej niemiło, wpatrywała się w niego takim wzrokiem, jakby usiłowała pojąć, co w niego wstąpiło.

Umiała naśladować dialekty — irlandzki, włoski i co najmniej trzy różne odmiany niemieckiego (Bóg raczy wiedzieć, gdzie się ich wszystkich

nauczyła, pewnie na ulicach Nowego Jorku). Sama mogłaby zrobić karierę teatralną, gdyby nie była taka zamknięta w sobie. A, i miała taki dziwny sposób trzymania pióra, zaciskała wokół niego całą pięść, jakby chciała je w coś wbić. Nie udało nam się jej nakłonić, aby trzymała pióro inaczej, chociaż skarżyła się, że boli ją ręka.

A jej śmiech, wspomniałem już o jej śmiechu? Miał w sobie coś intymnego — zaledwie tchnienie powietrza w nozdrzach, któremu czasem towarzyszyło drgnięcie szczęki czy zeszywnienie szyi. Potrzeba było *czujności*, aby zauważyć, że ta dziewczyna się śmieje, bo inaczej człowiek zupełnie by to przegapił.

— Nie powiedział mi pan, jak miała na imię.

— Jak miała na imię?

— Tak.

— *Mattie*. — Głos mi się załamał. Jednak zamiast umilknąć, nadal dywagowałem: — Miała na imię *Mattie*. — Zasłoniłem zwilgotniałe oczy ramieniem i prychnąłem udawanym śmiechem. — Serdecznie pana przepraszam, panie Poe, jestem trochę nie w sosie.

— Niech pan nie mówi nic więcej — stwierdził uprzejmie — jeśli nie ma pan ochoty.

— Może rzeczywiście na razie wystarczy.

Niezręczna chwila. Mogłem udawać, że nic się nie stało, ale Poe nie widział takiej potrzeby. Zanotował w pamięci moje słowa i zwrócił się do mnie takim tonem, jakbyśmy znali się od małego.

— Szczerze panu dziękuję, panie Landor.

W jego głosie rozbrzmiewała wyrozumiałość i rozgrzeszenie. Nigdy nie zadałem sobie pytania, z czego mnie wtedy rozgrzeszył. Wiedziałem tylko, że moje zakłopotanie już się zaczęło ulatniać.

— To ja panu dziękuję, panie Poe. — Skinąłem głową, a potem zerwałem się na nogi i poszedłem po tabakę. — Wie pan — zawołałem do niego —

pośród wszystkich tych naszych pogaduszek chyba zupełnie zapomnieliśmy, po co się spotkaliśmy. Mówi pan, że coś pan znalazł?

— Nawet lepiej, panie Landor. Nie coś, tylko *kogoś*.

W piątek po południu (zgodnie z planem), tuż po apelu, ale przed wezwaniem do kantyny, Poe zwrócił się do jednego z przewodników grupy modlitewnej — drugorocznika, który nazywał się Llewellyn Lee. Cichym, proszącym głosem zapytał, czy może do nich dołączyć na następnym spotkaniu, żeby nie musiał czekać na niedzielne nabożeństwo. Rzeczony Lee szybko zebrał kilku swoich „współbraci” na zaimprovizowaną dyskusję koło stanowisk artyleryjskich.

— Smutna ferajna, panie Landor. Gdybym im wyjawiał moje prawdziwe zasady religijne, natychmiast spotkałaby mnie banicja. Musiałem udawać potulność i usłużność, która zasadniczo kłóci się z moim prawdziwym charakterem.

— Mam tego świadomość, panie Poe.

— Szczęście było jednak po mojej stronie. Ci ludzie są dewotami, toteż ich łatwowierność nie ma granic. Skutkiem tego nie zawahali się mnie zaprosić na następne spotkanie. A kiedy ich poinformowałem, że po pewnym doświadczeniu z kolegą kadetem potrzebuję porady duchowej — chyba nie muszę panu mówić, że ich to niezmiernie zaintrygowało. „Wyjaśnij to dokładniej, proszę”, powiedzieli. Udręczonym głosem oznajmiłem im zatem, iż rzeczony kadet składał mi pewne *propozycje*. Propozycje natury dosyć mrocznej i w mojej ocenie antychrześcijańskiej. Ponieważ naciskali, zmuszony byłem im wyznać, że zażądano ode mnie, abym zakwestionował podstawy mojej wiary... I pozwolił się wprowadzić w tajemnicze i ezoteryczne praktyki bardzo dawnego pochodzenia. — Czy naprawdę tak im to przedstawił? Nie mam powodów w to wątpić. — Złapali przynętę, panie Landor. Wszyscy co do jednego zażądali, abym podał im nazwisko tego natarczywego kadeta. Odparłem oczywiście, że zwrócił się do mnie

w zaufaniu i honor nie pozwala mi ujawnić jego tożsamości. Powtarzali, że oczywiście rozumieją, ale chwilę później znowu dopytywali: „Kto? Kto to był?”. — Na samo wspomnienie tego wydarzenia oczy mu się zaświeciły. — Ale ja byłem nieugięty, powiedziałem, że nie wyciągną tego ze mnie, nawet gdyby sam Bóg zagroził, że porazi mnie piorunem. To się nie godzi, to byłoby sprzeczne z kodeksem wojskowego i dżentelmena. Nasza gra trwała dłuższą chwilę, aż w końcu jeden z nich, u kresu wytrzymałości, rzucił: „Czy to Marquis?”.

Na jego twarzy wykwitł grymas uśmiechu. Nasz poeta był niezmiernie dumny z siebie — i czy mogłem mieć o to do niego pretensje? Nie zdarza się codziennie, aby *plebe* przechytrył kadeta z wyższego rocznika.

— *Et alors*, panie Landor! Dzięki mojemu małemu podstępowi i ich niewrażliwości na kwestie honoru dysponujemy teraz nazwiskiem.

— To wszystko, co panu zdradzili? Nazwisko?

— Więcej nie odważyli się zdradzić. Tego, któremu się wymasknęło, natychmiast uciszyli.

— Nie bardzo rozumiem. Dlaczego wymienili doktora Marquisa, skoro wyraźnie im pan powiedział, że chodzi o kadeta?

— Nie doktora Marquisa, lecz Artemusa Marquisa.

— Artemusa?

Uśmiech rozciągnął się jeszcze szerzej. Znowu miałem okazję zobaczyć wszystkie te perłowe, idealne zęby w pełnej krasie.

— Jedyne dziecko doktora Marquisa — powiedział. — Czwartoroczniak. Podobno para się czarną magią.

# Opowieść Gusa Landora

15

*Od 7 do 11 listopada*

O d tej chwili Poe miał nową misję. Miał znaleźć jakiś sposób, by zbliżyć się do Artemusa Marquisa, dowiadywać się jak najwięcej i na bieżąco mnie informować. Ale u progu tej nowej przygody mojego młodego szpiega ogarnęły obawy.

— Z całym szacunkiem, panie Landor, ale to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie sposób zaprzeczyć, że cieszę się pewną skromną lokalną sławą, ale nie mam powodów sądzić, że pan Marquis o mnie słyszał. Chociaż maszerujemy w tej samej kompanii kadetów, nie mamy wspólnych znajomych, a jako *plebe* nie dysponuję stosunkami towarzyskimi, które pozwalałyby mi nawiązać taką znajomość.

Nie, nie, zapewniał mnie, to wykluczone. Wyciągnięcie czyjegoś nazwiska od zgrai dewotów to jedno, a pozyskanie zaufania czwartoroczniaka to coś zupełnie innego.

— Jestem pewien, że znajdzie pan sposób — powiedziałem do niego. — Potrafi pan być przeuroczy, jeśli pan tylko zechce.

— Ale czego właściwie mam szukać?

— Obawiam się, że jeszcze nie wiem, panie Poe. Wydaje mi się, że pierwszym zadaniem jest wkradnięcie się w łaski pana Marquisa. Kiedy już pan tego dokona, wystarczy tylko mieć oczy i uszy szeroko otwarte. — Ponieważ nadal się opierał, położyłem mu dłoń na ramieniu i zapewniłem go: — Panie Poe, jeśli ktokolwiek potrafi sprostać temu zadaniu, to właśnie pan.

Podejrzewam, że sam w to wierzyłem, bo czy w przeciwnym razie

dopuszczyłbym do tego, aby minął tydzień bez żadnych wiadomości od mojego szpiega? Muszę jednak przyznać, że kiedy nadszedł czwartkowy wieczór, zacząłem wątpić w powodzenie naszego projektu. Siedziałem w hotelu i właśnie układałem sobie w głowie argumenty na obronę przed nieuchronnymi oskarżeniami Hitchcocka, gdy usłyszałem stukanie do drzwi.

Kiedy je otworzyłem, korytarz był pusty — poza czekającym na mnie zawiniętym w brązowy papier pakunkiem.

I pomyśleć, że spodziewałem się jakichś urywków informacji, króciutkiego streszczenia! Tymczasem Poe stworzył cały rękopis, strona po stronie! Bóg raczy wiedzieć, kiedy znalazł czas na napisanie tego wszystkiego. Powszechnie wiadomo, że Thayer nie daje swoim podopiecznym ani chwili wytchnienia: pobudka o świcie, poranne ćwiczenia, posiłki, wykłady, musztra, cisza nocna o wpół do dziesiątej. Każdej nocy kadeci mają tylko siedem godzin snu. Spojrzawszy na sprawozdanie Poego z ostatniego tygodnia, doszedłem do wniosku, że tym razem musiało mu wystarczyć mniej niż zwyczajowe cztery godziny.

Przeczytałem całość na jednym posiedzeniu. Z niemałą przyjemnością, między innymi dlatego, że jak wszystkie opowieści, tak również sprawozdanie wiele mówi o jego autorze — chociaż sam autor naturalnie widziałby to inaczej.

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

*11 listopada*

W załączeniu znajdzie pan krótką historię mojego dotychczasowego śledztwa.

Pod każdym względem starałem się być jak najbardziej rzeczowy — precyzja, panie Landor! — bez akcentów lirycznych, które mogłyby sprawić panu przykrość. Jeśli w jakimś fragmencie dałem upust fantazji, proszę mi wybaczyć i potraktować to nie jako prerogatywę poety, lecz jako *odruch* poety, który nie umie oderwać duszy od jej powołania.

Sądzę, że dobitnie panu zobrazowałem niemal niepokonalne przeszkody towarzyszące nawiązaniu znajomości z Artemusem Marquise. Przez całą niedzielą noc i poniedziałkowy poranek rozważałem ten problem. Ostatecznie doszedłem do następującego wniosku: aby wkraść się w łaski młodego pana Marquisa, muszę zainscenizować publiczny spektakl, który zaskarbi jego najgłębsze, a także — jeśli nie jestem w błędzie — *najmroczniejsze* sympatie. A zatem, nie tracąc czasu, zaraz po poniedziałkowej pobudce udałem się do szpitala i poprosiłem o spotkanie z doktorem Marquise. Ten dobry człowiek zapytał, co mi dolega. Odparłem, że boli mnie brzuch. „Zawroty głowy?” — zapytał. „Zmierzę panu puls... Dostyc szybki... Dobrze, panie Poe, niech pan dzisiaj zostanie w pokoju i zadba o siebie. Pielęgniarka da panu sole. Jutro ma pan zażyć ruchu, pobiegać, pogimnastykować się. Nie ma lepszego lekarstwa!”

Zaopatrzony w sole i zwolnienie z obowiązków, stawiłem się przed porucznikiem Josephem Locke'em, który z pomocą kilku oficerów kadetów nadzorował tworzenie formacji marszowej przed śniadaniem. Nie uszło mojej uwagi, że w szeregach kadetów stoi pan Artemus Marquis.



Krótki rysopis, panie Landor. Niski, szczupły, ale krzepki, oczy orzechowozielone, włosy kasztanowe i tak silnie kręcone, że wojskowi fryzjerzy dotąd nie zdołali ich okiełznać. Dumny ze swojej rangi czwartorocznika, do tego stopnia, że zapuścił wąsy, które bardzo rygorystycznie przystrzyga. Na jego ustach, pełnych i rumianych, wiecznie igra uśmiech. Człowiek ten uchodzi za bardzo przystojnego i ktoś bardziej skłonny wierzyć w takie rzeczy mógłby go uznać za reinkarnację Byrona.

Owca

Po lekturze zwolnienia lekarskiego porucznik Locke zrobił rozgniewaną minę. Wiedząc, że skupiłem na sobie uwagę publiczności, a zwłaszcza młodego Marquisa, skorzystałem z okazji, aby ogłosić, że oprócz zawrotów głowy dopadła mnie jeszcze gorsza dolegliwość: napad *grand ennui*.

— *Grand ennui*? — wykrzyknął porucznik.

— W najostrzejszej postaci — potwierdziłem.

Na te słowa bardziej rozgarnięci kadeci zaczęli chichotać, ale inni, niezadowoleni z opóźnienia, niewybrednymi słowami dali wyraz swojej złości:

— Co za trzy gwiazdki dwieście osiemnaście na sto siedemdziesiąt pięć. Spływaj stąd, tatusiu!

(Nie bez przykrości, ale zmuszony jestem wyjaśnić genezę tego ostatniego określenia. W stosunku do kolegów z rocznika uchodzę za nieco starszego z wyglądu — czemu nie należy się dziwić, ponieważ jestem starszy od większości z nich. Dla porównania, mój współlokator, pan Gibson, ma zaledwie piętnaście lat. Krążyła nawet obrzydliwa plotka, że Akademia pierwotnie zaakceptowała kandydaturę mojego syna, a ja zostałem przyjęty w miejsce tego hipotetycznego młodzieńca po jego przedwczesnej śmierci). Te imbecylnie wybryki szybko ukrócił adiutant i z przyjemnością donoszę, że większość kolegów z mojej kompanii przysłuchiwała się temu bez słowa. Należał do nich Artemus Marquis.

Na tym etapie sierżant Locke zaczął się już denerwować. Chociaż starałem

się mu uświadomić, że mój stan jest naprawdę poważny, nie chciał słuchać moich usprawiedliwień i ostrzegł mnie, że mam się pilnować, bo inaczej zostanę ukarany. Zapewniając o swojej niewinności, zawołałem, że jeśli chce, może sam zapytać lekarza. Wypowiadając te słowa, panie Landor, dopuściłem się pewnego zuchwalstwa, a mianowicie odszukałem w tłumie wzrok Artemusa Marquisa i mrugnąłem do niego — ukradkiem, ale jednoznacznie.

Gdyby Marquis *fils* miał bardziej nabożny stosunek do swojego ojca, mógłby się mocno obrazić, a tym samym przekreślić moje nadzieje na zawarcie z nim znajomości. Nasuwa się pytanie, dlaczego wziąłem na siebie takie ryzyko. Widzi pan, już wcześniej doszedłem do wniosku, że człowiek, który gardzi ortodoksją religijną, będzie również skłonny zlekceważyć ortodoksję familijną. Nie ma — przyznaję — żadnych apriorycznych powodów, aby tak sądzić, ale moje przypuszczenia szybko się potwierdziły, na twarzy młodego człowieka pojawił się bowiem wyraz rozbawienia. Usłyszałem, jak mówi:

— Szczera prawda, poruczniku. Ojciec mi mówił, że nigdy czegoś takiego nie widział.

Zachwycony obrotem spraw posunąłem się do następnej transgresji. Kiedy sierżant Locke odwrócił się w stronę Artemusa, aby go zganić za impertynencję, oznajmiłem — tak głośno, aby wszyscy usłyszeli — że moje napady nasilają się w okolicznościach liturgicznych.

— Obawiam się, że będę zmuszony opuścić niedzielne nabożeństwo — powiedziałem z naciskiem. — Co najmniej przez trzy tygodnie.

Zobaczyłem, jak ręka Artemusa powędrowała przed usta — nie wiem, czy dla ukrycia rozbawienia, czy konsternacji, bo sierżant Locke stał teraz naprzeciwko mnie. Nienaturalnie niskim głosem zarzucił mi „brak wychowania” i „bezczelność”, po czym stwierdził, że „wyleczy mnie” z tego parę nadliczbowych szycht wartowniczych. Sięgnął po swój sławetny notatnik, aby wlepić mi trzy punkty karne i dodać czwarty, za źle wypastowane buty.

(Panie Landor, muszę przerwać moją opowieść i najgoręcej pana poprosić, aby wstawił się pan za mną u kapitana Hitchcocka. Nie dopuściłbym się tych wszystkich wykroczeń i impertynencji, gdybym nie stawiał na pierwszym miejscu interesu Akademii. Karami zbytnio się nie przejmuję, ale służba wartownicza byłaby ogromnym obciążeniem dla naszego śledztwa — a także dla mojego zdrowia).

Sierżant Locke rozkazał mi udać się prosto do pokoju i „poradził mi”, abym tam był podczas porannej inspekcji. Wziąłem sobie jego słowa do serca i posłusznie siedziałem w pokoju dwadzieścia dwa Koszar Południowych, kiedy parę minut po dziesiątej rozległo się pukanie do drzwi. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, panie Landor, kiedy do mojego pokoju wszedł sam komendant. Natychmiast stanąłem na baczność i z ulgą zobaczyłem, że czapka i mundur wiszą na swoich kołkach, a łóżko jest starannie pościelone. Z nieznanych powodów kapitan Hitchcock rozszerzył inspekcję poza jej codzienne ramy, to znaczy obejrzał nie tylko pokój dzienny, ale także sypialnię, a nawet zechciał wygłosić komentarz na temat stanu mojej szczotki do pastowania butów.

Po zakończeniu inspekcji zapytał mnie — tonem, który nazwałbym ironicznym — jak się mają moje zawroty głowy. Nie miałem innego wyboru, jak tylko udzielić wymijającej odpowiedzi. Kapitan Hitchcock polecił mi unikać dalszego prowokowania porucznika Locke’a. Zapewniłem go, że nigdy nie miałem takiego zamiaru. Chociaż moja odpowiedź niezbyt go przekonała, wyszedł.

Reszta dnia upłynęła mi na nauce, w większości bezowocnej: algebra, geometria sferyczna, czyli dziedziny najzupełniej mieszczące się w moich możliwościach pojmowania, a także tłumaczenie dosyć przyziemnego fragmentu *Historii Karola XII* Woltera. Po południu byłem już tak spragniony jakiejś odmiany, że uległem podszeptom Muz. Niestety, nie byłem w stanie napisać więcej niż kilka wersów, ponieważ dręczyło mnie wspomnienie tego

*innego* wiersza — podyktowanego mi przez niewidzialną Obecność, o której już wspominałem.

Moje mroczne rozmyślania przerwał pod wieczór odgłos kamienia, który uderzył o szybę. Poderwałem się z krzesła i otworzyłem okno. Jakież było moje zdumienie, kiedy na placu apelowym w dole ujrzałem Artemusa Marquisa!

— Poe, tak? — zawołał.

— Owszem.

— Wyżerka dziś w nocy. O jedenastej, numer osiemnaście w Koszarach Północnych.

Nie czekając na odpowiedź, oddalił się.

Zdumiało mnie, że krzyczał na całe gardło. A przecież było to wystosowane przez kadeta ze starszego rocznika do *plebe* zaproszenie do wzięcia udziału w nielegalnym przedsięwzięciu po ciszy nocnej. Coś takiego wołać pod niebiosa?! Mogę tylko spekulować, że bycie synem wykładowcy w West Point zapewnia (przynajmniej w jego mniemaniu) pewien stopień bezkarności.

Nie będę pana zanudzał, panie Landor, skomplikowanymi manewrami, dzięki którym niedługo po ciszy nocnej opuściłem swoją kwaterę. Dość powiedzieć, że dwóch kadetów, którzy ze mną mieszkają, szybko zasypia — oraz że dzięki lekkości kroku i bystrości myślenia udało mi się stawić przed mieszkańcami kwatery osiemnaście w Koszarach Północnych kilka minut przed wyznaczoną godziną.

Wewnątrz zastałem okna zasłonięte kocami. Z kantyny przemycono chleb i masło, z kantyny oficerskiej ziemniaki, z czyjegoś podwórka kurę, a z sadu farmera de Kuipera kosz czerwonych jabłek.

Rzecz jasna, jako dopuszczonego do tego elitarnego kręgu *plebe* potraktowano mnie jako ciekawostkę, chociaż jeden z obecnych nie omieszkał zasygnalizować swojego sprzeciwu. Był to czwartoroczniak Randolph Ballinger z Pensylwanii, który zaczepiał mnie przy każdej sposobności: „Och, tato, mów do nas po francusku!”, „Eddie, dziecko drogie, czy nie czas już

spać?”, „Chyba już pora napęłnić *pot de chambre*”. (Nie muszę chyba przypominać, że *pot* wymawia się po francusku tak samo jak moje nazwisko). Ponieważ nikt nie poszedł za jego przykładem, zadałem sobie pytanie, dlaczego mnie tak potraktował. W końcu na podstawie rozmaitych wskazówek odgadłem, że Ballinger jest współlokatorem Artemusa. Wyciągnąłem z tego wniosek, że mianował się strażnikiem wewnętrznego kręgu kolegi i urząd ten sprawuje równie gorliwie jak Cerber.

Gdybym występował pod własnym sztandarem, panie Landor, odpłaciłbym Ballingerowi za jego obelgi. Pamiętając jednak o moich obowiązkach wobec pana i Akademii, postanowiłem ugryźć się w język. Ku mojej niezmiennej uldze pozostali zdecydowali, że należy mi się zadośćuczynienie za grubiaństwa Ballingera. Przypisuję to w dużej mierze Artemusowi, który wykazał niekłamane zainteresowanie moim skromnym życiorysem. Kiedy się dowiedział, że opublikowałem dwa tomiki wierszy — nie żebym ujawnił tę informację z własnej inicjatywy (i dopiero po licznych naciskach wyjawilem opinię pani Sarah Josephy Hale, która uznała za stosowne napisać poemat na cześć moich wierszy jako świadczących o wybitnym talencie) — kiedy się dowiedział o moim powołaniu, natychmiast zażądał publicznej recytacji mojej twórczości. Czyż mogłem nie przystać na tę prośbę, panie Landor? Prawdę rzekłszy, jedyna trudność polegała na znalezieniu utworu stosownego do okoliczności. *Pieśń z Al Aaraaf* jest trochę za bardzo hermetyczna dla laików, no i niedokończona, a chociaż zasłużyłem sobie na gorące pochwały za ostatnią strofę *Tamerlana*, nie miałem wątpliwości, że tutaj należy wybrać coś lżejszego. Przyznałem zatem, że skomponowałem panegiryk na cześć porucznika Locke’a. Szybko się okazało, że ten oficer ze sztyletami w oczach doniósł zwierzchnikom na wielu kolegów Artemusa, a także na jego samego. Znalazłem w nich zatem wybornych słuchaczy mojej rymowanki (skomponowanej, nie chwając się, na poczekaniu).

*John Locke sławnym filozofem był*

*Lecz nasz Joe Locke nad nim góruje  
Bo choćbyś się w mysiej dziurze skrył  
I tak cię szefom zadenuncjuje.*

Wywołało to salwę śmiechu i aplauz. Komplementowano mnie ponad wszelką miarę i proszono, abym wypróbował swój satyryczny oręż na innych oficerach i wykładowcach. Spełniłem tę prośbę najlepiej, jak umiałem, i odważyłem się nawet sparodiować kilka co barwniejszych okazów. W powszechnym odczuciu szczególnie udatnie wcieliłem się w profesora Daviesa — „kropka w kropkę on” — a kiedy zwyczajem profesora pochyliłem się do przodu i zawołałem: „Jakże to, panie Marquis?”, śmiechom nie było końca.

Z atmosfery ogólnej wesołości wyłamał się tylko wspomniany Ballinger. Nie pamiętam dokładnej treści jego komentarzy, ale ich ogólna wymowa była chyba taka, że wyszedłbym na tym znacznie lepiej, gdybym zabawiał damy w Saratodze zamiast marnować moje bezcenne talenty w takim miejscu jak to. Na szczęście od konieczności udzielenia mu odpowiedzi wybawił mnie Artemus, który wzruszył ramionami i powiedział:

— Nie chodzi tylko o Poego. Wszyscy się tutaj marnujemy.

Na to jeden z naszych lwów salonowych zawyrokował, że istnieje tylko jeden dobry powód, dla którego warto się zgłosić do Akademii, a mianowicie możliwość „poznania tych wszystkich kobiet”. Przez cały wieczór nie śmialiśmy się tak głośno jak wtedy. Sam pan jest mężczyzną, panie Landor, więc nie zaskoczy pana, że rozmowa zesłała na przypadki pojawienia się przedstawicielek rodu niewieściego w okolicach West Point. Można by pomyśleć, że minęło dwadzieścia lat, odkąd ci biedacy widzieli kobietę, bo tak żarłocznie smakowali najdrobniejsze szczegóły.

Ktoś w końcu zasugerował, aby Artemus „wyjął swój teleskop”. W pierwszej chwili uznałem to za wyjątkowo niefortunną metaforę, lecz po krótkiej chwili Artemus wyjął z szafy skromnych rozmiarów teleskop, umieścił na statywie i wycelował przez okno w kierunku południowo-

wschodnim. Dzięki kilku zręcznym pytaniom udało mi się dowiedzieć, że Artemus, jeszcze jako *plebe*, w ramach swoich nocnych poszukiwań zlokalizował jakiś odległy dom, którego lokatorka przeszła podobno koło okna w połowie rozebrana. Wtedy widzieli to tylko Artemus i Ballinger, a później już nikt, lecz sama *możliwość* uciechy oczu tak niezwykłym spektaklem sprawiła, że do okularu teleskopu ustawiła się kolejka.

Tylko ja jeden nie skorzystałem z okazji i za swoją wstrzemięźliwość zostałem solidnie wyśmiany nie tylko przez Ballingera, ale przy tej okazji również przez parę innych osób. Nie czułem się w żaden sposób zobowiązany do reagowania na ich niedorzeczne zaczepki, a kiedy się zorientowali, że ich wysiłki mogą w najlepszym razie poskutkować kolejnymi rumieńcami, ich szyderstwa powoli ucichły. Moje rumieńce być może zjednały mi nawet jeszcze większą sympatię organizatora wieczoru, albowiem kiedy program rozrywkowy dobiegł końca, Artemus postawił sobie za punkt honoru, aby zaprosić mnie na partię kart we środę wieczorem.

— Chyba przyjdiesz, co, Poe?

Powiedział to takim tonem, że zdusił w zarodku ewentualne obiekcje. Nastąpiła chwila ciszy, która dobitnie ilustrowała, że Artemus sprawuje w tym gronie władzę monarszą, która jest tym mniej kontestowana, z im większą nonszalancją król zakłada koronę.

Jedynym problemem, z jakim musiałem się zmierzyć, przyjmując zaproszenie młodego Marquisa, były niewystarczające zasoby gotówki. Z przyczyn zbyt skomplikowanych, aby je tutaj wyliczać, już prawie wyczerpałem dwadzieścia osiem dolarów miesięcznego budżetu. Przez krótką chwilę rozważałem zwrócenie się o zastrzyk finansowy do pana, panie Landor, ale ostatecznie wyratował mnie z opresji pochodzący z Karoliny Północnej współlokator i wielkodusznie pożyczył mi dwa dolary ze środków prywatnych (na dodatek do trzech dolarów, które — jak mi delikatnie przypomniał — pożyczył mi w październiku). Tak więc we środę wieczorem, z banknotami w kieszeni,

wszedłem po schodach budynku Koszar Północnych i kolejny raz stanąłem przed gospodarzami kwatery numer osiemnaście. Artemus wyznał, że cieszy się na mój widok, i z dyktatorskim wdziękiem przedstawił mnie tym kolegom, których nie było dwa wieczory wcześniej. Prezentacje te okazały się niezbyt potrzebne, ponieważ opowieści o moich satyrycznych wyczynach krążyły już po kantynie i placu apelowym. W każdym razie nowi przybysze nalegali, abym ułożył fraszki na temat najbardziej nielubianych przez nich osobistości. (Obawiam się, że do tego grona należy kapitan Hitchcock). Nie pamiętam treści czterowersza, dla którego był natchnieniem, nie licząc mało wyszukanego rymu do jego nazwiska: „burok”). Przynajmniej pod jednym względem spotkanie to różniło się od poprzedniego: jeden z kadetów przyniósł butelkę whisky z Pensylwanii (przemyconej przy wsparciu *la divine Patsy*). Sam jej widok rozgrzał mi krew w żyłach.

Graliśmy, panie Landor, w *écarté* — od dawna moja ulubiona gra, w którą często grywałem jako student Uniwersytetu Wirginii. Nie zaskoczę pana chyba, że przed upływem dwóch partii wysunąłem się na zwycięską pozycję — ku wściekłości trochę już podpitego Ballingera, który nie zgłosił króla trefl, a tym samym nie mógł dostać za niego punktu. Chętnie spędziłbym cały wieczór na ogrywaniu go z pieniędzy, gdyby do grona ofiar moich podstępnych manewrów nie zaliczał się również Artemus. Coraz częstsze złośliwe uwagi, które mu się wymykały, kazały mi sądzić, że przegrywa nie pierwszy i nie ostatni raz. Proporcjonalnie do jego irytacji rosło moje zmartwienie. Tak długo i usilnie zabiegałem o jego przychylność, że nie mogłem ryzykować jej utraty z powodu czegoś tak przyziemnego jak karty. Tak więc, panie Landor, porzuciłem pychę i otworzyłem przed Artemusem ramiona przyjaźni: pozwoliłem mu wygrać i zakończyłem wieczór z długiem na sumę trzech dolarów i dwunastu centów.

(Panie Landor, zmuszony jestem przerwać moje sprawozdanie i poprosić pana o pilne uregulowanie tych długów, zaciągniętych wyłącznie dla dobra



Akademii. Gdyby pan Allan dotrzymał obietnic, nie musiałbym żebrać u pana, ale moje obecne położenie finansowe nie zostawia mi innego wyboru).

Proszę mi uwierzyć, drogi panie, że to nie drobnostka zrezygnować z niewielkiej choćby ilości dóbr doczesnych, którą trzyma się w garści. Jednakże moje „straty” (tak bowiem nazwaliby to niewtajemniczeni) wzbudziły niemałe współczucie moich kolegów, zwłaszcza Artemusa, i usposobiły go do mnie jeszcze bardziej przyjaźnie niż przedtem. Uznałem, że pora przejść do następnego etapu naszego przedsięwzięcia. Nadzwyczaj taktownie i ostrożnie poruszyłem w rozmowie temat Leroya Frya.

Wyjawiłem im, że pan, panie Landor, przesłuchał mnie w mylnym przekonaniu, że byłem bliskim znajomym Frya. Wywołało to długą dyskusję na fascynujący temat pańskiej osoby. Nie będę pana zanudzał szczegółami, panie Landor, powiem tylko, że pośród tych młodych ludzi jest pan legendą porównywalną do Napoleona Bonaparte czy George’a Washingtona. Według jednego z nich wystarczyło, aby przełknął pan ślinę i zbrodniarz przyznawał się do winy, a inny kadet powiedział, że zdemaskował pan mordercę, wachając odcisk jego kciuka na świeczniku. W oczach Artemusa — czuję się w obowiązku donieść — jest pan człowiekiem dosyć łagodnym, który bardziej nadaje się do chwytania łachudrów niż łotrów. (Jeśli aliteracja ta jest zbyt sztubacka, aby wywoływała pełny efekt komiczny, to może pan czerpać otuchę z faktu, panie Landor, że świadczy o błędnych wyobrażeniach na temat pańskiego charakteru).

Następnie rozmowa zeszła na temat samego Frya. Według świadectwa jednego z zebranych biedak nie błyszczał w żadnej dyscyplinie — nie potrafił nawet szczególnie sprawnie władać teodolitem — a zatem śmierć była jedynym wyczynem, który mógł go wyróżnić. Jego gwiazda świeciła na firmamencie Akademii tak nikłym blaskiem, że jego spektakularny i makabryczny akt samouniżenia wzbudził powszechne zdziwienie. Tak, panie Landor, nadal przeważa opinia, że Leroy Fry sam zadał sobie śmierć. Co ciekawe, powszechnie uważa się również, że tego wieczoru Fry udał się na

schadzkę. Jakim sposobem można pogodzić te dwie hipotezy? To nie wchodzi w zakres moich kompetencji, ale pewien trzecioroczniak wysunął hipotezę, że Fry powiesił się z rozpaczy, ponieważ umówiona z nim dama wystawiła go do wiatru.

— Ale która dama by się z nim umówiła? — zakrzyknął jeden z nich.

Pośród wywołanych tą uwagą gromkich śmiechów można było usłyszeć ironiczny głos Ballingera:

— A twoja siostra, Artemus? Czyż nie wpadła Leroyowi w oko?

W pokoju zapadła złowroga cisza, bo paskudny Ballinger był o krok od splamienia honoru damy, a w tej sytuacji każdy dżentelmen godzien tego miana powinien wstać i zażądać przeprosin. Ja sam już się do tego zabierałem, ale powstrzymała mnie ręka Artemusa na moim rękawie. Emanował dziwnym spokojem i wypowiedział słowa, które wprowadziły mnie w wielkie zakłopotanie:

— Daj spokój, Randy, byłeś z Fryem bliżej niż ktokolwiek z nas.

Na co Ballinger odpowiedział tym samym tonem:

— Na pewno nie tak blisko jak ty, Artemus.

Ponieważ młody Marquis nie odpowiedział, w pokoju znów zapadła cisza — tak ciężka i napięta, że nikt nie odważył się odezwać. I wtedy Artemus nas zaskoczył, wybuchając konwulsyjnym śmiechem, a po chwili dołączył do niego Ballinger. Nie był to jednak radosny i szczery śmiech, który cieszy serce słuchaczy — nie, panie Landor, był to śmiech z gruntu histeryczny, świadczący o napiętych do granic wytrzymałości nerwach. Tylko dzięki wysiłkom Artemusa udało się przywrócić atmosferę zabawy, która nam towarzyszyła na początku wieczoru. Mimo to nikt już nie zaryzykował wywołania ducha Leroya Frya i kiedy powoli minęła północ, oddaliśmy się takim banałom, na jakie mogą sobie bezpiecznie pozwolić zmęczone umysły.

Krótko po pierwszej uświadomiłem sobie, że liczba uczestników spotkania niepostrzeżenie zmalała do czterech. Szykowałem się zatem do wyjścia. Artemus wstał razem ze mną i zaproponował — nie, raczej zażądał — że odprowadzi mnie do wyjścia z koszar. Wyjaśnił, że porucznik Case zaczął

ostatnio patrolować korytarze w kauczukowych butach. W ciągu tygodnia udało mu się w ten sposób złapać pięciu kadetów, spacyfikować trzy wyżerki i skonfiskować sześć fajek wodnych. Jeśli nie skorzystam z jego eskorty, oznajmił, może mi się przydarzyć, że mnie nakryją.

Podziękowałem mu wylewnie i zapewniłem go, że chętnie wezmę na siebie takie ryzyko.

— W takim razie dobranoc, Poe. — Uścisnął mi dłoń i dodał: — Przyjdź w niedzielę do mojego ojca na herbatę. Będzie też kilku innych chłopaków.

Dalszy przebieg wydarzeń jest niestety w najlepszym razie pośrednio związany z Artemusem. Biłem się zatem z myślami, czy to panu relacjonować, panie Landor. Pamiętając wszakże o mojej misji — zrelacjonować *wszystko* — kontynuuję moją opowieść.

Szybko się przekonałem, że klatkę schodową Koszar Północnych zalegają niemal nieprzeniknione ciemności. Przedzierając się przez nie na parter, zahaczyłem piętą o kant stopnia i niemal runąłbym na dół, gdybym nie chwycił się kinkietu nad głową.

Trzymając się mocno balustrady, bez dalszych przygód pokonałem pozostałe stopnie i napałem już na drzwi, kiedy zatrzymało mnie przerażające przecucie: moje osłabione władze poznawcze uznały, że w czarnych jak smoła ciemnościach ktoś się czai.

Gdybym miał do dyspozycji lampę, mógłbym szybko rozwiązać te obawy, ale ponieważ mój wzrok był tak skutecznie unieszkodliwiony, musiałem zdać się na świadectwa pozostałych zmysłów, które na zasadzie kompensacji nadmiernie się wyostrzyły, skutkiem czego w moich uszach rozbrzmiewał niski, matowy, szybki dźwięk, jaki mógłby wytwarzać owinięty watą zegarek. W tej samej chwili zawładnęło mną wyraźne i nieodparte poczucie, że jestem *obserwowany* — *wzięty na cel* — tak jak w półmroku dżungli mierzona jest wzrokiem ofiara drapieżnika.

„On mnie zabije”. Taka właśnie nagła myśl przebiegła mi w tamtej chwili

przez głowę. Nie potrafiłbym jednak powiedzieć, przed kim drzę ani dlaczego ten ktoś miałby mi źle życzyć. Uwięziony w kompletnych ciemnościach, mogłem tylko czekać na to, co przyszykował dla mnie los — z charakterystyczną dla potępionych rozpaczą w sercu.

Cisza była długa i uporczywa. Znowu napałem całym ciałem na drzwi, kiedy poczułem, że jedna dłoń zaciska mi się na gardle, a druga na karku — jakby ktoś zakuwał mnie w dyby.

Powiniennem dodać, że jeśli nie udało mi się podjąć skutecznych działań obronnych, to nie z powodu siły agresora, lecz z powodu efektu zaskoczenia. Szarpałem się nadaremno — aż do momentu, kiedy ręce cofnęły się równie nagle, jak się pojawiły, a ja z gromkim krzykiem upadłem na ziemię. Leżąc na plecach, gapiłem się na parę bosych stóp, które w tych piekielnych ciemnościach świeciły tajemniczą bledością. Z góry doleciała mnie burkliwa insynuacja:

— Mój Boże, cóż za baba!

Ten głos! Ten wstrętny Ballinger — triumfuje nade mną!

Postać tak jeszcze kilka sekund, dysząc ciężko, a potem ruszył po schodach na górę, pozostawiając mnie w stanie niezmiernego poruszenia, a także — wyznaję — pijanego z wściekłości. Takich zniewag, takich obelg nie puszcza się płazem, panie Landor, nawet w imię wyższej sprawiedliwości. Proszę mi uwierzyć, że przyjdzie dzień, kiedy owieczka pożre lewa — kiedy sam myśliwy zostanie *upolowany*!

Niniejszym muszę złamać arystotelesowską zasadę jedności czasu, panie Landor, widzę bowiem, że zapomniałem o ostatniej uwadze, którą wygłosił do mnie Artemus. Kiedy stałem już na korytarzu, powiedział:

— Chciałbym, żebyś poznał moją siostrę.

# Opowieść Gusa Landora

16

*Od 11 do 15 listopada*

Taka jest zatem wersja Poego. Rzecz jasna, nigdy nie mamy pewności, czy ludzie mówią nam prawdę. Na przykład ta jego utarczka z porucznikiem Locke'em: gotów jestem się założyć, że nie zachował się aż tak nonszalancko, jak to relacjonuje. No i ta historia o tym, jak pozwolił Artemusowi wygrać w *écarté* — otóż z mojego doświadczenia wynika, że młodzi ludzie nie grają w karty, tylko karty grają nimi. Nie pogniewam się jednak, jeśli ktoś mi udowodni, że się mylę.

Przyznaję, że ze wszystkich fragmentów sprawozdania Poego najmniej pogmatwana przez narratora wydała mi się wymiana zdań między Artemusem a Ballingerem:

- Byłeś z Fryem bliżej niż ktokolwiek z nas.
- Na pewno nie tak blisko jak ty, Artemus.

Te słowa: *bliżej*, nie tak *blisko*. Nie mogłem nie zadać sobie pytania, co by było, gdyby ci dwaj jowialni koledzy mówił o *dosłownej* odległości. Gdyby zaszyfrowanym językiem żartowali na temat tego, że przebywali całkiem blisko zwłok Leroya Frya.

Poszlaka, owszem, wąta, ale uznałem, że lepszy rydz niż nic. Następnego dnia zaglądnąłem zatem przed kolacją do kantyny kadetów.

Szanowny Czytelniku, czy widziałeś kiedyś spuszczone z łańcuchów orangutany? Chciałbym, abyś zachował ten obraz w umyśle, kiedy razem wejdziemy do kantyny. Wyobraź sobie setki wygłodzonych młodzieńców, którzy w milczeniu maszerują do swoich stołów. Wyobraź sobie, że stoją na

baczność za swoimi krzesłami i czekają na krótki rozkaz: „Siadać!”. Wsłuchajcie się w tę wrzawę i huk, kiedy rzucają się na blaszane talerze i mięsne potrawy. Żłopiają wciąż gorącą herbatę, połykają całe kęsy chleba, gotowane ziemniaki rozrywają jak padlinę, w mgnieniu oka pochłaniają płaty wołowiny. Przez następne dwadzieścia minut salę wypełniają odgłosy orangutanów, wybuchają sprzeczki — o tak przyziemne rzeczy jak wieprzowina i melasa — i aż dziw bierze, że te zwierzaki nie zjadają stołów i krzeseł, na których siedzą, aby następnie zapolować na personel i szefa kantyny.

To wszystko oznacza, że kiedy tam wszedłem, nikt nie zwrócił na mnie większej uwagi. Mogłem dzięki temu spokojnie porozmawiać z jednym z pracowników, bardzo inteligentnym mężczyzną, który służył tam od dziesięciu lat i wiele przez ten czas widział, a także wiele się nauczył. Potrafił powiedzieć, którzy kadeci jedzą chleb, a którzy wołowinę, którzy najlepiej kroją mięso, a którzy mają najgorsze maniery przy stole, którzy jedzą posiłki u Mammy Thompson, a którzy żywią się sucharami i ogórkami kupionymi w budzie z lemoniadą. Jego spostrzeżenia wykraczały poza kwestie żywieniowe, ponieważ intuicyjnie wyczuwał, którzy kadeci ukończą szkołę (nie było ich wielu), a którzy do końca życia nie przeskoczą stopnia podoficerskiego.

— Cesar — powiedziałem. — Czy byłby pan tak dobry i wskazał mi kilku z tych młodych ludzi? Dyskretnie, bo nie chciałbym im przeszkadzać.

Aby go sprawdzić, na początek poprosiłem o zlokalizowanie Poego. Natychmiast go znalazł — pochylonego nad talerzem z baraniną i ze zniesmaczoną miną grzebiącego w kawałkach rzepy. Potem rzuciłem kilka nazwisk, które nic mi nie mówiły, należących do kadetów, o których słyszałem, ale nigdy z nimi nie rozmawiałem. A potem, udając obojętność, spytałem:

— A gdzie jest syn doktora Marquisa?

— Jest jednym z szefów stołu — powiedział Cesar. — Tam, w południowo-

zachodnim rogu.

I tak oto po raz pierwszy ujrzałem Artemusa Marquisa, który siedział u czoła stołu i zjadał pudding. Postawa pruska, profil ostry jak na monecie, korpus zwężający się dokładnie tam, gdzie mundur. W odróżnieniu od innych szefów stołów, którzy zrywali się na nogi lub powarkiwali ostrzegawczo, on panował nad swoją żarłoczną hordą za pomocą metody, którą zauważył wcześniej Poe: nie dając tego po sobie poznać. Dwóch kadetów przy jego stole wdało się spór o to, kto powinien nalewać herbatę. Artemus nie interweniował, lecz oparł się wygodniej i *obserwował* — z miną, która graniczyła z obojętnością. Popuścił im cugli, a potem, bez żadnej zapowiedzi czy znaku, szarpnął nimi do tyłu — bo przecież czy nie przestali się kłócić równie nagle, jak zaczęli? I czy obaj nie rzucili Artemusowi badawczego spojrzenia, zanim znowu zajęli się jedzeniem?

Jedyną osobą, z którą Artemus naprawdę rozmawiał, był jego sąsiad po lewej. Blondwłosy wojownik — silnie zbudowany młodzieniec z kanciastą szczęką, który mówił z pełnymi ustami, skutkiem czego policzki mu się wydymały jak skrzela — z tak grubą szyją, jakby utuczyła się na jego głowie. Nazywał się (jak szybko mnie poinformował nieoceniony Cesar) Randolph Ballinger.

Można było ich obserwować przez cały posiłek — a nawet wiele posiłków — i nie zauważyć niczego nadzwyczajnego. Wysławiali się dobitnie i po męsku. Ich śmiechy były szczerze, zachowanie swobodne. Z ich postawy nie przebijało nic groźnego. Śmiali się nawzajem ze swoich żartów, a kiedy przyszła pora, wstali i odmaszerowali razem z innymi. Nie było niczego — może poza urodą Artemusa — co by ich odróżniało od kolegów.

A jednak się od nich różnili, czułem to przez skórę. Czułem to, kiedy o nich rozmyślałem.

„Artemus, tak. Artemus, czemu nie?” To on mógł być osobą, która wykroiła serce z piersi Leroya Frya.

Wszystko tak doskonale do siebie pasowało, że aż ogarnęła mnie nieufność.

Jako syn chirurga miał łatwy dostęp do instrumentów i podręczników ojca, a także do jego fachowej wiedzy. Któż byłby lepiej przygotowany do tak trudnej operacji w tak uciążliwych warunkach?

O czymś zapomniałem: podczas mojego pobytu w kantynie Artemus Marquis w pewnym momencie odwrócił bardzo powoli głowę i spotkał się ze mną wzrokiem. Bez śladu zakłopotania. Nie odczuwał potrzeby tłumaczenia się przede mną ani przed nikim innym. Para orzechowozielonych, wytartych do czysta tabliczek.

Poczułem w tym momencie, że wypowiada mi wojnę, rzuca mi wyzwanie.

Taka w każdym razie nasza mnie myśl, kiedy wychodziłem z kantyny. Słońce świeciło tak jasno, że potrafiłoby zarysować siatkówki moich oczu. W Parku Artyleryjskim jakiś kanonier pucował mosiężną lufę osiemnastofuntowego działka, a inny pchał taczkę z sosnowymi balami w stronę składu drewna. Gdzie indziej koń ciągnął grzechoczący jak beczka grochu pusty wózek w górę stromego wzgórza od przystani.

W kieszeni miałem liścik dla Poego: „Dobra robota! Chcę wiedzieć wszystko o Ballingerze. Proszę rozszerzyć poszukiwania”.

Niosłem wiadomość do naszej kryjówki w Ogrodzie Kościuszki. O ogrodzie tym nie za bardzo jest co opowiadać, Szanowny Czytelniku: wyciosany w skalistej skarpie nad Hudsonem mały taras. Kilka kamieni, trochę zieleni, parę zahartowanych chryzantem... a także, zgodnie z tym, co powiedział Poe, wzbierające w kamiennej misie krystaliczne źródło... W skale wygrawerowano nazwisko wybitnego polskiego pułkownika, który nadzorował budowę fortyfikacji West Point. W tym to kamiennym zakątku ukrywał się ponoć przed swoimi troskami. W obecnych czasach trudno już znaleźć tyle spokoju — przynajmniej w cieplejszych miesiącach, kiedy grasują tutaj turyści, ale w listopadowe popołudnie, jeśli człowiek wszystko odpowiednio zaaranżuje, można liczyć na te same doznania, które tak kochał Kościuszko.

Tak w każdym razie założyły dwie osoby, które siedziały teraz na



kamiennej ławce. Mężczyzna i kobieta. Kobieta była drobnokoścista, miała dziewczęcą kibić i niemal równie młodą twarz, aczkolwiek z odrobinę obwisłą skórą wokół podbródka. Uśmiechała się od ucha do ucha — był to *przerażony* uśmiech, który nie przeszkadzał jej w mówieniu do towarzysza. A konkretnie doktora Marquisa. Nie od razu go rozpoznałem, ale nigdy wcześniej nie widziałem go — ani też nikogo innego — w takiej pozie. Pozie tak dziwnej, że wątpię, abym potrafił ją skutecznie oddać. Przycisnął kciuki do uszu, ale nie dla zagłuszenia hałasu, lecz jak człowiek, który przymierza kapelusz. Pozostałe palce otulały bok jego głowy jak futro wydry i od czasu do czasu nieznacznie nimi kiwał, jakby szukał wygodniejszego ułożenia. Jego oczy wpatrywały się we mnie — wielkie, pożyłkowane, które drgały przepraszająco.

— Panie Landor — powiedział, wstając. — Mogę panu przedstawić moją uroczą małżonkę?

Wiesz, jak to jest, Szanowny Czytelniku. Dzięki sile skojarzeń osoba, na którą patrzymy, może w ciągu sekundy kilkakrotnie zwiększyć swoje rozmiary. Patrzyłem na tę szeroko uśmiechniętą kobietę z męczącą uwagą i nagle zawierała w sobie męża, syna i całą szafę sekretów — wszystko schowane w tym malutkim jak ptaszek ciele.

— A, pan Landor — powiedziała łagodnym, nosowym głosem. — Wiele o panu słyszałam. Tak się cieszę, że mogę pana poznać!

— Cała po mojej... — wydukałem. — To znaczy przyjemność. Cała...

— Mąż mi mówił, że jest pan wdowcem.

Ta nieoczekiwana uwaga ścięła mi oddech.

— Istotnie — zdołałem w końcu wydusić.

Spojrzałem na lekarza, oczekując, że... że co? Że się zaczerwieni? Że odwróci wzrok? Lecz w jego oczach błysnęło zainteresowanie, a wielkie, sfatygowane wargi ćwiczyły już słowa, które za chwilę miał wypowiedzieć.

— Moje kondolencje — powiedział. — Moje... Bez wątpienia... Bez... Mogę zapytać, panie Landor, czy to się wydarzyło ostatnio?

— Ale co?

— Wezwanie pańskiej małżonki... przed oblicze Stwórcy. Czy to...

— To było trzy lata temu — odparłem. — Zaledwie kilka miesięcy po tym, jak się tutaj przeprowadziliśmy.

— Czyli nagła choroba.

— Niestety, niezbyt nagła.

Zatrzepotał powiekami ze zdziwienia.

— Och, tak mi... Tak mi...

— Pod koniec okrutnie cierpiała, doktorze. Wolałbym, żeby jej Bóg szybciej wezwał ją do siebie.

Sądę, że sprawy poszły dalej, niż sobie tego życzył. Odwrócił głowę w stronę rzeki i do niej skierował słowa pocieszenia.

— Musi pan... czuć się bardzo samotny — wymamrotał. — Gdyby pan kiedyś...

— Mój mąż chce powiedzieć — wtrąciła pani Marquis ze słonecznym uśmiechem — że bylibyśmy zaszczyceni, gdyby pan nas odwiedził. Jako honorowy gość.

— A ja z radością przyjąłbym zaproszenie. Sam zresztą nosiłem się z myślą, aby państwa zaprosić do siebie.

Nie umiem powiedzieć, jakiej reakcji się spodziewałem, ale na pewno nie takiej: wszystkie elementy jej twarzy się otworzyły, jakby ktoś pociągnął za ukryte sznurki, a potem pisnęła — tak, myślę, że to właściwe słowo — i natychmiast zasłoniła usta dłonią, jakby chciała powstrzymać ten dźwięk.

— Chciał pan nas zaprosić? Podstępny z pana diabeł! Istny demon... — Zniżyła głos i dodała: — To pan jest człowiekiem, któremu zlecono śledztwo w sprawie śmierci pana Frya, prawda?

— Istotnie.

— Fascynujące. Mąż i ja właśnie rozmawialiśmy o tej sprawie. Powiedział mi, że mimo jego... — ścisnęła biceps małżonka — iście heroicznych wysiłków ciało nieszczęsnego pana Frya znajduje się w takim stanie, że nie

można go już nikomu pokazywać i żeby uczynić zadość wymogom przyzwoitości, usunięto je z widoku publicznego.

To już wiedziałem. Upłynęło trochę czasu, zanim wiadomość o śmierci Frya dotarła do jego rodziców i postanowiono na dobre zamknąć go w sześciobocznym sosnowym pudle. Zanim zapieczętowano wieko, kapitan Hitchcock zapytał mnie, czy chciałbym ostatni raz rzucić okiem na zwłoki.

Chciałem. Chociaż przy najlepszej woli nie umiem powiedzieć dlaczego.

Zwłoki nie były już napuchnięte, skurczyły się w sobie. Leroy Fry pływał w trzęsawisku własnego płynu limfatycznego, jego ramiona i nogi miały siny kolor, a robaki najwyraźniej już się nim najadły, bo wyłaziły z każdej jamy, zostawiając resztę ciała świeżo wyklutym owadom, które poruszały się pod jego skórą jak nowe mięśnie.

Zanim zapieczętowano skrzynię, zauważyłem jeszcze jedną rzecz: płyny limfatyczne z największym opóźnieniem zgromadziły się pod powiekami, skutkiem czego żółte oczy po osiemnastu dniach się zamknęły.

A teraz stałem w Ogrodzie Kościuszki i zaglądałem w brązowe źrenice szeroko otwartych oczu pani Marquis.

— Och, panie Landor — powiedziała. — Cała ta sprawa mocno wstrząsnęła moim mężem. Od wielu lat nie widział takiej jatki. Chyba od wojny, prawda, Danielu?

Daniel z powagą skinął głową i powoli opasał ramieniem jej maleńką kibić, jakby chciał podkreślić swoje prawa do niej... Do swojego *trofeum*, tej drobnej jak ptaszek z kieszeniami z perkalu i oczami z szyfonu.

Mruknąłem coś o potrzebie powrotu do siebie, oni jednak nalegali, że odprowadzą mnie do hotelu. A zatem, nie zostawiwszy wiadomości dla Poego, człapałem w stronę przybytku pana Cozzensa z poczciwym doktorem za plecami i jego małżonką uwieszoną na moim ramieniu. — Nie będzie mi pan miał za złe, jeśli trochę się na panu wesprę, panie Landor? Te pantofelki strasznie mnie piją w moje biedne stopy. Płeć niewieścia potwornie się torturuje w imię najnowszej mody.

Mówiła jak młoda piękność na swoim pierwszym balu. I gdybym był młodym kadetem na takim balu, zapewniłbym ją, że jej ofiarność nie uszła mojej uwagi — co zresztą uczyniłem.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym wypowiedział najbardziej oryginalne zdanie w dziejach ludzkości. Jeśli pamięć mnie nie myli, tak właśnie młode kobiety patrzą na młodych mężczyzn. A potem z jej ust wyszedł najdziwniejszy śmiech, jaki w życiu słyszałem — piskliwy, rytmiczny, regularnie pokawałkowany — podobny do okapujących stalaktytów w ogromnej grocie.

— Ach, panie Landor, gdybym nie była... To wszystko, co zamierzam powiedzieć: *gdybym nie była...*

W sobotę wieczór wróciłem do mojego domku, gdzie czekała na mnie Patsy. Ze wszystkich obiecanych mi przyjemności chyba najbardziej niecierpliwie czekałem na możliwość wyspania się. Sądziłem bowiem, Szanowny Czytelniku, że po długich cielesnych uciechach nareszcie opuszczę mój niezdecydowany stan półsnu, półczuwania, w którym od jakiegoś czasu byłem pogrążony. Zapomniałem jednak, do jakiego stopnia Patsy mnie *rozbudza*, nawet jeżeli sama jest do cna wyczerpana. Kiedy było już po wszystkim, po prostu odpłynęła do krainy snów, z głową na mojej piersi. A ja leżałem wciąż rozpalony jej widokiem, zachwycając się grubością i *wytrzymałością* jej czarnych włosów, nasuwających skojarzenia z żeglarskimi linami.

A kiedy potrafiłem już oderwać myśli od Patsy, samoczynnie powróciły do West Point. Odegrano już capstrzyk, pomyślałem, a księżyc wszędzie pozostawia swoje ślady. Z okna mojego pokoju hotelowego mógłbym zobaczyć płynące na południe ostatnie w tym roku parowce, a za ich rufami rozmigotany tren. Cętki cienia na zboczach wzgórz, ruiny starego fortu Clinton tlą się jak końcówka cygara...

Usłyszałem rozespany głos Patsy.

— Powiesz mi, Gus?

— Powiem ci co?

— O swoim małym śledztwie. Powiesz mi czy będę musiała...?

Wziąwszy mnie z zaskoczenia, przerzuciła przede mnie nogę. Szturchnęła mnie delikatnie i czekała na moją odpowiedź.

— Zapomniałem coś ci wyjaśnić: jestem starym człowiekiem.

— Nie takim znowu starym.

Przypomniałem sobie, że to samo powiedział do mnie Poe: „Nie taki znowu stary”.

— Czego się dowiedziałeś, Gus?

Powróciła na swoją stronę łóżka i podrapała się w brzuch.

Ścisłe rzecz biorąc, nie zamierzałem nic jej mówić. Pełna dyskrecja, tak ślubowałem Thayerowi i Hitchcockowi. Ale złamanie jednego ślubu — abstynencji — znacznie ułatwiło mi złamanie drugiego. Bez dalszej zachęty zacząłem więc opowiadać o znakach na ziemi wokół lodowni, wizycie u profesora Pawpawa i spotkaniach Poego z tajemniczym kadetem Marquisem.

— Artemus — mruknęła.

— Znasz go?

— Ależ oczywiście. Chłopak jak z obrazka. Prawie by się chciało, żeby umarł młodo, co? Żeby ani trochę się nie zestarzał...

— Dziwi mnie, że nic mi...

Spojrzała na mnie ostro.

— Zaraz się ośmieszysz, Gus. Chcesz tego?

— Nie.

— To dobrze. — Pokiwała stanowczo głową. — Nigdy bym go nie podejrzewała o brutalność. Zawsze wydaje się taki spokojny i opanowany.

— No nie wiem, może to nie jego szukamy, ale ma w sobie... coś szczególnego. Podobnie jak cała jego rodzina.

— Wyjaśnij.

— Wpadłem wczoraj przypadkiem na jego rodziców, którzy rozmawiali

o jakiej nieprzeznaczonej dla obcych uszu sprawie i zareagowali... to zabrzmiało dziecinnie, ale zareagowali jak ludzie, którzy coś *zawini*li.

— Każda rodzina coś *zawini*ła — odparła Patsy.

Pomyślałem o moim ojcu. Konkretniej mówiąc, o brzoźowej witce, którą regularnie łaił mi skórę. Nigdy więcej niż pięć razy — bo i nigdy więcej nie było potrzeba. Wystarczył sam dźwięk: głośny świst, zawsze bardziej przerażający niż samo uderzenie o skórę. Do dzisiaj się pocę na tę myśl.

— Masz rację — przyznałem. — Ale niektóre rodziny *zawini*ły bardziej niż inne.

Udało mi się zaznać tej nocy trochę odpoczynku. Następnego wieczoru, po powrocie do hotelu pana Cozzensa, usnąłem zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Lecz dziesięć minut przed północą obudziło mnie lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę wejść, panie Poe — powiedziałem, nie wstając z łóżka.

To nie mógł być nikt inny. Bardzo ostrożnie otworzył drzwi i stanął w progu obramowany ciemnością. Nie ośmielił się postawić ani kroku dalej.

— Proszę — powiedział i położył na podłodze kolejną kopertę. — Następny odcinek.

— Dziękuję — odparłem. — Z góry się cieszę na tę lekturę.

Być może skinął głową. Nie miałem jak tego stwierdzić, bo on nie zaopatrzył się w świecę, a ja zgasilem lampę.

— Panie Poe, mam nadzieję, że pan nie... Widzi pan, trochę się martwię, że zaniedbuje pan studia.

— Nie, dopiero się zaczynają. — Długa chwila milczenia. — Dobrze pan sypia? — spytał w końcu.

— Tak, dziękuję.

— W takim razie szczęściarz z pana. Ja w ogóle nie mogę spać.

— Bardzo przykro mi to słyszeć.

Kolejna cisza, jeszcze dłuższa niż wcześniej.

— No to dobranoc, panie Landor.

— Dobranoc.

Mimo ciemności rozpoznałem symptomy. Miłość. Miłość wyrwała studentowi pierwszego roku Edgarowi Allanowi Poemu serce.

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

*14 listopada*

**T**rudno sobie wyobrazić, panie Landor, z jakim entuzjazmem oczekiwałem niedzielnej popołudniowej herbaty z domownikami Marquisa. Po moim poprzednim spotkaniu z Artemusem nabrałem jeszcze silniejszego przekonania, że ujrzenie go w zaciszu domowego ogniska najlepiej ze wszystkich możliwych działań pozwoli ustalić jego winę lub niewinność. A gdyby pośród murów, wewnątrz których dorastał, nie obciążył sam siebie, to może uda mi się — tak rozmyślałem — wydobyć jakieś wskazówki z jego bliskich krewnych, którzy zdradzą mi więcej, niż się domyślają.

Jego rodzinna rezydencja to jeden z tych kamiennych domów na zachodnim obrzeżu placu apelowego — noszącym sielankowy przydomek „Alejka Profesorów”. Domu Marquisów nic nie odróżnia od sąsiednich, jeśli nie liczyć haftu na drzwiach wejściowych, na którym widnieje napis „Witajcie, synowie Kolumbii”. Wbrew temu, czego się spodziewałem, nie otworzyła mi służąca, lecz sam doktor Marquis. Nie umiem powiedzieć, czy dysponował wiedzą o tym, że nadużyłem jego zaufania w kwestii zwolnienia lekarskiego, lecz obawy, które wzbudził we mnie widok jego rumianej cery, natychmiast rozwiąło zadane przez niego pytanie. Z troskanym tonem dopytywał się bowiem, czy zawroty głowy ustąpiły. Poinformowałem go o całkowitym wyzdrowieniu, na co uśmiechnął się dobrodusznie i powiedział:

— A! Widzi pan, panie Poe, ile dobrego może przynieść odrobina ruchu!

Chociaż nie znałem wcześniej wspaniałej pani Marquis, słyszałem na jej temat wiele niepochlebnych pogłosek, przedstawiających ją jako osobę nerwową i egzaltowaną. Muszę przeciwstawić tej ocenie własne spostrzeżenia, poznałem bowiem osobę wcale nie histeryczną, lecz przeuroczą. Od momentu,



kiedy nas sobie przedstawiono, z jej twarzy nie schodził uśmiech. Nie posiadałem się ze zdumienia, że *plebe* może sobie zasłużyć na równie przychylnie potraktowanie, a moje zdumienie jeszcze wzrosło, kiedy usłyszałem z jej ust, że opowiadając o mnie, Artemus używał określeń generalnie zarezerwowanych tylko dla największych geniuszy.

W spotkaniu uczestniczyli dwaj koledzy klasowi Artemusa. Pierwszy z nich to George Washington Upton z Wirginii, wybitny kadet w stopniu kapitana. Drugi — serce we mnie zamarło na ten widok! — to wojowniczy Ballinger. Przypomniawszy sobie jednak o swoich obowiązkach wobec Boga i ojczyzny, postanowiłem zapomnieć o jego haniebnym postępowaniu, o jego podłej agresji, i jak najserdeczniej go pozdrowiłem. Szybko wyszło na jaw coś wręcz niewiarygodnego: Ballinger diametralnie zmienił swoje nastawienie do mnie, a raczej — co wydaje się bardziej prawdopodobne — poinstruowano go, aby odnosił się do mnie z większym szacunkiem. Dodam tylko, że rozmawiał uprzejmie, swobodnie i zgodnie z etykietą dżentelmena.

Niestrawne dania, które pan Cozzens przysyłał do kantyny kadetów, wzbudziły we mnie wielkie oczekiwania w stosunku do serwowanych u Marquisa kulinarnych darów. W tej kwestii nie spotkało mnie rozczarowanie. Ciastka i wafle były pierwszorzędne, a gruszki — jak z zachwytem stwierdziłem — obficie nasączone brandy. Doktor Marquis dał się poznać jako przemiły gospodarz i sprawiło mu szczególną radość, że może nam pokazać popiersie Galena, a także kilka niezwykłych i intrygujących monografii pióra tego wybitnego starożytnego medyka. Panna Marquis — panna *Lea* Marquis, siostra Artemusa — całkiem biegle gra na fortepianie i uraczyła nas wyborem tych sentymentalnych przyśpiewek, które okrywają kulturę współczesną hańbą — aczkolwiek wykonała je zachwycająco. (Trzeba przyznać, że wybrane przez nią tonacje poddały jej naturalny kontralt okrutnej próbie. Na przykład jej wykonanie *From Greenland's Icy Mountains* jeszcze by zyskało, gdyby przetransponować ten utwór o kwartę, a może nawet o kwintę w dół). Artemus zażądał, abym podczas recitalu jego siostry siedział koło niego, i w

regularnych odstępach rzucał badawcze spojrzenia w moją stronę, aby się upewnić o moim zachwycie. Zachwycie, na którym kładła się cieniem konieczność słuchania jego nieustannych uwag: „Wspaniała, prawda? Urodzony muzyk. Gra od trzeciego roku życia. Och, to był piękny pasaż, prawda?”.

Nawet oczy i uszy znacznie mniej uważne od moich zarejestrowałyby wszystko, czego można się było dowiedzieć o charakterze przywiązania tego młodego człowieka do starszej siostry, a pewne sygnały, które od niej otrzymywał w przerwach między poszczególnymi utworami, pewne przeznaczone tylko dla jego oczu uśmiechy wskazywały, że jego uczucie jest bez reszty odwzajemnione, że istnieje między nimi o wiele silniejsza więź i nić sympatii niż kiedykolwiek miałem szczęście w życiu zaznać (wychowywano mnie w innym domu niż mojego brata i siostrę).

Pan, panie Landor, z pewnością uczestniczył w dostatecznie wielu takich popołudniowych przyjęciach, aby wiedzieć, że kiedy jeden wykonawca skończy, z reguły wzywa się kolejnego, aby słuchacze się nie nudzili. Po zakończeniu występu panny Marquis, na skutek głośnych nalegań jej matki i brata, przypadło mi w udziale zadanie ucieszenia uszu zgromadzonych gości próbką mojej skromnej poezji. Wyznaję, że spodziewałem się tej ewentualności i pozwoliłem sobie przygotować krótki wybór wierszy, skomponowanych zeszłego roku na poligonie i zatytułowanych *Do Heleny*. Nie ośmieliłbym się przytaczać ich w całości (nie sądzę też, aby pan tego pragnął, o Wielki Antypoeto!). Zatrzymuję się na tej kwestii tylko w celu poinformowania pana, że uważam te utwory za najlepsze w całej mojej liryce oraz że tytułowa Helena w nich jest przyrównywana do nicejskich barek, Grecji, Rzymu, Najad itd., itp. Oraz że kiedy dotarłem do końcowych wersów — „Ach — ty z tych krain jesteś, Psyche, / Które są Ziemią Świętą!”<sup>7</sup> — moje starania nagrodziło przeciągłe, zgoła rytmiczne westchnienie.

— A niech mnie! — zawołał Artemus. — Nie mówiłem wam, że ten zwierzak jest geniuszem?

Jego siostra zareagowała bardziej wstrzemięźliwie, a ponieważ wyczułem już głęboką troskę o nią ze strony Artemusa, zadbałem o to, aby porozmawiać z nią w cztery oczy i zapytać, czy moje poetyckie drobiazgi przypadkiem jej nie uraziły. Natychmiast uspokoiła mnie uśmiechem i jednoznacznym potrząśnięciem głowy.

— Nie, panie Poe, to było urocze. Tyle że trochę mi smutno, kiedy myślę o biednej Helenie.

— Biednej Helenie? Dlaczego biednej?

— No jak to, dniem i nocą uwięziona w tej niszy. „Jak w marmur widzę cię zakłątą”, czy nie tak pan napisał? Chciał pan chyba powiedzieć „zakutą”. Ojejku, teraz to ja pana uraziłam. Najmocniej pana przepraszam. Pomyślałam sobie tylko, że zdrowa dziewczyna taka jak Helena chętnie wyszłaby od czasu do czasu ze swojej niszy. Pospacerować po lesie, porozmawiać z przyjaciółmi, a nawet pójść na bal, jeśli czuje się na siłach.

Odpowiedziałem, że Helena — Helena z mojej wizji — nie potrzebuje ani spacerów, ani tańca, ponieważ ma coś znacznie cenniejszego: nieśmiertelność, nadaną jej przez Erosa.

— Och — powiedziała, uśmiechając się łagodnie. — Nie przychodzi mi do głowy żadna kobieta, która chciałaby być nieśmiertelna. Być może pragnie tylko, aby ją rozśmieszyć. A może wystarczy jej jedna pieszczota...

Zaraz po tych słowach jej marmurowe lico delikatnie zabarwiło się na czerwono. Zagryzła wargę, skierowała rozmowę na bardziej neutralny teren i ostatecznie zaczęła mówić... zaczęła mówić o mnie, panie Landor. Zaintrygowana moimi wzmiankami o „wonnych mórz bławatach” i o „ciężkim znoju wędrowca”, spytała, czy wolno jej wyciągnąć z tych wyrażen wniosek, że zwiedziłem sporo świata. Nieskazitelna logika, potwierdziłem. W ogólnych słowach odmalowałem jej swoje morskie perypetie tudzież peregrynacje po kontynencie europejskim, zakończone w Sankt Petersburgu, gdzie wplątałem się w tarapaty tak złożonej i tajnej natury, że gdyby w ostatniej chwili nie interweniował amerykański konsul, nigdy bym się

z nich nie wykaraskał. (Ballinger, który przypadkiem koło nas przechodził, spytał, czy w rolę mojego adwokata wcieliła się cesarzowa Katarzyna. Z sardonicznego tonu wywnioskowałem, że jego dobre usposobienie do mnie było tylko chwilową fasadą). Panna Marquis słuchała moich opowieści z wielką otwartością i wytężoną uwagą, przerywając mi tylko po to, aby dopytać o jakiś szczegół, i cały czas przejawiała tak szczere i nieustanne zainteresowanie moim nędznym istnieniem, że... Cóż, panie Landor, zapomniałem, jak wielką rozkoszą jest otworzyć serce przed młodą kobietą. Moim zdaniem należy to do najrzadziej opiewanych cudów świata.

Widzę, że nie zadałem sobie jeszcze trudu opisanie panny Marquis. Czy to Bacon, lord Verulam, powiedział: „Nie ma wykwintnego piękna bez pewnej *dziwności* proporcji”? Panna Marquis potwierdziłaby prawdziwość tej mądrej uwagi. Jej usta — by ograniczyć się do jednego składnika jej urody — są ukształtowane nieregularnie: krótka górna warga, zmysłowa dolna, a całość niebiańska! Jej nos przejawia może zbyt widoczne powinowactwo z orlim, lecz harmonijnie zaokrąglone nozdrza mogłyby iść w zawody pod względem wdzięku z hebrajskimi medalionami. Lica, owszem, zbyt srogie, ale czoło wyniosłe i blade, a brązowe włosy lśniące, bujne i naturalnie kręcone.

Ponieważ nakazał mi pan relacjonować wszystko ściśle, skrupulatnie i uczciwie, powinienem dodać, że obserwator z zewnątrz uznałby ją za osobę, która okres największego rozkwitu ma już za sobą. Ponadto emanuje pewną *tristesse*, w której (ale być może zapuszczam się zbyt daleko) można się domyślić zgruchotanych nadziei, niespełnionych obietnic. A przecież tak bardzo jej do twarzy z tą melancholią, Panie Landor! Nie zamieniłbym jej na tysiąc emocjonalnych uniesień tych tak zwanych panien na wydaniu. Zaiste trudno mi pojąć, że w czasach, kiedy tak wiele kobiet bez charakteru zawleka się prosto z ojcowskiego dworku do ołtarza, o tej czystej wody perłę nikt się nie upomina. Prawdą jest zatem, co mówi poeta: „Ileż kwiatów marnuje swój czar na uboczu, / lub woń ich niosą wichry w dalekie pustynie”<sup>8</sup>.

Nie sędzę, aby moja rozmowa z panną Marquis trwała dłużej niż dziesięć czy piętnaście minut, a przecież jakże szeroki wachlarz tematów poruszyliśmy! Nie mam czasu ich wszystkich wyliczać (nawet gdybym je spamiętał), ponieważ zauroczyła mnie magia jej melodyjnego głosu. Będąc kobietą, nie porusza się w obszarach nauk moralnych, fizycznych i matematycznych równie swobodnie jak mężczyzna, ale francuskim włada nie mniej biegle niż ja i ku mojemu zaskoczeniu posiadała pewną znajomość — aczkolwiek elementarną — języków klasycznych. Ponieważ wykorzystuje na swoje potrzeby teleskop Artemusa, potrafiła całkiem fachowo dyskutować o gwiazdzie szóstej wielkości, którą można znaleźć w pobliżu wielkiej gwiazdy w gwiazdozbiornie Liry.

Ale jeszcze bardziej niż jej władze poznawcze zafrapowała mnie i zauroczyła jej wrodzona inteligencja, umiejętność docierania do sedna nawet najbardziej hermetycznego zagadnienia. Doskonale pamiętam, z jakim zrozumieniem wysłuchiwała moich rozważań kosmologicznych. Za jej zachętą powiedziałem jej, że uważam wszechświat za wiecznego „powrotnika”, który z materialnej nicości powraca do pełni swego istnienia, pęcznieje, a następnie znowu pogrąża się w nicości; cykl ten powtarza się *ad infinitum*. Podobnie jest z duszą: osadem bóstwa, który również podlega wiekuistemu cyklowi kosmicznej anihilacji i odrodzenia.

W każdej innej kobiecie, panie Landor, moje spekulacje przypuszczalnie wzbudziłyby tylko niesmak. Tymczasem u panny Marquis nie dostrzegłem ani śladu odrazy, wiele natomiast świadczyło o jej rozbawieniu. Jej kpiący wyraz twarzy sygnalizował, że właśnie udało mi się dokonać skomplikowanego i niebezpiecznego wyczynu akrobatycznego — i to tylko dlatego, że mnie sprowokowano.

— Musi pan na siebie uważać, panie Poe. Anihilacja bóstwa anihiluje również pana. Rzecz jasna, jeśli pragnie pan poflirtować z... materialną nicością, tak pan to nazwał?... to powinien pan również poflirtować z nicością duchową.

— O, kadet Poe nigdy nie flirtuje!

Miarą naszego wzajemnego zaabsorbowania było to, że zupełnie nie dostrzeżliśmy obecności Artemusa, dopóki nam jej dobitnie nie oznajmił. Z drugiej strony, nie wykluczam, że Artemus chciał nas przestraszyć, podkradł się bowiem do nas na paluszkach i kiedy już wygłosił powyższy żart, złączył siostrze ręce za plecami, jakby brał ją w niewolę, i delikatnie dziabnął ją podbródkiem w ramię.

— Mów, siostrze. Co myślisz o moim małym protegowanym?

Wyrwała mu się ze zmarszczonym czołem.

— Myślę — powiedziała — że pan Poe nie potrzebuje niczyjej protekcji.

Artemus miał skonsternowaną minę — nie sądził, że zostanie skarcony. Jednak urocza panna Marquis nie znosiła sprawiać nikomu przykrości, toteż natychmiast go rozgrzeszyła wybuchem śmiechu.

— Na pewno nie pozwoli się skorumpować ludziom twojego pokroju — wypaliła.

Po tej uwadze *oboje* nie posiadali się ze śmiechu. Ich wesołość była tak zaraźliwa i bezgraniczna, że porzuciłem wszelkie podejrzenia o bycie jej przedmiotem i dołączyłem do nich, aczkolwiek bardziej wstrzemięźliwie. Ich talenty aktorskie nie zdołały mnie jednak zaślepić i zauważyłem, że Lea przestała się śmiać dużo wcześniej niż jej brat i że przebiła go na wskroś spojrzeniem — z czego on, bez reszty opanowany przez ducha komedii, nie zdawał sobie sprawy. Miałem wrażenie, że Lea zagląda Artemusowi w duszę, aby zobaczyć, co namalowano na jej płótnie. Jaką nadzieję lub beznadzieję tam znalazła, mógłby wiedzieć tylko metafizyk. Ja zaś ograniczę się do stwierdzenia, że wesołość Lei odrobinę przygasła.

Los nie dał mi kolejnej sposobności do rozmowy z panną Marquis. Artemus wyzwiał mnie na partyjkę szachów (rozrywkę zakazaną przez regulamin Akademii), a panna Marquis uległa namowom Ballingera i Uptona, aby zagrała dla nich prywatny koncert, szybko zagłuszony przez natarczywie niemuzykalny akompaniament wokalny tychże kadetów. Doktor Marquis zajął

się w tym czasie swoją fajką i obserwował nas dobrodusznie z fortyfikacji fotela bujanego, podczas gdy jego małżonka szydełkowała bez większego przekonania. Po krótkiej chwili gwałtownie oderwała się od tego zajęcia pod pretekstem, że dopadła ją koszmarna migrena, musimy jej zatem wybaczyć, że pójdzie do swojego pokoju. Kiedy jej mąż jak najdelikatniej próbował jej to wyperswadować, zawołała:

— Nie wiem, dlaczego miałoby cię to obchodzić, Danielu. Nie wiem, dlaczego kogokolwiek miałoby to obchodzić!

I pospiesznie opuściła pokój.

Po tak gwałtownym wyjściu było tylko kwestią czasu, zanim goście zaczęły się usprawiedliwiać i przystąpią do pożegnalnych rytuałów. Rytuały te ukrócił jednak Artemus, który zdawkowo uścisnął mi dłoń, po czym głośno zawołał do Ballingera i Uptona, aby towarzyszyli mu w drodze do koszar. Pośpiech ten niepomiarnie mnie zdeprymował, ponieważ straciłem możliwość cywilizowanego pożegnania się z gospodarzami (doktor Marquis udał się wcześniej do wezgłowia udręczonej małżonki). Kiedy czekałem w holu na pokojówkę, aby przyniosła mi płaszcz i czako, przypadkiem zauważyłem pożegnalny rzut oka Ballingera w moją stronę — spojrzenie pełne niezawołowanej wrogości, które do głębi mnie zbulwersowało. Bogu dzięki starczyło mi przytomności umysłu, aby sobie uświadomić, że spojrzenie to dotyczyło mnie tylko częściowo. Skierowałem wzrok z powrotem na salon, gdzie zobaczyłem pannę Marquis na tle fortepianu — z nieobecną miną grała jakiś prosty motyw w najwyższym rejestrze.

Ballinger wyszedł już w ślad za Artemusem na zewnątrz, lecz wciąż czułem na sobie jego spojrzenie i szybko zrozumiałem jego prawdziwy sens: ten typ był zazdrosny — tak, zazdrosny! Zielony z wściekłości! — na myśl, że zostanę sam z panną Marquis. Nie pozostało mi nic innego, jak skonstatować, że Ballinger uważa mnie za — *mirabile dictu* — konkurenta do jej względów!

Cóż za piękny i wymowny paradoks, panie Landor, że traktując mnie jak arcywroga, Ballinger sprawił, że po raz pierwszy odważyłem się spojrzeć na

siebie w tym świetle. W przeciwnym razie nie starczyłoby mi śmiałości, aby w tamtej chwili zwrócić się do panny Marquis. Nie, prędzej stawiłbym czoło napierającej hordzie Seminoli lub rzuciłbym się w grzmącą otchłań Niagary. Ale teraz, mając świadomość *zagrożenia*, jakie stanowią dla Ballingera — choćby tylko w jego zaciągniętych bielmem zazdrości oczach — zebrałem w sobie dostatecznie dużo odwagi, aby przemówić.

— Panno Marquis, obawiam się, że byłoby najwyższej miary grubiaństwem i nadużyciem pani łaskawości, gdybym panią poprosił o spotkanie jutro po południu. Z drugiej strony, nic w świecie bardziej nie ucieszyłoby mojego serca.

Ledwo słowa te wyszły z moich ust, a zaczęły mną szarpać wyrzuty sumienia. Jak zwykły *plebe* (choć już nie smarkacz, panie Landor) może sobie wyobrażać, że potrafiłby pozyskać względy kobiety tak niewysłowionej urody? Czyż nie świadczy to o bezbrzeżnym zuchwalstwie? A jednak czułem, że to pan, panie Landor — przede wszystkim pan — popycha mnie do tego. Jeśli bowiem chcemy zgłębić otchłanie duszy zagadkowego Artemusa, czyż możemy sobie wyobrazić lepszą sondę niż jego ukochana siostra, której ocena jest dla niego ostatecznym wyrokiem? Niemniej z pełną świadomością mojej winy i niedostatków czekałem na zasłużoną naganę.

Jej oblicze zdradzało jednak zupełnie inne uczucia. Z tym swoim ironicznym uśmiechem — do którego powoli zaczynałem przywykać — i z błyskiem w oku dopytywała, czy mamy się spotkać na Promenadzie Samotnych Serc, w Gee's Point czy jakimś innym ustronnym miejscu, które upodobali sobie zakochani kadeci.

— W żadnym z tych miejsc — wyjąkałem.

— W takim razie gdzie, panie Poe?

— Myślałem raczej o cmentarzu.

Jej zaskoczenie było niemałe, ale szybko się opanowała i rzuciła mi tak srogie spojrzenie, że prawie zbladłem.

— Jutro jestem zajęta — powiedziała. — Mogę się z panem spotkać



w czwartek o wpół do piątej po południu i poświęcić panu piętnaście minut uwagi, nic ponadto nie obiecuję.

Żadnych obietnic się nie domagałem, ponieważ otrzymałem o piętnaście minut więcej, niż oczekiwałem. Wystarczała mi świadomość, że przed upływem czterdziestu ośmiu godzin znowu znajdę się w jej towarzystwie.

Kiedy przebiegam wzrokiem powyższe zdania, panie Landor, dostrzegam, że stworzyłem takie wrażenie, jakbym bez reszty uległ rozlicznym urokom panny Marquis. Nic dalszego od prawdy. Doceniam jej zalety, ale nie tracę również z oczu obowiązku doprowadzenia tego śledztwa do skutecznego końca. Jedynym motywem, który każe mi pogłębić znajomość z panną Marquis, jest zatem uzyskanie pomocy w rozpoznaniu charakteru i skłonności jej brata, aby sprawiedliwości stało się zadość.

A, prawie bym zapomniał o bodaj najbardziej intrygującym szczególe dotyczącym panny Marquis. Jej oczy, panie Landor! Są prześliczne i nieomylnie jasnobłękitne.

# Opowieść Gusa Landora

17

*15 i 16 listopada*

Kiedy przystąpiliśmy do naszej współpracy, kapitan Hitchcock i ja rozważaliśmy szeroki wachlarz możliwości. Omówiliśmy sposoby postępowania w sytuacji, gdyby winowajcy okazali się kadetami lub żołnierzami. Rozpatrzyliśmy nawet ewentualność, że mordercą Leroya Frya jest członek kadry nauczycielskiej. Ale ta jedna możliwość — sprawcą jest syn wykładowcy — jakimś cudem nam umknęła.

— Artemus Marquis?

Siedzieliśmy w mieszkaniu komendanta, typowym lokalu kawalerskim, dosyć nędznym jak na wojskowego, z wyschniętymi piórami, zegarem z popękanego marmuru i przesiąkniętymi słodkawą wonią rozkładu brokatowymi zasłonami.

— Artemus — powtórzył Hitchcock. — Dobry Boże, znam go od lat.

— I zaręczylby pan za niego? — spytałem.

Miałem świadomość, że jest to najbardziej impertynenckie pytanie, jakie kiedykolwiek mu zadałem. Artemus był kadetem, a tym samym komendant z definicji za niego ręczył. W końcu Stany Zjednoczone powierzyły mu nad nim pieczę, nieprawdaż? Artemus zdał egzaminy wstępne, przez prawie cztery lat szlifował charakter w narzuconym przez Sylwanusa Thayera żelaznym reżimie i pomijając jakieś nieprzewidziane nieszczęścia, następnego lata miał otrzymać patent oficerski. Tak to wszystko urządzono, aby całą tę próbę przechodzili tylko ludzie godni najwyższego zaufania.

Co ciekawe jednak, Hitchcock żarliwie wystąpił w obronie nie Artemusa, lecz jego ojca, doktora Marquisa, który, jak się dowiedziałem, został trafiony

z muszkietu w bitwie pod Lacolle Mills, zasłużył na osobistą pochwałę pułkownika Pike'a za niezwykłą pracowitość w opiece nad rannymi, przez te wszystkie lata nawet nie otarł się o żaden skandal...

— Kapitanie — powiedziałem, czując falę gniewu, która zawsze mnie zalewała, kiedy Hitchcock traktował mnie z góry. — Jeśli się nie mylę, w ogóle nie wspomniałem o doktorze Marquisie. Czy powiedziałem o nim choć słowo?

Ależ on chciał mi tylko uświadomić, że Artemus Marquis pochodzi z dobrej rodziny, szacownej rodziny, a jego współdziałanie w tak niewyobrażalnym czynie jest... jest niewyobrażalne. Tak, Szanowny Czytelniku, zaczynał się powtarzać. Ale potem coś przyszło mu do głowy i na jakiś czas go uciszyło.

— Był pewien incydent — powiedział w końcu.

Nawet nie drgnąłem.

— Tak, kapitanie?

— Pamiętam... tak, to było jakiś czas temu, na długo zanim Artemus został kadetem. To miało związek z kotem panny Fogler. — Pogrzebał w pamięci. — Otóż kot zniknął w okolicznościach, których nie potrafię sobie przypomnieć, pamiętam natomiast, że spotkał go dość makabryczny koniec.

— Sekcja? — odgadłem.

— Wiwisekcja. Tak, zupełnie o tym zapomniałem. A osobą... — otworzył szerzej oczy ze zdumienia — ...osobą, która zapewniła pannę Fogler, że jej kot był martwy, zanim go poćwiartowano, był doktor Marquis. Przypominam sobie, jak głęboko go to poruszyło.

— Czy Artemus kiedykolwiek przyznał się do tego? — spytałem.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Ale pan miał powody go podejrzewać?

— Wiedziałem, że jest inteligentny, to wszystko. Złej woli nigdy u niego nie dostrzegałem, broń panie Boże, ale skłonność do głupich żartów — owszem.

— No i jest synem lekarza.

— Tak, jest synem lekarza.

Wyraźnie poruszony kapitan Hitchcock usunął się poza krąg światła świecy. Widziałem, że przetacza coś — bilę? kulkę gliny? — na dłoni.

— Panie Landor — powiedział — zanim zaczniemy kogokolwiek oskarżać, chciałbym wiedzieć, czy odkrył pan coś, co wiązałoby Artemusa z Leroyem Fryem.

— Na razie bardzo niewiele. Artemus był o rok wyżej od Frya, to wiemy. Nic nie wskazuje na to, aby się ze sobą fraternizowali. Nie siedzieli przy jednym stole, nie chodzili na te same zajęcia. O ile mi wiadomo, nigdy razem nie maszerowali ani nie siedzieli obok siebie w kaplicy. Przesłuchałem już kilkudziesięciu kadetów i żaden z nich nie powiązał Artemusa z Fryem.

— A Ballingera?

— To jest trochę bardziej obiecujący trop — przyznałem. — Istnieją pewne poszlaki, że swego czasu Ballinger i Fry przyjaźnili się ze sobą. Pewnego lata widziano ich razem, jak przecinają odcigi namiotów nowych *plebe*. Przez krótką chwilę obaj byli również członkami... cholera, jak to się nazy... Towarzystwa Amaza... Amazo...

— Towarzystwa Amozoficznego.

— Właśnie. Fry, dosyć małomówny, mniej gustował w tego rodzaju debatach niż Ballinger i szybko się wypisał. Nikt sobie nie przypomina, aby od tej pory widziano ich razem.

— To wszystko?

Ograniczylbym się do tego, ale coś w jego głosie — może nuta rejterady — kazało mi mówić dalej.

— Jest jeszcze jedno powiązanie, ale oparte wyłącznie na pogłoskach. Wygląda na to, że obaj pałali uczuciem do siostry Artemusa. Z tego, co słyszałem, Ballinger uważa, że ma u niej największe szanse.

— Do panny Marquis? — powtórzył Hitchcock ze zmarszczonym czołem. — Uważam to za mało prawdopodobne.

— Dlaczego?

— Może pan zapytać żonę dowolnego wykładowcy. Panna Marquis słynie z tego, że odrzuca umizgi nawet najbardziej natarczywych kadetów.

Z wyjątkiem jednego, pomyślałem, uśmiechając się w duchu. Kto by pomyślał, że mój mały kurczaczek zapaści się tam, gdzie nie mają odwagi stąpać wielkie koguty?

— Aha! — wykrzyknąłem. — Pewnie dumna z niej sztuka?

— Wręcz przeciwnie — odparł. — Tak skromna, że człowiek zadaje sobie pytanie, czy kiedykolwiek widziała się w lustrze.

Na policzku kapitana wykwitł ledwo dostrzegalny rumieniec. A zatem ten mężczyzna nie jest całkowicie odporny na cielesne pokusy.

— Co w takim razie tłumaczy jej odgradzanie się od świata? — spytałem. — Chorobliwa nieśmiałość?

— Nieśmiałość! Musi pan spróbować kiedyś ją wciągnąć w dyskusję o Monteskiuszu, a sam się pan przekona, jaka jest nieśmiała. Nie, panna Marquis od dawna jest zagadką, a w niektórych kręgach rozmowy o niej uchodziły za pasjonującą rozrywkę. Teraz, kiedy osiągnęła poważny wiek dwudziestu trzech lat, o panie Marquis nie mówi się już zbyt wiele. Z przykrością muszę jednak dodać, że jej przydomek zyskał większą sławę niż ona sama. — W innych okolicznościach przyzwoitość nie pozwoliłaby mi kontynuować, ale widząc, że rozbudził moją ciekawość, postanowił ją zaspokoić. — Mówią o niej „smutna stara panna”.

— Dlaczego „smutna”, kapitanie?

— Niestety, nie mogę tego panu powiedzieć.

Uśmiechnąłem się, splotłem ramiona na piersiach i powiedziałem:

— Wiedząc, jak starannie dobiera pan słowa, kapitanie, uznaję, że nie użyłby pan słów „nie mogę” w znaczeniu „nie chcę”.

— Owszem, starannie dobieram słowa, panie Landor.

— Dobrze — powiedziałem radosny jak szczygieł — możemy zatem powrócić do spraw bieżących. Które, jeśli nie wyrazi pan sprzeciwu, zaprowadzą nas w stronę kwatery Artemusa.

Ach, jakąż zrobił ponurą minę! Już wcześniej zmierzał bowiem w tym kierunku.

— Odwiedzimy ją jutro z rana? — zasugerowałem. — Powiedzmy o dziesiątej? Aha, kapitanie, gdyby to mogło pozostać między nami...

Było zimno jak diabli, to jedno wiem. Chmury wisiały nisko na niebie postrzępione jak sople, a kamienne gmachy Koszar Północnych i Południowych, tworzące kąt prosty, stanowiły kamień szlifierski dla ostrego, jednostajnego, niezłomnie dążącego do celu wiatru z zachodu. Czuliśmy go na sobie, stojąc na placu apelowym i szykując się do naszego małego nalotu. Dygotaliśmy jak suszące się na sznurku ryby.

— Kapitanie — powiedziałem. — Jeśli pan pozwoli, chciałbym najpierw zobaczyć kwaterę kadeta Poego.

Nie zapytał mnie o przyczynę. Może miał już dosyć prób wybijania mi z głowy rozmaitych pomysłów. A może jego też naszyły podejrzenia w kwestii tego młodego człowieka, który z taką łatwością przywdziewał mityczne szaty. A może po prostu chciał wejść do środka, żeby przestać marznąć.

Mój Boże, cóż za klitka! Mam na myśli pokój, w którym kadet pierwszego rocznika Poe i jego dwaj współlokatorzy spędzali dni i noce! Chociaż pokój to może zbyt duże słowo — raczej pudło na kapelusze. Cztery na trzy metry, rozdzielone na dwie części przepierzeniem. Zimno jak w psiarni, nadymione, gęsty odór jak z trzewi wieloryba. Para kinkietów, pojemnik na opał, stół, krzesło z pionowym oparciem, lampka, lustro. Łóżek brak, bo w klasztorze Thayera śpi się na podłodze na wąskim sienniku, który każdego ranka zwija się razem z kocem. Słowem, nędzny, szary, nieprzyjazny pokój, jakiego nikt nie chciałby mieć. W lokalu numer dwadzieścia dwa Koszar Południowych nie było niczego, co by wskazywało, że mieszka tutaj ktoś, kto kiedyś przepłynął rzekę James, pisze wiersze, był w Stoke Newington albo w jakikolwiek sposób różni się od pozostałych dwustu kilkudziesięciu chłopców, których Akademia brutalnymi metodami chce zmienić w mężczyzn.

Cóż, dusza potrafi przetrwać nawet największe przeciwności. Pospiesznie omiotłem pomieszczenie wzrokiem, a następnie podszedłem do kufra Poego, otworzyłem i znalazłem — w kieszeni na odwrotnej stronie wieka — rycinę przedstawiającą Byrona. To było jak list miłosny, efemeryczny i pogrążający.

Z innej kieszeni kufra wyciągnąłem owinięty w czarną krepę mały pakunek. Kiedy krepa opadła, ukazał się portret młodej kobiety w empirowej sukni i czepku ze wstążkami. Z wielkich, uroczych oczu i wątłych ramion przebijał ból wieku dziewczęcego. Wyglądała prawie tak, jak przed laty, kiedy w Park Street Theatre śpiewała *Nobody Coming to Marry Me*.

Na sam jej widok w gardle zrobiła mi się gula. Uświadomiłem sobie, że to samo uczucie towarzyszy mi w chwilach, kiedy za długo myślę o mojej córce. Przypomniało mi się, co powiedział Poe, siedząc w moim salonie: „Obaj jesteśmy sami na tym świecie”.

Westchnąłem, opuściłem wieko i zamknąłem kufer.

— Utrzymuje tutaj porządek — stwierdził wbrew sobie Hitchcock.

To prawda. Jeśli zechce, kadet z pierwszego rocznika Poe może utrzymywać tutaj porządek jeszcze przez trzy i pół roku — trzy i pół roku zwijanych na dzień sienników, ciasnych kołnierzyków i wypucowanych butów. A w nagrodę... co? Misja na zachodnim pograniczu, gdzie pośród indiańskich myśliwych będzie recytował swoje wiersze wojskowym, ich neurastenicznym żonom i anemicznym córkom? Ach, cóż by z niego była za figura na tych salonach — a raczej w jasno oświetlonych grobach.

— Nie mam już do tego serca, kapitanie — powiedziałem.

Pokoje w Koszarach Północnych przynajmniej były większe: siedem i pół metra na sześć — przywilej kadetów z wyższych roczników, najprawdopodobniej jedyny. W kwaterze Artemusa było cieplej niż u Poego, ale jeszcze bardziej ponuro: senniki połatane, narzuty wyliniałe, powietrze stęchłe, ściany powybrzuszane i osmalone sadzą. Okna wychodziły na zachód, więc mieszkańcom pokoju musiało wystarczyć tyle światła, ile przedostało się nad górami, zatem chociaż zbliżało się południe, w pokoju było tak ciemno, że

wszelkie zakamarki musieliśmy oświetlać sobie zapalkami. Tym właśnie sposobem znalazłem składany teleskop Artemusa, wciśnięty między wiadro z wodą i nocnik. Żadnych innych śladów niedawnych hulank: żadnych kart, kur, fajek czy choćby zbłąkanej woni tytoniu (choć na parapecie leżało trochę źdźbeł tabaki).

— Pojemnik na opał — powiedział Hitchcock. — Tam zawsze trzeba zacząć szukać.

— W takim razie proszę bardzo, kapitanie.

Niespodzianka: z początku znajdował tylko drewno na opał. Aha, i stary los loterii Cuming's Truly Lucky Offices, skrawek chusteczki do nosa i do połowy opróżnioną paczkę brazylijskiego cukru — wyciągał to wszystko jedno po drugim i właśnie miałem zamiar włożyć cukier do kieszeni, kiedy usłyszałem za plecami jakiś dźwięk.

Stuknięcie, jakby ktoś przesunął zasuwę. A potem jeszcze cichszy odgłos.

— Zaczynam podejrzewać, że nas oczekiwano, kapitanie — powiedziałem.

Do błękitnych urwisk skalnych na zachodzie dotarły nareszcie promienie słońca i po raz pierwszy tego przedpołudnia ten zatechły pokój załazy fale ostrego, żółtego światła — i właśnie dzięki temu światłu zrozumiałem, co się dzieje za naszymi plecami.

— Co jest? — zapytał kapitan Hitchcock.

Z pojemnika na opał wyjął brązowe zawiniątko i wyciągnął je do mnie na dłoni jak prezent, ale ja już napierałem barkiem na drzwi.

— Zaryglowane — powiedziałem.

— Niech pan odstąpi na bok! — krzyknął.

Odłożył zawiniątko, stanął przed drzwiami i wymierzył im dwa solidne kopniaki. Zadygotały, lecz nie ustąpiły. Kolejne dwa kopniaki, z tym samym skutkiem. Teraz kopaliśmy obaj, łomotaliśmy o drewno podeszwami butów. Ale chociaż narobiliśmy w ten sposób potężnego hałasu, wciąż słyszeliśmy odgłos zza drzwi.

Odgłos jedyny w swoim rodzaju. Dziwaczne, wilgotne prychanie, które



kojarzy się z dźwiękiem dogasającej świecy.

Po chwili doszło do tego światło, które migotało w szczelinie pod drzwiami.

Pierwszy zareagował Hitchcock. Chwycił za jeden z kufrów i cisnął nim gwałtownie w drzwi. Deska odrobinę się ugięła — co dodało nam nadziei. Obaj unieśliśmy kufer i połączonymi siłami huknęliśmy nim o drzwi. Tym razem odeszły po jednej stronie od framugi na jakieś dziesięć centymetrów — wystarczyłoby do tego, aby przełożyć rękę. Jeszcze jeden kopniak Hitchcocka i oderwał się zawias po drugiej stronie, drzwi ustąpiły, a my wyskoczyliśmy na korytarz, gdzie czekała na nas czarna kula wielkości melona, z długim, szybko pożeranym przez ogień frędzlastym lontem.

Hitchcock złapał granat, trzema wielkimi krokami dotarł do okna i gwałtownie je otworzył. Sprawdziwszy, że na dole nikogo nie ma, rzucił granat na plac apelowy.

Wylądował w trawie i nadal dymił.

— Proszę się cofnąć, panie Landor.

Nie umiałem się na to zdobyć, podobnie jak on. Patrzyliśmy, jak szorstki lont staje się coraz krótszy — kto by pomyślał, że płomień wciąż miał do przebycia tak dużą odległość? — co przypominało próbę czytania komuś przez ramię i czekanie na to, aż przewróci stronę.

Kiedy ogień dotarł do samego końca, nie było kulminacji. Iskra powoli zgasła, a potem... nic. Żadnej eksplozji, żadnej chmury siarki — cisza. Kilka pętli i wstęp dymu tudzież głucho uderzenia mojego niewiernego serca. No i jeszcze myśl, namacalna jak rana, że ktoś znowu zagrał nam na nosie.

Po paru chwilach, kiedy dym się rozwiął, a granat wciąż drzemał w trawie, kapitan Hitchcock wrócił do pojemnika na opał, podniósł odłożone wcześniej zawiniątko i powoli, z ostrożnością człowieka, który odwija mumię faraona, rozpakował brązowy papier.

To było *serce*. Ociekające rdzą. Tak surowe, jakby jeszcze żyło.

# Opowieść Gusa Landora

18

*16 listopada*

Mieliśmy szczęście, że doktorowi Marquisowi, któremu przynieśliśmy serce do identyfikacji, nie przyszło do głowy nas zapytać, gdzie je znaleźliśmy. Zbyt wielki ogarnął go entuzjazm: wielki Boże, serce! W swoim oryginalnym opakowaniu leżało na żelaznym łóżku oddziału B-3, tak jak kiedyś Leroy Fry. Palce doktora Marquisa skradały się ku niemu tak ostrożnie, jakby to były nagniotki bardzo bogatej starszej pani. Cmoknął, przełknął ślinę...

— Rozkład niezbyt zaawansowany — zawyrokował w końcu. — Pewnie przechowywano je w chłodnym miejscu.

— Owszem, dosyć chłodnym — potwierdziłem, przypomniawszy sobie, jak zmarłem w kwaterze Artemusa.

Lekarz powoli okrążył łóżko, podrapał się po brodzie, zmrużył oczy.

— Hm — mruknął. — Tak panowie. Rozumiem, dlaczego pomyśleliście, że to serce człowieka. Niemal identyczne prawda? Przedsionki i komory, zastawki i tętnice, wszystko na swoim miejscu.

— Ale...?

Odwrócił się do nas z roziskrzonym wzrokiem.

— *Rozmiar*, panowie. Rozmiar je zdradza. Ten piękny okaz (ostrożnie wsunął obie dłonie pod pakunek i próbnie uniósł) waży dobre dwa i pół kilo, jak oceniam. Podczas gdy ludzkie serca rzadko przekraczają trzysta gramów.

— Nie większe od pięści — powiedziałem, przypominając sobie naszą poprzednią rozmowę w tej sali.

— Właśnie — potwierdził rozpromieniony.

— W takim razie proszę nam powiedzieć, od jakiego stworzenia pochodzi to serce, skoro nie jest ludzkie — poprosił Hitchcock.

Doktor uniósł wysoko brwi.

— Hm, tak, trochę zagadkowe. Za duże jak na owcę. Moim zdaniem to krowa. Tak, prawie na pewno krowa. — Twarz mu pojaśniała. — Wyznam wam, panowie, że widok tego okazu przypomina mi czasy młodości. Na studiach w Edynburgu robiłem sekcję niejednego krowiego serca! Doktor Hunter mawiał: „Jeśli nie umiesz się poruszać po sercu krowy, to nie próbuj z ludzkim!”.

Kapitan Hitchcock zbudował z dłoni daszek nad oczami. Głos miał zmęczony.

— Haverstock — powiedział poruszonym głosem. — To serce musi pochodzić z Haverstock.

Ponieważ nie zareagowałem tak szybko, jak oczekiwałem, usunął daszek znad oczu i spiorunował mnie wzrokiem.

— Nie pamięta pan? — zapytał z pretensją w głosie. — Dwa poćwiartowane zwierzęta, o których parę tygodni temu czytaliśmy w gazecie? Jednym z nich, jak pan może sobie przypomina, była krowa.

— Doskonale sobie przypominam — odparłem. — I pańska hipoteza wydaje mi się jak najbardziej prawdopodobna.

Spomiędzy jego zaciśniętych szczęk powoli ułzło się trochę oddechu.

— Panie Landor, czy chociaż raz nie mógłby się pan definitywnie wypowiedzieć w jakiejś sprawie? Czy chociaż raz nie mógłby pan wskazać *rozwiązania* równania?

Prawdę rzekłszy, byłem nie mniej niż on zniechęcony. Siedzieliśmy w jego zatęchłym biurze, a w oddali były bębny. Nareszcie mieliśmy jakiś dowód, najzupełniej namacalny, ale nie posunęło nas to ani o krok do przodu, a może nawet nas cofnęło.

Jak to, a *serce*? — spytasz zapewne, Szanowny Czytelniku. Z pewnością posuwa sprawę do przodu. No cóż, nie mieliśmy żadnej wiedzy o tym, aby to

Artemus włożył serce do pojemnika z opalem; jak słusznie zauważył Hitchcock, mógł je tam umieścić ktokolwiek. Pokojów kadetów nie zamykano. A to znaczyło również, że ktokolwiek mógł zablokować zasuwę kawałkiem drewna, aby zamknąć kapitana i mnie w środku. A co z granatem? Z pewnością to rzecz dosyć trudna do pozyskania, prawda? Otóż nie. Prochownia nie była zbyt pilnie strzeżona, w nocy wręcz w ogóle, a czarna kula nie zawierała w sobie żadnego ładunku. Ktoś jednak... *ktoś* zapalił lont. Ktoś stał na korytarzu, kiedy kapitan Hitchcock i ja byliśmy w kwaterze Artemusa, między trzydziestą a trzydziestą piątą minutą po dziesiątej.

I tutaj pojawiła się okoliczność najbardziej godna ubolewania: Artemus Marquis miał alibi. Od godziny dziewiątej do południa był na wykładzie — jak się okazało, siedział obok Ballingera i sprawiał wrażenie żywo zainteresowanego taktyką artylerii i piechoty, a profesor zarzekał się, że żaden z kadetów nawet na pół sekundy nie opuścił sali wykładowej.

A zatem naprawdę wróciliśmy do punktu wyjścia, z wyjątkiem jednej kwestii: było w zasadzie niemożliwe, aby do kwatery Artemusa dostał się w ciągu tych pięciu minut ktoś *spoza* Akademii. Żaden z wartowników nie zgłosił, aby tego przedpołudnia czy poprzedniego wieczoru widział kogoś z zewnątrz. Ktoś obcy mógł się prześlizgnąć niezauważony przez posterunki, ale jego obecność w biały dzień na szczególnie uczęszczanym obszarze Akademii z pewnością nie uszłaby uwagi.

Zza tej zasłony dymnej, spośród tego gąszczu pogmatwanych i mniej lub bardziej zatartych śladów, wyłaniał się jeden wniosek: sprawcy albo sprawców należy szukać wewnątrz.

Teraz już rozumiesz, Szanowny Czytelniku, dlaczego współczułem kapitanowi. Hitchcock wciąż robił sobie bowiem nadzieje. Do tej pory mieliśmy tylko jedną ofiarę śmiertelną spośród kadetów. W lokalnych gazetach nie pisano już o poszlachtowanym żywym inwentarzu. Wiele wskazywało na to, że obłąkaniec, który zamordował Leroya Frya, siał teraz postrach w innej okolicy. Okolicy, której mieszkańcy zasługiwali oczywiście

na współczucie, lecz Ethan Allen Hitchcock nie ponosił za nich żadnej odpowiedzialności.

Wszystko to się rozsypało w ciągu tych dziesięciu sekund, których potrzebował na przeniesienie granatu z korytarza do okna.

— Jedna rzecz mi umyka — powiedział teraz. — Jeśli sprawcą jest Artemus, to dlaczego miałyby być tak głupi i zostawiać serce w pojemniku na opał? Wie, jak regularnie sprawdzamy pokoje w koszarach. Z pewnością znalazłby dla niego lepszą kryjówkę.

— Chyba że... — powiedziałem.

— Chyba że?

— Chyba że ktoś inny tam je włożył.

— A w jakim celu?

— Aby obciążyć Artemusa, rzecz jasna.

Hitchcock patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

— Doskonale — powiedział w końcu. — Dlaczego zatem ktoś miałyby podłożyć granat, granat bez prochu, pod drzwiami Artemusa? Kiedy Artemus był na wykładzie?

— Żeby dostarczyć mu alibi — odparłem.

Po obu stronach jego ust wyłobily się głębokie bruzdy.

— Sugeruje pan zatem, panie Landor, że... ktoś próbuje chronić Artemusa, a *ktoś inny* próbuje go obciążyć?

Szanowny Czytelniku, nie chciałbym stwarzać wrażenia, że kapitan Hitchcock miał awersję do myślenia. Każdy by Ci powiedział, że był to człowiek uczony. Łączyła go zażyłość z Kantem i Baconem, a także, chociaż trudno w to uwierzyć, był wyznawcą Swedenborga i alchemikiem. Sądzę jednak, że wolał myśleć na własnych warunkach, w zaciszu swojego pokoju. Coś się zaś tyczy Akademii, chciał, żeby wszystko toczyło się jak woda po młyńskim kole: zgodnie z odwiecznymi prawami i bez możliwości ingerencji, ludzkiej czy nadprzyrodzonej.

— Doskonale — powtórzył. — Przyjmuję do wiadomości, że żadnej

z hipotez nie możemy potwierdzić ani wykluczyć. Co zatem według pana powinniśmy zrobić?

— Zrobić? Ależ nic, kapitanie.

Patrzył na mnie tak wzburzony, że na chwilę go zatkało.

— Panie Landor — powiedział w końcu zwodniczo spokojnym tonem. — W pokojach kadetów znaleziono serce. Amerykańskiemu oficerowi i prywatnemu obywatelowi grożono granatem, a pan mi mówi, że nic nie mogę zrobić?

— Nie możemy w każdym razie aresztować Artemusa, to jedno wiemy. Ani nikogo innego. Obawiam się zatem, że nie bardzo wiem, co moglibyśmy zrobić, poza poproszeniem kwatermistrza, aby naprawił drzwi pokoju Artemusa.

Delikatnie przebiegł palcem po jednym z wyschniętych piór na skraju biurka, a jego oczy dyskretnie uciekały w stronę okna. W tej chwili, kiedy późnopołudniowe słońce oświetlało jego profil, niemal namacalnie poczułem ciężar, który spoczywał na jego barkach.

— Lada dzień — powiedział — spodziewamy się rodziców pana Frya. Nie mam złudzeń, że będę ich w stanie pocieszyć lub dodać im otuchy. Ale chciałbym przynajmniej móc spojrzeć im obojgu w oczy i uroczyście przysiąc, że żadnego innego kadeta nie spotka los ich syna. W każdym razie nie za mojej komendantury. — Położył obie ręce na biurku i przyszpilił mnie wzrokiem. — Czy będę mógł złożyć im taką obietnicę, panie Landor?

Strużka czegoś — może nasączonej sokiem tytoniowym śliny — popłynęła mi z kącika ust. Starłem ją dłonią.

— Kapitanie — powiedziałem. — Nic nie stoi na przeszkodzie, aby im pan to obiecał. Ale dla ostrożności niech pan nie patrzy im w oczy.

Wyobraź sobie stojącego na tylnych łapach charta, a zyskasz pojęcie o wzroście i wadze szeregowca Horatio Cochrane'a. Miał wąskie, wiecznie spuszczone oczy i skórę niemowlęcia, przez koszulę widać było grzbiet

kręgosłupa i był lekko pochylony, skutkiem czego wyglądał jak łuk, z którego nie wypuszczono jeszcze strzały. Przesłuchałem go w zakładzie szewskim, dokąd bodaj dziesiąty raz w tym roku poszedł naprawić prawy but. Między czubkiem buta a podeszwą zrobiła się wielka szczelina, która nieodparcie nasuwała skojarzenie z bezzębnymi ustami, które mówiły, kiedy kadet Cochrane mówił, i milczały, kiedy milczał. Zepsuty prawy but był zresztą najbardziej ekspresyjnym elementem jego osobowości. Z jego płaskiej, chłopięcej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

— Żołnierzu — powiedziałem — z tego, co mi mówiono, to pan wartował przy zwłokach Leroya Frya w tę noc, kiedy go zamordowano. Czy tak?

— Tak, sir.

— Przedziwna rzecz. Przejrzałem te wszystkie... — zaśmiałem się z cicha — ...te wszystkie przeklęte papiery, wie pan, wszystkie oświadczenia, zeznania pod przysięgą na temat nocy z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego października i natrafiłem na pewien problem, w którego wyjaśnieniu, mam nadzieję, zechce mi pan pomóc

— Jeśli będę mógł, to z miłą chęcią, sir.

— Jestem panu bardzo zobowiązany, to naprawdę... A teraz przyjrzyjmy się po kolei tym wszystkim wydarzeniom. Kiedy zwłoki pana Frya przyniesiono do szpitala, pana wydelegowano na oddział B-3.

— Tak, sir.

— Jaki dokładnie rozkaz pan otrzymał?

— Rozkazano mi pilnować ciała i zadbać o to, aby nic mu się nie stało.

— Rozumiem. Na sali był tylko pan i kadet Fry?

— Tak, sir.

— A zwłoki były przykryte? Zakładam, że kocem.

— Tak, sir.

— Która była godzina, żołnierzu?

Zastanowił się chwilę.

— Powiedziałbym, że oddelegowano mnie tutaj o pierwszej.

— Czy coś się wydarzyło, kiedy pełnił pan straż?

— Nic się... Nic się nie wydarzyło aż do wpół do trzeciej, kiedy mnie zluzowano.

Uśmiechnąłem się do niego. A potem do jego prawego buta, który odwzajemnił uśmiech.

— „Zluzowano”, powiada pan. Właśnie w tym miejscu pojawia się mój problem. Złożył pan dwa zeznania. W pierwszym... O rany, zdaje się, że nie mam go przy sobie, ale złożył pan je chyba niedługo po zniknięciu ciała pana Frya. Wtedy pan powiedział, że zluzował pana porucznik Kinsley.

Nareszcie jakieś oznaki życia: lekkie napięcie mięśni wokół szczęki.

— Tak, sir.

— Co wydaje mi się bardzo osobliwe, ponieważ porucznik Kinsley przez całą noc towarzyszył kapitanowi Hitchcockowi. Obaj to potwierdzili. Wnioskuje, że uświadomił pan sobie swój błąd, żołnierzu, ponieważ w następnym zeznaniu, złożonym dzień później (znowu muszę poprosić pana o wybaczenie, jeśli coś pomieszałem), mówił pan już tylko o „poruczniku”: „Zluzował mnie porucznik”.

Ledwo dostrzegalne drgnienie szyi.

— Tak, sir.

— W takim razie rozumie pan chyba moje zakłopotanie. Po prostu nie mam pewności, kto pana zluzował. — Uśmiechnąłem się do niego. — Czy zechciałby mnie pan w tej kwestii oświecić, żołnierzu?

Jedno z nozdrzy zadrgało.

— Obawiam się, że nie mogę panu powiedzieć, sir.

— Daję panu słowo, że to zostanie między nami. Cokolwiek pan zrobił, nie poniesie pan żadnych konsekwencji.

— Tak, sir.

— Ma pan świadomość, że pułkownik Thayer udzielił mi wszelkich pełnomocnictw w tym śledztwie?

— Tak, sir.



— W takim razie spróbujemy jeszcze raz, dobrze? Kto pana złuzował, żołnierzu?

Małeńka strużka potu zalśniła u nasady jego włosów.

— Nie mogę panu powiedzieć, sir.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że... nie znam jego nazwiska.

— Nie zna pan nazwiska tego oficera?

— Tak, sir.

Głowę miał teraz spuszczoną. Zaraz miała spaść na niego przygana, której od dawna się spodziewał.

— Doskonale — powiedziałem najłagodniej, jak umiałem. — A może mi pan powtórzyć, co powiedział panu ten oficer?

— Powiedział mi: „Dziękuję, żołnierzu, to będzie wszystko. Proszę się zgłosić do porucznika Meadowsa”.

— Rozkaz dosyć osobliwy, prawda?

— Tak, sir, ale on był w tej kwestii bardzo stanowczy. „Niech pan już zmyka!”, powiedział do mnie.

— Ależ to bardzo ciekawe. Bo jeśli się nie mylę, porucznik Meadows mieszka bardzo blisko szpitala. Kawalek na południe, prawda?

— Zgadza się, sir.

Odwrotnie niż lodownia, przypomniałem sobie. Oddalona o kilkaset metrów.

— Co się następnie wydarzyło, żołnierzu?

— Bezzwłocznie udałem się do porucznika. Zajęło mi to nie więcej niż pięć minut. Porucznik Meadows spał, więc łomotałem do drzwi, aż nie zszedł na dół. Powiedział, że mnie nie wzywał.

— Nie wzywał pana?

— Nie, sir.

— I wtedy...

— Poszedłem z powrotem do szpitala, sir. Aby się upewnić, jakie są

rozkazy.

— Kiedy wszedł pan do sali B-3, co pan tam zastał?

— Nic, sir. To znaczy ciała już tam nie było.

— W pańskiej ocenie jak długo pozostawało bez nadzoru?

— Nie więcej niż pół godziny, sir.

— Co pan zrobił, kiedy pan zobaczył, że ciała nie ma?

— Zaraz pobiegłem do wartowni w Koszarach Północnych. Powiedziałem oficerowi dyżurnemu, a on kapitanowi Hitchcockowi.

Z następnego pomieszczenia dobiegł stukot młotka szewskiego. Powolny, rytmiczny puls, jak bębny na pobudkę. Odruchowo wstałem.

— Nie zamierzam przysparzać panu kłopotów, żołnierzu. Ale byłbym wdzięczny, gdyby mi pan powiedział coś więcej o tym oficerze, który kazał panu opuścić stanowisko. Nie rozpoznał go pan?

— Nie, sir. Ale jestem tu dopiero od dwóch miesięcy, więc...

— Może mi pan powiedziec, jak wyglądał?

— Na sali było strasznie ciemno. Miałem tylko jedną świecę, którą postawiłem koło... pana Frya, a ten oficer też miał świecę, ale twarz trzymał w cieniu.

— Czyli nie widział pan jego twarzy?

— Nie, proszę pana.

— W takim razie skąd pan wiedział, że to oficer?

— Poznałem po naramienniku. Tak trzymał świecę, żebym widział jego pagony.

— Bardzo troskliwie z jego strony. I w żaden inny sposób się nie przedstawił?

— Nie, sir. Ale nie oczekiwałem tego od oficera.

Obraz sytuacji stanął mi wyraźnie przed oczyma. Ciało Leroya Frya owinięte w całun. Struchlały kadet. Oficer: ramię oświetlone, głos dobiega z głębokiego cienia.

— Jaki miał głos, żołnierzu?

— Nie mówił zbyt wiele, sir.

— Ale wysoki, niski?

— Wysoki. Średni do wysokiego.

— A jak ten oficer był zbudowany? Jakiej postury? Wysoki?

— Chyba trochę niższy od pana, sir. Może pięć, dziesięć centymetrów niższy.

— A tusza? Chudy, gruby?

— Raczej chudy, ale trudno powiedzieć.

— Sądzi pan, że by go pan rozpoznał? Przy świetle?

— Wątpię, sir.

— A jego głos?

Podrapał się w ucho, jakby chciał na powrót z niego wydobyć głos tego oficera.

— Możliwe, że tak — przyznał. — Mógłbym spróbować...

— W takim razie zobaczę, czy uda się to zorganizować, żołnierzu.

Kiedy szykowałem się do wyjścia, pod ścianą za Cochrane'em zauważyłem dwa stosy ubrań. Kalesony, bluzy i spodnie, śmierdzące potem, pleśnią i trawą...

— Ma pan tutaj całkiem sporo ubrań, żołnierzu — powiedziałem.

Przechylił głowę na bok.

— To są ubrania kadeta Brady'ego, sir. A ta druga sterta, kadeta Whitmana. Płacą mi, żebym raz w tygodniu robił im pranie. — Chyba zrobiłem zdziwioną minę, bo szybko wyjaśnił: — Z tego, co płaci wujek Sam, żołnierz nie wyżyje.

Przez cały dzień tak wiele się działo, że ani razu nie pomyślałem o Poem. Ponownie zagościł w moich myślach, dopiero gdy po długim spacerze wróciłem późnym wieczorem do hotelu i znalazłem pod drzwiami zawinięty w brązowy papier pakunek.

Na moich ustach natychmiast wykwitł uśmiech. Mój kurczaczek!

Nieustannie pracował. I chociaż nie był tego do końca świadomy — zresztą ja też — przybliżał nas do sedna sprawy.

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

*16 listopada*

Zauważył pan, panie Landor, o jak wczesnej porze dnia — i z jaką niezwykłą szybkością — nad Highlands zapada zmierzch? Ja mam wrażenie, że słońce dopiero co zasiadło na tronie, a ono już abdykuje, pozwalając ciemnościom, temu mrocznemu najeźdźcy, zstąpić na nas jak Sąd Ostateczny i noc zaprowadza swoją okrutną tyranie. Ale tu i ówdzie więzień może liczyć na złagodzenie wyroku. Kiedy powędruje wzrokiem do góry, może się zachwycić pełną kulą zachodzącego słońca, które spogląda na niego spośród sterczyn Storm King i Cro' Nest, roztaczając wokół siebie pyszną poświatę. Teraz, jak o żadnej innej porze dnia, szeroka nawa rzeki Hudson ukazuje się w całej swojej krasie — ten głęboki, wartki strumień, którego grzmiący bieg wciąga wyobraźnię w każdy wąwóz i cień.

Żadne miejsce nie daje lepszego widoku na tę niebiańską scenerię niż cmentarz West Point. Zdążył pan już tam dotrzeć, panie Landor? Jest to niewielki, otoczony murem zakątek około pół mili od Akademii, położony na wysokim brzegu rzeki i niemal całkowicie przesłonięty drzewami i krzewami. Gdyby trzeba było gdzieś dać się pochować, byłoby to niezgorsze miejsce. Na wschód od cmentarza przebiega cienista ścieżka ze wspaniałymi widokami na Akademię, na północ zaś ciągnie się zalewowa równina opasana nieregularnymi wzgórzami, w które wcinają się żyzne doliny Dutchess i Putnam.

Cmentarz ten jest więc miejscem podwójnie pobłogosławionym — przez Boga i przez naturę — i roztacza wokół siebie atmosferę takiego spokoju, że nawet najbardziej pobożne dusze zadrzą, zanim tam wstąpią. Moje myśli zaprzętała wszakże istota wciąż żywa. To ona zamieszkuje ostatnio wszystkie

godziny mojego snu i czuwania. To jej coraz bliższe przybycie do cna wyzuło mojego ducha z sił.

Godzina czwarta nadeszła, panie Landor, ale ona nie. Minęło pięć, dziesięć minut — a jej wciąż nie było. Mniej lojalny sługa mógłby zwątpić, ale moje oddanie panu i naszej wspólnej sprawie jest tak niewzruszone, że gdyby zaszła taka potrzeba, czekałbym cały wieczór. Według wskazań zegara było dokładnie trzydzieści dwie minuty po czwartej, kiedy moja cierpliwość została nagrodzona szelestem jedwabiu i widokiem jasnożółtego kapelusika.

Jeszcze nie tak dawno, panie Landor, gwałtownie zaprzeczałbym tezie, że w ludzkim mózgu może powstać myśl, której nie sposób wyrazić ludzkim językiem. Wtedy wszakże nie znałem panny Marquis! To dostojęństwo, ta swoboda — ta niewysłowiona lekkość i sprężystość kroku, blask jej oczu, głębszych od studni Demokryta — to wszystko leży poza zasięgiem ludzkiej mowy. Pióro wypada mi bezsilnie z drżącej dłoni. Mógłbym pana poinformować, że przybyła cokolwiek zdyszana od wspinaczki, że miała na sobie indiański szal, że upięła włosy w wybujały kok, że bezwiednie owijała wokół palca wskazującego wstążkę kapelusika. Ale czy to by panu cokolwiek powiedziało, panie Landor? Czy choć w niewielkim stopniu oddałoby bezkształtne myśli, które budziły się w głębinach mojego serca?

Nie znalazłszy odpowiednich słów, ograniczyłem się do poniższych niedorzecznych banałów:

— Obawiałem się, że chłód panią odstraszył.

Odpowiedziała mi równie zwięźle:

— Wcale nie, jak pan widzi.

Od razu zauważyłem, że jej stosunek do mnie bardzo się zmienił od naszego ostatniego spotkania. Jej suchy i chłodny ton, pełne pretensji ułożenie alabastrowej szczęki, stanowczość jej oczu — przepięknych! — które nie chciały spotkać się z moimi, wszystko to nie pozostawiało w tej kwestii żadnych wątpliwości. Z każdego jej ruchu, z intonacji każdego jej zdania przebijało niezadowolenie z obowiązku, który na nią nałożyłem.

Panie Landor, przyznaję, że słabo się znam na kobietach. Nie miałem zatem pojęcia, jak mam pokonać tajemniczą przepaść, która się między nami otworzyła; nie umiałem też odgadnąć powodów, które kazały Lei dotrzymać umowy z budzącymi w niej wyraźną odrazę warunkami. Ona ze swej strony zadowolila się obracaniem wstążką kapelusika i okrażaniem Pomnika Kadetów.

Widok tej kolumny skierował moje myśli ku tym nieszczęsnym kadetom, którzy (jak Leroy Fry) zostali zabrani z tego świata u progu swojej użyteczności. Patrzyłem na kępy ciemnozielonych cedrów, które stały jak wartownicy nad tym obozem śmierci; na śnieżnobiałe nagrobki, tworzące tak wiele namiotów dla tych, których w kwiecie męskiej urody oderwano od życiowej musztry. Zatraciwszy się na chwilę w tych wyobrażeniach, poważylem się nawet zwierzyć z nich mojej niespokojnej towarzyszce, licząc na to, że wzbogacą wspólny skarbiec naszej rozmowy — ona jednak zbyła je ruchem głowy.

— W śmierci nie ma nic poetyckiego — zawyrokowała. — Powiedziałabym nawet, że nie przychodzi mi do głowy nic bardziej *prozaicznego*.

Odparłem, że wręcz przeciwnie, uważam śmierć — zwłaszcza pięknej kobiety — za najważniejszy i najwznioślejszy temat poezji. Po raz pierwszy od swojego przybycia panna Marquis zaszczyliła mnie pełną uwagą — a potem porwały ją konwulsje śmiechu jeszcze bardziej deprymującego niż chłód, który go poprzedził, a także noszącego wiele cech pokrewieństwa z wesołością, która ogarnęła pannę Marquis w obecności Artemusa. Śmiech zawładnął całym jej ciałem, po czym starła z oka łzę rozbawienia i mruknęła:

— Bardzo z tym panu do twarzy.

— Z czym? — spytałem.

— Upodobaniem do makabry. Pasuje do pana jeszcze lepiej niż mundur. Widzi pan, choćby teraz, policzki panu płoną, a z oczu bije blask! — Kręcąc

ze zdumieniem głową, dodała: — Pod tym względem może iść z panem w zawody tylko Artemus.

Odparłem, że znam owego dżentelmena dopiero od niedawna i nie wiedziałem, że zapuszcza się w dziedzinę melancholii.

— Rzeczywiście raczy od czasu do czasu przyjechać w nasze strony — powiedziała zamyślnym tonem. — Wie pan, panie Poe, moim zdaniem można przez jakiś czas tańczyć na potłuczonym szkle, ale nie bez końca.

Zareplikowałem, że jeśli ktoś zna tylko to doznanie — to znaczy od małego jest przyzwyczajany do stąpania po potłuczonym szkle — to nie jest mu straszniejsze niż nam chodzenie po najmniejszej murawie. Uwaga ta — pochlebiam sobie — zaprzętała jej myśli przez dłuższą chwilę, po której upływie powiedziała ciszej:

— Tak, widzę, że macie ze sobą wiele wspólnego.

Korzystając z tego stopniowego ocieplenia stosunków podjąłem próbę zwrócenia jej uwagi na rozmaite interesujące kwestie, które się narzucały dociekliwemu oku: widok pomostu i sprzętu oblężniczego, hotel pana Cozzenza, ruiny fortu Clinton, od półwiecza poniewieranie przez burze i wichury. Moje wyliczenia poskutkowały jedynie zdawkowym wzruszeniem ramion. (Po namyśle dochodzę do wniosku, panie Landor, że mogłem się spodziewać, iż osoba wychowana w tych stronach, taka jak panna Marquis, spojrzy na te widoki okiem baśniowej wróżki, która mieszka w pełnym diademów pałacu i zwraca na takie skarby nie większą uwagę niż na krzewy goryczki). Nie miałem już ani cienia nadziei na choćby szczyptę radości z naszego nieszczęsnego spotkania, postanowiłem zatem dzielnie znosić swoje cierpienia. Potrzeba jednak niemałego heroizmu, panie Landor, aby w tak niesprzyjających okolicznościach znosić puste pogaduszki! Zapytałem o zdrowie panny Marquis. Pochwaliłem jej gustowną garderobę. Wyraziłem przekonanie, że do twarzy jej w niebieskim. Spytałem, czy w ostatnim czasie miała przyjemność zostać zaproszona na jakieś przyjęcia. Spytałem ją — tak! — czy jej zdaniem każdego roku czekają nas tak ciężkie zimy. Po tej ostatniej



uwadze, którą miałem za szczyt banalności, a zarazem za coś najzupełniej nieszkodliwego, zobaczyłem ze zdumieniem, że panna Marquis odwraca się do mnie z wściekłą miną, obnażonymi zębami i sztyletami w oczach.

— Chyba nie będziemy... Czy pan... Panie Poe, naprawdę pan sądzi, że przyszedłem tutaj rozmawiać o *pogodzie*? Mogę pana zapewnić, że już z tym skończyłam. Przez wiele lat — zbyt wiele, panie Poe — należałam do „dam czwartej godziny”, które czekały na Promenadzie Samotnych Serc. Jestem przekonana, że je pan widział. Z pewnością niejednej podał pan ramię. Sporo się mówi o pogodzie, o ile sobie przypominam, o przejażdżkach łódką, tańcach i przyjęciach, ale nie trwa długo — czas jest na wagę złota — zanim ktoś ślubuje dozogonną miłość. Nie ma oczywiście znaczenia, która strona ślubuje, ponieważ i tak nic z tego nie wynika. Kadeci odchodzą — zawsze odchodzą, prawda, panie Poe? — i zawsze zajmują ich miejsce nowi.

Sądziłem, że tak gwałtowna tyrada szybko wytraci impet, a przynajmniej złagodzi wściekłość jej autorki. Tymczasem wręcz przeciwnie, panie Landor: im dłużej panna Marquis mówiła, tym wyżej wyskakiwały języki ognia jej gniewu.

— Ach, ale pan nadal ma wszystkie guziki, panie Poe! Czy to znaczy, że nigdy pan nie urwał tego najbliższego sercu i nie wymienił na pukiel włosów ukochanej? W swoim czasie, panie Poe, rozdałam tyle pukli, że aż dziw, iż nie jestem łysa. Wysłuchałam tylu ślubnych przyrzeczeń, że gdyby wszystkich dotrzymano, miałabym tylu mężów, ile król Salomon miał żon. Ale proszę, niech się pan nie krępuje, niech mi pan przyrzeknie dozogonną miłość, abyśmy oboje mogli wrócić do domu, tak jakby nic się nie stało.

W końcu jej furia się rozviała, powoli i etapami. Przeciągnawszy dłonią po czole, panna Marquis się odwróciła i rozdzierająco smutnym tonem powiedziała:

— Przepraszam, jestem okropna, nie mam pojęcia dlaczego.

Zapewniłem ją, że nie potrzebuję przeprosin, że zależy mi tylko na jej dobru.

Nie umiem powiedzieć, czy dodało jej to otuchy, ale u mnie jej nie szukała. Minuty mijaly jak dni. O tak, panie Landor, sytuacja wyjątkowo niezręczna, a mnie brakowało odwagi, aby położyć jej kres — do momentu, kiedy uświadomiłem sobie zmianę w zachowaniu panny Marquis, która nagle zaczęła drzeć.

— Zmarzła pani, panno Marquis.

Pokręciła głową — zaprzeczyła, a przecież naprawdę zadrżała. Zaproponowałem jej swoją pelerynę. Nie raczyła odpowiedzieć. Powtórzyłem swoją propozycję. Znowu milczenie. Drzenie znacznie się nasiliło, a z jej pięknego oblicza przebijała teraz niewysłowiona zgroza.

— Panno Marquis! — zawołałem.

Pośród gorączkowych krzyków jej rozedrganej wyobraźni mój błagalny głos dobiegł ją zapewne niby z jakiejś głębokiej pieczary, nie zwróciła na niego bowiem najmniejszej uwagi, tak bardzo zaprzętało ją uczucie bezbrzeżnej grozy, tajemnej, lecz nazbyt widocznej. Strach jest na swój sposób chorobą równie zaraźliwą jak trąd, skutkiem czego niebawem poczułem, że serce mi wali, a kończyny drętwieją. W końcu sobie uzmysłowiłem — wyłącznie na podstawie struchlałego oblicza panny Marquis — że jest tam ktoś jeszcze, postać tak nikczemna, że naszym duszom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Odwróciłem się na pięcie, by spojrzeć ku bliższym i dalszym horyzontom w poszukiwaniu tego bezdennego zła, które tak gnębiło moją śliczną towarzyszkę. Mając przed oczyma tylko ten jeden cel, oglądałem każdy kamień, zajrzałem za każdy cedr, zrobiłem trzy rundy wokół pomnika. Nikogo tam nie było, panie Landor.

Mniej spanikowany, chociaż nie uspokojony wróciłem do mojej towarzyszki, lecz skonstatowałem, że tam, gdzie ją zostawiłem, nikogo już nie ma. Panna Marquis *zniknęła*.

Zaalarmowanie, które mnie ogarnęło, było tak wielkie i gruntowne, że przestałem się uważać za istotę oddzieloną od tej, która *zniknęła*. Ani razu nie

przyszło mi do głowy, że mógłbym się spóźnić na wieczorny apel. Chętnie zrezygnowałbym ze wszystkich apeli, obowiązków i ćwiczeń w zamian za możliwość ponownego ujżenia anielskiego oblicza Lei. Biegałem od drzewa do drzewa, od kamienia do kamienia; pocwałowałem cienistą dróżką; obszedłem każdą kłodę i pień; szukałem w trawie i mchu, na łąkach i w wodzie. Wołałem jej imię do ropuch i rudzików; wykrzykiwałem je do zachodniego wiatru, do tonącego za horyzontem słońca i do samych gór. Nikt mi nie odpowiedział. W swojej niezmiernej udręce posunąłem się nawet do tego — może sobie pan wyobrazić, jakim kosztem — że stanąłem na krawędzi cmentarnej skarpy i zawołałem w stronę skalistego zbocza, licząc się z tym, że na głazach w dole zobaczę jej pogruhotane, wyzute z życia ciało.

Zupełnie zwątpiłem w jej odnalezienie, panie Landor, aż w końcu minąłem krzew rododendronu — niecałe pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym widziałem ją po raz ostatni — i przez arabeskę niemal ogołoconych z liści gałązek zobaczyłem obutą w damski pantofelek stopę. Przebijając się wzrokiem przez zarośla, w końcu dostrzegłem, że stopa jest połączona z nogą, noga z torssem, tors z głową, a wszystko to składa się na bladą i bezwładną formę panny Lei Marquis, która leżała na bezlitosnej, twardej, kamienistej ziemi.

Uklękawszy przy niej, jakiś czas nie oddychałem i nie poruszałem się. Jej jasnobłękitne oczy były przerażająco wywrócone do góry, skutkiem czego tęczęwki prawie zniknęły za daszkami powiek. Na delikatnych, zmysłowych wargach pojawiła się strużka śliny, a całym ciałem wstrząsało tak silne drżenie, że bałem się o jej życie. Nie odezwała się ani słowem, a ja... Za żadne skarby świata nie potrafiłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku... Aż w końcu — nareszcie! — ten dziwny napad dreszczy zaczął ustępować. Nadal czekałem i moją czujność po chwili nagrodziło wezbranie jej piersi, ledwo dostrzegalny trzepot rzęs, delikatne drżenie nozdrzy. Nie umarła. I nie zamierzała umierać.

Twarz miała jednak upiornie bladą. Kok się rozplątał i czarne jak smoła loki

złączyły się bezładnie nad czołem. Jej oczy, panie Landor. Jej jasnoblękitne oczy wpatrywały się w moje dziko i bezwstydnie — z głębokim, nazbyt głębokim uniesieniem. Te zmiany w jej wyglądzie, o organicznym charakterze, same w sobie nie budziły zmartwienia. Z drugiej strony, nie sposób było zaprzeczyć, że pojawiły się również ślady zewnętrznej przemocy, które miały ludzkie, a nawet — posunę się dalej — pozaludzkie źródło: jej suknia, panie Landor, była rozdarta na ramionach, bestialskie gwoździe przebiły jej nadgarstki i rany wciąż krwawiły, brutalna pięść wybroczyła jej prawą skroń — bluźnierstwo przeciwko niewzruszonej błogości jej szlachetnego czoła.

— Panno Marquis! — zawołałem.

Gdybym miał do dyspozycji tysiąc lat i niezliczone słowa, panie Landor, nie umiałbym opisać uśmiechu, który przyodział jej męczeńską twarz.

— Bardzo mi przykro, że sprawiam panu kłopot — powiedziała. — Czy mógłby pan odprowadzić mnie do domu? Matka zawsze się zamartwia, kiedy zbyt długo nie wracam.

# Opowieść Gusa Landora

19

*17 listopada*

Nie mogę winić Poego za to, że nie rozpoznał objawów. Nigdy nie miał w rodzinie duchownego, a w przypadku tej szczególnej dolegliwości wszyscy szukają pomocy medycznej najpierw u duchownych. Nawet mój ojciec, który bardziej zajmował się studzeniem zapałów duszy niż jej leczeniem, aż nazbyt często był proszony o pomoc w takich okolicznościach. Pamiętam zwłaszcza rodzinę rolników, którzy mieszkali w sąsiedniej dolinie. Za każdym razem, kiedy ich chłopiec miał napad tej choroby, przybiegali do nas galopem, niosąc to wygięte w łuk, wstrząsane konwulsjami ciało i domagając się cudu. Czyż nie tak uczynił Jezus z tym chłopcem w Ewangelii według św. Marka 9,17–30? Dlaczego zatem wielebny Landor nie miałby uczynić tego samego?

A ojciec nigdy się nie wykręcał. Kładł dłonie na rozdygotanym ciele dziecka i nakazywał duchom wyjść, a one najwyraźniej wychodziły, lecz następnego dnia lub za tydzień wracały. Po pewnym czasie rodzina chłopca przestała nas niepokoić.

Pamiętam, że ojciec chłopca użył słowa „opętany”. Ale opętany przez kogo? Takie zadawałem sobie pytanie. Ja widziałem tylko *pustkę*: skorupę, w której kiedyś mieszkał człowiek.

Rzecz jasna, dysponowałem jedynie sprawozdaniem Poego. Ale jeśli nie pomylił się w swojej diagnozie, to Lea Marquis niespodziewanie zyskiwała rozsądny powód do tego, aby być smutną starą panną. I chociaż nie miałem jak dotąd okazji jej poznać, wyznaję, że cierpiałem razem z nią, bo czyż

można było przewidzieć, jak długo jeszcze jej ciało wytrzyma tak ciężki wyrok?

Wraz z powiewem zimnego powietrza powróciły do mnie słowa Poego: „Najważniejszym i najwznioślejszym tematem poezji jest śmierć pięknej kobiety...”.

Nie potrafiłem się od tego uwolnić. Byłem jednak w drodze na pogrzeb.

Tego dnia miano złożyć w ziemi ciało Leroya Frya. Nie umiem powiedzieć, jakie założono mu odpowiednie szaty, ponieważ trumny nie odtworzono od momentu, kiedy sześciu bombardierów dźwignęło ją z katafalku, aż do zamknięcia się nad nią ziemi.

Przynajmniej w tej kwestii Poe miał rację: niewiele jest lepszych miejsc na wieczny odpoczynek niż cmentarz w West Point. Ani lepszej pory na pochówek niż listopadowe przedpołudnie, kiedy mgła opływa łądki jak spieniona morska woda przy brzegu, wiatr syczy pośród kamieni i chaszczy, a spadające liście, ostatnie w roku, tworzą szkarłatne zaspę wokół białych krzyży.

Niecałe trzy metry od grobu słuchałem stłumionego na tę okoliczność bębnienia, patrzyłem na orszak żałobny ze sztandarami i czarnymi pióropuszcami. Pamiętam trzeszczenie katafalku pod ciężarem trumny i zgrzytanie sznura przy opuszczaniu jej do ziemi. Tak, słyszałem też dudnienie grudek ziemi o tę skrzynię z nieheblowanej sosny — dudnienie, które zdawało się dochodzić przez trawę spod ziemi. Reszta zaciera się w mojej pamięci. Na przykład ojciec Leroya Frya — z pewnością go widziałem, ale go nie pamiętam. Pamiętam natomiast panią Fry. Piegowata, przygarbiona kobieta w czarnej krepie, oczy i uszy łani, chude ramiona i barki, pulchne tylko policzki, wydęte i różowe. Kasłała małymi granulkami powietrza i bez ustanku ocierała łzy, których nie było — jej pięści zostawiały wzdłuż nosa czerwone bruzdy — i w żaden sposób nie dawała po sobie poznać, że czegokolwiek słucha, a już na pewno nie kazania wielebnego Zantzingera.

Od kiedy Leroy Fry spoczął w ziemi, ani razu mi się nie przyśnił. A może raczej śni mi się przez całą dobę. Bo czyż konie, które zabrały pusty karawan, nie poruszały się dwa razy wolniej niż zwykle? I czyż kapelan — strzepnięcie jednego pyłku z rękawa zajęło mu ponad godzinę! I dlaczego kiedy bombardierzy oddali salwy nad grobem Leroya Frya, góry pochwyciły odgłos wystrzałów i odmówiły rozstania się z nim? Huk rozbrzmiewał bowiem bez końca jak uwięziona między dwoma frontami atmosferycznymi burza.

I wreszcie jak wyjaśnić to: matka Leroya Frya stoi przede mną. Ogorzała od słońca, sponiewierana smutkiem.

— Pan Landor, prawda?

Tego nie dało się obejść. Tak, to ja...

Wahała się przez długą chwilę. Może nie miała pewności, jak powinna się zachować. W zwyczajnych okolicznościach nie pozwoliłaby sobie na to, aby tak po prostu podejść do obcego mężczyzny.

— To pan zajmuje się...

— Tak, rzeczywiście.

Przytaknęła energicznie, nie patrząc mi w oczy. Ja też skinąłem głową, bo nie potrafiłem wypowiedzieć oczekiwanych w takich sytuacjach słów: jakże mi przykro, cóż za straszna strata... dla pani, dla nas wszystkich. Z moich ust nie wyszło nic takiego i było dla mnie wielką ulgą, że ona też dała za wygraną i zamiast spróbować coś powiedzieć, pogrzebała w torebce i w końcu wyjęła z niej oprawioną w płótno książeczkę ze złożonymi grzbietami.

— Chciałabym to panu dać — powiedziała, wsuwając mi książeczkę do ręki.

— Co to jest, pani Fry?

— Dziennik Leroya.

Moje palce zacisnęły się na nim, a potem zwiotczały.

— Dziennik?

— Tak, dziennik. Sięga chyba trzy lata wstecz.

— Nie jestem... — Urwałem. — Przepraszam, ale nie wiedziałem, że

w jego osobistych rzeczach znaleziono jakiś dziennik.

— Nie, nie, dostałam go od pana Ballingera.

Nareszcie spojrzała mi w twarz i nie odwracała wzroku.

— Pana Ballingera? — upewniłem się cicho.

— Tak, niech pan sobie wyobrazi. — Na jej ustach zaigrał uśmiech. — Był dobrym kolegą Leroya i kiedy tylko się dowiedział, co... co się wydarzyło, poszedł prosto do jego pokoju, żeby zobaczyć, co da się zrobić, i w ten sposób znalazł dziennik i wiedział, że czegoś takiego nie powinien czytać nikt oprócz matki Leroya Frya, i dlatego mi go dał i powiedział: „Pani Fry, chciałbym, żeby to pani zabrała ze sobą do Kentucky, jeśli zechce to pani spalić, proszę się nie wahać, to pani decyzja, ale nikt inny nie powinien tego czytać”. — To wszystko wyszło z niej jako jedno zdanie, każde słowo poganiało poprzednie. — To było bardzo troskliwe z jego strony. Ale ja to sobie przemyślałam, panie Landor. Skoro to pan prowadzi tę sprawę, a cała armia na pana liczy, to powinien pan go mieć. Zresztą co ja bym z nim zrobiła? I tak nie umiem tego rozczytać. Niech pan sam popatrzy, straszny bełkot i galimatias. Nic a nic nie potrafię się w tym wyrozumieć.

I o to właśnie chodziło. Aby utrudnić zadanie ciekawskim, Leroy Fry zastosował znaną metodę krzyżowania wpisów: na zwykłych poziomych zdaniach nadpisywał pionowe, co skutkowało taką plątaniną liter, że nawet sam autor mógł mieć kłopoty z odczytaniem treści. Trzeba było wyćwiczonego oka, takiego jak moje.

I prawdę rzekłszy, moje oko natychmiast zabrało się do roboty, a niebawem poszedł w jego ślady mózg. Porządkowałam już ten bałagan, kiedy usłyszałam głos pani Fry — a raczej *poczułam*, jak bryłkę gradu na czaszce.

— Trzeba go złapać. — Podniosłem wzrok znad kartki, spojrzałem jej w oczy i zrozumiałem, że nie mówi o synu. — Trzeba go złapać — powtórzyła trochę głośniejszym głosem. — To, co Leroy sobie zrobił, to jedno, ale nikt nie miał prawa kaleczyć jego biednego ciała. To jest zbrodnia. Nawet jeśli tak tego nie nazywają, dla mnie to zbrodnia.



Czy mogłem się z nią nie zgodzić? Tak, tak, straszliwa zbrodnia, powiedziałem zakłopotany i zadałem sobie pytanie, czy powinienem wziąć ją za rękę i dokądś zaprowadzić...

— Dziękuję pani, pani Fry. Bardzo mi pani pomogła.

Skinęła z roztargnieniem głową. Potem się odwróciła i patrzyła, jak trumna z jej najmłodszym synem znika pod ostatnimi łopatami ziemi. Armii nie pozostało już teraz nic innego, jak tylko oznaczyć grób jednym z tych idealnych krzyży, które świecą na biało pośród rudych i złotych liści.

— Piękne nabożeństwo — powiedziała pani Fry — nie uważa pan? Zawsze mówiłam Leroyowi: „Leroy, nadajesz się do wojska”. I widzi pan? Miałam rację.

Sądziłem, że moje odkrycie spotka się z pochwałą, ale się myliłem. Hitchcock poczęstował mnie najsurowszym zmarszczeniem brwi, kiedy pomachałem mu przed nosem dziennikiem Frya. Natychmiast wzbudził w nim nieufność. Kapitan nie chciał go nawet dotknąć. Skrzyżował ramiona jak bagnety i spytał, skąd mam pewność, że to istotnie dziennik Frya.

— Myślę, że matka pozna pismo własnego syna, kapitanie.

A cóż miałoby powstrzymać Ballingera przed wyrwaniem obciążających go kartek, nie ustępował Hitchcock. Odpowiedziałem, że raczej by ich nie znalazł. Fry nie tylko użył metody kratownicy, ale również część napisanych mikroskopijnymi literkami zdań przebiegała wspak, na modłę hebrajską, skutkiem czego rezultat był mniej więcej tak czytelny jak pismo klinowe.

Kapitan Hitchcock wyjął jednak asa z rękawa: dlaczego Ballinger nie wyrzucił dziennika do kosza? Jeśli pamiętnik zawiera jakieś rewelacje, to po co ryzykować?

Na to pytanie nie miałem dobrej odpowiedzi. Być może, zasugerowałem, nie miał się czego obawiać. Po co w takim razie brałby na siebie ryzyko związane z nieuprawnionym grzebaniem w rzeczach Frya? Utrudnianie śledztwa Akademii to poważna sprawa, podstawa do zwolnienia

dyscyplinarnego albo jeszcze gorzej. (Z najwyższym trudem powstrzymałem się od natychmiastowego wytarśnięcia Hitchcocka). Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi do głowy, było zarazem najmniej wiarygodne.

— Mianowicie? — spytał kapitan Hitchcock.

— Ballinger życzy sobie, aby świat poznał treści dziennika. Kiedyś w przyszłości.

— A jaki z tego wniosek?

— Taki z tego wniosek, że Ballinger może mieć sumienie.

Ha!, obruszył się Hitchcock, jakim prawem bronię tego młodego człowieka?

Nie znałem go, to prawda, a to, co o nim wiedziałem, nie usposabiało mnie do niego zbyt przychylnie. Z drugiej strony, wierzę, że dusza ludzka z natury chce się otworzyć, objawić światu nawet swoje najmroczniejsze zakamarki. Bo inaczej po co człowiek — łącznie ze mną — zadawałby sobie trud zaczerniania papieru?

*16 czerwca. Dzisiaj zaczyna się wielka pszygoda.*

Tak brzmią pierwsze słowa dziennika Leroya Frya. Może przygoda, ale nie dla mnie. Przynajmniej na początku. Raczej udręka. Z piórem w jednej ręce i lupą w drugiej wytrwale pracowałem w świetle lampy naftowej, dziennik mając po lewej, a notatnik do zapisywania jego treści po prawej stronie. Litery skakały mi przed oczyma. Do góry i na dół, do tyłu i do przodu. Od czasu do czasu musiałem podnieść wzrok znad papieru i mrugnąć, żeby widzieć wyraźnie, albo całkiem zamknąć oczy.

O tak, ciągnęło się to bez końca... Można było oszaleć. Udało mi się odczytać tylko około dwóch stron, kiedy zapukał Poe. Tak cicho, że ledwo go usłyszałem. Drzwi otworzyły się po trochu i stanął w nich mój przyjaciel poeta, w sfatygowanych butach i ze świeżym rozdarciem na ramieniu płaszcza. Trzymał w ręku kolejny zawinięty w brązowy papier pakunek.

„Teksty” — pomyślałem. „Tonę w tekstach”.

— Panie Poe, spokojnie mógł pan sobie dać więcej czasu. Jak pan widzi, jestem bardzo zajęty.

— Nie sprawiło mi to wielkiej trudności — odparł cicho z półmroku.

— Ale też wielostronicowe sprawozdania, które pan pisze... — powiedziałem. — Zamęczą się pan.

— Nie szkodzi.

Usiadł ciężko na podłodze i w rozchybotanym świetle lampy naftowej zobaczyłem, że wpatruje się we mnie wyczekującym wzrokiem.

— O co chodzi, panie Poe?

— Czekam, aż pan przeczyta.

— Jak to, teraz?

— Ależ oczywiście.

Zupełnie go nie obchodził ten *drugi* dokument, który leżał na moich kolanach. Wyobrażał sobie zapewne, że zajmuję się nim dla zabicia czasu w oczekiwaniu na jego kolejne sprawozdanie. I może rzeczywiście tak było.

— No dobra... — westchnąłem, zabrałem od niego plik kartek i starannie położyłem na kolanach. — Chyba nie takie długie jak poprzednio, prawda?

— Chyba tak — zgodził się ze mną.

— Zamówić coś dla pana? Kropelkę czegoś mocniejszego...

— Nie, dziękuję. Zaczekam, aż pan skończy.

No i czekał. Siedział na zimnej podłodze i śledził lot każdego słowa od papieru do moich oczu. Za każdym razem, kiedy spojrzałem w jego kierunku, siedział w tej samej pozycji i nie odrywał ode mnie wzroku.

---

1 Lord Byron, *Wędrówki Childe Harolda*, przeł Jan Kaspróvicz, Pieśń 3, XXXII.

2 Psalm 51.

3 „Byńtego dnia post, więc miano podać mi jaja. Kiedy nakrywano do stołu, nawićzałem rozmowę z oberżystką, której nie widziałem byń jeszcze. Wydawała mi się dość grądka” (wg Alain René Lesage, *Przypadki Idziego Blasa*, przeł Julian Rogoziński, Zielona Sowa, Kraków 2003, s. 11).

4 „Pospieszynku mnie i rzeknż grębokim ukirbnem: — Dowiedziałem się, panie studencie, żeś jest jaśnie wielmożnym Idzi Blasem z Santillany, ozdóbć miasta Oviedo i świecznikiem filozofii”

(tamże).

5 „— Nie wiecie nawet — ciągnąć dalej, zwracając się do oberżysty i oberżystki — nie wiecie, kogo pod swoim dachem gościcie: macie skarb w swoim domu. Ten młody szlachcic jest ósmym cudem świata. — A potem rzeknij obejmując mnie czule: — Wybaczcie, panie, moją radość niepokromioną, ale na sam wasz widok trudno mi opanować wzruszenie” (tamże).

6 Przeń Włodzimierz Lewik.

7 Edgar Allan Poe, *Do Heleny*, przeń Władysław Nawrocki, w: tegoż *Poezje*, C&T, Toruń 1999, s. 5.

8 Thomas Gray, *Elegia napisana na wiejskim cmentarzu*, przeń Stanisław Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*, Znak, Kraków 1993, s. 242.

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

*17 listopada*

**M**oje poprzednie spotkanie z panną Marquis zakończyło się tak nagle, że zadawałem sobie pytanie, czy jeszcze ją kiedyś zobaczę. Chociaż pozostała dla mnie niewiadomą, perspektywa rozdzielenia z nią po wieczne czasy była nie do wytrzymania. Z cięższym niż zwykle sercem powróciłem do syzyfowej pracy nad matematyką i francuskim. Jakże jałowe wydały mi się pikarejskie figle Lesage'a czy logiczne wzloty Archimedesesa i Pitagorasa. Słyszałem, że ludzie całkowicie pozbawieni światła i pożywienia mogą obudzić się po trzech dniach z letargu z wrażeniem, że odbyli tylko króciutką drzemkę. Z radością bym się z nimi zamienił! Do dyszla każdego nowego dnia zaprzężona była bezkresna karawana tygodni. Sekundy upływały jak minuty, minuty jak godziny. A godziny? Czyż nie tyle trwają eony?

Wezwano żołnierzy na kolację — a ja wciąż żyłem. Ale po co? Cała energia ducha wyczerpana, a moją drogę zalegały wielkie kłęby melancholii. We środe wieczorem, słuchając bębnow, które ogłaszały ciszę nocną, drzałem przed tym, że nieznośna rozpacz, która przenikała mojego ducha, połknie mnie całego, zostawiając po sobie tylko nocną koszulę i muszkiet, który wisi — samotny, opuszczony — na ścianie nad moją głową.

Kiedy w niedzielę o świcie zagrała pobudka, otrząsnąłem się z pajęczyny snu i zobaczyłem, że jeden z moich współlokatorów, młody pan Gibson, stoi koło mojego legowiska, uśmiechając się jak krokodyl.

— Wiadomość do ciebie! — zawołał. — Sporządzona ręką kobiety!

I rzeczywiście: podsunął mi pod oczy kopertę, na której odwrocie wypisane było moje nazwisko. Potwierdziła się również druga część jego wypowiedzi: ujrzałem finezyjne arabeski i zawijasy powszechnie kojarzone ze słabszą

płcią. Nie śmiałem jednak zakładać, że dłoń, która trzymała to pióro, należała do niej... Tymczasem moje serce głośno i głucho wołało do lodowatego powietrza świtu: „To ona! To ona!”.

*Drogi Panie Poe,*

*czy byłby Pan tak dobry i spotkał się ze mną dziś przed południem? O ile się nie mylę, ma Pan krótką przerwę między śniadaniem a pierwszymi wykładami. Jeśli rzeczywiście tak jest i jeśli raczy Pan spojrzeć na moją prośbę łaskawym okiem, będę na Pana czekała koło fortu Putnam. Obiecuję, że nie zatrzymam Pana długo.*

*Z poważaniem*

*L.A.M.*

Pytam pana, panie Landor, kto potrafiłby się oprzeć takiemu wezwaniu? Delikatna natarczywość tych słów, niewymuszona elegancja kaligrafii, dyskretny aromat papieru listowego...

Bogini czasu, zawsze próżna i niestała, teraz uznała za wskazane, aby godziny, które dzieliły mnie od tego spotkania, upłynęły tak szybko jak we śnie. Kiedy już się wyzwoliłem od miazmatów kantyny, w milczeniu opuściłem moich szarych kamratów i bez wahania ruszyłem w stronę Mount Independence. Byłem teraz sam. Sam, tak — i *szczęśliwy*, bo czyż mogłem wątpić, że tę leśną drogę przez zarośla wcześniej przemierzyła *ona*? Lekkim krokiem lawirowałem zatem między kępami mchu i odłamkami głazów, wspinając się na ruiny pradawnych fortyfikacji, w których nieszczęsny major André spędził swoje ostatnie dni. Drogę przetarły mi bowiem jej wykwintne trzewiczki.

Przeszedłem pod porośniętym winoroślą łukiem i za cedrowym laskiem, na rozległej granitowej płycie, ujrzałem pólleżącą postać panny Lei Marquis. Odwróciła w moją stronę głowę, kiedy się przybliżyłem, i na jej twarzy wykwitł uśmiech niewymuszonego i silnie zaraźliwego zachwyty. Ani śladu gniewu i wzburzenia, które zniekształcały jej oblicze poprzednim razem:

znowu ten wrodzony zapał i wdzięk, który zrobił na mnie takie wrażenie podczas naszego pierwszego spotkania.

— Panie Poe — powiedziała. — Tak się cieszę, że mógł pan przyjść.

Lekkim i pełnym wdzięku ruchem wskazała, że mogę usiąść koło niej, a ja z najwyższym entuzjazmem się do tego zastosowałem. Pozwoliła sobie mnie wezwać — powiedziała — tylko po to, aby mi podziękować, że się o nią zatroszczyłem w godzinie potrzeby. Nie przypominałem sobie żadnych świadectw szczególnej rycerskości z mojej strony, a za najzwyczajszy w świecie akt chrześcijańskiego miłosierdzia, jakim było odprowadzenie jej do domu, zostałem — jak mnie szybko poinformowano — z nawiązką wynagrodzony. Albowiem kiedy się dowiedziała, że z jej powodu opuściłem wieczorny apel (o czym ten trójgłowy pies Locke nie omieszkiał poinformować swoich zwierzchników), panna Marquis natychmiast zapukała do drzwi swego ojca i zapewniła go, że gdyby nie moja życzliwa pomoc, mogłaby jej się stać jakaś krzywda.

Kiedy tylko poczciwy doktor Marquis usłyszał od ukochanej córki tę nowinę, pospieszył wstawić się za mną u kapitana Hitchcocka i szczegółowo zrelacjonował moje wielkoduszne czyny. Czapki z głów przed komendantem, bo nie tylko oczyścił mnie z winy, ale także uwolnił mnie od dodatkowej służby wartowniczej, którą przydzielił mi Locke. Na dokładkę Hitchcock ogłosił wszem wobec, że moje postępowanie przyniosłoby chlubę każdemu żołnierzowi armii Stanów Zjednoczonych.

Życzliwy doktor Marquis nie ograniczył się do tego jednego miłosiernego gestu. Wskazał również, że chciałby osobiście wyrazić swoją wdzięczność i nie wyobraża sobie lepszej po temu okazji, niż znowu przywitać mnie w swoich progach jako honorowego gościa — w jakimś odpowiednim dla mnie terminie.

Cóż za zwrot sytuacji, panie Landor! Ja, który rozpaczałem, że już nigdy nie zobaczę panny Marquis, otrzymałem jeszcze jedną sposobność do cieszenia się jej towarzystwem, a ponadto pozyskałem przychylność i aprobatę

ludzi... zamierzałem napisać „ludzi, którym jest droższa niż mnie”, ale nie umiem.

Jak już wspomniałem, powietrze było chłodne mimo wczesnej pory, ale panna Marquis, opatulona w pelerynę i pelisę, najwyraźniej nie cierpiała z tego powodu. Całkowicie skupiła się na rozpostartej przed nami scenerii, na wyniosłym Bull Hill, starym Cro' Nest, srogim Break Neck, od czasu do czasu poprawiając rzemyki sandałów.

W końcu powiedziała:

— Och. Wszystko takie ogołocone, prawda? O ileż ładniej jest w marcu, kiedy można przynajmniej mieć pewność, że życie znowu rozkwitnie.

Odpowiedziałem, że wręcz przeciwnie, że według mnie Highlands można zobaczyć w pełnej krasie tylko zaraz po opadnięciu liści, ponieważ ani bujność lata, ani zimowy szron nie przesłaniają wtedy bogactwa szczegółów. Roślinność, powiedziałem jej, nie ujawnia pierwotnego planu Stwórcy, lecz go maskuje.

Ależ ją to rozbawiło, panie Landor — a przecież nie miałem najmniejszego zamiaru jej rozbawić.

— Rozumiem — powiedziała. — Romantyk. — A potem dodała z szerokim uśmiechem: — Lubi pan mówić o Bogu, panie Poe.

Odparłem, że w odniesieniu do człowieka i natury trudno jest znaleźć bardziej kompetentną istotę, i spytałem, czy zna lepszy autorytet w tych dziedzinach.

— O — zadumała się. — To wszystko jest takie...

Urwała i delikatnie popchnęła powietrze ręką, jakby chciała, aby wiatr zaniósł omawianą przez nas kwestię do innych hrabstw. Za naszej krótkiej znajomości nigdy wcześniej nie wypowiedała się w żadnej sprawie tak niejednoznacznie ani nie wykazywała tak nikłej chęci do podtrzymywania rozmowy. Nie chcąc jednak budzić podejrzeń bardziej dociekliwymi pytaniami, porzuciłem temat i sam zacząłem podziwiać wspomnianą



panoramę — nie omieszkając przy tym od czasu do czasu — nie częściej niż pozwalało mi sumienie — ukradkowo spojrzeć z ukosa na piękny profil panny Marquis.

Jakże drogie wydawały mi się w tych momentach jej rysy! I jasna zieleń jej kapelusika, i obszerna bula spódnicy i halki. I rozkoszne kontury jej bufiastego rękawa, z którego wyzierały białe palce, delikatne, lecz emanujące wigorem. A jej aromat, panie Landor! Ten sam zapach, który ukrył się w jej papeterii — mączysty, słodki, a zarazem odrobinę pikantny. Im dłużej siedzieliśmy, tym głębiej przenikał mnie ten aromat, aż w końcu, bliski obłądu, spytałem Leę, czy byłaby taka dobra i wskazała mi jego proveniencję. *Eau de rose? Blanc de neige? Huile ambrée?*

— Nic tak wykwintnego — odparła. — To tylko kłaczę irysa.

Wiadomość ta odebrała mi mowę. Przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie wypowiedzieć nawet najprostszycy słów. W końcu coraz bardziej zaniepokojona moim stanem panna Marquis poprosiła o wyjaśnienie.

— Muszę panią prosić o wybaczenie — powiedziałem. — To był ulubiony zapach mojej matki. Jeszcze długo po jej śmierci wyczuwałem go w jej ubraniach.

Wspomniałem o tym tylko mimochodem i nie miałem najmniejszego zamiaru bardziej szczegółowo opowiadać o mojej matce. Nie uwzględniłem jednak ciekawości i siły perswazji panny Marquis. Szybko pokonała barierę mojej wstrzeźliwości i wydobyła ze mnie tak gruntowną relację, na jaką pozwalały okoliczności. Opowiedziałem jej o ogólnokrajowej sławie mojej matki, o licznych świadectwach jej wybitnego artyzmu, o jej radosnym i altruistycznym oddaniu mężowi i dzieciom... I wreszcie o jej tragicznym i przedwczesnym pochłonięciu przez pożogę w tym samym teatrze, który był wcześniej widownią tak wielu jej triumfów.

Przy relacjonowaniu pewnych wydarzeń drżał mi głos. Przypuszczalnie nie starczyłoby mi siły, aby doprowadzić opowieść do końca, gdybym nie znalazł w pannie Marquis tak empatycznej publiczności. Opowiedziałem jej *wszystko*,

panie Landor, a w każdym razie tyle, ile da się zmieścić w ledwo dziesięciu minutach. Opowiedziałem jej o panu Allanie, który — głęboko poruszony moim sieroctwem — postanowił wziąć mnie pod swoje opiekuńcze skrzydła i zgodnie z pragnieniem mojej matki wychować mnie na dżentelmena. Mówiłem o jego żonie, świętej pamięci pani Allan, która aż do swojej niedawnej śmierci była dla mnie drugą matką. Mówiłem o latach spędzonych w Anglii, o peregrynacjach po Europie, o służbie w artylerii — ale mówiłem również o swoich myślach, marzeniach, fantazjach. Panna Marquis słuchała wszystkich dobrych i złych rzeczy z iście kapłańską wielkodusznością. Znalazłem w niej ucieleśnienie zasady ujętej w słowa przez Terencjusza: *Homo sum, humani nil a me alienum puto*. Jej wyrozumiałość tak mnie ośmieliła, że po krótkim czasie zdobyłem się na wyznanie, że moja matka utrzymuje quasi-nadprzyrodzoną obecność w moim śnie i jawie. Wyznałem, że nie zachowałem o niej żadnych wspomnień z czasów, kiedy jeszcze żyła, a jednak z tajemniczym uporem trwa we mnie jako wspomnienie duchowe.

Po tych ostatnich słowach pana Marquis spojrzała na mnie z wielką uwagą.

— Chce pan powiedzieć, że ona z panem rozmawia? I co mówi?

Po raz pierwszy tego przedpołudnia stałem się mniej wylewny. Jakże pragnąłem jej opowiedzieć, panie Landor, o tym tajemniczym urywku poetyckim — ale nie mogłem. A ona w żaden sposób nie naciskała. Zadała pytanie, ale więcej o nim nie myślała i następująco podsumowała tę kwestię:

— Nigdy nie odchodzą, prawda? Ci, którzy żyli przed nami. Ciekawe dlaczego.

Po krótkim wahaniu przedstawiłem jej moje teorie na ten temat.

— Są chwile — oznajmiłem — kiedy uważam, że umarli nas nawiedzają, ponieważ za mało ich kochamy. *Zapominamy* o nich, widzi pani. Nie chcemy tego, ale zapominamy. Cały nasz smutek i żal na jakiś czas przygasają i sądzę, że w tym dłuższym lub krótszym okresie czują się okrutnie porzuceni. Dobijają się zatem o naszą uwagę. Chcą odnaleźć drogę do naszych serc. Żeby nie umrzeć dwa razy. Zdarza się jednak — podjąłem po chwili milczenia — że

kochamy ich za bardzo. Skutkiem czego nie mają możliwości odejść, ponieważ nosimy ich w sobie. Nie umierają zatem, nigdy nie milczą, nigdy nie zaznają odpoczynku.

— Powrotnicy — powiedziała Lea, obserwując mnie uważnie.

— Powiedzmy. Z drugiej strony, jak można mówić o powrocie, skoro nigdy nie odeszli?

Przesłoniła usta dłonią — nie wiedziałem dlaczego, ale tylko do momentu, kiedy prychnęła rozbawionym śmiechem.

— Skąd się to bierze, panie Poe, że tysiące razy wolę spędzić z panem godzinę na... — tutaj znowu się roześmiała — ...rozważaniu najbardziej ponurych i makabrycznych tematów, niż przez minutę rozmawiać o sukniach, farfurkach i innych rzeczach, które uszczęśliwiają większość ludzi?

W nasadę góry, na którą patrzyliśmy, uderzył samotny błysk. Panna Marquis odwróciła się jednak od tego widoku, zaopatrzyła się w tępy kij i zaczęła rysować na granitowej płycie abstrakcyjne formy.

— Tamtego dnia... — powiedziała w końcu. — Na cmentarzu...

— Nie musimy o tym rozmawiać, panno Marquis.

— Ale widzi pan, ja chcę o tym rozmawiać. Chcę panu powiedzieć...

— Tak?

— Jak bardzo byłam wdzięczna; za to, że po otwarciu oczu zobaczyłam pana przy sobie. — Rzuciła mi ukradkowe spojrzenie, ale natychmiast odwróciła wzrok. — Uważnie przyjrzałam się pańskiej twarzy, panie Poe, i zobaczyłam coś, czego nigdy, ale to przenigdy bym się tam nie spodziewała.

— A mianowicie, panno Marquis?

— Miłość.

Ach, panie Landor! Z pewnością mi pan nie uwierzy, jeśli panu powiem, że do tamtej pory nie brałem pod uwagę, że mogę być zakochany w pannie Marquis. Darzyłem ją ogromnym podziwem, tego bym nie negował. Nie podważałbym

tezy, że Lea mnie intryguje — ba, fascynuje. Nigdy jednak, panie Landor, nie posunąłem się do wznioślejszej interpretacji moich uczuć.

A przecież kiedy to święte słowo wyszło już z jej ust, nie mogłem dłużej negować zamkniętej w nim prawdy — prawdy, którą ona w akcie wielkiego miłosierdzia uwolniła z ciasnej klatki.

Kochałem, panie Landor. Choćbym się nie wiem ile zarzekał, kochałem.

Cały świat uległ metamorfozie. Pośród koncertu plusków i chlupotów spod powierzchni Hudsonu wyskoczył jesiotr, a z głębin tej nawiedzonej rzeki zaczęła się sączyć melodia bardziej niebiańska od harfy eolskiej. Siedziałem w bezruchu, jakoby na złocistym progu szeroko otwartej bramy marzeń, ze spojrzeniem zatopionym w bezkresnym pejzażu — by szybko sobie uświadomić, że tym pejzażem jest *ona*.

— Widzę, że za moją sprawą jest pan zakłopotany — powiedziała. — Nie ma powodu. Z pewnością pan zauważył... — Urwała, lecz po chwili podjęła: — Z pewnością pan zauważył, że w moim sercu również jest miłość.

Jakże szybko przychodzi — to błogosławieństwo miłości! Jakże nam się wymyka w chwili swoich narodzin! Choćbyśmy po nie sięgali do samych niebios, nie potrafimy go pochwycić. Nie, zawsze nam ucieka. Pozostajemy z pustymi rękami — i spadamy.

Krótko mówiąc, zemdlałem! I bez żadnych skrupułów opuściłbym przedpołudniowy wykład. Opuściłbym kolejne, może nawet zgodziłbym się na to, aby Antropos (okrutna córka Temidy!) przecięła nić mojego życia, tak bardzo byłem szczęśliwy — bezmiernie, *nieludzko* szczęśliwy.

To *jej* twarz ujrzałem po odzyskaniu przytomności — niebiańskie gwiazdy jej oczu płonące świętym blaskiem.

— Panie Poe — powiedziała. — Proponuję, abyśmy podczas następnych spotkań oboje byli do samego końca przytomni.

Z całego serca przystałem na jej propozycję i przyrzekłem już nigdy nie zamknąć oczu, kiedy ona będzie się znajdowała w moim polu widzenia. Aby

przypieczętować nasz pakt, poprosiłem ją, aby od tej pory mówiła mi po imieniu.

— Edgar, tak? Dobrze, Edgarze, jak sobie życzysz. W takim razie ty musisz mówić mi Lea.

Lea. Lea! Jakież zachwycający osad pozostawia to imię w wewnętrznej komnacie mojego ucha! Jakież bogactwo szczęścia zawierają w sobie te dwie krótkie, lecz eufoniczne sylaby!

*Lea. Lea.*

# Opowieść Gusa Landora

20

*21 listopada*

Najdziwniejsze było to, że Poe nie miał nic do dodania. Po zakończeniu lektury czekałem, aż podejmie wątek w miejscu, w którym go porzucił. Zacytuje innego łacińskiego poetę, wprowadzi mnie w tajniki etymologii, zaduma się nad ulotnością miłości...

On jednak życzył mi tylko dobrej nocy. Obiecał, że jak tylko będzie miał o czym napisać, sporządzi następne sprawozdanie — i zniknął jak duch.

Zobaczyłem go ponownie dopiero następnego wieczoru — i to przez przypadek. Poe z pewnością użyłby tutaj jakiegoś mniej przyziemnego pojęcia, ale ja obstaję przy użytym przeze mnie słowie. To przypadek sprawił, że przerwałem pracę nad dziennikiem Leroya Frya i poczułem nagłą potrzebę zaczerpnięcia powietrza. To przypadek wyrzucił mnie za drzwi w czarne jak smoła ciemności i kazał mi zataczać latarnią powolne łuki, abym się nie potknął.

Noc była sucha jak opadłe sosnowe szpilki. Rzeka szemrała głośniejsz niż zwykle, a księżycem można się było skaleczyć. Ziemia trzeszczała przy każdym kroku, stąpałem zatem bardzo ostrożnie, jakbym miał nieczyste sumienie. Zatrzymałem się koło ruin koszar artyleryjskich w niewielkiej odległości od placu apelowego i ogarnąłem wzrokiem długie, trawiaste zbocze, o tej porze prawie fioletowe.

Nagle zamarłem.

Coś się poruszało, koło pobliskiego zagłębienia, które w czasie wojny służyło jako miejsce egzekucji i nazywało się Execution Hollow.

Kiedy podchodziłem z uniesioną wyżej latarnią, ta dziwna i rozmyta forma

nabrała bardziej wyraźnych konturów. Miałem przed sobą człowieka — człowieka na czworakach. Z odległości, w której się znajdowałem, poza ta wydawała się niewygodna i niezdrowa, wyglądała na preludium do całkowitego upadku, ale kiedy podszedłem bliżej, odkryłem, że nietypowe ułożenie ciała ma swój sens. Tuż pod pierwszą postacią leżała druga.

Tę na górze natychmiast rozpoznałem. Dosyć się napatrzyłem w kantine, aby nie mieć żadnych wątpliwości: te lniane włosy i ten barczysty korpus chłopca ze wsi należały do Randolpha Ballingera. Dosiadał przeciwnika, swoimi ciężkimi nogami przyciskał jego ramiona do ziemi, a potężnym przedramieniem dławił jego tchawicę.

A kto był ofiarą tej napaści? Dopiero kiedy odstąpiłem trochę na bok i uzyskałem odpowiednią perspektywę — dopiero kiedy dostrzegłem przerośniętą głowę, mikry korpus i rozdartą na ramieniu pelerynę — mogłem mieć w tej kwestii pewność.

Puściłem się biegiem. Czulem bowiem przez skórę, jak nierówna jest ta rywalizacja: Ballinger był dobre kilkanaście centymetrów wyższy od Poego, ważył ze dwadzieścia kilo więcej, a ponadto przejawiał w swoich działaniach niezłomną determinację. Nie zamierzał się cofnąć.

— Niech pan go puści, panie Ballinger!

Mój twardy jak skała głos zmniejszył odległość między nami.

Ballinger szarpnął głową do góry i spotkał się ze mną spojrzeniem. W świetle mojej latarni jego oczy błyszczały jak dwie białe kule. Nadal trzymając Poego za gardło, odparł najzupełniej obojętnym tonem:

— Sprawa prywatna, sir.

Przywiodło mi to na myśl Leroya Frya, który radośnie zawołał do spotkanego na schodach kolegi: „W pilnej sprawie...”.

Ta sprawa również była pilna, sądząc po nieprzeniknionej minie, niewzruszonym czole i wyteżonym skupieniu na twarzy Ballingera. Podjął decyzję i zamierzał ją zrealizować — bez słowa wyjaśnienia. Dało się słyszeć

tylko bulgotanie w gardle Poego — zniekształcony, wodnisty, urywany charkot, dużo gorszy od krzyku.

— Niech pan go puści, panie Ballinger! — zawołałem znowu.

Nadal jednak napierał ciężkim ramieniem na gardło Poego, wyciskając mu resztki powietrza z płuc. Czekał, aż chrząstki jego tchawicy dadzą za wygraną.

Uniosłem nogę i trafiłem Ballingera butem prosto w skroń. Stęknął, otrząsnął głowę z bólu... i kontynuował swoje dzieło.

Drugie kopnięcie trafiło go w podbródek i przewróciło na plecy.

— Jeśli pan zaraz zniknie — powiedziałem — zachowa pan patent. Jeśli nie, obiecuję panu, że do końca tygodnia stanie pan przed sądem wojennym. — Usiadł. Potarł szczękę. Patrzył prosto przed siebie, jakby mnie tam nie było. — Chyba że — powiedziałem — pan nie wie, jak pułkownik Thayer zapatruje się na usiłowanie zabójstwa.

Wszystko sprowadzało się do tego, że nie był już w swoim żywiole. Jak wielu innych łobuzów potrafił egzekwować swoją wolę tylko w określonych obszarach. Jako pierwszy zastępca krojczego mięsa przy stole numer osiem potrafił zabić spojrzeniem każdego, kto zażądał pieczeni wołowej poza kolejką. Poza orbitą stołu numer osiem, poza lokalem numer osiemnaście w Koszarach Północnych, nie dysponował rusztowaniem, na którym mógłby się wesprzeć.

Innymi słowy, zemknął. Zachował resztki godności, ale zdawał sobie sprawę, że został *powstrzymany*, i świadomość ta ciągnęła się za nim jak chmura wściekłości.

Podąłem Poemu rękę i pomogłem mu wstać. Odzyskał oddech, lecz w świetle mojej latarni jego skóra wyglądała jak cętkowana miedzianymi plamami.

— Wszystko w porządku? — zapytałem.

Skrzywił się, przełknąwszy na próbę ślinę.

— Nic mi nie jest — wydyszał. — Tchórzliwa... podstępna napaść nie



wystarczy do zastraszenia przedstawiciela narodu Poe. Wywodzę się z długiej linii...

— ...frankijskich wodzów, wiem. Może mi pan opowie, co się stało.

Postawił chwiejny krok do przodu.

— Właściwie to nie wiem, panie Landor. Wymknąłem się z koszar z zamiarem odwiedzenia pana. Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Uważałem jak zawsze... Nie umiem wyjaśnić... jak mu się udało mnie zaskoczyć.

— Mówił coś?

— W kółko to samo. Bardzo cicho.

— Mianowicie?

— „Te małe zwierzaki muszą znać swoje miejsce”.

— To wszystko?

— To wszystko.

— Jak pan to interpretuje, panie Poe?

Wzruszył ramionami, lecz nawet ten nieznaczny ruch przeszył go bólem.

— Czysta zazdrość — powiedział w końcu. — Ballinger jest ewidentnie... zrozpaczony tym, że Lea woli mnie. To dlatego chce mnie wystraszyć. — Gdzieś z jego wnętrza dobiegł piskliwy śmiech. — Nie potrafi ocenić... głębi mojej determinacji. Nie dam się odstraszyć.

— Sądzi pan zatem, że chciał pana tylko przestraszyć, panie Poe?

— A co innego?

— No nie wiem — powiedziałem, kierując wzrok w stronę Execution Hollow. — Z miejsca, w którym stałem, wyglądało na to, że chce pana zabić.

— Ależ to niedorzeczność! On nie ma tyle odwagi. Ani wyobraźni.

Och, Szanowny Czytelniku, korciło mnie, aby mu opowiedzieć o mordercach, z którymi miałem do czynienia. Ludzi bardziej pozbawionych wyobraźni ze świecą szukać. I właśnie dlatego byli tak niebezpieczni.

— Mimo to, panie Poe, wolałbym, żeby pan... — Wcisnąłem rękę do kieszeni i lekko kopnąłem ziemię. — Chodzi o to, widzi pan, że w jakiś

sposób stałem się od pana zależny i byłoby mi szkoda, gdyby pan stracił życie dla pięknych oczu młodej kobiety, choćby nadzwyczaj urodziwej.

— To nie ja stracę życie, panie Landor. Może pan być tego pewien.

— A kto?

— Ballinger — odpowiedział po prostu. — Nie wejdzie między mnie a pragnienie mojego serca, bo go wcześniej zabiję. Zabiję go z największą przyjemnością i będzie to najbardziej... moralny czyn w całym moim życiu.

Chwyciłem go za łokieć i delikatnie poprowadziłem w górę wzniesienia w stronę hotelu. Upłynęła cała minuta, zanim się odważyłem znowu coś powiedzieć.

— O tak — zacząłem, siląc się na obojętny ton — z moralnością nie będzie większych problemów, ale nie umiem sobie wyobrazić, że będzie pan miał z tego przyjemność, panie Poe.

— W takim razie nie zna mnie pan, panie Landor.

Miał rację: nie znałem go. Nie wiedziałem, do czego jest zdolny, dopóki tego nie zrobił.

Dotarliśmy przed hotel pana Cozzensa. Poemu wyrównał się oddech, a na jego twarz częściowo powróciła typowa bladość — która nigdy nie wyglądała tak zdrowo jak teraz!

— Cieszę się, że przypadkiem przyszedłem w odpowiedniej chwili — powiedziałem.

— O, sądzę, że prędzej czy później znalazłbym sposób na Ballingera. Ale dziękuję panu, że miałem pana w rezerwie.

— Sądzi pan, że Ballinger wiedział, dokąd pan idzie?

— Skąd miałby wiedzieć? Hotelu nawet nie było w polu widzenia.

— Więc nie uważa pan, że nasza mała tajemnica się wydała.

— Nie wydała się i nigdy się nie wyda, panie Landor. Nie pozna jej nikt, nawet... — Urwał i zczekał, aż wzbierze w nim fala uczuć. — Nawet *ona*. — Zebrał myśli i oznajmił różnym głosem: — Nie zapytał mnie pan, dlaczego chciałem pana odwiedzić.

— Zakładam, że ma pan dla mnie jakąś nowinę.

— W rzeczy samej.

Obiema rękami gorączkowo przeszukał kieszenie i po dobrej minucie wyjął kartkę, którą rozłożył tak nabożnie, jakby rozpakowywał mszalny kielich.

Mogłem się domyślić. Błysk w jego oku powinien być dla mnie wystarczającą wskazówką, ale nie, wziąłem od niego kartkę w błogiej nieświadomości i zapisana na niej treść zupełnie mnie zaskoczyła:

*I w cieniu mrocznej tej snów kaskady  
Drżałam pod nocy mroźną etolą  
„Leonoro, mów, kto udzielił ci rady  
Byś przyszła w te strony jęczące niedolą  
Byś przyszła w te strony cuchnące niedolą?”  
„Daruj, ale czy o piekielnych mękach  
Usta moje do mówienia zmuszę”  
„Epoki tej gdy każda niesie jutrzeńka  
Wspomnienie o diabłach, co skatowały mą duszę  
Wspomnienie o demonach, co strzaskały mą duszę?”*

Słowa te krążyły w świetle latarni, a ja nie potrafiłem znaleźć na nie odpowiedzi. Mozolnie szperałem w mózgu, ale nic nie znalazłem. W końcu powiedziałem tylko tyle:

— Ładne — powiedziałem. — Naprawdę, panie Poe. Bardzo ładne.

Moje uszy wypełnił wtedy śmiech Poego — gromki, radosny i dźwięczny.

— Dziękuję, panie Landor. Moja matka będzie zachwycona, kiedy jej to powtórzę.

# Opowieść Gusa Landora

## 21

*Od 22 do 25 listopada*

Jeszcze tego samego wieczoru usłyszałem pukanie do drzwi mojego pokoju hotelowego. Nie to nieśmiałe, które było znakiem rozpoznawczym Poego, lecz niecierpliwe wezwanie. Poderwałem się z łóżka gotowy na nowinę — kto wie? — że nadszedł dzień sądu.

To była opatulona w podwójną warstwę wełny Patsy. Jej oddech parował w zimnym korytarzu.

— Wpuść mnie!

Czekałem, aż się rozplynie jak zjawa. Tymczasem weszła do pokoju — trójwymiarowa, tak samo realna jak moja ręka.

— Podrzuciłam chłopakom trochę gorzałki — powiedziała.

— Zostało coś dla mnie?

Zachowywałem się tak nonszalancko, jak to było możliwe w obliczu tej pokusy. Chociaż uczciwiej byłoby powiedzieć, że rzuciłem się na drogą Patsy... a ona, mój anioł, pozwoliła mi na to... Leżała ze szczerze rozbawioną miną, kiedy ją rozbierałem. Ze wszystkich etapów najbardziej lubię właśnie ten: zdejmowanie kolejnych warstw — pończoch, butów, spódnic i halek. Z każdym kolejnym etapem wzrasta napięcie. Bo czy na koniec będzie tam ona sama? Odwieczne pytanie. Dłonie drżą przy rozpinaniu ostatniego rzędu guzików...

Ale oto i sama Patsy, błyszcząca, biała, dorodna.

— Mmm — mówi. Do samego końca nie przestaje mną dyrygować. — O to chodzi, bardzo dobrze, właśnie tak.

Sprawa zajęła nam więcej czasu niż zwykle — łóżko pana Cozzensa nigdy

nie wydało z siebie tak wielu skrzygnięć z tak wielu różnych zakamarków — a kiedy było już po wszystkim, poleżeliśmy trochę. Patsy położyła mi głowę na ramieniu, a potem, jak to miała w zwyczaju, zasnęła. Przez jakiś czas słuchałem jej równego oddechu, po czym delikatnie uniosłem jej głowę i wyślizgnąłem się z łóżka.

Pod oknem czekał na mnie dziennik Leroya Frya. Zapaliłem świecę, rozłożyłem kartki na kolanach, umieściłem na stole notatnik i znowu zabrałem się do rozsupływania długich splotów liter. Pracowałem już ponad półtorej godziny, kiedy poczułem na ramionach dłonie Patsy.

— Co jest w tej książce, Gus?

— O. — Odłożyłem pióro i energicznie potarłem twarz, zanim odpowiedziałem: — Słowa.

Wcisnęła kłykcie w napięte mięśnie nad moimi obojczykami.

— Dobre słowa?

— Nie bardzo. „Chociaż uczę się całkiem sporo o technikach artyleryjskich i raketach Congreve’a, to Boże Przenajświętszy, jakże chciałbym być z powrotem w domu, w Kentucky, gdzie zimno nie drapie tak w kości”. Zdziwiająca, jak nudny potrafi być pamiętnik.

— Nie mój — powiedziała Patsy.

— Twój... — Otworzyłem szeroko oczy. — Prowadzisz pamiętnik?

Po dłuższej chwili milczenia pokręciła głową.

— Ale gdybym prowadziła, to nie byłby nudny.

„Właściwie dlaczego nie miałyby tego robić?” — pomyślałem. Czy już teraz ze wszystkich stron nie otaczają mnie teksty? Poe z jego wierszami i prozą, profesor Pawpaw i jego notatnik, sierżant Locke i kolejny notatnik... nawet kapitan Hitchcock prowadził podobno dziennik. Pomyślałem o skrawku papieru w zaciśniętej pięści Leroya Frya i o rycinie przedstawiającej diabelski sabat, o gazetach na stole śniadaniowym Thayera i gazetach obok łokcia Ślepego Jaspera... Bo widzicie, wszystkie te teksty nie układały się w sensowną całość, jak można byłoby oczekiwać, lecz wymazywały się

nawzajem, aż w końcu żadne słowo nie było prawdziwsze od innego i wszystkich nas pochłaniała głęboka królicza nora ze słowami, które skrzeczały zgiełkliwie jak ptaki Pawpawa.

„Więc owszem — pomyślałem — jak najbardziej, Patsy. Prowadź pamiętnik”.

— Chcesz wrócić do łóżka? — szepnęła mi do ucha. — Mmm.

Na swoją obronę powiem, że rozważałem tę propozycję. Poważnie rozważałem. Ale na głupotę nie ma rady — postanowiłem nie ruszać się z krzesła.

— Zaraz przyjdę — obiecałem.

Tyle tylko, że zasnąłem na siedząco. A kiedy się obudziłem, było rano, Patsy już poszła, a w moim notatniku widniały słowa: „Dobrze się ubierz, Gus, jest bardzo zimno”.

Rzeczywiście było bardzo zimno — przez cały wtorek i wtorkowy wieczór.

W środę rano czwartoroczniak Randolph Ballinger nie wrócił z warty.

Natychmiast przystąpiono do poszukiwań, ale po dwudziestu minutach je zarzucono, ponieważ nad Highlands rozpętała się śnieżycyca. Zrobiło się potwornie zimno i wilgotno, nic nie było widać, konie i muły nie posuwały się do przodu, uzgodniono zatem, że poszukiwania zostaną wznowione, kiedy tylko pozwoli na to pogoda.

Ale pogoda nie pozwoliła. Twardy i ciężki śnieg padał przez cały dzień. Łaskotał dachy, stukotał w skrzynkowe okna z ołowianymi szybami, chrobotał o okapy i ściany. Padał i padał niestrudzenie, ciągle jednakowo gęsty. Przez cały ranek słuchałem, jak skrobie w rynsztokach niby wygłodniały bezpański pies, ale w końcu sobie uświadomiłem, że jeżeli nie zarzucę płaszcza i nie wyjdę na zewnątrz, to oszaleję.

Wczesnym popołudniem każdy skrawek ziemi jęczał już w śniegowej niewoli. Na obelisku kapitana Wooda, na mosiężnych osiemnastofuntówkach w parku artyleryjskim, na pompie wodnej za Koszarami Południowymi, na

rynnach kamiennych budynków przy Alejce Profesorów utworzyły się grube, kruche skorupy zamrożonego śniegu. Szron powlekał żwir alejek i oblepiał porosty skalne, a wielkie płachty śniegu zamienił w twarde jak kwarc legowiska. Konary cedrów ugięły się pod tym ciężarem i przybrały kształt wigwamów, które dygotały od każdego tchnienia wiatru. Prawdziwy był z niego demokrata: nie rozróżniał między kolorem niebieskim i szarym, uciszał wszystko, czego dotknął. Z wyjątkiem mnie. Moje stąpające mozolnie buty wydawały odgłos podobny do brzęku zbroi, przetaczając się z jednego końca West Point na drugi.

Chwiejnym krokiem wróciłem do pokoju i przez resztę popołudnia podrzemywałem w niekończącym się zmięczeniu. W okolicach godziny piątej obudziłem się z szarpnięciem i podbiegłem do okna. Śnieżycą ustała, cisza była ogłuszająca, a przez watę mgły zobaczyłem płynącą w dół rzeki pirogę, którą kierował wioślarz o nagich ramionach. Pospiesznie włożyłem spodnie, koszulę i płaszcz, po czym cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Kadeci powyłazili już ze swoich nor i stawali do apelu. Gołoledź zwielokrotniała odgłos ich kroków, zagłuszając dźwięk mojej wędrówki. Nie mam pewności, dlaczego poszedłem do Gee's Point. Przypuszczam, że zawiodła mnie tam ta sama myśl, która przyszła mi do głowy pierwszego dnia: że mogę po prostu iść przed siebie, podążać za rzeką do jakiegoś niezbadanego miejsca.

Usłyszałem za plecami skrzypienie kroków, a potem cichy i unizony głos:

— Pan Landor?

To był porucznik Meadows, czyli — cóż za zbieg okoliczności — ten sam oficer, który poprzednim razem towarzyszył mi w tym miejscu. Znajdował się teraz trzy metry za mną i przyjął taką pozycję, jakby się szykował do przeskoczenia rowu.

— Dobry wieczór — powiedziałem. — Mam nadzieję, że u pana wszystko dobrze.

— Przysłał mnie kapitan Hitchcock — odparł głosem suchym jak ptasie

pióro. — Rzecz dotyczy zaginionego kadeta.

— Ballingera znaleziono?

Zrazu nie odpowiadał. Najwyraźniej mu polecono, aby powiedział mi tylko tyle, ile potrzeba, ale jego milczenie zawierało w sobie pewną sugestię. Wypowiedziałem więc niegłówno słowa, których on nie chciał wypowiedzieć:

— Nie żyje. — Jedynym potwierdzeniem z jego strony było milczenie. — Powieszony? — Tym razem Meadows potwierdził ruchem głowy. — A serce? Czy serce zostało...

I wtedy wszedł mi w słowo tak brutalnie, jakby kroił mięso.

— Tak, serce zniknęło.

Może to mróz sprawił, że Meadowsa przeszedł dreszcz, a jego stopy zaczęły tańczyć. A może widział zwłoki.

Księżyc, który właśnie wschodził nad Breakneck Hill, okrył rzeźbę jego twarzy miękką gazą światła i ozłocił jego oczy.

— Jest jeszcze coś, czego pan mi nie mówi — odgadłem.

W zwyczajnych okolicznościach odwołałby się do swojej starej śpiewki: „Nie jestem upoważniony do udzielenia panu tej informacji, sir”. Ale widać było po nim, że chce mi powiedzieć. Na przemian otwierał i zamykał usta, by w końcu wyznać po wielkich zmaganiach:

— Na osobie pana Ballingera dokonano jeszcze jednej haniebnej zbrodni. — Za pomocą tego groteskowego sformułowania, pustego, oficjalnego, chciał się zapewne odgrodzić o tego wstrząsającego odkrycia. — Pan Ballinger — powiedział w końcu — został wykastrowany.

Zapadła cisza, przerywana jedynie odległym odgłosem chrzęszczącego pod butami kadetów zamarzniętego śniegu.

— Może powinien mnie pan tam zaprowadzić — powiedziałem.

— Kapitan Hitchcock wolałby, żeby spotkał się pan z nim tam jutro. Uważa, że o tej porze jest już za ciemno, żeby... żeby...

— ...obejrzeć miejsce zbrodni — dokończyłem za niego. — Gdzie są przechowywane zwłoki pana Ballingera?



— W szpitalu.

— Pod strażą?

— Tak.

— A o której godzinie kapitan chce się ze mną jutro spotkać?

— O dziewiątej rano.

— Dobrze. Brakuje mi już tylko informacji o miejscu. Gdzie mamy się spotkać?

Meadows zwlekał przez chwilę — zapewne dla lepszego oddania wymowności nazwy:

— Na Stony Lonesome<sup>9</sup>.

Owszem, w całym West Point jest niemało kamienia i samotności, ale kiedy patrzysz z hotelu pana Cozzena lub stoisz na Redoubt Hill, przynajmniej masz przed sobą rzekę i związaną z nią obietnicę wolności. Tymczasem kiedy wyprawisz się na Stony Lonesome, zostawisz za sobą wszelkie oznaki ludzkiego osadnictwa i towarzyszyć ci będą jedynie drzewa, wąwozy, może cichy szum strumienia i oczywiście wzgórza, które zasłaniają światło. Wzgórza zewsząd cię otaczają, przez co czujesz się jak więzień. Jak słyszałem, po dwugodzinnej służbie wartowniczej niektórzy kadeci mają poczucie, że nigdy nie opuszczą tego miejsca.

Jeśli poczucie to ogarnęło również Randolpha Ballingera, to nie mylił się.

Poszukiwania wznowiono, kiedy tylko ustała śnieżycy. Nikt nie sądził, że śnieg zacznie topnieć równie szybko, jak spadł. Ciemne chmury rozwiały się jak zły sen i było kilka minut po czwartej, kiedy dwóch żołnierzy, którzy maszerowali z powrotem do kwatery komendanta złożyć sprawozdanie, zatrzymał hałas, który przypominał skrzypienie tysiąca zawiasów.

Pobliska brzoza zrzuciła z siebie płaszcz szronu, rozchyliła gałęzie i ukazała przycupnięte w środku jak słupek kwiatu nagie ciało Randolpha Ballingera.

Szronowa skóra okalała go i przykuwała jego ramiona do boków, ale nie uchroniła go przed lekkim kołysaniem się na wietrze.

Kiedy porucznik Meadows mnie tam zaprowadził, Ballinger był już zdjęty, a gałęzie, które wcześniej go osłaniały, dźwignęły się na pierwotną wysokość i w całości widać było sznur, który kończył się gdzieś w okolicach mojej klatki piersiowej. Sztywny, szczeciniasty i trochę krzywy, jakby jakiś magnes odciągał go od pionu.

Z gałęzi spadał topniejący szron — grudkami i nieregularnych kształtów taflami — a słońce zalewało ziemię tak oślepiającym blaskiem, że dało się patrzeć tylko na wciąż w pełni ulistnione rododendrony, które jako jedyne nie odbijały światła.

— Dlaczego brzoza? — Hitchcock wytrzeszczył zdziwiony oczy. — Przepraszam, kapitanie, ale pomyślałem sobie, dlaczego ktoś użył drzewa o tak cienkich gałęziach, skoro chciał kogoś na nim powiesić. Dlaczego gałęzie brzozy, a nie dębu czy kasztanowca.

— Może dlatego, że są bliżej ziemi.

— Tak, to chyba ułatwiłoby sprawę.

— Ułatwiłoby — zgodził się Hitchcock.

Widać było po nim, że osiągnął kolejne stadium wyczerpania. Stadium, w którym puchną powieki i opadają uszy. Stadium, w którym wrastasz w ziemię, bo masz do wyboru tylko stać prosto jak struna albo upaść.

Pochlebiam sobie, że tamtego przedpołudnia byłem dla niego bardzo miły. Dałem mu szereg sposobności do udania się do swojej kwatery, gdzie miałby mnóstwo miejsca na zebranie myśli. A kiedy potrzebował, żebym powtórzył jakieś pytanie, robiłem to tyle razy, ile sobie zażyczył. Pamiętam, że kiedy zapytałem, co odróżnia stan ciała Randolpha Ballingera od stanu ciała Leroya Frya, spojrział na mnie takim wzrokiem, jakbym pomylił go z kimś innym.

— Był pan przy znalezieniu obu ciał — wyjaśniłem. — Ciekaw jestem, co sprawiło, że to ciało wygląda inaczej.

— Och — wydusił w końcu. — Och, nie. To ciało... — Wpatrywał się w gałęzie. — No więc najpierw zwróciłem uwagę, o ile wyżej wisi. W stosunku do Frya.

— Czyli jego stopy nie dotykały ziemi?

— Nie. — Zdjął czapkę i po chwili założył ją z powrotem. — Tym razem nie było żadnego kamuflażu. Ballinger był już okaleczony, kiedy go znaleziono. To oznacza, że najpierw go zabito i pokrojono, a dopiero potem powieszono.

— Czyli raczej nie ma możliwości, aby rany zadano...

— Później? Nie. — Trochę się ożywił. — Na tej wysokości byłoby to prawie niewykonalne. Nie dałoby się utrzymać ciała w bezruchu. — Nacisnął kciukami oczy, żeby się nie zamykały. Człowiek z takimi obrażeniami nie powiesi się sam na drzewie, to jasne jak słońce. Hipotezę samobójstwa można z miejsca odrzucić. — Z lekko rozchyłonymi ustami przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drzewo, a potem coś sobie przypomniał: — Jesteśmy dobre trzysta metrów od posterunku Ballingera. Nie wiemy, czy przyszedł tutaj z własnej woli ani czy w ogóle żył, kiedy się tutaj znalazł. Być może przyszedł na własnych nogach, a być może go przywleczono. Śnieżyca, rozumie pan. — Pokręcił głową. — Wszystkie ślady zatarte. Wszędzie błoto i śnieg, przewaliły się tędy dziesiątki żołnierzy. Wszędzie ślady stóp, ale nie sposób odróżnić jedne od drugich.

Objął pień brzozy ramieniem i osunął się o dobre trzydzieści centymetrów.

— Kapitanie — powiedziałem. — Tak bardzo mi przykro. Mam świadomość, jaki to musi być dla pana cios.

Nie wiem dlaczego, ale poklepałem go leciutko po ramieniu. Znasz ten gest, Szanowny Czytelniku. Ludzie pocieszają w ten sposób innych — czasami są zdolni tylko do tego. Hitchcock przyjął to inaczej. Gwałtownie szarpnął ramieniem i obrócił się do mnie blady z wściekłości.

— Nie, panie Landor! Nie ma pan pojęcia, jaki to dla mnie cios! Pod moim nadzorem z niedocieczonych powodów zamordowano dwóch kadetów i zbezczeszczono ich zwłoki. A my przez miesiąc ani o krok nie przybliżyliśmy się do znalezienia potwora, który to zrobił.

— Przesadza pan, kapitanie, myślę, że się przybliżyliśmy — powiedziałem,

wciąż w trybie otuchy. — Zawężiliśmy pole poszukiwań i sprawy szybko idą do przodu. Tak, sądzę, że to tylko kwestia czasu.

Nastroszył się i pochylił głowę. Z jego mocno zaciśniętych ust wyszły ciche, ale zrozumiałe słowa:

— Cieszę się, że przynajmniej pan tak uważa.

Uśmiechnąłem się i splotłem ręce na piersiach.

— Zechciałby pan wyjaśnić tę uwagę, kapitanie?

Zmroził mnie wzrokiem.

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, panie Landor, że pułkownik Thayer i ja mamy poważne wątpliwości, czy pańskie śledztwo posuwa się do przodu.

— Doprawdy?

— Byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybym się mylił. Ma pan teraz doskonałą sposobność do tego, aby powiedzieć coś na swoją obronę. Może mi pan powie, czy znalazł pan więcej dowodów na praktyki satanistyczne na terenie jednostki.

— Nie, nie znalazłem.

— A znalazł pan rzekomego oficera, który kazał szeregowemu Cochrane'owi odstąpić od zwłok Leroya Frya?

— Jeszcze nie.

— A czy w ciągu prawie tygodnia od momentu, kiedy wszedł pan w posiadanie dziennika pana Frya, znalazł pan chociaż jedną przydatną poszlakę?

Poczułem, jak mięśnie wokół oczu mi się napinają.

— Niech pomyślę, kapitanie. Wiem, ile razy dziennie Leroy Fry pieścił swoje przyrodzenie. Wiem, że lubił kobiety z ciężkimi pośladkami. Wiem, jak bardzo nie znosił pobudki, geometrii analitycznej... i pana. Czy coś z tego się przyda?

— Chodzi mi o to, że...

— Chodzi panu o to, że nie mam dostatecznych do tego śledztwa kompetencji. I może nigdy nie miałem.

— Nie kwestionuję pańskich kompetencji. Chodzi o pańską lojalność.

Dźwięk był tak cichy, że w pierwszej chwili nie umiałem zlokalizować jego źródła. Potem zrozumiałem: to było zgrzytanie moich zębów.

— Znowu jestem zmuszony poprosić pana o wyjaśnienie, kapitanie.

Przez dłuższą chwilę badał mnie wzrokiem. Zastanawiał się zapewne, jak daleko może się posunąć.

— Podejrzewam, panie Landor...

— Tak?

— ...że kogoś pan chroni.

Roześmiałem się — nie znalazłem innej odpowiedzi. Bo przecież to było nader zabawne, prawda?

— Chronię kogoś? — powtórzyłem.

— Tak.

Uniosłem ramiona i zawołałem:

— Kogo?! — Słowo to uleciało w stronę najbliższego wiązu i zagrzecotało w jego gałęziach. — Kogo w tym zapomnianym od Boga miejscu miałbym niby chronić?

— Może przyszła pora porozmawiać o panu Poem.

Poczułem w brzuchu mały węzeł. Wzruszyłem ramionami, udając bezbrzeżne zaskoczenie.

— A to dlaczego, kapitanie?

— Zacznijmy od tego — odparł, spoglądając na swoje buty — że wedle mojej wiedzy pan Poe jest jedynym kadetem, który kiedykolwiek groził panu Ballingerowi śmiercią.

Uniół głowę w samą porę, aby zobaczyć wyraz zaskoczenia na mojej twarzy. Powiem tak: w uśmiechu, którym mnie wtedy obdarzył, nie było niczego okrutnego. Dostrzegłem w nim raczej pokrętne współczucie.

— Naprawdę pan sądzi, że Poe zwierza się tylko panu, panie Landor? Nie dalej jak wczoraj przy kolacji niezwykłych współbiesiadników heroicznymi opowieściami o swoich epickich zmaganiach z panem Ballingerem. Jeśli

wierzyć jego słowom, to Hektor i Achilles mogliby mu pozazdrościć mężności. Co ciekawe, zakończył swoją relację oświadczeniem, że ma zamiar zabić pana Ballingera, jeśli znowu im się zdarzy skrzyżować miecze. Jego audytorium nie dosłuchało się w jego słowach żadnych dwuznaczności.

Rzeczywiście, pomyślałem, po raz kolejny przypominając sobie słowa, które usłyszałem od Poego na placu apelowym. Trudno się w nich było dopatrzeć charakteru metaforycznego. „Zabiję go... Zabiję go...”

— Proszę posłuchać — powiedziałem. — Poe nie pierwszy raz wygłasza takie głupie groźby. Ma to w naturze.

— Ale pierwszy raz wskazaną przez niego ofiarę w ciągu doby od wypowiedzenia przez niego groźby znaleziono martwą.

Temu człowiekowi nie dało się zamydląć oczu. Hitchcock trzymał się swojego zdania jak skóra trzyma się kości. Może dlatego do mojego głosu wkradły się nuty desperacji.

— Widział pan Poego, kapitanie. Niech pan będzie szczery, czy takie chuchro potrafiłoby obezwładnić Ballingera?

— Nie byłoby takiej potrzeby. Broń palna załatwiłaby sprawę, nie sądzi pan? Albo atak z zaskoczenia. Może powinniśmy zapomnieć o Achillesie i Hektorze, a pomyśleć o Dawidzie i Goliacie.

Zaśmiałem się i podrapałem po głowie. „Czas” — pomyślałem. „Musisz zyskać na czasie”.

— Jeśli mamy poważnie rozważyć pańską teoryjkę, kapitanie, to będziemy zmuszeni przyznać, że jest pewien problem. Niezależnie od tego, jakie były stosunki między Poem a Ballingerem, nic nie wiadomo o żadnych związkach między Poem a Leroyem Fryem. Przecież oni w ogóle się nie znali.

— Ależ oczywiście, że się znali!

Jakże byłem głupi, sądząc, że Hitchcock ma do zagrania tylko jedną kartę, podczas gdy w rękawie tego nieskazitelnie czystego munduru trzymał ich całą talię.

— Właśnie dostałem informację — powiedział — że podczas obozu

letniego Poe i Fry mieli małą utarczkę. Wygląda na to, że pan Fry, zwyczajem większości starszych kadetów, postanowił wraz z dwoma kompanami zakpić sobie z pana Poego, który podobno tak się obraził, że rzucił muszkietem prosto w pana Frya — bagnetem do przodu! Zabrakło kilkunastu centymetrów, aby poważnie zranił pana Frya w nogę. Więcej niż jedna osoba słyszała wtedy, jak pan Poe mówi, że nie ścierpi tego, aby ktokolwiek — *ktokolwiek* — bawił się jego kosztem. — Kapitan pozwolił mi oswoić się z tą nowiną, po czym dodał łagodniejszym tonem: — Mam słuszość, sądząc, że nie raczył się panu z tego zwierzyć?

Tego dnia nie miałem szans na zwycięstwo w rozgrywce z kapitanem. W najlepszym razie mogłem liczyć na remis.

— Proszę wezwać jego współlokatorów — zasugerowałem — i zapytać, czy w noc zabójstwa Ballingera Poe opuścił swoją kwaterę.

— A jeśli powiedzą, że nie, czego to będzie dowodziło? Tylko tego, że mają mocny sen.

— No to niech go pan aresztuje — rzuciłem, siląc się na obojętność. — Niech go pan aresztuje, jeśli jest pan pewny swego.

— Jak dobrze panu wiadomo, panie Landor, nie wystarczy wykazać motywu. Musimy również znaleźć bezpośrednie dowody. Obawiam się, że ja żadnych nie widzę, a pan?

Kiedy tak staliśmy i rozmawialiśmy, od gałęzi magnolii odkleiła się tafła zamrożonego śniegu i z hukiem wylądowała zaledwie dwa metry od nas. Hałas spłoszył stado wróbli, które siedziały na pobliskim białym dębie. Oszalałe od połyskliwego migotania lodu, rzuciły się na nas jak rój pszczoł.

— Kapitanie — powiedziałem — chyba pan nie wierzy, że nasz mały poeta jest mordercą?

— Dziwię się, że mi pan zadaje to pytanie. Należałoby sądzić, że to pan najlepiej zna odpowiedź. — Z nieodgadnioną miną zbliżył się do mnie o krok. — Proszę mi powiedzieć, panie Landor, czy *pański* mały poeta jest mordercą?

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

*27 listopada*

Najmocniej przepraszam, panie Landor, za opóźnienie w złożeniu raportu. Związany ze śmiercią Ballingera stan najwyższego pogotowia wytworzył klimat skandalu, który sprzyja najobrzydliwszym plotkom i najpodlejszym domysłom, skutkiem czego każdy mój ruch jest bacznie obserwowany. Gdybym miał bardziej łatwowierną naturę, może uległbym przypuszczeniom, że ja sam stoję pod podejrzeniem — tak, ja! — bo niektórzy koledzy patrzą na mnie z dziwnymi minami, kiedy ich mijam.

Ach, jakież ludzki język potrafi odpowiednio oddać przerażenie, które mnie ogarnęło na wieść o brutalnym końcu doczesnego żywota Ballingera? Na wieść o tym, że łajdak, który był dla mnie nieustanną udręką, tak skutecznie — i tak zatrwajająco nagle — zniknął z tego łoż padołu! Za każdym razem, kiedy próbuję rozważyć konsekwencje tego rozwoju wydarzeń, stwierdzam, że nie potrafię. Bo skoro morderca unicestwił kogoś tak blisko związanego z rodziną Marquis, co mu przeszkodzi w skierowaniu swoich diabelskich knowań w stronę Artemusa, a nawet — widzi pan, jak drży mi ręka, panie Landor? — przeciwko naczyniu dla mojej duszy? Daj Boże, aby nasze śledztwo przyspieszyło...

Tymczasem, panie Landor, zapalczywa zbiorowa histeria w korpusie kadetów przekracza wszelkie granice. Niejeden kolega mówi, że śpi z bagnetem. Obdarzeni większą wyobraźnią sugerują, że zabójcy Frya i Ballingera to wcielenia duchów przodków Indian, które przybyły pomścić ich zagładę przez rasę europejską. Pan Roderick, wyjątkowo kiepsko myślący drugorocznik,



twierdzi, że był świadkiem, jak taki właśnie duch przechadzał się Promenadą Samotnych Serc i ostrzył w dziupli wiązu tomahawk.

Wieść niesie, że pan Stoddard zwrócił się do pułkownika Thayera z petycją o odwołanie reszty semestru — w tym egzaminów końcowych — ponieważ prawie jest niemożliwe, aby drżący o własne życie kadeci przykładali się do nauki z wystarczającym zapałem i wytrwałością.

Z jakimż obrzydzeniem patrzę na tych tchórzy i ich niemęskie pochlipywanie! Jak oni wytrzymają próbę ognia, w warunkach *sauve qui peut* i lejącej się na wszystkie strony krwi? Do kogo się zgłoszą o odwołanie bojowego egzaminu końcowego? Nie wróży to armii amerykańskiej najlepiej, panie Landor.

Nasi zwierzchnicy poszli wobec nas na jedno ustępstwo. Na wieczornym apelu ogłoszono podwojenie obsady wartowniczej, dzięki czemu żaden kadet nie wyruszy teraz na posterunek bez towarzysza broni u boku. W zwyczajnych okolicznościach tego rodzaju dekret przypuszczalnie wywołałby nieopisane oburzenie, ponieważ wymaga od nas dwakroć częstszego stawiania się na wartę. W korpusie wykiełkował jednak tak wielki strach, że każdy żołnierz uważa to brzemię za błogosławieństwo, bo czuje się odrobinę bezpieczniej.

Chwytam za pióro przede wszystkim po to, panie Landor, aby powiadomić pana o pewnych wydarzeniach związanych z Leą i Artemusem. Dziś po południu, znajdując się w stanie poruszenia i mając do dyspozycji kilka minut, natychmiast udałem się do domu Marquisów i stwierdziłem z ulgą, że los Ballingera nie naraził kobiecej wrażliwości Lei na zbyt wielki szwank.

Zapukałem do drzwi ze znajomym haftem „Witajcie, synowie Kolumbii”, lecz z wielką konsternacją stwierdziłem, że nikogo nie ma w domu — to znaczy oprócz Eugénie, służącej. Zastanawiałem się, co dalej począć, kiedy wyrwały mnie z zamyślenia niewyraźne głosy. Ustaliłem ich źródło — dochodziły z głębi ogródka Marquisów. Po chwili wahania poszedłem za róg

kamiennej rezydencji i natychmiast zobaczyłem Leę i jej brata Artemusa, którzy prowadzili ożywiony dialog.

Byli tak bardzo pochłonięci rozmową, że zaryzykowałem i schowałem się niezauważony za pobliską jabłonią, skąd dało się słyszeć większość wypowiedzianych przez nich słów.

Och, Landor, nie wolno panu sądzić, że szpiegowałem ukochaną bez najmniejszych skrupułów. Przeciwnie, wielokroć postanowiłem opuścić prywatną sferę ich konwersacji, ale za każdym razem przypominałem sobie o moich zobowiązaniach wobec pana, drogi panie Landor, jak również — tak! — wobec Akademii. Jeśli zatem wytrwałem, to dla pana. I tylko ze względu na pana — a nie z wrodzonej ciekawości — żałowałem, że drzewo nie stoi trzy metry bliżej. Rodzeństwo Marquisów generalnie starało się utrzymać wymianę zdań na poziomie szeptu. Mówię „starało się”, bo jak sam pan wie, ludzki głos nie pozwala długo nakładać sobie takich hamulców. Jakiś wewnętrzny mechanizm regulacyjny popycha go okresowo w stronę bardziej naturalnego rejestru, w którym głos, chociaż nadal cichy, w okamgnieniu staje się zrozumiały, podobnie jak sporadyczne wystąpienie w rozmowie obcokrajowców znajomego słowa lub zwrotu może wyjawiać znaczenie całego zdania nawet osobie słabo znającej dany język. Pozwoliło mi to lepiej lub gorzej wyłapać różne wątki rozmowy, lecz nie wystarczająco wiele, abym potrafił z nich utkać jednolity gobelin.

Od razu się zorientowałem, że tematem rozmowy jest tragiczny zgon pana Ballingera, ponieważ Artemus wielokrotnie wspominał o „Randym”, a także oznajmił: „Mój Boże, to był mój najlepszy... mój najdroższy przyjaciel”. Ton Artemusa oceniłbym jako bardziej zrozpaczony niż ton Lei, która wypowiadała się jak zawsze spokojnie i pogodnie — aż do chwili, kiedy w odpowiedzi na jedno z wyszeptanych zwierzeń brata spytała wznoszącym się stromo głosem (wskazującym na to, że sprawa jest najwyższej wagi):

— *Kto jeszcze?*

— *Kto jeszcze?* — powtórzył po niej równie głośno Artemus.

Od tego momentu dialog ponownie ucichł do szeptów, a słowa, które wymykały się z ich kręgu, były albo zbyt nikłe, albo zbyt niewyraźne, aby je zrozumieć.

Zdarzyła się jednak krótka wymiana zdań, podczas której emocje znowu rozgorzały, a głosy przekroczyły — ledwo ledwo! — próg słyszalności.

— Sam mówiłeś, że jest słaby — powiedziała Lea. — Że jest zdolny...

— I może rzeczywiście jest — przerwał jej Artemus. — To nie...

Kolejne niewyraźne słowa... kolejne szepty... kolejne eufemizmy i zawoalowane uwagi... a potem Artemus po raz pierwszy przemówił do swojej siostry w taki sposób, jakby w najmniejszym stopniu nie obawiał się przyczajonego w pobliżu niedyskretnego ucha.

— Moja kochana — powiedział. — Mój skarbie!

Rozmowa ustała i kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem między gałęziami, że padają sobie w ramiona. Nie umiałem rozpoznać, kto pociesza, a kto jest pocieszany. Z węzła gordyjskiego ich ciał nie mógł uciec żaden dźwięk, żadne słowo, żadne westchnienie. Mogę tylko przekazać, że ten braterski uścisk zaskakiwał zarówno swoją żarliwością, jak i długością. Upłynęły dwie albo trzy *minuty*, zanim postanowili się rozdzielić, a i to wyłącznie dlatego, że odgłos zbliżających się kroków przywołał ich do rzeczywistości.

To była Eugénie, służąca, która zmierzała w stronę pompy — nie z misją szpiegowską, ale w zbożnym i prozaicznym celu napełnienia wiadra wodą. Że nie zostałem natychmiast nakryty, zawdzięczam Opatrzności (a może półzwierzęcemu otępieniu, z jakim Eugénie wykonywała swoje zadanie), bo chociaż nadal byłem ukryty przed Artemusem i Leą, jedno zerknięcie służącej mogło nagle przeniknąć moją roślinną zasłonę. Eugénie dźwigała jednak swoje brzemie, nie zwracając uwagi na nic, co jej nie dotyczyło. Zanim dotarła do wyznaczonego celu, wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi Artemus i Lea *zniknęli*. Nie widziałem już sensu w dalszym ukrywaniu się, a możliwość posłuchania czegoś jeszcze zmalała prawie do zera, toteż

wymknąłem się z ogrodu i wróciłem do swojej kwatery, gdzie oddałem się rozmyślaniom — zasadniczo bezowocnym — o tej niezwyklej schadzce.

Będzie pan wkrótce „w domu”, panie Landor? Nie ulegam gorączce, która mnie otacza, ale przyznaję, że ogarniają mnie prawie zupełnie obce mojej naturze nerwowe lęki. Moje myśli tworzą kanały, które prowadzą prosto do Lei — bo do kogóż by innego? Raz za razem przebiegam wzrokiem *ten wiersz*, którym pan gardzi, a z którego ja wyczytuję tak wielkie niebezpieczeństwa. Jakże żarliwie modłę się o to, aby ten, który wybrał mnie na swoje medium, jak najszybciej uczynił mnie Edypem swoich sfinkswych zagadek. Przemów do mnie! Przemów do mnie, dziewczyno o błękitnych oczach!

# Opowieść Gusa Landora

22

*Od 28 listopada do 4 grudnia*

Po skończonej lekturze najnowszego odcinka dzieła Poe'go poszedłem do Ogrodu Kościuszki i pod umówionym kamieniem zostawiłem wiadomość, w której poprosiłem go, by po niedzielnym nabożeństwie spotkał się ze mną w moim pokoju hotelowym. Przyszedł, ale nie przywitałem się z nim i nie mówiłem ani słowa, pozwoliłem, aby wezbrała wokół nas cisza — aż w końcu drżenie jego rąk stało się dla nas obu nie do wytrzymania.

— Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan spędził noc z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego listopada? — spytałem.

— Chodzi panu o noc, w którą zabito Ballingera? Byłem oczywiście w moim pokoju. A gdzież miałbym być?

— Zakładam, że pan spał.

— Och! — Jego twarz wykrzywił koślawy uśmiezek. — Jak miałbym spać, panie Landor? Skoro mój umysł w każdej sekundzie kłębi się od myśli o tej... o tej drogiej istocie, urodziwszej nad baśniowe hurysy...

Może zdecydowało o tym moje przełknięcie śliny, a może surowe spojrzenie — w każdym razie nagle urwał i przyjrzał mi się ponownie.

— Sprawia pan wrażenie rozgniewanego, panie Landor.

— Można to tak określić.

— Czy jest coś... Czy mógłbym coś dla pana...?

— Tak, mógłby pan. Mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego mnie pan okłamał. Jego policzki nabrzmiały jak skrzela.

— Ależ panie Landor, chyba pan nie sądzi...

Przerwałem mu ruchem dłoni.

— Kiedy zaproponowałem panu, aby został pan moim asystentem, twierdził pan, że nigdy nie miał pan żadnych związków z Leroyem Fryem.

— No, to jest... To jest może nie całkiem...

— Musiałem dowiedzieć się prawdy od kapitana Hitchcocka. Może pan sobie wyobrazić moje zakłopotanie. Widzi pan, raczej nie mam zwyczaju prosić kogoś o zbadanie przestępstwa, jeśli zachodzi choć cień podejrzenia, że to on je popełnił.

— Ale ja nie...

— Zanim pana wyrzucę na zbity pysk, panie Poe, dam panu jeszcze jedną szansę na odzyskanie dobrego imienia. Proszę powiedzieć mi prawdę: znał pan Leroya Frya?

— Tak.

— Rozmawiał pan z nim?

Lekkie zawahanie.

— Tak.

— Zabił pan Leroya Frya?

Pytanie to długo wisiało w powietrzu, zanim zrozumiał jego sens. Z oszołomionym wyrazem twarzy pokręcił głową.

— Zabił pan Randolpha Ballingera? — Kolejne zaprzeczenie ruchem głowy. — Miał pan coś wspólnego ze zbezczeszczeniem ich ciał?

— Nie! Niech mnie piorun strzeli, jeśli...

— Nie zaprzeczy pan chyba, że groził im obu?

— Widzi pan... Co się tyczy Ballingera, to było... — Zwieszone po bokach ramiona lekko zadrżały. — Żółć przeze mnie przemówiła. Nie myślałem tego, co mówiłem. Co się zaś tyczy Leroya Frya, to przecież... — Pierś mu wezbrała jak u gołębia. — Nigdy mu nie groziłem, ja mu tylko... wyjaśniłem, jakie przysługują mi prawa jako mężczyźnie i żołnierzowi. Nasze drogi się rozeszły i już nigdy nie zaprzętał moich myśli.

Zwęziłem oczy do wielkości dziurek na guziki.

— Panie Poe — powiedziałem — musi pan przyznać, że wyłania się z tego

bardzo niepokojący schemat: mężczyźni, którzy w jakiś sposób wchodzą panu w drogę, kończą z pętlą na szyi, a w ich ciałach brakuje bardzo ważnych organów.

Znowu wydał pierś, ale chyba coś mu w środku pękło, bo nie osiągnęła tak imponujących rozmiarów jak za pierwszym razem. Przechylił lekko głowę i powiedział cichym, zmęczonym głosem:

— Panie Landor, gdybym miał zabijać każdego kadeta, który mnie obraził bądź źle potraktował podczas krótkiego okresu moich studiów, to korpus liczyłby mniej niż tuzin żołnierzy. A nawet ci nie byłiby zupełnie bezpieczni.

Ach, Szanowny Czytelniku, znasz tę sytuację: walczysz z kimś na ubitej ziemi, raz po raz kłujesz go lancą, a tu nagle, bez uprzedzenia, twój adwersarz zrzuca zbroję — jakby chciał powiedzieć „oto jestem” — i natychmiast pojmujesz, że cała potyczka od początku nie miała sensu, bo przeciwnikowi zadano już tysiące ran.

Poe opadł na fotel bujany i przyjrzał się uważnie swoim paznokciom. Znowu zgęstniała wokół nas cisza.

— Jeśli chce pan wiedzieć — powiedział — jestem obiektem żartów od pierwszego dnia pobytu tutaj. Moje zachowanie, moja osoba, moja *estetyka*, panie Landor — wszystko, co jest we mnie najczystsze i najprawdziwsze, traktuje się z pogardą i rozbawieniem. Nawet gdyby pozwolono mi żyć tysiąc razy, nie pomściłbym ani ułamka krzywd, które mnie tutaj spotkały. Człowiek taki jak ja... — Urwał. — Człowiek taki jak ja szybko zarzuca wszelkie myśli o odwecie i zadowala się ambicjami, pnie się w górę, panie Landor. Tylko w tym znajduje pocieszenie. — Spojrzał na mnie z grymasem na twarzy. — Zdaję sobie sprawę, że mówię dużo niepotrzebnych rzeczy. Z pewnością można mi zarzucić bardzo wiele grzechów: opilstwo, wzloty fantazji, ale na pewno nie to, na pewno nie morderstwo. — Wwiercał się we mnie wzrokiem, sondował mnie jak nigdy przedtem. — Wierzy mi pan, panie Landor?

Zaczerpnąłem tchu. Spojrzałem na sufit, potem znowu na niego, po czym z dłońmi splecionymi za plecami obszedłem pokój dookoła.

— Oto w co wierzę, panie Poe. Wierzę, że powinien pan bardziej uważać na to, co pan mówi i robi. Podoła pan? — Ledwo dostrzegalnie skinął głową. — Przez jakiś czas prawdopodobnie uda mi się powstrzymać kapitana Hitchcocka i resztę ogarów. Ale jeśli jeszcze raz mnie pan okłamie, panie Poe, będzie pan zdany na siebie. Mogą pana zakuć w kajdany, a ja nie kiwnę palcem w pana obronie, rozumie pan? — Znowu skinął głową. — Dobrze — powiedziałem i rozejrzałem się po pokoju. — Nie mam pod ręką Biblii, więc przysięga będzie musiała zostać złożona między nami. Ja, Edgar A. Poe...

— Ja, Edgar A. Poe...

— Uroczyście przysięgam mówić prawdę...

— Uroczyście przysięgam mówić prawdę...

— Tak mi dopomóż, Landor.

— Tak mi dopomóż... — Śmiech złapał go w pół zdania. — Tak mi dopomóż, Landor.

— Czyli mamy to już za sobą. Może pan iść, panie Poe.

Wstał. Zrobił pół kroku w stronę drzwi, a potem, chyba ku własnemu zaskoczeniu, odwrócił się. Policzki mu się zarumieniły, a na ustach wykwitł nieśmiały uśmiech.

— Miałby pan coś przeciwko temu, panie Landor, gdybym został chwilę?

Nasze spojrzenia spotkały się na sekundę, ale była to bardzo długa sekunda. Dla niego za długa: odwrócił się do okna i mamrotał do mroźnego powietrza.

— Bez szczególnego celu — wyjaśnił. — Nie mam nic... szczególnie istotnego, co mogłoby się panu przydać w śledztwie, tylko po prostu... Czuję się w pana towarzystwie lepiej niż przy kimkolwiek innym — oczywiście poza *nią*. A ponieważ z nią w tej chwili być nie mogę, to z braku... — Pokręcił głową. — Obawiam się, że słowa mnie dzisiaj zawodzą.

Mnie też zawodziły, ale tylko przez krótką chwilę. Pamiętam, że patrzyłem wszędzie, tylko nie na niego.

— Jeśli chce pan zostać — powiedziałem z udawaną obojętnością — to proszę bardzo. Mnie samemu brakuje w ostatnich czasach towarzystwa.



Może... — skierowałem się ku mojej małej kryjówce pod łóżkiem — ... miałby pan ochotę na kropelkę Monongaheli?

Nie sposób było tego nie zauważyć: w jego oczach pojawiło się światełko nadziei. W moich przypuszczalnie też. Obaj byliśmy mężczyznami, którzy potrzebowali ukoić ból duszy.

I tak oto wzlecieliśmy na kolejny poziom zażyłości: na alkoholowych wyziewach. Piliśmy podczas każdej jego wizyty, a w tym pierwszym tygodniu przychodził co wieczór. Wymykał się z Koszar Południowych i szedł przez plac apelowy do mojego hotelu. Obierał różne trasy, ale kiedy już dotarł pod drzwi mojego pokoju, rytuał zawsze przebiegał tak samo. Poe pukał — tylko raz — a następnie napierał na drzwi tak zdecydowanym ruchem, jakby odsuwał na bok ciężki gład. Szklanka już na niego czekała. Siadaliśmy — czasem na meblach, czasem na podłodze — i rozmawialiśmy.

Rozmawialiśmy przez wiele godzin z rzędu. Prawie nigdy — wyznaję — o śledztwie. Uwolnieni od tego ciężaru, mogliśmy podążać w dowolnym kierunku, dyskutować na każdy temat. Czy Andrew Jackson popełnił przed laty błąd, przeładowując broń podczas pojedynku z Dickinsonem? Poe zawyrokował, że tak; ja stanąłem po stronie Jacksona. A ten adiutant Napoleona, który popełnił samobójstwo, bo nie mógł się doczekać awansu? Poe uznał go za człowieka szlachetnego, a ja za osła. Jaki kolor najbardziej pasuje brunetce? Ja: czerwony. Poe: bakłażanowy. (Spieraliśmy się też o to, czy Irokezi są bardziej zaciekli niż Navaho, czy pani Drake najlepiej wypada w komedii, czy w tragedii i czy pianoforte jest bardziej wyraziste niż klawikord).

Pewnego wieczoru musiałem bronić stanowiska, że nie posiadam duszy. Nawet nie wiedziałem, że tak brzmi moje stanowisko, dopóki go nie wygłosiłem, ale tak właśnie bywa, kiedy dwaj mężczyźni negocjują z mrokiem rozejm: obierają jakąś linię i podążają wzdłuż niej aż do końca. Powiedziałem Poemu, że wszyscy jesteśmy tylko zlepkami atomów, które

zderzają się ze sobą, odskakują, znowu się zderzają i wreszcie zatrzymują. Niczym więcej.

Przeciwwstawił temu serię argumentów metafizycznych. Żaden z nich do mnie nie przemawiał. W końcu, doprowadzony do desperacji, zaczął machać rękami.

— Ona istnieje, mówię panu! Pańska dusza, pańska *anima*, ona istnieje. Owszem, trochę zardzewiała, bo jej pan nie używa, ale widzę ją, panie Landor, czuję ją.

Ostrzegł mnie, że moja dusza kiedyś się objawi i spojrzy mi prosto w twarz, a ja zrozumielem swój błąd. Tylko że będzie już za późno!

Mogliśmy polemizować w tym duchu godzinami. Trzeba jednak przyznać, że Monongahela skutecznie oliwiła nam języki. Czując w sobie jej chłodny ogień, czasami potrafiłem odpuścić i z ulgą słuchać dygresji Poego: o pięknie i prawdzie, o hybrydyzacji transkategorialnej, o *Études de la nature* Saint-Pierre'a — ach, teraz aż mnie głowa boli, kiedy o tym wszystkim pomyślę, ale wtedy przelatywało mi to przez czuprynę jak orzeźwiający wietrzyk.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się stało, ale w pewnym momencie przestaliśmy mówić do siebie per „pan”. Do diabła z regułami grzecznościowymi, ja stałem się dla niego „Landorem”, a on dla mnie „Poem”. Brzmiało mi to jak dwóch starych kawalerów, którzy wynajmują sąsiednie pokoje — dwaj nieszkodliwi wariaci przejadają resztki rodzinnych fortun, bezustannie pogrążeni w spekulacjach na przeróżne tematy. Co prawda nigdy nie znałem nikogo, kto by tak robił, chyba że w książkach, więc z czasem zacząłem się zastanawiać nad książką, którą razem pisaliśmy. Jak długo to jeszcze potrwa? Czy w pewnym momencie nie wkroczy wojsko? Czy przełożeni nie złapią kadeta Poego którejś nocy podczas powrotu do koszar? Nie zastawią na niego pułapki, tak jak kiedyś Ballinger? A przynajmniej nie zaczną zadawać mu pytań?

Poe podszedł do tej kwestii z typową dla siebie nonszalancją, ale słuchał z ciekawioną, kiedy go poinformowałem, że jest młody kadet, który nie

pogardzi drobnymi, lecz regularnymi sumami pieniędzy. Następnego ranka, z moim błogosławieństwem, zaniósł kadetowi Cochrane'owi garść drobniaków i od tego wieczoru dysponował eskortą wojskową, dzięki której mógł się bezpiecznie poruszać między koszarami a moim hotelem. Przy wykonywaniu tych obowiązków Cochrane wykazał się umiejętnościami, o które nigdy byśmy go nie podejrzewali. Potrafił przyczać się jak pantera czy rozpoznać teren jak Indianin, a pewnego razu, kiedy zobaczył zbliżających się wartowników, wciągnął Poego w najbliższe zagłębienie i obaj leżeli płasko jak aligatory, aż niebezpieczeństwo minęło. Poe i ja zawsze staraliśmy się okazać mu wdzięczność, ale kiedy zapraszaliśmy go do mojego pokoju na kropelkę whisky, odmawiał ze względu na pranie.

Jak możesz sobie wyobrazić, Szanowny Czytelniku, kłapiąc co wieczór ozorami, Poe i ja wyczerpaliśmy wszystkie tematy świata, w związku z czym jak kanibale zajęliśmy się sobą nawzajem. Poprosiłem go zatem, aby opowiedział mi o przepłynięciu rzeki James, o tym, jak podczas służby w Junior Morgan Rifleman poznał Lafayette'a, o studiach na Uniwersytecie Wirginii, o wyprawie na morze w poszukiwaniu szczęścia i o udziale w wojnie o niepodległość Grecji. Jego skarbnica opowieści nie miała dna, a może miała, bo od czasu do czasu — pod pretekstem, że musi odpocząć — dopytywał o *moją* skromną historię. Pewnego wieczoru zapytał:

— Landor, co pana sprowadziło do Highlands?

— Moje zdrowie — odparłem.

To była prawda. Doktor Gabriel Gard, lekarz z Saint John's Park, którego najważniejsze źródło dochodów stanowili nigdy nie do końca martwi inwalidzi, zdiagnozował u mnie suchoty. Zawyrokował, że moją jedyną nadzieją na przeżycie kolejnych sześciu miesięcy jest opuszczenie tego bagna i udanie się w góry, do Highlands. Opowiedział mi o spekulancie ziemią z Chambers Street, który w ostatniej chwili zastosował się do tej samej rady, dzięki czemu jest teraz pulchny jak indyk i w każdą niedzielę dziękuje na kolanach Bogu w kaplicy w Cold Spring.

Ja byłem bardziej skłonny umrzeć tam, gdzie się znajdowałem — do przeprowadzki namawiała mnie żona. Amelia wyobrażała sobie, że jej rodzinna scheda pokryje koszty nowego domu, a moje oszczędności — resztę. Tym sposobem znaleźliśmy nasz domek nad Hudsonem, a jakiś kaprys losu sprawił, że Amelia zachorowała — ciężko zachorowała — i zmarła przed upływem kwartału od przeprowadzki.

— I pomyśleć, że przenieśliśmy się tutaj ze względu na *moje* zdrowie. Z drugiej strony, doktor Gard miał rację. Czułem się coraz lepiej, a dzisiaj — stuknąłem się w pierś — po suchotach nie zostało prawie śladu. Tylko w lewym płucu jest trochę brudu.

— Oj tam — powiedział Poe, ciemny jak smoła. — W każdym z nas jest trochę brudu.

— Chociaż raz się w czymś zgadzamy.

Poe, jak już wspomniałem, mógł mówić na wiele tematów, ale TEMAT miał tylko jeden: Lea. Zresztą jak mogłem go winić za to, że chciał o niej rozmawiać? Jaki miałoby to sens, gdybym mu powiedział, jak upośledzająca może być miłość, jak bardzo może utrudnić mężczyźnie pracę? No i czemu by to służyło, gdybym ujawnił Poemu prawdę o stanie zdrowia Lei? Niebawem miał się tego dowiedzieć, a czy nie lepiej było nie odbierać mu do tego czasu złudzeń? Zresztą złudzenia umierają powoli, a jak każdy młody kochanek Poe był w najwyższym stopniu niezainteresowany tym, co inni mają do powiedzenia na ten temat — chyba że było to zbieżne z jego spostrzeżeniami.

Pewnego wieczoru zapytał:

— Czy kiedykolwiek kogoś pan kochał, Landor? To znaczy tak, jak ja kocham Leę? Miłością tak czystą, tak niepokieszoną i...

Dalej nie potrafił, zapadł w rodzaj transu i musiałem mówić głośniej, żeby mnie słyszał.

— Ma pan na myśli — odparłem, stukając w brzeg szklanki — miłość romantyczną czy dowolnego rodzaju?

— Miłość — odpowiedział po prostu. — We wszystkich jej wcieleniach.

— Bo zamierzałem powiedzieć, że kocham moją córkę.

Dziwne, że jej twarz pojawiła się przed twarzą Amelii, przed twarzą Patsy. No i czegoś to dowodziło — zaufania? upojenia alkoholowego? — że w ogóle wypuściłem się na te tereny. I czułem się tam bezpiecznie! Przez kilka sekund.

— Oczywiście — dodałem — w odniesieniu do dziecka jest to inne uczucie. Wszechogarniające... — Zajrzałem do szklanki... — Bezsilne, skazane na...

Poe obserwował mnie przez kilka chwil, pochylił się ku mnie i z łokciami na kolanach wyszeptał w ciemności:

— Landor?

— Tak?

— A gdyby przyjechała? Jutro? Co by pan zrobił?

— Przywitałbym się.

— Nie, niech pan nie ucieka przed moim pytaniem, za dużo już pan powiedział. Wybaczyłby pan jej? Od razu?

— Gdyby wróciła, to nie tylko bym jej wybaczył, ale...

Starczyło mu delikatności, aby więcej nie naciskać. Dopiero po dłuższym czasie wrócił do tematu. Ściszym i poruszonym głosem powiedział:

— Wierzę, że ona wróci, Landor. Wierzę, że tworzymy wokół siebie... pola magnetyczne dla tych, których kochamy. Dlatego nieważne, jak daleko wyjadą, nieważne, jak mocno się opierają naszemu przyciąganiu, w końcu muszą do nas wrócić. Nie mają innej możliwości, tak samo jak Księżyc nie ma możliwości przestać orbitować wokół Ziemi.

A ja powiedziałem (bo była to jedyna rzecz, która przyszła mi do głowy):

— Dziękuję, Poe.

Bóg raczy wiedzieć, jak udało nam się utrzymać ten rytm, z tak małą ilością snu. Ja przynajmniej mogłem pospać trochę dłużej, ale Poe musiał wstawać o świcie, po góra trzech godzinach snu. Aby położyć na nim łapę, sen musiał po niego przyjść. W niektóre wieczory przerywał mu w pół zdania. Głowa

Poego chybotąła, powieki się zatrzaśkiwały, mózg gasł jak świeca... ale szklanka w jego dłoni ani drgnęła. Budził się po dziesięciu minutach i natychmiast podejmował przerwana myśl. Pewnego wieczoru, siedząc w fotelu bujanym, zobaczyłem, że Poe zasypia na podłodze w trakcie recytacji wiersza *Do skowronka* Shelleya. Jego usta się otworzyły, głowa zwała się na bok i oparła na mojej stopie, przygważdżając ją do podłogi. Miałem dylemat: obudzić go czy zostawić?

Wybrałem to drugie rozwiązanie.

Świece wypalone, ogień zgasł, okiennice zamknięte... ale w tych ciemnościach było ciepło. „Całe to gadanie dokłada do pieca”, pomyślałem. Spojrzałem w dół na śpiącą głowę z potarganymi włosami i zdałem sobie sprawę, że zacząłem organizować swoje dni wokół Poego, a przynajmniej wokół tych chwil. Weszły w skład kalendarza mojego umysłu i oczekiwałem ich tak samo, jak się oczekuje, że po wiosnie przyjdzie lato, że tylne drzwi znowu się zaklinują czy że kot znowu usiądzie po południu w tym samym promieniu słońca.

Obudził się dwadzieścia minut później. Usiadł, otarł sen z oczu. Poczęstował pokój rozespanym uśmiechem.

— Śnił pan? — spytałem.

— Nie, myślałem.

— Nawet we śnie pan myśli?

— Myślałem, że byłoby cudownie, gdybyśmy wszyscy mogli opuścić to przekłete miejsce. Pan, ja i Lea.

— A dlaczego mielibyśmy to zrobić?

— Nic nas już tutaj nie trzyma. Jestem nie bardziej przywiązany do Akademii niż pan.

— A Lea?

— Podąży za miłością, prawda?

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem jednak udawać, że sam nigdy nie pomyślałem o wyjeździe. Ani że nie przyszło mi do głowy — z chwilą, kiedy

znalazłem w jego kufrze rycinę z Byronem — że pierwszorzecznik Poe powinien sobie poszukać innych panów.

— No dobrze, to dokąd powinniśmy pojechać?

— Do Wenecji. — Uniosłem brew. — Dlaczegoż by nie? Tam rozumieją poetów. A jeśli ktoś nie jest poetą, Wenecja zrobi z niego poetę. Przysięgam, Landor, że nie minie pół roku, a będzie pan komponował poematy w stylu Petrarcki i epepeje białym wierszem.

— Wystarczy mi parę ładnych drzew cytrynowych.

Przechadzał się teraz po pokoju i próbował uściślić swoją wizję.

— Lea mnie poślubi... czemu miałyby tego nie zrobić? Znajdziemy jedną z tych starych kamienic, tych wspaniałych, sypiących się ruder w stylu Faubourg Saint-Germain, i wszyscy zamieszkamy razem. Tak jak teraz, z zamkniętymi okiennicami. Czytanie, pisanie... niekończące się rozmowy. Nocne stworzenia, Landor!

— Brzmi trochę złowrogo — powiedziałem.

— Bez obaw, szlachetna duszo, nadal będą przestępstwa. W Wenecji ich nie brakuje, ale tam nawet zbrodnia jest poetycka, pełna pasji! Przestępstwo amerykańskie to tylko zwykła anatomia. — Złączył dłonie na znak, że decyzja zapadła. — Tak, musimy stąd wyjechać.

— Zapomina pan, że mamy tu jeszcze coś do zrobienia.

Ze wszystkich sił próbowaliśmy ignorować sprawy Akademii, ale zawsze mieszały się do naszych. Ingerencje te przeszkadzały Poemu mniej niż mnie. Pamiętam, z jak żarłoczną miną — i rumieńcem na policzkach — zapytał, czy widziałem zwłoki Ballingera. Koniecznie chciał wiedzieć, jak wyglądały.

Odparłem, że kiedy ostatni raz widziałem zwłoki, leżały na żelaznym łóżku w sali B-3 szpitala West Point. Śnieżyca spowolniła ich rozkład: skóra jedynie lekko zsiniała, a gdyby ktoś zobaczył tylko głowę, uznałby ją za piękny okaz, znacznie bardziej imponujący niż ciało Leroya Frya. Mimo tego wszystkiego Ballinger był tak samo martwy, tak samo pusty, a bruzda wokół szyi głębsza, krater w klatce piersiowej jeszcze brutalniej poszarpany i wystrzępiony.

I ta czarna strużka krwi w kroczu, prawie schowana za wciąż nabrzmiąłym członkiem. Nie do przeoczenia. Człowiek, który to zrobił, nie podszedł do sprawy chłodno i rzeczowo, lecz bardzo osobiście.



# Opowieść Gusa Landora

23

4–5 grudnia

**K**apitan Hitchcock przez cały tydzień dręczył mnie w sprawie pamiętnika Leroya Frya. Znalazłem już coś? Nazwiska podejrzanych kadetów? Nowe wątki do zbadania? Brakuje jakichś fragmentów?

Aby go uspokoić, zacząłem codziennie rano przynosić mu przepisane strony. „Proszę, kapitanie”, mówiłem różnym tonem, kładąc na jego biurku plik kartek. Nawet nie czekając, aż się odmelduję, od razu przystępował do lektury. Chyba naprawdę wierzył, że każdy kolejny fragment będzie zawierał klucz do wszystkich tajemnic. Tymczasem zawsze znajdował to samo: litanie żalów, błahostki i zachcianki seksualne. Prawie mi go było żal. Z pewnością nie sprawiło mu radości uświadomienie sobie, jak mało się dzieje w mózgu kadeta.

W sobotę wieczór Poe został w koszarach. Potrzeba snu stała się tak natarczywa, że nawet on nie potrafił jej zignorować.

Tego samego wieczoru, tuż przed jedenastą, zaczął padać śnieg, diabelnie gęsty i lepki. Tylko Patsy mogłaby mnie wyciągnąć z przytulnego pokoju hotelowego i kazać mi się taplać w tej brei. Ale Patsy po mnie nie posłała. Mniejsza z tym, miałem najnowszą powieść pana Scotta, miałem porządnie napalone w kominku, miałem co jeść, miałem tytoń. Mogłem się okopać na wiele dni, ale następnego ranka otrzymałem zaproszenie.

*Drogi Panie Landor,*

*proszę wybaczyć niewybaczalnie późne zawiadomienie, ale czy dałby się Pan ugościć w naszym skromnym domu na skromnej kolacji dziś wieczorem*

*o szóstej? Śmierć pana Ballingera położyła się na naszej szczęśliwej rodzinie tak głębokim cieniem, że Pańskie towarzystwo niezmiernie podniosłoby nas na duchu. Proszę, niech Pan się zgodzi!*

*Ze szczerą nadzieją na ujrzanie Pana*

*Pani Marquis*

Czyż nie czekałem właśnie na taką sposobność do przeniknięcia murów cytadeli Marquisów? Czy nie było więcej niż prawdopodobne, że kiedy zobaczę Artemusa w „domu jego dzieciństwa” (jak ujął to Poe), pozyskam promyk światła czy bodaj iskrę, która oświetli całość obrazu?

Krótko mówiąc, nie mogłem odrzucić tego zaproszenia. Tak się złożyło, że za piętnaście szósta naciągałem już buty i za chwilę miałem sięgnąć po płaszcz, kiedy zapukano — tylko raz — do drzwi.

Poe, rzecz jasna — włosy oszronione, w ręku jak zawsze koperta. Podał mi ją bez słowa i oddalił się bezgłośnie korytarzem. Gdyby nie doskonała akustyka, mógłbym nie usłyszeć tego, co powiedział ze szczytu schodów.

— Właśnie przeżyłem najbardziej niezwykle popołudnie mojego życia.

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

5 grudnia

Pierwszy śnieg, Landor! Rzadka to była rozkosz obudzić się i zobaczyć, że każde drzewo i skała pokryte są śniegiem; że płatki śniegu wciąż wysypują się jak monety z sakiewek chmur na niebie. Gdyby tylko mógł pan zobaczyć dziś rano mnie i moich towarzyszy broni, Landor. Mógłby pan nas uznać za czeredę rumianolitych chłoptasiów, których wypuszczono ze szkoły! Kilku członków naszej kompanii spierało się o to, któremu przypadnie w udziale zaszczyt rzucenia pierwszej śnieżki, a po chwili nasza mała potyczka zaczęła się przeradzać w bitwę równie krwawą jak Termopile, lecz w porę interweniowali dowódcy kompanii i przywrócili względny porządek.

Na śniadanie podano kilka porcji lodowatej zupy, a wykonaniu pieśni *O Thou Who Camest from Above* podczas niedzielnego nabożeństwa towarzyszyły chrzcielne prysznice białego pudru. Pośród tych wszystkich zabaw i wrzasków na osoby o większej wrażliwości poetyckiej spadło zadanie dostrzeżenia... nieziemskiej ciszy, która panowała już poza zasięgiem naszych małych perturbacji. Zdawało się, że w ciągu jednej nocy nasza mała Akademia przeistoczyła się w królestwo wrózek — skrzącą się klejnotami dziedzinę, w której ciężki tupot buciorów dał się teraz słyszeć jako cichutkie popiskiwanie, a najgłośniejsze nawet inwektywy tłumił wełnisty biały welon.

Po nabożeństwie udałem się do swojej kwatery, gdzie rozpałem w piecu i zagłębiłem się w lekturze *Aids to Reflection* Coleridge'a. (Na następnym spotkaniu, Landor, musimy przedyskutować Kantowskie rozróżnienie między „rozumem” a „rozsądkiem”, ponieważ jestem przekonany, że pan i ja ucieleśniamy tę antynomię). Było jakieś dziesięć minut po godzinie pierwszej, kiedy niespodziewanie zapukano do moich drzwi. Sądząc, że to oficer, który

przyszedł na inspekcję, natychmiast ukryłem literacką kontrabandę pod narzutą i stanąłem na baczność.

Drzwi otworzyły się etapami i ukazał się w nich — nie oficer, lecz woźnica. Ach! Jakże słabo słowo to oddaje niezwykłość jego wyglądu. Miał na sobie ciemnozielony płaszcz, podszyty szkarłatem i suto zdobiony srebrnymi sznurkami. Szkarłatna była też kamizelka i bryczesy ze srebrnymi koronkowymi podwiązkami. W naszym surowym klimacie już same powyższe akcesoria uczyniłyby z niego okaz nader egzotyczny, ale na domiar wszystkiego woźnica miał wykraczające poza wszelkie normy nakrycie głowy. Skóra bobra — wiem, trudno to sobie wyobrazić — osadzona na głowie o hebanowych włosach tak bujnych, jakby jakiś cygański łotr porzucił pracę u piątego księcia Buccleuch i zaproponował swoje usługi Danielowi Boone'owi.

— Panie Poe — powiedział tenorowym głosem, który pobrzmiwał Mitteleuropą. — Przysłano mnie po pana.

— W jakiej sprawie? — zapytałem zdumiony.

Przycisnął urękawiczony palec do wąsatej wargi.

— Ma pan pojechać ze mną.

Zawahałem się — kto by się nie zawahał?

*Summa summarum*, sędzę, że do pójścia za nim skłoniła mnie czysta ciekawość (którą, obok przewrotności, uważam za *prima mobilia* ludzkich dążeń).

Woźnica zaprowadził mnie na plac apelowy, a tam obrał jednostajny kurs północny. Kiedy torowaliśmy sobie drogę między rozbawionymi kadetami, nie dało się nie zauważyć, że snują najrozmaitsze domysły związane z moim towarzyszem. Nie dało się również nie zauważyć coraz gorszego stanu moich butów, które po porannym zanurzeniu w górskich stepach były przemoczone do nitki. (Solidne buty jeździeckie, które przywiozłem ze sobą z Wirginii, zmuszony byłem niestety sprzedać innemu *plebe*, panu Durrie, aby spłacić

dług wobec majora Burtona). W obawie przed odmrożeniem stóp błagałem woźnicę, aby wyjawiał mi cel naszej podróży. Nie odezwał się ani słowem.

Po chwili ten dziwny człowiek, który w swoim falbaniastym stroju brnął przez kilkudziesięciocentymetrowe zaspy, zniknął za zakładem krawieckim. Pospiesznie podążyłem za nim, wiedziony tysiącem mglistych fantazji — wytworów wyobraźni w bardzo niewielkim stopniu przygotowanej na spektakl, który miał się stać moim udziałem. Bo kiedy wychynałem zza rogu budynku, moje oczy z zadziwieniem spoczęły na... saniach.

Był to tak zwany model z Albany, którego wydęte boki nadawały całemu pojazdowi wdzięczny arabeskowy profil gigantycznego łabędzia. Tajemniczy woźnica w jednym ręku trzymał lejce, a drugą dłoń dał mi znak, abym zajął miejsce obok niego. W jego natarczywym uśmiechu, w niezwyklej bezpośredniości i swojskości jego sposobu bycia, a przede wszystkim w ruchach jego otulonych rękawiczkami długich palców, które nieodparcie kojarzyły się ze szkieletem, było coś, co przeszło mnie lodowatym dreszczem. Mógłbym uwierzyć, że przybył do mnie Pluton we własnej osobie, aby mnie zabrać do swojego piekielnego i plugawego świata.

Uciekaj, Poe! Na litość boską, dlaczegóż nie uciekasz? Mogę się tylko domyślać, że nad lękiem, który zagościł w mojej duszy, przeważyła wspomniana już ciekawość — w każdym razie stałem bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w woźnicy.

— Panie woźnico — powiedziałem szorstkim głosem. — Nie zrobię ani kroku dalej, dopóki mi pan nie wyjawia celu naszej podróży. — Odpowiedź nie nadeszła. A może powinienem uznać za odpowiedź te smukłe, cienkie palce, które zginały się i skręcały? — Mówię, że nigdzie nie pojedę, dopóki się nie dowiem, dokąd mnie pan zabiera!

W końcu dłoń przestała zapraszać i woźnica z tajemniczym uśmiechem ściągnął rękawiczki. Upuścił je na podłogę sań, a następnie gwałtownym ruchem zrzucił czapkę z bobrowej skóry. Zanim zdążyłem się otrząsnąć, zerwał z twarzy wąsy!

Nie trzeba było więcej, aby ujawnić tak umiejętnie ukrytą pod dziwnym kostiumem twarz i formę: to była moja droga i kochana Lea! Na widok jej umazanego gumą arabską drogiego oblicza, jej okrytej w męskie szaty niewysłowionej kobiecości, moja dusza zadrżała radośnie. Lea po raz kolejny przyzywała mnie do siebie — jej palce nie były już szponami wysłannika Hadesu, lecz uroczymi, misternymi, niewymownie cennymi palcami boskiej Astarte.

Postawiłem stopę na płozie i wsiadłem na sanie z takim rozmachem, że między naszymi ciałami doszło do entuzjastycznego karambolu. Śmiejąc się wesoło, Lea opadła na plecy, zacisnęła dłonie wokół moich i z wdziękiem przyciągała mnie coraz bliżej. Jej długie rzęsy opadły na oczy. Jej usta — te zachwycająco nieregularne usta — rozchyliły się...

Tym razem, Landor, nie zemdlałem. Nie śmiałem zemdleć! Nie zniósłbym ani sekundy rozłąki, nawet gdybym miał zamieszkać w najświetniejszych, najbardziej krystalicznych jaskiniach Snu.

— Ale dokąd jedziemy, Leo?

Śnieg przestał padać, słońce weszło w całym swoim żarliwym majestacie, a ziemia wokół nas zalśniła niezwykłym blaskiem. Dopiero teraz w dostatecznym stopniu odzyskałem władzę umysłową, aby docenić skarby pomysłowości Lei. Jakimś sposobem pozyskała ten wehikuł. Jakimś sposobem zaopatrzyła się w ten ekstrawagancki kostium. Jakimś sposobem przeprowadziła rozpoznanie tej sielankowej, idealnie ukrytej przed wzrokiem niepowołanych leśnej scenerii. Wobec takiej inteligencji — nieskończenie gibkiej, przenikliwej, strategicznej — cóż mogłem zrobić, Landor, jak tylko pogodzić się z rolą widza i czekać na dalszy ciąg spektaklu?

— Ale dokąd jedziemy? — spytałem znowu.

Wszystko jedno, czy odpowiedziałyby mi „do nieba”, czy „do piekła” — i tak bym pojechał.

— Bez obaw, Edgarze. Zdązysz wrócić na kolację. Ojciec i matka oczekują

nas *obojga*.

Ach, czyż nie był to klejnot w koronie? Rozpościerało się przed nami nie tylko popołudnie, lecz także cały wieczór, od początku do końca spędzony razem!

O reszcie tego zimowego ekskursu nie napiszę nic więcej, powiem tylko, że kiedy sanie z Albany zatrzymały się na wzgórzu ponad Cornwall, kiedy ucichł dźwięk dzwonków końskiej uprzęży, kiedy Lea odłożyła lejce i obdarzyła mnie przywilejem złożenia głowy na jej kolanach, kiedy zapach kłacza irysa otulił mnie całego niby najświętsze kadzidło — moje szczęście osiągnęło nową sferę, przekraczając wyobraźnię, przekraczając zrozumienie, przekraczając życie samo.

Udało mi się, Landor, wprowadzić do rozmowy temat niedawno zmarłych kadetów. Co się tyczy Ballingera, dała mi do zrozumienia, że widziała w nim jedynie kolegę Artemusa, toteż jego śmierć zasmuciła ją tylko ze względu na brata, nie miała bowiem poczucia, że osobiście kogoś straciła. Trudniejsze okazało się skierowanie rozmowy na Leroya Frya. Rozważając różne cele naszej wycieczki, zaproponowałem, abyśmy ponownie wybrali się na cmentarz, o ile nekropolia ta nie budzi w niej zbyt wielu bolesnych skojarzeń. Dodałem, że ciekawie byłoby obejrzeć świeży grób pana Frya, o ile śnieg pozwoli rozpoznać jego lokalizację.

— Ale czemu ten pan cię interesuje, Edgarze?

Chcąc ją udobruchać, wyznałem, że wedle mojej wiedzy pan Fry zaliczał się do grona jej wielbicieli, a w moim obecnym charakterze *innamorato* czuję się zobowiązany do złożenia hołdu każdemu dżentelmenowi, który kiedykolwiek pretendował do tego wyniosłego stanu.

Stukając stopami o dywan sań, wzruszyła ramionami i rzekła zdawkowym tonem:

— Obawiam się, że nie byłby odpowiednim mężczyzną z punktu widzenia moich celów.

— A kto byliby?

W reakcji na to zwyczajne pytanie z jej oblicza zniknęły wszelkie przejawy emocji i myśli — to bezcenne płótno przeistoczyło się w istną *tabula rasa*, na której nie mogłem wygrawerować ani jednej litery.

— Ty, któżby inny? — odpowiedziała w końcu.

Z przeciągłym, radosnym śmiechem szarpnęła nieznacznie za lejce i ruszyliśmy w długą drogę do domu.

Och, Landor, nie potrafię już uwierzyć w winę Artemusa. To nie do pojęcia, aby krewny Lei — ktoś, kto wyrósł z tego samego pnia, kto ma tak wiele jej przymiotów, kto pod tą samą pościelą odmawiał dzieciennym głósikiem te same modlitwy — miałby być zdolny do tak nieludzkiej, tak niewysłowionej brutalności. Jak to możliwe, że dwa młode pędy tego samego drzewa, tak czule ze sobą splecione, miałyby zdążyć ku diametralnie różnym światom — jeden w stronę światła, drugi w stronę ciemności? To niemożliwe, Landor.

Boże, miej nas w swojej opiece, jeśli się mylę.



# Opowieść Gusa Landora

24

*5 grudnia*

Ach, ten Poe z jego naiwnością. Tak jakby ludzie mogli zmierzać tylko ku światłu albo ciemności, a nie w jedną i drugą stronę. Któregoś wieczoru wyniknie z tego ciekawa dyskusja, pomyślałem, ale teraz trzeba rozważyć możliwość, że Poe i ja zjemy kolację przy tym samym stole.

Rozmyślałem o tym przez większość drogi i zanim dotarłem do rezydencji Marquisów, doszedłem do wniosku, że to dobrze. Poza wszystkim innym dowiem się, czy mój mały szpieg rzeczywiście jest dobrym obserwatorem.

Drzwi otworzyła mi dziewczyna podrażniona w nie mniejszym stopniu niż jej skóra. Jedną ręką wycierając nos, drugą złapała moją pelerynę i kapelusz, powiesiła je na wieszaku i biegiem wróciła do kuchni. Jeszcze zanim zniknęła, pani Marquis wsunęła do holu swoją króliczą głowę. Jej rysy sprawiały wrażenie zamrożonych, jakby dopiero co wyciągnięto ją z zasy śnieżnej, ale gdy tylko zobaczyła, że tupię o jej wycieraczkę, podbiegła do mnie w swojej sukni żałobnej z czarnej krepy, a dłonie jej trzepotały jak proporczyki.

— Ach, panie Landor, odważny z pana człowiek! Przy takiej pogodzie wszyscy barykadują się w domach. Ależ proszę, niech pan wejdzie dalej. Jeśli jeszcze chwilę postoi pan przy drzwiach, zamarznie pan na śmierć.

Zaskakująco mocnym uściskiem wzięła mnie za łokieć i wyprowadziła z przedpokoju, lecz po chwili zatarasowała mi drogę drobna, na wpół uśmiechnięta postać Poego, który stał smukły i wyprężony w swoim najlepszym mundurze. Dotarł kilka minut przede mną, ale upłynęło dobrych parę chwil, zanim pani Marquis go rozpoznała.

— Ależ oczywiście! Panie Landor, zna pan pana Poego? Spotkaliście się

tylko raz? To o wiele za mało. Nie, panie Poe, proszę się nie rumienić! Szarmancki z niego jegomość, panie Landor, muzykalne ucho i prawdziwy poeta! Musi pan koniecznie posłuchać jego wierszy o Helenie, to naprawdę nie do... Ale gdzie jest Artemus? Och, jego niepunktualność to więcej niż przywara, to absolutna zbrodnia! Stoję tutaj sama z dwoma uroczymi panami i nie ma ich kto zabawić. Ale znajdzie się na to lekarstwo. Proszę za mną, jeśli panowie pozwolą.

Czy oczekiwałem, że zobaczę ją zdruzgotaną śmiercią Ballingera? Raczej nie. A jednak nieco mnie zaskoczył jej energiczny krok, kiedy prowadziła nas korytarzem z dębową boazerią i makatkami z wyhaftowanymi sentencjami typu „Niech Bóg błogosławi to domostwo”, „Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje” itp. Strzepnęła z zegara podłogowego pajęczynę i otworzyła drzwi salonu. Ach, ten salon, Szanowny Czytelniku — jak się zapewne domyśliłeś, był to pokój z gatunku tych, które ucieleśniają wszystkie rodzinne nadzieje: klonowe fotele w stylu American Empire, ze zdobionymi nogami i podłokietnikami; szyfoniera z szufladami; witryna pełna porcelanowych tygrysów i słoni; lucjany i mieczyki w wazonie na kominku... no i ogień tak wielki, że strawiłby całe miasto. A przy ogniu siedziała młoda kobieta z rozgrzanymi policzkami, która haftowała na tamborku. Młoda kobieta, która nazywała się Lea Marquis.

Już miałem się przedstawić, kiedy matka Lei puściła mój łokieć i zawołała:

— O Boże, jak my rozsadzimy gości? Gdzie ja miałam głowę? Panie Poe, czy mogę liczyć na pańską pomoc? To nam zajmie tylko chwilę, a pan ma dryg do takich rzeczy... Będę panu dozgonnie wdzięczna! Dziękuję panu z całego serca! Leo, zechciałabyś...

„Zechciałabyś” co? Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Włożyła Poemu rękę pod ramię i wyciągnęła go z salonu.

To tłumaczy, dlaczego Lea Marquis i ja nigdy nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. I być może wyjaśnia, dlaczego rozmowa nam się nie kleiła. Ja ze swej strony starałem się ułatwić jej zadanie. Odsunąłem swoją

otomanę na stosowną odległość i mając w pamięci, że moja rozmówczyni nie znosi tematów meteorologicznych, unikałem wszelkich wzmianek o śniegu. A kiedy rozmowa gasła, zadowalałem się wężaniem wilgotnych wyziewów, które szły od moich butów, słuchaniem trzeszczenia dębowych bali w kominku i wyglądaniem na zewnątrz między kopczykami śniegu na parapecie okna w salonie. A kiedy traciło to swój urok, zawsze mogłem popatrzeć na Leę.

Dałem świadectwo naiwności, oczekując, że portret namalowany przez Poego będzie odpowiadał rzeczywistości. Najwyraźniej wpadły mu do oczu jakieś farfocle, bo Lea... cóż mam rzec, nieco zgarbiona, usta nazwałbym przejrzalymi — słowem, pod żadnym względem nie wytrzymała porównania ze swoim bratem. Miała jego podbródek, ale u niej wyglądał na spęczniały; miała jego brwi, ale u niej były zbyt kanciaste, zbyt ciężkie. Z drugiej strony, jej oczy były równie czarujące, jak donosił Poe, no i rzeczywiście miała zgrabną figurę. A pod pewnym względem wręcz nie oddał jej sprawiedliwości: nie do końca uchwycił jej osobliwie płynną witalność. Nawet najbardziej leniwe ruchy — a wręcz zastygła poza — zawierały w sobie jakąś czujność i gotowość, jakąś niezrealizowaną obietnicę, która ciągle się odnawiała. Chcę chyba powiedzieć, że nie dostrzegalem w niej ani śladu bezwolności czy kapitulacji.

Nie przeszkadzało mi, że unikała mojego wzroku i że każde zdanie wydawało się zamierać nam na ustach. Wrażenie było dziwnie rodzinne — jakbyśmy nawzajem się ignorowali już od wielu lat i nie odczuwali z tego powodu najmniejszego zakłopotania. Sprawilo mi zatem zaskakująco wielką przykrość, kiedy wyrwano nas z tego stanu. Nie zrobił tego ani Poe, ani pani Marquis, lecz Artemus, który wkroczył do salonu, skrzypiąc podszewami.

— Kobieto — zawołał do siostry — przynieś mi fajkę.

— Sam sobie przynieś — odparła.

Tak brzmiało ich przywitanie. Lea zerwała się z krzesła i rzuciła na niego, tarmosiła go, szczypała i tłukła. Dopiero przybycie służącej z anonsującym

kolację dzwonkiem w rękę ściągnęło ich z powrotem na ziemię. Dopiero też wtedy Artemus skinął głową i podał mi rękę na powitanie. Dopiero wtedy Lea pozwoliła mi wziąć się pod ramię i zaprowadzić do jadalni.

Bóg raczy wiedzieć, dlaczego pani Marquis potrzebowała pomocy z rozsadzaniem gości, bo tego wieczoru jedliśmy w niewielkim gronie. Gospodyni usiadła na jednym końcu stołu, a doktor Marquis na drugim (z głową wciśniętą w ramiona jak u zwierzęcia pociągowego). Lea siedziała koło mnie, Poe koło Artemusa. Kolacja, jak pamiętam, składała się z pieczonej kaczki z kapustą, grochem i duszonymi jabłkami. Musiał być też chleb, bo wyraźnie zapisało się w mojej pamięci, jak doktor Marquis czyści nim swój talerz. Pamiętam też, że zanim pani Marquis przystąpiła do jedzenia, bardzo powoli zdejmowała zdjęta rękawiczki, jakby wyslizgiwała się z własnej skóry. Przez cały posiłek Poe starannie unikał mojego spojrzenia, zapewne z obawy, że nawet półsekundowy kontakt wzrokowy mógłby nas zdradzić. Rzecz jasna, w stosunku do Lei nie był aż tak ostrożny. Panna Marquis zachowywała się tak, jakby go nie zauważała, ale w rzeczywistości odpowiadała na spojrzenia młodego kadeta innymi sposobami: mimiką i ledwo dostrzegalnymi skinieniami głowy. Nie, nie byłem jeszcze tak stary, abym nie pamiętał o tych sygnałach.

Na szczęście dla nich kochankowie dysponowali tego wieczoru innymi parawanami, za którymi mogli się ukryć. Doktor Marquis konwersował za swoją kapustą, a Artemus nucił jakiś fragment... Beethovena — chyba w kółko ten sam. Te wszystkie krzyżujące się prądy ujawniły jednak coś użytecznego: historię rodzinną. Za pomocą dyskretnych pytań i naprowadzających uwag dowiedziałem się, że rodzina Marquisów mieszka w Akademii od jedenastu lat. Dowiedziałem się, że Artemus i Lea przyjęli te wzgórza za swoje i razem odkryli tyle sekretnych zakamarków, że gdyby zechcieli, mogliby się zatrudnić jako brytyjscy szpiedzy. Tak często przebywali w swoim towarzystwie, że wytworzyła się między nimi więź, o której doktor Marquis wyrażał się z nabożnym podziwem.

— A wie pan, panie Landor? Kiedy przyszła pora zdecydować, co Artemus ma robić w życiu, nie musieliśmy się długo zastanawiać. „Artemusie — powiedziałem — Artemusie, mój chłopcze, na Boga, musisz zostać kadetem. Twoja siostra nie pozwoli ci na nic innego!”

— Myślę, że Artemus zawsze miał prawo robić, co mu się żywnie podobało — powiedziała Lea.

— I zawsze robi, co mu się żywnie podoba — wtrąciła matka, głaszcząc rękaw szarego munduru. — Nie uważa pan, panie Landor, że mój syn jest wyjątkowo przystojny?

— Uważam... Uważam, że żadnemu z państwa dzieci Bóg nie poskąpił urody.

Moja taktowność uszła jej uwagi.

— Równie urodziwy był za młodu doktor Marquis. Chyba cię nie zawstydzam, Danielu?

— Tylko trochę, moja droga.

— Ależ on się prezentował, panie Landor! Proszę pamiętać, że w tamtych czasach moja rodzina przestawała z całą chmarą oficerów. Matka w kółko mi powtarzała: „Tańcz sobie z sierżantem i flirtuj z porucznikiem, ale uśmiech zachowaj dla wyższego oficera”. Wzięłam to sobie do serca. Nie zadowolilibym się nikim poniżej majora. Cóż z tego, skoro pojawił się ten młody, przystojny chirurg! A że na dodatek nie brakowało mu uroku, mógł przebierać we wszystkich pannach na wydaniu z White Plains, więc naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego wybrał akurat mnie. Dlaczego mnie wybrałeś, kochanie?

— Och — odparł pan doktor i wybuchnął śmiechem.

Cóż to był za śmiech! Szczęki otwierały się i zamykały, jakby sterował nimi brzuchomówca.

— Wyjaśniłam moim rodzicom — kontynuowała gospodyni — że doktor Marquis nie osiągnął może stopnia majora, ale świat stoi przed nim otworem. Należał już do osobistych lekarzy generała Scotta, wiedział pan o tym? No

i oczywiście Uniwersytet Pensylwanii bardzo chciał go zatrudnić jako wykładowcę. Ale wtedy zapukał do nas dowódca wojsk inżynieryjnych z nominacją do Akademii i oto jesteśmy. Obowiązki wzywały, prawda? — Ostrzem noża z roztargnieniem kreśliła nad talerzem niewidoczne linie. — Rzecz jasna, to miało być tymczasowe. Najwyżej parę lat, a potem powrót do Nowego Jorku. Ale do tej pory nie wróciliśmy, prawda, Danielu?

Doktor Marquis przyznał, że nie, na co jego małżonka wyszczerzyła zęby jak tygrysica.

— Wciąż możemy wrócić — powiedziała. — Umiem to sobie wyobrazić. Jutro zamiast słońca może rano wzejść księżyc. Psy napiszą symfonie. Wszystko może się zdarzyć, prawda, mój drogi?

Chciałbym coś powiedzieć o jej uśmiechu: nigdy nie wiądnął, ale też nigdy do końca nie zakwitał. Mienił się tysiącem niuansów. Widziałem, że Poe patrzy na nią szeroko otwartymi oczyma — śledził ją wzrokiem tak, jak śledzi się trąbę powietrzną.

— Niech pan sobie nie pomyśli, że się skarżę, panie Landor. Straszne tu odludzie, to prawda, równie dobrze moglibyśmy mieszkać w Peru, ale od czasu do czasu poznajemy fascynujących ludzi. Choćby pana, panie Landor.

— Z pewnością o panu myślimy — uzupełnił Artemus. — Bez przerwy.

— Och! — zawołała jego matka. — Pan Landor jest człowiekiem o nadzwyczajnej inteligencji, a w tych okolicach jest to walor niezwykle rzadki. Nie mówię oczywiście o kadrze akademickiej, ale ich żony! Ani grama dowcipu, ani krzty smaku. Ten brak wyrafinowania, finezji...

— Brak wychowania — przyznał Artemus. — Poza West Point raczej nie znalazłyby mężów. Nie wpuszczono by ich do żadnego nowojorskiego salonu.

Lea zmarszczyła czoło nad swoją kaczką.

— Oboje jesteście okropni. Spotkało nas z ich strony ogromnie wiele życzliwości, a ja spędziłam wiele przyjemnych godzin w ich towarzystwie.

— Masz na myśli dzierganie — odpowiedział jej brat. — Wielogodzinne dzierganie. — Poderwał się na nogi, szydełkował palcami w powietrzu

i całkiem udatnie naśladował głos żony jednego z wykładowców, pani Jay: — „Wiesz, moja droga, uważam, że ten paździenik jest ociupinkę chłodniejszy niż poprzedni. Tak, tak, wiem o tym, bo widzisz, Koo-Koo, poznałaś moją kochaną, słodką papużkę z Azorów, trzęsie się, biedactwo, od chwili przebudzenia. Nie należało jej zabierać tamtego wieczoru na recital skrzypcowy, bo wiesz, ona nie znosi wiatru”.

— Przestań! — krzyknęła pani Marquis z dłonią na ustach.

— „Jestem pewna, że złapała od tego odmrożenia”.

— Niedobry chłopiec!

Tak podsumowany Artemus z szerokim uśmiechem opadł z powrotem na krzesło. Po krótkiej chwili ciszy odchrząknąłem i powiedziałem najłagodniej, jak umiałem:

— Spodziewam się, że panią Jay zajmują ostatnio inne kwestie.

— Jakie mianowicie? — spytała pani Marquis, wciąż śmiejąc się pod nosem.

— Takie jak śmierć pana Frya. I waszego przyjaciela Ballingera.

Żadnych słów, tylko odgłosy. Poe strzelał palcami; Artemus stukał paznokciem w brzeg talerza; doktor Marquis szorował talerz kawałkiem chleba, ścigając zbłąkany groszek.

Potem zduszone prychnięcie jego małżonki, która odchyliła głowę do tyłu i powiedziała:

— Mam nadzieję, że pani Jay nie wejdzie w pańskie kompetencje i nie zacznie własnego śledztwa, panie Landor. Z pewnością nie spojrzałby pan przychylnym okiem na mieszanie się kobiet do pańskich spraw.

— Z wdzięcznością przyjmuję każdą pomoc — odparłem. — Zwłaszcza jeśli nie muszę za nią płacić.

Na twarzy Poego zaigrał cień uśmiechu. Tak nikłego, że aż podejrzanego, pomyślałem. Jednak kiedy spojrzałem na Artemusa, zobaczyłem, że jest zbyt zaabsorbowany własnym rozbawieniem, aby to zauważyć.

— Panie Landor — powiedział — mam nadzieję, że kiedy zakończy pan

swoją oficjalną misję, pomoże mi pan w rozwiązaniu pewnej małej zagadki.

— Zagadki?

— Tak, przedziwna sprawa! Kiedy byłem w poniedziałek na wykładach, ktoś próbował wyważyć moje drzwi.

— Grasują tutaj niebezpieczni ludzie — rzucił posępnym głosem doktor Marquis.

— Niebezpieczni, ojcze? Osobiście skłaniałbym się ku teorii, że ten człowiek był po prostu źle wychowany. — Artemus znowu się do mnie uśmiechnął. — Przy czym nie mam oczywiście pojęcia, o kogo chodzi.

— Tak czy owak, mój drogi, musisz zachować ostrożność — powiedziała pani Marquis. — Po prostu musisz.

— Och, mam, to był zapewne jeden z tych starych niedojdów, którzy nie mają w życiu nic innego do roboty. Mieszkający w chacie na odludziu stary wieśniak, który lubi się napić, w związku z czym przesiaduje po najgorszych spelunach. Nie sądzi pan, panie Landor?

Zobaczyłem, że pani Marquis się wzdryga, a Poe zmienia pozycję. Miałem wrażenie, że powietrze wokół stołu trzeszczy. Poczul to chyba również Artemus, bo jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

— A przecież pan też ma chatę, prawda, panie Landor? Z pewnością pan wie, jaką chatę mam na myśli.

— Artemus! — powstrzymywała go Lea ostrzegawczym tonem.

— Może nawet ma pan bliskich krewnych, którzy odpowiadają mojemu opisowi.

— Przestań! — wrzasnęła jego matka.

Poskutkowało. Wszyscy na nią patrzyliśmy, wpatrywaliśmy się bezradnie w bruzdy wokół jej oczu, napięte struny gardła i maleńkie piąstki, które zacisnęły się w rozedrgane węzły.

— To nie do zniesienia! — krzyknęła. — Nie cierpię, kiedy tak mówisz!

Patrząc na nią z zaciekawieniem, ale bez emocji, Artemus powiedział:

— Chyba za tobą nie nadążam, mam.



— O nie, oczywiście, że nie. Nie nadążasz za mną! Mogłabym się utopić w Hudsonie, a ty byś za mną nie nadążył. — Kąciki ust skierowały się w dół. — Nikt by nie nadążył, prawda, Danielu?

Małżonkowie patrzyli teraz na siebie z taką głębią uczucia, że dzielące ich parę metrów skurczyło się do zera. Potem — powoli, z mrocznym błyskiem w oku — pani Marquis uniosła nad głowę talerz i... upuściła. Kości kaczki umknęły na bok, duszone jabłka pofrunęły do góry, a roztrzaskany na kilkanaście kawałków talerz rozsypał się po czerwonym lnianym obrusie.

— Ha! Widzicie! Porcelana nie pęka, chyba że podejdzie się za blisko ognia. Będę musiała zamienić słowo z Eugénie. — Mówiła coraz głośniej i zaczęła walić dłonią w okruchy porcelany, jakby chciała je ukarać. — Jestem na nią absolutnie wściekła. Jak ona może... Nie jest nawet Francuzką! Boże, w tym kraju nie można nawet znaleźć porządnej służącej! A żeby jeszcze chciała nosić liberię albo traktowała człowieka jak *pracodawcę* — wykluczone! Ale koniec tego dobrego. Przyszła pora powiedzieć, że nie będą nas tak traktowali!

Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu jej krzesło odskoczyło do tyłu, a gospodyni, już na stojąco, zaczęła rwać sobie włosy z głowy i zanim którykolwiek z panów zdążył zareagować, niepewnym krokiem wyszła z salonu z wciąż zatkniętą za suknię serwetką. Usłyszałem szelest tafty... jęk... tupot obcasów na schodach. Potem wszystko ucichło, a my jedno po drugim pochyliliśmy się nad swoimi talerzami.

— Musi pan wybaczyć mojej małżonce — powiedział doktor Marquis, nie patrząc na mnie.

Żadne inne komentarze nie padły. Bez dalszych przeprosin czy wyjaśnień reszta klanu Marquisów chwyciła za sztucce i jadła dalej. Takie sceny dawno przestały ich szokować. Wiele innych kolacji wpłynęło na tę mieliznę.

Tymczasem Poe i ja straciliśmy resztki apetytu. Odłożyliśmy widelce i czekaliśmy, aż skończy jeść Lea, potem Artemus i wreszcie doktor Marquis,

który wstał, chwilę podłubał w zębach kozikiem, skłonił głowę w moją stronę i powiedział:

— Panie Landor, zechciałby mi pan towarzyszyć do mojego gabinetu?

# Opowieść Gusa Landora

## 25

**D**oktor Marquis zamknął za sobą drzwi do jadalni i pochylił się ku mnie. Oczy mu błyszczały, a oddech wionął cebulą i whisky.

— Ach, te nerwy mojej żony — powiedział. — To kwestia pory roku. No i przepracowania. Zimy i chłodu. Zamknięcia. Jestem pewien, że pan ją rozumie.

Skinął głową, jakby chciał przekonać siebie samego, że wypełnił swój obowiązek, a następnie zaprosił mnie ruchem dłoni do swojego gabinetu — wąziutkiego pokoju, w którym unosił się zapach palonego karmelu. Pojedyncza świeca odbijała się we wprawionym w zaśnieżoną ramę lustrze. Ze szczytu głównego regału książkowego wyniosłe marszczył brwi Galen. W niszy między dwoma innymi regałami wisiał wysoki na kilkadziesiąt centymetrów portret olejny, który przedstawiał duchownego w czarnym stroju. Tuż pod nim znajdowała się poduszka — szorstka, szara i stęchła — na której leżał portret w kamei, uśpiony jakąś kołysanką.

— Proszę mi powiedzieć, doktorze, kim jest to urocze stworzenie?

— Jakże — prychnął — to oczywiście moja ukochana małżonka.

Minęło ponad dwadzieścia lat od chwili, kiedy portret został wyrzeźbiony w kości słoniowej, lecz ani figura, ani twarz pani Marquis nie straciły od tego czasu wyrazistości. Jeśli można było dostrzec jakąś zmianę, to taką, że upływ lat ją *skondensował*, skutkiem czego okrągłe, radosne, płynne oczy z portretu tak się miały do ich dzisiejszego wcielenia jak ciasto do chleba.

— Ona nie ma świadomości własnej urody, prawda? — powiedział lekarz. — Nie ma w niej ani grama *amour propre*, która, jak wiadomo, jest domeną kobiet. Ach, ale ja jeszcze nie pokazałem panu moich monografii! —

Sięgnąwszy na półkę, wyjął stos pożółkłych kartek, które sypnęły w powietrze gryzącym w oczy pyłem. — Tak, tak — chichotał — To będzie doskonałe na początek! Mój inauguracyjny odczyt o pęcherzach. Zaproszono mnie do jego wygłoszenia w Kolegium Lekarzy i Chirurgów. A tutaj drugi, o przetokach odbytniczych, bardzo dobrze przyjęty na Uniwersytecie w... Ale zajmijmy się tym, bo można chyba uczciwie powiedzieć, że to jemu zawdzięczam swoją renomę: „Krótki opis najskuteczniejszej metody leczenia gnilno-żółciowej żółtej gorączki, *vulgo* czarnych wymiocin”.

— Imponujący zakres zainteresowań, doktorze.

— No cóż, tak właśnie działa moja stara głowa. Wypuszczam się to tu, to tam, taki jest mój *modus*. Ale przede wszystkim muszę panu pokazać moje uwagi na temat pracy doktora Rusha o chorobach umysłu. Opublikowane na łamach „New England Journal of Medicine and Surgery”.

— O tak, to rzeczywiście fascynujące.

— Naprawdę? — Skrzywił się z niedowierzaniem. Przypuszczalnie byłem pierwszą ludzką istotą w dziejach, która wyraziła pragnienie obejrzenia tych uwag. — W takim razie... ale nie mam ich... Wie pan, chyba przeglądałem je wczoraj wieczorem w łóżku. Przynieść?

— Koniecznie.

— Jest pan pewien?

— Oczywiście! Chętnie pójdę z panem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Stał z rozdziawionymi ustami i wysunął przed siebie rękę.

— Ależ z radością, to będzie dla mnie wielki... zaszczyt.

Tak, w przypadku doktora Marquisa odrobina uprzejmości pozwalała zdziałać cuda. Pamiętam, jak radośnie brzmiał tupot jego butów na schodach — odbijający się echem po całym domu, co wskazuje, jak niewielki metraż potrafią mieć służbowe lokale mieszkalne funkcjonariuszy rządowych. Przebieg wydarzeń z jednego pomieszczenia jest znany wszystkim domownikom.

Co oznaczało, że ze swojego stanowiska w jadalni Artemus mógł śledzić każdy nasz krok i dokładnie wiedział, kiedy dotarliśmy na pierwsze piętro. Ale czy mógł również wiedzieć, że jego ojciec zapomniał zabrać świecę? I że pierwszym źródłem światła, które wpadnie nam w oko, okaże się lampa wisząca na ścianie małego pokoju z zamkniętymi okiennicami? Dziwna nora, spierzchnięta, огоłocona, ze sprzętów widać było tylko zegar ścienny (zatrzymał się na trzeciej dwanaście) i niewyraźne kontury prostego żelaznego łóżka z nieobleczonym materacem.

— Pokój pańskiego syna? — spytałem z przyjaznym uśmiechem. Doktor Marquis potwierdził. — Szczęściarz z niego. Znajduje tutaj odrobinę wytchnienia od zgiełku żołnierskiego życia.

— Prawdę mówiąc — odparł doktor, drapiąc się po policzku — Artemus przebywa tutaj tylko podczas wakacji. Co przynosi mu chwałę. Powiedział mi kiedyś: „Ojczy, jeśli mam być kadetem, to na Boga, będę żył jak kadet. Żadnego biegania co wieczór do domu, do matki i ojca, bo w ten sposób nie zrobi się z człowieka żołnierza. Chcę być traktowany tak samo jak wszyscy koledzy”. — Doktor Marquis z uśmiechem stuknął się w pierś. — Ilu mężczyzn może się pochwalić takim synem?

— Niewielu.

Znowu się ku mnie pochylił, dmuchając mi w twarz zapachem cebuli. — Nie muszę panu mówić, panie Landor, że serce pęcznieje mi z dumy, kiedy widzę, jak wyrasta na mężczyznę. Jest ulepiony z innej gliny niż ja. Urodzony dowódca, każdy to widzi. Ale my przyszliśmy po monografię, prawda? Tędy, proszę.

Sypialnia państwa Marquisów znajdowała się w głębi korytarza. Doktor przystanął, wykonał taki gest, jakby chciał zapukać, ale cofnął rękę.

— Zapomniałem — powiedział. — Moja droga małżonka powinna odpocząć. Wejść na palcach. Jeśli byłby pan tak łaskaw i zaczekał...

— Ależ oczywiście, doktorze. Nie ma pośpiechu.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, trzema długimi krokami dotarłem

do pokoju Artemusa. Zdjąłem lampę ze ściany i z największym pośpiechem obejrzałem łóżko, a potem pomacałem pod materacem i za wezgłowie. Z lampą w dłoni obejrzałem skarby dzieciństwa Artemusa, które wały się po podłodze (co mnie zaskoczyło): płozy sań, woskowa figurka mężczyzny z koniczynkami zamiast oczu, zniszczony prostokątny latawiec i miniaturowa karuzela na korbkę.

„Nie tutaj”. Nie wiem skąd, ale wiedziałem to na pewno. „Nie tutaj”. Jakby podążając za moimi myślami, światło lampy skierowało się w stronę szafy garderobianej w kącie pokoju.

Garderoba. Czy istnieje lepsze miejsce na przechowywanie tajemnic?

Za drzwiami szafy zalegały tak gęste ciemności, że światło mojej lampy z trudem się przez nie przebijało. Uderzył mnie w nozdrza zapach bergamotki i plumerii, przeniknięty słodko-ostrą wonią naftaliny. Zaszleściła satyna, organdy i tafta, sztywne od zimna.

Szafa Artemusa służyła teraz jako przechowalnia nieużywanej kobiecej garderoby. Bardzo praktyczny sposób na wykorzystanie szafy młodego mężczyzny, który rzadko bywa w domu, ale ja nie umiałem w tym nie dostrzec kolejnego żartu Artemusa. (Bo czyż nie potrafiłby zrekonstruować w głowie mojej trasy, wsłuchując się z dołu w odgłos moich kroków? Czy nie wie dokładnie, gdzie w tej chwili stoję?) Podrażniony, gwałtownie wyciągnąłem przed siebie ramię i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu nie natrafiłem na ścianę ani na żadną inną przeszkodę, tylko na dalsze ciemności.

Z lampą w dłoni precyzyjnie przesunąłem się przez gąszcz ubrań i nagle stanąłem w wolnej przestrzeni, otoczony jedynie czarnym powietrzem. Żadnych zapachów, żadnych konturów. Ale coś więcej niż pustka: wystarczył krok do przodu i poczułem lekkie uderzenie w czoło. Od razu wiedziałem, z czym się zderzyłem: z poziomym drążkiem do wieszania ubrań.

Przesunąłem wzdłuż niego dłoń i natrafiłem na drewniany wieszak... potem na plisowany kołnierzyk... szorstkie płótno ramienia... a pod nim połączenie wilgotnej, podzielonej na segmenty wełny.

Zdjąłem to ubranie z wieszaka i oświetliłem.

To był mundur. Oficerski.

Prawdziwy albo bardzo dobrze podrobiony. Niebieskie spodnie ze złotymi lamówkami. Na niebieskiej tunice złote wzory. A na ramieniu (musałem zbliżyć lampę, żeby to dostrzec) niewyraźny prostokąt strzępiącej się nici. W miejscu, gdzie kiedyś była przyszyta oficerska belka.

W mojej głowie pojawiła się myśl o — jakżeby inaczej — tajemniczym oficerze, który kazał szeregowemu Cochrane'owi odstąpić od zwłok Leroya Frya. W tej samej chwili moja ręka, przesuając się w dół tuniki, natrafiła na inny w dotyku kawałek materiału: trochę lepki i bardziej szorstki. Przejechałem palcem po tej substancji i już miałem podnieść palec do światła lampy, kiedy usłyszałem odgłos kroków.

Ktoś wszedł do pokoju.

Zdmuchnąłem lampę. Siedziałem w parującym mroku szafy Artemusa, słuchając, jak niewidzialna postać po drugiej stronie stawia kolejny krok... i kolejny... a potem zatrzymuje się.

Teraz mogłem już tylko czekać. Na to, co nastąpiło później.

A co nastąpiło później? Początkowo usłyszałem tylko kolejny dźwięk — odgłos rozsuwania ściany ubrań, którą miałem przed sobą. A zanim ten dźwięk uzyskał postać materialną, zdążył już musnąć moje żebra, przebić surdut i przygwoździć mnie do tylnej ściany.

No tak. Brakujące akcesorium oficerskie: szabla.

W tych pierwszych chwilach łatwiej było ją poczuć, niż zobaczyć. Klinga z fazowanej stali, tak absurdalnie ostra, że powietrze zdawało się przed nią rozstępować.

Chociaż próbowałem się wyswobodzić, byłem więźniem mojego surduta. Wyciągnąłem jedno ramię z rękawa, potem drugie. I wtedy brzeszczot oderwał się od ściany... aby powrócić ku mnie jeszcze szybciej niż za pierwszym razem. Odskokczyłem i ujrzałem, że szabla wbija się w ścianę dokładnie w tym

miejscu, w którym przed chwilą znajdowało się moje serce. Mój surdut otrzymał śmiertelny cios.

Mogłem wezwać pomocy, ale wiedziałem, że z tego ciemnego lochu nie ucieknę żaden dźwięk. Mogłem też rzucić się na napastnika, ale barykada kobiecych strojów, która mnie chroniła, zamieniała go w nie więcej niż *możliwość*. Najmniejszy błąd w ocenie w jeszcze większym stopniu zostawiałby mnie na jego łasce. Z drugiej strony, on również nie mógł się na mnie rzucić, nie tracąc przewagi.

Reguły były zatem ustalone, mogliśmy przystąpić do naszej małej gry.

Brzeszczot się cofnął... śmignął do przodu... Ściana odpowiedziała brzdękiem, kiedy szabla odłupała kawałek tynku koło mojego prawego biodra. Po chwili odskoczyła i znowu zaczęła sondować ciemności, głodna żywego celu.

A ja? Ruszałem się, Szanowny Czytelniku, ruszałem się. Przykucałem, wstawałem, przesuwałem się w lewo, w prawo — ruchomy cel dla kolejnych sztychów. W desperacji próbowałem przewidzieć drgnienia woli, która kierowała brzeszczotem. Piąte pchnięcie ominęło mój nadgarstek. Siódme przeszło jak wiatr przez włosy na mojej szyi. Dziesiąte trafiło w zakręt między prawym ramieniem a klatką piersiową.

Kolejne sztychy przychodziły coraz szybciej i szybciej — oszalałe z powodu wszystkich straconych okazji. Już nie zabić, tylko okaleczyć — taki był nowy cel. Szabla obniżała się sukcesywnie z okolic serca na wysokość nóg. A nogi zaczęły tańczyć górskiego kadryla, aby uratować mi życie.

Wiedziałem, że taniec nie może trwać bez końca. Moje płuca nie straciły ochoty do dostarczania mi tlenu, ten jednak szybko się wyczerpywał w tej ciasnej przestrzeni. A zatem to zmęczenie — nie strategia, nie nadzieja na możliwość zaczerpnięcia tchu, lecz śmiertelna słabość — sprawiło, że upadłem na podłogę.

No i leżałem na plecach i patrzyłem, jak kawałek stali kreśli na tynku moją



sylwetkę. Im bardziej się zbliżała, tym zimniejszy pot mnie oblewał. Miałem bowiem wrażenie, że stal mnie obmiera — do trumny.

Oczy mi się zatrzasnęły, kiedy ostrze ze świstem powróciło po raz ostatni. Ściana po raz ostatni zaprotestowała. A potem... cisza.

Rozwarłem powieki i zobaczyłem szablę wbitą parę centymetrów nad moim lewym okiem. Nie, nie znieruchomiła... Szarpała się i wiała z wściekłości... ale nie mogła się wyrwać.

Od razu zrozumiałem, co się wydarzyło. Siła pchnięcia była tak duża, że ostrze utknęło między cegłami.

To była moja ostatnia, moja jedyna szansa. Wyślizgnąłem się spod szabli, zdjąłem z drążka jedno z ubrań, owinąłem nim brzeszczot i zacząłem ciągnąć, przeciwstawiając resztki sił temu, kto znajdował się na drugim końcu.

Przez jakiś czas siły były wyrównane. Mój adwersarz dysponował jednak taką przewagą, że mógł ciasno zacisnąć dłonie na rękojeści. A ja? Ja miałem tylko moje nagie dłonie, które ciągnęły z całej siły. Przez kilka długich sekund zmagaliśmy się w ciemnościach — niewidoczni jeden dla drugiego, lecz namacalnie obecni.

Ostrze wysunęło się ze ściany. Przestało być więźniem i odzyskało rolę narzędzia ślepej woli, które po trochu mi się wyślizgiwało. Moje palce, moje nadgarstki, moje ramiona słabły... I wypuściłbym szablę, gdyby nie natarczywa myśl, która rozbrzmiewała mi w głowie: „Jeśli teraz puszczę, będzie po mnie”.

Trzymałem się zatem kurczowo, chociaż moje dłonie skwierczały z bólu, a serce i płuca płonęły. Wytrwałem.

Z chwilą, kiedy porzuciłem już wszelkie nadzieje, siła po drugiej stronie ustąpiła, ostrze zwiotczało i ciężko opadło na moje pokaleczone dłonie jak dar z nieba.

Oślupiałem i nie odrywałem od niego oczu, czekając, aż znowu obudzi się do życia. Ale nie. A ja pozostałem bez ruchu jeszcze całą minutę — nie chciałem, nie *potrafiłem* wypuścić szabli z rąk.

# Opowieść Gusa Landora

## 26

Wepchnąłem mundur pod pachę i ciągnąc za sobą surdut i lampę, precisnąłem się przez ścianę ubrań, znowu stanąłem w chłodnym półmroku pokoju Artemusa, poszukałem śladów przemocy na swoim ciele — i nie znalazłem. Ani zadrapania, ani kropli krwi. Słyszałem tylko własne dyszenie i ciche kapanie mojego potu na podłogę.

— Panie Landor.

Rozpoznałem go po głosie. Ale stojąc w cieniu przy drzwiach, bez świecy w ręku, mógłby udawać swojego syna. Zawahałem się chwilę, nie mając pewności, czy powinienem zaufać świadectwu własnych oczu czy uszu.

— Bardzo przepraszam, doktorze — powiedziałem. — Niestety, podarłem płaszcz... — Niemrawo pokazałem na tenże ubiór, który leżał na podłodze w rozlewiskach światła — i pomyślałem, że pożyczę coś od pańskiego syna.

— Ależ pański płaszcz...

— Tak, nieźle go sponiewierałem, prawda? Z drugiej strony — dodałem, śmiejąc się i potrząsając mundurem — nie sądzę, aby mógł z czystym sumieniem udawać oficera. Nigdy nie służyłem wojsku.

— Ależ to jest mojego brata!

— Pańskiego brata?

— Tak, mojego brata Joshuy. Zmarł krótko przed bitwą pod Maguagą. Grypa, biedaczek. Ten mundur to jedyne, co nam po nim zostało. — Uklęknął, kilka razy przeciągnął dłonią po płótnie, a potem potarł palcami o siebie przed nosem. — Dziwne. Kolor wyblakł, ale pagony — całkiem staroświeckie, ale poza tym mogłyby udawać nowe.

— Dokładnie to samo sobie pomyślałem — odparłem. — Ale proszę

spojrzeć, brakuje belki.

— Nigdy nie było żadnej belki — powiedział ze zmarszczonym czołem. — Joshua dosłużył się tylko stopnia podporucznika.

Jedna z brwi podeszła jeszcze wyżej, a z nosa wydobył się cichy podmuch powietrza.

— Coś pana rozbawiło, doktorze?

— Och, przypominałem sobie, jak Artemus paradował w tym po domu.

— Naprawdę?

— Jako maleńki szkrab. Szkoda, że nie miał pan okazji tego zobaczyć, panie Landor. Ręce mu się kończyły kilkadziesiąt centymetrów wcześniej niż rękawy, a spodnie! Komicznie się za nim wlekły. — Zerknął na mnie z ukosa. — Tak, wiem, powinienem był go poprosić, aby okazywał więcej szacunku dla ojczystego munduru, ale nie widziałem w tym nic złego. Widzi pan, on nie zdążył poznać Joshuy, a to, że ktoś się bawi mundurem, nie oznacza, że nie szanuje funkcji...

— Również pańskiej, prawda? — wtrąciłem. — Jak mógłby jej nie szanować?

— A, tak. No cóż, być może. Raczej nie wdał się we mnie. Tym lepiej dla niego, co?

— Zbytek skromności, sir. Od lat obserwuje pana pracę i z pewnością przyswoił sobie część pańskich umiejętności.

Zniszczone usta przekrzywiły się trochę.

— Pewnie tak, to możliwe. Przyznaję, że od dziesiątego roku życia potrafi nazwać wszystkie kości i narządy! I umie posługiwać się stetoskopem. Parę razy pomógł mi nastawić złamaną kość. Ale nie sądzę, żeby go to inte...

— Co u licha?

Tym razem nie było wątpliwości, kto stoi w drzwiach, ponieważ pani Marquis trzymała w ręku świecę. Światło dramatycznie uwydatniało ptasie rysy jej twarzy, a z jej oczu zrobiło wielkie otchłanie.

— O, moja droga! — powiedział doktor Marquis. — Już wyzdrowiałaś?

— Tak, wygląda na to, że się pomyliłam. Miałam wrażenie, że dopadła mnie jedna z tych okropnych migren, ale okazuje się, że potrzebowałam tylko chwili odpoczynku. Widzę, Danielu, że jesteś o krok od zanudzenia pana Landora jedną ze swoich publikacji. Musisz ją odnieść na swoje miejsce, a pan, panie Landor, musi odłożyć ten okropny stary mundur, jestem pewna, że na pana nie pasuje, i gdybyście obaj byli tak mili i odprowadzili mnie z powrotem na dół, bo inni zaczęli się zastanawiać, gdzie się podziałam. Aha, Danielu, proszę cię, zaley ogień w salonie, pan Landor aż się spocił z tego gorąca!

Dzieliło nas kilka kroków od drzwi salonu, kiedy usłyszeliśmy kilka dźwięków fortepianu, tupanie stóp i stłumiony chichot. Humor! Jakim cudem się śmieją? A przecież zobaczyliśmy to na własne oczy. Lea grała na fortepianie kadryla, a Poe i Artemus chodzili po salonie do taktu, kołysali się i śmiali — śmiali się jak anioły.

— Och, Lea, pozwól mi zagrać! — zawołała pani Marquis.

Lei nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wstała, dołączyła do złożonego z dwóch wagoników pociągu, objęła Artemusa w pasie i również zaczęła się kołysać. Dumnie usadowiona przy fortepianie pani Marquis wybijała niedawno sprowadzonego z Wiednia walca, którego z przerażającą wirtuozerią grała w podwójnym tempie.

Ja siedziałem uśmiechnięty, bez płaszcza i w przemoczonej potem koszuli, zadając sobie pytanie: „Która z osób w tym pokoju właśnie usiłowała mnie zabić?”.

Nuty rozbrzmiewały szybciej, stopy tupały głośniej, a śmiech rozlał się na całe towarzystwo — nawet doktor Marquis przyłączył się do ogólnej wesołości i wytarł z oka łzę. Po skwaszonej atmosferze sprzed pół godziny zostało już tylko wspomnienie, a ja prawie byłem gotów uwierzyć, że cały epizod w szafie tylko mi się przyśnił.

A potem pani Marquis przerwała grę na fortepianie równie nagle

i niespodziewanie, jak zaczęła. Na chybił trafił huknęła palcami o klawiaturę, przesywając pokój ostrymi dysonansami, które wszystkich sparaliżowały.

— Musicie mi wybaczyć — powiedziała, wstając i wygładzając spódnice. — Cóż ze mnie za gospodyni? Pan Landor z pewnością ma już dosyć słuchania, jak masakruję tego walca, i wolałby, żeby zastąpiła mnie *Lea*. — Rozciągnęła to imię do granic wytrzymałości. — Leee-aaa? Będziesz tak miła i zaśpiewasz piosenkę?

Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła jej córka, ale pani Marquis nie zwracała najmniejszej uwagi na jej protesty. Splotła dłonie na nadgarstku córki i zaczęła ją delikatnie ciągnąć.

— Mamy cię błagać, o to chodzi? Dobrze zatem, wszyscy na kolana! Musimy wszyscy zanosić błagania.

— Mamo!

— Może jeśli zaczniemy bić pokłony...

— Nie ma potrzeby — rzuciła *Lea* ze spuszczoną głową. — Z przyjemnością zaśpiewam.

Pani Marquis zareagowała na to perlistym śmiechem.

— Czyż to nie jest piękne? Z drugiej strony, muszę was wszystkich ostrzec, że gust muzyczny mojej córki zawsze uważałam za kiczowaty i smutny. Pozwoliłam sobie zatem wybrać utwór z „*Lady’s Book*”<sup>10</sup>.

— Nie jestem pewna, czy pan Poe...

— Och, jestem pewna, że tak. Prawda, panie Poe?

— Czymkolwiek panna Marquis uzna za stosowne nas zaszczycić — powiedział Poe, na wpół drżąc — będzie rozkoszą dla...

— Tak myślałam! — zawołała matka, przerywając mu ruchem dłoni. — Nie każ nam już dłużej czekać, *Lea*. — Ściszonym, ale słyszalnym w promieniu pięciu metrów głosem dodała: — Pan Landor również będzie zachwycony.

*Lea* spojrzała w moją stronę. Tak, przyglądała mi się z uwagą, której wcześniej zupełnie mi skąpiła. Potem postawiła nuty na stojaku. Usiadła na

ławeczce. Ostatnie spojrzenie na matkę — nie do odczytania: to nie było błaganie, to nie był sprzeciw, może ciekawość? Może zadawała sobie pytanie, co się wydarzy?

Przełknęła ślinę i zaczęła grać. I śpiewać:

*Żołnierskiego werbla głos  
Pieczętuje serca los  
Bo gdy dziewczę go posłyszysz  
Za nic ma i pusty trzos.  
I ra-ta-ta, i ra-ta-ta...*

Dziwne, że pani Marquis znalazła to w „Lady’s Book”. Takie piosenki można było przed laty usłyszeć w Olympic Theatre, między numerem jakiegoś szmirowatego komika a występem francuskich balerin. Wykonywałyby ją dziewczyna o imieniu Magdalena lub Delilah, ubrana w strusie pióra z niebieskimi koralikami lub — odważniej — w strój marynarski, policzki miałyby równie czerwone jak usta, kolana jeszcze czerwieńsze, a umazane węglem oczy ściągnięte w nieestetyczne mrugnięcie.

Delilah przynajmniej zabrałaby się do rzeczy z pewnym zapałem. Z drugiej strony, podejrzewam, że nawet galernicy wykazaliby więcej entuzjazmu niż Lea Marquis tego grudniowego wieczoru, kiedy siedziała przy fortepianie wyprężona jak struna i z ramionami sztywnymi jak muszkiety. Raz, tylko raz, jej ręce podniosły się znad klawiatury, jakby miała dosyć. Ale potem się zreflektowała, dłonie znowu opadły na klawisze i ponownie rozbrzmiał jej głos.

*Bo gdy dziewczę go posłyszysz  
Za nic ma i pusty trzos.  
I ra-ta-ta, i ra-ta-ta...*

Jak słusznie zauważył Poe, Lea dysponowała naturalnym kontraltem, ale

śpiewała w za wysokiej tonacji i kiedy docierała do najwyższych dźwięków gamy, głos jej matowieł i w końcu przybierał postać międzywargowego szumu, ledwo słyszalnego, lecz zaskakująco długo utrzymującego się w powietrzu. Nigdy do końca nie cichł.

*Bo gdy dziewczę go posłyszysz*

*Za nic ma i pusty trzos.*

*I ra-ta-ta, i ra-ta-ta...*

Pomyślałem wtedy chyba o wołających przez żelazne pręty ptakach Pawpawa. Dałbym wszystko — pozostali chyba też — za klucz do tej konkretnej klatki. Jednak kuplety leciały jeden po drugim (zawsze łatwiej przywołać przypływ niż go potem zatrzymać) i nagle głos Lei przebił niewidzialny sufit. Jej dłonie zdawały się ożywione niezwykłą energią, zaczęła walić w klawisze i z każdym uderzeniem jakaś nuta wypadała z rytmu — lądowała w innym takcie — a osłupiały tym młotkowaniem fortepian szykował się do protestu, jednak Lea kontynuowała:

*Bo gdy dziewczę go posłyszysz*

*Za nic ma i pusty trzos.*

*I ra-ta-ta, i ra-ta-ta...*

Po raz pierwszy tego wieczoru Poe odwrócił wzrok, jakby jej szukał gdzieś w głębi salonu. Artemus przeciągnął palcami po policzku, a pani Marquis, sprawczyni tego wszystkiego, wpadła w trans rozkoszy czy może strachu — jej oczy śmigaly na wszystkie strony, a gardło falowało od nieustannego przełykania śliny. „Błagam — pomyślałem — błagam...”

*Żołnierskiego werbla głos*

*Pieczętuje serca los*

Zaśpiewała trzy zwrotki, a cały występ trwał jakieś cztery minuty, po czym

zerwaliśmy się wszyscy na nogi i klaskaliśmy bez opamiętania. A najgłośniej pani Marquis. Stopami wybijała o podłogę tarantelę, a jej głos rozbrzmiewał z taką siłą, że doktor Marquis zatkał sobie uszy palcami.

— O tak, moja droga, o tak! — zawołała. — Nieprawda? Chciałabym tylko, moja droga — i więcej już tego nie powiem, już nigdy nie usłyszysz ode mnie, żebym poruszała ten temat, obiecuję — ale bardzo bym chciała, żebyś tak bardzo nie traciła ducha, kiedy się zbliżasz do F i do G. — Nie myśl o tym, że się wspinasz, tylko że rzucasz się do przodu. — Wykonała sztych niewidzialną szablą. — To nie jest wspinaczka, to jest podróż do... do krainy rezonansu... Już ci to wyjaśniałam, Lea.

— Proszę cię, Alice — powiedział doktor Marquis.

— Przepraszam, czy powiedziałam coś obraźliwego? — Nie uzyskawszy odpowiedzi od męża, po kolei skierowała pytający wzrok na resztę towarzystwa, aby w końcu ponownie skupić się na córce. — Lea, kochanie, powiedz mi, czy w jaki sposób cię zraniłam?

— Nie — odparła chłodno Lea. — Już ci to mówiłam. Musiałabyś się znacznie bardziej postarać, żeby mnie zranić.

— W takim razie dlaczego wszyscy tak sępnęli? Po co mamy się spotykać, skoro wszyscy się smućą? — Odstąpiła o krok do tyłu. W jej oczach rozbłysły łzy. — Światło tak pięknie iskrzy na śniegu, a my — dlaczego nie jesteśmy radośni?

— Jesteśmy, mamó — zapewniał ją Artemus.

W jego tonie nie było jednak niczego szczególnie radosnego, po raz tysięczny zabrzmiała w nim nuta zobowiązania. Ale to wystarczyło, aby przywrócić pani Marquis dobry humor. Gospodyni przeistoczyła się w niestrudzoną organizatorkę rozmaitych gier i zabaw: najpierw warcaby i szarady, a potem mieliśmy wszyscy jeść tort z zawiązanymi oczami i odgadywać, jakie smaki ukryła w nim Eugénie (ukochana Eugénie)! Dopiero kiedy zjedliśmy trufle czekoladowe i wróciliśmy do salonu, dopiero kiedy doktor Marquis, sam niezgorszy muzyk, zagrał melancholijną interpretację



*Old Colony Times*, podczas której Artemus i Lea stali spleceni ze sobą ramionami i kołysali się tam i nazad, a Poe siedział na otomanie i patrzył na nich jak na parę kondorów... dopiero wtedy pani Marquis raczyła zwrócić na mnie uwagę.

— Najadł się pan, panie Landor? Jest pan pewien? Niezmiernie się z tego cieszę. Byłby pan tak dobry i usiadł koło mnie? Co za szczęście, że mógł pan do nas przyjść! Szkoda tylko, że Lea nie jest w lepszej formie. Zapewniam pana, że następnym razem się pan nie rozczaruje.

— Kiedy... Nie mam prawa...

— Ależ oczywiście, jest pan człowiekiem dobrze wychowanym. W najwyższym stopniu mnie zdumiewa, panie Landor, że od przyjazdu do West Point zdołał pan uniknąć intryg.

— Intryg?

— O-ho! Nie sądzi pan chyba, że nie są mi znane knowania rodzaju niewieściego. KobiECE machinacje uśmierciły więcej mężczyzn niż wszystkie kawalerie świata razem wzięte. Nie wątpię, że co najmniej jedna z tych okropnych żon wojskowych przedstawiła panu co najmniej jedną ze swoich paskudnych córek.

— Nic takiego... Nie sądzę, abym...

— Gdyby miały takie dziewczyny jak moja Lea, nic by ich nie powstrzymało. Jak panu wiadomo, Lea uchodzi za idealną partię. Gdyby nie była taka wybredna, to miałyby mnóstwo... Ale wie pan, z tymi wszystkimi *ideami* w głowie, zawsze sądziłam, że byłoby jej znacznie lepiej z mężczyzną nacechowanym, nazwijmy to, bardziej dojrzałą wrażliwością. Z mężczyzną, który za pomocą łagodnej perswazji pozwoliłby jej odnaleźć właściwe miejsce w życiu.

— Sądziłem, że pani córka sama najlepiej potrafi ocenić...

— Ależ oczywiście! — zaskrzeczała jak jeden z ptaków Pawpawa. — Tak, ja tak samo myślałam, kiedy byłam w jej wieku. I gdzie teraz jestem? Nie, panie Landor, w tych sprawach matka ma zawsze rację. I dlatego przy każdej

sposobności przypominam Lei: „Potrzeba ci starszego mężczyzny. Wdowiec, oto za kim powinnaś się rozglądać”.

Mówiąc te słowa, pochyliła się i stuknęła palcem — dwa razy — w moją spinę do mankietu.

Ten prosty gest wystarczył, abym to ja znalazł się w klatce — pręty się za mną zatrzasnęły i nawet najpiękniejszy śpiew by mnie nie wyzwolił.

A oto ostatni akt tej farsy. Pani Marquis jak zwykle mówiła tak głośno, że słyszał ją cały pokój. Teraz wszyscy spojierali na mnie przez pręty mojej klatki: Artemus, z tym jego charakterystycznym pustym wzrokiem, Lea, z suchymi powiekami i ustami, pierwszoroczniak Poe, o twarzy czerwonej, jakby go spoliczkowano, i ustach ściągniętych oburzeniem.

— Danielu! — zaskrzeczała pani Marquis. — Przynieś szampana! Znowu chcę mieć dwadzieścia lat!

Z jakiegoś powodu akurat w tej chwili opuściłem głowę i spojrzałem na swoje dłonie — dopiero wtedy zauważyłem miedziany, granulkowaty osad, który stałem z oficerskiego munduru w szafie Artemusa, zachowany na skórze palca jak w bursztynie.

Krew. Cóżby innego?

# Opowieść Gusa Landora

27

*6 grudnia*

**A** więc tak to było, Szanowny Czytelniku. Poszedłem do domu Marquisów z nadzieją na rozwiązanie jednej zagadki, a wyszedłem z trzema.

Zaczynając od tego: kto próbował mnie zabić w garderobie Artemusa?

Tylko sam Artemus i doktor Marquis władaliby szablą z taką siłą, lecz z tego, co mi było wiadomo, obaj przebywali gdzie indziej: doktor zajmował się żoną, a kadet siedział w salonie na dole. Było prawie niemożliwe, aby bez niczyjej wiedzy do domu wszedł ktoś z zewnątrz. A zatem kto? Kto chciał mnie pozbawić najwrażliwszych elementów mojej anatomii?

Następna zagadka: jeśli mundur w garderobie Artemusa był tym samym mundurem, który kadet Cochrane widział tamtej nocy w sali B-3 — a nie ulegało to dla mnie kwestii — to kto miał go na sobie?

Kandydatem numer jeden był oczywiście Artemus. Nazajutrz po kolacji u Marquisów poleciłem kapitanowi Hitchcockowi wezwać go do swojego biura pod pretekstem konieczności wyjaśnienia sprawy włamania do jego kwatery w koszarach. Rozmowa przebiegała w przyjemnej atmosferze, a w sąsiednim pokoju cały czas stał z uchem przy drzwiach kadet Cochrane. Kiedy rozmowa dobiegła końca, a Artemusowi pozwolono się odmeldować, kadet Cochrane stwierdził z krzywą miną, że być może słyszał wtedy ten właśnie głos, ale niewykluczone, że mógł go słyszeć gdzie indziej albo nawet że te głosy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Krótko mówiąc, byliśmy w lesie, nawet jeżeli Artemus nie stracił pierwszego miejsca na liście. Ale czyż nie widziałem na własne oczy, z jaką łatwością doktor Marquis naśladował w ciemnościach swojego syna? I tutaj

pojawił się kolejny wariant. Z ostatniego sprawozdania Poego wynikało, że Lea Marquis potrafi się udatnie wcielić w rolę mężczyzny.

Wszystko to spotęgowało niepokój, który zaczął mnie ogarniać: poczucie, że rodzina Marquisów nie ma żadnego centrum — nie ma żadnej magnetycznej północy. Kiedy zerkąłem na moją wewnętrzną busolę, igła z reguły wskazywała ku Artemusowi... ale potem przypominałem sobie, jak potulnie ulegał kolejnym nastrojom matki, a w jego głosie zawsze pobrzmiwała rezygnacja.

No dobrze, niech zatem igła wskaże panią Marquis. Ale chociaż doktorowa tak sprawnie manipulowała nastrojami swojego otoczenia, do tego ograniczały się jej talenty, prawda? Lea na swój sposób się jej postawiła, chociaż z pozoru ugięła się przed jej życzeniem. Jak to wytłumaczyć?

W takim razie Lea. Spróbujmy z Leą. Ale również przy niej igła nie chciała dłużej pozostać — każde wspomnienie o niej przywoływało we mnie obraz osoby skazanej na to, że zostanie rzucona na pożarcie lwom.

Co doprowadziło mnie do trzeciej zagadki: dlaczego pani Marquis chciała przehandlować córkę takiemu staremu zgredowi jak ja?

Lea bynajmniej nie wypadła jeszcze z rynku matrymonialnego. Owszem, była za stara, aby złapać na męża kadeta, ale wszystko wskazywało na to, że nigdy do tego nie dążyła. Czyż nie mogła przebierać w niezamężnych oficerach, którzy miotali się samotnie w swoich ciasnych kłitkach? Czyż nie dosłuchałem się sugestii pożądania nawet w głosie kapitana Hitchcocka, kiedy o niej rozmawialiśmy?

Ze wszystkich zagadek ta ostatnia wydawała się najłatwiejsza do rozwiązania. Bo jeśli trafnie domyślałem się u Lei choroby, to rodzice mogli ją uznać za towar wybrakowany i oddać pierwszemu chętnemu, który się zgłosi. I czy nie była to na swój sposób dobra wiadomość dla Poego? Trudno było sobie wyobrazić mężczyznę, który poślubiłby Leę Marquis na dobre i na złe.

Moje myśli krążyły już zatem wokół niego, kiedy przyszedł do hotelu. Przyszedł jak ktoś, kto wie, że jest na cenzurowanym. Na ogół miał na sobie

bowiem pod płaszczem tylko koszulę i podkoszulek, a tego wieczoru wystąpił w stroju galowym — nie wyłączając szabli i ładownicy, a zamiast wślizgnąć się ukradkiem, dwoma wielkimi krokami przeszedł na środek pokoju, zdjął czako i skłonił głowę.

— Landor, chcę pana przeprosić.

Uśmiechnąłem się nieznacznie, przełknąłem ślinę i powiedziałem:

— Nader chwalebne, Poe. Ale czy mogę zapytać...?

— Tak?

— Za co mnie pan przeprasza?

— Jestem winny przypisywania panu niegodnych intencji.

Usiadłem na łóżku i podparłem brodę.

— A, chodzi panu o Leę.

— Nie mam nic na swoją obronę, Landor, poza tym, że otwartość, z jaką pani Marquis się panu zwierzała, mocno mnie zaniepokoiła. Niestety, uznałem, niesłusznie, przyznaję, że jej machinacje przyjął pan z radością... a może nawet do nich podzegał.

— Jak mógłbym, skoro...

— Proszę, nie. — Powstrzymał mnie ruchem dłoni. — Nie będę pana zmuszał do upokarzającego tłumaczenia się. Poza tym nie ma takiej potrzeby. Jeśli ktoś ma choć trochę oleju w głowie, to rozumie, że samo wyobrażenie, aby pan zalecał się do Lei, a tym bardziej się z nią ożenił, jest zbyt absurdalne, aby brać je pod uwagę.

Aha. Zbyt absurdalne, co? Jako że swoista męska próżność nie była obca również mnie, uwaga Poego prawie mnie rozzłościła. Ale czy sam przed chwilą nie wyśmiewałem w duchu tego pomysłu?

— A zatem bardzo przepraszam, stary druho — powiedział Poe. — Mam nadzieję, że nie będzie mi pan...

— Oczywiście, że nie.

— Jest pan pewien?

— Najzupełniej.

— Ach, cóż za ulga. — Ze śmiechem rzucił czapkę na łóżko i przejechał dłonią po brodzie. — Skoro już zrzuciłem z siebie to brzemię, to może przejdziemy do poważniejszych spraw?

— Dlaczego nie. Najlepiej zacznijmy od tego, że pokaże mi pan wiadomość od Lei.

Jego powieki zatrzepotały jak skrzydła ćmy.

— Wiadomość? — powtórzył tępym głosem.

— Tak, tę karteczkę, którą wsunęła panu do kieszeni, kiedy wkładał pan płaszcz. Pewnie nawet jej pan nie zauważył, dopóki nie wrócił pan do koszar.

Pogłaskał się dłonią po policzku, który wyraźnie poczerwieniał.

— To nie jest... Nie wiem, czy „wiadomość” to właściwe określenie...

— Mniejsza o to, jak ją nazwiemy. Po prostu niech mi ją pan pokaże. Chyba że zbytnio pana zawstydzą.

Był bowiem teraz czerwony jak piwonia.

— Ten liścik nie tylko mnie nie zawstydzą — wydukał — ale jest dla mnie źródłem dozgonnej dumy. Być adresem tego... tego...

A jednak był zawstydzony, bo po wyjęciu z kieszeni na piersi pachnącej karteczki położył ją na łóżku i odwrócił się do mnie plecami, kiedy czytałem treść:

*Elizjum serca megoś ty*

*Drogi mój, na wieki*

*Goreją we mnie gwiazdne sny*

*A we dnie, unosząc powieki*

*Rada wchodzę do miłości twej rzeki.*

— Urocze — podsumowałem. — No i jakże finezyjnie...

Przerwał mi jednak, bo nie potrzebował egzegezy tego wiersza.

— Landor, nie mam pojęcia, co zrobić z takim prezentem. Jest za bardzo... Jest... — Uśmiechnął się trochę smutno i przebiegł palcami po brzegach karteczki. — Wie pan, to jest pierwszy wiersz, jaki dla mnie napisano.

— W takim razie wyprzedza mnie pan o jeden wiersz.

Maleńkie białe zęby błysnęły moim kosztem.

— Biedny Landor! Nie poświęcono panu ani jednego wiersza? — Uniósł brew. — I żadnego pan nie napisał, tego możemy być pewni.

Niewiele brakowało, abym go skorygował. Bo widzisz, Szanowny Czytelniku, pisałem kiedyś wiersze. Dla mojej córki, kiedy była jeszcze bardzo mała. Głupkowate rymowanki, które kładłem na jej poduszce: „Piaskun tutaj stanął / Powiedzieć ci dobranoc / Przesyła ci całusa / Bo w dalszą drogę rusza”. Z pewnością nie zasługiwały na miano poetyckich arcydzieł. W każdym razie wyrosła z nich.

— Niech pan się nie martwi, napiszę kiedyś dla pana wiersz, Landor. Uwiecznię pana imię.

— Byłbym niepomernie wdzięczny — odparłem. — Ale na razie powinien pan dokończyć to, co pan zaczął.

— Chodzi panu o...

— O tę historię z dziewczyną o błękitnych oczach.

— Tak — powiedział i przyjrzał mi się uważnie.

Odwzajemniłem jego spojrzenie, a potem powiedziałem z jęknięciem:

— No dobra, dawaj pan!

— Co?

— Najnowszą strofę. Na pewno ma ją pan przy sobie, przypuszczalnie razem z wierszem Lei.

Uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

— Czyta pan we mnie jak w książce, Landor! Wątpię, czy w całym wszechświecie jest tajemnica, której z pana niezwykłą przenikliwością nie rozgryzłby pan w ciągu...

— Tak, tak. Dawaj pan.

Pamiętam, jak troskliwie rozłożył kartkę na łóżku, jak by rozwijał całun Chrystusa. Wygładził wszystkie zmarszczki, a potem patrzył na nią z nabożną

czcią jak zakonnica na swojego Oblubieńca. Potem dał mi znak, żebym przeczytał.

*Uleciał trzepot upiorny  
Skrzydeł zaklętych  
Mara pajęczna.  
„Pospieszaj”, błagałem pokorny  
A ona milczy jak najęta  
Duszę swą zamęcza  
Rubaszna noc porwała  
Leonorę całą prócz  
Łez błękitnego oka  
Całą ją skalala prócz  
Agonii błękitnego oka.*

Nie skończyłem jeszcze czytać, a on już opatrywał wiersz komentarzem.

— Mieliśmy już sposobność zwrócić uwagę, Landor, jak bardzo podobne są do siebie imiona Lea i Leonora. Zauważyliśmy również, że obie mają niebieskie oczy. Zauważyliśmy sugestię niewysłowionego cierpienia — w pełni harmonizującą z zachowaniem Lei na cmentarzu. Teraz widzimy... — Urwał. Jego spoczywająca na kartce papieru dłoń zadrżała. — Widzimy, dokąd to prowadzi: do rychłego skonu. Stąd ta dramatyczna nagłość! Wiersz do nas *przemawia*, to widać na pierwszy rzut oka — oznajmia, że nadchodzi koniec.

— Co mamy zatem zrobić? Wysłać dziewczynę do klasztoru?

— Właśnie to jest najgorsze! — zawołał, wyrzucając ramiona w górę. — Nie wiem. Jestem tylko medium dla tego wiersza, nie potrafię przeniknąć jego głębszych znaczeń.

— O, „medium” — burknąłem. — Powiedzieć coś panu, Poe? To pan jest autorem tego wiersza. Nie pańska matka, niech spoczywa w pokoju. Nie jakiś nadprzyrodzony wierszokleta. Pan. — Splótł ramiona na piersiach i usiadł na



fotelu bujanym. — Niech pan trochę wyteży swoje umiejętności analityczne. Lea noc i dzień siedzi panu w głowie. W świetle pana krótkiej znajomości z nią ma pan powody obawiać się o jej bezpieczeństwo. Obawa ta naturalną kolejną rzeczą znalazła drogę do pana ulubionej formy wyrazu: do wiersza. Po co szukać dalej?

— To dlaczego nie mogę go przywołać za każdym razem, kiedy tego chcę? Dlaczego miałbym nie móc tu i teraz napisać czwartej strofy?

Wzruszyłem ramionami.

— Wy, poeci, macie *muzy*, a muzy uchodzą za stworzenia kapryśne.

— Och, Landor — powiedział, szarpiąc głową — znamy się już dostatecznie długo, aby pan wiedział, że nie wierzę w muzy.

— W takim razie w co pan wierzy?

— W to, że nie jestem autorem tego wiersza.

Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. On tkwił niewzruszony jak skała w swoim przekonaniu, a ja krążyłem po pokoju, sądząc, że jedyne, co mnie w tej chwili zajmuje, to kwestia, dlaczego padające na moją twarz pasy światła i cienia mają jednakową temperaturę. W rzeczywistości ważyła się we mnie pewna decyzja.

— Dobra — powiedziałem w końcu. — Skoro pan nalega, żebyśmy potraktowali to wszystko poważnie, to przyjrzyjmy się temu jeszcze raz. Potrafiłby pan przypomnieć sobie dwie pierwsze strofy?

— Oczywiście. Są wypalone w mojej pamięci.

— Mógłby je pan zapisać? Na tej kartce, nad trzecią.

Posłuchał mnie bez wahania i skrobał sumiennie, aż górna połowa kartki była zapisana, po czym znowu usiadł.

Przez jakiś czas studiowałem rezultat. A jeszcze dłużej samego Poego.

— O co chodzi? — spytał i oczy mu się rozszerzyły.

— Dokładnie tak, jak sądziłem — powiedziałem. — To wszystko jest alegoria pana umysłu. Przyodziany w poetyckie metrum zły sen, nic więcej.

Wypuściłem kartkę z dłoni. Kołysała się w powietrzu jak zabawkowa

łódeczka w korycie z wodą, a kiedy spadła na łóżko, jeszcze przez chwilę lekko dygotała.

— Wypowiadam się oczywiście tylko jako czytelnik — zacząłem — ale uważam, że przydałoby się kilka zmian redakcyjnych. O ile pańska matka się nie sprzeciwi.

— Zmiany redakcyjne? — zapytał z uśmiechem na ustach.

— Na przykład cóż to znaczy, że noc jest „rubaszna”? Klepie Leonorę po tyłku?

— Być może według literalnie usposobionego czytelnika.

— I na czym miałyby polegać skalanie „agonii błękitnego oka”?

— Przecież agonia nie została skalana.

— Ale sugeruje pan, że mogła.

— Brakuje panu wyobraźni poetyckiej.

— Aha, i to imię, jak je pan uzasadnia? *Leonora*, błagam pana, cóż to za imię?

— Jest... melodyjne. Jest anapestyczne.

— Nie, ja panu powiem, jakie to imię: takie, które istnieje tylko w wierszach. Jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego tacy ludzie jak ja czytają tak cholernie mało wierszy, to właśnie z powodu takich imion jak *Leonora*.

Z rozchylonymi ustami porwał kartkę z łóżka i włożył do kieszeni płaszcz. Wszystko się w nim gotowało — można było prawie zobaczyć, jak bije od niego para.

— Nie przestaje mnie pan zaskakiwać, Landor. Nigdy nie sądziłem, że jest pan takim autorytetem od języka.

— Daj pan spokój.

— Myślałem, że nie ma pan czasu na takie błażostki. Teraz widzę, że pański intelekt nie uznaje żadnych barier. Nie ma obszarów wiedzy, w których ludzie nie mogliby się od pana czegoś nauczyć.

— Ja tylko rzuciłem kilka uwag...

— Rzucił pan tyle uwag, że najzupełniej mi wystarczy — powiedział,

poklepując się po kieszeni, do której schował kartkę. — Więcej nie będę pana kłopotał. Może pan być pewien, że w przyszłości zachowam swoje wiersze dla siebie.

Nie było teatralnego wyjścia z pokoju. Nie od razu. Został jeszcze godzinę, o ile dobrze pamiętam, ale to było prawie tak, jakby wyszedł natychmiast. I myślę, że właśnie dlatego nie opowiedziałem mu, co się wydarzyło w garderobie Artemusa. Bo kto miałby ochotę wkładać takie wieści do głuchego ucha?

(Albo chodziło mi o coś innego: może podświadomie chciałem potrzymać go trochę w niewiedzy).

Bardzo szybko zapadła głęboka, gęsta cisza, a ja myślałem z irytacją, że nie musiałem przyjeżdżać aż do West Point, aby nie mieć z kim zamienić słowa, wystarczyło zostać w Buttermilk Falls... aż tu nagle Poe wstał i wyszedł bez słowa.

Nie trzasnął drzwiami, lecz zostawił je uchylone. Kiedy wrócił po jakiejś godzinie, nadal były otwarte. Klatka piersiowa mu drżała, zatkany nos furkotał, a goła głowa była cała ośnieżona. Stąpał cicho, prawie na palcach, jakby się bał, że mnie obudzi. Potem uraczył mnie tym swoim słodkokwaśnym uśmiechem i obróciwszy po wielkopańsku dłonią, powiedział:

— Bardzo mnie to boli, Landor, ale wygląda na to, że będę musiał przeprosić dwa razy w ciągu jednego wieczoru.

Powiedziałem mu, że nie ma takiej potrzeby. Powiedziałem mu, że to wszystko moja wina, że nie należało się mieszać do tego całkiem zachwycającego wiersza — no, może nie zachwycającego, to chyba nie jest właściwe słowo, ale... bardzo poetyckiego, na pewno rozumie, do czego zmierzam.

Pozwolił mi jeszcze trochę pobajać w tym duchu, zapewne nie było to dla niego bardzo przykre, ale ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że nie po to wrócił. Nie chodziło mu też o kolejną szklankę Monongaheli, za którą

podziękował nieznacznym ruchem nadgarstka. Usiadł na podłodze i objął rękami kolana. Wpatrując się w bawełniany dywan w złote i zielone lilijki, powiedział bardzo cicho:

— Niech to szlag, Landor, jeśli pana stracę, to jakbym stracił wszystko.

— E, tam, Poe, nadal zostałyby panu mnóstwo rzeczy, dla których opłacałoby się żyć. No i miałby pan mnóstwo wielbicieli i wielbicielek.

— Ale nie miałbym nikogo, kto byłby dla mnie tak dobry jak pan. Niech pan nie protestuje, bo to prawda! Ktoś tak wybitny i prawy jak pan pozwala mi godzinami bajdurzyć na wszelkie możliwe tematy. Wylałem przed panem całą zawartość serca, umysłu i duszy, a pan — złożył dłonie w miseczkę — wziął to wszystko na przechowanie. Jest pan dla mnie lepszy niż ojciec i traktuje mnie jak *mężczyznę*. Nigdy tego nie zapomnę. — Uściskawszy kolana na pożegnanie, zerwał się na nogi i podszedł do okna. — Oszczędzę panu dalszej ckliwości. Wiem, że pan za nią nie przepada. Ale chcę jeszcze złożyć pewne przyrzeczenie: nigdy więcej nie dopuszczę do tego, aby zazdrość albo... duma zagroziła naszej przyjaźni. To zbyt cenny dar. Obok miłości Lei to najcenniejszy dar, jaki otrzymałem od przyjazdu do tego przeklętego miejsca.

„Dobre uczynki nigdy nie idą na marne” — pomyślałem. Już wiedziałem, że gdybym chciał się go pozbyć, to musiałbym zrobić coś znacznie gorszego niż skrytykować poezję jego matki. Musiałbym wymyślić coś niewybaczalnego.

Zanim wyszedł, powiedziałem:

— Jeszcze jedna rzecz, Poe.

— Tak?

— Czy Artemus wychodził z salonu, kiedy ja byłem na górze z doktorem Marquiselem?

— Tak — odparł powoli. — Chciał zajrzeć do matki.

— Jak długo go nie było?

— Nie więcej niż kilka minut. Dziwne, że go pan nie widział.

— Czy po powrocie wyglądał jakoś inaczej?

— Tak, sprawiał wrażenie poruszonego. Wyjaśnił nam, że pani Marquis była nieznośna i tak go zdenerwowała, że dla uspokojenia musiał wyjść na zewnątrz. I rzeczywiście stał z czoła trochę śniegu, kiedy wszedł do salonu.

— Widział pan śnieg na jego czole?

— W każdym razie coś stał. Chociaż... Tak, to dziwne...

— Co?

— Na butach nie miał śniegu. Kiedy teraz o tym myślę, Landor, to dochodzę do wniosku, że wyglądał dokładnie tak, jak pan, kiedy pan wrócił na dół.

# Opowieść Gusa Landora

28

*7 grudnia*

S pędziwszy zbyt wiele godzin w jednym pokoju hotelowym, Poe i ja podjęliśmy pewnego wieczoru pochopną decyzję: spotkamy się pod osłoną ciemności u Benny’ego Havensa. Od mojej poprzedniej wizyty u Benny’ego minęły tygodnie, ale tak to już jest w tym lokalu, że nikt nie okazuje zdziwienia, kiedy się tam wpada, niezależnie od tego, ile czasu minęło od poprzedniej wizyty. Mięśnie szczęki Benny’ego mogą leciutko zadrzeć, Jasper Magoon może wyrazić życzenie, abyś przeczytał mu „New York Gazette & General Advertiser”, planujący atak na przejście północno-zachodnie Jack de Windt może unieść w twoim kierunku brodę, ale nikt nie robi rabanu, nikt nie zadaje pytań, „Wejdz, Landor, puszczamy w niepamięć, że długo cię nie było”.

Przypuszczalnie tylko ja odczuwałem moją nieobecność. Wszystko, co znajome, znowu wydawało się nowe. Kolonia myszy zamieszkujących wnękę tuż przy tablicy z rzutkami — nie pamiętałem, żeby wcześniej tak hałasowały. Mokre buty barmanów — czy zawsze tak skrobały o kamienną posadzkę? A wszystkie te wilgotne zapachy — pleśni, wosku świec i rozmaitych substancji, które potajemnie fermentowały na podłogach i ścianach — wnikały we mnie, jakbym zanurzał głowę w nieużywanej studni.

A tam Patsy wciska do fartucha resztki szynki i spokojnie dopija cydr ze szklanki mechanika. Wydawało mi się, że patrzę na nią po raz pierwszy.

— Wieczór, Gus — powiedziała spokojnie.

— Dobry wieczór, Patsy — odpowiedziałem.

— Landor! — zawołał Benny, pochylając się nad kontuarem. —

Opowiadałem ci już ten o musze? Która wleciała trzem panom do piwa? Pierwszy z nich to Anglik, więc jako człowiek delikatny z niesmakiem odsuwa od siebie szklankę. — Głos Benny'ego też wydawał się nowy. Albo docierał do mnie inną drogą, nie uszami, ale przez skórę, tak jakby się przez nią przekłuwał. — Irlandczyk wzrusza ramionami i pije piwo, nie? Co go obchodzi, że jest w nim mucha? — Próbowałem wytrzymać jego spojrzenie, lecz nie potrafiłem, jego oczy były za gorące. Wpatrywałem się więc w kontuar i cierpliwie czekałem. — No a Szkot — zawołał Benny swoim poważnym, ostrym głosem — wyjmuję muchę ze szklanki i wrzeszczy: „Wypluj to, draniu!”.

Jasper Magoon ryknął tak mocno, że wykrztusił ćwierć szklanki dżinu, a barman podchwycił śmiech i przekazał go w głąb sali, gdzie podchwycił go z kolei Asher Lippard i przekazywał dalej, stajennemu, woźnicy i innym. Blaspany sufit i kamienna podłoga zadźwięczały, a śmiech ciągle się rozprzestrzeniał, aż w końcu utworzył tapiserię dźwięku, do której nie pasowała tylko jedna nić — wysoki, piskliwy, zasupłany śmiech, który wybijał się ponad inne jak wołanie zgłodniałego indyka. Usiłowałem go przyporządkować do któregoś z gości, dopóki sobie nie uświadomiłem, że to ja się tak śmieję.

Poe i ja chcieliśmy stworzyć wrażenie, że spotykamy się przypadkiem, więc kiedy przybył jakieś dwadzieścia minut przed północą, z demonstracyjnym zdziwieniem wymieniliśmy się okrzykami „O, pan Poe!” i „O, pan Landor!”. Z obecnej perspektywy zadaję sobie pytanie, jaki to miało sens. Patsy już wiedziała, że Poe dla mnie pracuje, a reszta nie miałaby nic przeciwko temu. Trudno zresztą byłoby im odróżnić Poego od wszystkich innych przemoczonych kadetów z czerwonymi oczami, którzy przyłazili tutaj wieczorami. Nie, jedyną osobą, która mogłaby nam przysporzyć zmartwień, byłby inny kadet, a tego wieczoru szczęśliwie nie zjawił się żaden student Akademii. Oznaczało to, że zamiast czaić się w jakimś ciemnym kącie ze

zdmuchniętą lampą, mogliśmy usiąść przy ogniu, poczęstować się ponczem Benny'ego i poczuć prawie tak samo swobodnie, jak w moim pokoju hotelowym: dwóch starych kawalerów odbębnia kolejne dni życia, jakie im jeszcze zostały.

Tego wieczoru Poe postanowił mówić o panu Allanie. Jak przypuszczam, skłonił go do tego niedawno otrzymany list od pana Allana, który wspomniał o odwiedzinach — oczywiście pod warunkiem, że uda mu się znaleźć statek, który go zabierze w górę rzeki, oraz szypra, który nie zedrze z niego ostatniej skóry.

— Widzi pan? — zawołał Poe. — Zawsze to samo, odkąd byłem dzieckiem. Trzeba oszczędzać na każdym wydatku. A jeśli nie oszczędzać, to wziąć pod lupę i potem bez końca narzekać, że było tak drogo.

Od dnia, w którym pan Allan wziął Poego do swojego domu, sprzeciwiał się temu, aby jego podopieczny nosił się i edukował jak dżentelmen. Na milion dużych i małych sposobów Allan wszystkiego mu odmawiał. Kiedy Poe potrzebował pomocy z publikacją pierwszego tomiku wierszy, Allan mu powiedział: „Ludzie genialni nie powinni zwracać się do mnie o pomoc”. A kiedy potrzebował pięćdziesięciu dolarów na opłacenie zastępstwa w armii, czyż Allan nie zwlekał i nie zwodził go tak długo, że sierżant Bully Graves do dzisiaj domaga się zapłaty (Bully był nieugięty jak każdy wierzyciel)... A tak się nie godzi, to po prostu niesprawiedliwe, żeby tak dręczyć wrażliwego młodego człowieka.

Poe łyknął ponczu i rzekł:

— Mówię panu, Landor, ten człowiek nie wie, czego chce: domaga się ode mnie, abym dążył do największych laurów, a jednocześnie niszczy wszelkie moje nadzieje na awans społeczny. Niby ciągle mówi do mnie „Stań na własnych nogach”, „Nigdy nie opuszczaj się w obowiązkach” itd., ale tak naprawdę chce mi powiedzieć: „Dlaczego miałbyś dostać to, czego ja nie dostałem?”. Wie pan, Landor, że kiedy wysłał mnie na Uniwersytet Wirginii,



dał mi tak mało pieniędzy, że po zaledwie ośmiu miesiącach musiałem opuścić szkołę!

— Po ośmiu miesiącach... — powiedziałem z nieznacznym uśmiechem. — Mówił pan, że studiował pan tam trzy lata.

— Nie studiowałem.

— Ależ studiował pan, Poe.

— Błagam, Landor! Jak mogłem tam wytrwać trzy lata, skoro ten człowiek od pierwszego dnia skąpił mi na najpotrzebniejsze wydatki? Niech pan popatrzy na tę szklankę ponczu. Mówię panu, gdyby to pan Allan miał za niego zapłacić, zażądałby ode mnie zwrotu w formie uryny.

Pomyślałem wtedy o Szkocie Benny'ego, który próbuje odzyskać od muchy swoje piwo, i uznałem, że powtórzę ten dowcip Poemu, ale on stał już i z filuternym uśmiechem oznajmił, że musi mnie na chwilę przeprosić:

— Dołożę swoje co nieco, żeby rzeka nie wyschła.

Roześmiał się i długim krokiem ruszył w stronę drzwi, prawie zderzając się z Patsy, którą bardzo długo przeproszał i chciał uchylić w jej stronę kapelusza, zanim sobie przypomniał, że nie ma na głowie kapelusza. Patsy go zignorowała i podeszła do naszego stolika, aby posprzątać tysiące okruchów i małych kałuż, które przez ten krótki zostawiliśmy po sobie razem z Poem. Wycierała stół długimi, spokojnymi pociągnięciami, z taką samą gospodarną precyzją, jaką wykazywała w mojej kuchni. Już zapomniałem, jakie to czarujące.

— Jesteś dzisiaj taka milcząca.

— Dzięki temu lepiej słyszę.

— Po co zawracać sobie głowę słuchaniem, skoro można... — moja ręka powędrowała pod stół — ...skoro można pomacać.

Zatrzymało mnie jej ramię. Nie tego kawałka jej anatomii szukałem, ale wystarczyło i to — wystarczył ten jeden skrawek skóry, aby ciarki przeszły mnie całego. Zalały mnie wspomnienia naszego ostatniego razu, jej bujnej, białej dorodności... jedyne w swoim rodzaju cedrowego zapachu. Poznam

go za tysiąc lat, jeśli wciąż będę miał nos. Czasem sobie myślę, że to, co ludzie — tacy jak Poe — nazywają duszą, sprowadza się właśnie do tego: zapachu, grupki atomów.

— Chryste — powiedziałem pod nosem.

— Przepraszam cię, Gus, nie mogę zostać, dzisiaj... w kuchni mamy straszne urwanie głowy...

— Mogłabyś przynajmniej na mnie spojrzeć? — Uniosła ku mnie swoje cudowne czekoladowe źrenice, ale po chwili uciekła z oczami na bok. — O co chodzi?

Dźwignęła ramiona, które tworzyły teraz mur po obu stronach jej szyi.

— Nie trzeba było brać tego śledztwa.

— Nie bądź śmieszna — odparłem. — To tylko praca, nic więcej. Jak każda inna.

— Nie — powiedziała i zerknęła w stronę kontuaru. — Nie jak każda inna. Zmieniła cię. Widzę to w twoich oczach: już cię tam nie ma.

Cisza spadła na nas jak wiatr i nie mogliśmy nic w tej sprawie zrobić. Wiesz, jak to jest, prawda, Szanowny Czytelniku? Myślisz, że coś się ułożyło w trwałą konstelację, a tymczasem tej konstelacji nigdy nie było...

— W takim razie to w tobie musiało się coś zmienić, a nie we mnie — zaprotestowałem. — Nie udaję, że to rozumiem, ale mogę...

— Nie — upierała się. — To nie ja się zmieniłam.

Chcąc, nie chcąc, patrzyłem teraz na tył jej głowy.

— Pewnie dlatego po mnie nie posyłałaś.

— Przecież wiesz, że mam pełne ręce roboty u mojej siostry.

— A ze swoimi kadetami też masz pełne ręce roboty?

Ani drgnęła. Ledwo dosłyszalnym głosem powiedziała:

— Myślałam, że to ty jesteś za bardzo zajęty, Gus.

Zacząłem wstawać.

— Nie tak bardzo zajęty, żebym nie mógł...

Tylko tyle zdążyłem powiedzieć, zanim do naszej rozmowy wtargnął Poe.

Na zewnątrz rozdygotany z zimna, w środku płonący od alkoholu, nie zwracał uwagi na nic ani na nikogo poza sobą samym. Usiadł, zatarł dłonie i jęknął:

— Dobry Boże! Moja wirginijska krew jest za rzadka na tutejsze zimy. Bogu niech będą dzięki za koktajl, Bogu niech będą dzięki — tylko parę łyčzków, Bóg zapłać — Bogu niech będą dzięki za panią, Patsy! Jakże rozjaśnia pani swoim blaskiem te ponure, monotonne godziny! Muszę kiedyś napisać dla pani sestynę.

— Tak, ktoś powinien to zrobić.

— Ktoś — zgodziła się. — Masz rację. Byłoby cudownie, panie Poe.

Z długim, świszczącym westchnieniem patrzył, jak Patsy się oddala, a potem pochylił głowę nad szklanką i mruknął:

— Wszystko na nic. Każda spotkana przeze mnie kobieta, choćby najurodziwsza, kieruje moje myśli ku Lei. Nie potrafię myśleć o nikim innym, nie potrafię żyć, jak tylko dla niej. — Rozgrzał w gardle trochę alkoholu. — Och, Landor, kiedy spojrzę na to biedne, nieszczęsne stworzenie, którym byłem, zanim ją spotkałem, widzę nieboszczyka. Maszeruje w lewo i w prawo, odpowiada, kiedy się do niego mówi, wykonuje wszystkie obowiązki, ale jest martwy, zupełnie martwy! Ta kobieta mnie wskrzesiła i nareszcie żyję, ale jakim kosztem! Cóż to za ból znaleźć się pośród żywych! — Wsparł podbródek na złączonych dłoniach. — Ale czy wróciłbym do poprzedniego stanu, Landor? Nigdy! Lepiej znosić te męczeńskie cierpienia niż powrócić do krainy umarłych. Nie mogę wrócić — i nie wrócę. A przecież... O Boże, Landor, co ja mam robić?

Opróżniłem szklankę, postawiłem na stole i odsunąłem od siebie.

— Niech pan przestanie kochać — powiedziałem. — Niech pan nie kocha nikogo.

Obrazilby się, gdyby był trzeźwiejszy albo miał więcej czasu na odpowiedź, ale w tym momencie tylnymi drzwiami wpadł do karczmy wielebny Asher Lippard.

— Oficer! Od strony lądu!

Lokal Benny'ego Havensa... Chciałem powiedzieć, że eksplodował, ale nie oddawałoby to sprawiedliwości stopniowi uporządkowania całego proceduru. Takie rzeczy działy się w karczmie co najmniej raz na tydzień. Jakiś „niebieski” od Thayera robił niezapowiedziany nalot, a osoba, która zauważyła go jako pierwsza — tego dnia był to Asher — wszczyła alarm i wszystkich kadetów, którzy urwali się tego wieczoru z jednostki, wyrzucano za drzwi i przeganiano nad rzekę. Tak też się stało tego wieczoru z Poem. Patsy rzuciła mu płaszcz i postawiła go na nogi, Benny przeciągnął go od kominka do drzwi, a pani Havens wypchnęła go na zewnątrz i zatrzasnęła za nim drzwi. Tak sprawnie przekazywano go z rąk do rąk, że przypominał odbijający się od powierzchni wody płaski kamień.

Pozostali również mieli swoją rolę do odegrania w tym manewrze. Mieliśmy pozostać na swoich miejscach aż do pojawienia się oficera i spojrzeć na niego otępiałym, zdezorientowanym wzrokiem, kiedy nas zapyta, czy w karczmie byli jacyś kadeci. Jeśli oficer nie miał w tym doświadczenia, mamrotał coś niewyraźnie i w swoim czasie opuszczał lokal (niektórzy mogli przed wyjściem czegoś się napić).

Czekaliśmy więc na dzisiejszego oficera... ale drzwi ani drgnęły. W końcu otworzył je Benny — od środka. Postawił krok w ciemności i wyciągnął szyję.

— Nikogo tam nie ma — powiedział ze zmarszczonym czołem.

— Nie sądzisz chyba, że odcięli mu nad rzeką drogę? — zapytał Jack de Windt.

— Na pewno byśmy coś usłyszeli. Powiedz nam, Asher, dlaczego ci się wydawało, że widzisz oficera?

Myszowate oczy Ashera zwęziły się w szparki.

— Dlaczego mi się wydawało? Chryste, za kogo ty mnie masz, Benny? Myślisz, że nie umiem rozpoznać belki?

— Belki, powiadasz?

— Oczywiście. Trzymał lampę w górze, o tak, belka aż biła po oczach. I była dokładnie tam, gdzie powinna: na ramieniu.

— A widziałeś coś jeszcze oprócz ramienia? — spytałem.

Z twarzy Ashera stopniowo zniknęła pewność, a oczy myszkowały w lewo i w prawo.

— Nie, Gus. To przez tę lampę. Tak ją trzymał, że widać było tylko belkę.

Zaczął padać drobny, lodowaty deszcz — taki sam jak w noc, kiedy zabito Ballingera. Zrosił już klamkę drzwi wejściowych, perlił się na gałęziach krzewów... i połyskującą skórą powlekł schody, które prowadziły do głównej drogi.

Postawiłem stopę na pierwszym schodku i czekałem. A może tylko słuchałem, bo noc srebrzyła się od dźwięków. Cichy szum wiatru, podobny do trzepotu skrzydeł nietoperza, szelest klonu cukrowego, a tuż nade mną, w koronie wyłysiałej brzozy, wrona — czarna na czarnym tle — która skrzeczała i krakała.

Ciemności! Jedyne oświetlenia dostarczała pochodnia na ścianie karczmy i jej odblaski w zamarzniętej kałuży, pochłaniane przez kępę jałowca. Wyśmienite lustro, które pokazało mi moją własną twarz. Wciąż na nią patrzyłem, kiedy usłyszałem zbliżający się schodami klekot, jakby toczyła się po nich kulka.

Nie było to dźwięk wydawany przez naturę. Za bardzo ludzki. Za bardzo przypominał odgłos kogoś, kto ucieka.

Może gdybym był wyuczony jakiegoś innego zawodu, gdybym nie przepracował połowy życia jako policjant, nie rzuciłbym się w pogoń. Ale kiedy ktoś uprawia ten fach co ja i ktoś przed nim ucieka, to nie ma innego wyjścia, jak tylko go ścigać.

Wczołgałem się na czworakach po oblodzonych schodach i znów stanąłem na drodze do West Point. Na północy zobaczyłem... Nie, to nie miało nic wspólnego z widzeniem — *poczułem* w ciemnościach jakieś poruszenie, jakieś zamieszanie. Nogi, ramiona, głowa. To była tylko intuicja, ale kiedy ostrożnie ruszyłem w tym kierunku, szybko uzyskałem potwierdzenie: chlupiący odgłos butów.

Nie mając pod ręką lampy, musiałem się zdać na ten dźwięk, który wysmienicie wywiązywał się jednak z roli przewodnika. Szedłem jak najciszej, usiłując utrzymać tę ciemną postać w zasięgu słuchu, dopasować do niej tempo marszu. Najwyraźniej się przybliżałem, bo tupot był coraz głośniejszy, a potem nie dalej niż dziesięć metrów ode mnie parsknął koń.

To wszystko zmieniało, bo wiedziałem, że jeśli uciekinier wskoczy na konia, to nie zdołam ściągnąć go na ziemię.

Wiedziałem też, że błędem byłoby rzucić się teraz na niego. Najlepiej poczekać na moment, kiedy będzie dosiadał swojego wierzchowca — każdy jeździec jest wtedy najmniej bezpieczny — zanim zaryzykuję.

Tym razem przynajmniej widziałem trochę więcej niż w garderobie Artemusa. Moje oczy zyskały kilka minut na oswojenie się z ciemnością i widziałem fioletowe boki konia, który otrząsał się z lodu. Widziałem też zarys ludzkiej postaci, która chwyciła za łęk siodła.

I coś jeszcze: biały pasek, który rozdzielał ciemność na dwie połowy.

A ponieważ był to najwyraźniejszy element obrazu, właśnie na ten biały pasek się rzuciłem i objąłem go ramionami. I nie puściłem, kiedy ciało nieznajomego ugięło się pod ciężarem mojego.

Zaczęliśmy się staczać w dół. Droga stromo w tym miejscu opadała i nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko podążać jej torem. Błoto mnie przysysało, kryształki lodu uderzały mnie w twarz, kamyki wbijały mi się w plecy. Usłyszałem krótkie jęknięcie — nie swoje — a potem poczułem nacisk dwóch pięści na moje oczy. W moich oczodołach eksplodowały gwiazdy bólu, a moje plecy łomotały o kamienie. Kiedy dotarliśmy na sam dół i znieruchomieliśmy, znowu poszukałem białego paska, ale znalazłem tylko ciemności.

Były to jednak ciemności zupełnie inne od ciemności nocy i chcąc nie chcąc, musiałem się w nich pogрузić. Kiedy się z nich wynurzyłem, leżałem w poprzek drogi, a moja głowa miotła się wściekle jak zamknięta w słoiku mucha. W oddali usłyszałem kopyta, które galopowały na północ.

„Brawo — pomyślałem — znowu przegrałeś”.

To była moja wina, bo sądziłem, że mamy do czynienia z jednym tylko przeciwnikiem. A tymczasem od początku był ktoś jeszcze. Ktoś, kto umiał zadać ogłuszający cios.

Dopiero pół godziny później, kiedy zataczającym się krokiem wróciłem do karczmy Benny'ego, gdzie pani Havens opatrzyła mi głowę, a moi sympatyczni przyjaciele zafundowali mi darmową kolejkę, zauważyłem coś, co bez mojej wiedzy owinęło mi się wokół rękawa płaszcza. Jedyna zdobycz, którą przyniosła mi ta walka: pasek wykrochmalonego materiału, oblepiony błotem i gałązkami. Koloratka.

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

*8 grudnia*

**M**ój drogi Landorze, pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, jak udało mi się wczoraj wieczorem zbiec z lokalu pana Havensa. Jak się pan zapewne domyśla, droga ucieczki przebiegała wzdłuż rzeki. Jednak w warunkach obludzenia mój marsz przez ten wąski pas terenu był wyjątkowo niepewny i niebezpieczny. Wielekroć potknąłem się i ledwo uniknąłem kąpieli w mroźnych odmętach Hudsonu. Zachowanie pozycji wyprostowanej i ciągłego ruchu wymagało ode mnie pełnej mobilizacji siły, zręczności i sprytu.

Przyznaję, że należało staranniej wybrać trasę, ale moja rozgorączkowana wyobraźnia uroiła sobie, że zostałem „nakryty” przez władze. Rzecz jasna, nie zaniedbałem zwyczajowych środków ostrożności i upozorowałem ludzki kształt pod pościelą, ale wiedziałem, że wystarczy odsunąć kołdrę, aby zdemaskować moją prymitywną mistyfikację. To by zaś oznaczało areszt i konieczność stawienia się przed trybunałem pułkownika Thayera — po monotonnej litanii moich rozlicznych wykroczeń zapadłby nieodwołalny wyrok, odczytany dobitnym, grzmiącym głosem.

Wydalenie ze służby!

Nie boję się utraty statusu kadeta. Na karierze w najmniejszym stopniu mi nie zależy. Ale zostać na zawsze przepędzonym z bieguna magnetycznego mojego serca! Nigdy więcej nie zaznać blasku jej oczu — nie, nie, nie! To być nie może!

Wydłużyłem zatem krok i przyspieszyłem. Według moich obliczeń było między wpół do drugiej a drugą, kiedy moje wysiłki wynagrodził widok Gee Point. Ponieważ znajdowałem się na skraju wyczerpania, odpocząłem chwilę,



zanim przystąpiłem do wspinaczki na ostatnie wzniesienie. Bez dalszych przygód dotarłem do drzwi Koszar Południowych, gratulując sobie szczęścia.

Zatrzymałem się po raz drugi, aby sprawdzić teren, po czym wszedłem na klatkę schodową. Drzwi zatrzasnęły się za mną z wielkim hukiem i spowiła mnie smolista czerń, która przesłoniła ciemności nocy. Wydawało mi się, że słyszę — tak! znowu! — ten cichy, głuchy, szybki dźwięk, pulsowanie zarazem tak podobne i tak odmienne od kołatania ludzkiego serca. „Czy to moje serce?” — dumałem. „Czy też moje wciąż słyszalne dyszenie znalazło odzew w napiętym jak struna powietrzu, tak jak pałeczka dobosza znajduje odzew w napiętej skórze bębna?”

Nic się nie poruszało, ale ze wszystkich stron czułem, że jestem obserwowany. Wyczuwałem oczy, które osmalały mnie swoim diabelskim płomieniem.

Jakże surowo skarciłem sam siebie! Z jakąż wściekłością rozkazałem moim opornym członkom, aby się poruszyły! Jeden krok — potem następny — i jeszcze następny. I nagle, jak wezwanie z innego świata, zabrzmiało moje nazwisko:

— Poe.

Nie umiem powiedzieć, jak długo na mnie czyhał. Mogę tylko przekazać, że kiedy się do mnie przybliżył, usłyszałem cichy, rytmiczny dźwięk jego dyszenia, co skłoniło mnie do wniosku, że z prawie jednakową prędkością pokonał podobny dystans co ja!

Osaczony tysiącem sprzecznych wrażeń, zachowałem dostateczną przytomność umysłu i zapytałem, w jakim celu o tak późnej porze przybył do nie swoich koszar. Nie odpowiedział, nie podszedł bliżej — mimo to czułem, że jego wewnętrzne poruszenia wprawiają w drgania zamknięte w tej czarnej komnacie molekuly. Pozwoliło mi to wydedukować — może pan sobie wyobrazić, z jakim dreszczem grozy — że grawituje wokół mnie jakiś zimny, diabelski księżyc.

Z całą kurtuazją, na jaką umiałem się zdobyć, ponownie go poprosiłem, aby

mi wyjaśnił, z jakąż to pilną sprawą nie mógł poczekać do rana. Wreszcie, lodowatym, suchym, zgryźliwym głosem powiedział:

— Będiesz dla niej dobry, prawda, Poe?

Ach, jakże we mnie serce podskoczyło na dźwięk tego prostego zaimka osobowego! Mógł się odnosić tylko do światła mojego życia: do *niej*. Ośmielony uczuciami, które we mnie wezbrały, oświadczyłem z całą stanowczością, że wolałbym — o mało nie powiedziałem „wyrwać sobie serce z piersi”, Landor! — wolałbym odpiłować sobie nogi niż zadać jego siostrze najmniejszy ból.

— Nie, nie o to mi chodzi — powiedział cierpliwie. — Nie należysz do mężczyzn, którzy niecnie wykorzystują kobiety. Za tymi twoimi smutnymi oczami nie kryje się lump, prawda?

Poinformowałem go, że dla ludzi o takiej wrażliwości jak moja kryterium wdzięków fizycznych, według którego zwykle ocenia się płęć piękną, jest mniej istotne od walorów duchowych, na których łatwiej jest zbudować trwałe przywiązanie i harmonijne pożycie.

Tę płynącą prosto z serca deklarację Artemus skwitował szyderczym śmiechem.

— Tak właśnie myślałem — powiedział. — Sądzę... Nie chcę cię zawstydząć, Poe, ale mam podejrzenie, że jeszcze... jakby to ująć... nie oddałeś się kobiecie, prawda?

Jakże byłem wdzięczny za osłonę ciemności! Bo czyż moje rumieńce nie pały takim ogniem, że przyćmiłyby złoty rydwan boga Ra?

— Nie zrozum mnie źle, Poe — kontynuował Artemus. — Jest to jedna z twoich cech, które najbardziej mnie rozczulają. Masz w sobie jakąś niezłomną... *niewinność*, cenioną przez tych, którym jesteś drogi. Rzecz jasna, zaliczam do tego grona również siebie.

Po raz pierwszy widziałem jego twarz dostatecznie wyraźnie, aby zauważyć, że drżą mu wargi, że wzrok ma utkwiony w ciemnościach, a głowa

od czasu do czasu lekko się przekrzywia. Czego się z jego strony obawiałem? Całe jego oblicze tchnęło łagodnością i dobrą wolą.

— Poe — powiedział raz jeszcze.

I wtedy mnie dotknął, ale nie tak, jak mógłbym się spodziewać, jak żołnierz żołnierza — nie, chwycił mnie za dłoń i rozpostarł moje palce. Tonem, w którym zaduma walczyła o lepsze ze smutkiem, mruknął:

— Masz takie piękne dłonie, Poe. Prawie tak piękne jak dłonie kobiety. — Przynął moje palce do twarzy. — Dłonie kapłana.

A potem — drzę, tak! drzę, kiedy to piszę — przycisnął do nich usta.

Och, Landor, nie mam pojęcia, jak podsumować moje sprawozdanie, aby nie otoczyć Artemusa kolejnym cieniem podejrzenia, a przecież jakoś podsumować je muszę. Czy to możliwe, że w nocy swojej śmierci Leroy Fry opuścił koszary, aby udać się na schadzkę — moje pióro znowu drży na samą myśl — aby udać się na schadzkę nie z kobietą, jak do tej pory sądziliśmy, lecz z młodym mężczyzną?

# Opowieść Gusa Landora

29

*8 grudnia*

Zostaw na razie na boku pytanie Poego, Szanowny Czytelniku. Mam dla Ciebie inne. Dlaczego oczekiwałem od kapitana Hitchcocka współczucia? Dlaczego opowiedziawszy mu o moich przygodach w garderobie Artemusa i przed karczmą Benny'ego Havensa, oczekiwałem, że zapyta o moje zdrowie? Wyrazi troskę o moje bezpieczeństwo? Należało przewidzieć, że przyniesiona wiadomość za bardzo go zaprzątnie, aby przejmował się człowiekiem, który ją przyniósł.

— Jednego nie rozumiem — zaczął, uderzając pięścią w blat biurka. — Dlaczego nasz podejrzany, jeśli to on, miałby w ślad za panem opuścić jednostkę? W jakim celu?

— Pewnie po to, aby mnie śledzić. Tak jak ja śledzę jego.

Jeszcze zanim skończyłem mówić te słowa, przyszło mi do głowy inne wyjaśnienie: a może nasz tajemniczy człowiek wcale nie śledził mnie, lecz Poego?

Jeśli tak, to widział, jak Poe wchodzi do karczmy. Dowiedział się, że w tym samym czasie ja przebywałem w środku. I na tej podstawie mógłby wyciągnąć ciekawe wnioski na temat tego, co kadet Poe porabia podczas ciszy nocnej.

Rzecz jasna, nie mogłem się tym podzielić z Hitchcockiem, ponieważ przyznałbym w ten sposób, że zabrałem jego kadeta do karczmy, a co gorsza, piłem z nim alkohol. Jeszcze bardziej pograżyłoby mnie to w jego oczach.

— Coś mi się tu nie zgadza — mówił kapitan. — Jeśli to był ten sam człowiek, z którym pan się zmierzył w domu Marquisów, to dlaczego za

pierwszym razem usiłował pana zabić, a za drugim zostawił pana nieprzytomnego?

— Może w tym miejscu wkracza do akcji nasz drugi człowiek, który ma uspokajający wpływ na swojego kompana. A może po prostu chcą mnie solidnie nastraszyć.

— Ale jeśli naprawdę pan uważa, że Artemus jest w to wszystko zamieszany — powiedział Hitchcock — to jak możemy nadal zwlekać z aresztowaniem go?

— Kapitanie, nie udaję, że wiem, jak działa wojskowy wymiar sprawiedliwości, ale w Nowym Jorku nie możemy kogoś aresztować, o ile nie mamy przeciwko niemu twardych dowodów, a pozwolę sobie powiedzieć, że na razie ich nie mamy. — Zacząłem wyliczać na palcach dowody rzeczowe. — Mamy koloratkę, ale nie mamy księdza do kompletu. Mamy krew na mundurze Joshui Marquisa, ale nie wiadomo czyją — mój Boże, to może być krew z bitwy pod Maguagą! I gotów jestem założyć się o wszystkie pieniądze, że kadet Cochrane nie rozpozna tego munduru, tak jak nie rozpoznał go Asher Lippard. Widzieli tylko belkę.

Hitchcock zrobił rzecz bezprecedensową: nalał sobie sherry. Opłukał nią sobie zęby.

— Może pora wezwać Artemusa na oficjalne przesłuchanie — powiedział.

— Kapitanie...

— Przecież jeśli odpowiednio go przyciśniemy...

Miałem już dostatecznie duże rozeznanie w wojskowych zwyczajach, aby wiedzieć, że nie można tak po prostu odrzucić pomysłu, który wyszedł z ust oficera. Nie, najpierw starannie przesiewa się go przez sito, aby ostatecznie skonstatować z żalem, że nie zawiera złota. Zacząłem więc demonstracyjnie przesiewać.

— Oczywiście to pańska decyzja, kapitanie. Ze swej strony uważam, że Artemus jest zbyt szczwanym lisem, aby dać się złapać w takie sidła. Dobrze wie, że nie mamy smoły, którą moglibyśmy go oblepić. Wystarczy, że będzie

wszystkiemu zaprzeczał — z całą kurtuazją — i pozostanie dla nas nietykalny. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zastanawiam się również, czy nie dostarczymy mu dodatkowych atutów, jeśli oficjalnie wezwiemy go na przesłuchanie i nic z tego nie wyniknie.

Czyż nie potrafię być dyplomata, Szanowny Czytelniku, jeśli się postaram? Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Oczy Hitchcocka się zwęziły, a broda uniosła, kiedy odstawiał na biurko pustą szklanekę.

— To są jedyne powody, które pana powstrzymują, panie Landor?

— Jakie mógłbym mieć inne powody?

— Może się pan obawia, że Artemus pogrąży kogoś innego.

Zapadła długa cisza, w której rozbrzmiewały nasze stare spory. Usłyszałem ciche warknięcie, które wylało się z mojego gardła, kiedy odchylałem głowę do tyłu.

— Poe — powiedziałem.

— Zgodnie z pańską relacją tego wieczoru było tam *dwóch* mężczyzn.

— Tak, ale Poe...

„Ale Poe wrócił biegiem do West Point”.

Tak, znowu wmanewrowałem się w ślepy zaułek. Nie mogłem dostarczyć Poemu alibi, ponieważ nie mogłem przyznać, że w ogóle tam był. A także dlatego, że nagle szarpnęła mnie za rękaw inna zbłąkana myśl: „Skąd mogę być pewien, że wrócił do jednostki?”.

Wypuściłem powietrze z płuc. Pokręciłem głową.

— Nie mogę uwierzyć, że wciąż poluje pan na skalp tego chłopaka, kapitanie.

Hitchcock pochylił się ku mnie.

— Pozwoli pan, że pana w pewnej kwestii oświecę, panie Landor. Jedyne skalp, na który poluję, przywiera do czaszki mężczyzny — albo mężczyzn — który zabił dwóch moich kadetów. A jeśli pan sądzi, że jestem w tym pragnieniu osamotniony, to zapewniam pana, że mój cel dzielają oficerowie

ze wszystkich szczebli dowodzenia, łącznie z tym najwyższym, waszyngtońskim.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko unieść dłonie na znak kapitulacji.

— Błagam, kapitanie, jestem po pańskiej stronie. — Nie wiem, czy go udobruchałem, ale milczał przez dłuższą chwilę, a ja rozluźniłem mięśnie pleców. — Powiem panu, dlaczego się wstrzymuję — podjąłem w końcu. — Brakuje mi jednego elementu. Kiedy go znajdę, wszystko ułoży się w spójną całość. Ale zanim go znajdę, wszystko pozostanie niezrozumiałe, nieprzeniknione — i nikt nie będzie zadowolony: ani pan, ani ja, ani pułkownik Thayer, ani dowódca naczelny.

Musiałem jeszcze trochę ponegocjować, ale w końcu doszliśmy do porozumienia: Hitchcock wyznaczy kogoś (nie kadeta) do dyskretnego śledzenia poczynań Artemusa. Tym sposobem zapewnimy kadetom bezpieczeństwo, a jednocześnie nie narazimy na szwank mojego śledztwa. Hitchcock mi nie powiedział, komu planuje powierzyć to zadanie, a ja nie pytałem — nie chciałem wiedzieć — i kiedy dobiliśmy targu, uznał, że nie jestem mu już potrzebny, i wyprosił mnie następującymi słowami:

— Jutro rano oczekuję zatem kolejnego odcinka dziennika pana Frya.

Należało po prostu przytaknąć.

— Szczerze mówiąc, jutrzejsza porcja dotrze trochę później niż zwykle. Dziś wieczorem jestem umówiony na kolację.

— Doprawdy? Mogę zapytać, gdzie?

— U gubernatora Kemble'a.

Jeśli był pod wrażeniem, to nie okazał tego po sobie. I trzeba mu przyznać, że chyba nie był.

— Byłem raz u niego — rzucił. — Ten człowiek gada jak metodysta.

Gdyby kazać mu opisać gubernatora Kemble'a, Poe sięgnąłby do swojego worka z mitami: może Wulkan w swojej kuźni albo Jowisz ze swoimi piorunami. Ja za słabo znam mitologię, a za dobrze Kemble'a, jednego

z najmniej mitycznych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Człowiek ten posiadał pewną ilość tajemnic i pieniędzy — mniej więcej po równo — i wymyślał rozmaite sposoby na to, aby siać te pierwsze i zbierać drugie.

Umiejętność tę zdobył w Kadyksie, gdzie dowiedział się co nieco o produkcji armat. Po powrocie do kraju skierował kroki prosto do Cold Spring, a tam, nad brzegiem Margaret Brook, gubernator Kemble zbudował odlewnię. Zgrzyt, buchająca para, piekielny huk, pompy tłoczące i piece hutnicze. Magiczne miejsce. Do środka wlewają się dolary wuja Sama, a wylewają armaty i kule armatnie, kartacze i śrut, wały, korby, rury, koła zębate. Jeśli między Pensylwanią a Kanadą trafi się kawałek żelaza, którego nie zrobił gubernator Kemble, to nie zasługuje na zaufanie. Jeśli nie ma na nim pieczęci Odlewni West Point, należy je wyrzucić z tej błogosławionej doliny.

Odlewnia istnieje od tak dawna, że się ją już nie bardzo zauważa, a może powinienem powiedzieć, że zauważa się ją tak, jak żyły skalenia w głazie. Odlewnia organicznie wrosła w krajobraz. Ryk wielkiego pieca, potężny huk ośmiotonowego młota gubernatora Kemble'a — dźwięki te sprawiają wrażenie odwiecznych. Nawet lasy, które dzień po dniu trafiają do pieców Kemble'a — tak wiele ich zabrano i tak szybko, że wydaje się, iż zbocza wzgórz otrząsają się z nich jak z zadziórów — z pewnością to też trwa od wieków.

Ten sam gubernator Kemble, jako stary kawaler, łącznie ludzkiego towarzystwa. Raz w tygodniu na oścież otwiera dla wszystkich drzwi swojego domostwa i zaprasza ludzi, aby skosztowali owoców jego hojności. Są to przede wszystkim inni starzy kawalerowie, ale na jakimś etapie każdy, kto coś znaczy, musi się wyprawić do Marshmoor. Do grona stałych bywalców należy oczywiście Thayer, a także oficerowie Thayera, członkowie Rady Akademickiej Thayera i członkowie Rady Wizytatorów Thayera. I prawie każda przelatująca w okolicy kometa: malarze pejzażyści, pisarze powieści



brukowych, aktorzy, okazjonalni biurokraci, przyszli i niedoszli generałowie Bonaparte...

No i ja. Przed wielu laty pomogłem bratu Kemble'a oczyścić się z zarzutu malwersacji gruntów w Vauxhall Gardens, skutkiem czego od przyjazdu do Highlands gubernator zaprosił mnie do siebie już kilka razy, ale zanim nadszedł ten wieczór, odwiedziłem go... raz. Cieszyłem się z każdego zaproszenia, ale nie łaknąłem towarzystwa, a w zwyczajnych okolicznościach moja niechęć do ludzi przeważała nad prestiżem związanym z wizytą w Marshmoor. Jednak było to zanim zacząłem pleśnieć pośród wypucowanych na glanc ścian hotelu pana Cozzena; zanim zacząłem spędzać dni i noce z zarośniętymi mężczyznami w wełnianych mundurach; zanim zaczęły tańczyć w mojej głowie obrazy Leroya Frya i Randolpha Ballingera. Strach przed obcymi powoli ustępował miejsca strachowi przed tym miejscem, przed Akademią. *Summa summarum*, kiedy nadeszło kolejne wezwanie od Kemble'a, tak bardzo spieszyłem się z jego przyjęciem, że potykałem się o własne nogi.

To tłumaczy, dlaczego ześlizgiwałem się na tyłku po oblodzonym zboczku, chociaż powinienem był odszyfrowywać pamiętnik Leroya Frya, dlaczego kiedy już dotarłem na przystań i dźwignąłem się na nogi, spojrzałem na taflę wody i zapytałem dyżurnego kadeta, czy pogoda może zmusić Kemble'a do odwołania spotkania. Śnieg padał bowiem nieprzerwanie, z regularnością kuriera.

Moje obawy okazały się bezzasadne. Zaledwie kilka minut po wyznaczonej godzinie dwadzieścia metrów od brzegu pojawiła się wysłana przez Kemble'a łódź. Sześciowiosłowa! Kemble do wszystkiego podchodzi z wielkim rozmachem. Nie pozostało mi nic innego, jak posadzić mokry tyłek na mokrej ławce i pozwolić zabrać się w drogę.

Zamknąłem na chwilę oczy i udawałem, że łódź wiezie kogoś innego. Pozwoliło mi to zatopić się w rytmie rzeki, która się kotłowała i dyszała siarką. Łodzią nieprzyjemnie kołysało i szarpało. Dwa miesiące później rzeka

byłaby zamarznięta, a mnie przewieziono by na drugi brzeg konnym powozem. Tamtego wieczoru nie widziałem nic oprócz migoczących we mgle punkcików pochodni; w pewnym momencie poznałem jednak, że zbliżamy się do drugiego brzegu, ponieważ tafla wody się wygładziła, a wioślarze przestali zanurzać wiosła tak głęboko. Mimo to wywlekali na powierzchnię całe talerze błota i wodorostów — a także stary garnek i wieczko tabakiery — a łódź co chwila przechylała się na bok bez ostrzeżenia, zawadziwszy o coś dnem.

Znikąd wyłoniła się keja, niewyraźny kształt w półmroku, nie bardziej realny od mgły — aż nagle tuż przed moim nosem wykrystalizowała się dłoń w rękawiczce.

Rękawiczka należała do woźnicy Kemble'a, który w swojej czyściutkiej liberii koloru waniliowego błyszczał jak pieniądze. Dwa białe konie w zaprzęgu stały nieruchomo jak marmurowe posągi, zamglone parą własnego oddechu.

— Tędy, panie Landor.

Drużyna służących zdążyła już oskrobać keję z lodu i powóz ruszył płynnie, można powiedzieć: wzbił się do lotu. Zajechał pod portyk i znieruchomiał. A tam, na najwyższym stopniu schodów, stał gubernator Kemble.

Sprawił takie wrażenie, jakby dosiadał konia — wyprężona wielka głowa, gęste faworyty, nogi zakrzywione do zewnątrz. Stopy miał wielkie jak dynie, a jego okrągła, ogromna, jowialna twarz czerwieniała z radości. Usta mu się nie zamykały, odkąd mnie zobaczył, a kiedy porwał moją rękę w obie dłonie, miałem wrażenie, że zaraz pochłonie mnie całego.

— Landor! Za długo pana nie było. Właż pan, chłopie, pogoda taka, że psa by nie wypuścił. Ależ pan jest przemoczony! A cóż to pan ma na grzbiecie? Przecież ten płaszcz jest cały dziurawy! Nie szkodzi, mam awaryjny zapas, właśnie na takie sytuacje. Bez obaw, nie są w moim rozmiarze, uszyto je dla ludzi! I pozwoli pan sobie powiedzieć, że są trochę bardziej w dobrym „tonie”. Co za głupie słowo, „ton”. Ale starczy o tym, niech się panu przyjrzą: jaki pan chudy, Landor. Akademijny jadłospis widać panu nie służy — no ale

tamtejsze żarcie służy tylko szczurom. Mniejsza z tym, dzisiaj wieczorem porządnie się pan naje, przyjacielu. I nie zmieści się pan w żadnym z moich płaszczy!

Dwadzieścia minut później miałem na sobie błyszczący nowością frak i kamizelkę z gustownym kołnierzem szalowym. Znajdowałem się w gabinecie Kemble'a, który był cztery razy większy od gabinetu Pawpawa i wyłożony boazerią z tego samego drewna, którego Kemble używał do palenia w piecu. Jeden ze służących dołożył do ognia, drugi przyniósł karafkę madery, a trzeci kieliszki. Wziąłem *dwa* kieliszki, żeby nadrobić stracony czas, i niespiesznie je opróżniałem, a Kemble podszedł do okna i patrzył na rozciągniętą za trawnikiem szeroką, lśniącą taflę Hudsonu. *Jego* Hudsonu, z tej odległości tak niewzruszonego, że można go było pomylić z jeziorem.

— Tabaki, Landor?

W rezydencji gubernatora Kemble'a nie było fajek, ale były tabakierki. Za bezapelacyjnie najpiękniejszą uznałem tę w kształcie małego złotego sarkofagu z intarsjowanym motywem wygnania z raju po bokach i złotą armatą na wieczku.

Kemble uśmiechnął się na widok moich rozchylnych nozdrzy.

— Thayer zawsze odmawia — powiedział.

— Cóż, taką ma naturę. Asceta, który *wszystkiego* sobie odmawia.

— Ale z pańskich usług nie zrezygnował, co?

— Może wkrótce zrezygnuje, bo śledztwo strasznie się ślimaczy, końca dalej nie widać.

— To do pana niepodobne, Landor, żeby śledztwo tak długo panu schodziło.

— No cóż — powiedziałem ze zbolałym uśmiechem. — Chyba nie jestem w swoim żywiole. Nie nadaję się do życia w wojsku.

— Szkopuł w tym, że jeśli panu się nie powiedzie, będzie to tylko cios dla pańskiej zawodowej dumy. Wróci pan sobie do pańskiego uroczego domku i wypije kolejną szklaneczkę madery... czy może whisky?

— Whisky.

— Z Thayerem jest inaczej, bo jego porażka będzie również porażką wielu innych ludzi. — Kemble wprowadził do ucha jeden ze swoich gigantycznych kciuków, który przy wyciąganiu strzelił jak korek od szampana. — Przechodzimy trudny okres, Landor. Legislatura Karoliny Południowej przegłosowała uchwałę wzywającą do likwidacji Akademii, wiedział pan o tym? I proszę nie myśleć, że nie mają sojuszników w Kongresie. Czy w Białym Domu. — Podniósł swoją maderę do światła miedzianej lampy. — Jackson uwielbia przywracać do służby każdego kadeta relegowanego przez Thayera. Chce głowy Thayera i tylko czeka na odpowiedni pretekst. Nie muszę panu mówić, że ją dostanie, jeśli nie uda się załatwić tej sprawy. Drzę o Akademię.

— I o pańską odlewnię — dodałem.

Dziwne, nie zamierzałem mówić tego na głos. Ale Kemble zupełnie się nie przejął. Odstąpił o krok do tyłu, wyprężył się jeszcze bardziej i powiedział:

— Silna Akademia to silna ojczyzna, Landor.

— Oczywiście.

— Uważam, że jedna śmierć, nawet w najdziwniejszych okolicznościach, nie ma większego znaczenia w porządku Wszechświata. Ale dwie to inna sprawa.

Cóż miałem na to powiedzieć? Dwie to inna sprawa, a trzy — jeszcze inna.

Kemble zmarszczył brwi, wypił łyk madery.

— Mam nadzieję, że uda się panu znaleźć winnego i będziemy mogli zapomnieć o tej godnej pożałowania sprawie. Ale cóż to, Landor, ręce się panu trzęsą. Trochę bliżej ognia, jeszcze jedna madera i... Ach, widzi pan? Pozostali goście, jeśli się nie mylę! Dopływają do brzegu. Wie pan, Landor, tyle czasu spędzam w czterech ścianach, że mam ochotę przywitać ich osobiście. Chciałby pan może... Tak? Na pewno? Dobra, skoro pan nalega, ale niech pan włoży na siebie coś ciepłego. Nie chcemy, żeby pan złapał zapalenie płuc, ojczyzna na pana liczy, niech pan o tym pamięta...

Na spotkanie z załogą łodzi wyjechały dwa powozy. Kemble i ja siedzieliśmy w drugim, opatuleni kilkoma warstwami ubrania i lekko fioletowi od napojów wysokowych. Milczeliśmy. A jeśli on coś mówił, to ja nie słuchałem. Rozmyślałem — w gruncie rzeczy po raz pierwszy — o konsekwencjach ewentualnej porażki.

— No to jesteśmy na miejscu — powiedział Kemble.

Wysiadł i zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć, był już na kei. Wygląda na to, że służący nie zdążyli usunąć wszystkich kawałków lodu. Ach, cóż to był za niezwykle upadek: sto kilo żywej wagi huknęło o deski. Kemble przekształcił się w kawałek krajobrazu: wyżyna brzucha schodzi do przełęczszy szyi, za którą na wzniesieniu głowy leży wioska z dwoma stawami oczu. Z pomocą pospieszyło mu czterech służących. Z uśmiechem powstrzymał ich ruchem dłoni, bo chciał pokazać całemu światu, że potrafi wstać o własnych siłach. Potem włożył na głowę cylinder, który spadł wcześniej na keję, starł z ramion i łokci kryształki lodu, uniósł krzaczastą brew i powiedział:

— Nie cierpię robić z siebie pośmiewiska, Landor.

Pierwszą osobą, która wysiadła z łodzi, była Lea Marquis. Spora niespodzianka, ale jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, jak dobrze się prezentowała. Stara panna, którą widziałem w salonie Marquisów, upięła włosy w apolliński kok, włożyła liliową suknię z tafty z najbardziej pękatą krynoliną, jaką w życiu widziałem, i upudrowała się sproszkowanym krochmalem, którego większość przetrwała przeprawę przez rzekę, ale kosmetyk ten nie zdołał zakamufłować faktu, że policzki jej się zaróżowiły w ostrym wieczornym powietrzu.

— Moja droga Lea! — zawołał rozpromieniony Kemble, wyciągając do niej rękę.

— Wujek Gub! — pozdrowiła go z uśmiechem.

Zrobiła krok w jego stronę... po czym się zatrzymała, uświadomiwszy sobie, że powędrował wzrokiem w stronę postaci, która stała w łodzi tuż za jej plecami.

Oficer — z tej odległości tyle można było o nim powiedzieć. Stopień nieokreślony. Twarz odwrócona. Na tym etapie znałem oczywiście wszystkich oficerów w West Point i poczytywałem sobie za punkt honoru, aby rozpoznawać ich szybciej niż oni mnie, ale tego żołnierza z jakiegoś powodu nie potrafiłem zidentyfikować. Dopiero kiedy jeden z woźniców podszedł bliżej łodzi z latarnią, której światło złapało oficera w chwili, kiedy stawiał stopę na kei, rozpoznałem go.

W okamgnieniu. Mimo przebrania i teatralnej charakteryzacji. To był pierwszorocznik Poe. W mundurze świętej pamięci Joshui Marquisa.

# Opowieść Gusa Landora

## 30

Wybiegam w przyszłość: wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, czyj to mundur. Ale po chwili Poe zdjął pelerynę, zarzucił ją Lei na ramiona i stanął w lagunie światła latarni — już wiedziałem, co mam przed oczyma. Od poprzedniego razu mundur zmienił się tylko w jednym szczególe: na ramieniu zobaczyłem pojedynczą żółtą belkę.

— Panie Landor! — zawołała Lea z szeroko otwartymi oczami. — Pozwoli pan, że panu przedstawię porucznika le Renneta. Henri le Renet, drogi przyjaciel naszej rodziny.

W pierwszej chwili nie dosłyszałem nazwiska, tak bardzo zafascynował mnie mundur. Idealnie pasował na Poego. Jakby uszyto go na miarę.

A ponieważ przez wiele godzin usiłowałem wcześniej dobrać do niego jakąś konkretną twarz i ciało, ponieważ wypróbowałem w tej roli twarz i ciało Poego... poczułem się tak, jak bym spadał w bezkresną otchłań. W otchłań słów Poego, tych wszystkich żarliwych epistoł, które robiły na mnie tak wielkie wrażenie — skąd miałem teraz wiedzieć, czy mogę im ufać? Pomijając podejrzenia Hitchcocka, skąd wiadomo, czy Poe mówił mi prawdę? Skąd mogłem mieć pewność, że nie skumał się z Artemusem i Leą Marquis już wiele miesięcy wcześniej, niż twierdził? Skoro już o tym mowa, czemu Poe nie miałby być tym człowiekiem, który pochylił się nad zwłokami Leroya Frya i wyrznął mu z klatki piersiowej serce?

Nie, to oczywiście czyste szaleństwo. Próbowałem to sobie wyperswadować. „Po prostu ma na sobie kostium, Landor. Nie zna jego znaczenia. To dla niego tylko maskarada, na litość boską...”

A jednak nie odrywałem od niego wzroku, próbując przekonać siebie

samego, że świat nie stanął na głowie w ciągu jednej minuty. Poe ma na sobie mundur, to wszystko.

Przełknąłem ślinę. Powiedziałem:

— Bardzo mi miło pana poznać, poruczniku.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Poe.

Przybrał na tę okazję lekki akcent, śródziemnomorski zaśpiew delikatnie zatracający o głos monsieur Bérarda. Najbardziej jednak zafrapowała mnie jego twarz. Lea (lub ktoś inny) zmaistrowała dla niego wąsy z końskiego włosa, posmarowała je czernidłem do butów i przykleiła w miejscu, w którym na co dzień żaden włos nie wyrastał, czyli tuż nad jego górną wargą. Prymitywne, ale genialne, ponieważ dzięki temu zabiegowi Poe wyglądał na trzydzieści parę lat. A także wyprzystojniał: z wąsami było mu do twarzy.

Druga łódź przywiozła liczniejsze grono gości, a jeszcze więcej zaproszonych przybywało powozami. Szkoda, że nie pamiętam nazwisk wszystkich gości, Szanowny Czytelniku. Przyjechał redaktor „New York Mirror”, malarz Cole, kwakerski stolarz tudzież kobieta, która komponowała hymny. Kemble traktował wszystkich tak samo niezależnie od płci. Łapał ich za łokcie, dłonie ścisnął im tak energicznie, jakby obsługiwał jedną ze swoich pomp, żądał, aby pili kawę albo maderę bądź opróżnili jego piwniczkę z winami, jeśli mają ochotę (tak jakby chcieć znaczyło móc!), proponował im awaryjne peleryny i awaryjne surduty. Słowem, przeganiał ich z holu do salonu, dmuchając na nich jak miechem kowalskim.

Tylko ja nie dałem się zdmuchnąć. Stałem w holu i słuchałem tupotu stóp na wspaniałych dębowych parkietach Kemble’a, tykania wskazówek zegara (największego, jaki w życiu widziałem) i odgłosu własnych stóp o parkiet. Nie minęła minuta, a moje uszy wyłapały jeszcze jeden rytm, znacznie cichszy, kojarzący się z tańcem myszy. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Leę Marquis, która znajdowała się parę metrów ode mnie, a jej stopy wystukiwały kontrapunkt do rytmu moich stóp. Uśmiechała się.

— Panno Marquis, ja...



— Nie zdemaskuje nas pan, prawda? — błagała. — Nasza mała maskarada nikomu nie zaszkodzi, zapewniam pana.

— Nikomu oprócz pana Poego — odparłem z powagą. — Powinna pani wiedzieć, że gubernator często podejmuje tutaj przedstawicieli Akademii.

— A, tak, przewidzieliśmy tę ewentualność. A tymczasem...

Nie chciałem tego, to był błąd, ale moje usta miały inny pogląd na tę sprawę i powiedziały:

— A tymczasem nie zrobię nic, co mogłoby wam pokrzyżować szyki. Jestem zachwycony, że panią tutaj widzę, panno Marquis. Sądziłem, że czeka mnie kolejny męski wieczór.

— Tak, wygląda na to, że to jedyny wieczór w roku, kiedy po parkietach Marshmoor mogą bezpiecznie spacerować kobiety. Wieczór naszej emancypacji, o przełomowym znaczeniu historycznym.

— Przecież jako siostrzenica z pewnością...

— Nie, nie, nie jest moim prawdziwym wujem, tylko go tak nazywam. Znam go, odkąd byłem małą dziewczynką. To stary przyjaciel rodziny.

— Gdzie w takim razie jest reszta Marquisów?

— No cóż — odparła spokojnym tonem — nie zaskoczy pana zapewne wiadomość, że matka znowu położyła się do łóżka.

— Migrena?

— W środę wypada neuralgia, panie Landor. Ojciec został przy niej, brat ślęczy nad geometrią i jedynym emisariuszem rodziny jestem ja.

— Tym lepiej dla nas wszystkich.

Słyszając, jak mówię te słowa, poczułem, że moje policzki robią się ciepłe. Czy to były słowa mężczyzny, który się zaleca? Odstąpiłem o krok do tyłu i splotłem ramiona na piersiach.

— Muszę przyznać, panno Marquis, że często zadawałem sobie pytanie, czemu jest tutaj tak mało kobiet. Trochę więcej z pewnością by nie zawadziło.

— Wuj nas nienawidzi — odpowiedziała Lea prosto z mostu. — Proszę nie robić takiej miny. Znam jego wy tłumaczenie: kobiety są dla niego zagadką.

Ale trudno o bardziej pogrążające wyznanie: nie rozumiemy tylko tego, czego nie szanujemy.

— Ma pani wielu wielbicieli, panno Marquis. Wszyscy panią rozumieją?

Odwróciła ode mnie wzrok. W końcu odpowiedziała z udawaną nonszalancją w głosie:

— Zawsze mi mówiono, że dawno temu jakaś kobieta złamała wujowi serce. Ale według mnie jego serce nie należy do tych, które można złamać. — Spojrzała na mnie ponownie. — Inaczej niż pańskie, panie Landor. Inaczej niż moje. — Uśmiechnęła się i przechyliła głowę. — Wygląda na to, że zostaliśmy porzuceni. Może wmieszamy się w tłum?

Gubernator Kemble miał sprecyzowane poglądy na temat sposobu rozsądzenia gości. Kobiety (w tych rzadkich przypadkach, kiedy uczestniczyły w kolacji) musiały siedzieć przy jednym końcu stołu, a mężczyźni przy drugim. Rzecz jasna, w takim układzie zawsze tworzą się dwie mieszane pary sąsiadów. Tak więc autorka hymnów siedziała obok kwakerskiego stolarza, a ja obok niejakiej Emmeline Cropsey.

Poślubiona niezrównoważonemu kornwalijskiemu baronetowi, pani Cropsey została wygnana do Ameryki z niewielką pensją i wcieliła się w rolę wędrownego krytyka. Jeździła ze stanu do stanu i wyśmiewała wszystko, co wpadło jej w oko. Niagara ją znudziła, Albany zbulwersowało. Jej wycieczka po Highlands dobiegała końca, ale pani Cropsey musiała poczekać, aż mąż przyśle jej kolejne pieniądze, aby mogła oszkalować inne regiony kraju. Jeszcze zanim chwyciliśmy za widelce, podała mi tytuł książki, nad którą pracowała: „Ameryka: nieudany eksperyment”.

— Pozwolę sobie założyć, że nie udzieliła się panu panująca w tym strasznym kraju mentalność, panie Landor, i wyznam panu coś, czego nie wyznałabym żadnemu z pańskich plujących tabaką kamratów: West Point posłuży mi za koronny argument oskarżenia.

— Bardzo ciekawe — powiedziałem.

Potem zaczęła mi opowiadać o micie Kadmosa i oświadczyła, że Leroy Fry i Randolph Ballinger to baranki złożone na ołtarzu amerykańskich półbogów. Trochę to przypominało słuchanie Poego, ale było mniej relaksujące. Nie pamiętam już dokładnie, kiedy to się stało, ale nad monotonne brzęczenie pani Cropsey — a właściwie nad całą masę głosów, które przecinały się ze sobą nad stołem gubernatora Kemble'a — zaczął się wybijać jeden konkretny głos. Wcale nie dźwięczniejszy od innych, lecz obdarzony naturalnym autorytetem, który był wart tysiąca trąb. Porucznik Henri le Rennet — z niedorzecznymi wąsami i w pożyczonym kostiumie — w coraz większym stopniu monopolizował rozmowę.

— Tak, to prawda, urodziłem się we Francji — powiedział. — Jednak służę w waszej armii już tyle lat, że dość dobrze poznałem angielską literaturę. I muszę państwa z przykrością poinformować, że jej stan jest katastrofalny. Tak, nie boję się tego słowa — katastrofalny!

Wystraszony własnym zuchwalstwem malarz zapytał niepewnie:

— Ale przynajmniej pan Scott rzadko zawodzi, nie uważa pan?

Poe wzruszył ramionami i przekroił rzepę.

— Jeśli ktoś ma odpowiednio niskie oczekiwania, to nie.

— Pan Wordsworth? — zaryzykował ktoś inny.

— Ma tę samą wadę, co wszyscy poeci jezior: koniecznie chce nas pouczać. A przecież... — Przerwał, trzymając rzepę w górze jak pochodnię. — A przecież celem poezji musi być rytmiczne tworzenie piękna. Piękno i przyjemność, oto jej najwyższe powołania, a najwznioślejszym tematem poezji jest śmierć pięknej kobiety.

— Ale co pan powie o naszych ojczystych pisarzach? — Jeden z gości wychylił się. — Na przykład o panu Bryancie?

— Przyznam, że udaje mu się unikać afektacji, która doskwiera większości poezji współczesnej. Nie mogę jednak powiedzieć, aby jego twórczość przejawiała jakiegokolwiek walory.

— To może pan Irving?

— Stanowczo przeceniany — odparł bez ogródek Poe. — W prawdziwej republice sztuki pan Irving byłby co najwyżej prowincjonalnym gryzipiórkiem.

Tutaj przesadził. Irving był w tych stronach bóstwem. A ponadto przyjacielem od serca gubernatora Kemble'a. Nawet jeżeli ktoś o tym nie wiedział, to nie mógł przeoczyć (chyba że nazywał się Poe) kaskadowego ruchu głów, które kolejno kierowały się w stronę Kemble'a dla sprawdzenia, czy należy wyrazić oburzenie. Kemble nie podniósł wzroku — zdał się na redaktora „New York Mirror”.

— Poruczniku — powiedział redaktor — nachodzi mnie obawa, że nadużywa pan wielkoduszności naszego gospodarza, tak swobodnie szafując swoją złością. Na naszym firmamencie literackim z pewnością jest choć jedna gwiazda, którą z przyjemnością pan czyta.

— Owszem, jest ktoś taki. — Tutaj zrobił pauzę. Przyjrzał się twarzom słuchaczy, jakby chciał się upewnić, czy są godni powierzenia im tej tajemnicy. Dla lepszego efektu zwęził oczy i powiedział ściszone głosem: — Przypuszczam, że nie słyszeliście o... Poem?

— Poem? — zawołała pani Cropsey, jakby nie dosłyszała.

— O Poem, powiada pan?

— O Poem z Baltimore — sprecyzował.

Otóż nikt nie słyszał o Poem ani o rodzinie Poe z Baltimore. Napełniło to naszego porucznika głębokim, nieutulonym smutkiem.

— Jak to być może? — spytał cicho. — Ach, przyjaciele, nie jestem prorokiem, ale uwierzcie w moją przepowiednię: Jeśli o nim jeszcze nie słyszeliście, to któregoś dnia usłyszycie. Rzecz jasna, nie znam go osobiście, ale podobno wywodzi się z długiej linii frankijskich wodzów. Podobnie jak ja — dodał, skromnie spuszczaając głowę.

— Jest poetą? — spytał stolarz.

— Nazwać go poetą to według mnie tak, jakby uznać Miliona za zwykłego wierszokletę. Owszem, jest młody, bez dwóch zdań. Pnącze jego geniuszu

jeszcze nie zrodziło najdojrzalszych owoców, ale już dotychczasowe żniwa zaspokoją najbardziej wyrafinowane podniebienia, moi przyjaciele.

— Panie Kemble! — zawołała pani Cropsey. — Gdzie pan znalazł tego uroczego *soldat*? To chyba pierwszy ze spotkanych przeze mnie w tym kraju mężczyzn, który nie jest ani upośledzony, ani chory na umyśle.

Komplement ten przeleciał Kemble'owi koło uszu, ponieważ kpina Poego z Irvinga dotknęła go znacznie bardziej, niż ktokolwiek przypuszczała. Przepętnionym urazą tonem poinformował nas wszystkich, że obecność porucznika zawdzięczamy panie Marquis.

— W rzeczy samej! — zawołała Lea ze swojego końca stołu. — Porucznik le Rennet to dawny towarzysz broni mojego ojca. Stali ramię w ramię w obronie Ogdensburga.

Przy stole rozległ się szmer aprobaty, który zatrzymał się na pani Cropsey, a ona zmarszczyła brwi i powiedziała:

— Jest pan o wiele za młody, poruczniku, aby pan walczył w wojnie z osiemset dwunastego.

Poe uśmiechnął się do niej.

— Byłem wtedy zwykłym *garçon*, madame. Walczyłem u boku mojego przybranego ojca, porucznika Balthasara le Renneta. Owszem, matka próbowała zatrzymać mnie w domu, ale ja powiedziałem: „Phi! Nie będę siedział z kobietami, kiedy trzeba walczyć”. — Spojrzał na żyrandol. — I dlatego, przyjaciele, byłem przy moim ojcu, kiedy dostał kulą armatnią w mostek. To ja go złapałem, kiedy upadał. To ja go położyłem na kawałku ziemi, który stał się jego przedwczesnym grobem. To ja się schyliłem i usłyszałem jego przedśmiertne słowa: *Il faut combattre, mon fils. Toujours combattre*. — Wziął długi oddech. — Wtedy już wiedziałem, jakie jest moje przeznaczenie: być żołnierzem tak odważnym jak on. Być oficerem armii Stanów Zjednoczonych, walczyć za kraj, który stał się moją drugą ojczyzną.

Zatopił twarz w dłoniach, a przy stole zapadła cisza, ponieważ goście

Kemble'a chwycili w locie opowieść Poego jak upuszczoną chusteczkę i trzymali ją przed sobą, zadając sobie pytanie, czy ją zatrzymać, czy zwrócić.

— Za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, łzy płyną mi do oczu — wyznała Lea.

Tym razem nie płakała, ale jej słowa przechyliły szalę na stronę Poego. Kompozytorka hymnów starła coś z oka, malarz przełknął ślinę, a dyrektorka szkoły z Newburgha była tak wzruszona, że jej dłoń na parę chwil spoczęła na rękawie siedzącego obok niej stolarza.

— Pańska kariera — zaczął Kemble naburmuszonym tonem — rzeczywiście... przynosi wielką chlubę... pamięci pańskiego ojca. I pańskiej przybranej ojczyźnie. — Wziął się w garść, a jego skrzywione w grymasie usta ułożyły się w linię prostą. — Pozwoli pan, że wzniosę za pana toast?

Szklanki poszły w górę. Na twarze wypłynęły uśmiechy. Rozległ się brzęk szkła, okrzyki „słusznie prawi” i „dobrze powiedziane, Kemble”. A ja patrzyłem, jak na dumnych i bladych policzkach porucznika le Renneta wykwitła piękny bordowy rumieniec.

Takim oto sposobem skromny *plebe* z West Point najpierw został znienawidzony, a po chwili uhonorowany przez jedną z wybitnych amerykańskich postaci. Triumf Poego był absolutny, ale jak wszystkie takie triumfy, nie trwał długo. Albowiem chowając twarz w dłoniach, porucznik niechcący oderwał sobie prawie połowę wąsów. Z początku tego nie zauważyłem. Alarm wszczęła Lea, która wymachiwała rękami jak semaforami. Potem zauważyłem, że pani Cropsey wpatruje się w Poego tak osłupiałym wzrokiem, jakby się rozpadał na jej oczach. Podążyłem za jej spojrzeniem i zobaczyłem kępkę czarnego końskiego włosia, która zwisała z wargi Poego — trzepotała w strumieniu jego oddechu jak ogon maleńkiego skunksa.

Natychmiast wstałem.

— Poruczniku le Rennet, chciałbym zamienić z panem słowo. W cztery oczy, jeśli pan pozwoli.

— Ależ oczywiście — odparł nie bez żalu Poe.

Prowadziłem go z pokoju do pokoju, szukając miejsca, w którym nie dosłyszysz nas niedyskretne ucho żadnego służącego. W domu gubernatora Kemble'a wymaga to sporego zachodu. Skończyło się na tym, że zawlokłem naszego poetę przez gabinet na werandę.

— Co pan knuje, Landor?

— Knuję? — Urwałem dyndającą czarną kępkę i pokazałem mu między palcami. — Następnym razem trochę więcej gumy arabskiej, poruczniku.

Oczy niemal wyskoczyły mu z orbit.

— O Boże! Ktoś zauważył?

— Chyba tylko Lea. I pani Cropsey, której — na szczęście dla pana — wszyscy tutaj nie znoszą.

Pogrzebał w kieszeniach.

— Na pewno mam...

— Co?

— Resztki tabaki, którą...

— Tabaki?

— Sok jest przecież bardzo kleisty.

— Owszem, jeśli komuś nie przeszkadza, że cuchnie jak spluwaczka. No, Poe, już pan miał swoje przedstawienie. Czas opuścić kurtynę i...

— I zostawić Leę na lodzie? — Oczy mu rozblęły wilczym blaskiem. — W pierwszy spędzony razem wieczór? Wolałbym od razu odejść z wojska. Nie, wytrwam do końca, Landor, czy mi pan pomoże, czy nie.

— Wybieram ten drugi wariant. A zanim się pan jeszcze bardziej rozzłości, niech mi pan powie, gdzie pan znalazł ten mundur.

— *To?* — Spojrzał na swój strój takim wzrokiem, jakby dopiero przed chwilą go na siebie włożył. — Lea mi go dała. Należał do jej nieżyjącego już wuja, coś w tym rodzaju. Pasuje na mnie jak ulał, prawda? — Na widok mojej miny uśmiech zamarł mu na ustach. — O co chodzi, Landor?

Chwyciłem u dołu za tunikę, przeciągnąłem palcem po miejscu, gdzie

w garderobie Artemusa odkryłem plamę krwi: czysto.

— Co u licha, Landor?

— Łatwo się ścierało? — spytałem z furią w głosie. — Wyszorował pan ten mundur, zanim pan go włożył?

— Ale po co? Jest całkiem czysty, czyż nie?

— W takim razie może Lea zrobiła to za pana.

Otwierał i zamykał usta.

— Nie mam... Nie mam bladego pojęcia... Landor, co się z panem dzieje?

Już chciałem odpowiedzieć, ale powstrzymał mnie głos, który rozległ się za moimi plecami. Znajomy.

— Panie Landor.

Intruz. W drzwiach na werandę. Nadal w płaszczu, buty białe od śniegu. Czarna sylwetka na tle światła w gabinecie.

Teatralne wejście godne Ethana Allena Hitchcocka.

— Liczyłem na to, że pana tutaj znajdę — powiedział, ponury jak krowa.

— No i pan znalazł — powiedziałem, dając Poemu znaki za plecami. — Znalazł mnie pan.

— Żałuję, że nie mam lepszych wiadomości...

Urwał, zmarszczył brwi i spojrział na małą, smukłą postać, która skierowała się w stronę rzeki, ale jeszcze nie zniknęła wśród ciemnych fałd nocy.

— Pan Poe — powiedział komendant.

Przypuszczam, że gdyby Poe mógł kicnąć prosto z werandy do Hudsonu, zrobiłby to. Gdyby mógł przeskoczyć przez najbliższą górę, też by to zrobił. Ale chyba nigdy nie czuł się tak mały, jak w tamtej chwili. Tak daleki od heroicznego wizerunku, który od lat budował.

Cały się zatrzęsł. Głowa opadła mu na ramiona. Odwrócił się powoli.

— Znakomicie pan wygląda w tym mundurze — powiedział Hitchcock, obejmując spojrzeniem nas obu. — I cóż za wyrefinowaną rozrywkę wymyśliliście z panem Landorem.

Poe postąpił o krok do przodu — na zawsze to zapamiętam — i skłonił



głowę jak wasal przed suzerenem.

— Kapitanie, przysięgam na swój honor, że pan Landor nie miał z tym nic wspólnego. Był równie zaskoczony i równie... niezadowolony jak pan. Proszę mi uwierzyć, kapitanie, to była wyłącznie moja inicjatywa i zasłużyłem sobie...

— Panie Poe — powiedział Hitchcock i szczęka mu zeszywniała. — Nie jestem w nastroju, aby się panem teraz zająć. Tak się składa, że mam na głowie ważniejsze sprawy.

Podszedł do mnie z nieodgadnioną miną. Nie dało się z niej nic wyczytać, nie licząc oczu, zwężonych i płonących.

— Wygląda na to, że kiedy pan korzystał z gościnności pana Kemble'a, zniknął kolejny kadet — powiedział.

Jego słowa ledwo do mnie docierały. Skoncentrowałem się bowiem na tym, że wypowiadał je w obecności Poego, którego mógł bez problemu odesłać ruchem dłoni. Najwyraźniej coś się zmieniło. Zasady savoir-vivre'u, którymi kierował się Hitchcock od przebudzenia do zaśnięcia, zostały odsunięte na bok.

— Nie — odparłem z dziwnym spokojem. — To niemożliwe.

— Jakże bym chciał móc przyznać panu rację.

Poe szarpnął głową do tyłu i od stóp do głów przeszedł go krótki dreszcz.

— Ale który? — zapytał.

Hitchcock odczekał z odpowiedzią dłuższą chwilę.

— Pan Stoddard.

— Stoddard — powtórzyłem tępo.

— Tak. Nie dostrzega pan w tym smakowitej ironii, panie Landor? Ostatniego kadeta, który widział Leroya Frya żywego, być może spotkał ten sam los.

— Ach! — rozległ się okrzyk od strony drzwi.

Teraz to Hitchcocka spotkała niespodzianka. Teraz to on odwrócił się na

pięcie i zobaczył ciemną sylwetkę na tle światła gabinetu. Sylwetkę Lei Marquis.

Nie zemdlała, tak bym tego nie nazwał, ale się osunęła. Na jedno kolano. Wielka krynolina kolebała się wokół niej jak galareta, ale oczy — oczy pozostały nieruchome. Nawet nie mrugnęły.

Pierwszy pospieszył ku niej Poe. Potem ja. Na koniec Hitchcock — nigdy wcześniej nie widziałem go takiego spłoszonego.

— Panno Marquis, proszę mi uwierzyć... Nie miałam pojęcia, że pani... Należało... Musi pani...

— Dalej będą umierali.

Tak powiedziała. Pod nosem, a jednocześnie bardzo wyraźnie. Z ogniem w swoich niebieskich oczach. Takim tonem, jakby na werandzie nie było nikogo innego.

— Jeden po drugim — dodała. — Będą umierali do ostatniego.

# Opowieść Gusa Landora

31

*8–9 grudnia*

Zanim ogłoszono ciszę nocną, wieść o zniknięciu Stoddarda dotarła już do każdego kadeta, bombardiera i wykładowcy. Rozgorzały rozmaite teorie, które świeciły w ciemnościach jak robaczki świętojańskie. Pani Cutbush wciąż się upierała, że w sprawę zamieszani są druidzi; porucznik Kinsley twierdził, że odpowiedź leży w gwiazdach; pani Thompson, właścicielka pensjonatu, stawiała na Demokratów; i wreszcie coraz więcej kadetów podpisywało się pod tezą o mściwym indiańskim duchu. Nikt nie kładł się spać z lekkim sercem. Niektóre żony wykładowców już zapowiedziały, że resztę roku zamierzają spędzić w Nowym Jorku (jedna z nich nie zmrużyła oka, ponieważ przez całą noc czuwała nad pakowaniem). Kadeci, którzy pełnili wartę parami, stali plecami do siebie, aby nie dać się zaskoczyć, a co najmniej jeden student starszego rocznika obudził się z krzykiem zgrozy na ustach i chwycił za wiszący na ścianie muszkiet.

Tak, strach był wszechobecny, ale w wyglądzie komendanta West Point nie dało się go zauważyć, kiedy następnego dnia rano, parę minut po dziesiątej, wpadłem do jego kwatery, Hitchcock siedział przy biurku z różną, choć może trochę roztargnioną miną, jakby gdzieś zapodział szelkę i usiłował sobie przypomnieć, gdzie ją widział po raz ostatni. Jedynej wskazówki, że coś jest nie tak, dostarczała jego prawa dłoń, która wyruszyła na misję wielokrotnego przeczesywania włosów.

— O świcie wysłaliśmy kolejną ekipę poszukiwawczą — oznajmił. — Chociaż nie umiem sobie wyobrazić, jak mieliby znaleźć coś, czego nie

znaleźli ich poprzednicy. — Jego ręka się zatrzymała, a oczy zamknęły. —  
Chociaż nie, *umiem* sobie wyobrazić.

— Ojej, kapitanie — powiedziałem — nie traciłbym jeszcze nadziei.

— Nadzieja — powtórzył nieco ciszej. — Obawiam się, że na to już za  
późno, panie Landor. Wystarczyłoby mi, gdybym mógł się porządnie wyspać.

— Więc proszę się wyspać — powiedziałem. — Właśnie byłem w kwaterze  
pana Stoddarda.

— Tak?

— I dokonałem ciekawego odkrycia.

— Tak?

— Kufer pana Stoddarda był pusty. — Spojrzał na mnie z takim  
wyczekiwaniem, jakby dalszy ciąg mojego zdania został zestrzelony w locie.  
— Nie było w nim żadnych ubrań. Żadnych cywilnych ubrań.

— I co miałoby z tego wynikać?

— Po pierwsze, nie sądzę, abyśmy mieli do czynienia z kolejnym trupem,  
kapitanie. Sądzę, że pan Stoddard uciekł na własnych nogach.

Uniósł się w krześle i wyciągnął rękę z włosów.

— Proszę mówić dalej — powiedział.

— Z pewnością pan pamięta, że pan Stoddard był jednym z... Nie, był  
jedynym kadetem, który złożył wniosek o odwołanie semestru. Czyż nie? —  
przytaknął. — Proszę mi uwierzyć, zdaję sobie sprawę, że paru chłopaków ma  
ciężkiego pietra. Młodzi ludzie widzą w krzakach Irokezów! Tymczasem  
według mojej najlepszej wiedzy tylko Stoddard poprosił o odesłanie do domu.  
Dlaczego?

Hitchcock przyglądał mi się przez kilka chwil.

— Ponieważ miał szczególny powód, aby obawiać się o swoje  
bezpieczeństwo — powiedział.

— Ja też tak pomyślałem. Jak pan pamięta, kapitanie, mieliśmy sposobność  
porozmawiać z panem Stoddardem na samym początku śledztwa. To właśnie

on opowiedział nam o spotkaniu z Leroyem Fryem na klatce schodowej. O tym dziwnym spotkaniu, o uwadze Frya na temat pilnej sprawy.

— Sądzi pan zatem, że mógł tamtej nocy zobaczyć coś jeszcze?

— Mogę tylko powiedzieć, że to niewykluczone.

— Ale dlaczego miałyby to ukrywać? Zagwarantowaliśmy mu, że ze strony władz Akademii nie ma się czego obawiać.

— Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie: z jakiegoś powodu uznał, że będzie dla niego bezpieczniej, jeszcze nic nam nie powie.

Hitchcock odchylił się do tyłu, a jego oczy powędrowały w stronę okna z ołowianymi szybami.

— Sugeruje pan, że Stoddard może być zamieszany w pozostałe zgony?

— Na pewno w coś jest zamieszany. Na tyle głęboko, że wolał uciec niż się przyznać.

Hitchcock nagle wstał i podszedł do półki z książkami, jakbym miał w głowie konkretny tytuł, ale zatrzymał się o krok od regału.

— Wiemy, że Stoddard był bliskim znajomym Frya — powiedział.

— Tak — potwierdziłem.

— Ale nie wiemy o żadnych związkach między Stoddardem a Ballingerem.

— Właściwie to wiemy. Znajdzie pan to w następnym zapisie z dziennika Frya. Dwa lata temu zarówno Stoddard, jak i Ballinger byli dobrymi kumplami niejakiego Leroya Frya.

Jego wilgotne oczy zapłonęły zainteresowaniem.

— Ale w jaki sposób Stoddard jest powiązany z Artemusem Marquise?

— Jeszcze nie mam w tej kwestii jasności. Jedna tajemnica naraz. Póki co musimy przede wszystkim znaleźć pana Stoddarda. To sprawa najwyższej wagi, kapitanie. Dokądkolwiek się udał, musimy go wytropić.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem powiedział cichym, lecz stanowczym głosem:

— Jeśli pan Stoddard ukrywa się na terenie jednostki, wkrótce go znajdziemy.

— Nie, kapitanie — odparłem uprzejmym tonem. — Sądzę, że na jakiś czas nas opuścił.

Zdjąłem z haka pelerynę, ale potem się zreflektowałem. Odwiesiłem pelerynę, usiadłem, spojrzałem na stojącą na biurku świecę i powiedziałem:

— Kapitanie, jeśli pan pozwoli...

— Tak?

— Chciałbym prosić o łaskę dla pana Poego.

Wykrzywił usta, a oczy mu zapłonęły.

— O łaskę. Chodzi panu o jego wczorajszy *coup de théâtre*? Przedziwna prośba, panie Landor, skoro ze wszystkich ludzi na świecie to pan najlepiej potrafi wyliczyć jego przewiny. Począwszy od opuszczenia terenu jednostki podczas ciszy nocnej. Dalej mamy spożycie alkoholu — z tego, co widziałem, w całkiem sporych ilościach. I nie zapominajmy, że występował pod fałszywym nazwiskiem.

— Nie byłby pierwszym kadetem, który...

— Jest pierwszym kadetem za mojego dowództwa, który ma czelność podszywać się pod oficera armii Stanów Zjednoczonych. Może pan sobie wyobrazić, jaki jest mój stosunek do takiej maskarady.

Dziwne. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jak zawsze w obecności Hitchcocka ja sam jestem osądzany. Schyliłem głowę, a słowa wychodziły ze mnie spazmatycznie, jak bym wytrząsał z siebie grzechy. — Wierzę, że uległ ... pewnemu złudzeniu.

— Jakiemu?

— Że mi pomaga.

Hitchcock spojrzał na mnie chłodno.

— Nie, panie Landor. Nie sądzą, aby o to chodziło. Chyba wiem, jakiemu złudzeniu uległ.

Mogłem go zaklinać, aby przypomniął sobie, co miłość potrafi zrobić z młodym człowiekiem. Miałem jednak do czynienia z Ethanem Allenem Hitchcockiem. Cały arsenał Kupidyna nawet nie drasnąłby go w skórę.

— Jak panu wiadomo — kontynuował — nie jest to bynajmniej pierwsze wykroczenie pana Poego. A jeszcze nie wspomniałem o kilkunastu przypadkach w ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy to opuszczał swoją kwaterę po ciszy nocnej w celu... ale może to pan mi powie, panie Landor, co skłania go do tego, aby noc w noc chodzić do hotelu pana Cozzensa?

Ojej.

Przyznam, że nie umiałem się powstrzymać od uśmiechu, Szanowny Czytelniku. Poe i ja uważaliśmy, że jesteśmy tacy sprytni, wynajmując Cochrane'a, żeby nas pilnował, kiedy my piliśmy i gawędziliśmy do białego rana za zamkniętymi drzwiami. Poe nie widział, żeby ktoś go śledził, prawda? Zaufaliśmy świadectwu własnych zmysłów, chociaż powinniśmy mieć w pamięci nasze doświadczenia z Thayerem i Hitchcockiem. Ludźmi, którzy musieli wiedzieć wszystko. I dlatego wiedzieli wszystko.

Hitchcock położył ręce na biurku i pochylił się ku mnie.

— Ani razu nie kazałem go zatrzymać, panie Landor. Dałem wam trochę swobody i nigdy się nie uskarżałem ani nie żądałem wyjaśnień. Nigdy też nie rozliczyłem pana z wizyt w lokalu pana Havensa. Może w końcu pan dostrzeże, że nie jestem człowiekiem tak rygorystycznym, za jakiego mnie pan uważa. A jeśli potrzebuje pan dalszego potwierdzenia, to z przyjemnością informuję, że jedyną osobą, która została ukarana dyscyplinarnie za wczorajsze fiasko, jest porucznik Kinsley.

— Kinsley?

— Oczywiście. To on odpowiadał wczoraj w nocy za pilnowanie Koszar Południowych. I najwyraźniej nie wywiązał się ze swoich obowiązków.

— Ale Poe był...

— W rzeczy samej. Jednak fakt, że przebiegł mi drogę, należy uznać za niefortunny zbieg okoliczności. Gdyby nie zaprzętały mnie sprawy służbowe, wzniosłbym toast za jego zdrowie i pogratulował mu odwagi. Nawet w tej sytuacji nie mogę z czystym sumieniem ukarać człowieka tylko dlatego, że los sprzysiągł się przeciwko niemu.

Czekałem na fizjologiczne objawy ulgi — rozluźnienie ramion i klatki piersiowej, spowolnienie tętna — ale się nie pojawiły. Nie mogłem uwierzyć, że nam się upiekło — i słusznie. Głos Hitchcocka przyleciał jak strzała z ciemności.

— Jednakże, panie Landor, nie mogę się zgodzić, aby Poe nadal dla pana pracował.

Spojrzałem na niego osłupiałem wzrokiem.

— Nie rozumiem... Zrobiliśmy... Kapitanie, zrobiliśmy dzięki niemu wielkie postępy. Służył mi nieocenioną pomocą.

— W to nie wątpię. Ale skoro dwóch kadetów nie żyje, a trzeci zaginął, absolutnie nie wchodzi w rachubę, abym narażał kolejnego młodego człowieka na niebezpieczeństwo.

Przedziwne uczucie, Szanowny Czytelniku: coś jakby pieczenie na twarzy i szyi. Przypuszczalnie wstyd. Bo do niedawna prawie w ogóle nie dbałem o bezpieczeństwo Poego! Jego spotkania z Leą i Artemusem śledziłem jak czytelnik powieści, w ogóle nie zastanawiając się nad tym, że za tą historią stoi prawdziwy człowiek z krwi i kości, którzy w każdej chwili może stracić życie.

— To nie jest jedyny powód — powiedziałem.

— Ma pan rację — odparł. — Jak już wcześniej panu mówiłem, moim zdaniem zażyłość z Poem negatywnie odbiła się na pańskim obiektywizmie. Może kiedy nie będzie pan już utrzymywał z nim regularnych kontaktów, będzie się pan lepiej wywiązywał z...

Nie dokończył. Nie musiał. Odchyliłem się na krzesło, wziąłem głęboki wdech i powiedziałem:

— Dobrze zatem, ma pan na to moje słowo. Poe nie będzie już brał udziału w śledztwie.

Przynajmniej nie okazał po sobie triumfu. Wzrok miał nieobecny, a ręka przesuwała się po blacie biurka, jakby odgarniała na bok cienie.

— Powinien pan wiedzieć — oznajmił — że pułkownik Thayer zgłosił



zniknięcie pana Stoddarda dowódcy wojsk inżynieryjnych.

— Który na pewno się nie ucieszy. Tak zaraz po śmierci Ballingera...

— Owszem, raczej się nie ucieszy. A skoro już bawimy się we wróżbitów, to chyba można się spodziewać, że pułkownik Thayer otrzyma naganę za niekonwencjonalny sposób prowadzenia tej sprawy.

— Nie mogą winić go za to, że...

— Zostanie mu przypomniane, że do prowadzenia tego śledztwa należało zatrudnić oficera, a nie cywila.

Sztuczny, mechaniczny ton, jakim wypowiedział te słowa, dziwnie rozbrzmiewał mi w głowie. Miałem takie wrażenie, jakbym podsłuchiwał tajne rozmowy sprzed kilku dni.

— Jestem pewien, że pan również mu o tym przypomina — stwierdziłem spokojnie. — Bo przecież od początku nie chciał mnie pan tutaj widzieć. To był pomysł pułkownika Thayera.

Nie próbował zaprzeczać. Jego głos pozostał nieporuszony jak horyzont.

— Teraz to już nie ma znaczenia, panie Landor. Zarówno pułkownik Thayer, jak i ja musimy wziąć na siebie odpowiedzialność za coś, co bez wątplenia zostanie uznane za błędny osąd sytuacji. Liczę się z tym, że dowódca wojsk inżynieryjnych przyśle własnego śledczego, który otrzyma *carte blanche* na doprowadzenie tej sprawy do końca. — Jego ręka znowu zaczęła czyścić biurko. — Jeśli dowódca zadziała tak szybko, jak ma w zwyczaju, to sądzę, że przybycia nowego śledczego możemy się spodziewać za jakieś trzy dni. — Jego usta przez kilka chwil poruszały się bezgłośnie — najwyraźniej weryfikował w głowie swoje obliczenia. — Musimy zatem uwzględnić nowy element, który nazywa się „nieprzekraczalny termin”, panie Landor. Ma pan trzy dni na znalezienie sprawcy tych zbrodni. — Urwał na chwilę, po czym dodał: — Jeśli pozostaje pana pragnieniem, aby go znaleźć.

— Moje pragnienia nie mają tutaj nic do rzeczy — odparłem i usiadłem

wygodniej. — Zgodziłem się wziąć tę sprawę, pułkowniku. Przypieczętowaliśmy to uściskiem dłoni. Tylko to się liczy.

Przytaknął, ale zastrzygł brwiami, a kiedy złączył dłonie i pochylił się ponownie nad biurkiem, łatwo dało się zauważyć, że wcale go nie udobruchałem.

— Panie Landor — powiedział. — Mam nadzieję, że nie posunę się za daleko, jeśli zasugeruję, że chowa pan w sobie niechęć do Akademii. Proszę pozwolić mi dokończyć. — Uniósł palec, aby mnie powstrzymać. — Wyczuwam pewną niechęć od pierwszego spotkania z panem. Do dzisiaj nie widziałem powodu, aby brać tę kwestię pod lupę.

— A teraz?

— Teraz mam obawy, że pańska wrogość do Akademii może stanowić przeszkodę na drodze do pomyślnego zakończenia śledztwa.

Aż się we mnie zagotowało! Pamiętam, że szukałem czegoś, czym mógłbym rzucić — kałamarza, przycisku do papieru — ale nic by nie oddało bezmiaru mojego gniewu. Nie pozostało mi zatem nic innego, jak obrzucić Hitchcocka słowami.

— Na rany Chrystusa! — wykrzyknąłem, podrywając się na nogi. — Czego pan jeszcze ode mnie chce, kapitanie? Oto jestem, pracuję bez wynagrodzenia...

— Na własne życzenie.

— Haruję jak wół, jeśli chce pan wiedzieć. To panu zawdzięczam, że mnie podziurawiono, prawie *posiekano*. Położyłem na szali własne życie. A wszystko dla dobra pańskiej drogiej instytucji.

— Pańskie poświęcenia zostały starannie odnotowane — odparł sucho. — A teraz proszę wrócić do mojego wcześniejszego pytania. Czy w głębi serca żywi pan wrogość do Akademii?

Przejechałem dłonią po czole. Wypuściłem powietrze.

— Pułkowniku, nie mam nic przeciwko panu. Życzę panu i pańskim

kadetom wszelkiej pomyślności, niech... *zabijają ludzi* i robią inne rzeczy, które muszą robić żołnierze. Ale...

— Ale co?

— Ten wasz mały klasztor — powiedziałem, wytrzymując jego spojrzenie.  
— Doskonale pan wie, że nie robi z nich świętych.

— A kto powiedział, że ma zrobić z nich świętych?

— Nie z każdego zrobi też żołnierza. Nie staję po stronie prezydenta ani żadnego innego z waszych wrogów, ale uważam, że kiedy odbiera się młodemu człowiekowi wolną wolę, narzuca się mu pęta regulaminu i kar, kiedy... zabrania mu się korzystać z rozumu, to się go odczłowiecza. I wpędza w desperację.

Nozdrza Hitchcocka rozbłysły ledwo dostrzegalnym płomieniem.

— Potrzebuję pańskiej pomocy, panie Landor. Usiłuję zrozumieć pański tok rozumowania. Chce pan powiedzieć, że winę za te zgony ponosi Akademia?

— Ktoś związany z Akademią, tak. A zatem i sama Akademia.

— Ależ to niedorzeczne! Według pańskich kryteriów każda zbrodnia popełniona przez chrześcijanina jest plamą na honorze Chrystusa.

— Bo jest.

To był chyba pierwszy raz, kiedy naprawdę go zaskoczyłem. Odchylił głowę, złączył dłonie i na krótką chwilę zabrakło mu słów. W ciszy, która zapadła między nami, stało się dla mnie oczywiste, że kapitan Hitchcock i ja nigdy się nie zaprzyjaźnimy.

Nigdy nie wypijemy razem madery w gabinecie gubernatora Kemble'a, nigdy nie zagramy w szachy i nie posłuchamy razem koncertu, nie pójdziemy na przechadzkę do fortu Putnam ani nie poczytamy przy grejpfrutach gazet. Od tej pory nie spędzimy w swoim towarzystwie ani chwili, jeżeli nie będzie wymagała tego nasza praca, a to z tego prostego powodu, że nigdy sobie nie wybaczymy.

— Ma pan trzy dni — powiedział Hitchcock. — Za trzy dni rozstanie się

pan z nami, panie Landor. — Dochodziłem już do drzwi, kiedy uznał za stosowne dodać: — A my z panem.

# Opowieść Gusa Landora

32

*10 grudnia*

Cóż, kapitan Hitchcock mógł powiedzieć o mnie wiele rzeczy, ale nie to, że pomyliłem się co do kadeta Stoddarda. Następnego ranka zgłosił się miejscowy rybak nazwiskiem Ambrose Pike, który powiedział, że jakiś młody kadet zaproponował mu dolara za przewiezienie go łodzią w dół rzeki. Pike zawiózł go aż do Peekskill, a potem patrzył, jak młody człowiek wyciąga ze skórzanej sakiewki kolejne kilka dolarów i kupuje bilet na najbliższy parowiec do Nowego Jorku. Pike nie myślałby o tym więcej, gdyby żona mu nie powiedziała, że przewieziony przez niego kadet może być zbiegiem, w związku z czym Pike mógłby trafić do więzienia Ossining za współudział w przestępstwie, gdyby tego nie zgłosił. I dlatego przybył do West Point, aby obwieścić wszem wobec, że Ambrose Pike nie zamierza maczać palców w żadnym przestępstwie.

Skąd Pike wiedział, że przewozi kadeta?

No jakże, przecież miał na sobie mundur. Dopiero kiedy dotarli do Peekskill, włożył cywilną koszulę, apaszkę i futrzaną czapkę, przez co wyglądał jak każdy inny chłop ze wsi.

Jak ten młody człowiek tłumaczył, że chce w takim pośpiechu opuścić West Point?

Powiedział, że u niego w domu źle się dzieje, a nie może się doczekać na barkę Akademii. A potem aż do samiuteńskiego Peekskill nic już nie powiedział. Nawet się nie pożegnał.

Coś jeszcze?

Pike zauważył, że kadet był bardzo blady. I chociaż słońce mocno świeciło,

cały zakutany, a mimo to od czasu do czasu zaczynał się trząść.

Trząść? Z czego to mogło wynikać?

Trudno powiedzieć. Ale wyglądał tak, jakby sam diabeł siedział mu na ogonie.

Tego samego dnia dostałem pocztą interesującą przesyłkę od mojego nowojorskiego korespondenta, Henry'ego Kirke Reida.

*Najdroższy Gusie,*

*wiadomości od Ciebie zawsze sprawiają mi niezmierną przyjemność — nawet jeśli chodzi o te paskudne sprawy zawodowe. Bardzo Cię proszę: kiedy następnym razem zlecisz mi jakieś zadanie, daj mi na jego wykonanie trochę więcej niż cztery tygodnie. Dopiero co dotarły depesze z Richmond i gdybym miał do dyspozycji jeszcze parę tygodni, uzyskałbym dużo więcej informacji o tym młodym człowieku. W każdym razie załączam to, co udało mi się zdobyć, czyli wyniki śledztwa przeprowadzonego w Bostonie, Nowym Jorku i Baltimore.*

*Twój Poe ma wiele twarzy, Gus. Tobie zostawiam decyzję, czy któraś z nich jest bardziej prawdziwa od innych. Mogę jednak powiedzieć, że jego przeszłość nie jest w jakimś wyjątkowym stopniu usłana trupami i żaden z tych nieboszczyków nie powstał jeszcze z martwych, aby domagać się sprawiedliwości. Nigdy też nie wystawiono za nim listu gończego. Ale to wszystko, jak wiesz, nic nie znaczy.*

*Wspomniałeś w swoim liście o moim wynagrodzeniu. Proszę Cię, bądź tak dobry i zapomnij o tym. Dochodzenie nie było zbyt wymagające, a w ten skromny sposób uczczę pamięć Amelii. Do tej pory nie złożyłem Ci porządnych kondolencji.*

*Bez Ciebie Nowy Jork nie jest już tak radosnym miastem. Mam jednak nadzieję, że przetrwamy do Twojego następnego pojawu. Co innego nam pozostaje?*

*Z najserdeczniejszymi życzeniami*

*H.K.R.*

Tego wieczoru usiadłem i przeczytałem załączone przez Henry'ego depesze — wielekroć, za każdym razem z rosnącym smutkiem. Czułem, że nadchodzi przesilenie. A kiedy usłyszałem znajomy stukot do drzwi mojego pokoju hotelowego, pogratiulowałem sobie, że zamknąłem je na klucz. Gałka przekręcała się, najpierw delikatnie, potem coraz bardziej natarczywie, aż w końcu znieruchomiała. Usłyszałem odgłos oddalających się kroków. Znów byłem sam.

# Sprawozdanie Edgara A. Poego dla Augustusa Landora

*11 grudnia*

**L**andor, gdzie pan był wczoraj wieczorem? Niespodziewanie zastałem pańskie drzwi zaryglowane, a na moje pukanie nie było odpowiedzi. Tym bardziej mnie to zdumiało, że prawie na pewno dostrzegłem światło w pańskim oknie. Musi pan być uważniejszy i gasić świece przed wyjściem z domu. Przecież nie chce pan chyba puścić z dymem majestatycznego hotelu pana Cozzena, który dopiero niedawno zbudowano!

Zadaję sobie pytanie, czy dziś wieczorem będzie pan „w domu”. Potwornie martwię się o Leę. Na przekór wszelkim moim staraniom nie chce się ze mną zobaczyć, co skłania mnie do przypuszczenia, że panika związana ze zniknięciem pana Stoddarda dokonała spustoszeń w jej niezwykle delikatnej psychice. Być może Lea chce ukryć przede mną świadectwa kobiecej kruchości? Ach, Landor, jak ona kiepsko mnie zna! Słabą kochałbym ją jeszcze bardziej niż silną; u wrót śmierci byłaby mi jeszcze droższa niż u kolebki miłości. Ona musi to wiedzieć! Musi!

Landor, gdzie pan jest?



# Opowieść Gusa Landora

## 33

*11 grudnia*

Tego wieczoru znowu przyszedł. Pamiętam, że noc była mroźna. Otworzyłem dziennik Leroya Frya, ale znaczki na papierze mi umykały i w końcu notatnik leżał na moich kolanach jak pogrążony we śnie kot. Żar w kominku dogasał i palce zmartwiały mi z zimna, bo z jakiegoś powodu nie dołożyłem do ognia.

Jak się okazało, zaniedbałem również czegoś innego: nie zamknąłem drzwi na klucz. Krótco po jedenastej usłyszałem cichy stukot... zobaczyłem, że drzwi się otwierają... ponownie ujrzałem znajomą głowę...

— Dobry wieczór — powiedział jak zawsze Poe.

Tyle że teraz staliśmy na innym gruncie. Żaden z nas nie potrafił dokładnie określić tej różnicy, ale obaj ją wyczuwaliśmy. Na przykład Poe nie mógł ani siedzieć, ani stać. Krążył po pokoju, znikał w cieniu i wyłaniał się z niego, wyglądał przez okna, wystukiwał na biodrze różne rytmy. Może chciał, żebym jak zawsze poczęstował go Monongahelą.

W końcu powiedział:

— Kadet Cochrane nie eskortował mnie dziś wieczorem.

— Tak, myślę, że kadet Cochrane ma teraz innego pana.

Skinął głową, chociaż mnie nie słuchał i nie rozumiał, co miałem na myśli.

— To bez znaczenia — powiedział. — Mam już dostateczne rozeznanie w terenie. Nie dam się złapać.

— Już został pan złapany, Poe. Obaj zostaliśmy złapani. A teraz poniesiemy tego konsekwencje. — Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, po czym zaproponowałem: — Może pan usiądzie?

Zamiast jak zwykle na bujaku, usadowił się na skraju łóżka i tańczył palcami po narzucie.

— Niech pan posłucha, Poe. W zamian za wyrozumiałe spojrzenie na pańskie zachowanie u pana Kemble'a kapitan Hitchcock zażądał, aby pan ustąpił ze stanowiska mojego asystenta.

— On nie może tego zażądać.

— Może i zażądał.

Palce wykonywały piruety, poruszały się wielkimi łukami jak ćmy wokół świecy.

— Opowiedział mu pan, Landor, o niezliczonych przy usługach, jakie panu wyświadczyłem?

— Opowiedziałem.

— I nie zrobiło to na nim wrażenia?

— Bardzo się martwi o pańskie bezpieczeństwo, Poe. I słusznie. Ja martwiłem się o nie zdecydowanie za mało.

— Może powinniśmy się zwrócić do pułkownika Thayera?

— Thayer zgadza się z Hitchcockiem.

Obdarzył mnie wtedy swoim najzuchwalszym uśmiechem. Uśmiechem Byrona.

— W sumie co nas to obchodzi, Landor? Możemy się spotykać jak dawniej. Co nam zrobią?

— Mogą pana zwolnić.

— Proszę bardzo! Zabiorę ze sobą Leę i raz na zawsze strzepnę z siebie kurz tego przekłętego miejsca.

— Dobrze zatem — powiedziałem, splatając dłonie na piersiach. — W takim razie ja pana zwalniam.

W jego spoczywających na mnie oczach pojawiło się delikatne migotanie. Nic jednak nie mówił.

Jeszcze nie.

— Niech mi pan powie — podjąłem — co mi pan tutaj przysięgał. W tym

pokoju. Przypomina pan sobie?

— Przysięgałem mówić prawdę.

— Tak, prawdę. Najwyraźniej nikt panu nie wytłumaczył sensu tego słowa, Poe. Co stawia mnie przed pewnym małym problemem: z poetą mogę współpracować, ale z kłamcą nie.

Wstał, przyjrzał się swoim dłoniom i powiedział:

— Niech się pan wytłumaczy, Landor, bo będę musiał zażądać satysfakcji.

— Nie muszę się tłumaczyć — odparłem chłodno. — Wystarczy, że rzuci pan okiem na to.

Sięgnąłem do szuflady nocnego stolika, wyjąłem przewiązany sznurkiem stos otrzymanych od Henry'ego Kirke Reida żółtych karteczek i rzuciłem na łóżko. Z nieufną miną zapytał, co to jest.

— Poprosiłem znajomego o pogrzebanie w pańskim życiorysie.

— Dlaczego?

— Bo pana zatrudniałem — odpowiedziałem ze wzruszeniem ramion. — Musiałem wiedzieć, z kim mam do czynienia. Tym bardziej, że lubił pan mówić o zabijaniu ludzi. Raport został oczywiście sporządzony bardzo pośpiesznie, więc z pewnością nie jest pełny. Ale jak to pięknie ujął Merkurcjo, „Wystarczy, psiakrew” <sup>11</sup>.

Wsunął ręce do kieszeni i znowu zaczął krążyć po pokoju. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał równie niepewnie, jak głos karciarza, który zaplątał się w swoich blefach.

— Cieszę się, Landor, że dostarczyłem panu okazji do cytowania Szekspira. Nie jest pan przecież miłośnikiem klasycznych cytatów.

— Jak panu wiadomo, kiedyś często chodziłem do teatru. — Podniosłem z łóżka stos depech. — Ale na co pan czeka, Poe? Nie chce pan tego przeczytać? Gdyby ktoś zadał sobie tyle trudu w stosunku do mnie, umierałbym z ciekawości, co tam znajdę.

Teatralnie wzruszył ramionami i powiedział ostentacyjnie znudzonym tonem:

— Kiedy ja wiem, co tam znajdę: stek kłamstw.

— Właśnie, stek kłamstw. Dokładnie to samo przyszło mi do głowy, kiedy to czytałem. — Zacząłem demonstracyjnie przerzucać kartki. — Kiedy miałem już tę lekturę za sobą, nurtowało mnie tylko jedno pytanie: w jakiej sprawie mnie pan nie okłamał, Poe? — Zerknąłem na niego, po czym wróciłem do przeglądania depeesz. — Trudno zdecydować, od czego zacząć.

— Więc niech pan nie zaczyna — powiedział cicho.

— Zacznijmy od drobiazgów. Porzucił pan Uniwersytet Wirginijski nie dlatego, że pan Allan obciął panu fundusze, ale dlatego, że... jak Henry to ujął?... narobił pan potężnych długów hazardowych. Czy to odświeżyło panu pamięć, Poe? — Brak odpowiedzi. — Rozumiem, dlaczego woli pan mówić ludziom, że spędził pan tam trzy lata, a nie zaledwie osiem miesięcy. Nie jest to jednak pańskie jedyne wyolbrzymienie. Ten pański wyczyn pływacki, siedem i pół mili w górę rzeki James? Wygląda na to, że bliżej pięciu. — Usiadł na samym brzegu bujaka. I tkwił w bezruchu. — Mniejsza z tym, tylko odrobinę pan podkoloryzował. Zupełna błahostka. Ale naprawdę ciekawie robi się... — mój palec spadł na papier jak meteoryt — ...tutaj. Pańskie europejskie przygody. Nie umiem zrozumieć, jak się one zmieściły w pańskim życiorysie, Poe. Pańskie życie można podzielić na trzy etapy: mieszkanie u pana Allana, studia i wojsko, nie było między nimi żadnych przerw. Zastanówmy się zatem, co z tego wynika. Walka o niepodległość Grecji: kłamstwo. Podróż do Sankt Petersburga: kłamstwo. Żaden dyplomata nie musiał pana ratować, bo można się założyć, że nie licząc Ameryki, był pan tylko w Anglii. Co się zaś tyczy żeglowania po morzach, to zgaduję, że zapożyczył pan to od starszego brata. Który miał na imię Henry, Henry Leonard. A może *Henri*?

Mogłem się spodziewać, że to zrobi: potarł palcem obszar między nosem a górną wargą, gdzie parę dni wcześniej znajdowały się wąsy z końskiego włosia.

— Rzecz jasna, teraz Henriego pochłaniają inne sprawy — ciągnąłem. —

Głównie gorzałka. Stoi już jedną nogą w grobie. To musi być wielkie rozczarowanie dla tak wybitnej rodziny jak wasza, z tak znamienitym rodowodem. Wodzowie frankijscy, czyż nie? Aha, i Chevalier le Poer, i może jeszcze paru brytyjskich admirałów. — Uśmiechnąłem się. — Raczej irlandzcy majtkowie. W nowojorskich czasach widywałem wielu takich jak pan. Z reguły pijani, a potem martwi, tak jak Henry. — Mimo nikłego światła zobaczyłem, jak na jego policzki wstępuje rumieniec. A może raczej *poczułem*, jak żar z kominka. — Najzabawniejsze jest to, że rzeczywiście ma pan w rodzinie człowieka wybitnego, ale nigdy pan o nim nie mówi. Mam na myśli pańskiego dziadka, Poe. Prawdziwy generał, na litość boską! Weteran kwatermistrzostwa. Ciepło wspominany — przeczytać panu, Poe? — „ciepło wspominany za niestrudzone starania o to, aby odziać i zaopatrzyć wojska rewolucyjne”. Bliski współpracownik Lafayette’a. Nie umiem sobie wyobrazić, dlaczego pan o nim nie wspominał. Chyba że... Owszem, jego powojenne życie przedstawia się trochę mniej heroicznie.

Po raz kolejny zanurzyłem głowę w kartki.

— Widzę, że prowadził pasmanterię, a także inne interesy. Żaden z nich nie przyniósł większych zysków. A dalej, niech spojrzę... w osiemset piątym ogłosił niewypłacalność. W osiemset szesnastym zmarł bez grosza przy duszy. Bardzo smutne. — Podniosłem wzrok i zmarszczyłem czoło. — Bankrut, chyba tak byśmy go nazwali. I pomyśleć, Poe: tak bardzo się pan go wstydził, że wolał się pan podać za wnuka Benedicta Arnolda.

— Mówiłem tak tylko dla zabawy.

— Nie tylko, także dla ukrycia prawdy. Prawdy na temat generała Davida Poego, no i oczywiście na temat rodu Poech z Baltimore. Którzy, z tego, co mi wiadomo, nie śmierdzieli groszem. — Jego głowa zaczęła się osuwać. Bardzo powoli. — Co nas prowadzi do ostatniego kłamstwa, na temat pańskich rodziców. Podniosłem wzrok znad depeszy, ponieważ ten fragment znałem na pamięć. Wcale nie zginęli w pożarze teatru w Richmond w osiemset siódmym. Kiedy wybuchł pożar, pańska matka nie żyła już od dwóch tygodni. Zmarła

chyba na jakąś zakaźną gorączkę, aczkolwiek oficjalne dokumenty nie dają w tej kwestii pewności. — Wstałem i podszedłem do niego, wymachując kartką jak kordelasem. — A pańskiego ojca w ogóle nie było w mieście, prawda? Dwa lata wcześniej uciekł. Zostawił pańską biedną matkę na pastwę losu z dwójką małych dzieci. I wszelki ślad po nim zaginął. Nikt też za nim nie tęsknił. Aktor podobno fatalny. W odróżnieniu od pańskiej matki nigdy nie miał dobrych recenzji. Już wtedy zapijał się na śmierć. Ale w pańskiej rodzinie to chyba częsta — jak pan to określił, Poe? — przypadłość medyczna potwierdzona przez szereg wybitnych lekarzy.

— Błagam pana, Landor.

— Serce mi się kraje na myśl o pańskiej biednej matce. Została samiuteńka na tym świecie. Pierwszy mąż nie żyje, drugi odszedł, dwójka dzieci do wykarmienia. A nie, przepraszam, powiedziałem „dwójka”? Miałem na myśli trójkę. — Znowu przejrzałem dossier. — Tak, zgadza się. Było jeszcze trzecie dziecko, dziewczynka, która miała na imię Rosalie — teraz mówią na nią Rose. Z tego, co mi powiedziano, ma nie całkiem poukładane... Brakuje jej... Brakuje jej... ale zaraz, to dziwne. — Zmarszczyłem brwi. — Wygląda na to, że urodziła się w grudniu osiemset dziesiątego. Czyli ponad rok po odejściu pańskiego ojca. Hmm. — Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową. — Cóż za niezwykła historia! Pierwszy raz słyszę, żeby ciąża trwała cały rok. Co pan o tym sądzi, Poe? — Zacisnął dłonie na podłokietnikach bujaka i powolnymi, głębokimi haustami wciągał powietrze. — Ale nie możemy do tego podchodzić zanadto po staroświecku. Czegóż więcej można oczekiwać od aktorki? Na pewno pan zna ten stary dowcip, Poe. Jaka jest różnica między aktorką a dziwką? Dziwka wykonuje swoją robotę w pięć minut. — Poderwał się z fotela. Z rękami jak szpony i oczami jak chmury rzucił się na mnie. — Siadaj pan! Siadaj pan, poeto!

Znieruchomiał, opuścił ramiona i wrócił na bujak.

Kiedy byłem już bezpieczny, odwróciłem się, podszedłem do okna, rozsunąłem zasłony i spojrzałem w noc: czystą, jednolitą, fioletowo-czarną,

gwieździstą. Księżyc wisiał płaski, biały i okrągły w zagłębieniu między wzgórzami na wschodzie, a jego światło spływało na mnie powolnymi falami, na przemian gorącymi i zimnymi.

— Moje małe śledztwo nie pozwoliło mi rozstrzygnąć tylko jednej sprawy — powiedziałem. — Czy jest pan mordercą, Poe? — Ze zdziwieniem zauważyłem, że palce mi drżą. Może dlatego, że nie dołożyłem do kominka i ogień zgasł. — Z pewnością ma pan wiele twarzy, ale czy również taką? Nie potrafiłem w to uwierzyć. Na przekór temu wszystkiemu, co mi powiedział kapitan Hitchcock. — Odwróciłem się i spojrzałem na jego spopielałą twarz. — Ale potem przypomniałem sobie pańską rozmowę z Leą w forcie Putnam. Zacytować pana? Chyba znam te słowa na pamięć.

— Rób pan, co chcesz — odparł głucho.

Oblizałem wargi i przełknąłem ślinę.

— Słowa Edgara Allana Poeego skierowane do panny Lei Marquis: „Umarli nas nawiedzają, ponieważ za mało ich kochamy. Zapominamy o nich, widzi pani. Nie chcemy tego, ale zapominamy. Cały nasz smutek i żal na jakiś czas przygasają i sądzę, że w tym dłuższym czy krótszym okresie czują się okrutnie porzuceni. Dobijają się zatem o naszą uwagę. Chcą odnaleźć drogę do naszych serc. Żeby nie umrzeć dwa razy”. — Spojrzałem na niego. — Pańskie słowa, Poe.

— I co z tego? — warknął.

— Przecież to jest w gruncie rzeczy przyznanie się do winy. Pozostało mi tylko znaleźć pańską ofiarę. Ale zajęło mi to tylko kilka chwil. — Zacząłem krążyć wokół fotela bujanego. Tak jak to robiłem w czasach nowojorskich, przesłuchując podejrzanego: okrążałem go. — Pańska matka, prawda? — Nachyliłem mu się do ucha i szepnąłem: — Pańska matka, Poe. Za każdym razem, kiedy pan o niej zapomina — za każdym razem, kiedy rzuca się pan w ramiona innej kobiety, jest tak, jak by zabijał pan ją od nowa. Matkobójstwo, tak. Jedna z najcięższych zbrodni świata. — Okrążyłem go po raz ostatni. — Nie ma powodu do zmartwienia, Poe — powiedziałem, stając

przed nim twarzą w twarz. — Zapominanie o kimś nie jest przestępstwem zagrożonym karą więzienia. A to oznacza, że jest pan czysty, przyjacielu. Jest pan po prostu jeszcze jednym małym chłopcem, który nie umie przestać kochać mamusi.

Znowu się podniósł... i znowu się zawahał. Dlaczego — nie umiem powiedzieć. Z powodu różnicy gabarytów? (Jedną ręką rozłożyłbym go na łopatkę). Bardziej prawdopodobne, że chodziło o władzę, a to już zupełnie inna sprawa. Myślę, że w życiu każdego człowieka przychodzi moment, kiedy dostrzega on swoją całkowitą bezsilność. Wydaje ostatni grosz na alkohol, rzuca go ukochana albo dowiaduje się, że człowiek, któremu bezgranicznie ufał, życzy mu wszystkiego najgorszego. Jest wtedy zupełnie nagi.

Tak właśnie wyglądał Poe na środku mojego pokoju: jakby obdarto go ze skóry. A w środku chwieją się kości.

— Skończył pan, jak tuszę — powiedział w końcu.

— Na razie.

— W takim razie życzę panu dobrej nocy.

Godność, tak, to była jego ostatnia deska ratunku. Kiedy po raz ostatni podchodził do drzwi, głowę trzymał wysoko. W takiej pozycji miał wytrwać na korytarzu i dalej.

A w każdym razie zamierzał. Coś jednak sprawiło, że jeszcze raz się odwrócił. Coś sprawiło, że przemówił śmiertelnie urażonym tonem.

— Kiedyś pan zrozumie, co mi pan zrobił.



# Opowieść Gusa Landora

34

*12 grudnia*

Nie spałem jeszcze, kiedy zadudniły poranne bębny. Nie spałem, ale moje zmysły były dziwnie wymieszane. Kiedy usiadłem na łóżku, odniosłem wrażenie, że popielaty świt za oknem ma *zapach* (konkretnie czernidła), a powietrze wokół mnie — konsystencję gliny. Krótko mówiąc, znajdowałem się gdzieś pomiędzy jasnością umysłu a wyczerpaniem, lecz po pewnym czasie górę wzięło wyczerpanie. Zasnąłem na siedząco i obudziłem się parę minut po dwunastej.

Ubrałem się w pośpiechu, poczłapałem do kantyny i przez chwilę patrzyłem, jak kadeci ze zwierzęcym apetytem jedzą obiad. Byłem tak głęboko pogrążony w rozmyślaniach, że nie zauważyłem nadejścia Cesara, szefa sali. Pozdrowił mnie jak stary znajomy i zapytał, czy nie wolałbym zjeść obiadu w kantynie oficerskiej na górze. Bo przecież, sir, to jest właściwe miejsce dla takiego dżentelmena jak pan...

— Bardzo uprzejmie z pańskiej strony — powiedziałem z uśmiechem. — Szukam pana Poego, wie pan może, gdzie się podziewa?

— Pan Poe powiedział oficerowi dyżurnemu, że kiepsko się czuje i prosi o zgodę na udanie się do szpitala. To było jakieś pół godziny temu.

„Do szpitala?” Już kiedyś użył tego wybiegu, pomyślałem. Może przygotowuje się do zajęć. A może oblega drzwi Lei i błaga o audiencję.

Albo...

Owszem, pomysł godny jednego z melodramatów, w których występowała pani Poe. Na swoją obronę powiem jednak, że miałem bardzo niewielkie doświadczenie w łamaniu ludziom serc i chyba właśnie dlatego myśl, że Poe

mógłby wybrać romantyczną drogę ucieczki od tego niedobrego świata, zupełnie wytrąciła mnie z równowagi. Pospiesznie podziękowałem więc Cesarowi, wcisnąłem mu do ręki monetę i usłyszałem, jak mówi do mnie, kiedy byłem już odwrócony plecami:

— Źle pan wygląda, panie Landor.

Nie polemizowałem z nim, tylko szybkim krokiem pomaszerowałem do Koszar Południowych. Wbiegłem na drugie piętro, zrobiłem dziesięć długich kroków korytarzem...

Pod drzwiami Poego stał człowiek, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Starszy mężczyzna, jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, szczupły, nieogolony, z długim i dumnym orlim nosem i krzaczastymi brwiami, które zdawały się należeć do kogoś o wiele starszego. Ramiona skrzyżowane jak dwa miecze i stał... Chciałem powiedzieć *nonszalancko* oparty o ścianę, ale w jego pozie nie było niczego nonszalanckiego: ciało sztywne jak oparta o ścianę drabina.

Na mój widok powrócił do pionu, skłonił głowę i zapytał:

— Wie pan może, gdzie znajdę niejakiego pana Poego?

Wysoki, chrapliwy głos z delikatną sugestią gardłowego szkockiego „r”. Przyznaję ze wstydem, że gapiłem się na niego jak sroka w gnat. Nie pasował mi tutaj! Bez munduru, nie ma pojęcia o rozkładzie zajęć! I taki rozdrażniony, jakby jakiś zły dżin postawił na jego drodze labirynt.

— Wie pan co — odpowiedziałem w końcu — sam się nad tym zastanawiałem.

„A jakąż sprawę ma pan do pana Poego?” Pytanie to przebijało z jego bladej twarzy o wydatnych kościach policzkowych. W każdym razie zacząłem panicznie na nie odpowiadać, jak student pierwszego roku przed komisją egzaminacyjną.

— Pan Poe... Chyba można powiedzieć, że „pomaga” Akademii w pewnym prowadzonym przeze mnie... dochodzeniu. A raczej pomagał...

— Jest pan oficerem, sir?

— Nie! Jestem tylko... cywilem, którego tutaj ściągnęli. Na jakiś czas. —

Zabrakło mi słów, więc podałem mu rękę. — Gus Landor.

— Bardzo mi miło. Jestem John Allan.

Nie wiem, jak to opisać, Szanowny Czytelniku: to było trochę tak, jakby postać z bajki zeszła ze strony książki i przybrała formę cielesną. Znałem go tylko za pośrednictwem Poego i jak wszystkie postacie z przeszłości naszego poety Allan nabrał pod jego piórem wymiaru fantastycznego. Spotkania go w realnym życiu spodziewałem się nie bardziej niż tego, że zostanę potrącony na ulicy przez centaura.

— Pan Allan — powiedziałem półszepem. — Pan Allan z Richmond.

Jastrzębie oczy rozbłysły, a strzechy nad oczami złączyły się.

— Wspominał o mnie zatem.

— Zawsze z jak największym... szacunkiem i uznaniem.

Wyciągnął do mnie rękę. Odwrócił się trochę na bok i powiedział sarkastycznym tonem:

— Bardzo miło z pańskiej strony, ale już ja tam wiem, jak ten chłopak mówi o mnie innym ludziom.

Dziwna rzecz, ale zapalałem do niego odrobiną sympatii. To nie zawsze miłe — pomyślałem — być postacią z bajki. Otworzyłem więc drzwi i zasugerowałem, abyśmy obaj zaczekali w środku. Wziąłem od niego płaszcz i położyłem na kominku. Spytałem, czy właśnie przybył z Nowego Jorku.

Skinął głową z niejaką dumą.

— Udało mi się złapać jeden z ostatnich parowców w sezonie. Musiałem oczywiście stargować cenę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to odpłynę następnym. Zaproponowano mi nocleg w hotelu, ale nie widzę powodu dawać się obdzierać ze skóry placówce wojskowej, skoro tak znakomicie wywiązuje się z tej roli rząd.

Trzeba przyznać, że w tych słowach nie było ani śladu marudzenia. Nie, ten człowiek przemawiał z pozycji wykutych w kamieniu zasad. Jak nikt inny przypominał mi Thayera, z tą różnicą, że pryncypialność Thayera miała charakter ideowy, a nie merkantylny.

— Rozumiem — powiedziałem. — Słyszałem, że niedawno ponownie się pan ożenił.

— Zgadza się.

Przyjął moje gratulacje, po czym zamilkliśmy i układałem już w głowie słowa pożegnania, kiedy zobaczyłem, że po twarzy Allana, który zaczął mi się przyglądać, przebiegło lekkie drgnienie.

— Przepraszam pana... Landor, zgadza się?

— Tak.

— Mogę panu udzielić przyjacielskiej rady?

— Ależ proszę.

— Wspomniał pan zdaje się, że Akademia zwerbowała Edgara do jakiegoś... chyba użył pan słowa „dochodzenie”.

— W pewnym sensie.

— Nigdy nie dość podkreślania, że temu chłopcu nie należy powierzać żadnych poważnych obowiązków.

— O. — Urwałem. Mrugnąłem. — Wręcz przeciwnie, panie Allan, ja go znajduję nadzwyczaj szczerym i... pomocnym...

Nie potrafiłem dokończyć, ponieważ pan Allan po raz pierwszy się uśmiechnął, a uśmiech ten potrafiłby przeciąć wrzód.

— W takim razie kiepsko pan go zna, panie Landor. Z przykrością muszę panu powiedzieć, że to jeden z najmniej szczerych i prawdomównych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Mam taką zasadę, że nie wierzę w ani jedno jego słowo.

Mogłem się domyślić, że tak wyglądają jego zapatrywania na tę sprawę — bardzo bliskie moim. Nie liczyłem się jednak z tym, że pan Allan podejdzie do sprawy z aż tak wielkim entuzjazmem.

— Zanim ten chłopak trafił do Akademii, dałem mu sto dolarów — sto dolarów! — na opłacenie zastępstwa w wojsku. Powiedziano mi, że tylko w ten sposób może uzyskać zgodę na przyjazd tutaj. Dwa miesiące później

otrzymałem haniebny list z pogroźkami od niedoszłego zastępcy, sierżanta Bully'ego Gravesa.

Szkoda, że nie możesz usłyszeć, jak wymawia to nazwisko, Szanowny Czytelniku! Jakby ktoś wrzucił mu do salonu zepsute podroby.

— Sierżant Bully Graves poinformował mnie, że nie otrzymał zapłaty. Poinformował mnie, że indagowany w tej kwestii Edgar powiedział: „Pan Allan nie chce się rozstać z pieniędzmi”. *Pan Allan nie chce się rozstać z pieniędzmi* — powtórzył, wybijając dłonią każde kolejne słowo. — Ale to jeszcze nie wszystko. Nasz Edgar uznał za stosowne powiedzieć sierżantowi Gravesowi, że „rzadko jestem trzeźwy”.

Podszedł do mnie, jakbym to ja wysunął przeciwko niemu to oskarżenie. Stał pół metra ode mnie i spytał z uśmiechem:

— Wydaję się panu w miarę trzeźwy, panie Landor? — Odpowiedziałem, że tak. Nie udobruchało go to i poszedł pogadać z oknem. — Moja zmarła żona go lubiła i ze względu na nią znosiłem jego rozrzutność, snobizm, afektację. A nawet jego rażącą niewdzięczność. Ale dosyć tego dobrego. Bank zamyka podwoje, panie Landor. Chłopak musi stanąć na własnych nogach albo niech idzie do diabła.

W tym momencie stało się tak, jakbyśmy jakimś tajemniczym sposobem zwarli z Poem szeregi. Bo czy obaj w swoim czasie nie próbowaliśmy nagiąć woli naszych ojców, która okazała się twarda jak skała?

— Jest bardzo młody, prawda? — powiedziałem. — I o ile mi wiadomo, nie ma innego źródła utrzymania. Podobno rodzinie Poech kiepsko się ostatnio powodzi.

— Ma przecież armię Stanów Zjednoczonych. Niech doprowadzi do końca to, co zaczął. Jeśli skończy studia — które, nawiasem mówiąc, ja mu załatwiłem — zapewni sobie bezpieczną przyszłość. Jeśli nie, to cóż... — rozłożył ręce. — Kolejna życiowa porażka. A ja nie uronię ani jednej łzy.

— Ale widzi pan, panie Allan, pański syn...

Kiedy z moich ust wyszło to ostatnie słowo, gwałtownie szarpnęła głową,

a jego oczy zrobiły się małe jak szpilki.

— Co pan powiedział?

— Pański syn — powtórzyłem niepewnie.

— A więc również panu tak powiedział? — rzucił zboląłym tonem. — Wyjaśnijmy to sobie, panie Landor: on nie jest moim synem. Nie jesteśmy ze sobą w żaden sposób spokrewnieni. Moja zmarła żona i ja ulitowaliśmy się nad nim i przygarnęliśmy go tak samo, jak przygarnęlibyśmy bezpańskiego psa czy rannego ptaka. Nie, nie adoptowałem go ani nie dałem mu do zrozumienia, że to zrobię. W świetle prawa Poe nie ma wobec mnie absolutnie żadnych roszczeń. Absolutnie żadnych. — Jego przemowa rozwijała się gładko jak ze szpulki: najwyraźniej wygłaszał ją nie pierwszy raz. — Odkąd osiągnął pełnoletniość, jest dla mnie nieustanym utrapieniem. Ponownie się ożeniłem i mam własne dzieci, krew z mojej krwi, toteż nie widzę najmniejszego powodu, aby zaspokajać doczesne potrzeby Poego. Od tej pory jest zdany na samego siebie. I na Boga, to właśnie zamierzam mu dzisiaj przekazać.

„Ależ oczywiście” — pomyślałem. „A teraz robimy próbę generalną”.

— Usiłowałem panu wcześniej powiedzieć, panie Allan, że pański... pański *Edgar* jest ostatnimi czasy trochę przeciążony. Nie wiem, czy to byłby najlepszy moment na...

— Moment jest równie dobry jak każdy inny — odparł niewzruszony. — Już dostatecznie długo trzymałem chłopaka pod kloszem. Jeśli chce zostać mężczyzną, to musi się wyzwolić od tej dziecinnej zależności.

Czasem się tak zdarza, Szanowny Czytelniku, że ktoś do ciebie mówi, a ty słyszysz, że w jego głosie pobrzmiewa echo głosu kogoś innego, i natychmiast sobie uświadamiasz, że te same słowa padły wiele lat wcześniej, że użyto ich jak maczugi przeciwko temu samemu człowiekowi, który wymachuje nimi teraz — i zdajesz sobie sprawę, że słowa te stanowią najbardziej autentyczne — i najgorsze — dziedzictwo rodzinne. Chociaż to wszystko wiesz, nie cierpisz tych słów i człowieka, który je wypowiada.

Uzmysłowiłem sobie również, że jestem wolny, że nie muszę już próbować udobruchać tego kupca, tego Szkota, tego chrześcijanina. Nie muszę już dłużej udawać, że jest wyższy ode mnie. Mogę dumnie unieść głowę i powiedzieć mu prosto w oczy:

— A zatem, panie Allan, wyrzeknie się pan tego młodego człowieka i umyje od niego ręce razem z minionymi dwudziestoma latami w jakieś pięć minut — cztery, jeżeli nie będzie się odszczekiwał — a potem wsiądzie na następny parowiec powrotny. Zaiste, oszczędny z pana człowiek.

Nieznacznie przechylił głowę na bok.

— Muszę panu powiedzieć, że nie podoba mi się pański ton, panie Landor.

— A mnie się nie podobają pańskie oczy.

Zaskoczyło chyba nie tylko jego, ale również mnie, że złapałem za jego elegancką kamizelkę i z całej siły rzuciłem nim o ścianę. Framuga okna za moimi plecami zadrżała. Poczułem pod ubraniem jego twarde ciało. Poczułem jego oddech na twarzy.

— Ty draniu! — zawołałem. — On jest wart stu takich jak ty!

Zadaję sobie pytanie, kiedy poprzednim razem ktoś poważił się podnieść rękę na Johnny'ego Allana. Zapewne w poprzednim pokoleniu. To być może tłumaczy, dlaczego tak niemrawo się bronił.

Ale z mojego ducha walki też już niewiele zostało. Puściłem jego kamizelkę, odstałem o krok do tyłu i powiedziałem:

— Może będzie to dla pana jakąś pociechą, panie Allan, że jest wart *tysiąca* takich jak ja.

Zanim opuściłem Koszary Południowe, piekły mnie oczy, toteż poczułem niezmierną ulgę, kiedy lodowaty północny wiatr rozpalił całą moją twarz. Maszerowałem szybkim krokiem i nie oglądałem się za siebie, dopóki nie dotarłem do budynku sztabu. I wtedy zobaczyłem maleńką postać, która w podartym płaszczu i skórzanym czako powoli zmierzała do swoich koszar.

Głowa wtulona w barki dla ochrony przed wiatrem. Zmierzał na kolejne spotkanie z losem.



# Opowieść Gusa Landora

35

*12 grudnia*

„ODWAGI!”

Po długim zastanowieniu doszedłem do wniosku, że tylko to mogę powiedzieć. Napisałem wiadomość na odwrocie weksla i zostawiłem w jedynym miejscu, co do którego miałem pewność, że Poe ją znajdzie: pod umówionym kamieniem w Ogrodzie Kościuszki.

A potem tam zostałem, sam nie wiem dlaczego. Może chodziło o to, że miałem ogród tylko dla siebie. Siedziałem na znajomej kamiennej ławce, patrzyłem na zachód słońca, słuchałem bulgotania źródła w kamiennej misie — i zachodziłem w głowę, dlaczego właściwie zostawiam Poemu taką wiadomość. Dlaczego Poe miałby mnie posłuchać? A jeśli chciałem w ten sposób uspokoić sumienie, to jak mogłem liczyć na to, że kilka słów na krzyż wykona tak ciężkie zadanie?

Pytania, kolejne pytania, a w tle strzępy scenerii, która leżała u moich stóp: rumieniec skalenia, marmur wody, wierzchołek w kształcie ucha, który znikał w podobnym do brody cieniu.

— Dzień dobry.

Stała przede mną Lea Marquis. Rumiana z wysiłku. Peleryna zwisała na niej niedbale, jakby ją ktoś zarzucił na nią w biegu. Na głowie miała przekrzywiony na bok bladoróżowy kapelusik.

Zaskoczenie na moment odebrało mi dobre maniere, ale w końcu zdołałem wstać i pokazać ruchem dłoni, aby usiadła obok mnie.

— Proszę, niech pani spocznie — powiedziałem.

Zadbała o to, abyśmy nie siedzieli zbyt blisko siebie, i na początek ograniczyła się do tego, że potarła butem o but.

— Nie jest dzisiaj aż tak zimno — powiedziałem. — Moim zdaniem nie tak chłodno jak wczoraj.

Przypomniałem sobie poniewczasie, jak wiele kosztowało biednego Poego poruszenie tematu pogody. Szykowałem się na reprimendę, ale nie nadeszła.

— Cieszę się — powiedziałem po dłuższej chwili — że nie siedzę tutaj sam. Byłoby niesprawiedliwe, gdybym tylko ja napawał się urokami tego miejsca.

Przytaknęła zdawkowo, jakby chciała zasygnalizować, że mnie słyszy. Potem, ze zmarszczonym czołem i pochyloną głową, powiedziała:

— Przepraszam, że Edgar i ja namówiliśmy pana na nasz mały spektakl u wuja Guba. Chcieliśmy się trochę zabawić i nie... nie wzięliśmy pod uwagę konsekwencji. To znaczy dla innych ludzi.

— Zapewniam panią, panno Marquis, że żadnych konsekwencji nie poniosłem. A nawet pan Poe, jak słyszałem, uniknął...

— Tak, wiem.

— Więc właściwie nie ma powodu... Ale dziękuję...

— Nie ma za co.

Po spełnieniu tego obowiązku uniosła głowę i spojrzała w moją stronę. W tych bladych tęczówkach pojawił się osobliwy blask. Odniosłem wrażenie, że ożywiło to ją całą, a ja odbierałem ją zupełnie inaczej niż kiedykolwiek.

— Panie Landor, nie widzę sensu udawać czy owijać w bawełnę. Przyszłam tu za panem z pewną misją.

— W takim razie koniecznie proszę ją skutecznie.

Przez chwilę niemo poruszała ustami, jakby ćwiczyła swoją wypowiedź.

— Wiem... Wiem, że od pewnego czasu mój brat jest przedmiotem pańskiego śledztwa. Wiem, że podejrzewa go pan o straszne rzeczy. Wiem, że gdyby pan miał dowody, to by go pan aresztował.

— Panno Marquis — powiedziałem, rumieniąc się jak chłopiec. — Musi

pani zrozumieć, że nie mogę dyskutować...

— W takim razie proszę pozwolić, że ja będę mówiła za nas oboje. Mój brat nie jest winien czyjejkolwiek śmierci.

— Mówi pani tak, jak przystało na dobrą siostrę. Nie spodziewałbym się po pani niczego innego.

— Ale taka jest prawda.

— Jeśli taka jest prawda, to prędzej czy później wyjdzie na jaw.

— Wcale nie mam takiej pewności — odparła. Nagle wstała, podeszła do skarpy i spojrzała na rzekę. — Panie Landor — powiedziała, wciąż odwrócona do mnie plecami. — Za jaką cenę odstąpiłby pan od śledztwa?

— Zaskakuje mnie pani, panno Marquis. Za słabo się znamy, abyśmy się nawzajem przekupywali.

Odwróciła się i zrobiła krok w stronę ławki.

— Tego by pan chciał? — zawołała. — Żebyśmy się bliżej poznali?

Ach, cóż to był za widok, Szanowny Czytelniku! Okrutne usta, twardość w oczach, nozdrza wręcz nieprzyzwoicie rozdęte. Wulkan obwieszony soplami lodu. Ze wszech miar wspaniała.

— Szczerze mówiąc — powiedziałem — wolę zostawić panią sam na sam z tym widokiem.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ogień zgasł, lód się roztopił, a ramiona zwiotczały.

— Ach — westchnęła spokojnym tonem. — Czyli miałam rację. Nie o to panu chodziło. — Roześmiała się. — Bałam się, że przejdzie pan do historii jako kolejna ofiara intryg mojej matki. A jeśli panu obiecuję, że nie będzie pan musiał się ze mną żenić? I już nigdy nie zobaczy mnie na oczy?

— Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie postawiłby takiego warunku, panno Marquis.

— Ale pan nie jest taki jak inni mężczyźni. Chodzi mi tylko o to, że nie stawia pan sobie w życiu celu, aby... znowu kochać.

Odwróciłem od niej wzrok i spojrzałem na rzekę, gdzie w obłoku

rozedrganego powietrza płynęła na południe niebieska barka. Smutna synogarlica podskakiwała na wyłobieniach w wodzie jak płaski kamień.

Pomyślałem wtedy o Patsy, która tak opryskliwie mnie potraktowała podczas naszego ostatniego spotkania. A ja trochę się zasmuciłem, a trochę... ucieszyłem, że nareszcie uzyskałem to, czego zawsze chciałem.

— To prawda — wyznałem. — Wygląda na to, że zaniechałem takich polowań.

— Na rzecz innych. Chce pan złović mojego brata, a pańskim trofeum myśliwskim będzie cała nasza rodzina.

— Chcę tylko, aby sprawiedliwości stało się zadość — odparłem stanowczym tonem.

— *Czyjej* sprawiedliwości, panie Landor?

Już miałem odpowiedzieć, ale coś mnie powstrzymało: w Lei zaszła przemiana. Stopniowa. Zobaczyłem to najpierw w jej oczach, które kotłowały się w oczodołach. Jej policzki stały się białe jak cukier, a usta rozwarły się jak pułapka na niedźwiedzia.

— To bardzo obszerna kwestia — stwierdziłem, siląc się na swobodny ton. — Proponuję, aby ją pani kiedyś omówiła ze swoim przyjacielem, panem Poem, który biegle się porusza w takich tematach. Ja mam pracę do wykonania i nie mogę poświęcić zbyt wiele czasu na...

— *Nie może pan tego zrobić!* — Słowa te wypadły prosto z gardzieli (usta nie zdążyły nic powiedzieć) i potłukły powietrze na drobne kawałki, które zaczęły wirować. — Nie!

Nie był to krzyk, który dobył się z niej w gabinecie gubernatora Kemble'a — nie, tamten był jej własny, *ludzki*, ten zaś pochodził z zupełnie nieznanego mi miejsca.

I myślę, że poczułem ulgę, Szanowny Czytelniku. Dowiedziałem się bowiem, że cokolwiek ją dręczyło, nie miało nic wspólnego ze mną.

— Panno Marquis... — zawołałem za nią.

Ale ona już mnie nie słyszała. Mimo to odniosłem wrażenie, że wstydzi się

swojego zachowania, bo oddalała się ode mnie niepewnym krokiem, jakby ogarnęło ją poczucie, że zawiodła.

Nie do wiary, jak niespiesznie za nią podążyłem. Od razu wiedziałem, co Lea zamierza zrobić, a mimo to nie potrafiłem zmusić nóg do większego wysiłku.

Z kolei jej nogi, chociaż zeszywniałe i odporne, dobrze wywiązywały się ze swoich zadań. Jakimś sposobem wdrapała się na punkt widokowy, stanęła na skraju, chybotąca i drżąca... a potem rzuciła się w przepaść.

— *Nie!* — krzyknąłem.

Złapałem ją za ramię, kiedy reszta jej ciała zdążyła zniknąć — i było już za późno, ponieważ impet jej ciała pociągnął za sobą wszystko inne, łącznie ze mną — no i poleciliśmy pośród gradu kamieni i świstu wiatru. Ale chociaż ziemia ustąpiła mi pod stopami, nie puściłem Lei.

A potem ziemia jakimś cudem pojawiła się ponownie i zapewniła nam oparcie.

Otworzyłem oczy. Prawie się roześmiałem, kiedy poczułem, jakie mam wielkie dziury w plecach i kolanach. Bo przecież chwilę wcześniej nawet nie marzyłem o tym, że wywinę się tak tanim kosztem! Spadliśmy jakieś dwa i pół metra na granitową skałę, a mimo to — żyliśmy! Wciąż połączeni ze sobą jak ogniwa łańcucha, ale żyliśmy.

Poważnie się myliłem. Byliśmy w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż przedtem.

Lea wcale nie wylądowała, tylko odbiła się od granitu i — Boże, jak długo mi zajęło, zanim to zrozumiałem! — wisiała w powietrzu. A ja byłem jedyną kotwicą — i to marną, bo przycupniętą na krawędzi granitowej półki i — jeśli można tak powiedzieć — niezakotwiczoną.

A pod nami nic oprócz powietrza — hektolitry powietrza — tudzież wygładzone przez wodę kamienie, które tylko czekały na to, aby rozbić nas na pojedyncze atomy.

— *A!* — sapnąłem. — *Lea!*

„Obudź się!” Te słowa chciałem wykrzyczeć, ale widziałem po niej, że na nic się to nie zda. Znowu miała atak — jej ciało było twarde jak stół i szarpały nim tak szybkie i gwałtowne spazmy, że ledwo mogłem je utrzymać. Jej ręka zwinęła się w pięść, źrenice powędrowały do góry, a zęby zasnuła strużka piany. Nie dało się przywołać jej z powrotem.

Czułem, że mi się wyslizguje, milimetr po milimetrze.

— *Lea!*

Ani razu nie zawołałem o pomoc. Tylko ją wzywałem, bo wiedziałem, że tylko ona może pomóc. Wybraliśmy zbyt odludne miejsce, aby ktokolwiek nas zobaczył. Nawet przepływające w dole czółna i łodzie mijają nas w błogiej nieświadomości, zajęte swoimi sprawami.

Poczułem się tak bezsilny, jak w garderobie Artemusa. Znowu wciągnięto mnie w pojedynek, w którym miałem do dyspozycji wyłącznie własny pomysłupek i wolę, czyli broń śmiesznie słabą w obliczu tak potężnego adwersarza. Moje życie, a raczej nasze życie wisiało na włosku.

Lea dalej mi się wyslizgiwała, a ja trochę wolniej przesuwałem się w stronę przepaści. Lea pozbawiała mnie kamiennego oparcia, przybliżała do mokrych czarnych kamieni, które tak cierpliwie czekały na dole...

W końcu zdołałem zacisnąć dłoń na jej nadgarstku. Przestała mi się wyslizgiwać. Podbudowany jej bezruchem, zacząłem lustrować otoczenie, po omacku szukałem czegoś, czego mógłbym się uchwycić... ale niczego takiego nie było...

Aż do chwili, kiedy moje palce zamknęły się wokół czegoś twardego, suchego i zrogowaciałego. Zidentyfikowałem to metodą Ślepego Jaspera, czyli dotykiem. To był korzeń. Wystający ze skalnej ściany odsłonięty korzeń drzewa.

Och, jakże ja go chwyciłem! Jakże go ścisnąłem... a drugą ręką zacząłem wciągać Leę do góry.

Przyznaję, że były chwile, kiedy myślałem, że zostanę rozerwany na dwoje, tak wielkie siły działały na mnie z obu stron. Szybko się jednak przekonałem,

że nie są równe. Pod wpływem połączonego ciężaru naszych ciał korzeń zaczął się wyginać.

„Proszę — błagałem go — proszę, wytrzymaj”. On jednak nie zwracał na mnie uwagi, lecz coraz bardziej się odginał, zaczął *trzeszczeć* jak kręgosłup. A potem moje ciche błaganie zostało zastąpione innym, tym razem wypowiedzanym na głos: w kółko powtarzanymi tymi samymi słowami. Upłynęło kilka dni, zanim sobie przypomniałem, jak brzmiały.

— Nie możesz tego zrobić! Nie możesz tego zrobić!

Był to rodzaj supliki do Boga, Szanowny Czytelniku. I to ode mnie! Człowieka, który wolałby umrzeć niż się pomodlić. Powiem tylko, że kiedy korzeń w końcu się złamał, moja ręka już się wspinała — intuicyjnie, cudem — na inny, który trzymał się mocno. Po chwili się zorientowałem, że stoję na półce skalnej, a przede mną leży Lea Marquis, wciąż drżąca... wciąż żywa.

Miałem zatem — co za luksus! — trochę czasu na zastanowienie, jak zorganizować dalszą wędrówkę. Sytuacja wyglądała dosyć klarownie: mieliśmy do pokonania jeszcze dwa i pół metra, aby osiągnąć punkt widokowy, a Lea nadal była nieprzytomna, chociaż nie trzęsa się już tak gwałtownie.

Na naszą korzyść działała inna okoliczność: seria innych odsłoniętych korzeni, które składały się na zygzakowatą ścieżkę na szczyt. Problem polegał na tym, jak wciągnąć tą drogą na górę nas oboje. Metodą prób i błędów odkryłem, że jeśli ustawię się plecami do skalnej ściany, a nogami obejmę Leę w pasie, to utworzymy jedną całość, którą będę mógł dźwignąć w górę, nie objając Leę o skałę.

Chryste, cóż to była za harówka! Ciężka, powolna, wyczerpująca. Ociekając potem, odpoczywałem przy prawie każdym kolejnym korzeniu.

„Za stary” — pomyślałem w pewnym momencie. „Do diabła ciężkiego, jesteś na to za stary!”

W ciągu kwadransa pokonaliśmy mniej niż połowę drogi. Ja jednak

odmierzalem tę wędrówkę w centymetrach, a każdy kolejny zdobyty centymetr jakimś cudem umożliwiał zdobycie kolejnego: nieważne, jak boleśnie skalna ściana kaleczyła moje ciało, nieważne, jak bardzo moje nogi chwiały się pod ciężarem ciała Lei — jeszcze jeden centymetr uda mi się przecież pokonać, prawda?

Centymetr do centymetra i w końcu dotarliśmy na skalny grzbiet, gdzie zwaliliśmy się w kłębowisko rąk i nóg. Odsapnąłem chwilę, po czym dźwignąłem ją i zaniósłem na kamienną ławkę. Dysząc, łkając i krwawiąc na całym ciele, stałem nad nią przez kilka minut. Potem wziąłem ją w ramiona. A kiedy poczułem, że drgawki ustępują, ramiona się rozluźniają, a Lea na powrót staje się panią swojego ciała, zgroza ustąpiła we mnie miejsca swoistej czułości.

Teraz bowiem lepiej ją rozumiałem. Nareszcie w jakimś stopniu rozumiałem smutek, który nie odstępował jej nawet w najradośniejszych chwilach. Zrozumiałem również, jak mało ją znam i że to się przypuszczalnie nie zmienia. Kiedy znowu spuściłem na nią wzrok, źrenice były na swoim miejscu, a powieki zaczęły samoczynnie trzepotać. Jej ciało nadal jednak drżało o moje i miałem wrażenie, że to musi być dla niej najgorszy moment: wychodziła z ciemności, ale nie do światła, lecz do jakiejś podziemnej krainy, w której mógł ją znowu pochłonąć mrok.

— Należało... — wydusiła.

— Co należało?

Upłynęła cała minuta, zanim Lea zdołała dokończyć zdanie.

Należało pozwolić mi odejść.

Teraz z kolei ja potrzebowałem całej minuty na znalezienie odpowiedzi. Słowa więzły mi w gardle.

— Czy to by cokolwiek rozwiązało? — zapytałem w końcu.

Głaskałem ją delikatnie po czole i rysy jej twarzy stopniowo się ożywiły. Do oczu wrócił blask i spojrzała na mnie z bezbrzeżnym współczuciem.

— Niech się pan nie boi — szepnęła. — Powiedział, że wszystko będzie



dobrze. Wszystko się ułoży.

*Kto powiedział?* Takie pytanie powinno paść z moich ust, ale byłem za bardzo poruszony jej słowami, aby myśleć o czymkolwiek innym.

Jakiś czas potem zdołała unieść głowę, a po paru chwilach usiadła. Przeciągnęła ręką po czole i powiedziała niskim głosem:

— Zechciałby mi pan przynieść trochę wody?

Skierowałem kroki w stronę źródła, ale kiedy miałem już zanurzyć w nim kapelusz, usłyszałem za plecami jej głos, tym razem trochę silniejszy:

— I coś do jedzenia, jeśli to nie jest zbyt wielki kłopot.

— Zaraz wracam.

Szedłem po schodach po dwa stopnie naraz. Uradowany, że znowu jestem na nogach — że się poruszam, że mogę coś robić — zastanawiałem się, gdzie o tej porze mógłbym zdobyć coś do jedzenia. Już prawie dotarłem do hotelu, kiedy sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem mały, twardy kawałek pemmikanu. Brązowy, twardy i pomarszczony jak żebrak, ale lepszy rydz niż nic, pomyślałem, po czym zawróciłem i zszedłem po schodach do ogrodu.

Już jej nie było.

Rozpłynęła się w powietrzu: szukałem jej za krzakami i drzewami, poszedłem zwirową alejką obok Knox Battery, obok Lantern Battery, aż do Chain Battery; spojrzałem nawet w dół skarpy dla sprawdzenia, czy nie ponowiła próby. Nigdzie jej nie było. Za jedynego kompana miałem jej głos, który wołał do mnie ze wszystkich stron.

„Wszystko się ułoży”.

Dokładnie to samo powiedziała kiedyś moja córka.

# Opowieść Gusa Landora

## 36

**P**rofesor Pawpaw nie lubi niespodzianek — moim zdaniem przede wszystkim dlatego, że zabierają mu czas potrzebny na inscenizowanie własnych. A bez niespodzianek profesor jest... Dość powiedzieć, że z najwyższym trudem rozpoznałem człowieka, który otworzył drzwi jego domu. Po bezskutecznych poszukiwaniach Lei dosiadłem konia i pojechałem prosto do domu profesora. Na miejsce dotarłem chwilę przed zmierzchem. Jaśmin i wiciokrzew już zwiędły. Zniknęły żabie kości, zniknęły wiszące na gruszy klatki dla ptaków, zniknął martwy grzechotnik nad drzwiami.

Nie było też Pawpawa. A przynajmniej tak mi się wydawało, kiedy zobaczyłem stojącego w drzwiach mężczyznę, który miał na sobie pantalon z zgrzebnego płótna i pończochy w niewyraźne paski. A na szyi tylko krucyfiks z kości słoniowej.

„A więc tak wygląda — pomyślałem — kiedy jest sam: jak emerytowany kościelny”.

— Landor — burknął. — Nie jestem w nastroju.

Miałem świadomość, że nie jesteśmy aż tak dobrymi przyjaciółmi, aby wpuszczał mnie do środka na każde żądanie. Było zatem chyba miarą desperacji, która biła ode mnie jak smród, że w końcu się ugiął. Odstąpił o krok do tyłu, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że mogę wejść.

— Gdybyś przyszedł wczoraj, Landor, mógłbym cię poczęstować sercem byczka.

— Dziękuję, profesorze. Nie zajmę ci dużo czasu.

— W takim razie do rzeczy.

Dopiero po pokonaniu całej drogi znowu zadałem sobie pytanie, czy nie

marnuję czasu i tchu na niepochwytłą chimerę.

— Profesorze — powiedziałem. — Kiedy ostatni raz tutaj byłem, wspomniałeś o łowcy czarownic, który przeszedł na drugą stronę. O człowieku spalonym na stosie i... o książce, którą wrzucił do ognia.

— Tak, zgadza się — odparł, machając, zirytowany, ręką. — Le Clerc. Henri le Clerc.

— Mówiłeś chyba, że był księdzem.

— Nie inaczej.

— Masz może jakiś jego wizerunek? Rycinę?

Przyjrzał mi się uważnie.

— Tylko tyle potrzebujesz? Wizerunku?

— Na razie tak.

Zabrał mnie do biblioteki. Podszedł prosto do konkretnego regału, bez mojego wsparcia wspiął się jak wiewiórka, po czym zszedł z rozsypującym się w palcach duodecimo.

— Proszę — powiedział, podsuwając mi otwartą książkę pod oczy. — Tu masz swojego czciciela diabła.

Spojrzałem na mężczyznę w koloratce i suto plisowanej ciemnej szacie. Delikatnie rzeźbione kości policzkowe, jasne oczy, pełne i regularne usta, słowem, przyjazne, męskie, życzliwe rysy twarzy stworzonej do wysłuchiwania spowiedzi.

Pawpaw, szczywany lis, zauważył, że oczy mi rozbłysły.

— Już go wcześniej widziałeś — oznajmił.

— W innym wydaniu, ale tak.

Spojrzelśmy na siebie. Nie padło między nami ani jedno słowo, ale po chwili sięgnął ręką ku szyi i odpiął łańcuszek z krucyfiksem z kości słoniowej. Włożył mi go w dłoń i zacisnął na nim moje palce.

— Zwykle nie gustuję w przesadach, Landor, ale mniej więcej raz w miesiącu pochłaniam je jak słodycze.

Uśmiechnąłem się i wcisnąłem łańcuszek z powrotem w jego dłoń.

— Ja już dawno przekroczyłem tę granicę, profesorze. Ale dziękuję ci.

Koperta stała oparta o drzwi mojego pokoju hotelowego i czekała na mój powrót. Od razu wiedziałem, od kogo dostałem tę wiadomość — kunsztowne, pochylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni pismo zdradzało nadawcę równie skutecznie jak podpis. Przez chwilę stałem przed drzwiami i zadawałem sobie pytanie, czy mogę bezpiecznie zignorować tę wiadomość. Z niejakim smutkiem uznałem, że nie mogę.

*Landor,*

*nie mam wobec Pana żadnych zobowiązań, ale ponieważ kiedyś interesował się Pan moimi sprawami — a w każdym razie takie odniosłem wrażenie! — pomyślałem, że może Pan być ciekaw, jaki obrałem kurs. Ja i Lea zaręczyliśmy się pięć minut temu. Wkrótce zwinę tutaj namiot i jak tylko będzie to możliwe, zabiorę moją małżonkę jak najdalej od tej dzikiej krainy.*

*Nie domagam się od Pana ani gratulacji, ani wyrazów współczucia. Chcę od Pana tylko tego, aby porzucił Pan nienawiść i pretensje, które tak bardzo zeszpeciły Pańską duszę. Żegnaj, Landor. Idę do mojej ukochanej.*

*Pański E.A.P.*

„No i proszę” — pomyślałem. „Lea nie traciła czasu”.

I właśnie ten szybki obrót spraw zaczął mnie niepokoić. Skąd ta nagłość? Dlaczego zrobili to zaraz po tym, jak Lea otarła się o śmierć? Rzecz jasna, Poe był gotów do działania na każde skinienie ukochanej, ale co na ucieczce zyska Lea? Dlaczego miałyby porzucić brata i rodzinę w godzinie największej potrzeby?

Chyba że nie miało to nic wspólnego z małżeństwem. Chyba że jakaś inna sprawa nadawała wszystkiemu pilniejszy wymiar.

A potem moje oczy spoczęły na słowach „Żegnaj, Landor”, które obsypały mnie jak śrut i popchnęły mnie korytarzem w stronę schodów.

Poe był w niebezpieczeństwie. Nigdy nie byłem niczego taki pewny. Aby

go uratować, musiałem znaleźć jedyne go człowieka, który potrafił odpowiedzieć na moje pytania, a ja potrafiłem go do tego zmusić — za pomocą odpowiednich środków nacisku.

Było pół godziny przed północą, zanim dotarłem do domu Marquisów. Łomotałem do drzwi jak wracający z karczmy pijany mąż i kiedy Eugénie, która w nocnej koszuli otworzyła mi zaspana drzwi, rozchyliła wargi, aby mnie skarcić, słowa utknęły jej w gardle, kiedy zobaczyła moją minę. Zaprosiła mnie do środka, nic nie mówiąc, a kiedy spytałem, gdzie jest jej pan, z jakimś nieokreślonym zaniepokojeniem wskazała w stronę biblioteki.

Pałała się jedna świeca. Doktor Marquis siedział w dużym fotelu z aksamitną tapicerką, a na jego kolanach leżała otwarta monografia. Oczy miał zamknięte i chrapał z cicha, ale ramię pozostało tam, gdzie je trzymał w chwili zaśnięcia: wyciągnięte na całą długość, z palcami opasującymi okrągłą szklaną brandy, której tafla była gładka jak szkło. (Tak samo zasypiał Poe).

Nie musiałem mówić ani słowa. Otrząsnął się ze snu, otworzył oczy, odstawił szklaną i zamrugał w półmroku.

— Pan Landor! Cóż za miła niespodzianka! — Wstał z wysiłkiem. — Wie pan, właśnie czytałem nadzwyczaj fascynującą rozprawę o gorączce połogowej. Pomyślałem, że to pana zainteresuje... dyskusja o rozmaitych medykamentach... Och, ale gdzież ona jest? — Obejrzał fotel, z którego właśnie wstał, kilka razy obrócił się zdezorientowany na pięcie i wreszcie znalazł rozprawę. Nadal trzymał ją w ręku. — O, tu cię mam!

Spojrzał na mnie z wyczekującą miną, ale ja podchodziłem już do lustra. Obejrzałem baki, wytrzepałem z brody kłaczki... Sprawdziłem, czy jestem *gotowy*.

— Gdzie reszta rodziny, doktorze?

— Obawiam się, że pora jest zbyt późna dla pań. Już się położyły.

— No tak. A pański syn?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— No jak to, w koszarach.

— Oczywiście.

Kilka razy powoli przeszedłem przez cały pokój, ocierając się o doktora Marquisa (bo gabinet był bardzo wąski) i czując, że śledzi wzrokiem każdy mój krok.

— Mogę coś panu zaproponować, panie Landor? Brandy?

— Nie.

— W takim razie może whisky. Wiem, że lubi pan...

— Nie, dziękuję — powiedziałem, zatrzymując się pół metra od niego i uśmiechając szeroko w świetle świecy. — Wie pan, doktorze, trochę się na panu zawiodłem.

— Ach tak?

— Nigdy mi pan nie powiedział, jakiego pan miał wybitnego przodka.

W kraterze jego ust pojawił się półuśmiech.

— Ależ... Nie sądzę... Wie pan, nie mam pewności, kogo...

— Ojciec Henri le Clerc — powiedziałem. Padł na fotel, skojarzył mi się w tym momencie z zestrzeloną w locie kuropatwą. — Przyznaję, doktorze, że nie jest to nazwisko, które budziłoby dzisiaj wielkie poruszenie. Ale w swoich czasach należał podobno do najznakomitszych łowców czarownic. Dopóki nie przeszedł na stronę zwierzyny. Mogę użyć świecy?

Nie odpowiedział. Wziąłem ją do ręki i podszedłem do regałów z książkami, a precyzyjniej — do niszy ze starym portretem olejnym. Portretem, na który za pierwszym razem nie zwróciłem większej uwagi. Podobieństwo z ryciną w książce Pawpawa było frapujące.

— To jest le Clerc, prawda, doktorze? Urodziwy mężczyzna, ten pański przodek. Ja również chciałbym go mieć po swojej stronie.

Zniżyłem świecę w stronę kameo z młodą panią Marquis, które ożyło w tym świetle. Odłożyłem kameo na bok i przeciągnąłem dłonią po szorstkiej, matowej powierzchni, którą poprzednim razem błędnie wziąłem za poduszkę w zatęchłej szarej poszewce.

— A to jest jego dzieło, prawda? Przyznaję ze wstydem: nie zauważyłem, że to książka. Ma tak oryginalną fakturę, prawda? Wilcza skóra, jeśli dobrze mnie poinformowano. — Zawahałem się, po czym wsunąłem pod spód palce i podniosłem wolumin. Cóż za ciężar! Jakby każda strona była obramowana ołowiem i wytłaczana złotem. — *Discours du Diable* — powiedziałem, otwierając ją na pierwszej stronie. — Wie pan, doktorze, są na tym świecie ludzie, którzy zapłaciliby za ten tom sporą sumę. Przed następnym zachodem słońca mógłby pan zostać bogaczem. — Zamknąłem dzieło, z wielką ostrożnością odłożyłem je na półkę i umieściłem na nim portret pani Marquis. — Nie muszę panu chyba mówić, że pańska rodzina od dawna jest dla mnie zagadką, doktorze. Nie umiałem rozeznaczyć się w tym, kto nią... kieruje, kto dowodzi, jeśli można się tak wyrazić. Kolejno podejrzewałem was wszystkich. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, że to może być ktoś z zewnątrz. Ktoś, kto już dawno nie żyje. — Stałem przed nim. — Pańska córka choruje na epilepsję. Nie, proszę nie zaprzeczać, widziałem na własne oczy. Podczas ataków wyobraża sobie, że nawiązuje z kimś kontakt. Z kimś, kto mówi jej różne rzeczy, może wydaje rozkazy. — Pokazałem w stronę wiszącego na ścianie obrazu. — To on, prawda?

Doktor Marquis okazał się kiepskim aktorem. Chociaż nie z braku talentu, lecz z braku skłonności. Moim zdaniem niektórzy potrafią budować tajemnice jak kolejne warstwy skały łupkowej — konstrukcja sięga coraz wyżej, ale nie pojawiają się na niej nawet najmniejsze pęknięcia. Inni są tak kiepskimi budowniczymi, że wystarczy lekko postukać, aby runął cały gmach. W ich przypadku nie potrzeba nawet wskazówki w postaci twarzy ojca le Clerca — wystarczy być na miejscu, kiedy to się wydarzy.

Tak jak teraz z doktorem Marquise. Był gotów mówić i mówił, aż świeca wygasła z trzaskiem, a noc zamieniła się w świt. Kiedy potok słów zanikał, nalewałem doktorowi kolejną brandy, on zaś patrzył na mnie jak na anioła miłosierdzia i wena wracała.

Opowiedział mi historię pięknej dziewczynki, której życie obiecywało

wszystko, czego może zapragnąć młoda dziewczyna: małżeństwo, pozycję społeczną, dzieci. Jednak na obietnicy tej kładła się cieniem choroba. *Upiorna* choroba, która potrafiła ją zaskoczyć, kiedy nikt nie widział, zatrzymać jej mózg i kazać się jej trząść jak tykwa na wietrze.

Jej ojciec wypróbował wszelkie znane mu remedia, lecz nic nie skutkowało. Sprowadzał nawet uzdrowicieli, ale oni również byli bezsilni wobec tego zła. Zła, które stopniowo zawładnęło całą rodziną i przeistoczyło wszystkich jej członków. Zrezygnowali z luksusów Nowego Jorku na rzecz ascetycznego życia w West Point. Zerwali stosunki z przyjaciółmi i skupili się na sobie samych. Ojciec wyrzekł się ambicji, matka zdziwaczała i popadła w zgorzknienie, a spuszczone z uwięzi dzieci stworzyły między sobą nienaturalnie bliskie więzi. Na swój sposób każdy był niewolnikiem tej choroby.

— Na litość boską, dlaczego nikomu nie powiedzieliście? Thayer by zrozumiał.

— Nie mieliśmy odwagi. Baliśmy się ostracyzmu. Musi pan wiedzieć, panie Landor, jak straszny to był dla nas czas. Kiedy Lea skończyła dwanaście lat, napady się zaostrzyły. Niejeden raz baliśmy się o jej życie. A potem któregoś dnia, w czerwcowe popołudnie, po odzyskaniu przytomności powiedziała...

— Co powiedziała?

— Powiedziała, że kogoś poznała. Pewnego pana.

— I to był ojciec le Clerc?

— Tak.

— Jej praprapradziadek czy jakoś tak.

— Owszem.

— I ona z nim rozmawiała?

— Tak.

— Po francusku? — zapytałem, przewracając oczami.

— Tak, biegle znała francuski.



W jego tonie pojawiła się nietypowa dla niego nuta przekory.

— Niech mi pan powie, doktorze, skąd wiedziała, kim jest ten tajemniczy mężczyzna? Był uprzejmy się przedstawić?

— Widziała portret. W tamtych czasach trzymałem go na strychu, ale przy jakiejś okazji natknęli się na niego z Artemusem.

— Na strychu? Proszę mi nie mówić, że wstydził się pan swojego przodka.

— Nie, nie. — Zatrzepotał dłońmi. — To nie tak. Ojciec le Clerc nie był... Nie był człowiekiem, za którego go uważano, nie miał w sobie niczego diabolicznego, był *uzdrowicielem*.

— Nierozumianym.

— Właśnie.

— A zatem ten biedny, nierozumiany uzdrowiciel, ten wytwór wyobraźni pańskiej córki, zaczyna ją nauczać. Ona z kolei naucza Artemusa. A w jakimś momencie również pańska żona, doktorze, zostaje jego uczennicą.

Szczerze mówiąc, to było tylko przypuszczenie. Nie miałem tego czarno na białym, dysponowałem tylko świadectwem własnych zmysłów — w tym ciasnym domu dźwięki błyskawicznie się rozchodziły, ograniczając wszystkim prywatność. Tak, była to tylko intuicja, ale ponieważ doktorowi zrzęda mina, wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę.

— Program nauczania musiał być bardzo interesujący, doktorze. Zgaduję, że najważniejszym przedmiotem były ofiary ze zwierząt — to znaczy do momentu, kiedy zwierzęta przestały wystarczać. — Jego głowa poruszała się z boku na bok jak wahadło. — Co by na to powiedział pański drogi Galen, doktorze? Co o składaniu ofiar z młodych mężczyzn powiedziałby Hipokrates?

— Nie — zaprotestował. — Nie. Przysięgali, że pan Fry już nie żył. Przysięgali, że nigdy nie pozbawią człowieka życia. Nigdy.

— A pan im oczywiście uwierzył. I w końcu uwierzył pan również w to, że człowiek może wstać z martwych i gawędzić z pańską córką.

— Jaki miałem wybór...

— Jaki pan miał wybór?! — krzyknąłem i huknąłem pięścią w oparcie jego krzesła. — I to pan mówi takie rzeczy? Lekarz, człowiek nauki?! Jak mógł pan uwierzyć w takie szaleństwo?

— Bo...

Ukrył twarz w dłoniach, przez które przebił się piskliwy dziewczęcy jęk.

— Nie słyszę pana, doktorze.

Unióśł głowę i zawołał własnym głosem:

— Bo sam nie umiałem jej uratować! — Osmalonymi palcami stał z oczu łązy. Zaszlochał jeszcze raz i wyciągnął przed siebie dłonie w niemym błaganiu. — Moja wiedza była bezsilna, panie Landor. Jak mogłem sprzeciwić się temu, że szukała remedium gdzie indziej?

— Remedium?

— To jej obiecał. Jeśli będzie mu posłuszna. Robiła to, czego od niej żądał, i jej stan się *poprawił*, panie Landor. To niezaprzeczalne. Napady zrobiły się znacznie rzadsze i nieporównanie mniej gwałtowne. Poprawiło się jej!

Nagle poczułem zmęczenie, bezbrzeżne zmęczenie, i oparłem się o regał.

— Skoro z jej zdrowiem było lepiej, do czego potrzebowała ludzkiego serca?

— Och, ona tego nie chciała, ale jej powiedział, że tylko w ten sposób może być wolna. Raz na zawsze.

— Od czego?

— Od klątwy. Od swojego daru. Miała tego dosyć, nie rozumie pan? Chciała mieć normalne życie, jak inne kobiety. Chciała *kochać*.

— I musiała w tym celu złożyć w ofierze... cudze *narządy*?

— Nie wiem! Powiedziałem Lei i Artemusowi, że nie chcę nic wiedzieć. Że tylko pod tym warunkiem... będę milczał.

Oplótł się ramionami i spuścił głowę. Ludzka słabość bywa przykrym widokiem, Szanowny Czytelniku. A z mojego doświadczenia wynika, że takie jest na ogół źródło wszelkiej podłości: słabość. Przebrana za siłę.

— Problem w tym, doktorze, że pańskie dzieci wciągają do swojej małej

Akademii Diabła innych ludzi.

— Przysięgali, że nie mieli nic wspólnego...

— Nie mówię o Fryu — przerwałem mu. — Nie mówię o Ballingerze ani Stoddardzie. Mówię o kimś, kto nadal jest wśród nas. A może nie ma pan świadomości, że pańska córka jest zaręczona z panem Poem?

— Z panem Poem? — zawołał.

Zaskoczenie ogarnęło go na raty, co wskazywało, że nie jest udawane. Nie potrafił tego zrozumieć, więc przyswajał sobie tę wiadomość krok po kroku, a każdy kolejny krok działał na niego jak czkawka, wstrząsając całym ciałem.

— Ale pan Poe był tutaj dziś wieczorem — wymamrotał. — Nikt nic nie mówił o zaręczynach.

— Poe tutaj był?

— Tak! Miło sobie pogawędziliśmy, a później poszli z Artemusem do salonu wypić kropelkę czegoś mocniejszego. Tak, wiem, że to wbrew regulaminowi — przyznał, obnażając końskie zęby — lecz okazjonalna szklaneczka jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

— Czyli Artemus też tu był?

— Tak, zrobiło się z tego małe przyjęcie...

— Kiedy Poe wyszedł?

— Nie bardzo wiem. Na pewno nie został długo, musiał wrócić do koszar, tak samo jak Artemus.

Często zadaję sobie pytanie, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym od początku był w dobrej formie. Na przykład gdybym już za pierwszym razem zapytał o ten portret rodzinny. Albo gdybym zrozumiał znaczenie choroby Lei Marquis, kiedy mnie o niej poinformowano.

Albo gdybym natychmiast rozpoznał to, co zobaczyłem tej nocy po wejściu do przedpokoju Marquisów.

Ale nie, zajęło mi ponad pół godziny, aby sobie uświadomić, co to jest, a wtedy pochyliłem się w stronę doktora Marquisara i prosto w twarz rzuciłem mu słowa, które w gruncie rzeczy powinienem skierować do siebie samego:

— Proszę mi powiedzieć, doktorze, skoro Poe wyszedł, to czemu jego płaszcz wciąż wisi w przedpokoju?

Na wieszaku było tylko to ubranie. Czarna wełna, typowy sort mundurowy, nie licząc...

— Nie licząc rozdarcia — powiedziałem, trzymając płaszcz w rękach. — Widzi pan, doktorze? Na prawie całej długości ramienia. Zapewne od częstego przeciskania się przez ogrodzenie koło drewnutni. — Marquis patrzył na mnie bez słowa, poruszając ustami. — Jeżeli czegoś się tutaj dowiedziałem, doktorze, to tego, że kadeci nigdzie się nie ruszają bez munduru. Nie ma niczego gorszego niż stawić się w zimowy poranek na apelu bez żadnego okrycia.

Odwiśliłem płaszcz z powrotem, kilka razy przeciągnąłem po nim dłonią i powiedziałem, siląc się na swobodny ton:

— Skoro Poe nie wyszedł, to gdzie może być? — W jego oczach pojawił się ledwo dostrzegalny błysk. — O co chodzi, doktorze?

— Wyno... — Obrócił się wokół własnej osi, jakby próbował odzyskać orientację w terenie. — Wynosili kufer.

— Kufer?

— Ze starymi ubraniami. Mówili, że idą je wyrzucić.

— *Kto?*

— Artemus. Lea mu pomagała. Mieli zajęte ręce, więc otworzyłem im drzwi. A oni... — Otworzył drzwi. Postawił krok za próg i spojrzał w ciemności, jakby się spodziewał, że ich tam zobaczy. — Ja nie...

Odwrócił się i spotkał ze mną wzrokiem, twarz mu pobladła, a dłonie poleciały do uszu. W tej samej pozie zobaczyłem go tamtego dnia w Ogrodzie Kościuszki z żoną. W pozie człowieka, który chce się od wszystkiego odgrodzić.

Chwyciłem go za ręce, rozłożyłem na boki i przytrzymałem.

— Dokąd go zanieśli? — spytałem. Bronił się. Z pewnością uważał, że to

on jest silniejszy. — To nie może być daleko — uspokajałem sam siebie, wystrzegając się paniki w głosie. — Z tak ciężkim kufrem daleko nie zaszli.

— Nie wiem...

— *Dokąd?*

Chciałem to wywrzeszczyć prosto do jego nieosłoniętego ucha, lecz w ostatniej chwili głos mi się załamał i wyszedł z tego szept. Ale podziało równie dobrze jak krzyk, bo doktor Marquis gwałtownie szarpnął głową do tyłu, zamknął oczy, a z jego ust wylały się dwa słowa:

— Do lodowni.

# Opowieść Gusa Landora

37

*13 grudnia*

**K**iedy doktor Marquis i ja pędziliśmy po placu apelowym, od zachodu ciągnął ostry jak szabla wiatr. Drzewa świszczą, nad naszymi głowami przeleciał puszczyk, a jakiś ptak na cedrze mamrotał jak obłąkany mnich... Doktor Marquis też mamrotał, nie przerywając biegu.

— Nie sądzę... aby trzeba było... prosić kogoś o pomoc, he? Sprawa rodzinna, ot co... Jestem pewien, że potrafiłbym... wytłumaczyć, panie Landor... a jeśli wszystko dobrze pójdzie, jeśli nikomu nie stała się krzywda...

Pozwoliłem mu mówić. Wiedziałem, czego najbardziej się boi: że wezwę Hitchcocka i posiłki. Ja jednak również miałem swoje powody, aby uregulować tę sprawę bez rozgłosu, toteż milczałem. W każdym razie do chwili, kiedy długimi krokami zaczęło się do nas zbliżać dwóch młodych kadetów.

— Kto idzie? — zawołali prawie unisono.

Zaordynowana przez Hitchcocka podwójna warta. Skórzane pasy, magazynki, mosiądz i stal.

Poczułem na ramieniu dłoń doktora, która była jak suplika.

— Pan Landor i doktor Marquis — wydyszałem najspokojniej, jak umiałem. — Chcieliśmy się trochę poruszać na świeżym powietrzu.

— Podejść i podać hasło!

Wartownicy na tyle dobrze mnie już znali, że w normalny wieczór ten rozkaz byłby zwykłą formalnością. Czasy się jednak zmieniły i starszy

z kadetów, wcale nie uspokojony, uniósł podbródek i powtórzył rozkaz piskliwym głosem chłopca, który przechodzi mutację:

— Podejść i podać hasło!

Zrobiłem krok do przodu.

— Ticonderoga — powiedziałem.

Wytrwał w swojej pozie i dopiero kiedy usłyszał, że jego towarzysz przełyka ślinę, opuścił podbródek.

— Można przechodzić — powiedział nasrożonym tonem.

— Świetna robota, panowie! — zawołał za nimi doktor, kiedy się już oddaliśmy. — Dzięki wam czuję się bezpieczniej!

Tej nocy widzieliśmy jeszcze tylko Cesara, szefa sali z kantyny. Zupełnie niespodziewanie pojawił się na szczycie wzgórza i pomachał nam jak chłopiec, który wybrał się na wycieczkę. Bieg za bardzo nas absorbował, abyśmy odwzajemnili pozdrowienie. Dwie minuty później staliśmy przed lodownią. Na widok tej prostej stodoły z kamiennymi ścianami i dachem ze słomy przypomniałem sobie Poego, który stał na dachu i patrzył, jak utykam w trawie kamyki. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to, czego szukamy — serce Leroya Frya — znajduje się tuż pod naszymi nogami?

— Gdzie oni są? — spytałem.

To był nie więcej niż szept, ale doktor Marquis szarpnął się o krok do tyłu.

— Nie jestem do końca pewien — wybąkał.

— Nie jest pan *pewien*?

— Nigdy tutaj nie byłem. Odkryli to miejsce wiele lat temu podczas zabawy. To jest jakaś krypta, katakumby czy coś.

— Ale gdzie? — spytałem głośniej.

Wzruszył ramionami.

— Chyba w środku.

— Doktorze, lodownia ma nie więcej niż pięć na pięć metrów, a pan mi mówi, że jest tam *krypta*?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Przepraszam, ale... to wszystko, co wiem.

Na szczęście przynieśliśmy ze sobą latarnie, a w kieszeni miałem pudełko zapalek fosforowych. Drzwi były obite baranią skórą. Otworzyliśmy je i stanęliśmy w progu — zatrzymani przez powiew zimnych ciemności — i być może stalibyśmy tam dłużej, gdyby nie zainspirował nas przykład Artemusa i Lei, którzy mieli odwagę wejść do środka jako małe dzieci. Chyba my też damy radę!

Niewiele brakowało, a źle by się to dla nas skończyło. Żaden z nas się nie spodziewał, że spadniemy ponad metr w dół... Kiedy odzyskaliśmy równowagę i unieśliśmy latarnie, z zaskoczeniem zobaczyliśmy tylko... własne odbicia. Staliśmy przed lśniąca wieżą z lodu, który zeszłej zimy wyrąbano w pobliskim stawie i ułożono blok po bloku jako zapas na następny rok. W tym krzywym zwierciadle nasze wizerunki marszczyły się i łyskały, a latarnie przypominały przygasłe stare słońca.

To był oczywiście tylko lód. Lód, który miał za zadanie zapobiegać roztopianiu się masła pana Cozzensa, uświetniać stół z deserami Sylvanusa Thayera na następnym zebraniu rady wizytatorów... a także, owszem, zakonserwować ciało okazjonalnego nieboszczyka do czasu, kiedy będzie można złożyć je w ziemi. Zamarznięta woda, nic więcej. A przecież miejsce to budziło wielką grozę! Nie umiałbym tego wyjaśnić. Może chodziło o natarczywy zapach wilgotnych trocin. Albo ciche skrzypienie słomy, którą upchano w każdą szczelinę. Albo popiskiwanie myszy w podwójnej ścianie, albo pot, który wchłonął w siebie lodowate powietrze i przylgnął do ciała jak nowa skóra.

A może chodziło po prostu o to, że nieprzyzwoicie jest wchodzić do miejsca zarezerwowanego dla zimy.

— Nie mogą być daleko — mruknął doktor, oświetlając długą półkę z oskardami i szczypcami.

Oddychał ciężko — może dlatego, że powietrze było cieplejsze i bardziej rozrzedzone, niż oczekiwałem. Moja latarnia ujawniła metalowy brzeszczot



pługa śnieżnego, który błyskał rekinimi zębami — poczułem się tak, jak byśmy dyndali z jakiegoś gigantycznego podniebienia i kołysali się w strumieniach oddechu.

Wywietrzniki w dachu też oddychały — podmuchami nakrapianego światłem gwiazd miękkiego nocnego powietrza. Odstąpiłem o krok do tyłu, aby podziwiać ten widok... i poczułem, że grunt ustępuje pod moją stopą. Druga stopa przesunęła się dla równowagi, ale z tym samym skutkiem. Spadałem, a precyzyjniej: ześlizgiwałem się pod stosunkowo niewielkim kątem. Próbowałem się czegoś uchwycić, ale miałem pod ręką tylko... lód i moja dłoń złuszczyła się z niego jak farba. Kiedy moja latarnia huknęła o ścianę, na twarzy doktora Marquisa zobaczyłem strach i zatroskanie, a także bezsilność. Bo chociaż wyciągnął ku mnie dłoń, przypuszczalnie wiedział, że nie może nic zrobić. Krótko mówiąc, znikalem...

Najdziwniejsze jest to, że przewróciłem się dopiero na samym dole, na płaskim. Uniosłem na czworakach głowę. Po bokach kamienne ściany, pode mną — kamienna posadzka. Spadłem do jakiegoś korytarza — nagiego i zatęchłego, być może pozostałości z czasów, kiedy budowano fort Clinton — jakieś pięć metrów pod lodownią.

Postawiłem krok do przodu. Tylko jeden, ponieważ odpowiedział mi cichy grzechot.

Wyjąłem z kieszeni zapalki i jedną skrzesalem.

Stałem na kościach. Cała podłoga była nimi usłana.

W większości małe, niewiele większe od żabich kości u Pawpawa. Szkielety wiewiórek i polnych myszy, paru oposów, sporej liczby ptaków. Trudno powiedzieć, bo kości były porzucane po podłodze bez żadnego ładu i składu. W gruncie rzeczy pełniły jedynie funkcję alarmu, ponieważ po każdym kroku chrupało pod stopą.

Ponownie padłem na czworaki i zdążyłem tak korytarzem, w jednej ręce trzymając zapalkę, a drugą odmiatając z drogi kości. Między moimi palcami

nie raz utknęła miniaturowa nóżka lub czaszka. Za każdym razem strzepywałem je z dłoni i szedłem dalej, odmiatałem kości i pełzłem na czworakach.

Kiedy pierwsza zapalka zgasła, zapaliłem drugą. Uniosłem ją i zobaczyłem kolonię nietoperzy, które wisały pod sufitem jak pulsujące oddechem delikatne czarne torebki. Przez ściany po raz pierwszy przeniknęła tapiseria nieokreślonych dźwięków — szmery przechodzące w spiski, syczenie na przemian z zawodzeniem. Niezbyt głośne, a może nawet niezbyt realne, lecz emanowały swoistym autorytetem, ponieważ nakładały się na siebie jak kolejne warstwy skały.

Przyspieszyłem. W pewnym momencie zauważyłem, że płomień zapalki staje się coraz mniej wyraźny. Tak jakby miał jakiegoś... rywala.

Zdmuchnąłem zapalkę i w bulgoczących ciemnościach zmrużyłem oczy. Trzy metry przede mną mur przebijała plama światła.

Najdziwniejszego światła, jakie w życiu widziałem, Szanowny Czytelniku! Zimne jak śmietana i włókniste jak przędza. Im bardziej się zbliżałem, tym włókna robiły się grubsze, zlewały się w płachty materiału i nagle — miałem przed oczyma pokój. Pokój pełen ognia.

Ogień na ścianach: świeczki płonące w rzędach kinkietów. Ogień na podłodze: krąg pochodni i wpisany weń trójkąt świec. Ogień prawie pod sam sufit: piecyk na węgiel drzewny, w którym tak mocno rozpalono, że płomienie osiągały wysokość pałacowej sali, a obok piecyka stała sosna, wrosnięta w kamień i również ociekająca ogniem. Tyle ognia, tyle światła, że trzeba było zmobilizować w sobie całą silną wolę albo desperację, żeby dostrzec to wszystko, co nie płonęło i nie świeciło. Na przykład wyryte u podstawy trójkąta litery:

2HT

I trzy sylwetki, z tak spokojną determinacją poruszające się wśród pochodni

i świateł. Małeńki mnich w szarym habicie ze zgrzebnego płótna, ksiądz w sutannie i komży... i oficer armii Stanów Zjednoczonych... który miał na sobie, o ile dobrze rozpoznałem, mundur niejakiego Joshui Marquisa.

Przybyłem w samą porę. W prywatnym teatrze rodzinnym Marquisów właśnie podniesiono kurtynę.

Z drugiej strony — jaki to spektakl? Barbarzyńskie obrzędy, które widziałem na ilustracjach w książce Pawpawa? Skrzydlate demony przenoszą niemowlęta? Czarownice na miotłach, kościotrupy w maskach i tańczące gargulce? Spodziewałem się — i chyba chciałem — zobaczyć Grzech przez duże G. Tymczasem zobaczyłem... bal kostiumowy.

Jeden z uczestników zabawy — mnich — odwracał się ku mnie. Cofnąłem się pod ścianę, ale światło pochodni zdążyło ujawnić wewnątrz mnisiego kaptura twarde i zimne królicze rysy pani Marquis.

W niczym nie przypominała znanej mi znerwicowanej kobiety z wiecznym grymasem na twarzy. Przedzierzgnęła się w bezwolnego akolitę, który czeka na kolejne rozkazy. I niebawem się doczekał. Jeśli się nie mylę, rozkaz wydał oficer, który pochylił głowę w jej stronę i powiedział cicho, ale wyraźnie:

— Wkrótce.

Oczywiście Artemus. W mundurze swojego nieżyjącego wuja. Pasował na niego dużo gorzej niż na Poego, lecz Artemus nosił się w nim z całą dumą i autorytetem szefa stołu numer osiem.

A skoro to był Artemus, to trzecią sylwetką — wolno kroczącego księdza, który z pochyloną głową i z przygarbionymi ramionami zmierzał w kierunku ołtarza z kamienia polnego — mogła być tylko Lea.

Lea Marquis, tak. Bez koloratki, którą z niej zerwałem koło karczmy Benny'ego Havensa.

Mówiła teraz — a może również wcześniej — z bardzo dziwną intonacją. Nie znam języków obcych, Szanowny Czytelniku, ale idę o zakład, że to, co wychodziło z jej ust, nie było łaciną, francuskim, niemieckim ani żadnym

innym językiem, którym wcześniej władał jakikolwiek człowiek. Sądzę, że język ten stworzyli od nowa Lea Marquis i Henri le Clerc.

Mógłbym spróbować go zapisać, ale wyszłoby z tego coś w rodzaju „skrallikonafaheerenow”, a ty pomyślałbyś, Szanowny Czytelniku, że to jakiś bełkot. Bo istotnie był to zupełny bełkot, ale z tą różnicą, że również zwyczajne słowa, którymi posługiwałem się już prawie od półwiecza, straciły jakikolwiek sens. W każdym razie dla mnie, język ten najwyraźniej miał bowiem sens dla towarzyszy Lei. Po kilku minutach nasza kapłanka podniosła głos, na co cała trójka odwróciła wzrok w stronę zawiniętego w całun przedmiotu, który leżał tuż poza magicznym kręgiem. Do tego stopnia mnie zaczarowali: do tej pory w ogóle tego nie zauważyłem, chociaż było widoczne w blasku pochodni. A nawet teraz zobaczyłem tylko to, co zobaczył doktor Marquis: stertę ubrań. Z której wystawała goła ręka.

Artemus uklęknął. Jedno po drugim odgarnął ubrania... i odsłonił nieruchome ciało kadeta Poego. Zdjęli mu tunikę, ale zostawili resztę umundurowania, więc leżał tam jak człowiek, który czeka na pośmiertną salwę armatnią: taki blady na twarzy, taki zeszywniały, że uznałem go za martwego. Po chwili jednak przez jego ciało przepłynął dygot. Ucieszyłem się, że jest tak zimno.

Bo rzeczywiście było strasznie zimno! Zimniej niż w lodowni, zimniej niż na biegunie. Dostatecznie zimno, aby przez wiele tygodni skutecznie zakonserwować serce.

Artemus podwijał teraz rękaw koszuli Poego... otworzył torbę lekarską z rodzaju tych, jakich używał jego ojciec... wyjął z niej najpierw opaskę uciskową, a potem małą marmurową krużę... potem wąską szklaną rurkę... potem lancet.

Nie krzyknąłem, ale Lea pocieszała mnie, jakby wiedziała, że tam jestem.

— Sssszzzzzz — powiedziała do wszystkich i do nikogo.

Ach, tak. Mówiła mi, że „wszystko się ułoży”. A chociaż w to nie wierzyłem, nie zaprotestowałem. Nawet wtedy, kiedy lancet Artemusa znalazł

cienką niebieską smugę na przedramieniu Poego. Nawet wtedy, kiedy do czekającego pod spodem pojemnika zaczęła ściekać przez rurkę krew.

Wszystko to trwało pięć sekund — Artemus był pojętym uczniem — ale ukłucie lancetu coś poruszyło w ciele Poego. Uruchomiło świerzbiecie nóg i ramion. Mruknął „Lea”. Orzechowe oczy się otworzyły i zobaczył niezwykle spektakl: jego własna istność ściekała do marmurowej kruży.

— Dziwne — mruknął.

Chciał się podnieść, ale nie miał już sił. Wydawało mi się, że słyszę ich odpływ, jak skapywanie deszczu spod powały: kap, kap, kap... Kiedy krew zaczynała się ociągać, Artemus mocniej zaciskał opaskę.

„On umrze” — pomyślałem.

Poe wsparł się na łokciu i powiedział:

— Lea.

A potem jeszcze raz:

— Lea!

Za drugim razem z większą determinacją, ponieważ mimo oślepiającego światła, mimo kapłańskiego przebrania zdołał ją rozpoznać.

A ona... Tylko na to czekała. Uklękła u jego boku — długie włosy spływały jej z ramion, a po ustach rozlał się anielski uśmiech. Uśmiech, który powinien być błogosławieństwem, ale Poemu zadał potworny ból. Poeta próbował się odsunąć, ale nie zdołał, próbował wstać, ale znowu zabrakło mu sił. A krew... bo wykonane przez Artemusa nacięcie było głębokie... nadal skapywała: kap, kap...

Lea przebiegła dłonią po jego zmierzwionych włosach — gest małżeńskiej czułości — a potem głaskała go po brodzie.

— Już niedługo.

— Co niedługo? — wykrztusił. — Nie rozu... Co?

— Ssszzzzz. — Przyłożyła palec do jego warg. — Jeszcze tylko parę minut i będzie po wszystkim. A ja będę wolna, Edgarze.

— Wolna? — powtórzył nikłym głosem.

— Dla ciebie. Będę mogła zostać twoją żoną. — Ze śmiechem zerwała z siebie kapłańskie szaty. — Ale najpierw muszę zrzucić habit!

Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby z każdym słowem zmieniała kształt. Potem podniósł rękę, wskazał na szklaną rurkę i zapytał głosem dziecka:

— Ale to, Lea, co to jest?

Byłem bardzo bliski tego, aby mu odpowiedzieć. O tak, chciałem, żeby mój głos rozbrzmiewał w tej lodowej świątyni. Aby nawet nietoperze mnie usłyszały:

„Jeszcze na to nie wpadłeś, Poe? Oni potrzebują Dziewicy”.

# Opowieść Gusa Landora

## 38

Prawdę rzekłszy, dopiero teraz to do mnie dotarło. Przypomniałem sobie dziwne słowa Artemusa w ciemnościach klatki schodowej: „Mam podejrzenie, że jeszcze... jakby to ująć... nie oddałeś się kobiecie, prawda? Podejrzewam, że jeszcze nie oddałeś się, powiedzmy, kobiecie”. Rozmyślałem o tych słowach przez wiele dni i czekałem na olśnienie, a teraz zrozumiałem, że Artemus nie zadał tego pytania z niestosownej ciekawości, lecz w imieniu niejakiego Henriego le Clerca. Który, jak każdy szanujący się czarownik, na bardziej uroczyste ceremonie potrzebował najwyborniejszej krwi.

Lea pochyliła się nad Poem i wsunęła mu pod brodę trzy palce.

— Posłuchaj mnie — powiedziała. — Rozumiesz, że tak trzeba, prawda?

Przytaknął — sam z siebie czy na skutek magicznego działania jej palców, tego nie wiem. W każdym razie skinął głową. A potem patrzył, jak Lea zaciska dłonie wokół naczynia z jego krwią.

Było już prawie pełne, a ona trzymała je jak miskę gorącej zupy i ostrożnie zniosła do skalnego ołtarza. Odwróciła się i rozejrzała po komnacie, krzyżując spojrzenia ze wszystkimi po kolei. Uniosła krużę na głowę... i z całym spokojem odwróciła.

Krew chlusnęła, zebrała się na czubku głowy Lei i lśnięcymi strugami spłynęła jej po twarzy. Lea wyglądała niemal komicznie, Szanowny Czytelniku, jakby włożyła na głowę abażur z frędzlami. Frędzle przykleiły się do jej głowy jak siedem grzechów śmiertelnych. Lea spojrzała na wskroś krwawej woalki, a z jej ust padły słowa, z których zrozumieniem tym razem nie miałem najmniejszego problemu, bo mówiła po angielsku:

— Wielki Ojczy, zbaw mnie od Twego daru. Zbaw mnie,

o najmiłosierniejszy Ojciec.

Sięgnęła za skalny ołtarz, poszperała w małej niszy w kamiennej ścianie i wyjęła drewniane pudełko. Było to chyba pudełko po cygarach, prawdopodobnie należące do jej ojca. Otworzyła je i z wyteżonym skupieniem wpatrywała się w jego zawartość, a potem, jak przystało na dobrą nauczycielkę, pokazała ją swoim akolitom.

Jakże nikłe wydawało się w tym pudełku! Niewiele większe od pięści, jak powiedział doktor Marquis. Na pewno niewarte całego zachodu.

Ale od tego serca wszystko się zaczęło i na nim miało się skończyć.

Z ust Lei wylewał się teraz świetlisty strumień... nazwałbym je *przysięgami*. Powróciła do swojego dziwnego języka, ale mlaskanie spółgłosek, okrutne smakowanie każdej z nich na wargach... wszystko to dodawało jej wypowiedziom głęboko obscenicznego wyrazu. Potem jej głos zgasł i w świątyni zapadła cisza, kiedy kapłanka podniosła serce w stronę sufitu.

Wiedziałem, że za chwilę coś się stanie. Wiedziałem, że nic już nie zyskam na dalszym czekaniu. Jeśli chciałem uratować Poego, to musiałem działać — i to natychmiast.

Co dziwne, zatrzymało mnie na chwilę nie zagrożenie, ale dziwne uczucie *dumy*. Nie chciałem być tylko kolejnym aktorem w teatryku Marquisów. Aktorem, który nie znał nawet swoich kwestii i miał jedynemu mgliste pojęcie o fabule...

Zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę, ale wiedziałem również, że rodzinny łańcuch zawiera słabe ogniwo: jeśli uda mi się je szybko wykorzystać i zachować zimną krew, to może zdołam wyjść z tego bez szwanku, zabrać Poego w bezpieczne miejsce... i przeżyć kolejny dzień.

Nigdy jednak nie czułem się taki stary, jak w tej chwili, kiedy zbierałem w sobie siły na tym korytarzu. Gdybym miał pod ręką kogoś, kto by mnie zastąpił, bez chwili zastanowienia przepchnąłbym go przez te drzwi. Ale nikogo takiego nie było, a Lea Marquis uniosła głowę, jakby wkładała pościel



wysoko na półkę: ten jeden ruch — i wszystko, co zapowiadał — ostatecznie zmobilizował mnie do działania.

Trzema długimi krokami wstąpiłem do komnaty. Moją twarz chłostał żar pochodni. Czekałem, aż mnie zobaczą.

Jak się okazało, nie musiałem długo czekać. Przed upływem pięciu sekund pani Marquis odwróciła zakapturzoną głowę, a jej dzieci poszły za jej przykładem. Nawet zamroczony Poe, z którego powolnym, czerwonym strumieniem wyciekały siły życiowe, zdołał spotkać się ze mną wzrokiem.

— Landor — wyszeptał.

Żar pochodni było niczym w porównaniu do żaru tych oczu, które wwierały się we mnie, a w każdym z nich kryło się to samo żądanie: muszę się wytłumaczyć, a zanim tego nie uczynię, sprawy nie ruszą z miejsca.

— Dobry wieczór — powiedziałem, po czym wyjąłem z kieszeni zegarek i poprawiłem się: — Przepraszam, dzień dobry.

Starłem się mówić jak najswobodniej, ale w dalszym ciągu był to głos *intruza*. Lea Marquis wzdrygnęła się. Odstawiła pudełko po cygarach na podłogę i podeszła do mnie z wyciągniętymi przed siebie ramionami — nie był to gest powitania, lecz odtrącenia.

— Nie ma tutaj dla pana miejsca — powiedziała.

Zignorowałem ją jednak i zwróciłem się do osoby, która stała niedaleko niej, a wewnątrz mnisiego kaptura drżały jej usta.

— Pani Marquis — powiedziałem uspokajającym tonem.

Dźwięk własnego imienia wywołał w niej przemianę. Zrzuciła kaptur, aby lepiej wyeksponować bujne włosy. I zrobiła jeszcze coś — ach, Szanowny Czytelniku, nie umiała się powstrzymać! — a mianowicie uśmiechnęła się do mnie! Zupełnie jakby zapraszała nas wszystkich do wista w domu przy Alejce Profesorów.

— Pani Marquis. Chciałem pani tylko zadać pewne pytanie. Które z pańskich dzieci chciałaby pani ocalić od stryczka?

Oczy jej pociemniały, a uśmiech zadrżał niepewnie. „Nie — zdawała się

myśleć — musiałam się przesłyszeć”.

— Nie odpowiadaj, mamo! — zawołał Artemus.

— On blefuje! — dodała Lea.

Wciąż nie zwracałem na nich uwagi. Skupiłem wszystkie siły na ich matce.

— Obawiam się, że nie mam wyboru, pani Marquis. Prawda jest taka, że ktoś musi za to wszystko zawisnąć. Rozumie to pani, prawda? — Jej oczy zaczęły błądzić, a usta się rozchyliły. — Nie można bezkarnie zabijać i szlachtować innych kadetów, prawda, pani Marquis? To byłby fatalny precedens.

Uśmiech pierzchnął z jej twarzy, która bez niego była zupełnie naga, bez śladu radości i nadziei.

— Nie ma pan tutaj nic do roboty! — powtórzyła Lea. — To jest nasze sanktuarium!

— Z wielkim żalem muszę zaprzeczyć pańskiej córce, pani Marquis — powiedziałem, rozkładając ręce. — Otóż uważam, że to serduszko — tak, właśnie to, które przed chwilą trzymała w rękach — to jak najbardziej moja sprawa. — Postukałem się palcem w usta. — A także sprawa Akademii.

Zacząłem się przechadzać. Powoli, spokojnym krokiem, bez wyraźnego schematu, bez oznak strachu. Wszędzie jednak podążało za mną kapanie krwi Poego na kamienną posadzkę.

— Smutna historia — powiedziałem. — Bardzo smutna, pani Marquis. Zwłaszcza dla pani syna, który ma przed sobą tak... tak wspaniałą karierę. Ale widzi pani, mamy tutaj ludzkie serce, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa było kiedyś w klatce piersiowej kadeta. Mamy młodego mężczyznę, który został odurzony, porwany, a także... chyba możemy uczciwie powiedzieć „groźnie okaleczony”. Dobrze mówię, panie Poe?

Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem, jakby mówił o kimś zupełnie innym. Słyszałem jego oddech, krótki i nieregularny.

— Z tego i wielu innych powodów nie mam innego wyjścia, pani Marquis. Chyba to pani dostrzega.

— Zapomniał pan o jednym — wtrącił się Artemus, napinając mięśnie szczęki. — Mamy nad panem przewagę liczebną.

— Czyżby? — Zrobiłem krok w jego stronę i przechyliłem głowę na bok jak wróbel, ale nie odrywałem wzroku od jego matki. — Sądzi pani, że pani syn rzeczywiście chce mnie zabić, pani Marquis? Dopisać do grona swoich ofiar? Zgodziłaby się pani na to?

Nieporadnie układała włosy, tyle w niej zostało z dawnej kokietki. Kiedy nareszcie się odezwała, to łagodnym i błagalnym tonem kobiety, która zapomniała zapisać na swoim balowym karneciku czyjeś nazwisko.

— Bez przesady — powiedziała — nikt nikogo nie zabił. Powiedzieli mi, *zapewniali* mnie, że nie było...

— Cicho! — syknął Artemus.

— Nie, nie, proszę mówić, pani Marquis — powiedziałem. — Nalegam. Ponieważ wciąż nie wiem, które z pani dzieci mam oszczędzić.

Taki był jej pierwszy odruch: spojrzeć na nich kolejno, niejako ich zważyć, zanim ze zgrozą sobie uświadomiła, że to właśnie robi, kładzie życie swoich dzieci na szalach. Dłonie powędrowały do obojczyka, a głos się urywał:

— Nie rozumiem... Nie wiem, dlaczego...

— Och, tak, piekielnie trudna sprawa, prawda? Jeśli spojrzy pani na nią z perspektywy pozycji procesowej kadeta Artemusa, to być może zrodzi się w pani nadzieja, że to jego siostra była mózgiem całej operacji, a on tylko marionetką w jej rękach. Podobnie jak pani, pani Marquis. Gdyby udało nam się przedstawić wystarczająco mocne dowody przeciwko Lei, to Artemus wywinąłby się zapewne kilkoma dniami w areszcie i na wiosnę przyszłego roku mógłby odebrać patent oficerski. Dobrze zatem! — klasnąłem w dłonie.

— Pan prokurator przedstawi akt oskarżenia przeciwko Lei Marquis. Zaczynamy od zaginionych serc. Zadajmy sobie pytanie, kto mógłby potrzebować ludzkich serc. Oczywiście pani córka! Aby zadowolić swojego ukochanego przodka... i uwolnić się od śmiertelnej choroby.

— Nie — powiedziała pani Marquis. — Lea by nie...

— Ależ tak, oskarżona potrzebuje serc, ale wie, że jej brat nie ma do tego... uczciwszy uszy wysokiego sądu, jej brat nie ma do tego jaj. Werbuje zatem jego najbliższego i najdroższego przyjaciela, pana Ballingera. Wieczorem dwudziestego piątego października wysyła panu Fryowi list, aby wywabić go z koszar. Jakże musi być podekscytowany! Potajemna schadzka z piękną damą. Wydaje mu się, że złapał pana Boga za nogi! Jakież było jego rozczarowanie, kiedy zamiast niej zastał na miejscu Ballingera. Ze sznurem. Tak — powiedziałem, zerkając na Poego — widziałem na własne oczy, z jaką łatwością pan Ballinger potrafi obezwładnić przeciwnika.

— Leo! — zawołała pani Marquis, wbijając paznokcie w dłoni. — Leo, powiedz mu...

— Ballinger jest tak dobrym przyjacielem rodziny — kontynuowałam — że chętnie zrobi wszystko dla pani córki. Nawet powiesi człowieka... i pod kierunkiem Lei wykroi mu serce z piersi. Ale jednego nie umie: trzymać języka za zębami. Trzeba się go zatem pozbyć.

„Nie przestawaj się ruszać, Landor”. Rozkaz ten stale miałem na uwadze, lawirując między pochodniami, słuchając skapywania krwi Poego i uśmiechając się do zdruzgotanej, zbielełej twarzy pani Marquis. „Nie przestawaj się ruszać!”

— Przypuszczam, że właśnie w tym miejscu wkracza do akcji pan Stoddard — podjąłem. — Mniemam, że jako kolejny wielbiciel pani córki — jest z kogo wybierać, prawda? — otrzymuje zadanie pozbycia się Ballingera. Z tą różnicą, że on nie czeka, aż ktoś pozbędzie się jego.

Tym razem nawet Poe znalazł w sobie dość siły, aby zaprotestować.

— Nie — mruknął. — Nie, Landor.

Świszcząc przez zaciśnięte z zimna zęby, przerwał mu Artemus:

— Jest pan podły, sir.

— Widzi pani? — powiedziałem, uśmiechając się do pani Marquis jak sędziwy wuj. — Musi pani przyznać, że argumenty oskarżenia przeciwko Lei Marquis robią wrażenie. I dopóki pan Stoddard nie zostanie znaleziony,

obawiam się, że sąd uzna je za najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Oczywiście... — Te słowa starałem się powiedzieć jeszcze bardziej beztróskim tonem — jeśli ktoś chce mnie skorygować, pozostaję otwarty na wszelkie sugestie... — Po raz pierwszy spojrzałem prosto w oczy Artemusowi. — Jeśli się mylę, to ktoś naprawdę powinien mi to powiedzieć. Bo widzi pan, potrzebuję przekazać w ręce władzy tylko jedną osobę. Reszta niech robi, co chce. Jeśli o mnie chodzi... — Szybko przebiegłem wzrokiem salę, pochodnie, płonące drzewo, piecyk na węgiel drzewny z sięgającymi sufitu płomieniami... — Jeśli o mnie chodzi, możecie wszyscy iść do diabła.

Od tego miejsca intrygi naszego dramatu nie miałem już na nią wpływu. Didaskalia: „Na scenę wchodzi Czas”.

To właśnie Czas musiał położyć się brzemieniem na ramionach młodego Artemusa i tak mocno przygiąć do ziemi, aby wyraźnie zobaczył, przed jakim stoi wyborem. Jakby dla udramatyzowania tej metafory jego ramiona rzeczywiście zaczęły się uginać, na aroganckiej zwykle twarzy obwisła skóra, a dźwięczny głos stał się bardziej głuchy.

— To nie był pomysł Lei, tylko mój.

— Nie! — Lea Marquis rzuciła się na nas z płonącymi oczami i palcem wymierzonym do przodu jak rapier. — Nie pozwolę na to!

Tak gwałtownym ruchem, że sutanna uleciała do góry, Lea owinęła ramię wokół szyi Artemusa i odciągnęła go do tyłu, zabrała go na prywatną rozmowę pośród pochodni. Przypuszczalnie podobną do tej, którą podsłuchał kiedyś Poe: jednostajne brzęczenie, ponad które od czasu do czasu wybijały się ostre szepty.

— Przestań... On tylko... nas *podzieli*...

Mogłem im pozwolić rozmawiać dalej, ale Czas zszedł już ze sceny i rozwój intrygi (co zrozumiałem z przyjemnym świerzbieniem w całym ciele) powrócił w moje ręce.

— Panno Marquis! — zawołałem. — Proszę nie odbierać bratu głosu. To już duży chłopak, w końcu jest na ostatnim roku studiów!

Szczerze mówiąc, nie sędzę, aby w ogóle mnie usłyszała. Nie, oderwało ich od siebie jego *milczenie*. Bo po chwili dał się słyszeć wyłącznie głos Lei, a im dłużej mówiła, tym wyraźniej dało się odczuć, że jej brat wybrał już swoją drogę i pozostało już tylko patrzeć, jak ją przemierza.

Im mocniej ścisnęła go za szyję, im bardziej zapalczywie go przekonywała, tym bliższy Artemus był decyzji, aby od niej odstąpić, stanąć w morderczym blasku ognia piecyka i przesłonić rysy twarzy maską determinacji.

— Zabiłem Frya — powiedział. Jego matka zwinęła się wpół, jakby otrzymała cios nożem w brzuch, i wydała z siebie głośny jęk. — Zabiłem też Randy'ego — dodał.

Ale Lea... Lea nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Martwe ramiona, martwa twarz. Nie licząc jednej łzy, która spłynęła po jej białej jak kreda twarzy.

— A Stoddard? — zapytałem. — Jaki był jego udział?

Artemus przez chwilę wyglądał bardziej bezsilnie niż kiedykolwiek. Pomachał rękami jak jakiś nieporadny czarodziej i powiedział:

— Powiedzmy, że Stoddard był moim współnikiem, powiedzmy, że spanikował i uciekł.

Tyle fałszywych nut w jego głosie, tyle okropnych dysonansów! Potrzebowałbym wielu dni na jego dostrojenie. Nie miałem tyle czasu.

— No dobrze — powiedziałem, zacierając dłonie. — To brzmi całkiem do rzeczy, nie sądzicie?

Szukając potwierdzenia, odwróciłem się do pani Marquis, która klęczała na podłodze, znowu w mnisim kapturze na głowie. Pośród tych zgrzebnych brązowych fałd nie dało się dostrzec ani jednej ludzkiej kończyny — po pani Marquis pozostał tylko głos, odrobinę chrapliwy.

— Nie może pan... — wyszeptała. — Nie może pan.

Nie sądz, Szanowny Czytelniku, że jestem człowiekiem pozbawionym litości. Zrozum jednak, że w tej samej chwili słyszałem w uchu odgłos krwi.

Krwi Poego, która wciąż kapiała na kamienną posadzkę. Zrobiłbym wszystko, aby uciszyć ten dźwięk.

— Tak, tak. Nie pozostaje zatem nic innego, jak zabezpieczyć materiał dowodowy. Panno Marquis, byłbym pani wielce zobowiązany, gdyby mi pani dała ten swój pakuneczek.

Ona jednak zapomniała, gdzie jest pudełko! Rozglądała się wokół siebie gorączkowo, przeszukiwała plamy cienia i żaru, aż w końcu znalazła pudełko w ostatnim miejscu, w którym by się go spodziewała: u swoich stóp.

Ponownie je otworzyła, z zastygłym zdumieniem spojrzała na jego zawartość i przeniosła wzrok na mnie. Upłynie dużo czasu, zanim zapomnę to spojrzenie. Owszem, była osaczona, zewsząd ujadły wściekłe ogary, ale w oczach miała iskierkę nadziei, jakby droga ucieczki znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

— Bardzo pana proszę, niech pan nas zostawi — powiedziała. — Już prawie skończyliśmy. Już prawie...

— Już całkiem skończyliście — przerwałem jej spokojnie.

Odstąpiła do tyłu: o krok, dwa. Ja posuwałem się ku niej w tym samym rytmie. W końcu przestała próbować mnie przekonać. Został jej już tylko jeden pomysł: uciec.

No i uciekła. Z pudełkiem w rękach rzuciła się w stronę skalnego ołtarza.

Moja pierwsza myśl: Lea zniszczy jedyny dowód, wrzuci go do piecyka, schowa za jakimś kamieniem albo Bóg wie co jeszcze. Ale kiedy pobiegłem za nią, Artemus odciął mi drogę, przeciwstawił mi się całym swoim ciężarem.

I tak oto znowu się starliśmy, w zupełnym milczeniu, tak jak w jego garderobie wyrywaliśmy sobie szablę Joshui Marquisa. Tym razem nie było wątpliwości, kto będzie górą.

Młodość, tak, młodość triumfowała nad wiekiem, Artemus mnie odpychał, nie po prostu do tyłu, ale — jak szybko się zorientowałem — w bardzo konkretnym kierunku. Nie umiem powiedzieć, kiedy przyszło to do głowy mojemu adwersarzowi, ale od momentu, kiedy poczułem pierwsze ukłucie

gorąca na kręgosłupie, wiedziałem, dokąd zmierzam: prosto na stos całopalny tego piecyka.

Jakże dziwnie było zajrzeć w oczy Artemusa i nic tam nie zobaczyć — nic oprócz odbicia tej wieży ognia. Gdzieś w pobliżu zawodziła z cicha pani Marquis, a Lea wygłaszała swoje litanie, ale mnie najbardziej ciążyło trzaskanie ognia, który pieścił moje plecy, żłobił bruzdy w mojej skórze.

Czułem też ogień w nogach: mięśnie płonęły siłą oporu. Oporu bezużytecznego, ponieważ odległość między mną a płomieniami spadała, ogień gładził moje łopatki, lizał włosy na szyi. Widziałem go w oczach Artemusa, widziałem też, że brat Lei szykuje się do ostatniego popchnięcia.

A potem, bez widocznego powodu, szarpnął głową do tyłu. Z jego ust dobył się krzyk. Spojrzałem w dół i zobaczyłem wczepioną jak pijawka w nogę Artemusa, zwiniętą w kulkę formę pierwszoroczniaka Poego. Chociaż odurzony i wykrwawiony, podczołgał się do nas i zacisnął zęby na lewej łydce Artemiusza Marquisa. A teraz wyznaczył sobie jedynie zadanie, do którego wykonania był jeszcze zdolny: ściągnąć przeciwnika na ziemię.

Artemus próbował go odepchnąć, ale wola najwyraźniej urosła w Poem proporcjonalnie do utraconych sił fizycznych i ani drgnął. Wiedząc, że nie da sobie rady z dwoma adwersarzami naraz, Artemus zaatakował najpierw słabszego. Uniósł pięść i starannie wymierzył cios w czubek głowy Poego.

Pocisk nie doleciał do celu, gdyż byłem szybszy. Moja prawa pięść trafiła go w szczękę, a po chwili lewa poprawiła podbródkowym.

Artemus runął jak długi, a Poe zupełnie opadł na podłogę, ani przez chwilę nie odrywając zaciśniętych zębów od nogi przyjaciela, toteż Artemusowi nie udało się wstać, kiedy podjął taką próbę. Ja zdobyłem przez ten czas pochodnię, przysunąłem ją do twarzy Artemusa i trzymałem ją tam aż do chwili, kiedy na czole wykwitł wieniec lśniącego potu.

— Tyle wystarczy — powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

Nigdy się nie dowiem, czy miał zamiar ze mną polemizować, bo właśnie



w tej chwili rozległ się ten dźwięk, komunikujący, że wydarzyło się coś strasznego.

Lea Marquis stała przed skalnym ołtarzem — jej oczy były wielkie jak księżyc, a policzki usmarowane czymś, co przypominało glinę. A na gardle trzymała czerwoną dłoń.

Natychmiast zrozumiałem, co właśnie zrobiła. Uchwyciła się swojej ostatniej szansy. W desperackiej próbie zmiany biegu swojego życia wykonała polecenia Henriego le Clerca dosłownie, co do litery. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem, a jednocześnie pierwsza, której powinienem był się spodziewać. Zamiast złożyć serce w ofierze, Lea je pożarła. Całe.

# Opowieść Gusa Landora

## 39

Po długim namyśle ująłbym rzecz następująco: Henri le Clerc żądał od niej zbyt wiele. Coś się w niej zbuntowało. Serce, które miała pożreć w całości, utknęło jej w gardle i pozbawiło ją oddechu. Kolana się pod nią ugięły... Zwinęła się wpół... Osypała się na ziemię jak przyzma drewna opałowego.

Artemus i ja, chociaż dwadzieścia sekund wcześniej byliśmy gotowi nawzajem się pozabijać, błyskawicznie podbiegliśmy do niej, po chwili dołączyła do nas pani Marquis, szurając butami o kamień, a na końcu przyczołgał się Poe. Utworzyliśmy wianuszek nad wyciągniętą na podłodze Leą Marquis i patrzyliśmy na te wyskakujące z orbit oczy, na te ubabrane tkanką sercową policzki.

— Ona nie... — wydyszała pani Marquis. — Ona nie może...

„Oddychać” — tego słowa szukała. Ani ono, ani żadne inne słowo nie wychodziło natomiast z ust Lei. Nawet nie protestowała. Słyszać było tylko smętne poświstywanie, coś jakby pieśń uwięzionego w kominie ptaszka. Umierała u naszych stóp.

Poe przycisnął obie dłonie do czoła Lei.

— Boże, Boże, błagam się, powiedz nam, co robić!

Bóg nie przyszedł nam z pomocą, więc skorzystaliśmy z własnych rozwiązań: ja uniosłem tułów, pani Marquis uderzała ją w plecy, a Poe gruchał jej do ucha: pomoc nadchodzi, pomoc jest w drodze. Spojrzałem w górę i zobaczyłem nad nami Artemusa, który trzymał w ręku lancet użyty do otwarcia żyły Poego.

Nie zaproponował tego ani nie wyjaśnił, ale od razu wiedziałem, jakie ma

zamiary. Zamierzał wykroić dukt powietrzny prosto przez gardło siostry.

Usiadł okrakiem na piersiach Lei z tak zaciętą miną, a ostrze tak diabolicznie błysnęło, że potrafiłem zrozumieć, dlaczego pani Marquis podjęła próbę odebrania mu lancetu.

— To jedyna szansa — warknął.

Jakie mieliśmy podstawy, żeby się z nim spierać? Lea Marquis przestała już nawet walczyć o oddech, a wokół ust i na paznokciach rozlały się niebieskie sadzawki. Poruszały się już tylko powieki, unoszące się i opadające jak markizy przy porywistym wietrze.

— Pospiesz się — wyszeptałem.

Ręka Artemusa drżała, gdy odmierzał odcinki jej gardła. Głos też mu drżał, kiedy przywoływał słowa z podręczników ojca. — Chrzątka tarczowata... — mruknął. — Chrzątka pierścieniowata... błona pierścieniowo-tarczowa...

W końcu palec się zatrzymał. Może serce też, zanim Artemus wbił lancet.

— O Boże — jęknął. — Proszę Cię, Boże. — Wystarczyło tylko lekkie naciśnięcie dłoni, aby ostrze wbiło się w gardło siostry jak kamerton. — Poziome nacięcie — wyszeptał. — Około centymetra. — Wokół ostrza wykwitło oko krwi.

Artemus z prędkością błyskawicy wyszarpnął ostrze i palcem wskazującym zatkał dziurę w gardle Lei. Z jej wnętrza wydobył się dziwny bulgot, podobny do szmeru wody w rurach. A potem, kiedy Artemus zaczął się rozglądać za czymś, czego mógłby użyć jako rurki intubacyjnej, oko krwi powoli przybrało rozmiary kałuży. Kałuży coraz szerszej, która zalewała kolejne obszary marmurowej skóry Lei.

— Nie powinno być aż tyle — syknął Artemus.

Krew jednak płynęła na przekór człowiekowi i medycynie, tryskała świeżymi falami, zamalowywała gardło młodej kobiety. Bulgot narastał i narastał...

— Arteria — sapnął Artemus. — Czyżbym...?

Krew była wszędzie, bulgotała, pyrkotała. W przypiływie rozpaczy Artemus

z głośnym puknięciem wyciągnął palec z otworu, kropelki krwi skapywały mu z dłoni jak perełki...

— Muszę... — Szloch przerwał mu w pół zdania. — Trzeba... Proszę... Coś do zawiązania...

Poe rozdzierał już koszulę. Ja robiłem to samo ze swoją, pani Marquis targała mniszą szatę... a pośród tych gorączkowych zabiegów leżała Lea. Zupełnie nieruchoma, nie licząc krwi, która kipiała od wewnątrz, było jej coraz więcej, lała się nieprzerwaną, nieustępliwą strugą.

Usta Lei otworzyły się wbrew wszelkim oczekiwaniom. I ułożyły w dwa słowa, bezdźwięczne, ale słyszalne: „Kocham... cię”.

Wiele chyba mówi o Lei Marquis, że każdy z nas mógł wziąć te słowa do siebie. Ale ona na nas nie patrzyła. Nareszcie znalazła wyjście i z uśmiechem patrzyła na siebie, jak odchodzi, a blask jej oczu powoli dogasa.

Uklękliśmy w milczeniu, jak misjonarze na brzegu obcego kraju. Zobaczyłem, jak Poe wciska pięści w skronie... a ja odruchowo... Pewnie pomyślałeś, Szanowny Czytelniku, że odruchowo go pocieszyłem. Nie, zadałem mu pytanie, które kilka tygodni wcześniej utkwiło mi w głowie jak odłamek śrutu:

— Czy to nadal jest najwznioślejszy temat poezji? — Spojrzał na mnie otepiałym okiem. — Śmierć pięknej kobiety — warknąłem. — Czy to dalej jest najwznioślejszy temat dla poety?

— Tak — odparł. Osunął się na moje ramię. — Och, Landor, będę ją wiecznie tracił. Zawsze od nowa.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodziło. Wtedy jeszcze nie. Czuję jednak rytmiczne drgania jego klatki piersiowej na swojej. Moja ręka znalazła drogę na jego kark i przytrzymałem ją tam... przez kilka chwil... potem jeszcze kilka... a on wciąż płakał, bez łez, bez szlochu, aż w końcu nic już mu w środku nie zostało.

Tymczasem pani Marquis zdawała się najlepiej z nas wszystkich panować

nad sobą. Napełniała powietrze komnaty swoim chłodnym i swobodnym głosem:

— To nie tak miało być. Miała zostać żoną... I matką.

Chyba za sprawą tego ostatniego słowa coś uleciało w niej do góry. Usiłowała zatrzymać to dłonią w ustach, ale przedarło się przez jej palce. Jej własny krzyk:

— *Matką! Tak jak ja!*

Kiedy echo ucichło i zgasło, z głuchym, gardłowym jękiem rzuciła się na ciało córki. Łomotała w nie maleńkimi piąstkami.

— Nie! — zawołał Artemus, odciągając ją do tyłu.

Ale ona jeszcze się nie nasyciła, chciała stłuc to ciało na kwaśne jabłko. I z pewnością by tak zrobiła, gdyby syn jej nie powstrzymał.

— Mamo! — szepnął. — Mamo, przestań!

— Zrobiliśmy to dla niej! — wrzasnęła i znowu rzuciła się na bezwładne ciało córki. — Wszystko dla niej! A ona i tak umiera! Ta okropna, okropna dziewczyna, po co to wszystko było? Skoro ona nie... Po co to było?

W tym kierunku dotarła już do ściany i jak to często bywa z żalobą, nagle wykonała woltę. Odgarnęła Lei włosy z twarzy, starła z białego gardła krew i ucałowała białą dłoń. Po czym utonęła w fosie własnych łez.

Czyż jest coś bardziej frapującego, Szanowny Czytelniku, od widoku wielkiego cierpienia? Całkowicie się w nim zatraciłem. I chyba dlatego upłynęło tak dużo czasu, zanim usłyszałem głos nad naszymi głowami, który osiadał na nas jak kurz.

— Panie Landor! — Skierowałem tam wzrok. — Panie Landor!

W pierwszym odruchu chciałem się roześmiać. Pokusa była bardzo silna, przybył bowiem Zbawiciel... a zwał się — kapitan Hitchcock.

— Tu, na dole! — zawołałem.

Mój głos miał do pokonania spory dystans korytarzem i ukośnym szybem. Potem znowu usłyszałem z góry:

— Ale jak was znajdziemy?

— Nie ruszajcie się! My przyjdziemy do was!

Chwyciłem Poego pod pachami i postawiłem na nogi.

— Gotowy? — spytałem.

Zamroczony bólem, z trudem sobie przypominając, gdzie się znajduje, spojrzał na swoje zmaltretowane sine ramię.

— Landor — wymamrotał — mógłby mi pan zrobić opatrunek?

Spojrzałem na rękaw swojej koszuli, który wisiał na ostatniej nitce. Zamierzałem przeznaczyć ten bandaż dla Lei, ale dla niego też się nadał. Jak najmocniej owinąłem nim ranę, potem opasałem się ramieniem Poego i zacząłem go prowadzić w kierunku drzwi. Jediną rzeczą, która mogła nas teraz powstrzymać, był ten głos, łagodny i błagalny.

— Myślicie, że moglibyście...

To była pani Marquis. Z pokorną miną wskazywała na kamienny ołtarz, na którym siedział teraz Artemus.

Nie sam, nie. Przeciągnął tam Leę, położył sobie jej głowę na kolanach i patrzył na nas z butną miną — tym gwałtowniejszą, że nic nie mówił. Jego matka mogła się tylko zwrócić do mnie z niemym błaganiem na twarzy.

— Po Leę wrócimy później — powiedziałem. — Muszę zabrać pana Poego do...

„Lekarza”. Słowo to utknęło mi w gardle jak pointa dowcipu, który natychmiast zrozumiała pani Marquis. Nigdy wcześniej nie widziałem u niej tak promiennego uśmiechu. Co świadczyło o tym, że kipiała w niej cała gama ludzkich uczuć — taka eksplozja emocji, że nie zdziwiłbym się, gdybym zobaczył, że zęby jej się roztopiły.

— Chodź, Artemus — powiedziała, ruszając za mną i Poem korytarzem. — Syn patrzył na nią wydrażonymi oczami. — Chodź, kochanie — powtórzyła. — Jak widać, nie możemy... Nie możemy już nic dla niej zrobić, prawda? Staraliśmy się, jak mogliśmy, czy nie? — Sama musiała sobie zdać sprawę, że w jej słowach brakuje przekonania, bo chociaż namawiała i błagała, Artemus nie reagował. — Posłuchaj, kochanie, nie wolno ci się martwić.

Porozmawiamy z pułkownikiem Thayerem, słyszysz? Wszystko mu wyjaśnimy. To człowiek wyrozumiały, szybko się zorientuje, że to było tylko nieporozumienie, kochanie... W końcu to jeden z naszych najstarszych i najdroższych przyjaciół, zna cię, odkąd byłeś... Nigdy by... Słyszysz mnie? Na pewno dostaniesz patent, kochanie.

— Zaraz przyjdę — odparł.

Jego głos zawierał w sobie dziwną lekkość — a raczej *światlistość* — co było chyba pierwszym sygnałem. Sygnał drugi: nie zaczął wstawać, tylko jeszcze bardziej zapadł się w sobie. Przyciągnął głowę Lei bliżej do swojej piersi. Dopiero wtedy zobaczyłem, co przed nami ukrywał. Lancet, którym niedawno otworzył gardło swojej siostry, tkwił teraz w jego boku.

Skąd miałbym wiedzieć, kiedy to zrobił? Nie słyszałem nawet najłżejszego jęknięcia. Nie było żadnych przemówień, teatralnych gestów, zamaszystego podrzynania gardła — słowem, żadnego spektaklu. Po prostu chciał odejść. Możliwie jak najwolniej i jak najciszej.

Spotkaliśmy się wzrokiem i połączyła nas nie tylko wiedza o tym, co się wydarzyło, ale również głębokie poczucie braterstwa.

— Zaraz przyjdę — powiedział słabszym głosem.

Być może na chwilę przed śmiercią człowiek jest bardziej uważny na otoczenie. Sugeruję to tylko dlatego, że mimo całej swojej udręki Artemus jako pierwszy podniósł oczy w stronę sufitu. A zanim ja pobiegłem za jego wzrokiem, rozpoznałem *zapach*. Charakterystyczny zapach płonącego drewna.

To była w pewnym sensie największa niespodzianka: że wykuta w skale pieczara ma prozaiczny drewniany sufit. Kto wie, co się tam kiedyś mieściło? Areszt? Piwnica na ziemniaki? Szynk?

Można śmiało powiedzieć, że nigdy wcześniej nie zapłonął tam tak wspaniały i majestatyczny ogień. Budowniczkowie tego pomieszczenia wiedzieli bowiem, że ogień nie jest przyjazny dla drewna.

Nękanym przez płomień drewniany sufit zwęglął się, trzeszczał i w końcu

pękł. Wpuszczając do środka przedziwne opady: nie był to ani śnieg, ani deszcz, lecz lód. Do świątyni runęła cała zawartość lodowni West Point.

Nie w postaci kostek, które wrzucano do lemoniady pułkownika Thayera — nie, to były płyty, dwudziestokilowe bloki o ciężarze i akustyce marmuru, z początku zsuwały się powoli, lecz z determinacją i po każdym zderzeniu żłobiły dziury w kamiennej posadzce.

— Artemus... — Głos pani Marquis znowu był podszyty lękiem, chociaż sama stała bezpiecznie na korytarzu. — Artemus, chodź natychmiast!

Nie wiem, czy w ogóle miała świadomość, co się dzieje. Weszła z powrotem do pomieszczenia i wykonała taki gest, jakby chciała wyciągnąć stamtąd syna za pięty, kiedy zaledwie metr od niej wylądowała ogromna bryła. Roztrzaskane okruchy uderzyły ją w twarz i chwilowo oślepiły. Potem spadła następna lodowa płyta, jeszcze bliżej, zmuszając ją do cofnięcia się o krok. Chwyciłem ją za ramię i wyciągnąłem na korytarz, gdzie mogła tylko z nutą rezygnacji powtórzyć jego imię:

— Artemus.

Może sądziła, że niezwykle opady szybko ustaną. Albo że jej syn może się czuć bezpieczny na kamiennym ołtarzu. Następna fala lodu jej uzmysłowiła, jak bardzo się pomyliła. Pierwsza bryła trafiła go w skroń — suche, twarde uderzenie, które przewróciło go na bok. Druga zmiażdżyła mu brzuch, a trzecia — stopy. Zostało w nim jeszcze dostatecznie dużo życia, aby zaskowyczał, ale dźwięk ten ucięła jak nożem następna bryła, która trafiła go prosto w głowę. Nawet z odległości czterech metrów słychać było roztrzaskiwanie się jego czaszki o kamienie. A potem cisza.

Jego matka w tej samej chwili odzyskała głos. Sądziłem naiwnie, Szanowny Czytelniku, że wyrzuciła już z siebie całą rozpacz, podczas gdy miała jej w sobie jeszcze cały magazyn. Jedyłą rzeczą, która mogła ją uciszyć, był widok czegoś tak nieoczekiwanego, że żadna rozpacz nie mogła się z tym mierzyć. Pośród kaskady lodu zobaczyliśmy postać, która powoli się podniosła.



Pomyślałem, że to Artemus, który zebrał w sobie siły na ostatni występ. Leżał jednak tam, gdzie upadł. A postać, która nieporadnie pozbierała się z ziemi — jak pijak, który przewrócił się koło kontuaru — miała na sobie nie mundur, lecz księżą sutannę.

Dwie stopy wbiły się w kamienną posadzkę. Dwie nogi poczłapały w naszą stronę. Kasztanowe włosy na bladych ramionach, uróżowione policzki i niebieskie oczy, które raziło światło. Mieliśmy przed oczyma Leę Marquis, która wstała i ruszyła w naszą stronę.

Nie jako zjawa, lecz jako istota z kości i krwi — *krwi*. Jedna ręka sięgała ku nam, druga zatykała dziurę w gardle. Z jej poszarpanego, uduszonego ciała dobył się dźwięk, jakiego nigdy nie wydał żaden człowiek ani zwierz.

Znalazł jednak swój odzew — u Poego! Razem skomponowali niedościgniony hymn zgrozy — crescendo chrapliwego skowytu, które obudziło nietoperze: zaczęły odbijać się od ścian, przelatywać nam między nogami i tarmosić nas za włosy.

— *Lea!*

Chociaż osłabiony, Poe nadludzkim wysiłkiem próbował się do niej przybliżyć. Próbował odsunąć mnie na bok, a kiedy to się nie udało, próbował mnie obejść, a kiedy to się nie udało, próbował przedostać się *górq* — tak, próbował mnie *przeskoczyć!* Zrobiłby absolutnie wszystko, aby do niej dotrzeć. Aby z nią umrzeć.

Pani Marquis również by to zrobiła — za nic miała niebezpieczeństwo. To ja powstrzymałem ich oboje. Nie zadając sobie pytania, dlaczego to robię, objąłem ich oboje w pasie i odciągnąłem od zasypanej lodem świątyni. Oboje znajdowali się na skraju wyczerpania, więc ich opór był bezskuteczny, ale nas spowalniał. Oddalając się korytarzem od tej przeklętej komnaty, widzieliśmy ujęty we framugę drzwi obraz kobiety, którą zostawiliśmy za sobą.

— *Lea!*

Czy ona w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje? Czy wiedziała, co ją przygniata do twardego kamienia, co piętrzy się na niej z tak ponurą

determinacją, co ją miażdży od chwili ponownych narodzin? W jej bezgłośnym krzyku nic nie zdradzało oznak zrozumienia. Była ścierana na proch — równie nieodwołalnie jak nietoperze, które z piskiem przelatywały obok niej — dziesiątki nietoperzy sprasowane między lodem i kamieniem, wrzeszczące aż po same wrota śmierci.

Bryły lodu nadal grzmiąco spadały jak pioruny... Pochłaniały pochodnie, gromnice i świece... Rozłupały czaszkę Lei, łomotały o jej sutannę... jednostajna furia, której ona mogła przeciwstawić tylko swoje miękkie, nagie i pootwierane ciało.

Nawała zrobiła się tak gęsta i szybka, że przed upływem kolejnej minuty lód zatarasował wejście i zaczął się wysypywać na korytarz. Mimo to zwlekaliśmy, nie mogąc uwierzyć w tak zajadłą zemstę. Bo lód nadal wlewał do świątyni swoje ciężkie akordy. Spadał na odległych potomków Henriego le Clerca. Spadał jak śmierć.

# Opowieść Gusa Landora

40

*Od 14 do 19 grudnia*

A oto ostatni cud: ziemia nad nami nawet się nie zatrzęsła. Nie było alarmu, nie było pobudki, ani jednego kadeta nie wyrwano ze snu. Codzienne życie Akademii toczyło się własnym biegiem. O świcie, jak każdego innego ranka, na plac apelowy między Koszarami Północnymi i Południowymi wkroczył doboisz i na znak adiutanta zaczął tłuc membranę swojego instrumentu. Rytm uderzeń pałeczek narastał i narastał, aż ogarnął cały plac apelowy, pulsując w uchu każdego kadeta, oficera, żołnierza.

Przed tamtym porankiem dźwięk ten nie kojarzył mi się z człowiekiem. Kiedy go słyszałem ze swojego pokoju w hotelu pana Cozzensa, odbierałem go jako wewnętrzne wezwanie, może głos sumienia. Tym razem jednak sumienie kazało mi spędzić resztę nocy tutaj, w wartowni Koszar Północnych, gdzie ustnie zrelacjonowałem wydarzenia kapitanowi Hitchcockowi, a potem wszystko spisałem. *Prawie wszystko.*

Był to ostatni tekst wręczony przeze mnie Hitchcockowi, który przyjął go ode mnie z uroczystą miną, złożył na pół i wsunął do skórzanej teczki, którą w swoim czasie miał przekazać pułkownikowi Thayerowi. Potem skinął powoli i solennie głową, co było gestem najbardziej zbliżonym do pochwały za całej naszej znajomości. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do hotelu.

Miałem jednak do niego pytanie. Tylko jedno, ale bardzo ważne.

— To był doktor Marquis, jak tuszę?

Hitchcock spojrzał na mnie z uprzejmym niezrozumieniem.

— Nie nadążam za panem.

— Ktoś wam powiedział, gdzie jesteśmy. Zgaduję, że był to doktor

Marquis.

Znowu pokręcił głową, również powoli, ale mniej solennie.

— Obawiam się, że nie. Szanowny pan doktor nadal siedział koło lodowni, kiedy tam dotarliśmy. Dużo lamentów i zgrzytania zębami, ale bardzo mało informacji.

— W takim razie kto...?

Na jego usta wkradł się ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Cesar — odparł.

Gdybym nie był taki zaabsorbowany przebiegiem wydarzeń, to może sam bym się tego domyślił. Zadałbym sobie pytanie, dlaczego pracownik kantyny szwenda się o takiej porze po placu apelowym. Czy przyszłoby mi jednak do głowy, że mój drogi Cesar — taki życzliwy, taki uprzejmy — jest funkcjonariuszem, któremu powierzono zadanie śledzenia Artemusa Marquisa? I że po dotarciu tropem obserwowanego do lodowni i zobaczeniu w niewielkiej odległości mnie i doktora, uda się prosto do komendanta, aby wszcząć alarm?

— Cesar — powtórzyłem, po czym zaśmiałem się pod nosem i podrapałem po głowie. — Mój Boże, cóż za finezja, kapitanie!

— Dziękuję — odparł tym swoim sarkastycznym tonem.

Wzbierało w nim jednak coś mniej sarkastycznego, co domagało się ujścia.

— Panie Landor — powiedział w końcu.

— Tak, kapitanie.

Sądził zapewne, że będzie mu łatwiej, jeśli powie to wszystko, nie patrząc na mnie, ale i tak widać było po nim, że przeżywa katusze.

— Chciałbym wspomnieć, że jeśli... że jeśli pod naporem wydarzeń byłem... chcę powiedzieć, że jeśli mi się zdarzyło, z racji swojej porywczosci, podważyć pańską... rzetelność czy kompetencje, to bardzo... bardzo...

— Dziękuję, kapitanie. Ja też bardzo przepraszam.

Tylko tyle mogliśmy powiedzieć, nie przekraczając granic nieznośnego

zakłopotania. Skinęliśmy głowami. Po raz ostatni podaliśmy sobie rękę. Rozstaliśmy się.

Wyszedłem z wartowni akurat w porę, aby zobaczyć, jak dobosz bębni pobudkę. W koszarach rozległy się pierwsze odgłosy życia. Młodzi ludzie spadali z łóżek na ręce i kolana, kopali swoje legowiska i chwyтали za mundury. Po raz kolejny zaczynali od nowa.

Po opuszczeniu lodowni pani Marquis podjęła znamienne decyzję, że nie położy się do łóżka — napór rozpaczki utrzymywał ją na nogach. Odrzucała propozycje przydzielenia jej eskorty i wędrowała po placu apelowym z misjami, których cel znała tylko ona sama. No i zdarzyło się tak, że dwójkę wracających ze służby wartowniczej drugoroczników zaczepiła szeroko uśmiechnięta kobieta w szarym mnisim habicie, która zapytała, czy pomogliby jej „wynieść dzieci”. Zapewniła ich, że zajmie im to tylko chwilę.

Nie było jednak mowy o szybkim wydobyciu ciał. To musiało potrwać wiele dni. Były jednak inne zadania do wykonania. „Praca” — tak wyglądała odpowiedź doktora Marquisa na rozpacz. W ramach ostatniej oficjalnej czynności przed złożeniem rezygnacji opatrzył nawet rannego Poego, zmierzył mu puls i oznajmił, że młody człowiek nie stracił więcej krwi niż upuściłby mu medyk w celach leczniczych. „Zapewne wyjdzie mu to nawet na dobre”, oświadczył doktor Marquis.

Sam wyglądał jak okaz zdrowia. Nigdy wcześniej nie miał tak rumianej cery. Tylko raz widziałem, jak zbladł: kiedy minął na placu apelowym żonę. W pierwszym odruchu oboje się wzdrygnęli, ale potem skinęli do siebie głowami jak sąsiedzi, którzy spotykają się na ulicy. Wywnioskowałem z tego spotkania, jaka czeka ich przyszłość. Z pewnością nie świetlana. Doktor Marquis mógł się pożegnać z pracą w wojsku. Sądziłem, że dzięki dotychczasowej nienagannej służbie uniknie sądu wojskowego, ale ta plama na reputacji odeśle go bezpowrotnie do cywila. Nie ziści się marzenie pani Marquis o powrocie do Nowego Jorku — będą mogli mówić o szczęściu, jeśli

jej mąż założy praktykę na kresach Illinois. Ale przeżyją, rzadko będą rozmawiać o tragicznie zmarłych dzieciach (publicznie czy prywatnie), będą się do siebie odnosili z powściągliwą kurtuazją i flegmatycznie czekali na zamknięcie życiowego rachunku. Tak sobie w każdym razie wyobrażałem.

Poego położono na sali B-3, tej samej, do której przyniesiono Leroya Frya i Randolpha Ballingera. W zwyczajnych okolicznościach ucieszyłby się zapewne ze sposobności do obcowania z duchami — może nawet skrobnąłby wiersz o transmigracji dusz — ale tym razem zapadł w głęboki sen i jak mi później powiedziano, obudził się dopiero w połowie popołudniowych wykładów.

Ja sam zdołałem przespać jakieś cztery godziny, zanim zapukał do moich drzwi jeden z lokajów Thayera.

— Pułkownik Thayer prosi o rozmowę.

Spotkaliśmy się w parku artyleryjskim. Staliśmy wśród moździerzy, dział oblężniczych i polowych, w tym wielu zdobywczych, odebranych Brytyjczykom i oznaczonych nazwami pól bitewnych. Ale byłby huk, gdyby wystrzelić ze wszystkich naraz, pomyślałem. Cała artyleria stała jednak bez ruchu, a jedynym źródłem dźwięku była łopocząca na wietrze opuszczona do połowy masztu flaga.

— Przeczytał pan mój raport? — spytałem. Skinął głową. — Ma pan... jakieś pytania?

Odpowiedział mi znużonym, twardym tonem.

— Niestety, nie mam pytań, na które mógłby mi pan odpowiedzieć, panie Landor. Chciałbym wiedzieć, jak to możliwe, że przez trzy lata jadałem z kimś przy jednym stole i utrzymywałem z nim przyjazne stosunki, znałem jego rodzinę prawie tak dobrze jak własną, a mimo to nie miałem pojęcia, jak wielkie dotyczą ich cierpienia.

— Celowo to przed panem ukrywali, pułkowniku.

— Tak, wiem.

Patrzyliśmy w kierunku północnym, ku Cold Spring, które chybotąło jak miraż w wyziewach pieca odlewni gubernatora Kemble'a, ku Cro' Nest i Bull Hill, ku rozmytemu grzbietowi gór Shawangunk. I zszywającej to wszystko razem rzece: płaskiej, spowitej zimowym światłem.

— Lei i Artemusa już nie ma — powiedział Sylvanus Thayer.

— Tak.

— Nigdy się nie dowiemy, dlaczego to wszystko zrobili. Ani nawet, co dokładnie zrobili. Nigdy się nie dowiemy, gdzie zaczęło się jedno z przestępstw, a skończyło drugie.

— Owszem — przyznałem — ale mam pewne przemyślenia na ten temat.

Pochylił nieznacznie głowę.

— Zamieniam się w słuch, panie Landor.

Nie spieszyłem się. Prawdę rzekłszy, wciąż układałem sobie to wszystko w głowie.

— Krojeniem zajmował się Artemus — powiedziałem. — Tego jestem pewien. Widziałem go przy pracy. Urodzony chirurg. Nawet jeżeli na koniec, w przypadku siostry... ale to nie był łatwy zabieg...

— Nie był.

— Założyłbym się również, że to Artemus przebrał się za oficera i rozkazał kadetowi Cochrane'owi zaprzestać warty przy zwłokach Leroya Frya.

— A Lea?

*Lea.* Zawahałem się na dźwięk tego imienia.

— Jestem prawie pewien, że to ją ścigałem tamtej nocy po wyjściu z karczmy. Artemus też tam był. Sądzę, że śledziła Poego, aby sprawdzić, czy nie pracuje dla mnie. A kiedy to się potwierdziło...

Co wtedy zrobiła? Tego wciąż nie wiedziałem. Mogła postanowić, że się go pozbędzie. Mogła przyspieszyć z tego powodu realizację planu. Mogła też uświadomić sobie, że go kocha — mogła to zrozumieć właśnie dlatego, że ją zdradził.

— To Lea musiała być osobą — dodałem — która podrzuciła granat pod

drzwi Artemusa. Żeby odwrócić od niego podejrzenia. I być może to ona włożyła do pojemnika na opał serce krowy, żebyśmy gubili się w domysłach.

— A rodzice?

— Z doktora Marquisa nie mieliby żadnego użytku. Żądaliby od niego tylko milczenia. Co się tyczy pani Marquis, to może przytrzymała im drzwi albo zapaliła świece, ale nie wyobrażam sobie, aby obezwładniała silnego młodego kadeta albo zakładała mu pętlę na szyję.

— Nie — powiedział Thayer, przeciągając palcem po brodzie. — Te zadania spadły — jak sądzę — na pana Ballingera i pan Stoddarda.

— Na to wygląda.

— Mogę zatem przyjąć, że Artemus zabił pana Ballingera, aby go powstrzymać od zawiadomienia władz. Oraz że pan Stoddard wolał uciec niż stać się następną ofiarą.

— Owszem, można tak przyjąć.

Spojrzał na mnie jak na wieczorne niebo.

— Do samego końca unika pan jednoznacznych deklaracji, panie Landor.

— Stary nawyk, pułkownika. Szczerze pana przepraszam. — Szarpnąłem ramionami z zimna i stuknąłem butem o but. — Na razie będziemy musieli poczekać, aż się dowiemy, co pan Stoddard ma nam do powiedzenia na ten temat. Jeśli kiedykolwiek go znajdziemy.

Może dosłyszał się w tym wyrzutu, ponieważ przybrał surowszy ton:

— Bylibyśmy wielce zobowiązani, gdyby zechciał pan spotkać się z wysłannikiem dowódcy wojsk inżynieryjnych, kiedy już przybędzie.

— Oczywiście.

— I złożyć wyczerpujące zeznania u ewentualnego sędziego śledczego.

— Oczywiście.

— Poza tym, panie Landor, oświadczam, że w pełni wywiązałem się z umowy, którą zatem niniejszym rozwiązuję. — Zmarszczył czoło. — Mam nadzieję, że nie sprawi to panu przykrości. — „Albo kapitanowi



Hitchcockowi”, pomyślałem, ale trzymałem język za zębami. — A przynajmniej że przyjmie pan nasze podziękowania.

— Wielka szkoda, że nie zasłużyłem sobie na nie, pułkowniku. Może udałoby się... — Podrapałem się w bok głowy. — Może udałoby się uratować kilka osób, gdybym był trochę bystrzejszy albo szybszy. *Młodszy*.

— Uratował pan co najmniej jedną osobę. Pana Poego.

— Tak.

— Który niekoniecznie panu za to podziękuje.

— Zaiste. — Włożyłem ręce do kieszeni i zakołysałem się. — Ale mniejsza z tym. Pańscy zwierzchnicy powinni być zadowoleni, pułkowniku. Mam nadzieję, że waszyngtońskie szakale wkrótce podkulą ogony.

Przyjrzał mi się uważnie, pewnie dla sprawdzenia, czy mówię szczerze.

— Sądzę, że udało nam się uzyskać tylko odroczenie wyroku.

— Nie mogą przecież zamknąć Akademii...

— Nie mogą, ale mogą odwołać mnie.

Ani śladu protestu, ani śladu emocji. Wygłosił to tak rzeczowym tonem, jakby powtarzał mi przeczytaną w gazecie informację.

Nigdy nie zapomnę tego, co następnie zrobił. Przysunął twarz do wylotu mosiężnej lufy osiemnastofuntowego działa i... trzymał ją tak przez dobre pół minuty. Jakby chciał sprowokować armatę do najgorszego.

Potem lekko zatarł o siebie dłonie.

— Przyznaję ze wstydem, panie Landor, że kiedyś uważałem się w swojej próżności za niezbędny warunek istnienia Akademii.

— A teraz?

— Teraz uważam, że przetrwa tylko beze mnie. — Skinął powoli głową i trochę się wyprostował. — I myślę, że przetrwa.

— Mam nadzieję, że w tej pierwszej kwestii się pan myli, kapitanie — powiedziałem, podając mu rękę.

Uścisnął moją dłoń. I chociaż nie powiedziałbym, że się uśmiechnął, to wykrzywił usta w cierpkim grymasie.

— Zdarzało mi się pomylić, ale nie co do pana, panie Landor.

Staliśmy przed wschodnim wejściem do karczmy Benny'ego. Metr od siebie, patrząc na drugi brzeg rzeki.

— Przyszedłem ci powiedzieć, że to już koniec, Patsy. Wykonałem swoją robotę.

— I co z tego?

— To z tego, że... że możemy zacząć od nowa. Żyć jak dawniej. Reszta się nie liczy, to już przeszłość, to już...

— Nie, Gus. Przestań. Mam gdzieś twoją robotę. Mam gdzieś tę cholerną Akademię.

— W takim razie o co chodzi?

Przez chwilę patrzyła na mnie bez słowa.

— To mogłeś równie dobrze być ty, Gus. Zamienili ci serce w kamień.

— Kamień może... Kamień może żyć.

— To mnie dotknij, chociaż raz, tak jak to dawniej robiłeś.

Tak jak to *dawniej* robiłem. To było niemożliwe. Ona chyba również to wiedziała, bo naprawdę miała żal w oczach, kiedy po raz ostatni się ode mnie odwróciła. Było jej bardzo przykro, że zawracała mi głowę.

— Do widzenia, Gus.

Nie dalej niż następnego dnia kadet Cochrane przywiózł wszystkie moje ubrania i inne rzeczy do chaty w Buttermilk Falls. Uśmiechnąłem się z lekka, kiedy zobaczyłem, jak mi salutuje — porucznikowi Landorowi! Szarpnął za lejce karego konia i po kolejnej minucie faeton z Akademii zniknął za zboczem wzgórza.

Przez kilka następnych dni byłem sam. Krowa Hagar wciąż nie wracała, a dom już mnie nie poznawał. Żaluzje, sznur suszonych brzoskwiń, strusie jajo — wpatrywały się we mnie takim wzrokiem, jakby bez powodzenia usiłowały mnie sobie przypomnieć. Ostrożnie przechodziłem z pokoju do pokoju, pilnując się, żeby niczego nie poprzestawiać, stałem więcej niż

siedziałem i wychodziłem na spacer, ale najłżejszy podmuch wiatru przeganiał mnie z powrotem do domu. Byłem sam.

A potem, po południu w niedzielę dziewiętnastego grudnia, ktoś przyszedł do mnie z wizytą: pierwszoroczniak Poe.

Przywiało go jak chmurę deszczową i z mroczną miną stał na moim progu. Z obecnej perspektywy widzę, że był to również próg w moim życiu.

— Wiem — powiedział. — Wiem o Mattie.

# Opowieść Gusa Landora

## 41

A teraz, Szanowny Czytelniku, opowiem Ci historię.

W Highlands mieszkała młoda, nie więcej niż siedemnastoletnia dziewczyna. Wysoka, zachwycająca, pełna wdzięku w ruchach, rozczulająca we śnie. Przybyła do tej odludnej krainy, aby pomóc żyć ojcu, a zamiast tego widziała śmierć matki. Ojciec i córka mieszkali zatem tylko we dwoje w domu nad Hudsonem i czas im się szczególnie nie dłużył. Czytali sobie nawzajem, zabawiali się zagadkami i łamigłówkami i chodzili na długie spacerunki po wzgórzach — dziewczyna miała silny organizm. Krótko mówiąc, wiedli razem całkiem spokojne życie. Wcale nie nazbyt spokojne dla niej: nosiła w sobie całe worki twardego milczenia, do którego nikt nie miał dostępu.

Ojciec kochał córkę. W głębi serca wierzył, że jest dla niego pociechą od Boga.

Jednak niesienie pociechy nie jest jedynym ziemskim zajęciem. Młoda dziewczyna zaczęła na swój sposób tęsknić za towarzystwem. I pewnie tęskniłaby na próżno — po długiej wielkomijskiej karierze jej ojciec przedzierzgnął się w pustelnika — gdyby nie zlitowała się nad nią zamożna kuzynka jej świętej pamięci matki, żona bankiera z pobliskiego Haverstraw. Ta starsza kobieta, która nie miała dzieci, znalazła w młodej dziewczynie zastępczą córkę. Postanowiła wygładzić jej wrodzone powaby, a rezultaty tych starań przyniosły jej chlubę.

I tak, nie zważając na sprzeciwy ojca, starsza kobieta zabierała pannę na

przejażdżki powozem i przedstawiała ją na przyjęciach. A kiedy nadszedł czas, zaprosiła pannę na jej pierwszy bal.

Bal! Kobiety w kilogramach jedwabiu, muślinu i merynosów. Mężczyźni w surdutach z fryzurami na rzymskich cesarzy. Stoły uginające się od ciast, kremów i blasku kieliszków z porto. Skrzypkowie i kotyliony! Szelest kobiecych sukien, wachlarze. Wyzapinani na miedziane guziki dandysi, gotowi oddać życie za jeden taniec.

Panna nigdy tego nie pożałała — może dlatego, że nie wiedziała o istnieniu tego świata? — ale z pogodą ducha oddawała się przymiarkom sukni, ćwiczeniom postawy i lekcjom francuskich mistrzów tańca. Ilekroć ojciec ponurym wzrokiem oceniał jej nowy strój, śmiała się z niego, udawała, że chce podrzeć suknię i przed upływem dnia kolejny raz dawała mu słowo, że w jej życiu nie ma innego mężczyzny oprócz niego.

Nadszedł dzień balu. Ojciec z satysfakcją zobaczył, jak jego córka wsiada do landa niby kwiat jednej z najznakomitszych nowojorskich rodzin. Pomachała mu przez okno, a potem zniknęła, odjechała do domu kuzynki w Haverstraw. Przez resztę wieczoru wyobrażał sobie, że oszołomiona dziewczyna z suchością w ustach wiruje po parkiecie. Wyobrażał sobie, że po jej powrocie pyta, co robiła i co widziała, żąda szczegółowego sprawozdania ze wszystkiego, a ona odpowiada z pełną świadomością niskiego mniemania ojca o takich próżnostkach. Wyobrażał sobie, że najuprzejmiejszym tonem, na jaki potrafi się zdobyć, pyta ją, kiedy skończy z tymi wszystkimi głupstwami.

Mijały godziny. Ona nie wracała. Północ, godzina pierwsza, druga. Śmiertelnie przerażony ojciec wziął latarnię i poszedł przeszukać okoliczne drogi. Nie znalazłszy tam córki, postanowił wsiąść na konia i pogalopować do Haverstraw, ale kiedy miał już stopę w strzemieniu, zobaczył dziewczynę, która kuśtykała w jego stronę w pantofelkach do tańca. Obraz kobiety, której zawalił się świat.

Włosy, wcześniej misternie ufryzowane, teraz zwisały zmierzwione. W miejscu, gdzie zerwano z niej liliową suknię z tafty, widać było długi szew halki. Bufiaste rękawy, których spulchnianie sprawiło jej taką przyjemność, zostały oderwane od ramienia w sukni.

A do tego wszystkiego — krew. Na nadgarstkach, we włosach. Krew *tam na dole...* tak obfita, że dziewczyna musiała ją uznać za znamię swojej hańby. Nie pozwoliła, aby ojciec ją umył. Nie chciała mu powiedzieć, co się stało. Przez wiele dni w ogóle się nie odzywała.

Urażony jej milczeniem i oszalały z rozpaczy ojciec pojechał do kuzynki żony (którą odsądzał od czci i wiary) i zażądał relacji z tamtego wieczoru. Opowiedziała mu o trzech mężczyznach.

Młodych, postawnych, sympatycznych mężczyznach, którzy pojawili się znikąd. Nikt nie pamiętał, aby ich zapraszał czy w ogóle widział wcześniej na oczy. Sprawiali wrażenie wykształconych, mieli dobre maniery i byli bardzo eleganccy, aczkolwiek można było odnieść wrażenie, że włożyli nie swoje ubrania. Jedna rzecz nie budziła najmniejszej wątpliwości: obecność tyłu kobiet budziła w nich zachwyty. Jak to ujął jeden z zaproszonych, zachowywali się tak, jakby właśnie wypuszczono ich z klasztoru.

Szczególne zainteresowanie wzbudziła w nich młoda panna z Buttermilk Falls. Jako że brakowało jej obycia kobiet z wielkiego świata, początkowo ucieszyła się z ich uwagi, ale kiedy dostrzegła, dokąd zmierzają te starania, typowym dla siebie zwyczajem schroniła się za murem milczenia. Ani trochę niezrażeni trzej młodzieńcy nie tracili ducha i wytrwale podążali jej śladami przez kolejne pokoje. Kiedy panna wyszła na zewnątrz, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, pożegnali się z resztą towarzystwa i wyszli za nią.

Już nie wrócili. Panna też. Nie chcąc pokazywać się gospodyni zakrwawiona i w podartym ubraniu, wyruszyła w długą drogę do domu.

Rany na ciele szybko się zagoiły, ale inne nie — a może po prostu przyjęły postać jeszcze głębszego milczenia. Milczenia tak niezwykle silnego, jakby dziewczyna wyczekiwała odgłosu kół na drodze.

Czoło miała niezmaćcone, dawała niezłomne świadectwo przywiązania do ojca i we wszystkim była uważna, ale za taką fasadą kryło się owo wyczekiwanie. Wyczekiwanie na co? Ojciec co jakiś czas dostrzegał jakiś urywek, tak jakby w tłumie pojawiała się i znikwała znajoma twarz, której on nie umiałby przypisać imienia.

W niektóre dni po powrocie do domu zastawał ją na kolanach w salonie, z zamkniętymi oczami i poruszającymi się bezgłośnie ustami. Nigdy nie chciała przyznać, że się modli — znała jego zdanie na temat religijności jego ojca, a swojego dziadka — ale po każdej takiej sytuacji robiła się jeszcze bardziej milcząca, on zaś miał nieprzyjemne poczucie, że zaskoczył ją w trakcie rozmowy.

Pewnego popołudnia zdumiała go i zaproponowała piknik. Właśnie tego jej potrzeba, pomyślał, żeby się wyrwała ze swoich fantazji. Cóż to był za dzień! Słoneczny i bezchmurny, a wiatr od gór niósł ze sobą zapach kadzidła. Zapakowali szynkę, ostrygi, naprędce upieczony pudding, brzoskwinie i maliny od farmera Hoesmana. Kiedy jedli to wszystko w spokoju na nadrzecznej skarpie, wydawało mu się, że upiory przeszłości zaczynają się trochę oddalać.

Po kolei wkładała talerze i sztuczki do kosza piknikowego: zawsze była dobrze ułożonym dzieckiem. Potem pomogła mu wstać, spojrzała mu w twarz i objęła go.

Był za bardzo zaskoczony, aby odwzajemnić uścisk. Patrzył, jak ona podchodzi do krawędzi skarpy. Patrzyła na północ, wschód, południe.

Odwróciła się i powiedziała ze swobodną, uśmiechniętą miną: „Wszystko będzie dobrze. Wszystko się ułoży”.

A potem podniosła ręce nad głowę i zgięła się wpół jak nurek przed skokiem do wody. Nie odrywając wzroku od ojca, skoczyła. Na oślep, nie patrząc, dokąd leci.

Ciało porwała rzeka. Mówił później sąsiadom, że jego córka uciekła z jakimś mężczyzną. Kłamstwo to ukrywało w sobie prawdę. Jego córka rzeczywiście uciekła. Rzuciła się w jego ramiona i zrobiła to z pogodnym sercem, tak jakby taki właśnie koniec był jej przeznaczony. Odeszła, wiedząc, że on będzie na nią czekał.

Za śmiercią młodej dziewczyny przemawia jedna rzecz: ojciec może pielęgnować jej obraz, który trochę poza jego świadomością od jakiegoś czasu kiełkował w jego głowie.

Pewnego ranka otworzył tom poezji Byrona — tylko dlatego, że ona go kiedyś kochała — i znalazł w środku łańcuszek. Łańcuszek ten trzymała w ręku tej nocy, kiedy wróciła z balu. Zabrała go jednemu z napastników i trzymała tak mocno, że wyźłobił jej w dłoni okrąg. Mimo to rozstawała się z nim tylko wtedy, kiedy ojciec nie patrzył.

Dlaczego schowała ten mroczny symbol w najcenniejszym woluminie? Może chciała, aby on go znalazł. Aby go użył.

Łańcuszek był przymocowany do mosiężnej płytki w kształcie rombu, na której wytłoczony był herb. Herb Korpusu Inżynierów.

W końcu dlaczego nie mieliby być kadetami? Trzech młodych mężczyzn, którzy pojawili się znikąd, w cudzych ubraniach, głodni kobiet. I z doskonałym alibi na wypadek, gdyby ktoś zadawał pytania: całą noc spędzili



w koszarach! Przecież żaden kadet nie opuszcza terenu Akademii bez pozwolenia.

Ale ten kadet miał przy sobie własną zgubę. Mosiężną tabliczkę z wygrawerowanymi inicjałami L.E.F.

Łatwo było znaleźć jej właściciela. Nazwiska kadetów z West Point widniały w publicznie dostępnych dokumentach, a powyższe inicjały miał tylko jeden z nich: Leroy Everett Fry.

W tym samym tygodniu ojciec przypadkiem usłyszał to nazwisko w karczmie Benny'ego Havensa. Leroy Fry należał do legionu wielbicieli barmanki, chociaż się wśród nich szczególnie nie wyróżniał. Ojciec co wieczór przychodził do karczmy w nadziei, że go zobaczy. I w końcu ich drogi rzeczywiście się skrzyżowały.

Niewysoki osobnik z nogami jak patyki. Spokojny, błądy, rudowłosy. Sprawiał wrażenie człowieka, który muchy by nie skrzywdził.

Ojciec siedział w karczmie przez cały wieczór i uważnie obserwował kadeta. Zanim wrócił do domu, wiedział już, co ma robić.

Zawsze kiedy ogarniało go wahanie, kiedy obawiał się o swoją duszę, uświadamiał sobie, że nie zostało w nim nic, o co należałoby się obawiać. Bóg zabrał mu *ja*. Bóg nie ma mu już czego odebrać.

Miała na imię Mathilde — zdrobniale Mattie. Włosy kasztanowe, a oczy błękitne, czasem przechodzące w szare.

# Opowieść Gusa Landora

42

**P**odczas poprzedniej wizyty Poe był jak człowiek wchodzący do galerii sztuki. Zmysły otwarte na oścież, przeskakują po liniach prostych od żaluzji przez strusie jajo do brzoskwiń i po kolei je interpretują...

Tym razem przyszedł jako dowódca. Długimi krokami przemierzył salon, rzucił pelerynę na gzyms kominka, jakby nie dbał o to, czy nie spadnie, odwrócił się plecami od greckiej litografii, za którą nigdy nie przepadał, splótł ramiona na piersiach i czekał, aż zacznę mówić.

I zacząłem. Ze spokojem, który zaskoczył mnie samego.

— Bardzo dobrze — powiedziałem. — Wie pan o Mattie. I co z tego wynika?

— Bardzo wiele — odparł. — Jak pan doskonale wie.

Zaczął krążyć po pokoju, prześlizgując się wzrokiem po każdym przedmiocie. Przełknął ślinę, wyprostował się i oznajmił:

— Chce pan wiedzieć, Landor, jak dokonałem swojego odkrycia? Zainteresowałby pana łańcuch moich dedukcji?

— Oczywiście. Jak najbardziej.

Przyjrzał mi się uważnie, jakby nie do końca mi wierzył, po czym wrócił do swoich peregrynacji.

— Wyszedłem od dosyć zaskakującego faktu, że w lodowni było tylko jedno serce. — Zawiesił głos, zapewne dla efektu dramatycznego, jak również po to, aby poczekać na moją reakcję. Żadnej reakcji nie było, więc kontynuował. — Początkowo nie potrafiłem sobie przypomnieć żadnych wydarzeń z tego przedśionka piekieł. Wszystko przykrył... dobroczynny płaszcz amnezji. Z upływem dni przebieg tego dziwnego obrzędu zaczął do

mnie powracać z niepokojącą precyzją. Mimo mojej niechęci do uważnego przyjrzenia się... tej szczególnej okoliczności całego makabrycznego spektaklu, to znaczy... — Znowu miał ochotę się od tego odwrócić, ale wziął się w garść. — Skoro nie potrafiłem spojrzeć na to bezpośrednio, to postanowiłem pospacerować dookoła jak turysta, który żarłocznie chłonie wszystkie szczegóły. Podczas tych misji zwiadowczych mimowolnie powracałem raz po raz do zagadki tego... jedyne serca.

— Przypuśćmy, że to było serce Leroya Frya. Doskonale, ale w takim razie gdzie jest reszta? Gdzie są serca tych zwierząt hodowlanych? Gdzie jest serce Ballingera? Gdzie jest ta... ta inna część jego anatomii? Wszystko to poznikało.

— Gdzieś zmagazynowane — zasugerowałem. — Na potrzeby przyszłych obrzędów.

Powolny mroczny uśmiech. Znakomity byłby z niego profesor.

— Kiedy widzi pan, nie sądzę, aby przewidziano jakieś przyszłe obrzędy. Ta ceremonia miała być ostatnia, czy to nie oczywiste? Nadal dręczyło mnie zatem pytanie, gdzie są pozostałe serca. A potem dokonałem drugiego odkrycia, pozornie niezwiązanego z pierwszym. Stało się to, kiedy... — Urwał, aby przepuścić przez gardło zmarszczkę emocji. — Kiedy przeglądałem listy Lei. Jako że nie skorzystałem z przyznanego mi przywileju udziału w nabożeństwie żałobnym, postanowiłem chociaż w ten sposób uczcić jej pamięć. I kiedy składałem ten hołd mojej miłości, przypadkowo natrafiłem na wiersz, który dla mnie napisała. Być może jedyny zachowany fragment jej twórczości. Z pewnością pan go sobie przypomina, Landor, bo skopiowała go dla pana.

— Czytając go ponownie, uświadomiłem sobie — z wielkim wstydem przyznaję, że wcześniej mi to umknęło — że utwór ten ma jeszcze jeden walor, a mianowicie jest akrostychem. Zauważył pan, Landor?

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru listowego. Kiedy rozpostarł ją na

stole, poczułem leciutki powiew zapachu kłacza irysa. Natychmiast zauważyłem, że każda pierwsza litera każdej linijki została pogrubiona.

*Elizjum serca megoś ty  
Drogi mój, na wieki  
Goreją we mnie gwiazdne sny  
A we dnie, unosząc powieki  
Rada wchodzę do miłości twej rzeki.*

— Moje imię — powiedział Poe. — Bije po oczach, a ja go nie dostrzegłem. — Położył dłoń na kartce, po czym delikatnie ją zwinął i z powrotem włożył do kieszeni na sercu. — Pewnie się pan domyśla, co następnie zrobiłem. Zgadnie pan, Landor? No jak to, przejrzałem ten drugi wiersz, podyktowany mi przez metafizyczny głos utwór, który tak zajadle pan potępił. Przeczytałem go świeżym okiem, Landor, niech pan sam zobaczy.

Wyciągnął arkusz papieru kancelaryjnego, którym się posłużył w moim pokoju hotelowym. Wiersz zajmował prawie dwa razy więcej miejsca niż list Lei.

— Nie od razu to uchwyciłem — przyznał Poe. — Bo na początku uwzględniałem linie wcięte. Ale kiedy o nich zapomniałem, wszystko stało się jasne jak słońce. Proszę spojrzeć, Landor.

— Chyba nie muszę.

— Nalegam.

Pochyliłem głowę nad kartką. Westchnąłem nad nią. Gdybym był bardziej sentymentalnie usposobiony, to bym powiedział, że odwzajemniła moje westchnienie.

*Między splendorem czerkieskich gajów  
W strumieniu niebem ciemno nakrapianym  
I hojnie księżycą blaskiem oblanym  
Ateny służki śpiewały peany*

*Gibkie i płocze u brzegu ruczaju.*

*Tam to smutna siedziała o zmroku*

*Do nieba wołając cna Leonora*

*Hen gdym tam zaszedł niegdyś z wieczora*

*Pannie uległem o błękitnym oku*

*Pannie uległem z okiem upiora.*

*I w cieniu mrocznej tej snów kaskady*

*Drżałam pod nocy mroźną etolą*

*„Leonoro, mów, kto udzielił ci rady*

*Byś przyszła w te strony jęczące niedolą*

*Byś przyszła w te strony cuchnące niedolą?”*

*„Daruj, ale czy o piekielnych mękach*

*Usta moje do mówienia zmuszę”*

*„Epoki tej gdy każda niesie jutrzeńka*

*Wspomnienie o diabłach, co skatowały mą duszę*

*Wspomnienie o demonach, co strzaskały mą duszę?”*

*Uleciał trzepot upiorny*

*Skrzydeł zaklętych*

*Mara pajęczna.*

*„Pospieszaj”, błagałem pokorny*

*A ona milczy jak najęta*

*Duszę swą zamęcza*

*Rubaszna noc porwała*

*Leonorę całą prócz*

*Łez błękitnego oka*

*Całą ją skalala prócz*

*Agonii błękitnego oka.*

— Mathilde umarła — mruknął Poe. A po chwili dodał: — Jednoznaczna

wiadomość. I tym razem ukryta, chociaż podana czarno na białym.

Poczułem, że na moich ustach pojawia się cień uśmiechu.

— Mattie zawsze lubiła akrostychy — powiedziałem.

Czułem na sobie jego wzrok. Słyszałem, ile sprawia mu wysiłku, aby zachować spokojny ton.

— Pan to zauważył, prawda, Landor? I dlatego chciał mnie pan przekonać do zmiany tych wersów. *Samych początków*. Chciał pan, żebym przerobił tę... depeszę z Pól Elizejskich, zanim zostanie przeczytana. — Rozłożyłem ręce i nic nie powiedziałem. — Rzecz jasna, dysponowałem tylko imieniem i predykatem. Szybko jednak odkryłem, że mam coś więcej. Dwa dodatkowe teksty, Landor! Pozwoli pan, że je panu pokażę. — Wyjął z kieszeni dwa skrawki papieru, które rozłożył obok siebie na stole. — To jest wiadomość, którą znaleziono w dłoni Leroya Frya. Był pan na tyle nieostrożny, że mi ją pan zostawił. A to jest wiadomość, którą pan do mnie zaadresował, pamięta pan?

Tak, Szanowny Czytelniku, pamiętałem. Napisałem tę wiadomość, aby uspokoić sumienie, chociaż wiedziałem, że to niemożliwe.

„ODWAGI!”

— Znalazłem ją tam tego dnia w Ogrodzie Kościuszki, pod naszym umówionym kamieniem. Szlachetna myśl, Landor, która przynosi panu chlubę. Obawiam się jednak, że zafrapował mnie kształt pańskich liter. Jak dobrze panu wiadomo, majuskuła jest równie charakterystyczna — i równie pogrążająca — jak minuskuła. — Jego palec wskazujący przesłukiwał między dwiema wiadomościami. — Widzi pan? A, R, G i E prawie identyczne jak w wiadomości dla Leroya Frya.

Jego brwi ściągnęły się w wyrazie zaskoczenia, tak jakby dokonał tego odkrycia po raz pierwszy.

— Może pan sobie wyobrazić moje osłupienie. „Czy te wiadomości

i napisał ten sam człowiek? Jak to możliwe? Jakie Landor mógł mieć powody, aby korespondować z Leroyem Fryem? I w jaki sposób to wszystko może się wiązać z córką Landora?” — Pokręcił głową i cmoknął językiem. — Szczęśliwy traf sprawił, że przebywałem tamtego wieczoru w lokalu Benny’ego Havensa. *La divine Patsy* znowu była w pracy, a znając jej wrodzoną prawdomówność, uznałem za najzupełniej naturalne zapytać ją, co wie na temat... na temat Mattie.

Zatrzymał się koło mojego fotela. Położył mi dłoń na ramieniu.

— Tyle wystarczyło, Landor, proste pytanie. Opowiedziała mi całą historię, a w każdym razie wszystko, co wiedziała. Trzej anonimowi brutale — „złe towarzystwo”, jak to określił Leroy Fry. — Zabrał rękę z mojego ramienia. — Poszedł pan do niej, prawda, Landor? W dniu śmierci Mattie. Kazał pan jej przysiąc, że dochowa tajemnicy, a potem wszystko pan jej wyznał. I dochowała tajemnicy, Landor, musi to pan jej przyznać. Dopóki nie zrozumiała, że trzymanie jej w sobie zabija *pana*.

Poznałem na własnej skórze, jak musiał się czuć doktor Marquis, kiedy mu przedstawiałem tajną historię jego własnego życia. Miało to w sobie coś dziwnie przyjemnego.

Poe usiadł na kanapie i patrzył na czubki swoich butów.

— Dlaczego nigdy mi pan o tym nie opowiedział? — spytał.

Wzruszyłem ramionami

— Nie jest to historia, którą lubiłbym opowiadać.

— Ale należało... Mógłbym pana pocieszyć, Landor. Mógłbym panu pomóc, tak jak pan pomógł mnie.

— Nie sądzę, aby dało się mnie pocieszyć. Przynajmniej w tej kwestii. Ale szczerze panu dziękuję.

Jeśli coś w nim zmiękło, to po chwili znowu zhardziało. Wstał, splótł dłonie za plecami i powrócił do swojego wykładu.

— Z pewnością pan dostrzega, że sprawa zrobiła się bardzo osobliwa. Młoda kobieta, którą pan bardzo kocha, Landor, wybiera sztukę poetycką jako

środek ekspresji. Zadałem sobie pytanie, w jakim celu. Dlaczego miałyby mnie informować o swoim istnieniu? Aby ujawnić przestępstwo? W które głęboko zamieszany był jej ojciec?

— Postąpiłem dokładnie tak samo, jak postąpiłby pan. Przeanalizowałem wszystkie swoje założenia, zaczynając od pierwszego. Sądzę, że pan sam najlepiej to sformułował, więc pana zacytuję: „Jakie jest prawdopodobieństwo, że tej samej październikowej nocy dwie różne osoby miały złe zamiary wobec Leroya Frya?”. Pochylił głowę w moją stronę, czekając z wielką cierpliwością na moją odpowiedź. Ponieważ jej nie udzieliłem, westchnął z leciutką nutą irytacji i odpowiedział za mnie:

— *Małe*. Prawdopodobieństwo jest bardzo małe. W logicznej analizie nie ma miejsca na takie zbiegi okoliczności. Chyba że... — Pogroził palcem sufitowi. — Chyba że strony mają odrębne, ale powiązane ze sobą interesy.

— Musi się pan wyrażać jaśniej, Poe. Nie jestem tak dobrze wykształcony jak pan.

— Ach, ta pańska udawana skromność. Używa pan tego narzędzia bez żadnej litości dla siebie, prawda, Landor? W takim razie ujmę rzecz następująco. Może jedna ze stron potrzebuje tylko martwego ciała? Ale sprawa nie jest nagląca, można poczekać, aż nadarzy się okazja. A potem, wieczorem dwudziestego piątego października, czary-mary i okazja się nadarza.

— Dla tej strony — chwilowo przyjmijmy, że w jej skład wchodzi Artemus i Lea — tożsamość martwego mężczyzny nie ma żadnego znaczenia. Leroy Fry sam w sobie nic dla nich nie znaczy. Z ich punktu widzenia mógłby nawet być ich dalekim krewnym. Zawłaszczyliby dowolne ciało, które by się trafiło, pod warunkiem, że miałyby serce. Do jednego by się wszakże nie posunęli — nie zabiliby człowieka. Nie, to druga strona pragnie zabić, pragnie zabić tego konkretnego mężczyznę. Dlaczego?

— Może dla zemsty, Landor? W całym wachlarzu motywów ten ma niezwykle długi rodowód. Mogę wiarygodnie potwierdzić, że tylko w ciągu



ostatnich kilku tygodni sam pragnąłem śmierci co najmniej dwóch różnych osób.

Zaczął mnie okrążyć — tak jak ja okrążałem w pokoju hotelowym jego, a w dawnych czasach tak wielu innych winowajców. Nawet jego głos zaczynał brzmieć jak mój: wznosił się i opadał, a sposób przedstawiania faktów wzmagął napięcie. „Cóż za hołd!” — pomyślałem.

— Przejdźmy teraz — powiedział Poe — do tej drugiej strony, która zagięła parol na Leroya Frya. Tymczasowo nazwijmy ją, powiedzmy, Augustusem. Rzeczony Augustus, któremu przeszkodzono w jego morderczym dziele, ale już po osiągnięciu celu powraca do swojej uroczej chatynki w miejscowości, powiedzmy, Buttermilk Falls. Pociesza się faktem, że chociaż zaskoczono go na gorącym uczynku, zdołał uciec niezauważony. Tym większy przeżywa szok, kiedy następnego dnia zostaje wezwany z powrotem do West Point. Ma wszelkie powody uznać to za aresztowanie, prawda, Landor?

„Tak” — chciałem powiedzieć. „Tak”. Rzeczywiście tak by sobie pomyślał. Przez całą drogę do West Point modliłby się do Boga, w którego nie wierzył.

— Trudno nam sobie wyobrazić — kontynuował Poe — jak głęboko wstrząśnięta była druga strona, którą tymczasowo nazwaliśmy Augustusem, kiedy się dowiedziała, że w ciągu tych kilku godzin ciało zmarłego zostało makabrycznie okaleczone. Ta dodatkowa zbrodnia nie tylko stawia go poza kręgiem podejrzeń, ale nawet skłania władze West Point do zwrócenia się do niego o pomoc w odnalezieniu złoczyńców. Cóż za niezwykły zwrot akcji! Augustus myśli sobie, że nawet Bóg stoi po jego stronie!

— Nie sądzę, aby żywił takie złudzenia.

— Jeśli nie Bóg, to diabeł, w każdym razie opatrność działa na jego rzecz, ponieważ stawia na jego drodze Sylvanusa Thayera. Który mu powierza śledztwo w sprawie śmierci Leroya Frya. Augustus dostaje wręcz *carte blanche*, zezwolenie na poruszanie się po całym terenie jednostki. Dostaje wszelkie przepustki, hasła i odzewy, może chodzić gdzie chce i rozmawiać

z kim chce. Może, by tak rzec, zaciskać pętlę na szyi innych ofiar i skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji.

— Przez cały ten czas nasza druga strona, nasz Augustus, odgrywa rolę przenikliwego śledczego, którego niezawodny instynkt i wrodzona inteligencja umożliwiają mu rozwiązanie zagadki *przestępstw, które sam popełnił*.

Przestał krążyć. Oczy mu błyszcząły jak rybie łuski.

— Dzięki tej dwulicowości nieszczęśni członkowie pierwszej strony, których tymczasowo nazwaliśmy Leą i Artemusem Marquisami, przejdą do historii jako mordercy.

— „Przejdą do historii” to zdecydowanie za mocno powiedziane — stwierdziłem od niechcienia. — Jak reszta z nas popadną w zapomnienie.

Cała fałszywa uprzejmość, cała powściągliwa retoryka natychmiast się rozwiały. Podszedł do mnie z zaciśniętą u boku pięścią. Jestem pewien, że chciał mnie uderzyć, ale w ostatniej chwili sięgnął po broń, którą zawsze najbieglej władał: słowa. Pochylił się i z całą siłą wtłoczył mi je do ucha.

— *Ja* o nich nie zapomnę — syknął. — *Ja* nie zapomnę, że splamił pan ich honor.

— Sami doskonale sobie z tym radzili — odparłem.

Odstąpił o krok do tyłu, prostując i zginając palce, tak jakby naprawdę zadał mi cios.

— Nie zapomnę też, jak zrobił pan z nas wszystkich idiotów. Szczególnie ze mnie. Bo byłem pana naczelnym idiotą, prawda, Landor?

— Nie — powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. — Od początku zamierzałem się oddać właśnie w pańskie ręce. Wiedziałem o tym od momentu, kiedy pana poznałem. I oto jesteśmy.

Poe nie miał nic więcej do dodania i jego wykład dobiegł końca. Poeta usiadł na kanapie z bezwładnie rozłożonymi po bokach ramionami i pustym wzrokiem patrzył w dal.

— Ale gdzie są moje maniery? — zawołałem. — Mogę panu zaproponować

kropelkę Monongaheli, Poe? — Kończyny odrobinę mu stężały. — Bez obawy, naleję na pańskich oczach. Mogę nawet wypić pierwszy łyk, co pan na to?

— Nie ma takiej potrzeby.

Nalałem mu dwa palce i tyle samo dla siebie. Pamiętam, że obserwowałem się z pewnym zainteresowaniem. Zwróciłem na przykład uwagę, że przy nalewaniu alkoholu nie drżały mi ręce. Nie rozlałem ani kropli.

Podąłem mu szklanę, usiadłem ze swoją i rozgrzałem się odrobinę w chwilowym milczeniu. Tego rodzaju cisza spowijała nas czasami w moim pokoju hotelowym, kiedy wszystko zostało już powiedziane, a butelka była prawie pusta.

Tym razem jednak nie mogłem milczeć. Musiałem sam zakłócić tę ciszę.

— Jeśli pan chce, żebym przeprosił, to przepraszę, ale sądzę, że słowo „przepraszam” byłoby dalece niewystarczające.

— Nie chcę pańskich przeprosin — odparł sucho. Powoli obracał szklanę w dłoni i patrzył, jak światło od okna odbija się i rozprasza na falującej powierzchni alkoholu. — Ewentualnie mógłby mi pan wyjaśnić kilka kwestii. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— W żadnym razie.

Przyjrzał mi się kąciakiem oka. Może zadawał sobie pytanie, jak daleko może się posunąć.

— Ta wiadomość w ręku Leroya Frya — zaryzykował. — Leroy sądził, że od kogo ją dostał?

— Oczywiście od Patsy. Od dawna robił do niej maślane oczy. Popełniłem błąd, że nie zabrałem mu tej kartki, ale jak sam pan mówił, śpieszyłem się.

— Owce i krowy to też pańskie dzieło?

— Oczywiście. Wiedziałem, że jeśli mam zabić pozostałych dwóch, to będę musiał wykroić ich serca — żeby to wyglądało na sprawkę satanistów.

— I zdjąć z siebie podejrzenia.

— Właśnie. A ponieważ nie miałem doświadczenia Artemusa, musiałem

najpierw poćwiczyć na innych gatunkach. — Wziąłem do ust łyk whisky i przełknąłem na raty. — Muszę jednak przyznać, że nic nie może przygotować do wycinania serca przedstawiciela własnego gatunku.

To znaczy do odgłosu piły rozpruwającej ludzką tkankę. Pęknięcia kości, ślamazarnego ruchu martwej krwi. Mikrości tego pofałdowanego płata mięsa wewnątrz klatki piersiowej. To nie jest łatwa robota — ani czysta.

— No i oczywiście to pan podrzucił serce krowy do kufra Artemusa — powiedział Poe.

— Tak — przyznałem. — Ale Lea mnie przechytryła. Zostawiła pod jego drzwiami granat i dała bratu bardzo ładne alibi.

— Koniec końców jednak zdołał pan wydobyć od Artemusa przyznanie się do winy, prawda? W zamian za ocalenie życia siostrze. To dlatego poszedł pan do lodowni sam zamiast wezwać kapitana Hitchcocka. Nie chciał pan prawdy, chciał pan wyroku skazującego.

— Gdybym tracił czas na wzywanie Hitchcocka, mógłbym nie zdążyć uratować pana.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Zajrzał w głąb szklanki. Obliznął zęby.

— Pozwoliłby pan Artemusowi zawisnąć za pańskie morderstwa? — spytał.

— Nie, nie sędzę. Mając z głowy Stoddarda, coś bym wymyślił. W każdym razie chcę w to wierzyć.

Dopił resztki whisky, a kiedy zaproponowałem mu dolewkę, zaskoczył mnie i odmówił. Podejrzewam, że chociaż ten jeden raz chciał zachować kontrolę nad władzami umysłowymi.

— O winie Ballingera dowiedział się pan z dziennika Frya? — spytał.

— Oczywiście.

— Czyli te zapisy, którymi każdego ranka karmił pan kapitana Hitchcocka...?

— Nic nie jest zmyślałem, tylko pomijałem pewne szczegóły.

— Do których należało nazwisko Ballingera. I Stoddarda.

— Tak.

— Ballinger — powtórzył z taką miną, jakby coś go zaniepokoiło. — Czy on... Kiedy pan... Przyznał się?

— Pod przymusem. Tak samo Leroy. Obaj pamiętali, jak się nazywała. I jak się nazywała gospodyni balu. Pamiętali nawet, co Mattie miała na sobie. Dużo się od nich dowiedziałem, ale nie zdradzili swoich kamratów. Tego nie udało mi się uzyskać. „Nie powiem” — mówili, jakby ich przeszkolono. „Nie powiem”. Zaoszczędziłoby mi wiele czasu i wysiłku, gdyby mi powiedzieli, ale pewnie nie pozwalał im na to... kodeks dżentelmena.

Popielata skóra twarzy, którą miałem naprzeciwko siebie, zwisała wiotkimi fałdami.

— Tylko Stoddard — mruknął. — Tylko Stoddard uszedł pańskiej karzącej ręce sprawiedliwości.

To było głupie z mojej strony, chciałem powiedzieć, ale nie powiedziałem. Możesz mi nie wierzyć, Szanowny Czytelniku, ale ze wszystkich rzeczy, które zrobiłem w imię miłości i nienawiści, ze wszystkiego, czego żałuję i co chciałbym cofnąć, najbardziej wstydzę się tego, że się zdradziłem. Że kiedy znalazłem w dzienniku Frya nazwiska Stoddarda, popełniłem błąd i poszedłem prosto do kantyny w wyłącznym celu przyjrzenia się twarzy mężczyzny, którego miałem niebawem zabić. Żeby zapisać go w pamięci, tak jak to zrobiłem wiele tygodni wcześniej z Fryem. Tyle że nie potrafiłem już tak dobrze ukrywać emocji. Stoddard spotkał się ze mną wzrokiem i odczytał to, co było zapisane w moich oczach... Wiedział, że już po nim. I uciekł.

— Ma pan rację — powiedziałem. — Stoddard zniknął, a ja nie mam ani woli, ani siły go ścigać. Mogę tylko liczyć na to, że przez resztę swojego nędznego życia będzie oglądał się przez ramię.

Przyjrzał mi się badawczo. Próbował chyba odnaleźć człowieka, którego kiedyś znał.

— Zrobili rzecz straszną — powiedział, badając po omacku drogę powrotną, badając każde słowo jak luźną deskę podłogową pod stopą. — To było brutalne, bestialskie, tak, ale pan, Landor... Pan reprezentuje prawo.

— Do diabła z prawem — odparłem spokojnie. — Prawo nie uratowało Mattie. Nie przywróciło jej do życia. Prawo nic już dla mnie nie znaczy, boskie ani ludzkie.

Poe zaczął rzeźbić powietrze dłońmi.

— Ale kiedy pańskiej córce stała się krzywda, mógł się pan udać prosto do władz West Point. Mógł pan przedstawić sprawę Thayerowi, uzyskać przyznanie się do winy...

— Nie chciałem, żeby przyznali się do winy — przerwałem mu. — Chciałem ich martwych.

Przytknął szklankę do ust, uświadomił sobie, że jest pusta, i odstawił. Opadł na oparcie kanapy.

— Dziękuję — powiedział łagodnym głosem — że mnie pan oświecił, Landor. Jeśli pan pozwoli, mam jeszcze jedno pytanie.

— Proszę bardzo.

Nie zaczął od razu. Wydedukowałem z jego milczenia, że dotarliśmy do jakiejś newralgicznej sprawy.

— Dlaczego wybrał pan mnie? — spytał. — Spośród tylu innych kadetów dlaczego akurat mnie?

Zmarszczyłem czoło nad szklanką.

— Bo wiedziałem, że dopóki pozostanie pan po mojej stronie, nie dostrzeże pan prawdy.

Skinął kilkakrotnie głową, za każdym razem niżej.

— A co teraz, kiedy już dostrzegłem?

— To zależy od pana, Poe. Z faktu, że przyszedł pan sam, wnioskuję, że na razie nie powiedział pan nikomu innemu.

— A jeśli powiedziałem? — spytał grobowym głosem. — Za dobrze

pozacierał pan ślady. Mam tylko dwie wiadomości, które mógł nabazgrać każdy, i nedorzeczny wiersz.

Nedorzeczny wiersz nadal leżał na stole. Z czarnymi wypukłościami pogrubionych liter. Powoli przebiegłem palcem po obrzeżach kartki.

— Przepraszam — powiedziałem — jeśli źle pana nastawiłem do tego wiersza. Jestem pewien, że Mattie by się spodobał.

Prychnął gorzkim śmiechem.

— No pewnie, przecież go napisała.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

— Wie pan, Poe, często żałuję, że to nie pana spotkała na tym balu. Ona też kochała Byrona. Mogłaby pana słuchać godzinami. Owszem, być może zagadałby pan ją na śmierć, ale poza tym byłaby z panem najzupełniej bezpieczna. I kto wie? Może zostalibyśmy rodziną...

— A nie tym, czym jesteśmy dla siebie teraz.

— Tak.

Poe przycisnął dłonie do czoła. Przez jego zwiotczone usta wydobył się jakiś dźwięk.

— Och, Landor — powiedział. — Myślę, że nikt nie złamał mi serca tak... tak gruntownie jak pan.

Skinąłem głową. Odstawiłem szklanę i podniosłem się z fotela.

— Teraz może się pan zemścić — powiedziałem.

Czułem na sobie jego wzrok, kiedy podszedłem do kominka i wyjąłem z marmurowej wazy stary pistolet skałkowy. Przebiegłem dłonią po niegwintowanej lufie.

Poe zaczął wstawać, ale się rozmyślił.

— Nie jest załadowany — powiedział nieufnie. — Mówił pan przecież, że służy tylko do robienia hałasu.

— W arsenale West Point zaopatrzyłem się w amunicję. Z przyjemnością pana informuję, że pistolet działa doskonale.

Wręczyłem mu go uroczystym gestem: to był prezent.

— Jeśli byłby pan tak miły — powiedziałem.

Jego oczy nie mogły sobie znaleźć miejsca w oczodołach.

— Landor.

— Udawajmy, że to pojedynek.

— Nie.

— Nie będę się ruszał. Niech się pan nie boi. A kiedy załatwi pan sprawę, niech pan po prostu rzuci pistolet na podłogę i... zamknie za sobą drzwi.

— Nie, Landor.

Opuściłem pistolet i zmusiłem się do uśmiechu.

— Widzi pan, Poe, nie pójdę na szubienicę. W moim zawodzie powiesiłem zbyt wielu ludzi. Zapadnia otwiera się zbyt powoli, sznur czasem się urywa. Kark nigdy nie pęka do samego końca. Bywa, że człowiek huśta się godzinami, zanim umrze. Jeśli panu to nie robi różnicy, wolałbym... — Znowu podałem mu pistolet. — Będzie to ostatnia przysługa, jaką mi pan wyświadczy.

Stał teraz blisko mnie i dotykał stempla pod lufą...

Bardzo powoli, jakby ta sytuacja przekształcała się już we wspomnienie, pokręcił przecząco głową.

— Landor — powiedział. — To wyjście wybierają tchórze, wie pan o tym.

— Jestem tchórzem.

— Nie. Można panu wiele zarzucić, ale nie to.

Głos miałem coraz słabszy, słowa ledwo dochodziły do gardła.

— Byłby to z pańskiej strony akt miłosierdzia — szepnąłem.

Spojrzał na mnie z wielką czułością, nigdy tego nie zapomnę. Nie znosił sprawiać ludziom zawodu.

— Ale widzi pan, Landor, ja nie jestem aniołem miłosierdzia. Musi się pan z tym zwrócić do innych czynników. — Położył mi dłoń na ramieniu. — Bardzo pana przepraszam, Landor.

Ciężkim, miarowym krokiem podszedł do kominka po płaszcz (wciąż podarty na ramieniu) i skierował się w stronę drzwi. Odwrócił się i po raz



ostatni spojrział na mnie... i na zwisający bezużytecznie u mojego boku pistolet. Powiedział:

— Zawsze z głęboką wdzięcznością...

Nie potrafił jednak dokończyć zdania. Złotoustemu Poemu zabrakło słów!

W końcu powiedział tylko:

— Żegnaj, Landor.

# Opowieść Gusa Landora

43

*Od grudnia 1830 do kwietnia 1831 roku*

**P**rawdę mówiąc, Szanowny Czytelniku, rzeczywiście byłem tchórzem. W przeciwnym razie zrobiłbym to w chwili, kiedy Poe zamknął za sobą drzwi. Poszedłbym w ślady tych wszystkich starożytnych Greków i Rzymian, którzy po pierwszym tchnieniu skandalu wypijali cykutę. Ale nie potrafiłem.

Zadałem sobie pytanie, czy nie ma jakiegoś *powodu*, dla którego mnie oszczędzono. I wreszcie wykiełkował we mnie pomysł, aby spisać wszystko najlepiej, jak potrafię, udokumentować moje zbrodnie i zaczekać na wyrok sprawiedliwości.

Kiedy już zacząłem, nic nie mogło mnie powstrzymać. Pracowałem dzień i noc, jak zakłady gubernatora Kemble'a, i już mi tak bardzo nie przeszkadzało, że ludzie trzymają się ode mnie z daleka. Odwiedzający byliby dla mnie tylko utrapieniem.

Od czasu do czasu nadal wychodziłem — najczęściej do Benny'ego, ale za dnia, żeby nie natknąć się na kadetów. Nic jednak nie mogło mnie uchronić przed spotykaniem Patsy, która witała mnie z taką samą chłodną uprzejmością, jaką zawsze mi okazywała w miejscach publicznych. Po tym, co się wydarzyło, na nic lepszego nie mogłem liczyć.

Od stałych bywalców karczmy dowiadywałem się o Poem, który budził w nich szczególną sympatię. Powiedzieli mi, że jakiś czas po Bożym Narodzeniu Poe przystąpił do swojej ostatniej kampanii przeciwko West Point. Taktykę obrał dosyć szczególną, a mianowicie... nie przychodził na zajęcia. Nie przychodził na francuski ani matematykę. Nie przychodził na procesję ani paradę klasową. Nie przychodził na apele i nie stawiał się na wartę.

Wagarował ze wszystkiego, z czego mógł zwagarować, nie wykonywał żadnego rozkazu... Słowem, wzór nieposłuszeństwa.

W ciągu dwóch tygodni uzyskał to, do czego dążył: sąd wojskowy. Na rozprawie w gruncie rzeczy się nie bronił i jeszcze tego samego dnia zwolniono go ze służby.

Powiedział Benny'emu, że jedzie prosto do Paryża, aby poprosić markiza Lafayette'a o pomoc we wstąpieniu do armii polskiej. Trudno sobie wyobrazić, jak miał tam dotrzeć — opuszczał West Point z dwudziestoma czterema centami w kieszeni, a Benny'emu oddał swój ostatni koc i większość ubrań w ramach spłaty długów. Kiedy go ostatni raz widziano, targował się z woźnicą, który jechał do Yonkers.

Udało mu się jednak osiągnąć swoje cele. I pozostawić po sobie spuściznę w postaci małej lokalnej legendy.

Nikt z bywalców karczmy tego nie widział, więc nie mogę za to ręczyć, ale ludzie mówią, że niedługo przed opuszczeniem Akademii Poe otrzymał rozkaz stawienia się na ćwiczeniach z bronią i ładownicą. Rozkaz wykonał dosłownie: przybył na plac apelowy z bronią i przypiętą ładownicą... a poza tym nie miał nic na sobie. Stał pośród innych kadetów naguteńki. Według Benny'ego chciał się po prostu pochwalić swoim „Wierzchołkiem Południowym”. Ja skłaniałbym się ku przekonaniu, że wyrażał w ten sposób sprzeciw wobec niestarannego posługiwania się językiem. Oczywiście jeśli ta historia jest prawdziwa, w co wątpię, bo Poe bardzo źle znosił zimno.

Nie miałem od niego żadnych wiadomości, przynajmniej bezpośrednio. Pod koniec lutego rozpoznałem jednak jego charakter pisma na zaadresowanej do mnie kopercie, która zawierała wycinek z artykułem w „New York American”. Oto jego treść:

*Smutne wydarzenie.* W ostatni czwartek wieczorem znaleziono pana Juliusa Stoddarda powieszono w jego mieszkaniu na Anthony Street. Nie znaleziono przy nim żadnego listu, nie widziano też nikogo, kto by wchodził

lub wychodził z lokalu mieszkalnego. Dotarły do nas jednak doniesienia, że sąsiadka, pani Rachel Gurley, podsłuchiwała ożywioną rozmowę pana Stoddarda z innym dżentelmenem, którego tożsamość pozostaje nieznana. Pan Stoddard uchodził za człowieka, który nie utrzymuje stosunków z żadnymi podejrzanymi osobnikami, a znalezione przy nim dokumenty wskazują, że był ostatnio kadetem Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych.

Przeczytałem ten artykuł niezliczoną liczbę razy i przy każdej lekturze kłębiło się we mnie od pytań. Czy owym dżentelmenem, który odwiedził Stoddarda, był Poe? Czy to on prowadził zrelacjonowaną przez sąsiadkę ożywioną rozmowę z Stoddardem w ostatnich chwilach jego życia? Czy to Poe zawiązał mu wokół szyi sznur, powiesił na krokwi i wymknął się niespostrzeżenie? Czy mój Poe byłby zdolny do czegoś takiego — nawet w imię dawnych aliansów?

Nigdy się tego nie dowiem.

Niedługo po tym otrzymałem kolejną zaadresowaną jego ręką przesyłkę. Znowu żadnego listu, żadnej notki. Tylko niewielki tomik w żółtoszarej oprawie: Edgar A. Poe, *Wiersze*.

Tomik był zadedykowany Korpusowi Kadetów Stanów Zjednoczonych, co uznałem za żart, dopóki nie usłyszałem od Ślepego Jaspera, że Poe jakimś cudem namówił połowę korpusu, aby zostali jego subskrybentami: stu trzydziestu jeden kadetów wydało około dolara i ćwierć za przywilej ujrzenia wierszy Poego w druku.

Czyli to prawda, co mówią: żaden kadet nie przepuści okazji do roztrwonienia swojego mizernego żołdu. Założę się jednak, że byli rozczarowani. W całej tej przeklętej książce nie było ani jednej satyry na porucznika Locke'a. Jack de Windt mówił, że widział kadetów, którzy zrzucali swoje egzemplarze z Gee's Point. Tomiki te będą bez wątpienia odnajdywane jeszcze przez wiele stuleci, będą czekały na czytelnika przykryte mułem i kośćmi marynarzy na dnie rzeki Hudson.

Zwróciłem uwagę na motto, autorstwa niejakiego Rochefoucaulta: *Tout le*

*monde a raison*. Musiałem poszukać starego słownika francuskiego Mattie, ale kiedy już go znalazłem, tłumaczenie poszło szybko: „Wszyscy mają rację”.

To najwspanialsza lub najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem, nie mogę się zdecydować. Im dłużej próbuję to rozgryźć, tym bardziej mi się wymyka. Nie umiem jednak oprzeć się myśli, że wiadomość tę zaadresował do mnie. Ale do diabła, co on mi chciał powiedzieć?

W marcu przyjechał do mnie pierwszy od dłuższego czasu gość: niejaki Tommy Corrigan. Był w gronie dwustu Irlandczyków, którzy pewnej nocy w osiemnastym roku wtargnęli do Tammany Hall. Mieli już dosyć tego, że się ich nie dopuszcza do wyborów i krzyczeli: „Precz z tubylcami!”, „Emmitt do Kongresu!”, a także rozbijali meble, demolowali instalacje i narobili wielkiego bałaganu. Niestety, Tommy został przypadkowo ugodzony nożem przez jednego ze swoich i nie dożył następnego dnia. Pamiętam jednak, jak łupnął krzesłem w okno, a następnie po kawałku odłamał palcem wskazującym szybę. Jakże delikatny gest. Dziwne, że sobie to przypomniałem po tych wszystkich latach, ale właśnie na fali tego wspomnienia do mnie przypłynął. I ciągle mnie nagabywał, żebym poczęstował go piwem.

Następny był Naphthali Judah, stary demokrat, który schował do kieszeni dziesiątki tysięcy dolarów z Loterii Medycznej i dał mi kiedyś porzucony płaszcz z wełny jagnięcej. Powiedział, żebym mu go oddał: jego żona go potrzebuje, bo w jej płaszczu wytarła się podszewka.

Dzień później przyszedł nieżyjący od siedmiu lat radny miejski Hunt, a kolejnego dnia moja zmarła matka, która zachowywała się tak, jakby była u siebie: zaczęła sprzątać dokładnie to, czego nie zdążyła posprzątać Patsy. Następnego dnia — mój stary nowofundlandczyk. Jeszcze następnego — moja osobista żona, za bardzo zajęta układaniem w wazonie tulipanów, żeby zwracać na mnie uwagę.

Można by sądzić, że taki tłum gości bardziej mnie zaniepokoi, ale widzisz, zmieniło się moje postrzeganie czasu. Inaczej niż sobie wyobrażamy, czas nie jest czymś twardym i niezmiennym, lecz miękkim i plisowanym, toteż przy

dużym nacisku tak bardzo się kondensuje, że ludzie oddaleni od siebie o pokolenia nagle objają się o siebie łokciami, muszą stać w tym samym pomieszczeniu i oddychać tym samym powietrzem, i nie ma już sensu mówić o „żywych” i „martwych”, ponieważ nikt w całości nie należy do żadnej z tych kategorii. Lea uczy się u stóp Henriego le Clerca, Poe pisze wiersze z Mattie Landor, a ja... ja gadam z radnym Huntem, Naphthalim Judah i Claudiusem Footem, który wciąż wbija mi do głowy, że obrabował pocztę w Baltimore, a nie w Rochester, do cholery!

Moi goście nie zajmują wiele miejsca i na ogół pozwalają mi pracować. Prawdę rzekłszy, dodaje mi otuchy fakt, że zajmują się tym samym, co za życia. Nie uginają się pod brzemieniem niebiańskich obowiązków ani nie smażą się w piekle — mają za dużo innych rzeczy na głowie. Ciekawe, czy tu zostaną, kiedy mnie już nie będzie. Może nawet uda mi się do nich dołączyć i będziemy razem przez całą wieczność.

Może będzie też tam Mattie. To możliwe. Wyobrażenie to ułatwia mi w każdym razie myślenie o końcu. Który właśnie nadchodzi.

# Epilog

19 kwietnia 1831 roku

**P**raca wykonana. Napisałem wszystko, co można było napisać, pozostaje tylko osądzić.

Odkładam pióro. Zostawiam rękopis w szufladzie biurka, za rzędem kałamarzy. Nie znajdzie go pierwszy, kto przyjdzie. Nie, trzeba będzie bardziej ciekawskiego oka, aby go znaleźć. Ale zostanie znaleziony.

Macham do żony, która przesiewa przy kominku popiół. Żegnam się z radnym Huntem i Claudiusem Footem. Drapię nowofundlandczyka za uszami.

Na dworze jest pięknie. Pierwszy ciepły dzień w tym roku: zimowe światło żółknie od pyłków, tulipany różowieją, na łące słychać stadko rudzików. Moim zdaniem najlepiej jest pożegnać się ze światem w chwili, kiedy rozpościera przed nami wszystkie swoje uroki. Można wtedy mieć pewność, że umysł nie jest zakłócony.

Idę tą samą ścieżką, którą szliśmy kiedyś z Mattie. Staję na tej samej skarpie i spoglądam w dół na nurt. Nawet z tej wysokości widać, jak energicznie rzeka Hudson toczy swoje wody. Zrzuciła zimową skorupę i woda pędzi z północy z pianą na ustach.

Odejdę następująco: patrzę prosto w dół, oczy cały czas otwarte. Ponieważ nie mam twojej wiary, Mattie. Nie polecę w jej ramiona, skoro nie wiem, czy ktoś będzie czekał... Skoro nie wiem, czy *ktokolwiek* będzie czekał. Czy nie zawsze tak twierdziłem? Zwijamy interes jak sklep i klienci przestają przychodzić. Nikt nawet nie pamięta nazwy ulicy.

Stoję więc tutaj. Powiedz mi teraz, córko. Własnym głosem. Powiedz mi. Powiedz mi, że będziesz na mnie czekała. Powiedz mi, że wszystko będzie dobrze. Powiedz mi.

# Podziękowania

**M**ój obowiązek wobec historii nakazuje mi zaznaczyć, że za kadencji Sylvanusa Thayera żaden kadet nie został zamordowany ani nawet poważnie ranny. Choć pojawiają się na tych stronach Thayer, Hitchcock, Kemble i inne postacie z życia wzięte, zwerbowałem je do przedsięwzięcia czysto literackiego, podobnie jak Edgara Allana Poego, który wedle mojej najlepszej wiedzy zabijał tylko na papierze.

Spośród wielu źródeł, z których korzystałem, najbardziej pomocna okazała się *Eggnog Riot* Jamesa Agnew, przypuszczalnie jedyna inna powieść, której akcja rozgrywa się w dziewiętnastowiecznym West Point. Jestem bardzo wdzięczny za pomoc Abby Yochelson z Biblioteki Kongresu, historykowi USMA Steve’owi Grove’owi oraz historykowi wojskowości Walterowi Bradfordowi. Wszelkie błędy historyczne spadają wyłącznie na mnie.

Szczególne podziękowania kieruję do: Marjorie Braman, niezwyklej redaktorki, która zrozumiała moją historię lepiej niż ja sam; mojego wydawcy Michaela McKenziego, najciężej pracującego człowieka w show biznesie, oraz mojego agenta, Christophera Schellinga, dzięki któremu co najmniej raz w tygodniu zapluwam się ze śmiechu. Mój brat, doktor Paul Bayard, udzielił mi pro bono konsultacji medycznych. Moja matka, Ethel Bayard, zaoferowała swoje redakcyjne oko; mój ojciec, emerytowany podpułkownik Louis Bayard (USMA '49), dał swoje błogosławieństwo. O resztę zatroszczył się Don.

---

[9](#) Kamieniste Pustkowie.

[10](#) Amerykańskie czasopismo dla kobiet (1830–1880), z którym współpracowali m.in. Nathaniel Hawthorne, Henry Wadsworth Longfellow i... Edgar Allan Poe.

[11](#) Przeń Stanisław Barańczak.